

## Droga z La Turbie.

Tuż przed dziesiątą rano w poniedziałek trzynastego września 1982 roku żandarm Frederic Mouniama wyszedł z piekarni we francuskiej górskiej wiosce La Turbie. Młody policjant, który do porannej kawy lubił zjeść croissanta, z rogalikiem w dłoni ruszył w stronę posterunku.

Z Roc Agel, weekendowej rezydencji księcia Monako Rainiera i księżnej Grace, nadjechał właśnie brązowy rover... a kiedy zatrzymał się, żeby przepuścić przechodzącego przez ulicę młodego żandarma, Frederic Mouniama uświadomił sobie, że za kierownicą samochodu siedzi we własnej osobie Jej Wysokość księżna Grace. Uśmiechnęła się do niego zza kierownicy. Obok, na miejscu pasażera siedziała jej siedemnastoletnia córka, Stefania. Księżna na pewno nie przypominała już słynnej ekranowej postaci, figlarnej i gibkiej Grace Kelly, która przed blisko trzydziestoma laty przybyła do Monako. Była gwiazda filmowa od tego czasu znacznie przybrała na wadze, a twarz jej się mocno zaokrągliła. Wciąż jednak miała dobrą prezencję, ów szczególnie, pełen elegancji blask, który zawsze emanował z Grace Kelly, toteż przechodząc na oczach tej żywej legendy przez ulicę, Frederic Mouniama instynktownie dotknął palcami twardego daszka swojego kepi i skłonił głowę.

Zjawiwszy się na posterunku, żandarm Mouniama nie zdążył jeszcze położyć na biurku croissanta, kiedy zadzwonił telefon. Jakiś samochód wypadł z serpentyny na szosie numer CD37, biegnącej z La Turbie w stronę Monako i morza. Mouniama musiał się tam natychmiast udać.

Niespełna dziesięć minut od chwili, kiedy wyszedł z piekarni, młody żandarm krętą drogą jechał razem z kolegą policyjnym wozem,

z włączoną syreną i obracającym się na dachu niebieskim światłem. Dojazd do zakrętu zajął im cztery, może pięć minut. Spojrzawszy w dół, Mouniama zobaczył szare i zakurzone podwozie samochodu, który leżał odwrócony do góry kołami pośród rabatek z kwiatami w ogródku czyjegoś domu. Wokół stało kilka osób — musiały wyjść z budynku — i kiedy policjant dotarł na miejsce, zobaczył, że pocieszają oszołomioną dziewczynę, której ramionami wstrząsa spazmatyczny szloch.

— Sauvez Maman! — powtarzała płacząc. — Sauvez Maman!

Wpatrując się w rozbity wrak, Mouniama uświadomił sobie, że ma przed sobą ten sam brązowy samochód księżnej Grace, który widział nie dalej jak piętnaście minut wcześniej w La Turbie. Zajrzawszy do środka przez jedyne nie zablokowane drzwi, żandarm zobaczył księżną. Leżała nieprzytomna płasko na wznak, z wykręconą pod ostrym kątem nogą i zamkniętymi oczyma, tak jakby dach obróconego do góry kołami samochodu stanowił szpitalne łóżko. Nie było ani śladu krwi. Księżna nie była martwa, ale nie zdradzała również żadnych oznak życia.

Przez następnych dwadzieścia dziewięć godzin Frederic Mouniama, jego koledzy z posterunku oraz oficerowie śledczy i detektywi żandarmerii pracowali bez przerwy na sen albo posiłek, mierząc szosę, przesłuchując świadków, odtwarzając drogę, jaką przebył

rover, i próbując rozwikłać tajemnicę. Jak do tego doszło? Która z kobiet siedziała za kierownicą? Czy wypadek nie był wynikiem sabotażu? W ciągu wszystkich tych godzin Frederic Mouniama widział przed oczyma uśmiechniętą księżnę, która przyhamowała i zatrzymała samochód, żeby przepuścić młodego żandarma przechodzącego przez ulicę z rogalikiem w dłoni.

Po raz pierwszy jechała przez te góry, mając dwadzieścia cztery lata. Grała wtedy w filmie Alfreda Hitchcocka „Złodziej w hotelu”. Rok później wróciła tu na festiwal filmowy, a w następnym przyjechała ponownie, tym razem żeby poślubić księcia. Miało to miejsce w kwietniu 1956 roku, kiedy gwiazda filmowa Grace Kelly znajdowała się w pełnym rozkwicie swojej urody. Poruszała się sprężystym krokiem, promienny uśmiech zdawał się rozjaśniać całą jej postać. Ze swoimi blond włosami i mocno zarysowaną linią szczęki stanowiła wyrazisty i prawie idealny przykład północnoeuropejskich cech, składających się na to, co określano mianem klasycznej amerykańskiej piękności. Na początku dwudziestego wieku arystokratyczne rodziny europejskie na wyścigi sprowadzały zza oceanu przystojne i zamożne „dolarowe księżniczki” — jeśli wierzyć prasie tamtych czasów, w samym tylko roku 1915 pojawiło się kilkaset utytułowanych Amerykanek: czterdzieści dwie urodzone w Ameryce księżniczki, sześćdziesiąt cztery baronesy, sto dwadzieścia sześć hrabianek... Przybywając w 1956 roku do Monako, Grace Kelly w iście hollywoodzkim stylu nawiązała do tej starej tradycji.

Grace wyróżniała jej nieskazitelność. Nieskazitelnie wyglądała, nieskazitelnie się wyrażała — wypracowała własny potoczny, teatralny styl wymowy — i jak sądziła większość ludzi, nieskazitelnie się zachowywała. Stanowiła wypieszczony symbol tego, co amerykańskie, zwłaszcza w latach pięćdziesiątych — latach prezydentury Eisenhowera. Kojarzyła się z wiejskimi klubami, mlekiem słodowym i Reader's Digest — chociaż podobnie jak Reader's Digest, miała w sobie przecież zdrową dawkę seksu. Seksu przyjemnego, rozchichotanego, uprawianego na tylnym siedzeniu samochodu, ale również seksu, który jak na lata pięćdziesiąte był właściwie dość śmiały. Wielkie role Grace to role poszukiwaczki przygód, samotnej, mającej za sobą bliżej nie sprecyzowane doświadczenia kobiety, która nosi nocną koszulę w torebce. Grała dziewczynę, która lubi dwuznaczne, pikantne sytuacje i woli pierwsza złożyć namiętny pocałunek na ustach Cary'ego Granta, zamiast czekać, aż on się zdecyduje ją pocałować.

Grace wiedziała, jak to robić — z uśmiechem i posługując się prawdziwie kuglarskimi sztuczkami, dzięki którym wszystko wydawało się możliwe do zaakceptowania. Umiała być niegrzeczna, a zarazem bardzo pociągająca. Alfred Hitchcock, który wydobyl z niej najwspanialsze i najbardziej prowokujące filmowe kreacje, lubił porównywać Grace Kelly do pokrytego śniegiem wulkanu. Pracując z nią przy trzech filmach, był świadkiem wybuchów zmysłowości, którą na ogół udawało się jej ukryć pod maską dziewiczej cnoty. Ta sprzeczność stała się jednym z głównych problemów jej życia. Publiczność widziała przeważnie pokryty śniegiem wierzchołek — być może nie chciała widzieć nic więcej. W gruncie rzeczy jednak Grace Kelly stanowiła dokładne przeciwieństwo tego, czym się wydawała.

Wieczna gra. Aktorstwo. Kiedy kończy się rola, a zaczyna prawdziwe życie? Czy żegnając się z Hollywood, Grace porzuciła świat wyobraźni? Czy też może podpisała w Monako kontrakt na rolę, która okazała się jeszcze bardziej nierzeczywista? Zawsze była marzycielką i to stanowiło właściwie klucz do jej osobowości. Od najwcześniejszych lat odznaczała się dziwną pewnością, przekonaniem, że jest w stanie realizować swoje marzenia — jako odnosząca sukcesy modelka, jako telewizyjna aktorka, jako gwiazda filmowa i wreszcie jako księżna. Ten szczególny dar ziszczania marzeń opromieniał ją magią, która fascynowała ludzi w naszym niereligijnym stuleciu. W ciągu pięćdziesięciu dwóch lat, które przeżyła, stała się dla swego pokolenia swoistym talizmanem, postacią błogosławioną, czczoną i niemal świętą. Perfekcja jest być może wytworem fantazji, ale to właśnie perfekcję ucieleśniała w oczach milionów księżna Grace. Była międzynarodowym symbolem, kimś nietykalnym. I dlatego właśnie, kiedy zabrała ją przedwczesna śmierć, ludzie nie potrafili uwierzyć, że jest normalną śmiertelniczką.

#### Część pierwsza.

Zebranie materiałów i napisanie tej książki zajęło dwa lata; oparłem ją na informacjach prasowych, osobistych listach i dokumentach oraz na wywiadach z wieloma najbliższymi kolegami i przyjaciółmi Grace Kelly. Zawiera pierwszy dokładny opis dochodzenia, jakie prowadziła w sprawie jej śmierci policja, i opowiada o romansach, jakie Grace miała przed i po ślubie z Rainierem księciem Monako. Poddaje także analizie kontrowersyjne decyzje medyczne, które podjęto w ostatnich godzinach jej życia. Czy księżna Grace żyłaby dzisiaj, gdyby zastosowano inną metodę leczenia?

Nie może chyba zaskakiwać fakt, że książkę Rainier i jego rodzina nie chcieli rozmawiać z autorem tej książki. Prezentowany tutaj portret Grace — a także jej bliskich — znacznie różni się od wizerunku kultywowanego przez nich i przez ich ekspertów od tworzenia publicznego wizerunku książęcej rodziny. Konwencjonalny obraz Grace Kelly, księżnej Grace, jest piękną iluzją stworzoną na użytek epoki, która lubiła być oszukiwana, i poddanie go wnikliwej i bezlitosnej analizie lat dziewięćdziesiątych może się komuś wydać okrucieństwem.

Jednak tej damie na pewno to nie zaszkodzi. Prawda nie niszczy, lecz uwydatnia jeszcze piękno stworzonej przez nią iluzji. Grace Kelly była twardą i odważną kobietą, która dzięki ciężkiej pracy, pomysłowości, a także dzięki swemu wielkiemu urokowi, pokonywała wyzwania, które stawiało przed nią życie i epoka. Była życzliwa i dzielna, lojalna i ludzka. Ale tworzenie mitu zaczęło się bardzo wcześnie.

#### Ojciec i córka.

Lipiec 1935 roku. Zwinna, chuda i szczerbata, miała wtedy pięć i pół roku. Kiedy ojciec ją podniósł, by okręcić wokół siebie, śmiała się i krążyła w jego orbicie, unosząc stopy nad piaskiem. Jak bardzo mała Grace kochała swego tatusia, jak bardzo lubiła przytulać się w zimie do jego ciepłego, pachnącego tytoniem płaszcza... W tym momencie, owego letniego dnia nad oceanem, gdy wirowała wokół ojca i cały świat zlewał się w jedną plamę, należał do niej bez reszty.

Jack Kelly — metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, dziewięćdziesiąt pięć i pół kilograma wagi — ubrany był w spięte paskiem szorty i podkoszulek bez rękawów. Kiedy się obracał, ramiączka podkoszulki napinały się na jego mięśniach. Ze swymi geometrycznymi, rzeźbionymi rysami twarzy i ciemnymi lśniącościami włosów człowiek ten stanowił dla szybującej w powietrzu córki źródło prawdziwej radości i siły. Ale nawet krążąc wokół niego, pięcioletnia dziewczynka wiedziała dobrze, czego się od niej oczekuje. Wiedziała, kiedy unieść głowę i uśmiechnąć się, i zrobiła to dokładnie w odpowiednim momencie, wtedy gdy znalazła się na tle oceanu. Fotografowi z Bulletin udało się świetne zdjęcie. Kiedy jest się córką Jacka Kelly'ego, trzeba spisać się na medal. W lipcu 1935 roku, w wieku czterdziestu pięciu lat, ojciec Grace startował jako kandydat demokratów w wyborach na burmistrza Filadelfii. To właśnie sprowadziło fotoreporterów na brzeg morza — nadarzyła się okazja, żeby sfotografować przystojnego Jacka bez krawata i sztywnego kołnierzyka, gdy bawi się ze swymi fotogenicznymi dziećmi na plaży. Ujęcie tu, ujęcie tam. A teraz kilka kroków w głąb morza, żeby w tle widać było łamiące się fale przyboju. Pięcioletnia Grace wchodzi do wody, staje na baczność i spogląda prosto w obiektyw, nie zwracając zupełnie uwagi na pryskający wokół wodny pył. Jej brat i dwie siostry rozglądają się na wszystkie strony, chichoczą, kucają — ale nie mała Grace. Zawsze grzeczna, patrzy nadal prosto przed siebie. Uśmiech do obiektywu. Wszystko dla tatusia.

Fakt, że pięcioletnia dziewczynka traktuje własnego ojca jak kogoś równego niemal Bogu, nie jest niczym nadzwyczajnym. Tak się jednak składa, że entuzjastyczną opinię urodzonej w Filadelfii 12 listopada 1929 roku Grace Patricii Kelly podzielało znaczne grono ludzi.

Ojcu nie udało się ostatecznie zostać burmistrzem. W wyborach w roku 1935 zabrakło mu około czterdziestu tysięcy z siedmiuset tysięcy oddanych głosów. Ale żaden demokrat nie osiągnął dotąd tak dobrych wyników i wyborcza klęska była tylko chwilowym niepowodzeniem w karierze człowieka, który czy się go kochało, czy przeklinało, należał do najbardziej wybitnych i charyzmatycznych synów miasta. Urodzony w roku 1890 w liczącej dziesięcioro dzieci rodzinie irlandzkich katolików, w ubogiej imigranckiej dzielnicy East Falls w Filadelfii, Jack Kelly pierwsze pieniądze zarobił jako murarz. Potem założył własne przedsiębiorstwo budowlane, Kelly for Brickwork, i dzięki osobistemu urokowi, ciężkiej pracy oraz właściwym koneksjom udało mu się uczynić zeń największą w tej branży firmę na Wschodnim Wybrzeżu. Kelly for Brickwork brało udział we wszystkich znaczących budowach, od klasycznych kolumn filadelfijskiego dworca przy Trzydziestej Ulicy poczynając aż po budynek Radio City Music Hali w Nowym Jorku. Jack Kelly został milionerem.

Ale zdobył również sławę w innej dziedzinie. W czasie wolnym od pracy startował w jedynkach, najbardziej samotnej ze wszystkich wioślarskich konkurencji — trwających osiem albo więcej minut, zadawanych sobie samemu torturach, podczas których trzeba przebyć w wąskiej drewnianej łodzi dwa tysiące metrów — i odnoszone przez niego triumfy zapewniły mu specjalny status, jakim cieszą się tylko wielcy sportowcy. Pieniądze i murarstwo schodziły na drugi plan. Ojciec Grace Kelly był lokalnym bohaterem. Wioślarstwo ma w Filadelfii większe znaczenie niż gdzie indziej.

Przystanie wioślarskie znajdują się w samym śródmieściu, tuż za muzeum sztuki, wzdłuż czterystumetrowego bulwaru, po wschodniej stronie Schuylkill River. Kiedy jedzie się ze śródmieścia na północ, tworzą niezwykły widok — kaskady drewnianych dachów, herbów, wieżyczek i iglic, ze zbiegającymi ku wodzie betonowymi pochylniami dla łodzi. Drużyny Penn, Villanova oraz innych miejscowych szkół trenują daleko od filadelfijskiej Boathouse Row — rozpadającym się przystaniom w centrum nie nadają wcale tonu drużyny uniwersyteckie. Wioślarstwo na Schuylkill River jest rozrywką dla zwykłych ludzi pracy — takich jak murarz Kelly, który w drugiej dekadzie tego stulecia spieszył tu każdego wieczoru z placu budowy, żeby poćwiczyć, zanim na rzece zrobi się ciemno. Był wtedy kawalerem.

W tamtych czasach członkowie Vesper Club byli niekwestionowanymi królami Schuylkill. Drużyny, które wypływały z podobnej do kaplicy przystani klubu, dominowały w regatach organizowanych wzdłuż całego Wschodniego Wybrzeża — a najlepszym zawodnikiem Vesper był Jack Kelly. Wiosną i latem roku 1919 dwudziestodziewięcioletni wioślarz wygrał wszystkie wyścigi, w których uczestniczył — łącznie z mistrzostwami Stanów Zjednoczonych w jedynkach.

Następnym logicznym krokiem był udział amerykańskiego mistrza w zawodach o Diamentowe Wiosła, odbywających się corocznie w lipcu podczas największej imprezy wioślarskiej świata, Królewskich Regat w Henley nad Tamizą. Vesper Club finansował już wcześniej wyjazdy swoich ekip do Henley. Jednak na początku czerwca 1920 roku, kiedy treningi dobiegły końca, a łódź stała spakowana i gotowa do podróży przez Atlantyk, Jack Kelly otrzymał z Henley telegram. Organizatorzy odrzucili jego zgłoszenie.

Główne zastrzeżenia Henley dotyczyły sposobu, w jaki Vesper Club finansował poprzednie wyjazdy swoich reprezentantów. Amerykański klub przekazywał zebrane pieniądze prosto do rąk wioślarzy, a to w świetle skomplikowanych i znanych z formalizmu przepisów Królewskich Regat czyniło z nich profesjonalistów. Specjalne zarządzenie zakazywało zawodnikom z Vesper wszelkich dalszych występów.

Ale gospodarze regat mieli również dalsze zastrzeżenia, skierowane konkretnie do Jacka Kelly'ego i wynikające z wykonywanej przez niego pracy oraz ich klasowych poglądów na to, co stanowi warunek uczciwej sportowej walki. Pan Kelly — stwierdzili podczas zebrania w dniu 3 lipca 1920 roku — nie został zakwalifikowany na podstawie paragrafu 1e regulaminu ogólnego (praca fizyczna). Mówiąc po prostu, w regatach organizowanych dla angielskich dżentelmenów nie było miejsca dla filadelfijskiego murarza, który w trudzie i znoju zarabiał na życie pracą własnych rąk.

Przepis o pracy fizycznej nie był wcale tak bezduszny, jak mogło się wydawać. Pochodził z połowy poprzedniego stulecia, kiedy Tamiza była najbardziej ruchliwą arterią Londynu, opanowaną przez krzepkich zawodowych wodniaków, którzy organizowali własne wyścigi i z łatwością pokonywali startujących w Henley uczniów i studentów.

Zastosowanie tej zasady dwa lata po zakończeniu pierwszej wojny światowej stanowiło jednak jawną szykanę i Jack Kelly nie zwlekał długo, by pokazać gospodarzom Henley, co myśli o ich snobizmie. Rok 1920 był rokiem olimpijskim. Igrzyska miały się odbyć w Belgii. Obserwowany przez całą Filadelfię i wielu innych nie związanych normalnie z wioślarstwem Amerykanów, których oburzyła ta najnowsza utarczka między starym i

nowym światem, dwudziestodwuletni Jack Kelly trenował i ścigał się jak nigdy dotąd.

Ponownie spakował swoją łódź i tym razem odbył podróż przez Atlantyk — nad rzekę Scheldt, niedaleko Antwerpii, gdzie wygrał wszystkie eliminacje i zakwalifikował się do olimpijskiego finału. Srebrny medal miał już w kieszeni. Żeby zdobyć złoto, musiał pokonać Jacka Beresforda, słynnego angielskiego wiosłarza, który zaledwie kilka tygodni wcześniej zdobył Diamentowe Wiosła, wygrywając wyścig jedynek w Henley. We frapującym finale tej pasjonującej konfrontacji Jack Kelly minął linię mety jako niekwestionowany zwycięzca, zostawiając daleko w tyle bezradnie młócącego wodę mistrza z Henley. Nowy victor ludorum zapakował niezwłocznie swoją zieloną wytartą sportową czapkę i — jak lubiła powtarzać usłyszaną od ojca opowieść jego córka Grace — wysłał ją do rezydującego w pałacu Buckingham króla Jerzego V. Nie wiadomo, co Jego Królewska Mość zrobił z postrzępionym i przepoconym podarkiem, ale Jack Kelly nie miał wątpliwości, co chciał przez to powiedzieć.

Jesienią 1920 roku, kiedy wrócił do domu, na ulice Filadelfii wyległo ponad sto tysięcy mieszkańców. Był narodowym bożyszczem. Rozpowszechniana szeroko fotografia ukazywała zwycięskiego wiosłarza w towarzystwie boksera Jacka Dempse'a i wyścigowego konia Man o'War — obok siebie stała trójka światowych czempionów, trzy niedoścignione symbole fizycznej doskonałości. Jedna z gazet uznała Jacka Kelly'ego za najwspanialej zbudowanego amerykańskiego mężczyznę i przebąkiwano nawet, że przystojny młody kawaler wybiera się na zdjęcia próbne do Hollywood. Całe miasto piło za jego zdrowie. Elokwentny Kelly stał się mówcą, którego Filadelfia chciała gościć na każdej imprezie dobroczynnej i pikniku, a w ślad za sławą szły władza i pieniądze. Wygrał wybory do rady miejskiej i został przewodniczącym Partii Demokratycznej w Filadelfii. Popierając energicznie politykę Nowego Ładu, zaskarbił sobie wdzięczność prezydenta Roosevelta — a to znaczyło bardzo wiele w tych trudnych latach, kiedy rząd federalny był głównym zleceniodawcą i jedynym inwestorem prac budowlanych. Gmach Sądu Federalnego i federalny urząd pocztowy w Filadelfii, zgrabne urzędy pocztowe rosnące jak grzyby po deszczu na przedmieściach miasta — firma Kelly for Brickwork otrzymywała najlepsze rządowe kontrakty.

Nie słyszano jednak, by ktoś oskarżał nowego szefa partii o korupcję albo czerpanie ze swego stanowiska osobistych korzyści. Chociaż szerokie ramiona Jacka Kelly'ego okrywała teraz elegancko skrojona dwurzędowa marynarka, nigdy nie stracił charakterystycznej dla siebie bezpośredniości: mocnego uścisku dłoni, otwartego spojrzenia i prostego sposobu bycia. Gdy korzystał ze swoich wpływów, czynił to, by pomóc zasługującym na to młodym ludziom dostać się do college'u albo znaleźć tymczasową pracę mężom i ojcom rodzin, które popadły w tarapaty. Zlecenia od Kościoła Katolickiego firma Kelly for Brickwork realizowała po kosztach własnych albo jeszcze taniej — podobnie zresztą jak zlecenia od synagog, kaplic czy prace na rzecz każdej dobrej sprawy, która spodobała się szczodremu szefowi. Przyjaciele Kelly'ego opowiadali, że co wieczór klękał przy łóżku, żeby odmówić pacierz, a także o „Marzeniach” — wierszu, który oprawił w ramki w swoim gabinecie.

Cuda niewielu się zdarzają,

Jednemu czy dwóm marzenia się spełniają...

Marzyciel musi walczyć, choć szansę wielkie ma,

Ponosi klęski, pracuje i czeka...

Nie traci wiary, choć sam jest,

Aż pokaże, że to nie był gest.

Autorem „Marzeń” był Edgar Guest, w latach trzydziestych i czterdziestych bard amerykańskiej klasy średniej. Publikowane w gazetach całego kraju melodyjne rymy Guesta sławiły moralność, którą przedstawiał na swoich ilustracjach Norman Rockwell i popularyzowali w piosence Rodgers i Hammerstein — jeśli zdobędziesz każdy szczyt, z pewnością spełni się twój sen.

Długie samotne godziny ciężkiej pracy i treningów, które przyniosły sukces Jackowi Kelly'emu, stały się źródłem jego życiowej dewizy, której żadne z jego dzieci nie wzięło sobie do serca głębiej niż średnia córka Grace. Legenda o murarzu, który wygrał ze zwycięzcą Królewskich Regat, prostym człowieku, który startował w wyborach na burmistrza — oto były mity kształtujące sposób myślenia i ambicje małej dziewczynki, a jej sława miała któregoś dnia znacznie przyćmić nieco prowincjonalną popularność ojca. Obie siostry i brat radzili sobie lepiej od niej w sporcie, ale Grace przyswoiła sobie najważniejszą część lekcji. Niczym wyczynowa wioślarka umiała nie pokazywać po sobie bólu i płynąć dalej. W pewnym sensie całe życie Grace Kelly było wyścigiem, do którego przygotował ją i wyszkolił ojciec.

Jack Kelly nie był łagodnym ani pobłażliwym trenerem — wioślarscy instruktorzy nigdy nimi nie są — i zdarzały się momenty, kiedy Grace gorzko przeklinała presję, jaką wywierał na nią ten inspirujący, porywający i do niemożliwości wymagający człowiek. Nie jest łatwo być dzieckiem bohatera, zwłaszcza kiedy się go podziwia i pozostaje pod jego urokiem: Najprostszą drogą ucieczki z cienia wielkości jest obojętność albo bunt i w ten właśnie sposób postępują na ogół dzieci wielkich ludzi.

Grace dokonała jednak innego wyboru: próbowała zadowolić ojca i zdobyć jego aprobatę — próbowała sprostać legendzie w swoim własnym stylu — i wiele lat po śmierci Jacka miała w nieco dziwny sposób potwierdzić jego rolę. Kiedy w początkach budowlanego boomu w Monako poproszono ją o ochrzczenie nowo wzniesionych z żelazo-betonu wieżowców mieszkalnych, wybrała nazwę „Le Schuykill”, której ortografia i wymowa po dziś dzień przysparza kłopotów mieszkańcom księstwa. A potem, krótko przed śmiercią, kiedy w wieku pięćdziesięciu dwóch lat cieszyła się niekłamana admiracją prawie całego świata i zapytano ją, czy nie nosi się z zamiarem napisania pamiętników, udzieliła odpowiedzi odmownej.

Po krótkiej chwili laureatka Oscara i księżna dodała, że myśli jednak o napisaniu swego rodzaju podwójnej biografii — historii życia jej ojca, z własnym życiorysem dodanym w charakterze post scriptum.

Henry Avenue 3901.

Grace Kelly wychowała się na wzgórzu, z którego rozciągał się widok na nobliwą, choć lekko podupadającą dzielnicę East Falls, nieco ponad trzy kilometry na północ od Boathouse Row. Dawne fabryczne miasteczko, East Falls, składało się głównie z

poszarzałych szeregowych domów, które przycupnęły w dolinie nawiedzanej stale przez nadciągające z nad Schuylkill River mgły. Jedynym urozmaiceniem dla oka były zatrudniające niegdyś mieszkańców opustoszałe tkalnie oraz wysoka wieża rzymskokatolickiego kościoła Świętej Bridget.

Tu właśnie, w tej skromnej i nieco przygnębiającej miejscowości Jack Kelly spędził młodość i zdobył pierwszą sławę. Jednak zimą 1929 roku, gdy urodziła się Grace, czasy jego fizycznej pracy należały od dawna do przeszłości. Zdążył już zostać mistrzem olimpijskim. Założył własną firmę i miarą jego sukcesu był dom, który zbudował dla siebie i swojej rodziny na szczycie górującego nad East Falls wzgórza, przy Henry Avenue pod numerem 3901.

Henry Avenue była ulicą prominentów. W jednej ze stojących przy tej ulicy posiadłości mieszkali niegdyś Dobsonowie, angielska rodzina właścicieli tkalni, które w połowie dziewiętnastego wieku przyciągnęły do East Falls Kellych oraz tysiące innych biednych irlandzkich imigrantów. W roku 1929 fabryki włókiennicze pozostawały jednak od dawna zamknięte, Dobsonowie odeszli i teraz przy Henry Avenue zamieszkał murarz — potomek jednej z przybyłych z Zielonej Wyspy rodzin. Liczący siedemnaście pokoi dwupiętrowy budynek z masywnymi kominami i oknami, które przedzielały kamienne kolumny, wyglądał jak prawdziwy pałac w porównaniu z drewnianymi, krytymi papą nadbrzeżnymi willami. Podjazd w kształcie litery U prowadził do utrzymanych w kolonialnym stylu frontowych drzwi stojącego na obszernej posesji, otoczonego drzewami domu. Był tu poza tym kort tenisowy, kucharz, sekretarz, cały zespół pokojówek i pełniący także obowiązki szofera czarny ogrodnik, który dbał o rabatki z kwiatami. W latach trzydziestych większość mieszkańców East Falls ledwo wiązała koniec z końcem. Grace przyszła na świat trzy tygodnie po wielkim krachu na Wall Street i dorastała w najmroczniejszych latach Wielkiego Kryzysu. Ale wydarzenia te w bardzo nikłym stopniu odbiły się na jej życiu. Jej ojciec nigdy nie wierzył w giełdę. Unikał zaciągania długów, a zaoszczędzone pieniądze lokował w obligacjach rządowych. Związany silnie z polityką Nowego Ładu Jack Kelly niczym król żeglował przez czasy kryzysu.

Życie w posesji pod numerem 3901 toczyło się więc wygodnie i prawie jak we śnie, stanowiło właściwie nieprzerwany ciąg działań i zabawy. Piwnica, łącznie z obitym boazerią barem, urządzona była w stylu bawarskiej piwiarni. Na Boże Narodzenie miniaturowy pociąg przemierzał makietę krajobrazu ze wzgórzami, drzewami i wodospadami. W zimie wylany wodą kort tenisowy zamieniał się w ślizgawkę i hokejowe boisko. W lecie ciężarówka z Kelly for Brickwork dostarczała wielki metalowy zbiornik do mieszania cementu, który służył jako basen pływacki. W latach czterdziestych w domu pod numerem 3901 pojawił się pierwszy w całym East Falls domowy odbiornik telewizyjny i sąsiedzi do dziś pamiętają, jak zachodzili do Kellych, by podziwiać migający na dziewięciocalowym ekranie obraz próbny.

Rodzina Kellych należała do wzorowych; przyjemnie było spojrzeć, kiedy w niedzielny rano szofer-ogrodnik Fordie wioził jej członków do parafii Świętej Bridget. Wchodzili z szykiem, elegancko ubrani i wyprostowani, zmierzając gęsiego do swojej ławki, a po zakończonej mszy ksiądz nigdy nie omieszkał złożyć im szczególnych wyrazów



uszanowania. W późniejszych latach gazety często zwracały uwagę na podrzędny charakter East Falls, ubogiego przedmieścia, które wydało własną księżnę. Ale East Falls było tylko dalekim tłem dzieciństwa Grace, a rola, jaką odgrywała na pierwszym planie, była zdecydowanie rolą młodej dziedziczki.

Grace przyszła na świat jako trzecia z czworga młodych Kellych. Po Peggy, urodzonej we wrześniu 1925 roku, i Jacku Juniorze („Kellu”), urodzonym w maju 1927.

Najmłodszym dzieckiem w rodzinie pozostała

do lipca 1933, kiedy to pojawiła się ostatnia latorośl rodu, siostra Lizanne, i w ciągu tych czterech lat świetnie się czuła w roli beniaminka. Nigdy nie pogodziła się do końca z rolą średniej córki.

Starsza siostra była ulubienicą ojca — wspominała później — a Kell był jedynym synem. Potem szłam ja, ale wkrótce urodziła się moja młodsza siostra... Byłam o nią strasznie zazdrosna.

Brat Grace, Kell, na szczęście miał silną i atletyczną budowę — na szczęście, ponieważ to właśnie jemu jako jedynemu chłopcu w rodzinie przypadło w udziale doniosłe zadanie. Pokonanie mistrza Henley i zdobycie w roku 1920 olimpijskiego złota nie zaspokoilo ambicji Jacka Kelly'ego. W głębi duszy uważał, że jego rachunki z Anglikami zostaną wyrównane dopiero, gdy ujrzy nazwisko Kellych wyrzyte na Diamentowych Wiosłach, i spełnienie tej misji bez wahania złożył na barki swego jedynego syna.

Kiedy tylko Kell znalazł się w odpowiednim wieku, ojciec zabrał go nad Schuylkill.

Dzieciak zaczął jako sternik, potem pływał z ojcem na dwójce, w końcu przesiadł się do jedynki. Całe ranki i wieczory spędzał na wodzie, kursując między przęsłami wzniesionych z szarego kamienia kolejowych mostów. Kell lubił grać w szkole w futbol amerykański, ale ojciec ostrzegł go, że odniesiona tam kontuzja mogłaby niekorzystnie odbić się na jego wiosłarskich treningach. Na początku okresu dojrzewania przytył i trochę się rozleniwił, ale dwa rześkie spędzone w szkole wojskowej lata pomogły mu wrócić do formy — i kiedy pogoda robiła się zbyt brzydka, żeby ćwiczyć na rzece, można go było zawsze znaleźć w przypominającej siłownię sypialni na drugim piętrze rodzinnego domu. Pośrodku pokoju zamontowano maszynę do wiosłowania.

Nawet w epoce, gdy nie przywiązywano większej wagi do psychologii, obsesja, z jaką Jack Kelly naginał życie syna do swych własnych ambicji, wydawała się niektórym niezbyt zdrowa. Krewni i bliżsi przyjaciele rodziny sarkali po kątach, obawiając się, co z tego wyniknie. Ale Jack Kelly nie należał do ludzi, którzy dają się zawrócić z raz obranej drogi, Kell zaś był sympatycznym i posłusznym chłopcem, uosobieniem poczciwca. Fizycznie stworzony do wioseł, wydawał się całkiem szczęśliwy, mogąc realizować marzenie swego ojca.

— Kell leżał zawsze na kanapie, wykonując ćwiczenia wzmacniające nadgarstki — wspominał Charlie Fish, przyjaciel rodziny, który dorastał w pobliskim German town. Kanciasty i krótko ostrzyżony Kell dojrzewał, mając świadomość szczególnych nadziei i marzeń, jakie pokładał w nim ojciec i cała rodzina. Jako chłopiec nie odznaczał się jednak zbyt dużą błyskotliwością. To Peggy, najstarsza córka, odziedziczyła bystry umysł ojca. To ona była Lucille Bali\* całego klanu. Wysoka, szczupła, z nogami jak u pasikonika, Peggy Kelly odznaczała się wesołym, otwartym usposobieniem i miała

zawsze odpowiedź na końcu języka. Nazywali ją Baba. Cechujące ją połączenie urody, sportowej krzepy i wigoru ojciec uważał za prawie doskonałe.

— Słońce, księżyc i gwiazdy, wszystkie weszły jednocześnie i Baba jaśniała w ich blasku — wspomina Alice Godfrey, która mieszkała za rogiem i była koleżanką Grace. Peggy miała zaledwie sześć miesięcy, kiedy ojciec przestąpił z nią dumnie próg domu pod numerem 3901 przy Henry Avenue — wnosząc pierwsze splodzone przez siebie dziecko do siedziby, którą dla niego wybudował. To często przywoływane radosne wspomnienie tworzyło podstawę szczególnie bliskich stosunków, jakie łączyły ojca z najstarszą córką.

Lizanne, rodzinny beniaminek, była twarda i kwadratowa — w wieku kilkunastu miesięcy miała bardziej grubokościstą budowę niż którakolwiek ze starszych sióstr. Intensywnie kluczyła, starając się odnaleźć własne miejsce i nie zwracając uwagi na zabiegi Grace, która próbowała ją sobie podporządkować. Kiedy była najmłodsza z rodzeństwa, Grace z radością odgrywała wobec Baby rolę posłusznej siostry, biegając na posyłki i wykonując jej polecenia podczas zabawy. Lizanne nie przyjmowała jednak rozkazów od nikogo.

— Dlaczego nie jesteś dla mnie tak samo miła — skarżyła się Grace — jak ja byłam dla Peggy?

Jak na Kellych Grace była wątłego zdrowia. Wydawała się najmniej energiczna z całej czwórki — spokojniejsza, zamyślona, istny podrzutek. To Grace łapała zawsze wszystkie przeziębienia i alergie, to ona przewracała się na podwórku. Kiedy Kelly'owie zasiadali do pieczonego, sos z mięsa nie był przeznaczony wcale dla wioślarza Kella ani dla najmłodszej Lizanne. Esencja należała się Grace z podrapanymi kolanami.

— Grace zawsze pociągała nosem — wspomina Gloria Otley, której ojciec, Jess, był kosturysantem Jacka Kelly'ego i głównym wspólnikiem Kelly for Brickwork. — „Wysmarkaj się, Gracie”, powtarzaliśmy bez przerwy, „przestań pociągać nosem, Gracie”, „masz chusteczkę, Gracie”.

Smarkuła spędzała długie godziny z dala od innych dzieci, bawiąc się lalkami.

— Nigdy nie doskwierała jej zbyt samotność — twierdzi Maree Frisby, koleżanka z dzieciństwa, która przyjaźniła się z Grace przez całe życie. Grace wciągały bez reszty małe dramaty, w których występowały jej lalki. Wymyśliła dla nich własny język, tworząc prywatny fikcyjny świat, gdzie obowiązywała ścisła etykieta i gdzie mogła przebywać razem ze swymi drewnianymi i gipsowymi przyjaciółkami. Do rodzinnej legendy przeszła opowieść o tym, jak rozzłoszczona Lizanne zamknęła starszą siostrę w szafie. Uwieczoną Grace odkryto dopiero po paru godzinach — szczęśliwą i całkowicie spokojną, pogrążoną w zabawie lalkami i gwarzącą z nimi w prywatnym czułym żargonie, który zarezerwowała dla swej małej rodziny.

W dorosłym życiu Grace Kelly okazała się kimś w rodzaju kameleona. Grace rozsądna, Grace uczuciowa, Grace frywolna — dysponowała całą gamą osobowości i przybierała każdą z nich z wyjątkową energią i przekonaniem. Nie chodziło o powierzchowną pozę. Głęboko wierzyła w każdą rolę, w której sama się obsadzała, i umiała z takim mistrzostwem izolować i oddzielać od siebie swe różne jaźnie, że ludzie gotowi byli często przysiąc, że mają przed sobą zupełnie inną osobę. Natura poskapiła Grace Kelly wrodzonej znajomości trików i technik aktorskich — zawsze musiała ciężko pracować,

wykonując filmowe rzemiosło — ale dała jej przekonanie, absolutną wiarę w odgrywaną w danym momencie rolę.

— Zawsze lubiłam udawać — zwierzyła się w roku 1954 hollywoodzkiemu felietoniście, Sidneyowi Skolsky'emu.

Dziecinny świat fantazji Grace rzuca światło na jeszcze jedną cechę jej charakteru. Szperając po wielu latach w szafach siostry w pałacu w Monako, Lizanne odkryła półkę wypełnioną jej lalkami z dzieciństwa. Zdziwiona z początku czułościowością, która kazała siostrze zachować całą rodzinę nieożywionych przyjaciół i przewieźć ją na południe Francji, Lizanne uświadomiła sobie po chwili, jak bardzo czyste i nie zniszczone są wszystkie lalki. Kiedy tylko mogła, Grace wołała na °gół bawić się cudzymi zabawkami, swoje zostawiając na lepsze czasy. Nie była więc taka bezradna, na jaką wyglądała. Grace usuwała się zawsze trochę na bok. Wspominając jej wczesne lata, przyjaciele z dzieciństwa zwracają niemal z zazdrością uwagę na bogactwo i emocje, w jakie obfitowało życie pod numerem 3901 przy Henry Avenue — domy dla lalek, bożonarodzeniowe choinki, tryskający energią wbiegający i wybiegający ludzie. Sama Grace nigdy jednak nie czuła się do końca częścią tego wszystkiego.

— W młodości byłam strasznie wstydliva — stwierdziła w pewnym wywiadzie w roku 1974. — Byłam tak bardzo nieśmiała, że miałam ochotę wcisnąć się między listwy boazerii.

— Zawsze ze sobą konkurowaliśmy — dodała dwa lata później, rozwijając ten temat. — Konkurowaliśmy o wszystko... konkurowaliśmy o miłość.

W rodzinie śmiazków i zawadiaków Grace czuła się niczym prawdziwy outsider, zagubiona w zgiełku, trzecia z czwórki rodzeństwa.

— Byłam typową przylepą, siedziałam zawsze na matczynym kolanie — wspominała. — Ale mnie odpychano.

Matka Grace podobnie zdecydowanie jak jej mąż wyznawała etykę ciężkiej pracy i rozpychania się łokciami. Margaret Majer pochodziła z surowego i zapobiegliwego rodu niemieckich protestantów — jej rodzina posiadała wytwórnię pierzyn w Badenii-Wirtembergii — i aż do szóstego lub siódmego roku życia Margaret mówiła wyłącznie po niemiecku. Po raz pierwszy spotkała Jacka Kelly'ego na pływalni w roku 1913 i jedną z głównych przyczyn, dla której para przez prawie jedenaście lat odkładała małżeństwo, był upór, z jakim Margaret dążyła do realizacji postawionych sobie wcześniej w życiu celów. Jack Kelly opuścił szkołę już w ósmej klasie, ale Margaret Majer ukończyła Tempie University z dyplomem wychowania fizycznego, a potem pracowała jako nauczycielka tego przedmiotu w Women's Medical College of Pennsylvania, pionierskiej instytucji, która przez wiele lat była jedyną żeńską szkołą medyczną w całych Stanach Zjednoczonych. Margaret znalazła również czas, żeby trenować żeńską drużynę pływacką University of Pennsylvania, będąc pierwszą kobietą, jakiej powierzono to stanowisko.

Margaret Majer, atrakcyjna blondynka z wyraźnie zarysowanymi kośćmi policzkowymi i mocną linią szczęki, była efektowną kobietą, nigdy jednak nie pracowała jako zawodowa

modelka. To zajęcie nie byłoby jej godne. Pozowała tylko w roku 1920 do okładki czasopisma *The Country Gentleman*: uosobienie wyrafinowanego i zdrowego piękna z wyraźnym nordycką domieszką. Biorąc w 1924 roku ślub z Jackiem Kellyni przeszła na katolicyzm, mimo to pozostało w niej niewątpliwie coś teutońskiego.

— Nie powiedziałbym, że mama jest nazistką — zauważył w późniejszych latach Kell. — Ale czasami myślałem o niej, cytuję: „ta moja stara pruska matka”.

„Ma” Kelly miała duże, praktyczne ręce Hausfrau. Nigdy nie używała kolorowych lakierów do paznokci i swoje trzy jasnowłose ładne córki nauczyła malować się w podobnie skromnym stylu. Włosy przycinała im w prosty i niewyszukany sposób tuż nad brwiami i aktywnie zwalczała upodobanie do pięknych strojów. Oszczędna aż do przesady, wykorzystywała powtórnie sukienki starszych dziewczynek, toteż Grace częściej chodziła w starych niż nowych. Jeśli dzieci zapomniały powiesić ubrania w szafie, matka potraçała za karę pięć z ich wynoszącej dwadzieścia pięć centów tygodniówki i nie cofała się przed utrzymaniem dyscypliny za pomocą szczotki do włosów albo otwartej dłoni.

Ma Kelly była trzymającym stale rękę na pulsie inżynierem, dzięki któremu gospodarstwo Kellych mogło sprawnie funkcjonować. Oszczędna i wytrwała, budziła we wszystkich swych dzieciach głęboki i trwający przez całe życie respekt — podzielany z odpowiedniej odległości przez ich przyjaciół.

— Nazywaliśmy ją Szefową — wspomina przyjaciel Grace, Charlie Fish. — Znakomicie prowadziła dom.

Szczególną pasją Ma Kelly było zbieranie funduszy na jej ukochaną *Women's Medical College of Pennsylvania*. Organizując w tym celu pokazy mody i inne imprezy, zaprzęgała do pracy swoje dzieci w tak samo bezwzględny sposób, w jaki jej mąż gonił do wiosen jedyne go syna. Któregoś razu kazała im zorganizować cyrk w ogrodzie za domem. Ośmioletni Kell występował w roli atlety, dziesięcioletnia wówczas Peggy była reżyserem, a ubrana w baletowy kostium pięcioletnia Grace chodziła po linie. Dzieci sprzedawały bilety zamożnym sąsiadom z *Henry Avenue*.

— Wszystko w naszym życiu podporządkowane było szkole medycznej — wspomina Peggy. — Kradłyśmy kwiaty. Mówiłam młodszej siostrze, żeby przeszła się do sąsiadek i ukradła im kwiaty z ogródka... Wysyłałam ją tam, a ona zrywała fiołki i sprzedawała je z powrotem tym uroczym paniom.

Ma Kelly patrzyła na świat w podobnie wąski i postulatywny sposób co jej mąż. Sprawa Kellych była dobrą sprawą i aby ją zrealizować, wolno było zawiesić na kołku normalne reguły postępowania. Grace nigdy nie przestała podziwiać swego pełnego charyzmy ojca, ale wpływ, jaki wywarła na nią matka, był pod wieloma względami równie głęboki. Rzuciły się w oczy cechy fizyczne — teutońskie blond włosy i rysy, które złożyły się na olśniewającą urodę dorosłej Grace, a także nieco za duże i czasami niezgrabne dłonie Majerów. Jeszcze ważniejsza była siła woli i dążenie do wyznaczonego celu, obsesja pracowitości, które Ma Kelly zaszczepiła swoim córkom.

— Nie wolno nam było nigdy siedzieć z pustymi rękoma — zwierzyła się wiele lat później Peggy pisarce Gwen Robyns. — Wiedziałyśmy po prostu, że mamy szydełkować. Musiałyśmy robić na drutach i szydełkować od chwili, kiedy ukończyłyśmy trzeci albo

czwarty rok życia. Musiałyśmy, bo byłyśmy niemieckimi dziewczynkami... Kochanie, po prostu musiałyśmy. Tego się po nas spodziewano i robiłyśmy to.

Sama Peggy była zdania, że udało jej się w dużym stopniu wyzwolić spod niemieckich wpływów. Bez troski i swobodna, pierworodna córka Kellych uważała się za niepoprawną Irlandkę.

„Jestem córką mojego ojca” — powtarzała z dumą. Według Peggy, to właśnie średnia siostra Grace okazała się niemiecką córką. Grace była grzeczną dziewczynką, która wiedziała, czego się po niej spodziewają, i spełniała te oczekiwania.

Matka Grace potrzebowała całej siły woli, aby zrealizować swój cel i wyjść za przystojnego i romantycznego Jacka Kelly'ego. A potem prowadziła gospodarstwo i poświęcała tak wiele uwagi zachowaniu dyscypliny przy Henry Avenue, ponieważ jej męża nie było przeważnie w domu — najczęstszą i bolesną przyczyną jego nieobecności były romanse z innymi kobietami.

Przystojny Jack korzystał w pełni ze swojej reputacji najwspanialej zbudowanego amerykańskiego mężczyzny. W biurze firmy była telefonistka i sekretarka. Po południu jego samochód widywano często przed domem Ellen Frazer, rozwódki, która mieszkała w Chestnut Hill i chodziła z nim na mecze baseballowe. W lutym Jack Kelly wypuszczał się rokrocznie na Florydę bez żony i dzieci — w grudniu zaś któregoś roku personel sklepu Elizabeth Arden w śródmieściu Filadelfii miał okazję zorientować się, jak rozległe są utrzymywane przez niego kontakty towarzyskie. Jack Kelly zamówił dwadzieścia siedem identycznych kompletów do makijażu, dodając, że każdy z nich ma zostać oddzielnie zapakowany i wysłany innej damie.

Tak wyglądało drugie oblicze bohaterskiego Jacka. Sława uderzyła mu do głowy.

Kultywował swój wizerunek wzorowego ojca wzorowej rodziny, ale jego małżeńskie zdrady każą podejrzewać, że czynił to bardziej na użytek swój niż rodziny.

Stuprocentowym sportsmenom zdarza się często, że uciekają w pewnym sensie przed dorosłością, chroniąc się w świecie, w którym zabawa stanowi wartość absolutną, i jeśli chodzi o kobiety, system wartości Jacka Kelly'ego nie różnił się od tego, który wyznaje rozbawione dziecko — zapatrzone w siebie i nie zwracające wcale uwagi na tych, których może skrzywdzić. Dla pani Frazer opuściłby żonę i rodzinę, głosiła krążąca po Germantown plotka, gdyby nie to, że dama ta była zbyt sprytna i zdawała sobie sprawę, w jaki sposób postępować z mężczyzną pokroju Jacka, aby uniknąć całkowitego podporządkowania się jego woli.

— Nie sądzę, żeby w całej rodzinie Kellych istniało choć jedno dobre małżeństwo — skomentował Charles Kelly, siostrzeniec Jacka. — Kelly 'owie mają tendencję do dominowania.

Jack Kelly potrafił niszczyć konkurentów w wyścigu wioślarskim i potrafił niszczyć ludzi w realnym życiu, nie zwracając uwagi na ich uczucia. Kell, który sam został w późniejszych latach ojcem, zwierzył mu się kiedyś, że żałuje, iż jego pierwsze dziecko nie jest chłopcem, lecz dziewczynką.

— Nie przejmuj się, synu. Największą radością mojego życia była zawsze Peggy — odparł Jack Kelly, zwracając się do młodego człowieka, który całe swoje dzieciństwo złożył na ołtarzu Diamentowych Wioseł.

Wszyscy zgadzają się, iż Ma Kelly z prawdziwą godnością zmagala się ze swym inspirującym, irytującym i dziecinnym mężem. Jego zdrady mogły nawet pasować do jej niemieckiego i trochę męskiego stylu bycia. Podobnie jak pani Frazer wydzieliła sobie własne terytorium i strzegła go, starając się zachować pieczę nad swoim życiem. — Bardzo trudno jest być żoną Kelly'ego — przyznawała. Margaret Majer nie wyszła za mąż z miłości. Zawsze starała się realizować swoje własne, związane na ogół z ruchem kobiet cele, które nabrały dla niej jeszcze większego znaczenia, kiedy pogodziła się z wybrykami męża. Spędzany przez Jacka na Florydzie luty był dla Ma Kelly okresem realizowanego z ponurą determinacją zakupowego szaleństwa, z większym niż zwykle zapalem zbierała także wówczas fundusze dla swojej ukochanej szkoły medycznej. Przynajmniej przede wszystkim zaś starała się ukryć małżeńskie problemy przed dziećmi. Przez dłuższy czas jej się to udawało. Klan Kellych prezentował się jak monolit. Peggy, Kell, Grace i Lizanne dowiedzieli się czarno na białym o romansach swego ojca — i o cierpieniach matki — dopiero kiedy wszyscy dorośli. Poznali jednak od najmłodszych lat manewry, jakie stosuje rodzina, żeby obejść problem, którego istnienia nie chce uznać. Zachowaj pozory. Imponuj ludziom. Nie mów o tym, co cię naprawdę niepokoi, i — ten nakaz Kelly'owie wypełniali ze szczególną skwapliwością — nigdy nie wypadaj z gry.

Sport może stanowić świetne przygotowanie do gry, jaką jest życie. I Jack, i Margaret Kelly gorąco w to wierzyli. Była to jedyna kwestia, w której się szczęśliwie zgadzali, toteż soboty lub niedziele cała rodzina — rodzice i dzieci — spędzała na ogół wspólnie, trenując przez długie godziny na sali gimnastycznej i pływalni Penn Athletic Club przy Rittenhouse Square. Dzięki tym treningom Peggy i Lizanne, najstarsza i najmłodsza córka Kellych, stały się wkrótce wybitnymi pływaczkami.

Ale sport staje się chorobą, kiedy zamienia się w obsesję, i trudno znaleźć inne słowo na określenie sposobu, w jaki trójka młodych Kellych poświęciła swoje dzieciństwo pogoni za sportową perfekcją — zapatrzony w widmo swego ojca, wiosłujący po rzece Kell i próbujące na pływalni wzorem matki zwrócić na siebie jego uwagę Peggy i Lizanne. Wyjątkiem było dziecko numer trzy, to wrażliwe. Grace dobrze radziła sobie na sali gimnastycznej. Tak samo zwinna jak Peggy czy Lizanne, z łatwością zakwalifikowała się w nieco starszym wieku do szkolnej drużyny hokeja na trawie. Ale skłonna do zadumy dziewczynka, która obsadzała lalki w wymyślanych przez siebie dramatach, szukała czegoś więcej niż fizyczny wysiłek i współzawodnictwo — i znalazła to w osobie starszego krewnego, prezentującego zupełnie inny wzorzec osobowości aniżeli którekolwiek z jej charyzmatycznych rodziców.

Stryj Grace, George Kelly, mieszkał zaraz za rogiem Henry Avenue w eleganckim, urządzonym w stylu preferowanym przez bohemę apartamencie przy Alden Park. Kolekcja sportowych trofeów nadawała wnętrzu domu pod numerem 3901 dość spartański charakter. W kawalerskim mieszkaniu stryjka George'a panowała zupełnie inna, swo-  
bodna atmosfera, stryj był bowiem artystyczną duszą — przekwalifikowanym z aktora dramaturgiem, który zdobył kiedyś sławę na Broad-Wayu. W gruncie rzeczy poza

Filadelfią George Kelly był w wielu kręgach lepiej znany od swojego młodszego brata Jacka. W roku 1926 zdobył nagrodę Pulitzera za sztukę „Żona Craiga” (Craigs Wife) — dość ponury moralitet o kobiecie, która wychodzi za mąż, żeby awansować społecznie — a cztery inne jego sztuki przerobiono na filmy, w których występowały takie gwiazdy jak Will Rogers, Spencer Tracy i Joan Crawford. Jego satyryczna komedia „Koryfeusze” (The Torch-Bearers) odkurzana jest i grana do dzisiaj, stanowiąc klasyczne ujęcie tematu zakulisowych przygód, które mogą się przydarzyć amatorskiej tropie teatralnej. Murarskie początki i uprawiana przez Jacka Kelly'ego energiczna autoreklama utrwaliły wrażenie, że aktorski talent Grace wyrósł, jakby trochę na przekór, z irlandzkich robotniczych korzeni. Istnieje jednak inna irlandzka tradycja — tradycja ballad, humoru i lekkiej rozrywki — i w historii i legendzie Kellych z East Falls wydaje się ona tak samo silna jak murarstwo. Oprócz dramaturga, stryjka George'a, był jeszcze popularny komik wodewilowy, stryjek Walter, oraz aktorka komiczna i parodystka, ciotka Grace, na pamiątkę której nazwano trzecią córkę Kellych.

Największe sukcesy sceniczne stryjek Walter odniósł jako Sędzia z Wirginii. W workowatym białym garniturze i w panamie na głowie grał sędziego z Południa, rozpatrującego sprawy przeciwko całej procesji przeniesionych żywcem z Amosa'n'Andy'ego postaci, które dostarczały pretekstu do najbardziej niewybrednych rasistowskich żartów.

Ciotka Grace była bardziej powściągliwa. Jej popisowym numerem była parodia Harry'ego Laudera\*, którą wykonywała w stroju w szkocką kratę, recytując swą kwestię z nieskazitelnym szkockim akcentem.

Mała Grace nigdy nie poznała swojej wesołej i ekstrawertycznej imienniczki — ciotka Grace zmarła przed jej urodzeniem — ale podobnie jak wszystkie inne dorastające w utalentowanej rodzinie Kellych dzieci miała przed oczyma wyraźny przykład, jak można, mówiąc łowami Stevena Englunda, „zrobić karierę nie na ceglach i murarskiej zaprawie, ale na zabawie w udawanie”.

Gruby, jowialny i pachnący cygarami stryjek Walter wprawiał w zachwyt dzieci podczas rodzinnych imprez. Kiedy zbliżały się urodziny, zawsze można było z jego strony liczyć na okazałe i frywolne prezenty — przypominał także stale, w jaki sposób zabawa w udawanie ułatwia zrobienie kariery opartej na ceglach i zaprawie — ponieważ to właśnie dzięki pięciu tysiącom pożyczonym od Waltera oraz kolejnym dwóm tysiącom od dramaturga George'a mogła w roku 1919 powstać firma ich młodszego brata — Kelly for Brickwork.

Stryjek George z wielką przyjemnością korygował osnutą wokół postaci Jacka opartą na schemacie „od pucybuta do milionera” wersję historii Kellych, którą rozpowszechniał jego młodsi bracia. Prawdą było, że rodzina Kellych, podobnie jak tysiące irlandzkich Amerykanów, wyjechała z Irlandii podczas głodu ziemniaczanego w latach czterdziestych dziewiętnastego stulecia. Ale kiedy dziadkowie Grace, John i Mary, osiedli pół wieku później w East Falls, rodzina z pewnością nie była pozbawiona zasobów. Stary John, pater familias, osiągał całkiem przyzwoite dochody ze swojej firmy ubezpieczeniowej i potrafił zapewnić dostatnie i solidne utrzymanie Walterowi, George'owi, Jackowi, ciotce Grace i pozostałym synom i córkom. Kiedy Jack skończył szkołę, jego dwaj starsi bracia,

Patrick H. i Charles byli już właścicielami dobrze prosperującej firmy budowlanej i to właśnie Patrick H. dał Jackowi jego pierwszą pracę.

Chociaż więc formalnie rzecz biorąc, prawdą jest, że Jack zaczął zawodową karierę jako murarz, był on w gruncie rzeczy kimś w rodzaju uprzywilejowanego czeladnika, zatrudnionego w przedsiębiorstwie budowlanym swoich braci — a otworzyć własny interes mógł wyłącznie dzięki gotówce, którą wyłożyli dwaj inni bracia pracujący w show--biznesie. Strzyjek George lubił zaznaczać, że stwardniała skóra na rękach Jacka nie jest bynajmniej rezultatem pracy fizycznej, ale jego własnej decyzji, żeby spędzać każdą wolną chwilę „wiosłując po Schuylkill”.

Ci niepodobni do siebie synowie Johna Kelly'ego byli niezrównanymi mitomanami: potentat budowlany Jack, wspominający spędzoną z kielnią w dłoni młodość, i dramaturg George, rozprawiający ze swadą o wygodach, luksusie i odebranych przezeń „prywatnym wykształceniu” — w których to przechwałkach prawda i fantazja przemieszane były w sposób dziwnie przypominający twierdzenia Jacka, że zaczynał jako murarz. George chodził do miejscowej publicznej szkoły, ale można śmiało powiedzieć, że jako dramaturg kształcił się sam.

porosła Grace Kelly mogła później wybierać, co tylko chciała, ze stworzonych przez stryja i ojca przeciwstawnych sobie mitów, kształtując dla siebie tożsamość, w której znalazło się miejsce zarówno dla prostej dziewczyny z East Falls, jak i dla jaśnie oświeconej filadelfijskiej księżniczki. Podstawową jednak rzeczą, której nauczyła się od dwóch dominujących w jej dzieciństwie mężczyzn, było przekonanie, iż należy samemu pisać scenariusz własnego życia. Jack i George stanowili żywy przykład, iż jeśli ktoś wierzy wystarczająco mocno w swój własny mit, inni uwierzą weń także.

Styl Grace Kelly w późniejszych latach charakteryzował się wyraźną powściągliwością i była to kolejna rzecz, której nauczyła się od stryjka George'a. Wybredny i publicznie wyniosły George Kelly pozostał stuprocentowym snobem. W kwestiach politycznych podzielał poglądy konserwatywnego skrzydła republikanów i nienawidził populistycznego stylu Francisca Delano Roosevelta tak samo mocno, jak Jack Kelly podziwiał swojego prezydenta. Dwaj bracia żywili w tej kwestii tak zdecydowanie odmienne poglądy, że po pewnym czasie przestali rozmawiać o polityce, w dalszym ciągu jednak kłócili się na każdy inny temat.

— Był jednym z niewielu ludzi — wspominała stryjka George'a Grace — który kiedykolwiek sprzeciwił się mojemu ojcu.

Kult Jacka Kelly'ego był zasadą organizującą życie przy Henry Avenue numer 3901 i Grace należała do jego gorliwych wyznawczyń. Znalazła jednak bezpieczny substytut buntu w fascynacji, jaką budziła w niej oferowana przez stryjka George'a alternatywa. Przystojny i tak samo wysoki jak jego brat Jack, był jednak szczuplejszy i bardziej wyrafinowany — subtelny mężczyzna z klasą. Na fotografii George'a Kelly'ego z roku 1924, kiedy na Broadwayu odnosiła sukcesy jego kolejna sztuka „Popis” (Show-Off), widać ciemne włosy, drapieżne czarne oczy, długi orli nos i skrzywione, prawie kobiece usta.

Seksualne zainteresowania wujka George'a otoczone były mgiełką tajemnicy. Nieżonaty, nigdy nie miał przyjaciółki i chociaż role, które pisał dla kobiet, są bogate i śmiałe, krytycy



okarżali go czasem o my-zogynizm. Mieszkał razem z dyskretnym i lojalnym lokajem. Nawet Jednak jeśli George Kelly był homoseksualistą, nie dawał tego po sobie poznać. Żył na uboczu, sam dla siebie — precyzyjny i trochę feryzeuszowski podobnie jak jego sztuki. Herbatę trzeba mu było parzyć z listków, nigdy z saszetki.

— Był bardzo staroświeckim dżentelmenem — twierdzi Dorothy Langdon Sitley, której ojciec Roy był lekarzem domowym rodziny Majerów i Kellych. — Bardzo kontynentalnym. Grace uwielbiała, kiedy George zabierał ją na lunch i opowiadał o swoich scenariuszach, książkach i rolach.

— Można było siedzieć i słuchać stryjka George 'a przez całą noc — wspominała później. — Jedna opowieść goniła drugą.

George Kelly debiutował jako aktor wodewilowy w jednoaktowych skeczach, które wystawiano na deskach wielu teatrów muzycznych. Do pisania skłoniła go potrzeba stworzenia własnych tekstów. Awan-sowawszy w roku 1922 dzięki swym „Koryfeuszom” do grona prawdziwych dramaturgów, przez całą dekadę odnosił duże sukcesy. Ale jego sztywne salonowe sztuki ustąpiły po pewnym czasie miejsca społecznemu realizmowi epoki Wielkiego Kryzysu i na początku lat trzydziestych przeprowadził się do Hollywood, żeby pisać i szlifować dialogi do filmów dźwiękowych. Podpisał kontrakt z MGM

1 często rozprawiał o tym, jak ważna jest obrona artystycznej integralności przed presją i kompromisami, które narzucają wielkie studia.

Jest najwspanialszym i najbardziej inteligentnym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek znałam — napisała Grace o swoim stryju, kiedy miała siedemnaście lat. — Kiedy o czymś mówi, słuchacz rozumie całe piękno i ukryte znaczenie poruszanego tematu.

Jeśli istnieje człowiek, pod wpływem którego Grace Kelly wybrała karierę aktorki, to jest nim uwielbiany przez nią stryj George. Deklamujący długie narracyjne fragmenty ukochanych przez siebie dziewiętnastowiecznych poetów, pouczający swych młodych kuzynów o potrzebie korygowania filadelfijskiej nosowej wymowy, stąpający, nawet w starszym wieku, z tą samą godnością, z jaką wkraczał po raz pierwszy na deski wodewilowej sceny, George Kelly stanowił inspirującą kwintesencję sztuki dramatycznej — wypełniony po koniuszki palców aktorską magią.

Rozmawiając w roku 1966 z Irwinem W. Solomonem o komediowej aktorce, Inie Claire, i próbując opisać roztrzępanie, z jakim odgrywała scenę z jego sztuki „Fatalna słabość” (The Fatal Weakness), George Kelly zdecydował się nagle pokazać, o co mu chodzi. Rozmowa toczyła się w jego apartamencie przy Alden Park i George wyszedł na moment z salonu do jadalni. Oba pomieszczenia przedzielała matowozielona teatralna kurtyna zawieszona na staroświeckich kółkach na długim ciężkim karniszu.

— Po kilku chwilach — wspomina Solomon — pojawiła się jego ręka; uchylił kurtynę na kilkanaście centymetrów, a potem rozsunał ją zupełnie i wszedł do pokoju.

Transformacja była zaskakująca. Bez charakteryzacji, kostiumu czy minimalnej choćby zmiany fryzury, George dokonał aktorskiego cudu. Przybierając odpowiednią pozę i wygłaszając kwestię ze sztuki, George Kelly nie był już George'em Kellym — był Iną Claire.

Białe rękawiczki.

Grace Kelly rozpoczęła naukę w przededniu swoich piątych urodzin, jesienią 1934 roku, w Akademii Wniebowzięcia przy parafii Świętej Bridget w Ravenhill w Filadelfii. Jezuici chwalą się, że każde dziecko, które wyedukują, należy do nich później przez całe życie. Siostry Wniebowzięcia mogły z całą pewnością powiedzieć to samo o swojej uczennicy Grace.

Ravenhill było wspaniałą wiktoriańską rezydencją, zapisaną w spadku katolickiej diecezji Filadelfii. Siostry Wniebowzięcia zaadaptowały obite boazerią i rozjaśnione różowymi witrażami eleganckie wnętrza na płatną szkołę, w której unosiła się woń pobożności i pasty do podłóg.

— Kim jestem?

— Jestem dzieckiem Boga.

— Dlaczego tu jestem?

— Żeby Go poznać, żeby Go pokochać i żeby Mu służyć. Liczącą od dziewięćdziesięciu do stu dziewczynek grupę, a także

kilku uczęszczających do przedszkola chłopców uczyły katechizmu i przedmiotów świeckich mieszkające na miejscu zakonnice. Gotujące i utrzymujące szkołę w czystości domowe albo świeckie siostry nosiły czarne fartuchy i białe czepki. Starsze stażem nauczycielki wkładały purpurowe habity z wyszytym pośrodku dużym białym krzyżem. Dzieci zwracały się do nich „matko”.

Zgromadzenie Sióstr Wniebowzięcia było francuskim zakonem szkolnym, którego macierzysty klasztor znajdował się w Belgii. W Ravenhill mieściła się ich pierwsza i w tym czasie jedyna północnoamerykańska „akademia” i świadomie propagowano tu europejskie war-

tości. Jeśli któraś z uczennic napisała w wypracowaniu color, obniżano jej ocenę.

Prawidłowo pisało się colour. Liczące się w hierarchii klasztornej zakonnice miały cudzoziemski akcent, względnie posługiwały się precyzyjną oksfordzką odmianą angielskiego, w której słychać każdą spółgłoskę.

— Aż do szóstej klasy nie uczyła mnie żadna nauczycielka, która pochodziłaby ze Stanów — wspomina Mary-Ellen Tolan, szkolna koleżanka Grace z Ravenhill.

Silne było tu poczucie uczestniczenia w międzynarodowej społeczności. W każdym wydaniu szkolnej gazetki rozpisywano się szeroko o wydarzeniach zachodzących w ponad trzydziestu Akademii Wniebowzięcia na całym świecie i w miarę zbliżania się drugiej wojny światowej wszystko to stało się nagle bardzo realne. Dzieci z zagrożonych domów zakonnych wysyłane były ze względów bezpieczeństwa do Ameryki. Wśród koleżanek Grace Kelly znalazło się najmłodsze pokolenie von Trappów, przybyłe tu w swoich narodowych strojach prosto z Alp i wypełniające salę koncertową Ravenhill ożywczym brzmieniem muzyki.

Matki i siostry Wniebowzięcia kładły wielki nacisk na dobre maniery. Każda uczennica miała w swojej szafce trzy mundurki — jeden używany na co dzień, drugi na zajęcia sportowe i trzeci świąteczny. Musiała także przynosić na lunch własną haftowaną lnianą serwetkę. Podczas posiłków jadalnię patrolowała zawsze któraś z sióstr, zwracając uwagę dziewczynkom, które w niewłaściwy sposób trzymały noże i widelce.

— Niedozwolone były wszelkie przejawy grubiaństwa — wspomina matka Dorothy, która była jedną z nauczycielek Grace. — Wyjaśniałyśmy, że stanowimy wszyscy ciało Chrystusa i że brak szacunku bądź grubiaństwo wobec kogoś innego jest grubiaństwem wobec Chrystusa. Przywiązywałyśmy do tego bardzo dużą wagę.

Matka Dorothy pamięta Grace jako dziewczynkę, która zadawała doskonale pytania.

— Pytała o różne rzeczy w miły sposób jak ktoś, kto osobiście interesuje się danym problemem i komu nie zależy na szukaniu dziury w całym. Zawsze była nastawiona bardzo pozytywnie.

Siostra Francis Joseph pamięta, że Grace była „pod względem intelektualnym dość przeciętna... bardzo rzeczowa”.

Grace Kelly nie była geniuszem. W Ravenhill stosowano nowoczesne techniki nauczania oparte na metodzie Montessoriego, ale treść lekcji

nie zapadała Grace zbyt głęboko w pamięć. Szczególnie słabo radziła sobie z matematyką. Uczęszczała do Ravenhill przez dziewięć lat od czwartego roku życia aż do ukończenia ósmej klasy, gdy miała lat trzynaście i pół, i tym, co stamtąd wyniosła, była nie tyle wiedza szkolna, co wszechobejmująca i niezachwiana wiara w religię katolicką i w to, że ma ona związek z każdym szczegółem jej życia.

Ktoś o innym usposobieniu mógłby się zbuntować — przeciw regułom, dzwonom, oddawaniu ukłonu Wielebnej Matce, sunącym w milczeniu do kaplicy procesjom w białych welonach. Ale Grace, przynajmniej powierzchownie, była zawsze konformistką, a poza tym dla kogoś, kto nie wyróżniał się w klasie niczym innym, religia oferowała obszar, na którym można było przodować. Podobała jej się pompatyczność oraz poczucie pewności i z zadowoleniem odbierała wskazówki od osób cieszących się autorytetem.

W zakonnej szkole Grace spotkała się też z czułością, której próżno było szukać w rodzinie. W domu Kellych panował duży materialny komfort, ale pod względem emocjonalnym warunki były dość spartańskie. Tkliwość, której jej brakowało, Grace znajdowała u matek i siostr Wniebowzięcia. Było w nich coś niezmiernego. Znikające regularnie z lekcji, żeby wypełnić osiem razy dziennie swoje modlitewne śluby, nauczycielki z Ravenhill były łagodne i naiwne — a także nieco tajemnicze. Żyły we własnej, zamkniętej dla innych części budynku i nikt nie widział nigdy, jak jadły. Po lunchu jednak zawsze pachniały pomarańczami.

Zakon Wniebowzięcia przywiązywał szczególną wagę do dramatyzmu i liturgii wiary katolickiej i siostry wpajały to nowo przybyłym, każąc im odgrywać ceremonię mszy świętej wspólnie z chłopcami z przedszkola, którzy odziani w papierowe sutanny grali rolę księży. Kwestie Boga i ludzkiej śmiertelności nie były tutaj wcale odległymi i skomplikowanymi problemami. Gdy uczennica potrafiła już w miarę płynnie pisać, dawano jej mały czarny zeszytek, w którym miała zapisywać pytania, jakie chciałaby zadać Ojcu Niebieskiemu, kiedy spotka się z nim twarzą w twarz.

Rodzice Grace nie byli w żadnym wypadku bezkrytycznymi katolikami. Jako była protestantka, Ma Kelly miała szczególne problemy z doktryną niepokalanego poczęcia. Pomysł zapłodnienia Marii za pośrednictwem anioła wydawał jej się dość zabawny i nie wahała się dawać wyrazu swemu sceptycyzmowi w tej oraz innych kwestiach,

kiedy rozmowa przy rodzinnym stole zwracała się -ku sprawom religijnym- Ale Grace łykała gładko wszystko, czego uczyły ją siostry. Odznaczały się tym samym połączeniem klasy i delikatności, które tak pociągało ją w stryжку George'u. W wieku siedmiu lat przyjęła pierwszą komunię w kaplicy Ravenhill, przyodziana na białą na uroczystość pełnego przystąpienia do Ciała Chrystusowego. Poprzedniego wieczoru po raz pierwszy się wypowiedziała, klęcząc w mroku stojącego przy drzwiach kaplicy, zasłoniętego kotarą konfesjonału i wyznając szeptem przez kratkę swoje grzechy ojcu Allenowi, który po wyjściu z zakrystii Świętej Bridget zachodził codziennie po południu do szkoły. Jakie grzechy może wyznać księdzu siedmiolatka?

— Na przykład, że uderzyła swoją koleżankę — wyjaśnia matka Dorothy, która przygotowywała dziewczynki do spowiedzi — albo że skłamała. Grzechem może być każdy drobny brak współpracy, której wymaga od nas Pan.

Koleżanki Grace pamiętają figlarną małą dziewczynkę, która chichotała podczas Podniesienia.

- Coś ją nagle rozśmieszało — wspomina Alice Godfrey. — Próbowwała się opanować i po chwili cała się trzęsała.

Daleko od intensywnej i zniewalającej atmosfery domu Kellych smarkula stała się śmieszka. Siostry Wniebowzięcia nie egzekwowały zbyt rygorystycznie dyscypliny i kiedy tylko Grace wyczuła, że może sobie na to pozwolić, robiła się zdecydowanie niesforna. Siedząc podczas lunchu przy oknie, pomagała koleżankom pozbywać się nie chcianego jedzenia, wyrzucając je w krzaki, kiedy nie patrzyły akurat nadzorujące jadalnię siostry. Za żywopłotem znajdował się klasztorny ogród i grotta, w której odbywały się spotkania wszelkiego rodzaju nicponi.

— Grace Kelly nauczyła mnie palić — wspomina Glenna Costello Millar.

To właśnie w Akademii Wniebowzięcia w Ravenhill, w wieku około dziewięciu, dziesięciu lat Grace zaczęła po raz pierwszy przejawiać intrygujący dualizm, który w dorosłym życiu stał się dominującą cechą Jej charakteru — w wymuskanej i poprawnej Goody Two-Shoes \* krył się duch niespokojny i często nieodpowiedzialny. Nie była to kwestia Prostej hipokryzji. Niezależnie od swoich wad Grace nie była nigdy chytra ani zakłamana. Naprawdę z całego serca starała się być grzeczną dziewczynką i dobrze postępować. Nie powstrzymało jej to jednak przed paleniem papierosa w klasztornej grocie. Niesforna Grace była tak samo autentyczna jak Grace poprawna i właśnie to podniecające napięcie między sprzecznymi elementami osobowości miało stanowić kwintesencję jej uroku jako gwiazdy filmowej — pozornie opanowanej i chłodnej dziewczyny, w której wyczuwało się olbrzymi temperament.

Rzymski katolicyzm traktuje konflikt pomiędzy cnotą i występkiem ze szczególnym raktycyzmem. Ksiądz w konfesjonale stanowi najbardziej widomy dowód, że nie możemy się łudzić, iż grzech zostanie zlikwidowany, i musimy w związku z tym znaleźć jakiś mechanizm, aby pozwolił na permanentne z nim współżycie. Jest to dogmat, który w pozytywny sposób ujmuje podstawową schizofrenię ludzkiej kondycji — i całkiem możliwe, że młoda Grace Ignęła tak mocno do wiary katolickiej, ponieważ oferowała ona pewien rodzaj usprawiedliwienia i ukojenia dla sprecznych impulsów, które zaczynała wyczuwać w swojej psychice.

Akademia Wniebowzięcia w Ravenhill już nie istnieje. Siostry pełnią obecnie obowiązki duszpasterskie w filadelfijskim getcie. Ale dla szkolnych kokzerek Grace lata nauki w Ravenhill pozostały drogocennym wspomnieniem — reminiscencją innego i raczej niewinnego świata, od którego ckidi je teraz ponad pięćdziesiąt lat. W dni święte wszystkie uczennice brały udział w cache-cache, wielkiej, odbywanej na terenie całej szkoły 'bawię w chowanego. Codziennie po szkole, kiedy kończyły się zajęcia sportowe, dziewczętom podawano gouter. Jedna z sióstr kucharek wychodziła prosto z kuchni, niosąc tacę ze stertą świeżo upieczonych ciastek.

Po ukończeniu ósmej klasy rodzice Grace zabrali ją z Ravenhill, ponieważ Jack Kelly uważał tutejszy program wychowania fizycznego za nieodpowiedni. Ciastka po treningu z pewnością nie wzmacniały ducha współzawodnictwa. Ale wczesne zetknięcie się Grace ze zniewalającą siłą wiary i idealizmu pozostawiło w niej ślady na całe życie. Po odejściu ze szkoły utrzymywała kontakt z zakonnicami, wysyłała im kartki na Boże Narodzenie i pisała długie, wypełnione wiadomościami listy do swoich ulubionych uczytełek. Zupełnie jakby widziała w nich swoich rodziców. Już jaico dorosła kobieta zwracała się czasem do menterek z dzieciństwa z prośbą o radę.

— Siostry były zupełnie niezwykłymi kobietami — twierdzi Alice Godfrey. — Pamiętam, że bardzo poruszyło mnie ich poczucie obowiązku i społecznego posłannictwa. Było to bardzo zniewalające. Sądzę, że wywarło wrażenie na nas wszystkich.

Alice Godfrey szczególnie zapadła w pamięć siostra Inez, młoda zakonnica z Ameryki Środkowej, która zożyła ostatnie śluby w czasie, kiedy Grace i Alice były jej uczennicami. — Grace ją uwielbiała. Była najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziałam, z największymi piwnymi oczyma i najbardziej kremową skórą. Grace i ja rozmawialiśmy o tym. Nie mogłyśmy po prostu uwierzyć, że ta wspaniała istota oddaje całe swoje życie Bogu.

Dziewięcioletnia Grace należała razem ze swą koleżanką Alice do niewielkiego grona uczennic, które zaproszono, by obejrzały uroczystość przyjęcia siostry do zakonu.

— Ceremonia była wprost niewiarygodna... muzyka, śpiewy. Siostra leżała krzyżem na podłodze, a one ją nakryły. Był tam kardynał. Gdybyście widzieli te wszystkie matki i siostry w długich białych welonach, wchodzące i klękające przed ołtarzem, wszystkie klaniające się nisko i dotykające marmurowej posadzki... Grace powiedziała mi później, że nigdy tego nie zapomni. Był taki moment podczas całej uroczystości, kiedy obie byłyśmy całkiem przekonane, że Bóg zstąpił na Ziemię i jest gdzieś wśród nas.

Grace miała prawie czternaście lat, kiedy przeniesiono ją z Akademii Ravenhill do Stevens School w Germantown, prywatnej szkoły dla dziewcząt, założonej podczas wojny secesyjnej przez pannę Susie Ste-vens. Opowiadano, że dama ta nieszczęśliwie spadła ze schodów, usłyszawszy, że jej narzeczony zginął w bitwie, i unieruchomiona na wózku inwalidzkim poświęciła resztę życia edukacji dobrze wychowanych panienek. W czasach Grace schody panny Stevens wciąż stanowiły centralny i dramatyczny trzon kolejnego starego dwora o obitych drewnem wnętrzach, który zaadaptowano na szkołę, zwracając uwagę przede wszystkim na decorum. Stojący na tyłach dziedzińca budynek

stajni przerobiony został na rodzaj szkoleniowego salonu, w którym dziewczęta uczone etykiety i tego, jak podawać i pić popołudniową herbatę.

Grace zakończyła w Stevens swoje średnie wykształcenie i wówczas właśnie, w trakcie ostatnich czterech lat szkolnej nauki zaczęła chodzić z chłopcami. Początkowo nie odnosiła jednak na tym polu większych sukcesów.

— Był taki okres między czternastym a szesnastym rokiem życia — wspominała później jej matka — kiedy była po prostu rozchichotany podlotkiem o piskliwym nosowym głosie. Zawsze miała kłopoty z nosem... Dlatego tak dziwnie mówiła. Lubiła zjeść i miała wskutek tego lekką nadwagę. Przez kilka lat miała poza tym wadę wzroku i konieczne okazało się noszenie okularów, które korygowały jej krótkowzroczność.

Grace dojrzała dość wcześnie i wyglądała na starszą, niż była w rzeczywistości, cierpiała jednak na paraliżujący brak pewności siebie.

— W młodości byłam strasznie wstydliva — wspominała później. — Byłam tak nieśmiała, że miałam ochotę wcisnąć się między listwy boazerii. Byłam tak bezbarwna, że przedstawiano mnie dziesiątki razy tym samym osobom, zanim mnie zauważyły. Nie robiłam żadnego wrażenia.

Grace przywoływała te bolesne wspomnienia w roku 1974, w wieku czterdziestu pięciu lat, kiedy stała się już jedną z najślynniejszych kobiet na świecie, powszechnie podziwianą za spokój i pewność siebie. Wciąż jednak czuła się obolała. Mimo całej urody i pogody ducha, w księżnej nadal tkwiło kruche jądro niepewności, datujące się jeszcze z jej dzieciństwa. Tak jakby wciąż była prostą i niezgrabną dziewczynką, której nikt nie zauważa.

Kilkunastoletnia Grace szczególnie niepokoiła się o swoje piersi. Jej zdaniem nie były dość duże.

— Miała prawdziwy kompleks — wspomina jedna z jej koleżanek. — Bez przerwy je masowała, mając nadzieję, że może urosną.

Płaska jak deska okularnica z nadwagą...

— W tamtych czasach Grace naprawdę nie była uważana za królową piękności — wspomina Jim „Butch” McAllister, który poznał Grace w Ocean City w stanie New Jersey, gdzie rodzina Kellych miała letni domek.

— Nie była niczyją wyśnioną księżniczką — ujęła to lapidarnie jej matka.

W tym czasie Ma Kelly szczerze współczuła swojej nieśmiałej i niezgrabnej czternastolatce. Pamiętała zamknięte w sobie i sprawiające wrażenie podrzutka dziecko, które zawsze wydawało się potrzebować więcej czułości niż jego ekstrawertyczne rodzeństwo. Po pewnym czasie zaczęła się jednak zastanawiać, czy niektóre z technik przetrwania, których Grace nauczyła się w okresie „brzydkiego kaczątka”, nie stały się źródłem jej późniejszych sukcesów.

— Zawsze pragnęłam chronić Grace — stwierdziła. — Sądzę, że musiała wywierać na mężczyznach takie samo wrażenie jak na mnie. Każdy mężczyzna, który ją znał, odkąd skończyła piętnaście lat... chciał opiekować się Gracie.

Nawet jako odnosząca sukcesy i olśniewająco piękna dorosła kobieta Grace Kelly potrafiła skłonić innych, żeby ją rozpieszczali.

...Zawsze umiała wymusić na ludziach, żeby wyświadczyli jej jakieś

przysługi — wyjaśniła kiedyś jej siostra Lizanne. — Odnosiło się wrażenie, że Grace naprawdę potrzebuje pomocy, ale ona wcale jej nie potrzebowała. „Lepiej będzie, jak jej pomogę”, myślał każdy. A jej ta pomoc w ogóle nie była potrzebna. Grace robiła tylko takie wrażenie.

Bujna wyobraźnia, dzięki której mała Grace przenosiła się w swój bezpieczny świat lalek, z upływem lat nie osłabła.

— Kiedy miała osiem, dziewięć, dziesięć lat — wspomina Alice Godfrey — siadałyśmy, otwierałyśmy Esquire albo jakieś inne czasopismo, które było akurat w domu, i obracałyśmy stroną za stroną, a ona wymyślała różne historie: „O, to jest mój dom, a to mój samochód. To jest mój mąż, to są moje dzieci, to jest to, to tamto, a to, tak, to jest miejsce, w którym spędzimy nasz miodowy miesiąc”.

Grace mogła od czasu do czasu stracić rezon w towarzystwie, ale zawsze potrafiła z wielkim zapalem fantazjować. Zimą roku 1940, w wieku jedenastu lat obejrzała popołudniowe przedstawienie Ballets Russes i zakochała się w Igorze Juskiewiczu, ówczesnym Baryszniko-wie. Postanowiła, że zostanie primabaleriną i pobierała lekcje baletu aż do chwili, gdy powiedziano jej, że jest za wysoka — wtedy z takim samym entuzjazmem przeczuciła się na Ginger Rogers. Maree Frisby, nowa, poznana w Stevens School najlepsza przyjaciółka, przypomina sobie, jak Grace dzwoniła do niej z pretensjami z kursu tańca nowoczesnego, na który obie się zapisały.

— Nie zależało mi na tym tak bardzo jak jej i pamiętam, jak Grace telefonowała do mnie w sobotę rano: „Gdzie jesteś, Maree? Przecież obiecałaś, że przyjdiesz”.

Grace od najmłodszych lat występowała na scenie. Po kilku latach terminowania jako anioł i pasterka w wystawianych rokrocznie w Ra-venhill szopkach powierzono jej w końcu rolę Najświętszej Panny. Ale dopiero w okresie dojrzewania, kiedy stojąc na scenie odkryła, że Potrafi wcielić się w dowolną postać z maestrią, której nie zdołała jeszcze opanować w rzeczywistym życiu, pasja aktorska zaczęła w niej naprawdę zapuszczać korzenie.

Iskrę roznieciła wizyta w Old Academy Players, małym amatorskim teatryku w East Falls. Prosto z przedstawienia, w którym występował brat jej matki, wujek „Midge” Majer, Grace pobiegła do domu, żeby oznajmić ojcu, że chce zostać aktorką.

Na Jacku Kellym nie wywarło to większego wrażenia.

— Patrzył na mnie po prostu przez dłuższy czas zza swojego biurka — wspominała później Grace. — „W porządku, Grace, jeśli tego właśnie chcesz...”, odparł w końcu. Zespół Old Academy Players był jedną z wielu amatorskich grup „małego teatru”, które powstały i działały w Filadelfii w latach trzydziestych i czterdziestych. Jego członkowie przerobili na teatr stary budynek szkolny w East Falls i w tym właśnie prostym, ale funkcjonalnym wnętrzu „starego liceum” Grace Kelly zadebiutowała w wieku lat dwunastu.

— Pamiętam, że występując po raz pierwszy na scenie, miałam miłe uczucie — stwierdziła dwanaście lat później w Hollywood. — Przyjemnie było czuć, jak reaguje widownia.

Sztuka nosiła tytuł Don't Feed the Animals („Nie podkarmiajcie zwierząt”) i profesjonalizm Grace wywarł duże wrażenie na Ruth Emmert, która ją reżyserowała. Młoda aktorka

zawsze przychodziła punktualnie na próby i nigdy nie zapomniała swoich kwestii. Przetraszała również chętnie szafę matki w poszukiwaniu kostiumów i rekwizytów, których potrzebował amatorski zespół.

Jako nastolatka Grace stała się prawdziwą minigwiazdką amatorskich teatrzyków. Będąc młodocianą podporą Old Academy Players, jeździła rowerem na próby z takim samym samozaparciem, z jakim Kell machał wiosłami. Jej brat zaczął właśnie wygrywać pierwsze wyścigi. Grace za to zdobywała główne role w wystawianych w Stevens School sztukach. Grała Kasię w „Poskromieniu złoŃnicy”, była też olśniewającym Piotrusiem Panem i gwiazdą szkolnych lekcji tańca. Któregoś roku zakończyła organizowany w Stevens School sportowy dzień dziwnie erotyczną interpretacją rytualnego tańca ognia, którą wykonała na bosaka z wielką ekspresją i dramatyzmem.

Szkolne koleżanki Grace nigdy nie wątpiły w jej zdolności aktorskie i taneczne. W poświęconym „proroctwom” fragmencie albumu jej klasy napisano, że Grace Patricia Kelly zostanie w przyszłości słynną gwiazdą teatralną i radiową, nie oznaczało to jednak wcale, że miała wśród rówieśniczek opinię afektowanej czy też przemądrzałej. W opublikowanym w tym samym albumie zbiorowym portrecie „idealnej maturzystki” Grace uznano za wzór lubianej uczennicy.

\_\_Była żywa jak iskra — wspomina kilka lat od niej młodsza Jane Porter. — Tryskała czystą radością!

Trafiwszy do Stevens School, Jane Porter odkryła, że przydzielono ją Grace w charakterze „młodszej siostry”. Starsze dziewczęta opiekowały się nowo przybyłymi, a Grace traktowała swoje obowiązki z większą sumiennością niż większość koleżanek.

\_\_ Była jedną z niewielu dziewcząt, które miały własny samochód \_\_ opowiada Jane. — Jasnyniebieskiego plymoutha z odsuwającym

dachem, bardzo zrywnego. Codziennie musiałyśmy trenować hokej na trawie, a ponieważ byłam jej młodszą siostrą, mówiła: „Chodź, Jane, podrzucę cię”.

Jane Porter wspomina z przerażeniem, jak Grace wrzucała bieg, po czym wskakiwała wysoko na oparcie fotela i kierowała stamtąd ply-mouthem palcami stóp. Psotne dziecko z zakonnej szkoły wchodziło w wiek dojrzewania. Grace skupiała wokół siebie w Stevens School całą grupę rozbrzykanych dziewcząt w kolorowych skarpetkach. Wszystkie dzieliły jej upodobanie do chichotów i wesołej zabawy. Spotykały się w sobotę rano w Germantown, po czym szły na koktajle i lody do Dairy Maid.

Wieczorem można je było znaleźć w jednym z miejscowych kin: Bandbox, Orpheum albo Colonial, gdzie Grace omdlewała, oglądając imponującego urodą i opanowaniem Alana Ladda, który był jej ulubionym aktorem filmowym. Ulubioną aktorką stała się Ingrid Bergman. Beznadziejnie sentymentalna, Grace nie cierpiała wychodzić z kina, jeśli się przedtem porządnie nie wyplakała. Alice Godfrey pamięta, jak jej przyjaciółka zalewała się łzami, słysząc pamiętną kwestię Mic-keya Rooneya z „Miasta chłopców” (Boy's Town): „On nie jest ciężki, to mój brat”.

No i byli jeszcze chłopcy. Zanim skończyła lat szesnaście, zrobiło się ich w pewnym momencie całkiem sporo. Trwająca mniej więcej rok ewolucja, chemia połączonych genów Majerów i Kellych oraz pewność siebie, jaką młoda aktorka nabyła, odnosząc



sceniczne sukcesy, połączyły się tworząc prawdziwą piękność. Teraz Grace przyciągała wzrok.

— Miała wprost cudowną cerę — wspomina Teddy Hughes, przyjaciel i szkolny kolega Kella. — Fantastyczny odcień skóry: świeży i czysty. To był jej największy atut... i nigdy nie widziało się tego na fotografii.

Wszystkie dzieci Kellych były ładne. Ze swoimi regularnymi rysami i zdrowymi pięknymi zębami, młodzi Kelly'owie wyglądali na urodzonych pod szczęśliwą gwiazdą — podobnie jak bostońska rodzina Ken-nedych, inny słynny klan irlandzkich Amerykanów, którego członkowie maszerowali w owych latach w rytmie wybijanym przez ich dynamicznego ojca. Ale twarz Grace miała w sobie symetrię i wdzięk, których zabrakło jej rodzeństwu. Rysy Kella były tak regularne, że aż pozbawione wyrazu. Lizanne odznaczała się pewną topornością, uroda Peggy była skromniejsza. Tylko w osobie Grace mieszanka osiągnęła równowagę: nastąpiło niemal doskonałe połączenie fizycznych cech, które jej przystojni rodzice wnieśli w swoje małżeństwo. Uroda, która zdawała się świadczyć o jej dobrym pochodzeniu, stanowiła kamień węgielny sławy, jaką cieszyła się dorosła Grace Kelly, i to samo można o niej powiedzieć jako o nastolatce.

Dom pod numerem 3901 przy Henry Avenue stanowił coś w rodzaju klubu dla przyjaciół czworga młodych Kellych. Przychodzili tam wszyscy. Nic dziwnego zatem, że pierwszy traktowany przez nią poważnie chłopak Grace — Charles Harper Davis, syn miejscowego dealera Buicka — był szkolnym kolegą jej brata. Harper Davis należał do Trident Society, elitarnego stowarzyszenia uczniów uczęszczających do starszych klas Penn Charter School. Elitarne było już samo liceum, założone przez Williama Penna w roku 1701 jako druga szkoła w Ameryce i skupiające w swoich murach synów przedstawicieli klasy średniej z całego rejonu Germantown. Szkolne kluby i stowarzyszenia urządzały w zimie serię potańcówek, których ukoronowaniem był bal organizowany przez Trident Society. Grace spędziła cały karnawał wsparta o ramię jednego z najbardziej rośłych mężczyzn na terenie kampusu. Romans między „synem sprzedawcy buicków i córką murarza” był na tyle poważny, że zasłużył na wzmiankę w klasowym albumie Penn Charter.

W roku 1944 Harper Davis ukończył szkołę i zaciągnął się do marynarki. Wojna zbliżała się do końca i chłopakowi pilno było pójść w ślady ojca, który kiedyś służył na morzu. Jednak dwa dni po zakomunikowaniu Grace tej wiadomości Harper pojawił się u Teddy'ego Hughesa wstrząśnięty i popielaty na twarzy. Grace nagle go rzuciła. Ich romans został skończony.

Harper utrzymywał wtedy, że Grace nie podała mu żadnych prawdziwych powodów swojej decyzji, a ona sama nie rozmawiała na ten temat nawet z najbliższymi przyjaciółkami. Wkrótce potem okazało się jednak, że w sprawie maczał palce Papa. Regulowanie miłosnego życia córek Jack Kelly uważał za swoje ojcowskie prawo i obowiązek. Zmusił Peggy, swoją ukochaną Babę, do zerwania stosunków z Archiem Campbellem, młodym człowiekiem, którego ziemista cera i nieatletyczny wygląd nie przypadły mu do gustu, a potem interweniował tak samo zdecydowanie — choć w końcu zmuszony był ustąpić — gdy jego najmłodsza córka Lizanne wyraziła chęć poślubienia Żyda.

Pater familias był zaskakująco liberalny, kiedy chodziło o zwykłe randki. Z jego punktu widzenia, im więcej było chłopców, tym lepiej. Najwyraźniej sprawiało mu przyjemność, że tylu napalonych młodych ludzi szturmują dom, by móc emablować jego piękne córki. — Było nas tam tylu, że nie potrafił zapamiętać naszych imion — wspominał Charlie Fish. — Uśmiechał się tylko i zwracał do każdego „synu”.

Dopiero kiedy sprawy przybierały poważny obrót, Jack Kelly dochodził do wniosku, że powinien się wtrącić. Córki stawały się wtedy jego własnością.

„Możesz wychodzić z nią tak często, jak tylko chcesz — oznajmił bez ogródek jednemu z młodych zalotników Grace. — Ale nie myśl, że się z nią ożenisz”.

Taką właśnie perspektywę stwarzał rychły wyjazd na wojnę Harpera Davisa. Istniała realna groźba, że zakochana para zacznie marzyć o zaręczynach lub małżeństwie — i równie niebezpieczna ewentualność, że zaręczona bądź nie, Grace uzna, że powinna ofiarować swemu dzielnemu wybrankowi najpiękniejszy pożegnalny prezent — jak czyniło to w owych niespokojnych, pełnych emocji wojennych czasach wiele romantycznych młodych dziewczyc.

Dla Jacka Kelly'ego obie te opcje były po prostu wykluczone. Nie lubił sprzedającego buicki ojca Harpera Davisa — a poza tym Davi-sowie nie wyznawali katolicyzmu. Grace była za młoda. Z jakiegokolwiek strony by na to nie spojrzeć, ich związek należało zerwać. Grace podporządkowała się woli ojca. Powiedziała Harperowi Da-visowi „do widzenia” i zastąpiła go kolekcją przystojnych młodych ludzi — im więcej, tym lepiej, dokładnie tak, jak sobie tego życzył jej ojciec. Wyglądało na to, że się świetnie bawi. Wstępowała z entuzjazmem w miłosne szranki — chociaż niektóre jej przyjaciółki odnosiły wrażenie, że realizując swój bogaty i niemal rozwiązły program auto-gratyfikacji, próbuje zagłuszyć jakiś ból względnie poczucie winy.

Chłopcy z Germantown odnotowywali odniesione podczas miłosnych podbojów sukcesy za pomocą szyfru. „Bra” oznaczało wsunięcie ręki pod bluzkę, jednak nie pod biustonosz, „B-T.” dotknięcie gołej piersi, „F” palcówkę, po której przystępowało się do sedna. Była to epoka, kiedy pełny stosunek seksualny wciąż uważany był za szczególne, prawie odświętne wydarzenie, a nie coś, co może się zdarzyć podczas normalnej sobotniej randki. „Petting” było określeniem nieśmiałej eksploracji guzików, zamków błyskawicznych i miękkiej skóry powyżej pończoch. Każde odniesione w pocie czoła zwycięstwo stawało się przedmiotem wulgarnych przechwałek chłopców, którzy porównywali w szatni swoje notatki, i powszechnie wiadomo było, jak daleko można się posunąć z którą dziewczyną.

W latach, które nastąpiły po zerwaniu z Harperem Davisem, Grace Kelly miała opinię dość szczerze ofiarowującej swoje wdzięki.

— Jestem pewien, że kończąc szkołę wciąż była dziewicą — twierdzi jeden z jej chłopców. — Poza tym jednak pozwalała sobie moim zdaniem na wszystko.

W późniejszym wieku Grace traktowała ten temat bardzo lekko. Charlie Fish należał do jej wybranków, kiedy chodziła jeszcze do Stevens School. Zabierał ją na randki starym niebieskim roadsterem marki Ford i po wielu latach księżna Monako zapytała czule o ten samochód.

— Mam nadzieję, że leży gdzieś bezpiecznie na złomowisku — stwierdziła chichocząc.  
— Pomyślcie, ile mogłoby nam opowiedzieć jego tylne siedzenie!  
Nikt jednak nie śmiał się z Grace ani nie twierdził, że jest łatwa czy tania. Uczestniczyła z nonszalancją i radością w rytuałach nie kończącej się gry wstępnej, ale nie umawiała się z każdym, kto miał na nią ochotę. W doborze partnerów była bardzo wybredna, a potem starała się, jak mogła, okazać dobrą towarzyszką.  
— Nie mówiła zbyt dużo — wyjaśnił Howard Wikoff w rozmowie z Gwen Robyns. — Zamiast jak większość nastolatek popisywać się i paplać bez przerwy o sobie, pilnie słuchała swoich chłopców. Każdemu wydawało się przy niej, że jest Ringiem Bee.  
— Jeśli miałeś ochotę usiąść, siadała razem z tobą — wspomina Jack Oechsle. — Jeśli chciałeś tańczyć, tańczyła. I kiedy zabierałeś ją na prywatkę, nigdy nie odpływała z jakimś innym facetem. Była twoją dziewczyną przez cały czas.  
W ostatnim roku naiiki w Stevens School w siedemnastoletniej Grace bardzo wyraźnie ujawniły się cechy Kellych. Rozwinęła w sobie poczucie własnej wartości.  
— Przypominała swojego ojca, kiedy startował do wyścigu — opowiada Alice Godfrey. — Spoglądał na całą resztę i mówił: „Zastanawiam się kto przyplynie drugi”. Grace miała w sobie coś z tej jego postawy.  
We własnym zamkniętym kręgu Grace była wesoła i ekstrawertyczna — czasami nawet skłonna do błazeńskich wygłupów. Teddy Hughes pamięta, jak grupa znajomych odkryła pod siedzeniem samochodu Grace jej zwinięty w kłębek biustonosz. Jego właścicielkę najwyraźniej rozśmieszyło to tak samo jak całą resztę i z entuzjazmem przyłączyła się do zabawy, walcząc zawzięcie o powiększające biust wkładki i rzucając nimi po samochodzie. Potrafiła jednak pokazać bardziej surowe oblicze. I Jack, i George Kelly umieli zmrozić ludzi jednym spojrzeniem — wzgardliwym w przypadku Jacka, bardziej wyniosłym i powściągliwym w przypadku George'a — i Grace posługiwała się własnym rodzajem tej broni, która stanowiła kombinację obydwu. Efekt mógł być druzgocący. Jeśli ktoś naraził się przypadkiem na gniew Grace Kelly, dawano mu bardzo wyraźnie odczuć, że obraził członka królewskiej rodziny z East Falls. Ta cecha charakteru miała się stać w późniejszych latach kolejnym z elementów, które składały się na publiczny wizerunek Grace Kelly. Świetnie pasowała do jej chłodnej urody i szła w parze z mającym pozory prawdopodobieństwa, aczkolwiek błędnym przypuszczeniem, które wysuwano na temat jej pochodzenia — że wywodzi się z filadelfijskiej arystokracji. Zamożni Kelly'owie królowali oczywiście w East Falls, ale nie oznaczało to wcale, że cieszyli się respektem w wysokich sferach samej Filadelfii. Filadelfijski Bal Zgromadzeń jest najstarszą i najbardziej ekskluzywną imprezą towarzyską w Ameryce Północnej. Brał w nim udział George Washington. Organizowany od roku 1748 z kilkoma zaledwie latami przerwy w czasach wojny, bal gromadzi każdej zimy najstarsze filadelfijskie rody, które przybywają, aby uczestniczyć przez jeden olśniewający wieczór w tańcach, pokazach i wspólnym celebrowaniu krzepiącego przeświadczenia, że przynajmniej według ich własnych kryteriów wszyscy obecni należą do najwyższej elity. Mężczyźni wkładają fraki i białe pasy frakowe, kobiety najpiękniejsze i najbardziej Powiewne balowe suknie.

Bal Zgromadzeń stanowi arenę, na której mogą zadebiutować i zrobić furorę wysoko urodzone filadelfijskie panienki. Dziewczęta i eskortujący je chłopcy schodzą po marmurowych schodach z sali recepcyjnej do wielkiej sali balowej hotelu Bellevue-Stratford, tworząc elegancką kaskadę białego jedwabiu i szyfonu. Każda debiutantka dyga przed rzędem reprezentujących najważniejsze rodziny matron, a potem przygotowuje się do pierwszego tańca w świecie dorosłych — podczas którego, zgodnie ze zwyczajem, musi nosić sięgające łokci białe rękawiczki z kozłej skóry.

Przyjaciółka i późniejsza drużna, Judy Kanter, mówi, że Grace zwierzyła jej się po latach, że jednym z największych marzeń aktorki, kiedy miała kilkanaście lat, był towarzyski debiut na tym balu — i z pewnością przyjemnie byłoby popatrzeć, jak sunie w dół po marmurowych schodach, osiemnastoletnia i olśniewająca w białej sukni i białych rękawiczkach. Tego rodzaju marzenia nie mógł jednak zaakceptować Jack Kelly i cały krąg jego przyjaciół.

„Chcesz iść na bal?” — pytał wuj Grace, Bili Godfrey, zwracając się do swojej córki Alice, która podobnie jak jej przyjaciółka Grace marzyła o wieczorze w bieli. — „Doskonale, mogę otworzyć przed tobą drzwi!”

To zdrowe ludowe podejście maskowało żywną w głębi ducha urazę.

— Jacka Kelly'ego zawsze bolał fakt, że nie wymieniono go ani razu w almanachu towarzyskim — twierdził przyjaciel Kella, Phil Klein.

— Wolę znaleźć się w almanachu czynów — powtarzał sam Jack. Ze swoją charyzmą, bogactwem i koneksjami politycznymi Jack

Kelly mógł wspiąć się na sam szczyt w każdym innym amerykańskim mieście. W Waszyngtonie ludzie osiągają to dzięki zdobytym głosom i wpływom. W Nowym Jorku można kupić sobie najbardziej prestiżową społeczną funkcję. Tylko w Filadelfii, aby wejść do Zgromadzeń, trzeba się odpowiednio urodzić.

Próbując wyjaśnić to outsiderom, członkowie Zgromadzeń skłonni są ujmować problem w kategoriach historycznych, opowiadając o trzymających sztamię starych przyjaciółach, którzy wysiedli z łodzi razem z Williamem Pennem i tak dalej, i tak dalej. W gruncie rzeczy chodzi jednak o względy natury społecznej i etnicznej. Mamy tu do czynienia ze starymi rodami i starymi pieniędzmi — w dosłownym tego słowa znaczeniu klikają. To właśnie dla niej profesor Digby Baltzell wymyślił

określenie WASP, kiedy badając społeczny kontekst filadelfijskich /gromadzeń postanowił poszukać jakiegoś łatwego skrót, ujmującego najczęściej powtarzające się w jego analizie cechy: biały anglosaksoński protestant. W Filadelfii obowiązują zasady Starej Gwardii i nikt nie zafflirza z tego powodu nikogo przepraszać — żadnych czarnych, żadnych Żydów, żadnych katolików i żadnych nowobogackich. Nie ma w tym towarzystwie miejsca dla irlandzkich murarzy i ich córek, niezależnie od tego, jak bardzo byłyby smukłe i eleganckie.

W swojej niezwykłej karierze aktorki i księżnej Grace stanowiła dla zewnętrznego świata symbol filadelfijskiej elity i dobrego wychowania. Grała arystokratyczne role i udało jej się wyrzeć wrażenie, iż wywodzi się w prostej linii z ekskluzywnego środowiska

Zgromadzeń z jego białymi rękawiczkami, białymi sukniami i trzepoczącymi rzesami debiutantkami. W rzeczywistości jednak Grace nigdy nie wzięła udziału w filadelfijskim Balu

Zgromadzeń. Nigdy nie zeszła jako debiutantka po stopniach Bellevue-Stratford. Swoje maniery i znajomość etykiety wyniosła ze Stevens School oraz Akademii Wniebowzięcia w parafii Świętej Bridget i mimo sławy, jaką cieszyła się w swoim zakątku Filadelfii, nigdy nie weszła do sfer, które się naprawdę liczyły.

Grace Kelly była outsiderką, obserwującą z zewnątrz świat, który uważano za czystą sublimację elity i przywileju — i to mogło stanowić jedną z przyczyn, dla których w późniejszym życiu tak dobrze udawało jej się naśladować jego styl i zwyczaje.

W maju 1947 roku Grace ukończyła Stevens School. Miała siedemnaście i pół roku i kompletnie nie wiedziała, co robić dalej. Początkowo chciała pójść do Bennington, potem do żeńskiego college'u w Vermont.

— Chciałam zostać tancerką — wspominała później — a w Bennington prowadzono wspaniały czteroletni kurs wszystkich form tańca.

Ale warunkiem przyjęcia do Bennington były wysokie oceny z matematyki i to z góry ją dyskwalifikowało. Od pierwszej klasy w Raven-hill matematyka była jej słabą stroną. Rodzice nie interesowali się zupełnie jej problemem. Latem roku 1947 uwaga mieszkańców domu przy Henry Avenue skupiona była na męskim potomku rodu, Kellu, którego długie lata cierpień i treningów na Schuylkill miały w końcu przynieść zamierzony efekt — zdobycie Diamentowych Wioseł w Henley. Dalsza edukacja Grace musiała zejść na drugi plan w związku z przygotowaniem do mających się odbyć w lipcu zawodów — trzeba było bezpiecznie spakować łódź i zapewnić młodemu sportowcowi odpowiedni zapas mrożonych steków, które miały uzupełnić skromne i racjonowane wyżywienie w powojennej Brytanii.

W końcu czerwca 1947 rodzina wyruszyła do Anglii. Kell był już rok wcześniej w Henley, nie udało mu się jednak zdobyć upragnionego trofeum. Minał linię mety jako drugi i zasłabł w łodzi, zgięty w pół, prawie w stanie śpiączki. Dłonie miał zaciśnięte na wiosłach tak mocno, że dwaj silni mężczyźni musieli je odrywać, palec po palcu.

Tym razem, piątego lipca 1947, obserwowany przez rodziców i młodsze siostry, Kell nie popełnił żadnego błędu. Mając na głowie replikę słynnej zielonej czapki swojego ojca, zdobył z łatwością polerowane antyczne pudełko, w którym umieszczono najwyższe trofeum wioślarskie świata. Wracającego do Ameryki zawodnika uhonorowano triumfalnym przejazdem ulicami Filadelfii. W otwartym samochodzie siedział obok niego roześmiany ojciec. Burmistrz wydał na jego cześć uroczysty obiad. W wieku zaledwie dwudziestu lat, mając przed sobą trzy lata studiów na University of Pennsylvania, Kell zrealizował już swój życiowy cel. Trudno sobie wyobrazić, co takiego on albo inny członek rodziny mógłby w przyszłości zrobić, aby rozstawić jeszcze bardziej nazwisko Kellych.

Dopiero po zakończeniu wszystkich uroczystości na porządku dziennym stanęła ponownie kwestia dalszej edukacji młodszej siostry czem-piona. Ma Kelly zdecydowała się objechać żeńskie uczelnie Północnego Wschodu i w początkach sierpnia 1947 roku wyruszyła razem z Grace w drogę. Ale bardzo się spóźniły. Wszędzie, gdzie zawitały, nie było już miejsc, toteż w połowie miesiąca matka i córka znalazły się w Nowym Jorku, sporządzając ponurą listę w apartamencie starej przyjaciółki Ma Kelly, Marie Magee, która mieszkała niedaleko Broadwayu, na Pięćdziesiątej Piątej Zachodniej.

— Nie możemy jej zapisać do żadnego college'u — oznajmiła pani Kelly. — Co teraz zrobimy?

— A co ty byś chciała robić, Gracie? — zapytała pani Magee.

— Zastanawiam się, ciociu Marie, czy nie mogłabym studiować w Amerykańskiej Akademii Sztuk Dramatycznych — odparła Grace.

Marie Magee sama była kiedyś aktorką, a jej córka odbyła studia w Amerykańskiej Akademii, która zgodnie z tym, co implikowała jej nazwa, należała do czołowych prywatnych szkół dramatycznych w kra-

ju. W 1947 roku akademia mieściła się w salonach nad Carnegie Halli, tylko dwie przecznice od Broadwayu i Pięćdziesiątej Piątej Zachodniej i Marie Magee nie marnowała czasu. Umówiła Grace na spotkanie z administratorem szkoły, Emilem Diestelem, który zajmował się rekrutacją studentów.

— Nie mogę jej przyjąć, pani Magee — brzmiały według Marie słowa, którymi przywitał ich Diestel. — Nasza lista jest już zamknięta. Nie mamy ani jednego wolnego miejsca.

Pani Magee poprosiła Grace, żeby zaczekała na zewnątrz.

— Niech pan posłucha, panie Diestel — powiedziała. — Stryjem tego dziecka jest George Kelly.

Nazwisko słynnego dramaturga wywarło spodziewany efekt. Dla ludzi z pokolenia Emila Diestela George Kelly był wielką postacią, reprezentował również tradycyjną, pudełkową formę dramatu, którą preferowano w akademii.

— Zobaczą, co się da zrobić — powiedział Diestel, po czym wręczył Grace do przeczytania i przygotowania na następny dzień trzydzieści stron „Koryfeuszy” wujka George'a.

W prowadzonej odręcznie księdze przesłuchań Amerykańskiej Akademii Sztuk Dramatycznych odnotowano, iż Grace Patricia Kelly z Filadelfii stawiała się przed obliczem Emila E. Diestela w dniu dwudziestego sierpnia 1947. Ważyła sześćdziesiąt trzy kilogramy i mierzyła sto sześćdziesiąt i pół centymetra w pończochach. Jej cerę określono jako jasną, proporcje uznano za dobre, a w rubryce narodowość zapisano amerykańsko-irlandzka. Wpis poprzedzała znacząca notatka: bratanica George'a Kelly'ego.

Grace spędziła w mieszkaniu ciotki Marie, jak sama wspomina, bezsenną i niespokojną noc, ale nazajutrz wspaniale stanęła na wysokości zadania. Emil Diestel uznał jej interpretację za inteligentną, a temperament za wrażliwy. Instykt dramatyczny nagrodzony został krótkim Tak. Jedyne zastrzeżenia Diestela budził głos. Nie był odpowiednio ustawiony — ale można było temu zaradzić. Grace podbiła serce administratora. Uroczę dziecko — zanotował. — Dobre i obiecujące młodzieńcze załóżki. Powinna zrobić karierę.

Wbrew wszelkim przeciwnościom losu Grace udało się zrealizować cel, którego przed sześcioma miesiącami, gdy składała papiery do Bennington, żeby zostać tancerką, w ogóle przed sobą nie stawiała. Grace Patricia Kelly wpisana została w poczet słuchaczy Amerykańskiej

Akademii Sztuk Dramatycznych i w październiku 1947 roku miała rozpocząć pierwszy semestr nauki.

Pozostała jeszcze do załatwienia jedna sprawa. Rozmawiając w późniejszych latach z kochankiem, którego poznała w Akademii Sztuk Dramatycznych, Grace opowiedziała mu, jak tuż przed wyjazdem do Nowego Jorku straciła dziewictwo.

— „To stało się bardzo szybko — relacjonowała. — Przyszłam do przyjaciółki, żeby się z nią gdzieś wybrać, i nie zastałam jej w domu. Padał deszcz, a jej mąż powiedział, że nie będzie jej przez cały dzień. Zaczęliśmy ze sobą rozmawiać i nagle, nie bardzo wiedząc jak i kiedy, wylądowałam z nim w łóżku”.

Grace nie spała już nigdy więcej z tym mężczyzną, ale pozostała w przyjaznych stosunkach z nim i z jego żoną. Cały epizod był dla niej rodzajem pasowania na dorosłą kobietę, tajemną i tylko przy okazji sercową sprawą, którą musiała załatwić, żegnając się z dzieciństwem i wyjeżdżając do wielkiego miasta. Od chwili zerwania z Harperem Davisem bez przerwy igrała z seksem, sprawdzając, jak smakuje, gdy nie łączy się z prawdziwym uczuciem, i ten epizod stanowił ukoronowanie gry. Mała Gracie ruszała w dalszą drogę.

Jack Kelly zawsze protekcjonalnie traktował aktorskie ambicje córki i fakt, że dostała się w ostatniej chwili do czołowej amerykańskiej szkoły teatralnej, nie stanowił wcale jego zdaniem głównego osiągnięcia Kellych w roku 1947.

— Och nie, nie! — wołał, kiedy Margaret wróciła do Filadelfii, żeby zawiadomić go o wyniku przedsięwziętej z opóźnieniem podróży. — Nie sądzę, żeby to było dla niej odpowiednie miejsce — dodał.

— Daj jej pojechać — namawiała męża Ma Kelly. — Kochanie, na pewno wróci już po miesiącu. Wiesz, jaka jest nieśmiała.

Tylko pławiący się wówczas w chwale bohatera dnia Kell, który znał Grace trochę lepiej, zdawał sobie w pełni sprawę, co udało się osiągnąć jego młodszej siostrze. Zapytany w późniejszych latach, dlaczego droga życiowa Grace tak bardzo różniła się od reszty rodziny, odparł bez wahania: „bo wcześniej opuściła dom”.

Kell jeden spośród wszystkich uświadamiał sobie, jakim zwycięstwem był ten wyjazd dla dziecka Jacka i Margaret Kellych.

— Nikomu z nas nie udało się tego dokonać — wyjaśnił.

Część druga aktorka.

Dramatyczne początki.

W roku 1947 Amerykańska Akademia Sztuk Dramatycznych wyglądała dokładnie tak, jak powinna wyglądać kształcąca prawdziwych artystów szkoła teatralna. Gnieźdząca się na poddaszu Carnegie Hali uczelnia stanowiła labirynt wyłożonych skrzypiącą klepką pomieszczeń z biegnącymi wzdłuż ścian gołymi rurami, wysokimi zwieńczonymi łukiem oknami i dudniącymi przeciwpożarowymi schodami. Zakurzone wnętrza wypełniał w pozytywnym tego słowa znaczeniu zapach teatralnych kulis.

— Widziało się teatr, dotykało teatru i oddychało teatrem — wspomina Rachel Taylor, która studiowała razem z Grace. — Człowiekowi zdawało się niemal, że słyszy głosy

aktorów z przeszłości. Miał wrażenie, że uczestniczy w prawdziwej twórczości, która stawia go ponad zwykłymi zjadaczami chleba.

Duszą Akademii Sztuk Dramatycznych był Charles Jehlinger, jeden z twórców nowoczesnego amerykańskiego teatru. Niewielkiego wzrostu, białowłosa i piekielnie skoncentrowany niemiecki Żyd, był studentem pierwszego kursu akademii w roku 1884 i pełnił funkcję jej dyrektora od roku 1890. „Jelly”, jak nazywano go za plecami, skupiał szczególną uwagę na studentach, którzy zbliżali się do dyplomu, ale wyznawane przez niego idee nadawały ton całej szkole. Aristide d'Angelo, jeden z jego głównych adiutantów, zwykł poddawać studentów pierwszego roku pozornie banalnemu ćwiczeniu, które pozwalało mi w prosty sposób zrozumieć sedno sprawy.

Jeden ze studentów wychodził z sali, w której chowano następnie ołówek. Po powrocie ochotnika klasa naprowadzała go okrzykami »ciepło, „zimno”, „gorąco”, podobnie jak to się dzieje podczas

towarzyskiej zabawy. Kiedy ołówek został znaleziony, zostawiano go tam, gdzie był, a ochotnik musiał powtórzyć wszystko od początku i okazywać tę samą niepewność i wątpliwość co za pierwszym razem. Wiedział teraz doskonale, gdzie znajduje się schowany przedmiot, ale musiał starać się odegrać całą scenę na tyle przekonująco, żeby klasa nadal pomagała mu swoimi okrzykami.

D'Angelo ilustrował w ten sposób fundamentalne wyzwanie, przed którym staje każdy aktor. Z racjonalnego punktu widzenia widownia dobrze wie, że przedstawienie było wystawiane już wiele razy przedtem, a film tworzą po prostu refleksy światła, które pada na rolkę celulozową, schowanego w blaszanej puszcze. Zadaniem aktora jest jednak stworzenie złudzenia, tak aby ta racjonalna prawda ani przez moment nie docierała do publiczności.

Dla Charlesa Jehlingera aktorstwo było podniosłą i mistyczną formą magii. Aktor jest wszystkim, co jest, zależnie od swojej woli — napisał w górnolotnym i czasami niezrozumiałym prośpektie swojej akademii. Podobnie jednak jak najlepsi iluzjoniści Jehlinger wiedział, że sekret udanej magii jest bardzo przyziemny i tkwi w ciężkiej pracy i ciągłych powtórkach — że właśnie dzięki nim nabywa się umiejętności, które lubił określać mianem zdrowych fundamentów. Jego studenci odkrywali w rezultacie, że życie upływa im na ćwiczeniach i musztrze, które czasami znacznie oddalają ich od „Hamleta”. — Kazano nam iść do Bowery i obserwować jakiegoś pijaka, a potem wrócić i odegrać go — wspominała później Grace, opisując zajęcia, które odbywały się pod hasłem „Ekspresja mimiczna: studiowanie życia”.

— Musieliśmy udawać, że jesteśmy małpami — opowiada ówczesna przyjaciółka Grace, Bettina Thompson. — Wszyscy łazili więc po studiu z wypiętymi tyłkami, sztywnymi plecami i dynadającymi nisko rękoma. Inna przyjaciółka, Murr Sinclair, wspomina skomplikowane i bolesne zajęcia poświęcone spadaniu ze schodów.

Awangarda amerykańskiego teatru uważała Jehlingera za przesadnie staroświeckiego i przywiązującego zbyt wielką wagę do kwestii techniki gry. W latach po drugiej wojnie światowej modna była szkoła aktorska „metoda”, rozwinięta w Ameryce w Studiu



Aktorskim Lee Strasberga i spopularyzowana później wśród szerokiej publiczności przez posępne kreacje Jamesa Deana i Marlona Brando. Scenicznymi detalami gardzono jako czymś sztucznym. Liczyło się uczucie. Kluczem do „metody” była koncepcja, że aktor powinien sięgać do osobistych przeżyć, żeby odnaleźć tam autentyczną ekspresję radości, wstydu, gniewu i innych emocji, jakich wymaga jego rola. Jehlenger, podobnie jak wielu innych krytyków Strasberga, uważał jednak, że introspekcyjny styl „metody” daje w efekcie obsesyjnie egocentryczne role, które często więcej znaczą dla aktora niż dla publiczności. Zadaniem aktora było bawić i Jelly nie miał czasu na mamrotanie i jąkanie. Swoje posłannictwo widział w przekazaniu studentom profesjonalnego kodeksu aktorskich technik i zachowań, poczynając od „nawyku sięgania po słownik”, aż po styl, w jakim jego podopieczni prezentują się światu, zarówno na scenie jak i poza nią.

Aktor i aktorka powinni wiedzieć, jak ubierać się ze smakiem, stosownie i naturalnie — czytamy w jego prospekcie na rok 1947/48. Uczniowie Jehlingera mogli mieć artystyczne zacięcie, a nawet należeć do kręgów cyganerii, ale oczekiwano od nich również, że będą się zachowywać jak młode damy i dżentelmeni.

— Mieliliśmy gościnne wykłady — wspomina Murr Sinclair. — Przychodzili i udzielali nam lekcji tacy ludzie jak Helen Hayes, a potem oczekiwano, że dziewczęta będą się odpowiednio ubierać, w kapelusze i krótkie białe rękawiczki.

Po raz kolejny edukacja Grace Kelly odbywała się w miejscu, gdzie maniery oraz etykieta traktowane były bardzo poważnie. Na liście słynnych absolwentów akademii widniały nazwiska Spencera Tracy'ego, Katharine Hepburn, Kirka Douglasa i Lauren Bacall. W czasie gdy Grace rozpoczynała studia, gwiazdami drugiego roku byli Don Rickles i Jason Robards. Zawodowy styl tych aktorów i aktorek nie miał w sobie nic manierycznego. Jednak właśnie tradycyjny i formalistyczny charakter szkoły Jehlingera najwyraźniej poruszał znajomą strunę w Grace. Uwielbiała, staroświeckie zajęcia zfechtunku i scenicznego pojedynku i zawsze powtarzała, iż zawdzięcza Akademii swoją prostą sylwetkę i fascynujący królewski chód.

— Stale się garbiłam — opowiadała. — Kiedy leżałam na podłodze tak płasko, jak tylko mogłam, instruktor pochylał się nisko i mówił: „Widzę powietrze”. To oznaczało, że muszę rozplaszczyć się jeszcze bardziej.

— Technika, wiecznie ta technika — wspomina Rachel Taylor. — Tym zajmowano się przede wszystkim w akademii. Pamiętam pewne ćwiczenie, kiedy otwierali na oścież te wielkie okna na Pięćdziesiątą Siódmą Ulicę i kazali nam oddychać. „Czy przyjechałam do Nowego Jorku po to, żeby nauczyć się oddychać?”, pomyślałam wtedy. To dzięki akademii zakochaliśmy się wszyscy w teatrze, ale jedynym sposobem, żeby nauczyć się grać — naprawdę grać — było wyjść stamtąd i robić to.

Grace Kelly czuła z pewnością to samo. Obdarzona na swoje szczęście i nieszczęście perfekcjonistyczną naturą ojca, zawsze wymagała od siebie więcej i zawsze chciała lepiej opanować aktorskie rzemiosło. Jej kariera okazała się ciągłym procesem uczenia się, które w znacznej mierze odbywało się już po opuszczeniu murów Akademii Sztuk Dramatycznych. Ale to właśnie w trakcie owych kilkunastu miesięcy spędzonych w

dusznych pomieszczeniach nad Carnegie Hali rozwinęła w sobie kilka istotnych cech, które złożyły się na jej aktorski wizerunek. Najważniejszą z nich był głos, który stał się jej znakiem firmowym — słynny akcent Grace Kelly.

Wyszkolone ucho wykryje wszystkie błędy w wymowie, akcencie i intonacji — czytamy w prospekcie akademii z roku 1947 — jednak w wyniku starannego i wytrwałego procesu korekcji można ostatecznie usunąć dialektyczne naleciałości Pensylwanii i Nowej Anglii, Kanady i Południa. Detronizacji dokonać miał instruktor głosu, Aristide d'Angelo, któremu pomagał Edward Goodman, niski elegancki Anglik z laską o srebrnej gałce, kryjącej buteleczki z przyrządzonym już wcześniej martini, którym regularnie się pokrzepiał. Goodman mówił z doskonale modulowanym oksfordzkim akcentem i nie rzucał słów na wiatr. Wysłuchał Grace tylko raz i bez wahania wydał werdykt:

„Musisz się pozbyć tego straszego nosowego akcentu!”

Nadając Grace nowy głos, Goodman zaatakował przede wszystkim jej wysoki ton i dykcję. Stosował skomplikowane ćwiczenia relaksacyjne, które studenci musieli wykonywać siedząc na krzesłach z prostymi oparciami. Obniżyły one ton jej głosu, korygując tendencję do pisk-liwości. Seria ćwiczeń samogłoskowych i spółgłoskowych nauczyła ją oddzielać części składowe każdego artykułowanego słowa.

Rezultaty tych ćwiczeń mogą się czasami wydawać zbliżone do magii — szczycił się Jehlinger w swoim prospekcie i w przypadku Grace okazało się to prawdą. Kiedy rozstawała się ze swymi instruktorami głosu, jej profesjonalny, sceniczny i ekranowy akcent stanowił wysokiej jakości produkt — dźwięczny jak dzwon i posiadający idealną dykcję

wielkich angielskich aktorek, które zostają na starość baronesami. Gdy Grace Kelly wymawiała słowo „rotten”, słychać było każde pojedyncze „t” i jeszcze kilka poza tym, a jej wyrwane przez Edwarda Goodmana z gleby East Falls samogłoski przebyły cały Atlantyk, żeby zakotwiczyć w bezpośredniej bliskości brytyjskiego wybrzeża.

Olśniewająca uroda Grace Kelly mogła być zasługą szczęśliwego połączenia irlandzkich i niemieckich genów, ale jej głos stanowił w przeważającej mierze efekt ciężkiej pracy i mobilizującej świadomości tego, kim chciała zostać. Częściowo przypominający Jane Austin, częściowo Mary Poppins, głos Grace tchnął wyszkoloną i dobrze ułożoną bezbronnością. Podczas gdy głos Marilyn Monroe mówił: „uściśnij mnie”, a głos Mae West: „przeleć mnie”, głos Grace Kelly zwracał się uprzejmie: „proszę, weź mnie za rękę”. Poza zajęciami w akademii Grace brała prywatne lekcje u Maria Fiorelli, operowego tenora, który przyjaźnił się z ciotką Marie Magee. Spędzała także długie godziny, wykonując ćwiczenia głosowe z założonymi na nosie przyszczypkami do bielizny.

— Robiła to celowo — wspomina jej stara przyjaciółka, Dottie Sitley. — Zaciskała nos, żeby obniżyć rejestr głosu i ulokować go w głębi gardła.

Jeśli ktoś wsłuchał się przez chwilę w komponenty profesjonalnej wymowy Grace Kelly, brzmiała ona całkiem śmiesznie — i takie właśnie wrażenie odnieśli przyjaciele i rodzina, kiedy studentka akademii wróciła po raz pierwszy do Filadelfii.

— Poszliśmy na koktajl — wspomina jej koleżanka ze Stevens School, Jane Porter. — Nagle weszła Grace i pomyślałam: „Nie mogę w to uwierzyć!” Miała taki wyraźnie brytyjski akcent.

Rodzina Kellych nazywała to „nowym głosem Grace”.

— Bez litości jej dokuczali — wspomina Alice Godfrey.

Muszę tak mówić ze względu na swoją pracę — odpowiadała poirytowana Grace i rodzina dawała jej przynajmniej na chwilę spokój.

Jack Kelly pozwolił swej średniej córce przenieść się w przeddzień osiemnastych urodzin do Nowego Jorku wyłącznie pod warunkiem, że znajdzie tam dla niej bezpieczne i odpowiednie lokum. Jego obawy rozwiął w pewnym stopniu Barbizon Hotel na rogu Sześćdziesiątej Trzeciej i Lexington Avenue — położony w samym sercu Manhattanu dla mieszkalny dla kobiet, w którym starające się o wynajęcie pokoju panny musiały przedstawić trzy świadectwa moralności, a mężczyznom wolno było przebywać wyłącznie na parterze.

— Było to coś w rodzaju bardzo szykownego internatu — wspomina Murr Sinclair.

Barbizon otaczała legenda nowojorskiego gniazda, z którego wyfrunęła niejedna świeżo opierzona piękność. Joan Crawford, Gene Tierney i Lauren Bacall — wszystkie one mieszkały w wytapetowanych na różowo i zielono pokojach Barbizon, z łazienkami i ubikacjami usytuowanymi niezbyt wygodnie na korytarzu. W swej powieści „Szklany kloz” (The Bell Jar) Sylvia Plath przechrzcila Barbizon na „Ama-zon” — Hotel ten — nazywał się „Amazonka” — przyjmował wyłącznie kobiety, a były to przeważnie moje rówieśnice, córki zamożnych rodziców, którzy chcieli mieć pewność, że mężczyźni nie będą mieli do nich dostępu i nie będą mogli ich uwieść.

Dokładnie z tego powodu Barbizon stanowił jednak magnes przyciągający miejscowych złotych młodzieńców. Krążyli po hallu wejściowym, dowcipkując z tęgimi windziarkami, które obejmowały wieczorem służbę po to, by pilnować cnoty wyższych pięter. Murr Sinclair, która wraz z grupą koleżanek z akademii mieszkała w oddalonym od centrum pensjonacie pod czujnym okiem gospodyni, pamięta, że spoglądała zazdrosnym okiem na kłębiące się tłumy zalotników i względną wolność, jaką cieszyły się dziewczęta w Barbizon Hotel.

— Świetnie się bawiły. Mogły bez przeszkód robić wszystko to, co chciały.

Z pewnością odpowiadało to prawdzie w przypadku Grace. Jej kolega z akademii, Mark „Herbie” Miller, wspomina Barbizon z dużym sentymentem.

— Jechaliśmy na trzynaste piętro, gdzie znajdowała się świetlica, której część odgradzona była sznurem. Grace i ja zaszywaliśmy się tam i całowali jak szaleni.

Nazywaliśmy to wtedy „migdaleniem się”; mnóstwo całusów i tego rodzaju rzeczy. Byliśmy jak dwa baraszkujące ze sobą szczeniaki.

Herbie Miller spotkał Grace pierwszego dnia swojego pobytu w akademii.

— Zobaczyłem tę anielską istotę i po prostu zakochałem się w niej od pierwszego wejrzenia. Przypuszczam, że ona poczuła to samo w stosunku do mnie.

Wesoły i pełen animuszu, o posturze zawodnika futbolu amerykańskiego, Herbie Miller należał do najprzystojniejszych mężczyzn, którzy • zakwalifikowali się do akademii w

roku 1947. Reprezentował styl kobiecego idola, który paraduje z podniesionym stale zawadiacko kołnierzem kurtki. Pod nazwiskiem Marka Millera grał potem główne role w wielu telewizyjnych serialach, między innymi w „Nie jedzcie stokrotek” (Please Don't Eat the Daisies). W roku 1947 miał jednak podobnie jak Grace kłopoty z wymową.

— „Jeśli nie pozbędziesz się tego teksańskiego akcentu — powiedział mu pan Goodman — przez całe życie będziesz grał kowbojów”.

Instruktor głosu postawił tę diagnozę w trakcie tych samych zajęć, podczas których wypomnił Grace jej filadelfijską nosową wymowę.

— Prawie co wieczór ćwiczyliśmy więc razem nasze głosy — wspomina Miller. — How-now-brown-cow, tego rodzaju rzeczy, w tę i z powrotem, trzy albo cztery razy w tygodniu przez ponad rok.

Herbie i Grace tworzyli atrakcyjną, połączoną wspólnym celem młodą parę. Doskonalać swoje rzemiosło, stawiali sobie za punkt honoru zaliczenie najnowszych europejskich filmów, które wyświetlano w Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Byli miłośnikami niedocenianego brytyjskiego stylu Aleca Guinnessa. Bettina Thompson, która dzieliła z Grace pokój w Barbizon Hotel, pamięta bardziej frywolne wypadki.

— Któregoś wieczoru poszliśmy na film z Fredem Astaire'em — opowiada — a potem robiliśmy piruety i inne taneczne numery na kamiennych schodach katedry Świętego Patryka.

Grace, niewinna i radosna mieszkanka Nowego Jorku, nie miała pojęcia o rabusiach ani handlarzach narkotyków — a także o parko-metrach.

— Mogłyśmy na przykład siedzieć w środku nocy w piżamach, popijając kawę — wspomina Murr Sinclair — i nagle ktoś rzucał hasło: „Chodźmy na taki czy inny film”. Zarzuciłyśmy wtedy na ramiona płaszcze, wskakiwałyśmy do mojego samochodu, który stał otwarty na ulicy, i jechałyśmy do kina — mając pod spodem piżamy.

Grace świetnie pasowała do tego rozchichotanego i beztroskiego towarzystwa, dla którego szczytem niesubordynacji była umiejętność przemycenia elektrycznych lokówek do pokoju w Barbizon, gdzie obowiązywał surowy zakaz korzystania z wszelkich urządzeń elektrycznych. Była wylewna, wesoła, ekstrawertyczna — zupełnie niepodobna do

nieśmiałej dziewczyny, którą Ma Kelly spodziewała się zobaczyć wracającą chyłkiem na Henry Avenue. „To jest dokładnie to miejsce, w którym zawsze chciałam mieszkać, mamo!” — napisała do domu zaledwie po kilku tygodniach spędzonych w Nowym Jorku. W nowym kręgu znajomych Grace stanowiła dorosłą wersję małej dziewczynki, która organizowała seanse palenia papierosów w grocie i wyrzucała niesmaczne jedzenie przez okno Akademii Ravenhill. Koleżanki z Barbizon pamiętają odzianą w nader skąpą bieliznę Grace, która wykonywała swoje egzotyczne tańce na korytarzu i wślizgiwała się z powrotem do pokoju na odgłos nadjeżdżającej windy.

W przeciwieństwie do niektórych jej kochanków Herbie Miller nie chce rozmawiać na temat fizycznego aspektu swych stosunków z Grace.

— Powiedzmy, że byliśmy parą zakochanych — mówi. — Spotkaliśmy się, kiedy w zasadzie byliśmy jeszcze dziećmi. Wiem po prostu, do jakiego stopnia kochała życie. Była bardzo romantyczną osobą, w żadnym wypadku nie chłodną ani wyciosaną w

granicie lub marmurze — wprost przeciwnie. Była niewiarygodnie ciepłą, zwyczajną i lubiącą się zabawić dziewczyną.

Grace nie przedstawiła swojego nowojorskiego chłopaka rodzicom, Herbie spotkał jednak legendarnego stryjka George'a — „był bardzo wytwornym staruszką, bardzo eleganckim” — a także poznał jej siostry.

— To było naprawdę dziwne, ponieważ darzyła wielkim podziwem swoją starszą siostrę. Stawiała Peggy na piedestale. „Daj spokój, Grace”, mówiłem. „Jesteś znacznie ładniejsza od niej”. „Och nie, skądże znowu”, odpowiadała. Z jakiegoś powodu czuła się od niej pod każdym względem gorsza.

Ten kac po zapamiętanych z dzieciństwa pochwałach, którymi obsypywano błyskotliwą Babę, odbijał się na wyglądzie Grace, kiedy czuła się nieśmiała.

— Bywały chwile, gdy w niczym nie przypominała atrakcyjnej młodej dziewczyny — wspomina Murr Sinclair. — Wkładała tweedową spódnicę, stary sweter i okulary w ciężkiej rogowej oprawie.

Kiedy Grace wpadała w ponury nastrój, można było pomyśleć, że naprawdę chce się upodobnić do starej nauczycielki. Przyjaciele pamiętają, jak jadała czasem samotnie kolacje przy swoim stoliku w Barbizon Hotel, sztywno wyprostowana i markotna, w okularach i ze wzrokiem utkwionym w książkę — typowa stara panna.

Dick Coons, młody, rozpoczynający właśnie karierę w Nowym Jorku bankier, umówił się z Grace na kilka randek wkrótce po tym, jak zamieszkała w Barbizon. Pozostała mu w pamięci jako kobieta, która wciąż szukała swojego miejsca i której brak pewności odbijał się w jej strojach.

— Któregoś wieczoru pojawiła się w bardzo eleganckiej czarnej sukience, z upiętymi wysoko włosami. Była posągowa i wyrafinowana. Następnym razem przypominała córkę farmera... ubrana w perkalową spódniczkę i bluzkę. A za trzecim razem przyszła w tweedowej spódniczce... typowa, nie wyróżniająca się niczym licealistka. Zależało to od jej nastroju. Odniosłem wrażenie, że przymierza po prostu różne osobowości.

Okazja, żeby odegrać kolejną rolę, trafiła się Grace, kiedy w któryś weekend pojechała do Connecticut.

— Pracowałem wtedy jako model — wspomina Herbie Miller — i zatrzymaliśmy się oboje w domu fotografa. Ale facet ani razu nie spojrzał w moją stronę. Gapił się tylko na Grace. „Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli pstryknę kilka zdjęć twojej przyjaciółce?”, zapytał.

.Mam do zrobienia okładkę Redbook”.

Grace pojawiła się na okładce Redbook — a także na okładkach Cosmopolitan, True Romance i True Story — wszystko w ciągu zaledwie jednego roku. Specjalnie się o to nie starając, odkryła nagle, że jest modelką. W jej przypadku wydawało się to czymś naturalnym. Przez całe życie pozowała do fotografii, poczynając od kampanii politycznych ojca aż po pokazy mody i imprezy dobroczynne organizowane przez matkę na rzecz Women's Med. Teraz uśmiechała się promiennie, reklamując papierosy Old Gold („poczęstunek zamiast kuracji”), a także środek owadobójczy Bridgeport Brass Company.

Wykonywałam to, co nazywało się ilustracją — wspominała później. Zaczęła nawet występować w reklamach bielizny, ale wkrótce zerwała z tym, kiedy podczas weekendowej wizyty w domu zasięgnęła rady swoich starych nauczycielek z Ravenhill.

„Kim jesteś, Grace? — zapytała ją siostra Francis Joseph. — Kim jesteś?”

— Pozwoliłam — wspomina siostra — żeby sama udzieliła mi na to pytanie odpowiedzi. Pozwoliłam, żeby sama powiedziała mi, dlatego nie powinna pozować do tego rodzaju fotografii... i potem nigdy już tego nie robiła.

Grace zawsze była fotogeniczna. Fotogeniczni byli wszyscy Kel-ly'owie. Biegając do studia fotografa między zajęciami w akademii, Grace zdała sobie nagle sprawę, jak bardzo kocha ją aparat fotograficzny. Przełożona na azotan srebra jej uroda po prostu biła w oczy. Nie miała wystarczająco zapadniętych policzków i anorektycznej sylwetki, żeby znaleźć stałą pracę przy pokazach wielkiej mody, ale była nieskazitelna i przystojna — wysniona i olśniewająca wersja dziewczyny z naprzeciwka.

Carolyn Scott, koleżanka mieszkająca po drugiej stronie korytarza w Barbizon, zarabiała już wtedy duże pieniądze jako modelka i to ona właśnie zachęciła Grace do systematycznego odwiedzania nowojorskich agencji reklamowych. Pasta do zębów, kremy, mydło, piwo, odkurzacze — Grace reklamowała wszystkie te produkty, otrzymując honoraria, które wahały się od siedmiu dolarów pięćdziesięciu centów do dwudziestu pięciu dolarów za godzinę (równowartość od siedemdziesięciu do dwustu trzydziestu dolarów na początku lat dziewięćdziesiątych). Gorzej szło jej podczas pokazów. Potrafiła lodowato potraktować biznesmenów, którym zdawało się, że mogą bezkarnie oblać stojące na wystawach modelki. Dostawała jednak wysokie honoraria za telewizyjne reklamówki. Przy Henry Avenue 3901 w Filadelfii cała rodzina wielokrotnie przerywała obiad i biegła do pokoju telewizyjnego, żeby obejrzeć Grace pozującą z najnowszym produktem firmy Electrolux.

Kariera modelki okazała się bardzo lukratywna. Old Gold płacił jej dwa tysiące za jedną sesję (więcej niż osiemnaście tysięcy dzisiejszych dolarów). Ale pieniądze nie uderzyły Grace do głowy. Oszczędna Ma Kelly dobrze wychowała swoje dzieci. Kell trzymał pieniądze w dziwnej zapinanej na zatrzask małej torebce, podobnej do tych, jakie noszą kobiety. Znany był z tego, że otwierał ją bardzo niechętnie i pod tym względem Grace zbytnio się od niego nie różniła. Przyjaciele żartowali na temat niebezpieczeństw, na jakie narażały się osoby podróżujące z nią taksówką. Uśmiechnięta i roztargniona Grace ulatniała się na ogół niepostrzeżenie, pozostawiając swoich współpasażerów sam na sam z bijącym taksometrem.

Po raz kolejny mamy tu do czynienia z syndromem pozornie zagubionej i bezradnej dziewczyny, która w rzeczywistości umiała o sobie świetnie zadbać. W głębi duszy Grace była bardzo konkretna. Tego właśnie Jack Kelly oczekiwał od swoich dzieci — i Grace starała się go nie zawieść. Nie wydawała zarobionych pieniędzy na ekstrawaganckie stroje czy pantofle z nowych kolekcji. Pierwsze honoraria wysłała prosto do ojca, spłacając czesne i rachunki za pokój w Barbizon. Decyzję w tej sprawie podjęła sama Grace, nie ojciec.

— Chciała być samowystarczalna — wspomina Maree Frisby Ram-bo. — Chciała utrzymywać się sama i uniknąć sytuacji, w której ojciec mógłby później przypisać całą zasługę sobie.

W roku 1948 brat Grace, Kell, stał się dzięki ojcu wioślarem o światowej sławie, a Peggy wyszła za mąż i zamieszkała ze swym świeżo poślubionym małżonkiem niedaleko Henry Avenue, w domu, który Jack Kelly wybudował i niemalym kosztem umeblował. Grace chciała tego uniknąć.

— Robiła wszystko sama — stwierdziła później Peggy. — Płaciła czynsz. Płaciła chesne. Matka i tato nigdy nie wysłali jej ani centa.

Niespodziewane sukcesy Grace w roli modelki budziły pewną zazdrość wśród jej kolegów w akademii.

— Była kandydatką do tytułu Miss Rheingold (marka piwa) — wspomina John Lupton, który chodził do jej klasy. — Wszędzie rozwieszono były olbrzymie afisze. Zadzierano się głowę i na szczycie pięciopiętrowego budynku widziało się twarz Grace Kelly.

Grace we własnym wąskim kręgu przyjaciół cieszyła się dużą sympatią. Traktowała kolegów serdecznie i ciepło. Życie na wyższych piętrach Barbizon Hotel stale obfitowało w śmiechy i żarty. W stosunku jednak do ludzi, których nie znała zbyt dobrze, potrafiła być zdecydowanie powściągliwa i zyskała sobie przez to reputację „snobki”.

— Była samotniczką — stwierdziła Mary Woolverton, kolejna studentka akademii, w rozmowie z Jamesem Spada w roku 1985. — Zachowywała się jak modelka, która wchodzi, odstawia swój numer i wychodzi. Niektórzy studenci podziwiali ją z powodu urody i tego dystansu, jaki w sobie miała... Nigdy nie zapomnę, jak ubrała się na zajęcia z wychowania fizycznego. Mieliśmy włożyć trykoty i Grace wyglądała w nich absolutnie prześlicznie. Była taka piękna. Ale zawsze miałam wrażenie, że jest chłodna.

Ludzi drażniła pozorna łatwość, z jaką Grace osiągała sukcesy.

Zawsze sprawiała wrażenie osoby na luzie — wspomina Murr Sinclair. — Pamiętam Annę Italiano, która później została Annę Ban-croft. Studiowała z nami w akademii. Była szczerą i dynamiczną. Z pewnością niezbyt zamożną, ale bardzo towarzyską. Przynosiła do kafeterii własne kanapki. Miała duże płomienne ciemne oczy. Nie ulegało wątpliwości, że Annie będzie kiedyś aktorką przez duże A. Za to Grace sprawiała wrażenie osoby szukającej swojego miejsca.

Wioślarscy mistrzowie opowiadają, że podczas treningów i wyścigów zdarzają się chwile takiego bólu, że zawodnik widzi wokół siebie tylko czarną ścianę gniewu i rozpacz. Zdradzenie jednak choćby jednym gestem doznawanej udręki może zakłócić chwiejną równowagę, dzięki której łódź utrzymuje się na wodzie. Jack Kelly wychował swoje dzieci tak, aby nigdy nie okazywały słabości. Nie było w stylu Kellych przyznawanie się do jakiegokolwiek obawy przed niepowodzeniem, toteż Grace zawsze potrafiła ukryć, ile wkłada wysiłku i ambicji w swoje poczynania. W przeciwieństwie do Annę Bancroft tylko przed nielicznymi ujawniała, z jaką wytrwałością i uporem dąży do postawionego sobie celu.

Kiedy na przyjęciu przy Park Avenue w roku 1948 po raz pierwszy spotkała Alexa D'Arcy'ego, nie powiedziała mu nawet, że studiuje aktorstwo. Przyznała się tylko do tego, że jest modelką. Była bardzo podekscytowana z powodu kontraktu, który udało jej się

właśnie podpisać na reklamę kapeluszy, bo stanowił zdecydowany krok naprzód w stosunku do odkurzaczy i środków zwalczających karaluchy. Ta dyskrecja trochę zaskakuje, ponieważ D'Arcy był w tym czasie uznanym i odnoszącym sukcesy aktorem z przeszło dwudziestoma filmami na swoim koncie. W wydany w roku 1938 przez Akademię Filmową spisie wykonawców umieszczono go obok Gary'ego Coopera, Cary'ego Granta i Clarka Gable'a jako jednego z czołowych hollywoodzkich gwiazdorów.

— Chciałbym zaprosić cię na kolację — powiedział D'Arcy do Grace.

— W porządku — odparła. — Zadzwoń do mnie.

Podczas pierwszej randki Alex zaprowadził ją do El Morocco, którego właściciel, John Perona, powitał gorąco oboje i przysiadł się po chwili do stolika, żeby uciąć krótką pogawędkę. Coś takiego stanowiłoby miły gest w każdym lokalu, szczególnie jednak schlebiało ze strony gospodarza, który pierwszy wpadł na pomysł utworzenia „Syberii” — czyli specjalnego rewiru na tyłach sali restauracyjnej, do którego relegowano osoby niemodne, nieznanne i proszące o zapakowanie do torebki resztek dla psów. Kiedy w trakcie drugiej randki D'Arcy i Grace odwiedzili Stork Club, właściciel, Sherman Billingsley, potraktował ich przez czysty przypadek z równą atencją.

— Chyba jej zaimponowałem — wspomina D'Arcy.

Obwołany po swoim debiucie w roku 1928 w „Ogrodzie Allacha” (Garden of Allah) „nowym Valentino”, D'Arcy był lubianą postacią w kawiarnianym świątku. Kiedy ogląda się zrobioną w 1940 roku w nocnym klubie fotografię, przedstawiającą go razem z przyjacielem, Errolem Flynnem, naprawdę trudno odróżnić ich od siebie. Obaj mają takie same zaczesane do tyłu przyлизane włosy i cienkie wąsiki — i obu trawiły w życiu podobne żądze.

— Dziewczęta były moim hobby — przyznaje dzisiaj szczerze D'Arcy. — Jednak nigdy, ale to nigdy nie poszedłem z dziewczyną do łóżka, jeżeli tego nie chciała. „Posłuchaj, darling”, mówiłem, „jeśli chcesz, to świetnie. Jeśli nie chcesz, też dobrze”.

„Dahling” D'Arcy'ego wymawiane było z ochryplym, uwodzicielskim francuskim akcentem. Urodzony w Egipcie we francuskiej rodzinie aktor, gdy spotkał Grace, miał trzydzieści kilka lat. Chociaż był od niej prawie dwa razy starszy, Grace — nie po raz ostatni — nie umiała się oprzeć mężczyźnie z francuskim akcentem.

— Wracaliśmy do domu taksówką — wspomina D'Arcy. — Znaliśmy się od jakichś dziesięciu dni i spotkałem się z nią już kilka razy. Sprawiała wrażenie miłej, dobrze wychowanej dziewczyny. Była zawsze nieśmiała i dlatego właśnie tak ją polubiłem. Ubierała się bardzo konserwatywnie i bardzo uroczo, w żadnym wypadku jak dziewczyna, która ma zamiar wskoczyć ci do łóżka.

Mimo to D'Arcy doszedł do wniosku, że być może spróbuje delikatnego podejścia. Wyciągnął rękę i dotknął niby przypadkiem jej kolana. Zdumiała go jej reakcja.

— Rzuciła mi się w ramiona — opowiada. — Nie mogłem w to uwierzyć. Stanowiła czyste przeciwieństwo tego, na co wyglądała.

D'Arcy nie musiał wygłaszać swojego „jeśli chcesz, to świetnie, a jeśli nie chcesz, też dobrze”. Grace z radością poszła do jego mieszkania przy Wschodniej Pięćdziesiątej Trzeciej Ulicy numer 140 i spędziła z nim noc.



Była to pierwsza z namiętnych nocy, które mimo że upłynęło od nich prawie pół wieku, wciąż budzą w D'Arcym podziw i szacunek dla żarliwości i energii jego młodej przyjaciółki.

Była bardzo, bardzo namiętna — wspomina — naprawdę bardzo gorąca, jeśli idzie o seks. Dotknęło się jej tylko raz i skakała pod sufit. Nie ulegało żadnym wątpliwości, że nie jest dziewicą. Z całą pewnością była doświadczona.

Początkowo Grace sprawiała na D'Arcym wrażenie całkiem prostej dziewczyny. Jej seksualne potrzeby były zwyczajne i niewyszukane. Kiedy jednak zdał sobie sprawę z różnicy między tygrysią, z którą znalazł się w łóżku, i przesadnie skromną panią, z którą miał do czynienia w każdych innych okolicznościach, musiał przyznać, że Grace Kelly jest bardzo skomplikowana.

— W gruncie rzeczy była nieśmiała — wspomina. — Ale nie fizycznie. W seksie wszystko było dla niej możliwe. Może było to coś, co w sobie ukrywała. Zachowywała się jak zupełnie inna osoba.

Zasady regulujące pobyt w Barbizon Hotel absolutnie nie przeszkadzały Grace spotykać się z D'Arcym. Personel hotelu skutecznie wzbraniał mężczyznom wstępu do sypialni na piętrach, nie był jednak w stanie kontrolować, czy lokatorki na pewno spędzają noc we własnych łóżkach.

Grace widywała się też nadal ze swoim kolegą z akademii, Herbiem Millerem, który nie miał pojęcia, do jakiego stopnia oszukuje go jego przyjaciółka.

— Odwiedzali ją oczywiście różni faceci — wspomina dzisiaj. — Wyobrażałem sobie, że jestem jedynym mężczyzną w jej życiu, a potem w szkole pojawiał się jakiś ogier. „Kim jest ten facet?”, pytałem. „Taki mój znajomy... Szaleje na moim punkcie”, odpowiadała ze śmiechem i zamykała kwestię, tak jakby robiła temu biedakowi grzeczność. Nigdy się nad tym poważnie nie zastanawiałem. Przypuszczam, że byłem bardzo naiwny.

Grace i Alex D'Arcy powiedzieli sobie do widzenia, kiedy aktor musiał wyjechać w sprawach zawodowych do Paryża. Na krótko przed jego wyjazdem Grace wspomniała, że niezależnie od pracy modelki ma nadzieję zostać kiedyś aktorką. Nie przywiązywała jednak do tego wielkiej wagi i z całą pewnością nie starała się wyciągnąć od starszego kochanka użytecznych informacji i kontaktów, które dobrze ustawiony aktor mógł zaoferować dziewczynie stojącej dopiero u progu kariery.

— W tej branży w dziewięćdziesięciu procentach odbywa się to na niby — twierdzi D'Arcy, który w późniejszym czasie zrobił jeszcze szesnaście filmów, wśród nich *How to Marry a Millionaire* („Jak wyjść za milionera”) z Marilyn Monroe i Betty Gracie. — Jednak Grace nie robiła tego na niby. Była bardzo namiętną i wspaniałą dziewczyną. Nie traktuję spędzonego z nią miesiąca jako taniej przygody. Uważam, że łączyła nas prawdziwa przyjaźń. To było dla mnie bardzo cenne: piękna romantyczna historia.

Przeszło dwanaście lat później, na początku lat sześćdziesiątych D'Arcy znalazł się na plaży w Monako, w namiocie swoich francuskich przyjaciół, członków Monte Carlo Beach Club. Mniej więcej trzydzieści metrów dalej ustawiony był namiot rodziny książęcej i D'Arcy zobaczył nagle swoją dawną przyjaciółkę, obecnie sławną na cały świat księżną,

która stąpała z gracją po piasku. Grace wyglądała poważniej niż kiedykolwiek i D'Arcy chciał w pierwszej chwili odwrócić się, żeby uniknąć kłopotliwej sytuacji. Ale Grace go spostrzegła i zmierzyła uważnym spojrzeniem, mrużąc oczy w sposób charakterystyczny dla krótkowidza. Próbowała przypomnieć sobie twarz, która najwyraźniej wydawała jej się znajoma.

Zdając sobie sprawę, że uruchomiony został mechanizm pamięci, D'Arcy poczuł, jak ogarnia go panika. Wydawało się bardzo prawdopodobne, że po wszystkich tych latach całkiem go zapomniała. A może zapamiętała go zbyt dobrze, na tyle dobrze, że teraz potraktuje go jak powietrze?

Księżna Monako rozpoznała w końcu starego przyjaciela. Jej twarz rozjaśnił magiczny uśmiech i pomachała mu czule ręką. Aktorowi wydawało się, że odnajduje w tym gościu odrobinę ciepła i przyjaźni, których zaznał podczas swej krótkiej znajomości z młodą Grace.

— Nie podszedłem, żeby z nią porozmawiać — mówi D'Arcy. — Nie chciałem tego robić w obecności całej jej rodziny. To nie byłoby właściwe. Ale wciąż widzę przed oczyma tę nieśmiałą dziewczynę, która kiedy ją poznałem, reklamowała kapelusze, a potem uśmiechała się i machała do mnie ręką na plaży.

W objęciach.

W październiku 1948 roku, w przeddzień swych dziewiętnastych urodzin Grace rozpoczęła drugi i ostatni rok studiów w Amerykańskiej Akademii Sztuk Dramatycznych. Nie było to wcale małe osiągnięcie. Sprawdziany i negatywne oceny eliminowały często przed końcem pierwszego roku połowę studentów. W swojej dyplomowej klasie Charles Jehlinger chciał widzieć tylko najtwardszych i najbardziej utalentowanych.

Tych, którzy po pokonaniu trudnego toru przeszkód dostali się na drugi rok, traktowano w akademii bardziej jako młodych aktorów niż jak studentów, tworząc z nich zespoły, które działały pod kierownictwem zawodowych reżyserów. Grace przydzielono do grupy pracującej z trzydziestoletnim protegowanym Jehlingera, Donem Richardsonem, który studiował wcześniej w akademii i miał na swoim koncie kilka wybitnych inscenizacji, między innymi przedstawienie, w którym Burt Lancaster zadebiutował na Broadwayu. Richardson był energicznym, wymownym młodym mężczyzną, ciemnowłosym, ciemnokim, podobnym do Cygana. Pod prawdziwym nazwiskiem — Melvin Schwartz — pracował przez jakiś czas w radiu i w teatrze, ale zmienił je, kiedy producent odmówił mu roli w chrześcijańskiej sztuce ze względu na to, że jest Żydem. Szkołę Charlesa Jehlingera słychać było wyraźnie w dźwięcznych tonach, którymi zwykł przekazywać polecenia swoim studentom. Richardson wspierał również żarliwie swego mistrza w wojnie przeciwko egocentrycznej szkole aktorskiej „metody”.

Mieszkający obecnie w Kalifornii, przeszło siedemdziesięcioletni Richardson nadal uczy twórczej techniki aktorskiej, którą przejął od

Jehlingera. Po uhonorowanej wieloma nagrodami pracy w teatrze telewizyjnym wykłada obecnie na University of California w Los Angeles i nie przypomina sobie, żeby Grace Kelly wniosła jakiś szczególny wkład w pracę zespołu aktorskiego, którym kierował jesienią 1948 roku w nowojorskiej akademii. Nie reprezentowała ekspresyjnego stylu gry,

który preferował. Profesor dramatu zwrócił uwagę na jedną ze swoich studentek w wyniku incydentu, który wydarzył się poza salą lekcyjną.

Ktoregoś zimowego wieczoru, zjeżdżając windą po zajęciach, Richardson zauważył stojącą w rogu kabiny szczupłą blondynkę z opaską na głowie.

— Nie wydawała się wcale taka ładna — wspomina. — Mniej więcej dziewiętnastoletnia, ubrana była w elegancki płaszcz z wielbłądziej wełny i miała w sobie coś kruchego. Dziewczyna traktowała z dziwnym dystansem kolegów z grupy — wynikało to częściowo z nieśmiałości, częściowo z powściągliwości — i czując to jeden z nich zaczął jej dokuczać. Richardson znał go jako klasowego błazna. Chłopak, który trzymał w rękach szczeniaka, zachowywał się coraz agresywniej i w końcu rzucił go jej w twarz. Zamiast się roześmiać, Grace się rozplakała.

— Zwymyślałem tego faceta — wspomina Richardson. — A potem wszyscy wyszli i zostałem sam na sam z dziewczyną. Kiedy przestała w końcu płakać, staliśmy przy wyjściu na ulicę.

Padał śnieg i po dwudziestu minutach bezskutecznych prób złapania taksówki, która odwozłaby Grace do Barbizon Hotel, Richardson zaproponował, żeby ogrzali się w pobliskiej Russian Tea Room.

— Miała zamrożnięte rzęsy — opowiada. — Poszła do toalety wysuszyć włosy, a kiedy wróciła i zdjęła opaskę, uświadomiłem sobie, że jest o wiele ładniejsza, niż wydawało mi się w windzie.

W latach bezpośrednio po drugiej wojnie światowej w Russian Tea Room zbierała się typowa cyganeria. Można tam było tanio zjeść i siedzieć całymi godzinami przy filiżance herbaty. Ale kiedy do stolika podszedł kelner, Richardson uprzytomnił sobie z przerażeniem, że ma w kieszeni tylko parę centów. Trzeba więc było wracać na zaśnieżoną ulicę i ponownie szukać taksówki — z pociągającą żałośnie nosem i kichającą Grace, która zdradzała wszelkie objawy zbliżającego się zaziębienia.

— Grace nigdy nie była wielką aktorką — twierdzi dzisiaj Richardson. — Byłem jej nauczycielem, więc chyba wiem, co mówię. Ale miała kilka fantastycznie przydatnych cech, wśród nich zdolność sprawiania w ludziach wrażenia, że powinni coś zrobić, żeby jej pomóc. Bywały momenty, kiedy wydawała się taka żałosna i bezbronna. Miało się uczucie, że jeśli się jej nie pomoże, zaraz umrze. Gdy patrzyłem, jak stała tam i pociągała nosem, poczułem, że coś bardzo fascynuje mnie w tej dziewczynie... i wiercie mi, nie miało to nic wspólnego z seksem. Nie złapawszy żadnej taksówki, Richardson zaproponował, że przejadą się autobusem na Trzydziestą Trzecią Ulicę, gdzie mieszkał. Mógł wziąć stamtąd trochę gotówki i wybrać się z Grace na hamburgera. Mieszkał wtedy w małym nie ogrzewanym mieszkanku w starej kamienicy z brązowego piaskowca. Wiele pobliskich sklepów zajmowali armeńscy handlarze dywanów i Richardson palił w kominku resztkami skrzynek i opakowań, które wyrzucali na ulicę. Oddalając się od Broadwayu i stąpając po topniejącym śniegu, Grace zbierała drewno na opał razem ze swoim nauczycielem dramatu.

— Ta piękna dziewczyna w płaszczu z wielbłądziej wełny pochylała się, żeby podnieść z zaśnieżonego chodnika stare skrzynki — wspomina Richardson. — Przypominało to trochę „Cyganerię”.

Kiedy para weszła na górę do urządzonego po spartańsku mroźnego apartamentu, gospodarz przyklęknął przy kominku, żeby rozniecić ogień.

— Rozpaliłem ogień — wspomina — i wyszedłem, żeby zrobić kawę. Kiedy wróciłem do pokoju, czekała już na mnie na składanym łóżku. Zdjęła z siebie całe ubranie i przesunęła łóżko, tak że stało teraz tuż przy kominku. Nigdy w życiu nie widziałem czegoś tak cudownego. Obyło się bez żadnego wstępu. W ogóle ze sobą nie flirtowaliśmy. Oboje odczuwaliśmy desperacką potrzebę zbliżenia, niczym dwoje ludzi na bezludnej wyspie. Leżeliśmy w łóżku i kiedy już po wszystkim oprzytomniałem, nie mogłem w to po prostu uwierzyć. Tuż przy mnie leżało to niesamowicie piękne stworzenie.

Od chwili gdy zauważył ją w windzie, Richardson analizował okiem profesjonalisty urodę Grace. Miała jego zdaniem zbyt silnie zarysowaną kwadratową szczękę i trochę za mały nos. Teraz jednak profesor akademii wyzbył się wszelkich zastrzeżeń.

— Jej ciało było olśniewające. Wyglądała, jakby wyszła spod dłuta Rodina. Miała śliczną delikatną figurę — drobne piersi, wąskie biodra — a jej skóra rozświetlona była niemal wewnętrznym światłem.

Była najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek zdarzyło mi się oglądać naga. Leżąc obok niej, odkryłem, że jestem zakochany po uszy, że nie chodzi mi tylko o to, żeby się przespać. Czulem, że się w niej zadurzyłem. Kochałem jej nadgarstki. Kochałem jej łydki. Kochałem krew płynącą delikatnymi przezroczystymi żyłami. Czulem, że muszę się nią opiekować, że muszę ją chronić... a ona też wydawała się kochać mnie do szaleństwa. Tę noc spędziliśmy w stanie czystej ekstazy. W ogóle nie wróciła do Barbizon Hotel. Nazajutrz rano Richardsona zaczęły gnębić wyrzuty sumienia.

— Zdałem sobie sprawę, że zrobiłem coś okropnego. Ta dziewczyna była przecież moją studentką. To tak jakby psychiatra przespał się ze swoją pacjentką.

Romans musiał zatem rozwijać się w tajemnicy. Spotykając się na terenie akademii, Grace i Richardson udawali, że nic ich nie łączy. Grace widywała się nadal ze swym chłopcem, Herbiem Millerem — nie mówiąc o tym zresztą nic Richardsonowi.

— Chłopakiem Grace był zdecydowanie Herbie — wspomina Murr Sinclair. — O Donie dowiedzieliśmy się dopiero później.

Jeśli ktokolwiek zwrócił uwagę na kontakty Grace z młodym reżyserem, to umieszczał je wyłącznie w kontekście jej aktorskiej kariery.

— „Aha, więc koleguje się już z ludźmi z branży”, pomyślałam, kiedy ich zobaczyłam — wspomina Rachel Taylor.

W weekendy Grace zakradała się na ogół na Trzydziestą Trzecią Ulicę, żeby spędzić sobotnią noc z Richardsonem w jego skromnym i zaniedbanym kawalerskim mieszkaniu.

— Kochaliśmy się w tym zdewastowanym wnętrzu, pośród tych okropnych mebli — wspomina Richardson — niczym w norze Ras-kolnikowa ze „Zbrodni i kary”. Otoczenie nie miało w sobie nic romantycznego.

Romantyczny nastrój zapewniały przyniesione przez Grace Kelly płyty na siedemdziesiąt osiem obrotów, które puszczała po miłosnym seansie, i tańczyła w rytm hawajskich melodii, gdy była wesoła, i „Wielkiej bramy w Kijowie”, gdy ogarniał ją bardziej wojowniczy nastrój. > „Wielka brama” to utrzymana w uroczystej i władczej tonacji

klasyczna kompozycja Modesta Musorgskiego, przywołująca obraz odzianych w futra Kozaków, którzy suną zuchwale przez wielką bramę. Muzyka zbliżała się do punktu kulminacyjnego — biły bębny, grały trąbki i dźwięczały cymbały, a Grace wirowała jak szalona po pokoju. Była

wschodnią księżniczką, roztańczoną księżniczką, zmysłową anielską królową paradującą nago w migotliwym świetle ognia.

— Pracując jako modelka — wspomina Richardson — wkładała gorset w stylu „Wesołej wdówki”, ze sznurówką, która ścisnęła ją w talii. Ludzie lubili wtedy taką wciętą talię. Będąc u mnie, zdejmowała wszystko oprócz tego gorsetu i biegła po mieszkaniu, gotowała i sprzątała z ledwie zakrytymi pośladkami. Była w tym miejscu cudownie wyposażona.

W dni powszednie Grace miała swoje sesje zdjęciowe i czasami udawało jej się wpaść między jedną i drugą na Trzydziestą Trzecią Ulicę.

— Czekałem na nią z gorącą zupą jarzynową Campbella — wspomina Richardson. — Karmiłem ją prosto z puszki, a potem szliśmy się kochać. Później wyskakiwała z łóżka, ubierała się i biegła na kolejną sesję. Twierdziła, że to zapala światło w jej oczach. Richardson nigdy nie dyskutował ze swoją nową przyjaciółką na tematy religijne, ale wkrótce odkrył, że jest żarliwą katoliczką.

— Zawsze nosiła na szyi mały złoty krzyżyk — mówi — i w niedzielę rano, kiedy spędzaliśmy razem weekend, wyskakiwała z łóżka, żeby pójść do kościoła. Ubierała się, wybiegała, zaliczała mszę i wracała. Ja na ogół nadal jeszcze spałem, a ona kładła się obok mnie, naga, ale z krzyżykiem na szyi.

Grace opowiedziała kochankowi o swojej seksualnej inicjacji w Filadelfii — deszczowym popołudniu, które spędziła z mężem przyjaciółki — i poinformowała go także, że on, Richardson, jest dopiero jej drugim mężczyzną.

— Teraz w to nie wierzę — mówi Richardson. — Mam na myśli, że dziewczyna, która zachowywała się w łóżku tak jak ona... Nie twierdzą, że była nimfomanką. Poznałem w życiu dwie nimfomanki i obie po prostu nie potrafiły się nigdy zaspokoić. Były zdesperowane i smutne. Potrzebowały wciąż nowych podniet.

Grace nie miała z nimi nic wspólnego. Była szczęśliwa w łóżku i zawsze wiedziała, kiedy ma dosyć. Byliśmy młodzi i jakieś cztery razy zupełnie jej wystarczyły. Była absolutnie normalna. Miała orgazmy i uwielbiała je. Ale chociaż może to zabrzmieć dziwnie, nie sądzę, żeby robiła to dla seksu. To było coś innego.

Jeśli czytaliście „Po upadku” Arthura Millera, jego Marilyn Monroe mówi w pewnej chwili coś takiego: „Po prostu się na mnie połóż. Nie musisz nic robić”. I myślę, że tu tkwi sedno sprawy. Grace chciała znaleźć się w czyichś objęciach... chciała bezpieczeństwa. To była rzecz, na której jej naprawdę zależało. Lubiała oczywiście uprawiać seks. Ale wydaje mi się, że najważniejszy był dla niej fakt, że znalazła się w czyichś objęciach.

podobną potrzebę Richardson odkrył również w sobie. Krótco przed spotkaniem z Grace jego żona opuściła go dla starszego mężczyzny i reżyser uwikłany był w proces rozwodowy. Cechująca go normalnie pewność siebie praktycznie zupełnie go opuściła.

— Rozpaczliwie potrzebowałem uczucia — przyznaje. — Kiedy się spotkaliśmy, oboje byliśmy zagubieni — dwa ludzkie wraki.

Mając pełną świadomość, w czym tkwi źródło jego własnych problemów, Richardson zaczął się zastanawiać, co jest nie w porządku z Grace. Nie mógł nie zauważyć, jak bardzo robi się małowówna i powściągliwa, kiedy mowa o jej rodzinie, w szczególności o ojcu. Miała zawsze dużo do powiedzenia o swoich stryjkach z show-biznesu: Walterze, sędzim z Wirginii, i George'u, dramaturgu, tak bardzo stylowym i teatralnym. Kiedy jednak w polu widzenia pojawiał się Jack Kelly, rozmowa utykała. Grace traciła wigor, udzielała wymijających odpowiedzi i zmieniała temat. Richardson doszedł do wniosku, że musi to wynikać ze sposobu, w jaki traktuje ją jej ojciec.

— Moim zdaniem, Grace była po prostu pionkiem w jego grze — mówi. — To oznaczało, że zawsze szukała kogoś o ojcowskim wizerunku, kogoś, kto mógłby jej zastąpić Papę. Don Richardson miał wielką ochotę odegrać tę rolę. Drzemiaczy w nim Svengali cieszył się na myśl, że uczyni ze swojej przyjaciółki gwiazdę.

— Sprawiała magiczne wrażenie — wspomina. — Była cudownym białym płótnem, na którym każdy mógł namalować swój własny obraz.

Pracując z Richardsonem w jego zespole aktorskim, Grace zaczęła snuć własne marzenia o przyszłości — wyobrażała sobie, że razem z Donem założą i wspólnie poprowadzą teatr repertuarowy w Filadelfii. Ona będzie czołową aktorką, Don reżyserem, a stryj George dostarczy tekstów dramatycznych.

— Wyróżnić się i zdobyć akceptację w Filadelfii to zawsze bardzo dużo dla niej znaczyło — wspomina Richardson, któremu nie bardzo imponowała rola dyrektora prowincjonalnego teatru.

Obserwując niektóre jej manieryzmy — arystokratyczny głos, który dla siebie stworzyła i który miał harmonizować z jej postawą — Don uprzytomnił sobie szybko, w jakim kierunku zmierzają ambicje Grace.

— Ona nie chodziła — wspomina Richardson. — Ona maszerowała. Przywiązywała wielką wagę do tego, żeby siedzieć wyprostowana jak struna, w niemal królewskiej pozycji. Dokładnie wiedziała, kim chce zostać. Tańcząc w rytmie „Wielkiej bramy”, wyobrażała sobie, że jest jakąś bliskowschodnią księżniczką. Sama mi to oznajmiła. Powiedziała, że taką ma fantazję. Wówczas nic sobie z tego nie robiłem, ale teraz widzę, że już wtedy budowała mit Grace Kelly.

Richardson zaczął się poważnie obawiać, czy realne są nadzieje, jakie wiązał z teatralną karierą swej przyjaciółki. Przyglądając się Grace z chłodnym sceptycyzmem impresaria, wątpił, czy ta młoda dama posiada techniczne warunki, żeby poradzić sobie na scenie.

— Nigdy nie miałem dobrego zdania o jej aktorskim talencie — mówi dzisiaj. — Miała wspaniałą urodę i styl, zgoda, ale brakowało jej siły wokalne. Jej głos nie miał żadnej projekcji. Nigdy nie zrobiłaby kariery w teatrze.

Pewnego dnia zaszedł do miejscowego zakładu fotograficznego, żeby odebrać kilka zdjęć, które zrobił ostatnio Grace. Na jednym z nich, wykonanym w mieszkaniu, bez specjalnego oświetlenia, widać było jej głowę i ramiona.

— Tamtej nocy, kiedy jej ze mną nie było, przyjrzałem się uważnie tej fotografii i zobaczyłem coś cudownego. To wychodziło na zdjęciu... różnica między tym, kim była w

rzeczywistości, a tym, za kogo się uważała. Patrząc na zdjęcie, nie widziało się Grace. Widziało się jej iluzję... co można również wyrazić za pomocą tego starego hollywoodzkiego sloganu, że kochała ją kamera. W przypadku Grace kamera nie tylko ją kochała. Ona po prostu wariowała na jej punkcie... dokładnie tak samo jak ja. Spoglądając na tę fotografię, uświadomiłem sobie, że jej przyszłością jest film. Pod koniec tygodnia Richardson odprowadził swą przyjaciółkę na Penn Station. Grace przynajmniej raz w miesiącu odwiedzała rodziców i Don towarzyszył jej na dworzec, żeby ucałować na pożegnanie.

— Płakała — wspomina Richardson. — Martwiła się, że jedzie do domu, martwiła się o swoją karierę i odgrywała ten spektakl, który zaczynałem już rozumieć, żeby mnie zmusić, abym jej jakoś pomógł. Wydawała się tam taka zagubiona, kiedy siedziała na ławce w białych rękawiczkach, łkała i powtarzała, że nigdy jej się nie uda, że nigdy do niczego nie dojdzie. Obiecałem jej wtedy, że w przyszłym tygodniu, zaraz po jej powrocie, pójdziemy do agenta. I Zabierając Grace do biura Toniego Warda w Agencji Williama

Morrisa w Radio City, Richardson wziął ze sobą tamtą fotografię.

Ward reprezentował kilka poważnych gwiazd Broadwayu i Richardson V przystąpił od razu do akcji.

— „Toni — powiedziałem. — Mam tutaj za drzwiami dziewczynę, która zostanie wielką gwiazdą filmową!”

„Wprowadź tu to чудо!” — odparł agent, którego nieraz już uraczono takim wstępem. Dziesięć minut później Grace, zapłakana, siedziała z powrotem na korytarzu. Toni Ward nie był nią olśniony.

Nie zrażony tym Richardson zabrał Grace do biur MCA, gdzie znał inną wpływową agentkę, Edie van Cleve — i tym razem jego technika przyniosła rezultaty.

— Edie potrafiła dostrzec kobiecie piękno — opowiada. — Kiedy wprowadziłem Grace, wiedziałem, że coś w niej poruszyłem. Widziałem to w jej oczach.

Grace wyszła z gabinetu Edie van Cleve dopiero po półgodzinie — i tym razem się uśmiechała. „Ona chce być moją agentką” — powiedziała. „To wspaniale” — stwierdził Richardson. „Najpierw muszę oczywiście spytać o zgodę ojca” — dodała Grace. Kulminacyjnym momentem studiów w Akademii Sztuk Dramatycznych był koniec drugiego roku nauki, kiedy każdy słuchacz występował w głównej roli w spektaklu określanym mianem przedstawienia dyplomowego — i Don Richardson wiedział dokładnie, w jakiej roli i w jakiej sztuce obsadzić Grace. „Filadelfijska opowieść” (The Philadelphia Story) Philipa Barry’ego była przebojem Broadwayu w roku 1939, a rok później nakręcono na jej podstawie cieszący się nie mniejszym powodzeniem film. Zarówno na scenie jak i na ekranie rolę głównej bohaterki, Trący Lord, grała Katharine Hepburn. Wizerunek Trący Lord oparty był na autentycznej postaci, Hope Montgomery, młodej, ładnej mieszkance Filadelfii i Richardson uważał, że Grace idealnie nadaje się do tej roli.

— Była oczywiście trochę za młoda. Miała tylko dziewiętnaście lat, a Tracy Lord zbliżała się do trzydziestki, miała za sobą jedno

małżeństwo i planowała następne. Hepburn była w odpowiednim wieku, kiedy to grała. Ale cała historia znakomicie pasowała do marzeń i iluzji Grace... od białych rękawiczek aż po płaszcz z wielbłądziej wełny. Grace była wprost stworzona do tej roli.

Przedstawienie dyplomowe Grace odbyło się w małej sali pod Carnegie Hali w obecności wszystkich studentów i ciała pedagogicznego akademii, któremu przewodził Charles Jehlinger. Jack i Margaret Kelly przybyli, aby zobaczyć swoją córkę wcielającą się w postać z filadelfijskich wyższych sfer i był to być może znakomity moment, aby przedstawić im przystojnego i utalentowanego reżysera jej dyplomowego przedstawienia. Jednak romans z jej nauczycielem miał wciąż pozostać w tajemnicy.

— W dniu spektaklu poszliśmy razem na lunch — wspomina Richardson — kilka przecznic od akademii, do baru szybkiej obsługi, do którego nikt normalnie nie chodził. Potem życzyłem jej powodzenia i [Grace] poszła do teatru, żeby się przygotować. Grace nie zamierzała mówić rodzicom o stosunkach łączących ją z Richardsonem. Nie doceniała jednak intuicji swojej matki. Margaret Kelly zauważyła zmiany dokonujące się od kilku miesięcy w jej córce.

— Za każdym razem, kiedy przyjeżdżała do domu na weekend — opowiadała później — jej umysł pozostawał w Nowym Jorku.

Ma Kelly bezbłędnie rozpoznała symptomy.

„Masz jakiegoś mężczyznę, prawda, Gracie?” — zapytała córkę.

„Tak, mam” — odparła Grace i po krótkiej chwili z jej ust potoczyła się nieskładna opowieść o młodym reżyserze z akademii, o wierze, jaką w niej pokłada, planach, jakie ma a propos jej kariery, i o małżeńskich zamiarach obojga.

W ten oto sposób wiosną 1949 roku Don Richardson znalazł się wbrew własnym chęciom w pociągu jadącym do Filadelfii.

— Nie miałem ochoty jechać — twierdzi dzisiaj. — Wyczuwałem, że nie czeka nas tam nic dobrego. Ale Grace nie chciała o tym słyszeć. Twierdziła, że jej rodzice są naprawdę bardzo mili, że potrafią pogodzić się z moim żydowskim pochodzeniem, że nie będzie im nawet przeszkadzało, że jestem w trakcie rozwodu... chociaż na razie nie wspomniała im o tym szczególnie. Wciąż powtarzała, że będą bardzo wyrozumiali.

Brat Grace, Kell, opowiadał później o przygotowaniach, jakie podjął, żeby przywitać w domu pierwszego potencjalnego narzeczonego siostry. Matka powiadomiła go wcześniej o przyjeździe Dona.

— Prosiła, żebym w piątek wieczór przyprowadził swoich trzech najbardziej rosnących i przystojnych przyjaciół — powiedział, rozmawiając z pisarką Gwen Robyns. — Jeden był mistrzem olimpijskim w stylu motylkowym i przypominał z urody Kirka Douglasa, drugi, potężny gość

o wyglądzie sztangisty, był moim partnerem podczas wyścigów wioślarskich i pracował jako ratownik w Ocean City. Trzeci też był wysoki i muskularny, typowy pływak.

Dałem im do zrozumienia, że facet jest łajzą, co wydedukowałem z opisu mojej matki. Po wejściu do pokoju dali mu wycisk i po sekundzie facet Grace leżał jak długi na podłodze.

Młodsza siostra Grace, Lizanne, kolejny członek komitetu powitalnego, stanowczo dementuje relację o trzech osiłkach, którzy powalili na podłogę niepozornego reżysera.



Richardson podtrzymuje jej wersję. Nie pamięta, żeby kumple Kella dopuścili się wobec niego jakichkolwiek rękoczynów. Atak, jaki przypuścili, był bardziej perfidny.

— Odstawili przede mną cały żydowski kabaret — wspomina. — Żydowskie dowcipy, żydowski akcent i tak dalej. Siedziałem tam zupełnie osłupiały. Nie mogłem uwierzyć, że to dzieje się naprawdę.

W urządzonym w stylu niemieckiej piwiarni pomieszczeniu Richardson miał okazję przyrzeć się szykownej rodzinie swojej przyjaciółki.

— Byli wspaniali — wspomina. — Kiedy tam wszedłem, wszyscy wyglądali tak, jakby występowali w filmie reklamowym. Jej ojciec był urodziwym mężczyzną. Naprawdę przypominał greckiego boga. Wszyscy wyglądali jak greccy bogowie. Matka była przystojna. Starsza siostra czarująca. Młodsza wciąż pozostała dzieckiem. Brat miał gruby kark w stylu Sylvestra Stallone... a Grace siedziała w kącie, trochę od nich wszystkich oddalona. Ona jedna była tu prawdziwą modelką, a mimo to w ogóle jej nie przypominała. Wcale się nie odzywała. Zmieniła się w chudą, przestraszoną, milczącą dziewczynkę — tę samą, którą spotkałem w windzie tamtego pierwszego wieczoru. Jack Kelly zapytał gościa, czy się czegoś napije, i nie chcąc okazać się niegrzeczny, Richardson przyjął zaproszenie.

— Zaczęło się wtedy całe przedstawienie z kluczami i zamkami. Zamki były tam chyba wszędzie. Nalał mi bourbona z wodą, a potem nie nalewając sobie, zamknął wszystko z powrotem. Siedziałem tam — jedyna osoba ze szklanką w ręku — niczym jakiś alkoholik.

Richardson nie musiał jednak długo cierpieć, ponieważ Jack Kelly zabrał mu po chwili szklankę i odstawił ją do barku. „Czas jechać do klubu” — oznajmił.

Grace wzięła nieśmiało za rękę swojego chłopca, gdy w ślad za innymi członkami rodziny ruszyli dziarskim krokiem do samochodu.

— Kiedy wyszliśmy na podjazd, pojawił się mąż najstarszej siostry. Pojechaliliśmy więc obejrzeć ich dom, który stał niedaleko. Ojciec oprowadzał nas po pokojach jak podczas inspekcji budowlanej, dotykał wszystkiego, stwierdzał, że dobrze się trzyma, i informował, że to on zbudował względnie kupił.

W drodze do klubu Jack Kelly trzykrotnie powtórzył to przedstawienie.

— Samochody zatrzymywały się przy różnych kościołach — wspomina Richardson — i wszyscy musieliśmy wysiadać i przyglądać się, jak zostały zbudowane. [Jack Kelly] puszył się, a my wszyscy staliśmy i kiwaliśmy z szacunkiem głowami. Grace milczała, a ja nie przestawałem myśleć: „Jakie to dziwne! Jakie to cholernie dziwne!”

Sytuacja zrobiła się jeszcze dziwniejsza, kiedy rodzina zasiadła do kolacji — ojciec, syn oraz atleci po jednej stronie stołu, Richardson wraz z kobietami po drugiej. Ma Kelly zapytała nauczyciela dramatu, jak Grace radziła sobie w akademii.

— Muszę pani powiedzieć, pani Kelly — odparł Richardson — że moim zdaniem pani córka zostanie wielką gwiazdą filmową.

Margaret Kelly najwyraźniej stanęło w gardle to, co jadła.

— Co się tam dzieje? — zawołał Jack Kelly.

Jego żona wypita trochę wody, żeby dojść do siebie.

— Ten młody człowiek twierdzi — odpowiedziała ze zdumieniem — że nasza Gracie będzie wielką gwiazdą filmową!

Wszyscy obecni wybuchnęli śmiechem.

— Nie przejmuj się — zawołał Jack Kelly, zaśmiewając się tak samo serdecznie jak reszta. — Jeszcze jej to przejdzie.

Don Richardson rzucił okiem na swoją przyjaciółkę. Grace miała spuszczoną głowę. Patrzyła w talerz i nic nie mówiła.

— Po prostu go nie rozumieli — twierdziła Lizanne w rozmowie z Jamesem Spada w roku 1986, starając się bronić zachowania rodziców wobec Dona Richardsona. — Tak bardzo różnił się od jej sympatii z Penn Charter School, od przyjaciół mojego brata... wszystkich tych miniaturowych atletów. Przyjechał nagle z Nowego Jorku... wyrafinowany i inny.

— Ta kolacja — wspomina Richardson — stanowiła jedno z najbardziej przerażających doświadczeń w całym moim życiu. Byłem dorosłym mężczyzną. Niezależnie od pracy w akademii zacząłem właśnie reżyserować w Nowym Jorku sztukę z udziałem Helen Hayes. Ale to dla nich nic nie znaczyło. Kiedy wróciliśmy w końcu do domu, ojciec stanął na dole schodów, sprawdzając, czy ja poszedłem do swojego pokoju, a ona do swojego. „Rano jedziemy do kościoła — powiedział na pożegnanie. — Chce pan się z nami wybrać?” Tak jakby nie wiedział, że jestem Żydem.

Nazajutrz rano Richardson obudził się w kompletnie pustym domu. Wszyscy byli w kościele. Po powrocie rodziny kobiety udały się do kuchni, żeby przygotować śniadanie, a mężczyźni zasiedli do lektury niedzielnej gazety.

— Ojciec dzielił ją na części i rozdawał wszystkim naokoło. Dla siebie zatrzymał dział finansowy, brat dostał wiadomości sportowe, ja dział teatralny. Wręczając mi go, zauważył reklamę „Śmierci komiwojażera”, którą grano w miejscowym teatrze. „Dlaczego wystawiają tu tę komunistyczną szmirę?” — zapytał.

Jack Kelly należał do ludzi, którzy wszędzie dostrzegali wpływy czerwonych. Był zagorzałym stronnikiem Komisji do Spraw Działalności Antyamerykańskiej i niedługo potem miał stać się wymownym orędownikiem senatora McCarthy'ego.

— Po śniadaniu Grace zabrała mnie na górę, żebym obejrzał trofea — opowiada Richardson. — Przypominało to kapliczkę, całą obitą czarnym aksamitem. Były tam puchary i medale, które zdobyli mężczyźni, oraz kilka fotografii matki jako modelki. Po raz pierwszy usłyszałem wtedy o słynnych wioślarzach Kellych z Filadelfii. Co charakterystyczne, nie zauważyłem jednak żadnych rzeczy, które wiązałyby się jakoś z Grace... żadnych zdjęć, niczego.

Humory poprawiły się trochę, kiedy Grace pojechała ze swoim przyjacielem odwiedzić stryjka George'a.

— Był wspaniałym człowiekiem — wspomina Richardson. — Bardzo delikatnym, miłym i bardzo wrażliwym. Miałem wrażenie, że diametralnie różni się od całej rodziny. Był bardziej podobny do Grace. Adorowała go, a on traktował ją z wielkim uczuciem, jak ojciec i matka jednocześnie. Widać było, że ten dom jest domem intelektualisty i że stryj George jest miłośnikiem sztuki. Bardzo się cieszył, że się kochamy. Uważał, że wszystko układa się doskonale. Dodawał jej

otuchy i interesował się jej karierą. Był jedynym promykiem słońca podczas całego weekendu.

Po mniej więcej godzinnej wizycie u stryjka George'a Grace zabrała Dona Richardsona na przejażdżkę po okolicy i obwiozła go po East Falls oraz innych związanych z jej dzieciństwem miejscach w German-town i Chestnut Hills. Pokazała mu, gdzie chodziła do szkoły. Po raz pierwszy od wielu godzin znaleźli się tylko we dwoje i mieli okazję ze sobą pomówić. Rozmawiali o poprzednim nieudanym wieczorze. Richardson czuł się wściekły i upokorzony, a Grace nie wiedziała, co mu powiedzieć.

— Powtarzała bez przerwy to samo... że są naprawdę cudownymi ludźmi, kiedy się ich lepiej pozna.

Kiedy Grace i Richardson wrócili na Henry Avenue, na półkolistym podejździe nie stał żaden samochód, a dom wydawał się całkiem pusty — z wyjątkiem stojącej w hallu i kipiącej ze złości Ma Kelly. Nad jej głową prawie widać było ciemną burzową chmurę.

— Idź do swojego pokoju, Gracie — syknęła i Grace podreptała pokornie na górę, nie zadając żadnych pytań.

Zupełnie jak małe dziecko — pomyślał Richardson, obserwując swoją znikającą na schodach przyjaciółkę.

— Co do pana — oświadczyła Ma Kelly, zwracając się z nie ukrywanym wstrętem do Richardsona — chcę, żeby pan natychmiast opuścił ten dom.

Richardson ruszył na górę, czując przewrotną ulgę, ale nie posiadając się również ze zdumienia — aż do chwili, kiedy zajął do swojej sypialni i zobaczył rozrzuconą na łóżku zawartość walizki.

— Wszystko tam leżało — wspomina. — Nie zadała sobie najmniejszego trudu, żeby ukryć to, co zrobiła. Był tam list, który właśnie otrzymałem od swojego adwokata, dotyczący kolejnego posiedzenia w sprawie rozwodu. Leżał otwarty obok koperty. A trochę dalej paczka prezerwatyw, które kupiłem na wypadek, gdybyśmy mieli okazję się pokochać. Grace zostawiała te sprawy mnie.

Ma Kelly odkryła z oburzeniem, że jej córka związała się z żonatym mężczyzną — i że jej dziewiętnastoletnia Gracie nie jest już dziewicą. Kiedy piętnaście minut później Richardson odjeżdżał taksówką, w hallu nie było nikogo. Nie zobaczył się z Grace i nie miał pojęcia, co się z nią dzieje.

Później tego samego dnia Maree Frisby zajął na Henry Avenue.

Odnalazła Grace w jej sypialni, leżącą na łóżku z zaczerwienionymi oczyma i zanoszącą się spazmatycznym płaczem. Grace opowiedziała przyjaciółce o całym koszmarnym weekendzie i o furii, w jaką wpadli rodzice, odkrywając jej romans z Richardsonem.

Kelly'owie zapowiedzieli, że nie pozwolą jej wrócić do Nowego Jorku, i udzielili kazania na temat nieśmiertelności duszy. Ale Grace nie chciała się poddać. — Mam nadzieję, że jestem w ciąży — szlochała przekornie.

Wyzwolenie.

Tak bardzo płakałam. Piekło nie może być chyba wiele gorsze od tego, przez co przeszłam. Trzy dni po katastrofalnej wizycie Dona Richardsona przy Henry Avenue Grace opisywała szczegółowo cały weekend w pełnym emocji ośmiostronicowym liście

do swojej koleżanki z Barbizon Hotel, Prudy Wise. Pisała, że po wyjeździe Dona do Nowego Jorku rodzice wezwali ją do pokoju Ma Kelly na poważną rozmowę. Oznajmili, że muszą jej zadać kilka szczerych pytań i oczekują szczerych odpowiedzi. Czy Grace nie poślubiła w tajemnicy Richardsona?

Kelly'owie powiedzieli córce o liście w sprawie rozwodu, który odkryła matka, nie wspomnieli jednak nic o prezerwatywach. Ojciec kipiał z gniewu — gotów był w każdej chwili wybuchnąć — podczas gdy matka próbowała bardziej pojednawczej taktyki, prosząc ją — jak kobieta kobietę — żeby powiedziała, co takiego widzi w Richardsonie. Fakt, że mogłam się zakochać w Żydzie — pisała Grace — po prostu nie mieścił im się w głowie.

Przesłuchanie przedłużało się. Grace tak bardzo płakała — pisała w liście do Prudy — że nie pamiętała szczegółów, wiedziała jednak dobrze, co czuje. Byłam na nich taka wściekła...

Po raz pierwszy w życiu poważnie starła się z rodzicami. Jako nastolatka podporządkowała się życzeniu ojca i zakończyła romans z Harperem Davisem. Latem 1947 roku, nie mając żadnego załatwionego college'u, pozwoliła potulnie, by jej własne życiowe sprawy pozostały w zawieszeniu, wiedząc, że rodzina przyznała teraz priorytet Kellowi i jego wyścigom. Obecnie jednak dobra dziewczynka zmieniła się w złą dziewczynkę — przynajmniej na jakiś czas.

— To wyjazd do Nowego Jorku — stwierdziła później — sprawił, że się zbuntowałam. Grace nie chciała dłużej funkcjonować wyłącznie jako dodatek do swojej rodziny i była tak wściekła, że z trudem zmuszała się, żeby z najbliższymi rozmawiać.

— Przez cały miesiąc jedliśmy posiłki w milczeniu — wspomina Kell, opisując lodową atmosferę, która panowała w domu tamtej wiosny.

Ale Jack i Margaret Kelly okazali równą stanowczość. Reprezentowali styl zdecydowanie wiktoriański. Kiedy Peggy i jej przyjaciele upili się którejs sobotniej nocy w piwnicy przy Henry Avenue, kazano jej zapłacić za wyrządzone szkody, a Jack zamknął na klucz cały alkohol. To było powodem ceremonii z zamkami i zasuwami, które towarzyszyły podaniu Donowi Richardsonowi bourbona z wodą. Teraz Jack Kelly zamknął na klucz swoją średnią córkę. Grace nie wolno było wrócić do Nowego Jorku. Pozwolono jej tam pojechać tylko raz, na jeden dzień, żeby mogła zlikwidować pokój w Barbizon Hotel i przysłać swoje rzeczy pociągiem. Nie miała już zajęć i zaliczyła przedstawienie dyplomowe w Akademii Sztuk Dramatycznych. Potem zesłano ją do letniego domku Kellych w Ocean City, gdzie rodzina pilnowała jej na zmianę. Minęło kilka tygodni, zanim Richardson otrzymał wiadomość od swojej przyjaciółki. Rozmawiając z nim przez telefon, była zasapana i zdyszana. Powiedziała, że musiała wymknąć się spod kurateli Peggy i przebiec kilka kilometrów po plaży, żeby znaleźć automat telefoniczny.

Inna jej przyjaciółka z Barbizon Hotel, Bettina Thompson, dowiedziała się o wszystkim, kiedy Grace przyjechała do Nowego Jorku.

— Powiedziała, że spała z Donem — wspomina Bettina. — To było dla mnie coś nowego. Byłam zdumiona. Nie miałam o tym pojęcia. Opowiedziałam w skrócie mojej matce, co się stało. Mieszkałam wtedy w mieszkaniu mamy w Nowym Jorku i zapytałam,

czy Grace nie mogłaby dzielić ze mną pokoju. Matka tylko na mnie spojrzała. „Czasami — powiedziała — rodzice lepiej wiedzą, co jest dobre dla ich dzieci”.

Ale bunt Grace miał swoje granice. Kiedy w grę wchodziła najwyższa lojalność, nadal była córką swego ojca. W rzeczywistości wcale nie miała nadziei, że zaszła w ciążę z nauczycielem dramatu. Nie pasowało to do jej wizji przyszłości, w równym chyba stopniu jak nie podobało

się jej rodzicom. Grace lubiła poddawać się emocjom i przeżywać romantyczne przygody, kiedy miała na to ochotę, tak jakby życie było rolą, którą wykonuje na scenie. W głębi duszy jednak zawsze się kontrolowała. W środku była bardzo chłodna — a poza tym latem 1949, po ukończeniu szkoły teatralnej czekało ją poważne zawodowe wyzwanie. Dwójka najlepszych absolwentów Akademii Sztuk Dramatycznych występowała co roku w spektaklu wystawianym przez prestiżowy Bucks County Playhouse w New Hope w Pensylwanii i w roku 1949 Grace Kelly należała do tych wybrańców.

Bucks County Playhouse mieścił się w przerobionej na budynek teatru stodole na granicy stanów New Jersey i Pensylwanii nad rzeką Delaware, niezbyt daleko od miejsca, w którym przekroczył ją niegdyś George Washington. Położona pośród łagodnych zalesionych pagórków malownicza miejscowość stanowiła przyjemny cel letniej przejażdżki z Filadelfii lub Manhattanu. Widzowie mogli zjeść kolację w miejscowej gospodzie, a potem wybrać się do teatru na kilka godzin miłej rozrywki. Bucks County Playhouse był wymarzonym miejscem na pierwszy profesjonalny występ Grace, która nie miała kłopotów z nauczeniem się debiutanckiej roli. Grała Florence McCricket, młodą niewinną bohaterkę „Koryfeuszy” stryjka Georgia.

Zachwycony tym, że kariera siostrzenicy zacznie się tak mocnym akcentem, George Kelly poprosił swego przyjaciela, aktora i producenta Ganta Gaithera, żeby obejrzał jej występ i załatwił ewentualnie dalsze angaże. Dramaturg odrzucił jednak zdecydowanie sugestię Gaithera, aby wybrali się na przedstawienie razem.

— „Mam oglądać jedną z moich sztuk w wykonaniu wakacyjnego teatrzyku? — zakrzyknął George Kelly. — Nigdy w życiu!”

Wakacyjny teatr stanowił miejsce, w którym początkujący aktorzy i aktorki nabierali praktyki w latach przed ekspansją telewizji. Stanowił odpowiednik angielskiego nadmorskiego teatru repertuarowego.

— Próbowano się przez tydzień i grało się przez tydzień — wspomina Natalie Core O'Hare, która występowała w Bucks County razem z Grace w początkach lat pięćdziesiątych. — W piątek człowiek zaczynał czuć, że przedstawienie ma ręce i nogi. Ale po dwóch dalszych spektaklach sztuka schodziła z afisza.

Z braku wcześniejszych dokonań aktorskich Grace podpisał pod jej fotografią zamieszczoną w programie Bucks County zawierał mało informacji o jej własnej karierze, koncentrując się za to na osiągnięciach ojca, brata Kella i stryjka George'a. Ale Grace spisała się jak prawdziwa profesjonalistka.

Jak na młodą damę, której wcześniejsze aktorskie doświadczenia są dość skromne — pisał jeden z czołowych filadelfijskich krytyków — panna Kelly wspaniale przeszła ten ogniowy chrzest w światłach rampy--- Z miejsca, w którym siedziałem, można było

odnieść wrażenie, że Grace Kelly powinna stać się teatralną „koryfeuszką” swojej rodziny.

Wciąż zagniewani i nieufni po weekendzie z Richardsonem, rodzice Grace nie pozwolili jej znaleźć żadnego lokum blisko teatru. W ciągu trwających dwa tygodnie prób i przedstawień musiała codziennie nocować na Henry Avenue. Każdego ranka jechała pięćdziesiąt sześć kilometrów do New Hope i co wieczór pokonywała tę samą drogę, wracając do domu. Ale publiczne uznanie złagodziło w końcu postawę Kellych. W dniu premiery Jack i Margaret postanowili zapomnieć o przeszłości. Ich córka występowała na scenie, a oni zasiedli w pierwszym rzędzie Bucks County, żeby ją okłaskiwać. Ojciec promieniał szczęściem. Sukces Grace był sukcesem rodziny, toteż Jack sprowadził ze sobą całą grupę przyjaciół, żeby świętowali razem z nim. Jego mało obiecująca średnia córka mogła się nareszcie czymś pochwalić — i czekały ją dalsze osiągnięcia. Grace zaproponowano rolę w tragedii Strindberga „Ojciec” z Raymondem Masseyem w roli tytułowej. Było to ambitne przedsięwzięcie, w którym sędziwy aktor zamierzał pełnić również funkcję reżysera. Grace obsadził w roli swojej maltretowanej córki.

Przewidywano, że po premierze w Bostonie spektakl zostanie przed końcem listopada — a więc zaraz po dwudziestych urodzinach Grace — przeniesiony do Nowego Jorku.

Młoda aktorka nie mogła dokonać tego wszystkiego, siedząc zamknięta w sypialni przy Henry Avenue. Nawet Jack i Margaret Kelly nie byli w stanie trzymać pod kluczem dorosłej córki, której nazwisko miało się pojawić na afiszu razem z nazwiskiem czołowego aktora Broadwayu. Pod względem finansowym Grace była całkowicie niezależna od swoich rodziców. Mogła otrzymywać wysokie honoraria jako modelka i zarabiała teraz duże pieniądze jako aktorka. Nadszedł czas odejścia z domu i rodzice pogodzili się w końcu z tym faktem. Jack Kelly był jednym z przedsiębiorców zaangażowanych w budowę Manhattan House, masywnego monolitycznego budynku z szarej cegły, który wypełniał całą przecznicę Sześćdziesiątej Szóstej Ulicy, od Trzeciej Alei aż do Bloomingdale's. Manhattan House przypominał z wyglądu robotniczy blok mieszkalny pod Stalingradem, ale dla Grace oznaczał dorosłe życie i wolność. Po otrzymaniu od córki słowa honoru, że nie zobaczy się więcej z Richardsonem, ojciec ulokował ją tam w mieszkaniu umeblowanym przez Ma Kelly.

— Meble były w stylu Grand Rapids — wspomina Richardson. — Naprawdę brzydkie. Surowe, ciemne, ciężkie drewno... człowiek czuł się tam jak w chatce trapera na letnim obozie.

Grace złamała daną rodzicom obietnicę już pierwszego dnia po powrocie do Nowego Jorku. Poszła prosto do mieszkania Richardsona na Trzydziestej Trzeciej Ulicy i kochała się z nim. Powitanie było bardzo namiętne. Nie poprzedzało go tym razem zbieranie opału i rozpalenie ognia w kominku. Richardson cieszył się, mając znowu przy sobie swoją piękną przyjaciółkę, a dla Grace kontynuacja romansu stanowiła najlepszy, na jaki było ją stać, przejaw buntu przeciwko rodzicom. Zamierzała odtąd samodzielnie podejmować decyzje — przynajmniej w kwestii, komu ma oddać swoje ciało.

Don Richardson nie mógł jednak nie zauważyć, że umysł jego partnerki pozostaje pod wpływem ojca tak samo silnym jak zawsze. Grace nie chciała dyskutować na temat okropnego weekendu i tego, jakie wynikają z niego konsekwencje, pozostała także

głucha na wszelkie próby krytyki rodziców. Richardson wygłosił kilka niepoehlebnych komentarzy na temat jej ojca, lecz nigdy nie próbował robić tego ponownie.

— Przypominało to walenie głową w ceglany mur — twierdzi. — Tego tematu nie wolno było po prostu poruszać. Krytyka jej rodziców była w tym samym stopniu niedopuszczalna jak podważanie jej katolicyzmu. To było coś, w co należało wierzyć i co nie podlegało dyskusji.

Wkrótce ich spotkania stały się tak samo częste i namiętne jak przedtem. Przez cały czas wisiał jednak nad nimi cień Jacka Kelly'ego. Grace bała się, że ojciec odkryje jej wiarołomstwo, w związku z czym kochankowie spotykali się przez ostrożność w Greenwich Village. Spędzali tyle godzin w kawiarni Granados, że zaczęli uważać stolik obok ekspresu do kawy za własny. Potem biegli pod osłoną ciemności na Trzydziestą Trzecią Ulicę i wyglądali zza zasłon, żeby sprawdzić, czy nikt ich nie śledzi. Obawa przed zdemaskowaniem dodawała randkom pikanterii — ale w końcu, któregoś dnia, kiedy Richardson siedział sam w domu, koszmar ziścił się w najmniej oczekiwany sposób.

— Zabrzęczał dzwonek — wspomina Richardson. — Otworzyłem drzwi i zobaczyłem stojącego na korytarzu tatusia. Wydawał się niesamowicie wielki. Przeróżający. Stał bardzo elegancko ubrany, w ciemnym palcie, garniturze i pod krawatem, i kiedy otworzyłem drzwi, wszedł, nie czekając na zaproszenie. Był olbrzymi.

Z korytarza wchodziło się bezpośrednio do kuchni i na wpół upokorzony, na wpół rozbawiony Richardson obserwował nieskazitelnie ubranego biznesmena przyglądającego się z pogardą brudnym naczyniom oraz połamanym i zniszczonym meblom. Obaj mężczyźni zmierzili się wzrokiem.

— Ma pan ochotę na jaga? — zapytał Jack Kelly. Młody reżyser zawahał się.

— Jedynym znaczeniem słowa „jag”, jakie znałem, było wyjście na miasto z kumplami i wypicie paru głębszych. „Mój Boże! — pomyślałem. — A więc jednak się pogodzimy! Będziemy przyjaciółmi!” A potem on dodał: „W jakim tylko pan chce kolorze...” „To jest przedmiot?” — pomyślałem zdziwiony.

Wygłosiłem wtedy długą, głupią, pełną emocji mowę o tym, że nic od niego nie chcę, że kocham jego córkę i że nie uda mu się mnie splącić. Wszedł, nie wysłuchawszy mnie nawet do końca.

Wkrótce potem zaczęły się telefony.

— Mniej więcej o drugiej w nocy dzwonił jej brat — wspomina Richardson. — Nigdy nie przedstawił się wprost, ale mówił rzeczy w rodzaju: „Cześć, ty sukinsynu. Mam zamiar połamać ci wszystkie gnaty! Trzymaj się z daleka od mojej siostry, bo inaczej spędzisz całe życie na wózku inwalidzkim!” Tego rodzaju odżywki.

Kiedy Richardson opowiedział Grace o telefonach, była zdumiona i dotknięta.

— Jedyne, co potrafiła mi powiedzieć, to że jej starzy są naprawdę uroczymi ludźmi, że któregoś dnia ich zrozumie i że kiedy się w końcu nawzajem zrozumie, wszystko będzie cacy.

Była to ta sama pasywność, którą Grace przejawiała podczas weekendu spędzonego z Richardsonem na Henry Avenue. W stosunkach z ojcem stawiała się z powrotem małą dziewczynką. Przeszawała myśleć jak dorosła osoba. Potulna zgoda na wtrącanie się męskiej części rodziny w jej życie świadczyła jasno o tym, że nigdy nie zamierza zerwać

łączących ją z Kellymi związków lojalności i chociaż spotykała się z Richardsonem jeszcze przez dwa lata, telefoniczne groźby i dziwaczna oferta otrzymania w prezencie jaguara okazała się punktem zwrotnym w ich stosunkach. Widywali się coraz rzadziej. Ich spotkania nie były już tak namiętne jak dawniej i Don Richardson zbytnio się nie zdziwił, odkrywając po pewnym czasie, że nie jest jedyną osobą, którą Grace Kelly obdarza swymi względami. Claudius Charles Philippe nie był mężczyzną o konwencjonalnej urodzie. Drugim haczykowanym nosem i grubymi soczewkami okularów przypominał z wyglądu zaskoczona sowę. Również stanowisko dyrektora sali bankietowej w hotelu Waldorf-Astoria raczej nie czyniło z niego osoby, z którą Grace Kelly chciałaby nawiązać romans. Ale Philippe z Waldorf był mężczyzną obdarzonym niezwykle wdziękiem i magnetyzmem. Miał w sobie energię Napoleona. Wiele kobiet nie mogło mu się oprzeć, a w kawiarnianym świątku dzierżył berło wielkiego księcia Nowego Jorku. Philippe zdobył pierwsze szlify jako asystent legendarnego Renę Blacka, francuskiego profesjonalisty, który w swym Central Park Ca-sino po raz pierwszy wcielił w życie ideę restauratora jako showma-na — prezentował przy stoliku Cherries Jubilee własnoręcznie przyrządzoną sałatkę cesarską i inne sztuczki z płonącymi i podgrzewanymi daniami. Philippe przeszczepił to wszystko do Waldorf-Astoria, przekształcając niezbyt obiecujący interes wyprawiania prywatnych bankietów w wysublimowaną i wysoce lukratywną formę sztuki. Jego sztandarowym dziełem był bal „Kwiecień w Paryżu” — który organizował w październiku, aby wypełnić puste miejsca w bankietowym kalendarzu, i na który zapraszał, korzystając z pomocy swojej przyjaciółki, Elsy Maxwell, wszystkie słynne wówczas osobistości — księcia i księżnę Windsoru, Marlenę Dietrich, Cygankę Rosę Lee, Winstonów Guestów, Drexelów, Vanderbiltoów i Cabot Lodge'ów. Grace Kelly w równym stopniu fascynował nonkonformistyczny i cygański styl bycia Dona Richardsons, co towarzyska ogłada i koneksje Claudiusa Charlesa Philippe'a. Tę jej słabość odkrył już Alex D'Arcy, przedstawiając ją swym ważnym przyjaciółom w Stork Club i El Morocco. Stanąwszy mocniej na nogach, dziewczyna z East Falls stwierdziła z zadowoleniem, że wdzięk i uroda potrafią otworzyć w Nowym Jorku wiele drzwi, które w Filadelfii pozostawały przed nią szczelnie zamknięte. Philippe zdobył względy Grace szampanem. Wysyłał swojego młodego asystenta z działu bankietów, Martina Riskina, z butelkami magnum i wyrazami uszanowania dla panny Grace Kelly z Manhattan House, i Riskin zanosił je pod same drzwi apartamentu aktorki.

— Była zdecydowanie chłodna — wspomina. — Najwyraźniej zadzierała nosa. I miała w sobie coś, co wydawało mi się afektacją. Czasami na przykład nosiła w mieszkaniu ciemne okulary.

Przebywając z Donem Richardsonem, Grace odgrywała żarliwą i ambitną młodą aktorkę. Z Claude'em Philippe'em wcielała się w rolę wielkiej damy. Inny asystent Philippe'a, Tom Hogan, pamięta, że podczas pobytu na weekendowej farmie szefa w Peekskill, w dolinie Hudson, Grace zachowywała się z wyraźnym dystansem. Zaproszeni tam goście zwykli współzawodniczyć i współpracować w przyrządzaniu niedzielnego śniadania-lunchu, biegając co chwila do ogrodu po warzywa do sałatek. Można było tam spotkać Victora



Borge'a i Maurice'a Chevaliera ścigających się, kto prędzej obierze ziemniaki. Grace nie brała udziału w ogólnej zabawie — ale Tom Hogan lubił dziewczynę szefa i nie sądził, żeby była afektowana. Jej rezerwa wynikała jego zdaniem z nieśmiałości.

Plotki wśród asystentów zaczęły się, kiedy zauważono Grace spacerującą wczesnym popołudniem bez makijażu po wyższych piętach Waldorf-Astoria.

— W tych apartamentach na górze można było bawić się w różne hocki-klocki — wspomina Martin Riskin — i nigdy nie dać się złapać na gorącym uczynku.

Zdarzały się całkiem drugie okresy, kiedy Grace stanowiła coś w rodzaju stałego wyposażenia hotelu, przesiadując długie godziny w sekretariacie Philippe'a i czekając cierpliwie, aż zakończy swoją codzienną litanię spraw i telefonów. Młoda, ładna aktorka zachowywała się czasem bardziej jak żona niż jak przyjaciółka. Grace znajdowała się pod wyraźnym urokiem czterdziestoletniego Philippe'a, a on wyraźnie odwzajemniał jej uczucia. Pod jej wpływem złagodził nieco swój twardy styl rządzenia i sterroryzowani asystenci z zadowoleniem odnotowali sentymentalne szczeliny w pancerzu tego człowieka z żelaza.

Charles Ohrel, główny asystent i powiernik Philippe'a, zaczął się obawiać, że szef poświęca Grace zbyt dużo czasu i uwagi.

Wieczorem, w trakcie bankietu robiliśmy sobie czasem małą przerwę — wspomina Riskin. — Siadaliśmy w gabinecie przy kolacji i kieliszku szampana i Charlie zaczynał swoją gadkę. „Biedny Philippe — powtarzał. — Nie wie, co ma zrobić z Grace”.

Philippe z Waldorf należał do kategorii mężczyzn, do których Grace tak często Ignęła — dojrzałych, doświadczonych, o zdecydowanie wykwinnym stylu bycia. Oferował dyktatorską władzę i opiekę, do których przywykła ją dzieciństwo, a także skłonność do fantazjowania i ambicję, dziwnie podobne do jej własnych. Wychowany w Londynie przez francuskich rodziców, Philippe wypracował swój własny sposób wystawiania się, świetnie pasujący do samozwańczego tytułu, którym się chełpił.

— Jego akcent mówił o nim wszystko — wspomina George Lang, sam też bez wątpienia showman, jeden z kilku odnoszących sukcesy restauratorów, którzy terminowali u Philippe'a. — Były tam elementy francuskie i elementy angielskie, a także skrawki amerykańszczyzny, wszystko umiejętnie zmieszane i tworzące razem podstawowy sos. Philippe wprowadził Grace w świat dobrej kuchni i lepszych win, z którym zetknęła się dotychczas wyłącznie w trakcie wykwinnych lunchów ze stryjkiem George'em. Kuchnia Ma Kelly z Henry Avenue była obfita i prosta, oparta w dużej mierze na niemieckim chłopskim wikcie. Do ulubionych dań Grace należała w dzieciństwie kaszanka z pieczonymi jabłkami. Teraz dowiedziała się, co to jest pate i delikatny claret. Oprócz szampana Martin Riskin zanosił do Manhattan House butelki chateau margaux i innych premiers crus, których sam mógł skosztować tylko w marzeniach.

Don Richardson szybko się zorientował, że jego przyjaciółka pobiera przyspieszony kurs życia w wyższych sferach. Nagle okazało się, że zna modne nazwiska i cenę różnych rzeczy. Nie imponowało mu to i pogardliwie szydził z jej „starszego kelnera”. Nie potrafił uwierzyć, że znajomość Grace z Philippe'em może mieć poważny charakter. Ale w sali

bankietowej hotelu Waldorf, przy stołach zastawionych wykwintnymi daniami widziano to zupełnie inaczej.

— „Jest w niej naprawdę zakochany — powiedział Charles Ohrel Martinowi Riskinowi.  
— Chcą się żenić!”

Philippe znajdował się na życiowym zakręcie. Właśnie zerwał ze swoją drugą żoną, autorką kulinarnych felietonów, Poppy Cannon. Grace z kolei coraz mniej fascynował projekt wspólnego teatru w Filadelfii. Wychodząc za Philippe'a, mogłaby grać atrakcyjną rolę towarzyskiej królowej Nowego Jorku, dzielić sekrety i miejsce na kolumnach towarzyskich ze swoją nową przyjaciółką Elszą Maxwell, spędzać przyjemnie czas w towarzystwie mężczyzn pokroju Cole'a Portera oraz członków elitarnego Koła Lukullusa, prywatnego klubu, który Philippe założył dla mieszkańców Waldorf Towers. Pozycja towarzyska w wyższych sferach metropolii powinna znacznie pomóc młodej aktorce. Ojciec Grace nie chciał jednak o tym słyszeć.

— „Chodzi o starego — zakomunikował Charles Ohrel podczas jednej z wieczornych odpraw. — Nie chce dać swojego błogosławieństwa. Biedny Philippe miał z nim ciężką przeprawę”.

Jack Kelly pod żadnym pozorem nie zgadzał się oddać córki dwukrotnie rozwiedzionemu mężczyźnie, który pracował w dodatku jako kierownik sali bankietowej. Gniewnie odmówił aprobaty dla jakichkolwiek małżeńskich planów — z tego, co słyszał George Lang, Jack Kelly „wpadł w szewską pasję”, dowiedziawszy się o całym pomysle — i taki był koniec marzeń Grace o pani Klaudiuszowej Karolowej Philippe, chociaż dalej widywała się z Philippe'em, stosując tę samą taktykę, która pozwalała jej się spotykać z Donem Richardsonem — nie tracąc nadziei i nie chcąc stracić przyjaciela. Od urodzenia niekon-fliktowa w stosunkach z ludźmi, Grace nigdy nie potrafiła zakończyć swoich romansów, wołąc, by uczynił to za nią jej kochanek... albo jeszcze częściej ojciec. Sztuka George'a Kelly'ego „Fatalna słabość” (The Fatal Weakness) opowiada o kobiecie, która uwielbia chodzić na wesela, i bywały zapewne chwile, gdy Jack Kelly zastanawiał się, czy jego córka nie cierpi na odmianę tej samej manii. Nie chodziło już tylko o to, że Grace tak łatwo zakochiwała się w mężczyznach. Najgorsze było to, że chciała brać z nimi ślub — i że mężczyźni ci zdecydowanie nie stanowili dobrego materiału na męża. Don Richardson, co sam zresztą przyznaje, daleki był od wzoru stabilizacji, lekkomyślny zaś i nieopanowany charakter Charlesa Philippe'a doprowadził go do dwóch kolejnych błyskawicznych małżeństw (których łączna liczba sięgnęła w ten sposób czterech), zaangażowania się w kilka wybitnie nieudanych przedsięwzięć finansowych oraz wyroku skazującego za oszustwa podatkowe, w wyniku którego okryty niesławą odszedł w 1959 roku z hotelu Waldorf. Trudno sądzić, by małżeństwo Grace i kierownika sali bankietowej zakończyło się inaczej jak katastrofą 1 w świetle późniejszych niepowodzeń Philippe'a stanowcza postawa

Jacka Kelly'ego może być traktowana nie jako niesłuszne wtrącanie się w jej sprawy, lecz jako przejaw rozważnej i koniecznej ojcowskiej opieki — ochrona naiwnej i impulsywnej córki przed nią samą.

Ale cóż miała robić ładna dziewczyna w Nowym Jorku? Zimą 1949 roku do Ameryki przybył z oficjalną wizytą przystojny młody szach Iranu. Spotkał się z Grace Kelly i

natychmiast się w niej zakochał. Trzydziestoletni, szczupły i śniady Mohammed Reza Pahlavi rządził Iranem, przynajmniej nominalnie, od roku 1941 i przybył do Stanów Zjednoczonych, żeby nawiązać kontakty, które pomogły mu zdobyć władzę absolutną w roku 1953. Po rozmowach z prezydentem Trumanem w Waszyngtonie szach przybył do Nowego Jorku i podobnie jak czyniła to większość oficjalnych gości zatrzymał się w hotelu Waldorf-Astoria. Grace została mu przedstawiona na przyjęciu powitalnym zorganizowanym przez Claude'a Philippe'a. Młody książę nie tracił czasu. zaproponował Grace wspólną kolację i ku jego wielkiej radości zaproszenie zostało przyjęte.

— Bawili się razem przez sześć nocy pod rząd — wspomina przyjaciółka Grace, Maree Frisby Rambo.

Szach zwiedził wraz z Grace najmodniejsze kluby Manhattanu — Stork i El Morocco — oraz wszystkie sale balowe hotelu Waldorf, olśniewając ją bogactwem nie kończących się bankietów i kolacji. Relacjonujących wizytę reporterów zdumiała żelazna kondycja Pah-lawiego, który balował w nocnych klubach do wpół do trzeciej rano, a nazajutrz już o ósmej pojawiał się świeży i wypoczęty, aby realizować napięty program oficjalnych spotkań. Przydzieleni do grupy Irańczyków tajni agenci błagali o litość. Panno Kelly — zwrócił się jeden z nich do Grace — czy nie mogłaby pani zostać dziś w nocy w domu? Któregoś wieczoru Grace udała się wraz z szachem do opery i doznała prawdziwego zawrotu głowy, kiedy wypełniona do ostatniego miejsca widownia powstała z miejsc i tysiąc pięćset twarzy zwróciło się w holdzie ku górze.

— Po raz pierwszy wówczas tego zakosztowała — stwierdził jeden z przyjaciół Grace w rozmowie z Sarah Bradford.

Stosunki między jasnowłosą aktorką i przystojnym szachem nie umknęły uwagi autorów kroniki towarzyskiej: w jednej z gazet wspomniano, że przebywający z wizytą w Ameryce władca ofiarował Grace kilka wartościowych klejnotów. Nowojorskie wiadomości dotarły lotem błyskawicy do Filadelfii, a kiedy tylko Jack i Margaret Kelly dowiedzieli się o biżuterii, na Henry Avenue ponownie zarządzono alarm bojowy. Przystojny szef państwa stanowił zdecydowanie lepszą partię od biednego jak mysz teatralnego reżysera i kierownika sali bankietowej, ale kosztowne podarki szacha były po prostu nie do przyjęcia. Ma Kelly wsiadła do pierwszego pociągu odjeżdżającego z Filadelfii i o wpół do jedenastej rano pukała już do drzwi swojej przyjaciółki Marie Magee w Nowym Jorku.

— Te klejnoty... widziałaś te klejnoty? — zawołała do Marie. — Zadzwoń do niej!

Powiedz, że chcę się z nią natychmiast widzieć!

Po przeszło trzydziestu latach Marie Magee opisała cały epizod Sarah Bradford.

— Gdzie są te klejnoty, Gracie? — zawołała Ma Kelly, kiedy tylko córka pojawiła się w drzwiach.

Grace próbowała grać na zwłokę.

— To tylko trzy sztuki biżuterii.

— Chcesz powiedzieć, że przyjęłaś w prezencie biżuterię? — Oburzenie Ma Kelly nie miało granic. Bukiet kwiatów, książka, pudełko czekoladek... tego rodzaju prezenty były dozwolone. Biżuteria to coś zupełnie innego. — Przywieź je — poleciła córce.

— Och, mamó — jęknęła ociągając się Grace.

— Powiedziałam: przywieź je — powtórzyła Ma Kelly. — Nie ruszę się stąd, dopóki nie wrócisz. Weź taksówkę i przywieź je. Chcę je zobaczyć. Twój ojciec mówi, że trzeba je zwrócić.

Grace pojechała zatem taksówką do siebie i wkrótce wróciła z otrzymanymi od szacha prezentami — trzema kapiącymi od drogich kamieni ekstrawaganckimi cackami, których każdy detal na zawsze utkwiał Marie Magee w pamięci: dwudziestocentymetrową kosmetyczką z czystego złota z trzydziestoma dwoma wielkimi brylantami w klamrze, złotym zegarkiem z bransoletką i tarczą ozdobioną perłami i brylantami oraz złotą spinką w formie ptasiej klatki, z subtelnie okratowanymi drzewczkami, które otwierały się i zamykały na mikroskopijnym zawiasie; w środku klatki siedział na huśtawce ptaszek z wysadzonymi brylantami skrzydłami i oczkami z jasnoniebieskich szafirów. Prezenty warte były dziesiątki tysięcy dolarów.

Ma Kelly wystarczył jeden rzut oka.

— Musisz je oddać — powiedziała.

— Nie mogę tego oddać, mam — stwierdziła Grace.

— Będziesz musiała — powtórzyła Ma Kelly. — Nie ruszę się stąd,

Grace

dopóki te klejnoty nie znajdą się z powrotem u szacha. Twój ojciec mówi, że trzeba je zwrócić. Ja też mówię, że trzeba je zwrócić.

— Nie odmawia się królowi, mam — odparła Grace.

Grace nie powiedziała matce, że była jedna rzecz, której odmówiła szachowi. Młody książę szukał narzeczonej. Niedawno rozwiódł się ze swoją piękną pierwszą żoną, siostrą króla Faruka Fawzią, i w trakcie spędzonych razem z Grace sześciu upojnych nocy zaproponował, żeby zajęła jej miejsce. Trzy złote klejnoty stanowiły zapowiedź przyszłych niezmiernych bogactw.

Grace podzieliła się tą niezwykłą nowiną ze swoim przyjacielem ze studenckich czasów, Markiem „Herbiem” Millerem, rozmawiając z nim któregoś dnia przez telefon. Grace i Herbie rozstali się za obopólną zgodą po ukończeniu studiów w akademii, ale nadal byli ze sobą w kontakcie.

— „Poprosił mnie o rękę!” — oznajmiła Herbiemu zdumiona Grace, opowiadając o tym, jak zakończył się pełen wrażeń tydzień.

Perspektywę zostania cesarzową Iranu Grace potraktowała jako coś w rodzaju żartu. Mogła mieć ogniste serce, ale nie tak łatwo było nim zawładnąć. Chłodny umysł podpowiadał jej, że istnieje zasadnicza różnica między tygodniem zabawy a zaangażowaniem się na całe życie. Niezależnie od wszystkich swoich fantazji o wyższych sferach Grace nie miała zamiaru porzucić marzeń o aktorskiej sławie. Nie kochała szacha i grzecznie mu to oznajmiła.

Nie przeszkodziło jej to jednak zachować klejnotów. Grace trzymała trzy egzotyczne cacka w górnej szufladzie swojej toaletki, pokazując je z upodobaniem przyjaciółkom i powtarzając żartem, że kamienie są zwykłymi szkiełkami. Potem, w przeddzień ślubu z księciem Rainierem w roku 1956 ofiarowała je w prezencie swoim drużnom. Córka prezesa Paramount Pictures, Judy Kanter, nie posiadała się ze zdumienia, gdy Grace wręczyła jej szafirookiego ptaka w delikatnej złotej klatce, wciąż w oryginalnym

opakowaniu Van Cleef & Arpels. Oznajmiła, że nie może przyjąć tak kosztownego prezentu. Grace musi go zachować dla siebie.

— Nie mogę — odparła krótko Grace.

W tej konkretnej sprawie zazwyczaj rozmowna panna młoda nie miała nic więcej do powiedzenia.

Któregoś dnia w początkach lat pięćdziesiątych młody filadelfijski biznesmen, Richard Waterman, zorientował się, że siedzi przy stole tuż obok Grace Kelly. Oboje byli gośćmi na weselu Annę Levy i Herbiego Siegela, dwojga starych przyjaciół i sąsiadów rodziny Kellych z Henry Avenue. Annę Levy była koleżanką Grace w Stevens School.

Levy'owie byli niesamowicie bogaci i bardzo wpływowi. Współpracując z Williamem Paleyem — z którym byli spokrewnieni — Ike i Leon Levy stworzyli CBS, Columbia Broadcasting System. W domu Levych zawsze pełno było ludzi z show-biznesu.

— To było niezwykle miejsce — wspomina Richard Waterman. — Człowiek dzwonił do drzwi i otwierał mu Van Johnson.

Podczas wesela Annę Levy gości zabawiał Frank Sinatra.

Grace Kelly należała w tym towarzystwie do gości drugorzędnych. Zaczynała dopiero robić karierę i Richard Waterman nie był specjalnie urzeczony jej urodą.

— Była chuda i koścista — wspomina. Jeszcze gorsze wrażenie wywarły na nim jej maniery. — Sprawiała wrażenie bardzo wyniosłej i powściągliwej. Nie odzywała się prawie do nikogo przy stole i przez cały czas wpatrywała się w jednego mężczyznę, Maniego Sacksa. Facet mógłby być jej ojcem.

Emanuel „Manie” Sacks był starym przyjacielem rodziny Kellych i Levych. Jako szef Columbia Records (należącej wtedy do CBS) pożyczył Frankowi Sinatrze pieniądze, których tamten potrzebował, żeby wykupić kontrakt wiążący go z zespołem Tommy'ego Dorsey'a. Manie Sacks był zawsze tam, gdzie go potrzebowali.

— Czekał na mnie w porcie, kiedy wróciłem ze złotym medalem z olimpiady — opowiadał o swoim przyjacielem Jack Kelly. — Siadł przy mnie i pocieszał, kiedy przegrałem wybory na burmistrza.

Korzystając ze swoich kontaktów w branży odzieżowej w Nowym Jorku, Manie Sacks pomógł Grace załatwić kilka pierwszych kontraktów w zawodzie modelki. Dzięki mocnym rzeźbionym rysom i kręconym czarnym włosom był bardzo atrakcyjnym i ogólnie lubianym mężczyzną. Jednak zainteresowanie, jakie okazywała mu Grace, Waterman uznał za przesadne.

— Bez przerwy się na niego gapiła. Wykręcała szyję i wodziła za nim oczyma wszędzie, gdzie poszedł. Nie zwracała uwagi na nic innego. Nie wiem, czy miała z nim romans, czy chciała mieć z nim romans, czy też po prostu fascynował ją wpływowy facet z jej branży. Nie

miałem możliwości tego zgadnąć. Ale to było naprawdę niezwykle. Nie miała czasu dla nikogo poza nim. „To dopiero twarda sztuka” — pomyślałem.

Nie wydaje się prawdopodobne, aby Grace Kelly próbowała nawiązać romans z jednym z najlepszych przyjaciół ojca. Jeszcze mniej prawdopodobne jest, by cieszący się powszechnym zaufaniem solidny człowiek interesu, jakim był Sacks, uległ jej wdziękowi. Ale Watermanowi udało się podpatrzeć, jak zachowuje się Grace, kiedy górę bierze w

niej wyrachowanie. Jej pociąg seksualny i pobudzające ją ambicje były do siebie dziwnie podobne. Grace Kelly nie była nigdy aktorką, którą obsadza się w łóżku. Nie posługiwała się bez osłonek seksem, żeby zdobyć pracę. Naprawdę zadawała sobie wiele trudu, by nadać swym stosunkom z mężczyznami charakter wielkich romansów.

W przeciwieństwie jednak do wielu osób, które śnią na jawie, Grace Kelly naprawdę się to udało dzięki stalowej, niemal obsesyjnej determinacji, której przejawy dostrzegł Richard Waterman.

— Zawsze to w sobie miała — mówi Don Richardson. — Kiedy spotkałem ją po raz pierwszy, sprawiała na mnie wrażenie bezbronnej, ale potem odkryłem, że jest tak samo bezbronna jak czołg Pattona.

Pełne uświadomienie sobie przez Richardsona tej prawdy położyło wreszcie kres ich romansowi.

— Zaprosiła mnie któregoś razu do siebie na kolację — wspomina Richardson. — „Chcesz zobaczyć kilka pięknych rzeczy?”, zapytała, kiedy leżeliśmy potem oboje w łóżku. Prawdę mówiąc, najpiękniejszą rzeczą, jaką mogłem sobie wyobrazić, był widok jej nagiej. Ale ona urządziła dla mnie cały pokaz mody, paradując w tych wszystkich drogich ciuchach. Suknia po sukni... Nie potrafiłem sobie wyobrazić, skąd je ma. A potem wyszła z powrotem naga, mając na ręku złotą bransoletkę z kilkoma szmaragdami i pomachała mi nią przed nosem. Tym razem wiedziałem, od kogo ją dostała.

Richardson znał kilka dziewczyn, które pozostawały w bliskich stosunkach z Alym Khanem, playboyem, znanym ze swoich seksualnych podbojów.

— Po pierwszej randce dawał im papierosnicę z jednym szmaragdem — opowiada Richardson. — A kiedy je przeleciał, wręczał im bransoletkę. To było to. Poczułem, jak pęka mi serce. Ubrałem się i powiedziałem, że odchodzę. Nie chciałem jej więcej widzieć. Zapytała,

czy to ma coś wspólnego z bransoletką, a ja odparłem, że owszem, bardzo wiele.

Richardson od dawna zdawał sobie sprawę, że ich romans dogorywa. Sam również pozwolił sobie w jego trakcie na kilka miłosnych przygód i nie mógł się zbyt skarżyć, kiedy Grace pokazała mu dowody niewierności. Nagle jednak uświadomił sobie, że w jej życiu musi być wielu innych mężczyzn — i że urządzając ten dziwny pokaz mody, którego kulminacją była prezentacja bransoletki, chciała mu o tym w zawoalowany sposób zakomunikować.

— Zrobiła się z niej straszna karierowiczka — mówi. — Zależało jej wyłącznie na tym, żeby zdobyć sławę i zostać kimś ważnym. Opowiadała mi już przedtem o kilku mężczyznach, z którymi chodziła, a także o tym, jak pomogli jej nawiązać kontakty towarzyskie i nauczyli rzeczy, które powinna wiedzieć. Doszedłem do wniosku, że mam tego dosyć.

Zrywając z Grace, Richardson wrzucił z pogardą bransoletkę ze szmaragdami do akwarium. Potem ubrał się i podszedłszy do drzwi, obrócił się, żeby posłać swej byłej dziewczynie pożegnalne spojrzenie. Podjął, jak się okazało, właściwą decyzję, ponieważ jego dziewczyna nie tonęła bynajmniej w łzach. Nie wyciągała ku niemu rąk, nie prosiła, żeby wrócił. Grace była wciąż naga i piękna, ale nie myślała wcale o swoim kochanku.

— Rękę miała zanurzoną w wodzie — wspomina Richardson. — Nigdy nie zapomnę tego widoku. Wyławiała bransoletkę z tego cholernego akwarium.

Ogień i lód.

Grace zadebiutowała na Broadwayu szesnastego listopada 1949 roku, cztery dni po swoich dwudziestych urodzinach. Raymond Massey wyłuskał ją prosto z Akademii Sztuk Dramatycznych i obsadził w swojej inscenizacji mrocznej tragedii Strindberga „Ojciec”, i młoda aktorka spełniła pokładane w niej nadzieje.

Grace Kelly w uroczy i plastyczny sposób odtwarza rolę zdezorientowanej i nieszczęśliwej córki — napisał Brooks Atkinson w New York Times.

Całe przedstawienie nie zostało jednak przyjęte tak pozytywnie.

Tylko obsadzona w przekonującej roli córki nowicjuszka Grace Kelly — stwierdził George Jean Nathan — osłabia nieco wrażenie, iż znaleźliśmy się na widowni słabego prowincjonalnego teatryku podczas jednego z jego gorszych dni.

Dokonana przez Masseyego ugrzeczniona interpretacja Strindberga wydawała się koneserom niepełnokrwista, a ponury temat sztuki opowiadającej o złej żonie rozmyślnie wpędzającej swego męża w chorobę psychiczną nie odpowiadał oczekiwaniom masowej widowni w okresie świąt Bożego Narodzenia. „Ojciec” zszedł z afisza w pierwszych tygodniach 1950 roku zaledwie po sześćdziesięciu dziewięciu przedstawieniach. Grace Kelly straciła pracę i dopiero po dwóch latach — i mniej więcej czterdziestu w znacznej części nieudanych przesłuchaniach — udało jej się wrócić na Broadway.

— Czytałam tyle sztuk, że straciłam zupełnie rachubę — powiedziała później w wywiadzie. — Ludzie nie wiedzieli, jak mnie zakwalifikować, ale w jednym byli zawsze zgodni: należałam do kategorii „zbyt”... zbyt wysoka, ze zbyt długimi nogami albo zbyt wyrazistym podbródkiem.

Niektórzy wyrażali się o niej znacznie gorzej. Kiedy John Foreman został agentem MCA i zaprosił ją na lunch, żeby zobaczyć, w jaki sposób może pomóc pięknej młodej protegowanej Edie van Cleve, Grace pojawiła się w rękawiczkach, kapeluszu i małym weloniku.

Dziwna, niemrawa dziewczyna — stwierdził Foreman zniechęcony jej nieśmiałością i oficjalnym tonem.

Dokonana przez Dona Richardsona niewesoła ocena scenicznych możliwości przyjaciółki wynikała ze znajomości twardych i bezlitosnych zasad, które rządzą broadwayowskim rynkiem. Grace nie posiadała głosu oraz bardziej ogólnych warunków, które umożliwiłyby jej karierę sceniczną. Charakteryzował ją olbrzymi osobisty upór — gotowa była przygotowywać rolę za rolą, wędrować po salach prób, poddawać się bez zmrżenia oka bolesnej ocenie i narażać na odpowiedź odmowną. Nie wiedziała jednak jeszcze, jak wyeksponować wewnętrzną stal, by stała się wartością dramatyczną. Jej scenicznej osobowości brakowało barwy — prostej siły i ikry — żeby chwycić za serce kilkaset ludzi siedzących na widowni żywego teatru. Jak ujął to reżyser Sidney Lumet: Nie ma w sobie ognia.

Na szczęście jednak dla Grace żywy teatr nie stanowił dla niej jedynej możliwości. John Foreman, agent MCA, na którym tak słabe wrażenie wywarła w swoim kapeluszu,

woalce i rękawiczkach, specjalizował się w rozwijającej się błyskawicznie branży telewizyjnego dramatu i okazało się, że subtelny urok Grace nabiera zupełnie innego wymiaru, gdy ogląda się ją na miniaturowym ekranie. Jeszcze przed zejściem z afisza „Ojca” zagrała główną rolę w wystawionej przez Philco Playhouse NBC telewizyjnej adaptacji Bethel Merriday („Bethel Merriday”) Sinclaira Lewisa. Spektakl wyemitowano ósmego stycznia 1950 roku, a już po niecałych trzech tygodniach, dwudziestego trzeciego stycznia Grace Kelly wystąpiła w spektaklu Rockingham House („Dom Rockinghamów”), zrealizowanym przez Studio One CBS. Potem wróciła do NBC, grając w Ann Rutledge („Ann Rutledge”), gdzie ponownie odtwarzała tytułową rolę — tym razem legendarnej przyjaciółki Abrahama Lincolna.

Telewizor zaczynał dopiero wkraczać do amerykańskiego domu. Było to nadal ciężkie, nieco niezgrabne urządzenie, a spektakle, które wielkie sieci zaczęły nadawać regularnie od roku 1948, specjalnie się od siebie nie różniły — emitowano przeważnie kosztowne i sztywne produkcje należące głównie do gatunku dramatu kostiumowego, którego bohaterów charakteryzowali obdarzali mnóstwem fałszywych wąsów. Pojawili się jednak eksperymentujący z nowym medium

reżyserzy i autorzy, a Grace razem z innymi przedstawicielami uzdolnionej części młodej generacji aktorów znalazła się nagle w samym środku ożywionej i twórczej krzątaniny. Rod Steiger, Walter Matthau, Lee Remick, Eva Marie Saint, Anthony Perkins, Lee Marvin, James Dean, Jason Robards, Steve McQueen, Jack Palance i Charles Bronson — wszyscy oni debiutowali w nowojorskiej telewizji około roku 1950. Była to elektroniczna wersja letniego teatru repertuarowego — z większymi pieniędzmi w kasie, mniejszą ilością czasu na próby i świadomością, że wszystko zależy od sukcesu jednego emitowanego na żywo spektaklu. Taśmy wideo jeszcze nie znano. Rita Gam, która poznała Grace w telewizji i została jej bliską przyjaciółką, porównywała ten teatr ze sływem tratwą przez przełom rzeki.

— Miało się tylko jedną szansę.

Sama Grace twierdziła, że przypominało to pracę na skraju przepaści.

— Dziesięć minut przed wejściem na antenę — opowiadała później — zmieniali scenopis. „Nie siadaj”, mówili. „Zagraj to, stojąc przy kominku”.

Telewizja była miejscem, w którym Grace uczyła się jako pracująca aktorka podstaw swego rzemiosła. Między rokiem 1950 i 1953 wystąpiła w ponad sześćdziesięciu telewizyjnych spektaklach — przeciętnie więcej niż raz w miesiącu. Lux Video Theatre, Kraft Television Theatre, Hallmark Hall of Fame, The Prudential Family Playhouse, Philco TV Playhouse, Goodyear TV Playhouse, Robert Montgomery Presents — Grace grała w nich wszystkich. Niektóre przedstawienia były naprawdę wartościowe. Wiele nie różniło się w zasadzie od melodramatu. W Lux Video Theatre zagrała w kilku wczesnych wyciskaczach łez, dla których wymyślono właśnie termin „opera mydlana”.

Grace podpisywała kontrakty z niewielkim wyprzedzeniem, uczyła się roli w kilka dni i już po kilku próbach wiedziała, jak dobrze wyglądać przed kamerą. Nie zadzierała specjalnie nosa. Dla Eda Sul-livana włożyła siatkowe pończochy i zagrała z werwą tancerkę z musicalu. Kiedy w roku 1954 Cary Grant partnerował młodej i stosunkowo



niedoświadczonej aktorce w „Złodzieju w hotelu”, zdumiała go dojrzałość jej dialogu, i zapytał, gdzie się tego nauczyła.

— W dziesiątkach oper mydlanych — odparła wesoło.

Pisarz Dominick Dunne pracował w tamtym czasie jako inspicjent. Do jego obowiązków należało przybycie na próbę przed wszystkimi i zaznaczenie na podłodze szarą taśmą, gdzie mają stać meble i elementy dekoracji. Próby często odbywały się w wynajętych salach tanecznych na West Side. W zimnym świetle dnia ich wnętrza sprawiały obskurne i nieprzyjemne wrażenie. Dunne pamięta blask, jaki wносиła ze sobą Grace w bładym zimowym poranku, wchodząc z ulicy w eleganckim futrze z norek:

— Była jedną z najbardziej zachwycających istot, jakie zdarzyło mi się widzieć. Zawsze przyjazna i zawsze bardzo profesjonalna. Po prostu podnosiła na duchu.

— Nie była Eleonorą Duse \* — stwierdził Ted Post, który reżyserował dwa odcinki Danger („Niebezpieczeństwo”), popularnego serialu detektywistycznego, w którym grała jedną z ról. — Ale miała w sobie mnóstwo zaangażowania. Słuchała cię uważnie i robiła to, co mówiłeś.

Wiele telewizyjnych przedstawień przenoszonych było prosto ze sceny, dzięki czemu między operami mydlanymi Grace miała szansę zagrać trochę ról, do których aspirowała, ale w których nie mogła wystąpić na Broadwayu. Należała do nich główna rola w „Łabędziu” (A hattyu, vigjdek harom fehondsban, przekład angielski zatytułowany The Swan) Ferencza Molnara, cieszącej się dużym powodzeniem sztuce o młodej księżniczce rozdartej między miłością do młodego przystojnego instruktora fechtunku a umizgami kapryśnego księcia, za którego chcieli ją wydać rodzice. Grace Kelly wystąpiła w wyemitowanym w CBS „Łabędziu” dziewiątego czerwca 1950 roku.

Praca w telewizji tak ją absorbowała, że postanowiła nie dorabiać już w charakterze modelki. Stała się również kimś w rodzaju doradczynie młodych aktorów, którzy mieli nadzieję, że podobnie jak ona odniosą komercyjny sukces. Któregoś dnia Elia Kazań zapytał, czy nie mogłaby poświęcić chwili, żeby pomóc młodemu aktorowi, który przygotowuje się do szczególnie ważnego przesłuchania. Dysponował wolnym czasem tylko w weekend, ponieważ w dni powszednie pracował u swojego ojca i miał na utrzymaniu rodzinę.

— Próbowałam znaleźć uprzejmy sposób zakomunikowania mu, że nie ma szans — wspominała Grace przeszło dwadzieścia lat później. — Wyjaśniłam, jak ciężko jest znaleźć pracę w tej branży, i przypomniałam, że większość nowojorskich aktorów przymiera na ogół głodem. Poradziłam mu, żeby nie rzucał pracy, bo tylko w ten sposób będzie mógł utrzymać żonę i dzieci... i traktował aktorstwo jako hobby, grając w amatorskich przedstawieniach.

\* Eleonora Duse (1859—1924), słynna włoska aktorka, występowała we Włoszech, Anglii i Stanach Zjednoczonych.

Była to ulubiona opowieść Grace, a pointę stanowiło oczywiście nazwisko owego niedoświadczonego młodzieńca, którego ona, otrząskana telewizyjna profesjonalistka, odsyłała świadomie do amatorskiego teatru. Młodym aktorem był Paul Newman.

Przez trzy lata pod rząd, w 1951, 1952 i 1953 roku, Grace wracała w lecie do Bucks County Playhouse, przyjmując każdą rolę, jaką zdołała jej załatwić Edie van Cleve. Występ na deskach prawdziwej sceny pozostał nadal jej największą ambicją i odrzucała telewizyjne angaże na rzecz każdej propozycji zagrania w teatrze. Lubiła występować na żywo, cieszył ją stłumiony gwar, gdy podnosiła się kurtyna — i jak zawsze szukała również aprobaty ojca.

— Pan Kelly kochał teatr o wiele bardziej niż film czy telewizję — wspomina producentka Jean Dalrymple. — Nie życzył sobie, żeby córka występowała w filmach. Dalrymple była dyrektorką i spiritus movens City Center, wspomaganego finansowo przez miasto teatru, który wystawiał nie pochłaniające wielu pieniędzy adaptacje klasycznych dramatów w Mecca Tempie przy Pięćdziesiątej Piątej Ulicy na Manhattanie. Pobiegła za kulisy, żeby pogratulować Grace jej pierwszego krótkiego występu na Broadwayu w „Ojcu” Strindberga. Dalrymple uważała, że Grace nadaje się idealnie do roli Roksany w „Cyranie de Bergerac”, którego planowała kiedyś wystawić, i Jack Kelly bardzo ją do tego zachęcał. Jeśli jego córka musiała już być aktorką, wołał, żeby występowała w poważnym i cieszącym się szacunkiem klasycznym repertuarze.

— Słyszał straszne rzeczy o dziewczętach, które w Hollywood śpią, z kim popadnie, żeby dostać lepsze role — wspomina Dalrymple. — Z wyjątkiem być może plotek o tancerkach z musicalu nie dotarły do niego żadne takie wieści na temat teatru.

Latem 1951, wracając po raz kolejny do Bucks County Playhouse, Grace Kelly była już, jakby na to nie patrzeć, gwiazdą teatru telewizyjnego. Pod wpływem ojca nie uważała tego jednak za szczególny powód do chwały. W jej oczach prawdziwymi aktorami byli weterani letniego teatryku.

„Pewnie mnie nie pamiętasz — zwróciła się nieśmiało do Sary Seegar, jednej ze starszych aktorek Bucks County, która świetnie ją pamiętała często w telewizji. — Jestem Grace Kelly i grałam w »Ko-ryfeuszach«”.

W wystawianej w roku 1951 w Bucks County sztuce Accent on Youth („Nacisk na młodość”) Grace grała razem Jerome'em Cowanem, poślednim aktorem, który największe triumfy odnosił w latach trzydziestych i nie krył wcale, że zazdrości jej telewizyjnych sukcesów.

„Ma dwadzieścia kilka lat i na niczym się nie zna” — skarżył się każdemu, kto znajdował się w wystarczającej odległości, żeby go słyszeć, Grace nie wyłączając.

— Traktował ją okropnie — wspomina Natalie Core O'Hare, która grała w tym samym przedstawieniu. — Bała się go jak ognia i miała wieczne kłopoty z zapamiętaniem kwestii. Wzięłam ją kiedyś na bok i dałam dobrą radę. „Nie daj się zastraszyć — powiedziałam. — Facet jest już na wylocie i dlatego wszystkim zazdrości. Nie zniechęcaj się. To dobra okazja, żeby sprawdzić, co naprawdę potrafisz zrobić”. No i rzeczywiście, kiedy wyszła na scenę podczas premiery, wyglądała wspaniale i widownia aż jęknęła z zachwytem. Nie zapomniała ani jednej kwestii i zebrała dobre recenzje. Facet miał ochotę ją zabić.

Był to początek bliskiej przyjaźni między Grace i Natalie, która dołączyła do grona wesołych dziewcząt odwiedzających regularnie mieszkanie Kelly i wnoszących frywolną atmosferę Barbizonu w surowe stalinowskie wnętrza Manhattan House. Należały do nich

poznana w hotelu Prudence Wise („Prudy”); dawna współlokatorka Grace z Barbizon, Bettina Thompson; Carolyn Scott, która pomogła jej wystartować w zawodzie modelki, i Sally Parrish, dziewczyna z Południa, która podobnie jak Grace chciała uczyć się w Bennington, a wylądowała w akademii.

Sally Parrish mieszkała właściwie w apartamencie Grace, dzieląc z nią pojedynczą sypialnię. Działo się to na wyraźne polecenie pani Kelly. W listopadzie 1950 roku Grace skończyła dwadzieścia jeden lat, ale według Sally Parrish pani Kelly nadal chciała, aby jej córka miała jakąś damę do towarzystwa albo po prostu kogoś, kto zapewniałby pozory przyzwoitości.

Ma Kelly wpadła w przerażenie na widok bałaganu, jaki panował we wspólnej sypialni obu dziewcząt.

— Och, Grace — zawołała. — Mam nadzieję, że kiedy wyjdiesz za mąż, będziesz miała kogoś, kto pozbiera po tobie rzeczy!

— Ja też mam taką nadzieję, mamo — odparła Grace.

Honorowe miejsce wśród mebli w stylu Grand Rapids przypadło dużemu okrągłemu stołowi z czarnej formiki, przy którym można było zarówno jeść obiad, jak popijać drinki. Osadzony na spirali blat podnoszono na gorące posiłki, żeby potem obniżyć o ponad czterdzieści centymetrów, gdy pito kawę i herbatę. Natalie Core O'Hare pamięta danie z mięsem i ziemniakami przyrządzone przez Grace, która obficie jadła i gotowała sute posiłki: pieczony udziec barani, jarzyny, a na deser cytrynowe ciasto, pojadane w trakcie trwających przez cały wieczór gier i szarad.

Grace i jej przyjaciółki siedziały do późna w nocy, plotkując i żartując. Stałym przedmiotem dowcipów byli mężczyźni. Grace pozbyła się jednego z nie chcianych adoratorów, pożyczając pierścionek zaręczynowy od matki Sally i odgrywając scenę miłosną z wtajemniczonym w sprawę znajomym aktorem. Aby ostudzić zapał innego zalotnika, który nie potrafił w żaden sposób zrozumieć, że daje mu kosza, dziewczęta ubrały się w prześcieradła i urządziły fałszywy seans spirytystyczny.

— Światła były zgaszone i panowała kompletna ciemność — wspomina Sally Parrish. — Meble odsunęłyśmy na bok... Paliła się świeczka i kiedy ten facet wszedł, Grace udawała, że bierze to wszystko bardzo serio i że stanowi to część jej życia. Zdołała się go pozbyć.

Seans nie był tak do końca udawany, ponieważ mieszkając w Manhattan House, Grace całkiem poważnie interesowała się ruszającymi się stolikami, planszami Ouija i okultyzmem. Była Skorpionem i przez całe życie potrafiła ze znanstwem rozprawiać o charakterystycznych cechach tego znaku — do których należały według niej skuteczność, kreatywność, upór, zmysłowość i pasja.

— Przywiązywała olbrzymią wagę do astrologii — wspomina June Sherman, która przyjaźniła się z Grace na początku lat pięćdziesiątych. — Była taka romantyczna. Wróżenie z ręki albo studiowanie własnego diagramu było dla niej tak samo ciekawe jak kupowanie płyt jazzowych albo pójście na francuski film. Wszystko to należało do uroków życia w Nowym Jorku, kiedy było się młodym i nieskrępowanym.

— Większość z nas mieszkała w niezbyt miłych warunkach — opowiadał dwadzieścia lat później John Foreman w rozmowie z Gwen Robyns — a Grace miała wspaniałe

mieszkanie. Przychodziło tam więc mnóstwo ludzi. Wszyscy byliśmy młodzi i nie mieliśmy żadnych wątpliwości, że wkrótce będzie do nas należał cały show-biznes. Panowała atmosfera dobrej zabawy. Późnym wieczorem wszyscy improwizowali numery taneczne. Pamiętam Grace, która wykonywała flamenco, idąc w zawody z Avą Gardner z „Bosonogiej contessy”. Brała intensywne lekcje tańca. Nie miała autentycznego talentu, ale codziennie tam chodziła, bo taka właśnie była. Cholernie zdyscyplinowana. Inni jej przyjaciele pamiętają wyzierającą zza maski rozchichotanej śmieszki tę samą zawziętą, dążącą twardo do celu Grace.

— Kiedy miała coś do roboty, nie rozprawiała o tym długo — wspomina Bettina Thompson Gray. — Po prostu to robiła. Była bardzo zdecydowana.

Grace Kelly nie rozpychała się łokciami, ale uparcie parła do przodu i poznawszy bliżej ją samą i jej niezwykłą rodzinę, przyjaciele nie mieli większych wątpliwości, gdzie bije źródło jej energii i ambicji.

— Chodziło jej o ojca — mówi Natalie Core O'Hare. — Zawsze starała się zdobyć jego uznanie... zasłużyć na tych kilka miłych pochlebnych słów w domu.

— Zależało jej na tym, żeby zwrócić na siebie jego uwagę — potwierdza William Allyn, aktor, który w maju 1951 roku grał razem z Grace w Ring Round the Moon („Halo”) w Ann Arbor w stanie Michigan i który również stał się jej bliskim przyjacielem. — „Zostanę największą gwiazdą, jaką kiedykolwiek widziano w Hollywood”, powiedziała mi kiedyś i nie sądzę, żeby powodowała nią pycha. „Mój ojciec i brat byli olimpijskimi mistrzami w wioślarstwie”, dodała, „a mój stryjek dramaturg zdobył Nagrodę Pulitzera. Kiedy Kelly'owie coś robią, muszą robić to dobrze”.

Jak ujął to Don Richardson:

— Grace musiała narobić większego plusku niż para wioseł. Czasami bardzo jej ciążył ów obowiązek bycia Kelly. Zdaniem wielu

aktorów, którzy brali wraz z nią udział w próbach nowej sztuki Lex-forda Richarda Alexander („Aleksander”) w styczniu 1951, w zasypanym śniegiem Albany, sprawiała wrażenie szczególnie sztywnej i poważnej. Potem, pod koniec dwutygodniowej harówki na pożegnalne przyjęcie ktoś przyniósł elektryczną gitarę. Muzyka zawsze rozluźniała Grace. Wyzwalała zamkniętą w niej zmysłowość. Kiedy zabrzmiały dźwięki elektrycznej gitary, posagowa piękność nagle ożyła — zrzuciła buty na wysokich obcasach i zatańczyła boso, z wirującą przy każdym obrocie spódnicą.

— Wsunęła palce we włosy — wspominał Gant Gaither — i kiedy opadły jej na ramiona, wszędzie posypały się szpilki. „To jest to! — zawołała inspicjentka, Ernestine Parry. — Mówiłam wam bez przerwy, że pod tym lodem musi palić się ogień!”

Dla swoich przyjaciół Grace była w gruncie rzeczy serdeczną i bezpretensjonalną dziewczyną, obdarzoną przy okazji bardzo chłodnym umysłem. Na tych, którzy jej nie znali, sprawiała zupełnie odwrotne wrażenie — powściągliwej i raczej nieprzystępnej młodej kobiety, która tylko czasami pozwalała dojść do głosu długo tłumionym namiętnościom.

Te namiętności rozniecała oczywiście miłość, a Grace nigdy nie miała kłopotu ze znalezieniem miłości — choć każdy jej krok śledzili natrętnie ojciec i matka. Nauczyciel dramatu, kierownik sali bankietowej, szach Iranu — w kim zadurzy się teraz? Latem

1951 Margaret Kelly wybrała się do Denver w Kolorado, gdzie Grace podpisała kontrakt z prestiżowym teatrem Elitch Gardens. Odkrycie, że córka znowu zaangażowała się uczuciowo, nie zajęło jej dużo czasu.

Dla Grace był to czas wielkich emocji. Jej pierwszy chłopak, Harper Davis, umierał na stwardnienie rozsiane. Symptomy choroby pojawiły się w roku 1946, wkrótce po powrocie ze służby w marynarce, która spowodowała ich rozstanie. W roku 1951 Harper był już prawie całkowicie sparaliżowany. Przebywał w Veterans Hospital w Wilmington i za każdym razem, kiedy wracała do domu do Filadelfii, Grace prosiła Charliego Fisha, żeby ją tam podwiózł. Chociaż Harper nie mógł już mówić ani się poruszać, siedziała przy jego łóżku przez całą godzinę, a wracając na Henry Avenue miała zawsze łzy w oczach.

Kiedy gwiazda filmowa, Grace Kelly, udzielała w późniejszych latach wywiadów, nieodmiennie pytano ją, czy była kiedykolwiek zakochana. Jej standardową odpowiedzią była opowieść o Harperze Davisie.

— Kochaliśmy się jako dzieci — opowiadała — a potem on umarł na stwardnienie rozsiane.

Gazety kilkakrotnie przytaczają tę historię — wzruszającą bajkę, którą reporter mógł wykorzystać w charakterze wzmianki o intymnym „życiu miłosnym” i która ucinając zarazem grzecznie wszelkie pytania na temat bieżących i bardziej kłopotliwych romansów. Mimo to smutek Grace nie miał w sobie nic udawanego. Harper Davis był pierwszym z długiego szeregu mężczyzn, których miłość odrzuciła, spełniając wolę ojca. Jej nowym przyjacielem w Kolorado był Gene Lyons, młody aktor o nieco próżnym i poetyckim usposobieniu i jasnorudych włosach, podobnie jak Grace urodził się w irlandzkiej rodzinie w Pensylwanii. Podczas jednak gdy ona wychowała się w luksusowym otoczeniu Henry Avenue, Gene Lyons pochodził z biednej dzielnicy Pittsburgha i z dumą określał się mianem „Irlandczyka ze slumsów”. Był przystojny, skomplikowany, zaskakujący i bardzo czarujący.

— Mamo — zwierzyła się Grace — chyba się zakochałam.

Gene Lyons poruszał artystyczną stronę jej duszy. Stanowił krok wstecz od kapiących od złota salonów Waldorf w stronę handlarzy dywanów przy Trzydziestej Trzeciej Ulicy i podobnie jak Grace zależało mu przede wszystkim na scenicznym sukcesie.

— Nie tylko wiedział, co czuła, ale czuł dokładnie to samo — wspomina pani Kelly. — Powtarzał bez przerwy, że oboje mogą zostać wielkimi artystami dramatycznymi i że będą się nawzajem mobilizować, dążąc do sławy i sukcesów.

Pani Kelly słyszała już przedtem tego rodzaju opowieści i kiedy na horyzoncie pojawiła się w dodatku pierwsza żona Genego Lyonsa, Ma doszła do wniosku, że przystojny młody aktor niewiele różni się od Dona Richardsona.

— Me był to ustabilizowany młody człowiek, za którego miałam nadzieję ją wydać — stwierdziła bez ogródek. — Pomysł poślubienia kogoś z jej branży budził moje poważne zastrzeżenia. „Gracie”, powiedziałam. „Proszę, postaraj się dobrze wszystko przemyśleć, zanim zdecydujesz się na tak ostateczny krok jak małżeństwo”.

W tym przypadku dylemat, podobnie jak kilka razy przedtem, pomogły rozstrzygnąć priorytety zawodowe. Załatwiając Grace role w kilku kolejnych wystawianych latem 1951

roku spektaklach w Elitch Gardens, agentka Edie van Cleve pracowała jednocześnie nad o wiele trudniejszym kontraktem — i dziesiątego sierpnia rzecz ostatecznie doszła do skutku. Tego dnia Grace otrzymała telegram od producenta Stanleya Kramera z Hollywood. „Czy może pani zgłosić się 28 sierpnia, główna rola kobieca, partneruje Gary Cooper. Roboczy tytuł »W samo południe«”.

W samo południe.

Grace Kelly była już raz w Hollywood. Latem 1950 roku wytwórnia Twentieth Century-Fox ściągnęła ją na kilka dni na plan jednej z nowelek, które złożyły się na „Czternaście godzin” (Fourteen Hours), ambitny i nieco eksperymentalny film, oparty na autentycznej historii młodego człowieka, który w roku 1938 przez czternaście godzin groził, że skoczy z gzymsu nowojorskiego hotelu.

Występ Grace był tak krótki, że grana przez nią postać nie miała nawet imienia. Wymieniona w obsadzie jako „kobieta w biurze adwokata” grała młodą elegancką damę z towarzystwa, która dostrzega samobójcę po drugiej stronie ulicy, konferując z adwokatem na temat czekającego ją rozwodu. W scenariuszu rola była skromna i stała się jeszcze skromniejsza, kiedy film zszedł ze stołu montażowego. „Czternaście godzin” nie odniosło komercyjnego ani artystycznego sukcesu, jednak Grace zarobiła za kilka dni zdjęciowych dosyć, by kupić sobie pierwszą etolę z norek. Kilka wytwórni zaoferowało jej poza tym długoterminowe kontrakty, lecz wszystkie odrzuciła.

We wczesnych latach pięćdziesiątych hollywoodzkie wytwórnie miały w zwyczaju oferować obiecującym młodym aktorkom siedmioletnie kontrakty, gwarantując im mniej więcej tysiąc dolarów tygodniowo w zamian za sprawowanie totalnej kontroli nad ich życiem — wytwórnie mogły zmieniać nazwisko lub fryzurę dziewczyny, założyć jej na zęby koronki, a nawet dostarczyć kandydata na przyjaciela lub męża. Tę iście ojcowską opiekę wprowadzono podobno, żeby dbać o prawidłowy przebieg kariery gwiazd, w praktyce jednak troska wytwórni o swoje podopieczne sprowadzała się do tego, co krytyk filmowy Richard Schickel określił mianem systemu kafeterii — umieszczano się wszelkiego rodzaju apetyczne kąski przed publicznością, a potem siadało z tyłu, obserwując, który z nich budzi największy głód.

Grace Kelly nie widziała swojej przyszłości w szeregach należących do wytwórni gwiazdek.

— Nie byłam tym zainteresowana — stwierdziła później. — Mogłam zarobić więcej jako modelka.

Grace wiedziała, co sądzi o Hollywood jej ojciec, a stryjek George wpoił swej bratanicy gruntowną niechęć do pozłacanej klatki, w której zamykał artystę kontrakt z wytwórnią. George Kelly doświadczył tego na własnej skórze w latach trzydziestych, kiedy wyjechał do Los Angeles, żeby szlifować cudze scenariusze. Kontrakt uważał za śmierć artystycznej niezależności, a Grace wzięła sobie jego słowa do serca. Jednym z wyróżników jej hollywoodzkiej kariery była umiejętność inteligentnego wyboru. Instynkt podpowiadał aktorce, żeby szukać zawsze najlepszego towarzystwa — najlepszych reżyserów, najzdolniejszych scenarzystów i najslawniejszych gwiazd — i wszystko to

znalazła jesienią 1951 roku, opuszczając letni teatr w Kolorado, żeby dołączyć do ekipy realizującej film „W samo południe” (High Noon).

Zespół składający się z producenta Stanleya Kramera, scenarzysty Carla Foremana i reżysera Freda Zinnemanna wyprodukował już „Pokłosie wojny” (Men), przejmujący dramat o skazanych na wózek inwalidzki wojennych weteranach. Nakręcony na czarno-białej taśmie, w „semirealistycznym” stylu, który stanowił znak firmowy Freda Zinnemanna, film nie zrobił dużej kasy, ale nie zrażeni tym Kramer i Foreman przerwali się na western, opowieść o szeryfie, który próbuje zmobilizować mieszkańców małego miasteczka przeciwko bandzie desperatów. Każdy zdolny do walki obywatel, poczynając od sędziego aż po pastora i jego pobożną trzódkę, znajduje jakiś powód, żeby odwrócić się plecami od szeryfa w godzinie potrzeby — która ma wybić w samo południe, kiedy do miasta przyjedzie pociąg z bandytami.

Carl Foreman pisał scenariusz w czasie, gdy wezwano go do stawienia się przed senacką Komisją do Spraw Działalności Antyamerykańskiej. Przed wieloma laty był członkiem partii komunistycznej i świetnie wiedział, na ilu może liczyć przyjaciół, przyznając się do takich koligacji w mieście i w branży ogarniętej panicznym strachem. — „W samo południe” — stwierdził później — opowiadało o Hollywood, wyłącznie o Hollywood.

Grace miała grać Amy Kane, kwakerską młodą żonę szeryfa, której pacyfistyczne zasady każą przyłączyć się do potępiających jej męża mieszkańców miasteczka. Pod wpływem wydarzeń Amy zmienia jednak zdanie, staje z powrotem u jego boku i oddaje decydujący, ratujący mu życie strzał. Była to kluczowa rola w całym filmie, Grace nie zawdzięczała jej jednak bynajmniej własnym zasługom.

— Chciałem mieć kogoś nieznanego naprzeciwko Gary'ego Coope-ra — wspomina Stanley Kramer. — Nie było mnie stać na nikogo innego, więc podpisałem kontrakt z nią. Kramer był niezależnym producentem, biorącym pieniądze od każdego, kto je zaoferował. Jednym z jego inwestorów był hodowca sałaty z Salinas. Kramer sam dobierał gwiazdy, reżysera, obsadę uzupełniającą i ekipę realizacyjną, a potem sprzedawał wytwórni ukończony film. W systemie „gotowego produktu” powstają dzisiaj prawie wszystkie hollywoodzkie filmy, lecz w czasach, gdy tworzone filmy wyłącznie w studiu, była to swego rodzaju rewolucja — i forma ta okazała się szczególnie korzystna dla Grace.

— Jako niezależny producent Stanley nie potrzebował żadnego kontraktu z wytwórnią — wyjaśnia Jay Kanter, młody kolega Edie van Cleve z MCA, który załatwił Grace angaż u Kramera. — Grace Kelly nie chciała podpisywać długoterminowej umowy.

Po przyjeździe do Hollywood pod koniec sierpnia 1951 roku Grace poszła na plan, żeby spotkać się z reżyserem. Fred Zinnemann wiedział

o młodej aktorce tylko tyle, że grała w letnim teatryku i zgodziła się pracować za odpowiednią cenę.

— Przyszła w białych rękawiczkach — wspomina Zinnemann — które wydawały się raczej nie na miejscu w małym obskurnym studiu, w którym pracowaliśmy. Jej uroda miała w sobie coś afektowanego. Ale Grace była bardzo spięta. Wydawała się zdecydowanie nieśmiała.

Zinnemann wypowiada się przede wszystkim w swoich filmach, w życiu nie jest zbyt rozmowny.

— Jestem do niczego, jeśli chodzi o pogaduszki — mówi — a ona też nie była najlepsza. Na większość moich pytań odpowiadała krótkim „tak” albo „nie”. To była szybka, bardzo szybka rozmowa.

Reżyser z pewną ulgą uściśnął opiętą białą rękawiczką dłoń aktorki i odesłał ją do biura Carla Foremana. Nie sprawiała zbyt obiecującego wrażenia, jednak zastanawiając się nad czekającym ją zadaniem, uświadomił sobie, że tak właśnie wyobrażał sobie postać żony szeryfa.

— Trochę nudna i niepełnokrwista — mówi dzisiaj Zinnemann — nieco bezbarwne ucieleśnienie dziewictwa. Była kwakierką, dziewczyną Ze Wschodu, która znalazła się nagle pośród wszystkich tych nieokrzesanych dzikusów w miasteczku na Dzikim Zachodzie. Powinna być spięta i nieśmiała. [Grace] była stworzona do tej roli. Musiała tylko grać samą siebie. Fakt, że nie była całkiem uformowana jako aktorka, dodawał jej tylko wiarygodności.

Odtwarzający postać szeryfa Kane'a Gary Cooper również grał samego siebie i dzięki temu właśnie stworzył tak pamiętną rolę. Pięćdziesięcioletni aktor rozstał się ze swoją żoną Rocky, a jego związek z aktorką Patricią Neal nie był chyba zbyt udany. Aktor cierpiał na zapalenie stawów, bóle w krzyżu, wrzód żołądka — a po zakończeniu zdjęć okazało się w dodatku, że powinien się poddać operacji przepukliny. W mieście mówiło się, że Coop jest już skończony. Jego dwa ostatnie filmy zrobiły klapę i żeby grać u Stanleya Kramera musiał znacznie obniżyć swoje honorarium.

— „Wyglądaj po prostu na zmęczonego”, powiedziałem mu — wspomina Fred Zinnemann — i wspaniale się z tego wywiązał.

Grace nie mogła uwierzyć, że pracuje z jednym z gwiazdorów, których razem z Marea i innymi koleżankami podziwiała w sobotnie wieczory w kinie Orpheum w Germantown.

— Całowałaś się z nim? — zapytała Peggy, kiedy Grace pojawiła się ponownie na Henry Avenue.

— Tak, całowałam się — odparła chichocząc Grace.

— Ile razy? — chciała wiedzieć Peggy. Grace zmarszczyła brwi.

— Och... chyba z pięćdziesiąt — stwierdziła.

Delikatny i czarujący Gary Cooper wydawał się idealnym kandydatem do kolejnego romansu Grace. Przystojny i wytworny starszy pan uznał ją za zachwycającą dziewczynę i bardzo chciał pomóc jej w dalszej karierze. Reprezentował klasyczną postać ojca. Ale we wrześniu 1951 miał aż za dużo problemów z kobietami i nie wydaje się prawdopodobne, żeby kiedykolwiek wiązało ich coś więcej niż przyjaźń. Zdjęcia do „W samo południe” udało się ograniczyć do pracowitych dwudziestu ośmiu dni, a Grace towarzyszyła przez cały czas jej młodsza siostra Lizanne.

— Obecność na planie twojej siostry Lizzie będzie bardzo dobrze przyjęta przez rodzinę — oświadczyła surowo Ma Kelly, kiedy Grace po raz pierwszy zdradziła swój zamiar udania się do Hollywood, i w ten oto sposób najmłodszy z psów łańcuchowych z Ocean City przeniósł się do Hollywood Hills.



Osiemnastoletnia Lizanne mieszkała z siostrą w tym samym pokoju, odwoziła ją rano do pracy, pomagała jej uczyć się kwestii wieczorem i czasami spędzała z nią również cały dzień na planie. Kiedy Coop wybrał się ze swą ładną partnerką na poszukiwanie jakiejś dobrej restauracji, jej mniej fotogeniczna młodsza siostra wcisnęła się na tylne siedzenie jego ukochanego srebrnego jaguara.

Ani Kramer, ani Zinnemann nie zauważyli, żeby doszło do romansu.

— Grace była dziwna — wspomina Kramer. — Izolowała się od ludzi.

— Nikomu się specjalnie nie zwierzała — potwierdza Zinnemann. — W ciągu dwudziestu ośmiu dni nie było zbyt wiele czasu, żeby nawiązać bardziej osobiste kontakty.

W gruncie rzeczy Grace wydawała mu się głęboko nieszczęśliwa. Stojąc na progu wielkiej szansy, nie przypominała wcale beztroskiej romantyczki, robiła wrażenie spiętej i zamkniętej w sobie.

— Wyglądało na to, że żyje w ciągłym zagrożeniu — wspomina reżyser — i stroniła od wszelkich kontaktów. Mam teraz uczucie, jakbym ją znał, zanim stała się w pełni rozwiniętą osobą.

W tamtym okresie Zinnemann pracował również z młodą Audrey Hepburn — jest jedynym twórcą, który reżyserował filmy z udziałem obu aktorek — i jego zdaniem Grace była z nich dwóch znacznie bardziej krucha.

— Audrey miała w sobie olbrzymią pewność siebie — mówi dzisiaj — podczas gdy z tego, co widziałem, Grace była jej zupełnie pozbawiona. Na pewno w tamtym okresie. Zmagala się, można powiedzieć, z samą sobą. Zamiast patrzeć na świat, spoglądała najczęściej we własne wnętrze.

Zinnemann żałował, że nie jest w stanie pomóc jej bardziej w grze aktorskiej. Przyszedł do filmu dzięki swemu wspaniałemu wyczuciu kamery, a nie jako specjalista od pracy z aktorami. Jednak nawet podczas krótkiego i pracowitego harmonogramu zdjęć do „W samo południe” reżyser miał okazję przekonać się, jakimi możliwościami dysponuje młoda, grająca Amy Kane aktorka:

— W niektórych ujęciach wyglądała zaskakująco przeciętnie. A potem, kiedy filmowaliśmy ją pod pewnym szczególnym kątem, w pewnym szczególnym oświetleniu, sprawiała po prostu magiczne wrażenie. Wyglądała jak gwiazda.

Za rolę w filmie „W samo południe” Gary Cooper dostał Oscara.

Jego kreacja była ludzka i heroiczna zarazem i pomogła nadać filmowi status dzieła klasycznego. Ziarnista, przypominająca dokument faktura taśmy, napięcie potęgowane przez cyferblaty tykających nieubłagane zegarów, dramatyczna i pozbawiona nadziei piosenka Dimitriego Tiom-kina, za którą kompozytor również otrzymał Oscara — wszystkie elementy znakomicie do siebie pasowały. Klapę zrobiła tylko Grace Kelly — przynajmniej według niej samej. Stworzyła koturnową, sztywną rolę, której wymagali od niej reżyser i producent, ale była z niej głęboko niezadowolona.

— Patrząc na jego twarz widziało się wszystko, co myśli — powiedziała o Garym Cooperze. — Kiedy patrzyłam na swoją twarz, nie widziałam kompletnie niczego. Wiedziałam, co wtedy myślałam, ale nie było tego w ogóle widać.

Po przeszło dwudziestu latach Grace nadal wspominała z przykrością swoją pierwszą większą rolę na dużym ekranie.

— Po ukończeniu akademii — zwierzyła się Donaldowi Spoto w roku 1975 — siadaliśmy i ćwiczyliśmy dawanie autografów. To była tylko kwestia czasu: znajdowaliśmy się tuż-tuż. Od gwiazdorstwa dzieliło nas zaledwie kilka przecznic. Jednak po obejrzeniu „W samo południe” pomyślałam: „Boże! Tej biednej dziewczynie nigdy się to nie uda, chyba że bardzo szybko postara się ze sobą coś zrobić!” Wpadłam w przerażenie. Byłam żalosna.

Akademia dała Grace Kelly podstawy techniki dramatycznej i niepowtarzalny akcent. Dzięki telewizji poprawiła się płynność jej dialogu. Grace wiedziała jednak, że potrzebuje czegoś więcej. Musiała w jakiś sposób zlokalizować i uwolnić dodatkowy potencjał, który pozwoliłby jej włożyć całą duszę i serce w grę. Życie pełne było emocji. Problemów nastroczało tylko ich aktorskie wykorzystanie i Grace zwróciła się o pomoc do Sanforda Meisnera, jednego z wielkich guru amerykańskiego dramatu, który nauczał wtedy w Neighborhood Playhouse przy Pięćdziesiątej Czwartej Ulicy w Nowym Jorku. Późną jesienią 1951 roku, zaraz po powrocie z Hollywood zapisała się na prowadzony przez niego profesjonalny kurs.

W latach trzydziestych Sanford Meisner był jednym z twórców szkoły aktorskiej opartej na „metodzie”, ale potem zerwał z Lee Strasbergiem, nie godząc się z jego koncepcją „pamięci emocjonalnej”, wedle której aktor powinien przyjrzeć się swojej przeszłości, aby odkryć uczucia, które ma uzewnętrznić na scenie. Zdaniem Meisnera istniało wiele innych źródeł autentycznego uczucia — pośród których wcale nie miałą rolę przypisywał czystej wyobraźni i fantazji. To, czego szukacie, nie musi się koniecznie ograniczać do waszego realnego życia — argumentował, nakłaniając swych studentów, by wyobrazili sobie dla przykładu, co mogłoby się zdarzyć podczas ich spotkania sam na sam z Sophią Loren. — Wasza wyobraźnia jest wedle wszelkiego prawdopodobieństwa głębsza i bardziej przekonująca niż autentyczne doświadczenie. Żeby odnaleźć samego siebie, nie trzeba, zdaniem Meisnera, wnikać w swoje wnętrze, ale patrzeć wokół siebie. Aktorstwo widział jako proces wejścia w kontakt z innym aktorem, następnie tchnięcie życia w dramatyczną wymianę uczuć, która konstytuuje sceniczny dialog, i na koniec tchnięcie życia w samego siebie. Uczył swoich studentów, jak to wszystko zrobić, w trakcie ćwiczeń dialogowych, które prowadzili parami: dwoje aktorów, którzy mówili, słuchali i intensywnie na siebie reagowali.

— Gapię się na ciebie.

— Gapisz się na mnie.

— Przyznajesz, że to robię?

— Przyznaję.

— Wale mi się to nie podoba.

— Mc mnie to nie obchodzi.

Meisner sugerował tylko punkt wyjścia. Aktorzy musieli kontynuować wymianę zdań i poddawać się towarzyszącym jej uczuciom, słuchając tego, co podpowiada im wrażliwość na partnera i ich wewnętrzne ego.

Jedna chwila poprowadzi was do następnej — tłumaczył Meisner. — Musicie nauczyć się zaufania. W końcu słowa będą płynęły prosto z waszego serca.

Dopiero po osiągnięciu tego stadium, stanowiącego ostateczny cel kursu, Meisner pozwalał studentom odgrywać sceny i dialogi z prawdziwych sztuk.

Ćwicząc solidnie przez ponad rok między przesłuchaniami w kolejnych teatrach i pracą w telewizji, Grace udało się przebrnąć przez trudne i czasami niezrozumiale brzmiące dialogi Meisnera<sup>A</sup>. Wsluchiwała się pilnie we własne uczucia, wyczuwała dojrzewającą w jej wnętrzu reakcję i odpowiadała partnerowi, starając się w ogóle nie myśleć. Różniło się to zasadniczo od obowiązującego na Henry Avenue katechizmu, którego główne nakazy brzmiały: „przestrzegaj dobrych manier” i „pomyśl dwa razy, zanim coś zrobisz”.

Powtarzanie prowadzi

do spontaniczności — nauczał Meisner. — Musicie nauczyć się, jak przestać myśleć i jak działać, zanim pomyślicie.

— Jej nastawienie bardzo nam imponowało — mówi James Carville, asystent Meisnera.

— Grała główne role w telewizji. Odniosła sukces w Hollywood i zaproponowano jej kontrakt. Ale ona odstawiła to wszystko na bok. Powiedziała, że nie zamierza wrócić, dopóki nie nauczy się dobrze grać... a przecież studiowała już przedtem dwa lata w szkole teatralnej.

Meisner, szczupły, ascetyczny okularnik, nie tolerował głupców. Jego ulubionym cytatem, oprawionym w ramki i wiszącym na ścianie gabinetu, były słowa Goethego: „Chciałbym, żeby scena była wąska jak lina, po której stąpa linoskoczek — nie ważyłby się wtedy na niej stanąć żaden ignorant”. Odsiew na prowadzonych przez niego kursach był bardzo duży; Meisner potrafił odprawić ucznia w trakcie zajęć, mówiąc mu, żeby już nie wracał, ponieważ uważa, że nie jest go w stanie niczego nauczyć.

Myślenie nie ma w tej pracy znaczenia — wyjaśniał. — Opierajcie się na instynkcie.

Dobre aktorstwo wypływa z serca.

Grace szła za jego radą. Intensywne ćwiczenia dialogu, które prowadziła pod kierunkiem swego nauczyciela, sprawiły, że pokonała bariery konwenansu i namysłu i dotarła do etapu określanego przez Meisnera mianem zdrady samego siebie — czysto podświadomego obnażenia przez utalentowanego aktora jego najgłębszej i najbardziej osobistej jaźni. Miłość i seks już wcześniej pomogły jej przezwyciężyć te bariery. Teraz zaczęła się uczyć, jak wydobyć tę samą radość z gry aktorskiej.

— Grace była zdumiewająca — stwierdził w późniejszych latach Cary Grant, podziwiając wyniesioną z kursów Meisnera intensywność, którą jego partnerka potrafiła nadać ujęciu. — Kiedy grałeś z nią jakąś scenę, naprawdę cię słuchała. Była tam razem z tobą. Była niczym Budda.

Sanford Meisner jest dzisiaj osiemdziesięciosiedmioletnim starcem, wyniszczonym przez okrutną serię wypadków i chorób. Stracił struny głosowe i potrafi mówić tylko z największą trudnością, przystawiając wzmacniacz do ust. Ma niewiele słów do stracenia i poproszony o werdykt na temat ładnej i pracowitej aktorki, którą uczył w ciągu dwunastu miesięcy na przełomie roku 1951 i 1952, długo szuka określenia, oddającego w precyzyjny sposób istotę rzeczy.

— Grace miała dobrą emocję — stwierdza w końcu.

Romans z królem.

Po powrocie z planu „W samo południe” do Nowego Jorku Grace podjęła swój przerwany wakacyjny romans z dziarskim Genem Lyonsem.

— Byli w sobie zakochani po uszy — wspomina producent i reżyser, David Swift, który pisał wtedy scenariusze dla telewizji i sam umówił się kilka razy z Grace.

Gene Lyons mieszkał w Nowym Jorku i pracował w telewizji, próbując jednocześnie doskonalić własną technikę aktorską. Zapisał się na kurs w Actors Workshop przy Szóstej Alei i spędzał długie wieczory w Manhattan House, ćwicząc wraz z Grace swoje i jej dialogi. Miłość, praca i wzajemne wspieranie się na duchu... był to w gruncie rzeczy ten sam model stosunków, które łączyły Grace z Herbiem Millerem i Donem Richardsonem.

Na początku lutego 1952 roku Grace i Gene wystąpili razem w telewizji, grając główne role w *The Rich Boy* („Bogatym chłopaku”) według opowiadania Scotta Fitzgeralda.

„Zakochali się w sobie — intonował narrator — od pierwszego wejrzenia”. Ale miłość w telewizyjnym przedstawieniu napotkała poważne przeszkody, ponieważ tytułowy bogaty chłopak, grany przez Lyonsa, miał problemy z alkoholem, odbijające się niekorzystnie na jego uczuciu do granej przez Grace bogatej dziewczyny. Ostatecznie bohaterowie spektaklu rozchodzą się — i taki sam los czekał Grace i Genego w rzeczywistości.

— Nie widział świata poza butelką old bushmills — wspomina aktorka Lee Grant, która romansowała z Lyonsem krótko przed jego spotkaniem z Grace. — Był naprawdę wspaniałym, atrakcyjnym Irlandczykiem, bardzo skomplikowanym i poetyckim. Uwielbiał zaglądać

do saloonów i barów. Był cudownym kumplem i miał olbrzymi talent, ale wykończyła go whisky. Po Grace bardzo szybko stoczył się na dno.

Zniszczony przez alkohol Gene Lyons nigdy nie wykorzystał w pełni swych aktorskich możliwości. W późniejszych latach zagrał drugoplanową rolę w telewizyjnym serialu „Ironsides” (*Ironsides*) i zmarł w stosunkowo młodym wieku w roku 1975 nie wyzwolewszy się nigdy z nałogu — kolejny niedoszły małżonek, którego późniejsze życie i perypetie potwierdziły poważne obawy, jakie w rodzicach Grace budził gorący temperament ich córki.

Grace nadal nie osiągała wielkich sukcesów w teatrze. Wiosną 1952 roku, zaraz po występie w *The Rich Boy*, obsadzono ją w małej rólce w wystawianej na Broadwayu, nie wyróżniającej się niczym salonowej komedii *To Be Continued* („Ciąg dalszy nastąpi”), która zaledwie po kilku tygodniach zeszła z afisza. Ale w kwietniu 1952 „W samo południe” zdobyło Oscary i w Hollywood postanowiono ponownie przyjrzeć się nieśmiałej młodej blondynce, która zagrała Amy Kane. Reżyser Gregory Ratoff zaprosił Grace na zdjęcia próbne do filmu *Taxi*, który miał kręcić dla Twentieth Century-Fox. Grace przygotowywała się solidnie do roli, wezwanie jednak nadeszło, kiedy się go najmniej spodziewała. Wychodziła właśnie z Manhattan House na zajęcia prowadzone przez Sanforda Meisnera i nie zdążyła się wystroić ani włożyć swoich białych rękawiczek. Pojawiła się w nowojorskim biurze Twentieth Century-Fox w starej spódnicy i bluzce, bez makijażu, z potarganymi włosami.

— Doskonale! — zawołał Gregory Ratoff.

Poczekalnia pełna była wyfiokowanych i wyelegantowanych młodych aktorek, Ratoff szukał jednak kogoś, kto mógłby zagrać rolę prostej irlandzkiej imigrantki i Grace wydawała się do niej idealnie pasować.

— Czy potrafi pani mówić z irlandzkim akcentem? — zapytał.

— Oczywiście — odparła Grace.

Przygotowując się do zdjęć próbnych poprosiła znajomego Irlandczyka, żeby przez trzy dni czytał jej gazety.

Ratoff bardzo chciał zaangażować Grace, nie zgodzili się na to jednak jego hollywoodzcy zwierzchnicy. Rola w Taxi przypadła ostatecznie kontraktowej aktorce Twentieth Century-Fox. Ale niekonwencjonalne zdjęcia próbne Grace zobaczył John Ford, wielki reżyser „Dyliżansu” (Stagecoach), który podpisał właśnie z MGM umowę na nową ekranizację „Platynowej blondynki” (Red Dusi), głośnego

szlagieru z wczesnych lat trzydziestych z Clarkiem Gable'em i Jean Harlow, przeżywającymi wielką miłość na malezyjskiej plantacji kauczuku. W roli głównej chciał ponownie wystąpić Clark Gable. Akcję przeniesiono do Afryki, tytuł zmieniono na „Mogambo” (Mogambo) i planowano wysokobudżetową superprodukcję. Po kilku miesiącach zdjęć plenerowych we Wschodniej Afryce ekipa miała przenieść się do studia MGM w Anglii. Takiej okazji nie mogła przepuścić żadna młoda aktorka. Jednak ceną, której tym razem nie dało się uniknąć, było podpisanie siedmioletniego kontraktu z MGM. Kierowniczka działu obsady wytwórni, Lucille Ryman Carroll, pamięta męki, jakie Grace przechodziła jesienią 1952 roku w jej gabinecie. Przyleciała do Hollywood samolotem i zaproponowano jej drugą rolę kobiecą. Jej nazwisko miało się pojawić na afiszu jako trzecie, zaraz po nazwiskach Clarka Gable'a i Avy Gardner. Ale nawet to nie mogło złamać oporu, jaki budziła w niej perspektywa siedmiu lat pańszczyzny.

— „Nie jestem zainteresowana kontraktem — oznajmiła zdumionej Lucille Ryman Carroll — ponieważ po jego podpisaniu nie ma się żadnego wyboru”.

Pani Carroll była pod wrażeniem inteligencji i charakteru Grace, która różniła się znacznie od większości przewijających się przez jej gabinet młodych ładnych kobiet.

— Tak wiele z nich — mówi — miało całkiem pusto w głowie.

W gabinecie kierowniczki obsady stała ekstrawagancka kanapa, na której wiele przyszłych gwiazd prowokacyjnie się rozsiadało. Grace nie zwróciła na nią uwagi, wybierając stojące po drugiej stronie biurka małe, twarde krzesło, na którym usiadła wyprostowana i rzeczowa, zaciskając mocno w dłoniach złożone białe rękawiczki. „Co właściwie oznacza zawarcie kontraktu?” — zapytała, kiedy pani Carroll dała jej jasno do zrozumienia, że nie ma najmniejszej szansy zagrać razem z Clarkiem Gable'em i Avą Gardner, jeśli nie zwiąże się na stałe z MGM.

Kierowniczka wyjaśniła, że Grace otrzyma na początek siedemset pięćdziesiąt dolarów tygodniowo, z gwarantowanym zatrudnieniem przez czterdzieści tygodni w roku — co równało się rocznym zarobkom w wysokości mniej więcej trzydziestu tysięcy dolarów (ekwiwalent dzisiejszych stu dziewięćdziesięciu tysięcy). Pani Carroll zapomniała ją poinformować, że jako największa gwiazda MGM Clark Gable dostaje

pięć tysięcy dolarów tygodniowo, a większość młodych aktorów i aktorek zaczyna od półtora tysiąca.

— Kiedy na to teraz patrzę, stwierdzam, że oferując siedemset pięćdziesiąt dolarów naprawdę ją wtedy obraziłam — mówi pani Carroll. — Wiedziałam jednak, że nie ma wielkich potrzeb, a pieniądze nie były chyba dla niej problemem. Ważniejsze okazywały się inne rzeczy.

Grace wiedziała dokładnie, czego chce. Podpisując umowę z MGM postawiła własne warunki — możliwość dalszego mieszkania w Nowym Jorku, udział w nie więcej niż trzech filmach rocznie i prawo do występowania od czasu do czasu w teatrze.

— Żadna z tych rzeczy nie stanowiła tak naprawdę większego problemu — twierdzi pani Carroll. — Nie obchodziło nas, gdzie mieszka, kiedy nie kręci filmów, i było bardzo mało prawdopodobne, żebyśmy zdołali obsadzić ją więcej niż w trzech rolach w ciągu roku. Co do angażów teatralnych, oznajmiłam, że to całkiem niezła myśl. „Podoba nam się ten pomysł — powiedziałam — ponieważ zwiększy twoją popularność i sprawi, że będziesz bardziej znana”.

Grace została zatem mimo wszystko hollywoodzką aktorką kontraktową. Zgodzono się jednak na zaproponowane przez nią warunki i startowała z miejsca oddalonego o kilka poziomów od najniższego szczebla.

Usiądź i wstrzymaj oddech, mam dla ciebie wspaniałe wiadomości — napisała do swego przyjaciela Billa Allyn, naśladując styl „Buszującego w zbożu” J. D. Salinger, którego Allyn niedawno jej podarował. — Będę kręcić film w Afryce ze starym Clarkiem Gable'em!

Donald Sinden, młody brytyjski aktor, którego obsadzono w „Mogambo” w roli męża Grace, odkrył po przyjeździe w końcu listopada 1952 roku do Nairobi, że Gable i Kelly są już bliskimi przyjaciółmi. Sinden zjadł z nimi tamtego wieczoru kolację w restauracji New Stanley Hotel.

— Wszystkie dania dla nas trojga zamówiła w suahili — wspomina. — Zaczęła wkuwać ten język, kiedy tylko dowiedziała się, że będzie pracować w Kenii.

Podczas realizacji filmu logiczne wydawało się zbliżenie między Clarkiem Gable'em i Avą Gardner, dwójkiem największych i owianych legendą amerykańskich idoli ekranu, z których każde stanowiło klasę dla siebie. Jednak Ava, która wyszła niedawno za mąż za Franka Sinatrę, zajęta była przede wszystkim komplikacjami, do jakich doszło w ich małżeństwie. Wkrótce po przylocie do Afryki odkryła, że jest w ciąży, i przerwawszy zdjęcia udała się do Londynu, żeby dokonać aborcji. Potem zaś szybko stwierdziła, że Clark Gable zaangażował się uczuciowo gdzie indziej.

Co się tyczy spraw sercowych — zanotowała później w swoich pamiętnikach — Clark nie odrywał oczu od Grace, a ona nie odrywała oczu od niego. Oboje byli wtedy samotni, a jest całkiem normalne, że w Clarku zakochuje się z miejsca każda kobieta.

Dwadzieścia osiem lat starszy od Grace Clark Gable nosił sztuczną szczękę i był tak mało wymowny, że jak zauważyła kiedyś Ava Gardner, jeśli mówiło mu się: „Cześć, Clark, co u ciebie?”, zapominał języka w gębie. Ale wciąż potrafił unieść swój wąsik w krzywym uśmiechu, który tak urzekł Scarlett O'Hara, i zdobycie serca Grace nie sprawiło mu najmniejszej trudności. Przyjechała do Afryki, żeby grać z „królem”

Hollywood, i właśnie to robiła. Solidny i łatwo nawiązujący kontakty Clark Gable był pozbawionym onieśmielającego dystansu Jackiem Kellym. Gracie lubiła się do niego przytulać i nazywać „Ba” — suahilskim słowem, oznaczającym ojca.

Para nie kryła się wcale ze swoimi uczuciami.

— Przez większość czasu — wspomina Donald Sinden — byli ze sobą.

W swojej zabawnej autobiografii, *A Touch of the Memoirs*, brytyjski aktor opowiada, jak któreś nocy zaglądając do pogrążonego w mroku pokoju Gable'a, zobaczył „króla” siedzącego w łóżku z dziewczyną — oboje całkiem gołych.

Czy młodą damą była Grace Kelly? Sinden, w późniejszych latach przyjaciel Grace, a obecnie jeden z siwowłosych nestorów brytyjskiego teatru, nie udziela w tej kwestii jasnej odpowiedzi.

— Sam się nad tym często zastanawiałem — mówi.

W dniach, kiedy nie byli potrzebni na planie, Grace i Clark wstawali wczesnym rankiem i jeździli na długie wycieczki w busz podskakującym na wybojach niewygodnym starym dżipem. W liście do Prudy Wise, przyjaciółki z Barbizon Hotel, która pracowała teraz jako jej sekretarka, Grace opisywała, jak rozebrała się, żeby popływać z Clarkiem nago w Jeziorze Wiktorii. Zachowywali się wobec siebie całkiem na luzie — w przerwach między ujęciami siadali na krzesłach, oboje w okularach, niczym starzy małżonkowie, którym zupełnie nie zależy na wywarciu wrażenia na drugiej stronie. Kiedy zdjęcia dobiegały końca, wycofywali

się do namiotu Clarka, gdzie Grace pomagała „królowi” opróżniać kolejne butelki wysokoprocentowych alkoholi, do których on i Ava Gardner tak bardzo lubili zaglądać. Szybko jednak odkryła, że nie może wypić tyle co jej słynni partnerzy.

— Nigdy nie miała mocnej głowy — wspomina szkolna koleżanka, Maree Frisby Rambo.

— Kiedy próbowałyśmy rumu z coca-colą, Grace mogła wypić tylko jednego drinka.

Alkohol najwyraźniej nie bardzo jej służył.

Ava Gardner zauważyła to samo.

Jej mały nosek robił się różowy — napisała — dostawała mdłości i musieliśmy ją ratować. Albo obrażała się o byle co i wykonywała mój stary numer, wybiegając w mrok. Clark uświadamiał sobie po kilku chwilach, co się stało, i pytał mnie: „Dokąd ona poszła, kochanie? To jest Afryka. W Afryce nie wolno tak po prostu wybiegać z namiotu”.

Wychodziłam więc, odnajdywałam ją i sprowadzałam z powrotem, zanim pożarły ją lwy. Donald Sinden siedział któregoś wieczoru przed swoim namiotem, pisząc przy świetle sztormowej lampy list do domu, kiedy nagle wydało mu się, że widzi mijającą go i znikającą w mroku białą plamę. Po kilku chwilach pojawiła się kolejna biała plama, która zbliżyła się, zakręciła i w końcu przybrała postać ubranej w nocną koszulę Avy Gardner.

— „Don, widziałeś Grace? — zapytała. — Nie możemy jej znaleźć”. Sinden złapał latarkę, pobiegł w busz i po chwili odnalazł swoją

zmęczoną partnerkę, również w nocnej koszuli, skuloną za krzakiem i całą zapłakaną.

— „Odejdź — syknęła. — Chcę być sama”.

Widząc, że nie ma innego wyjścia, Donald Sinden pozostał z młodą aktorką, trzymając Grace w objęciach tak długo, aż się uspokoiła i mógł odprowadzić ją do namiotu.

W trakcie kręcenia zdjęć niedaleko wybrzeża Oceanu Indyjskiego Gable wrócił któregoś dnia z planu, gdzie występował bez Grace, i dowiedział się, że wybrała się na plażę. Postanowił, że pójdzie jej poszukać, i po jakimś czasie znalazł Grace siedzącą na skałach i zalewającą się łzami nad rozłożoną na kolanach książką.

— Dlaczego płaczesz? — zapytał.

— To najpiękniejsza rzecz na świecie — odparła. — Czytałam właśnie "Śniegi Kilimandżaro" Hemingwaya, ten fragment o leopardzie na śniegu, i kiedy podniosłam wzrok, zobaczyłam lwa przechadzającego się wzdłuż brzegu. Wyzwoliwszy się spod surowego nadzoru Kellych, Grace mogła nareszcie dać upust swej ogromnej skłonności do sentymentalizmu. Zachwycając się Hemingwayem, popijając alkohol, romansując z wielkim białym myśliwym — mogła sobie powiedzieć, że kręci swój własny prywatny film „Moje przygody w Afryce”. Mocno odizolowana od zewnętrznego świata, nie musiała wcale ukrywać swych namiętności, tak jak to robiła w Nowym Jorku, gdzie prowadziła coś w rodzaju drugiego życia. Przy niewielkim ryzyku mogła rozkoszować się uczuciem bycia na marginesie wyjętym spod wszelkiej kontroli. Z drugiej strony Grace — zawsze ambitna córka Kellych — utożsamiała się w klasycznym stylu szkoły dramatycznej z postacią, która miała się stać jej pierwszą poważną rolą. Świadomie bądź nieświadomie odtwarzała w rzeczywistości ekranową rolę Lindy Nordley, wytwornej i pruderyjnej młodej Angielki, która traci głowę w romantycznej atmosferze Czarnego Łądu. Uczestnicząc wraz ze swoim prostolinijnym mężem antropologiem (Donald Sinden) w safari, zakochuje się w nieokrzesanym zabijacku, Clarku Gable'u, którego wynajęli jako przewodnika i który zaangażowany jest uczuciowo w Avie Gardner, przyjaciółce z dawnych czasów, poszukującej w Afryce maharadży.

Podobnie jak większość hollywoodzkich produktów, „Mogambo” wydaje się mniej sensowne na papierze, niż kiedy wyświetla się je na Vistavision, z pulsującą w tle muzyką. Film kręcono zgodnie z najwspanialszą hollywoodzką tradycją. Armia kucharzy i służących usługiwała gwiazdom w ich luksusowo wyposażonych płóciennych pawilonach. Elektryczny generator wielkości lokomotywy zapewniał prąd liczącemu trzysta namiotów obozowisku, czas wolny zaś wypełniano, grając w ping-ponga i w strzałki, tudzież co wieczór oglądając inny film, wyświetlany z dwu bliźniaczych szesnastomilimetrowych projektorów. Na Boże Narodzenie do obozu przyleciał wycarterowany DC-3, przywożąc indyki, szampana i Franka Sinatrę, który dotrzymywał towarzystwa Avie Gardner i śpiewał dla całej reszty podczas sylwestrowego balu. Donald Sinden jako gwiazdor angielskiego pochodzenia często padał ofiarą niewyparzonego języka swojego reżysera. John Ford, gburowaty amerykański Irlandczyk, żywił nieopisaną pogardę zarówno dla Anglików jak i Amerykanów pochodzących z Włoch, toteż przedstawiając podczas przyjęcia Avę Gardner i Franka Sinatrę brytyjskiemu gubernatorowi Ugandy, skorzystał z okazji, żeby dać wyraz obu swym uprzedzeniom.

— Może zdradzisz gubernatorowi, Ava — powiedział — co widzisz w tych sześćdziesięciu kilogramach kurdupła?



— Prawdę mówiąc — odparła Ava, którą rzadko udawało się zbić z tropu — w tych sześćdziesięciu kilogramach tylko pięć kilogramów Franka i pięćdziesiąt pięć kutasa! Wcale nie zgorszona Grace świetnie się bawiła w towarzystwie tak spektakularnie pozbawionych wszelkich zahamowań dorosłych dzieci. Cofając się w czasy kilkunastoletniej Gracie, rzucającej po samochodzie poduszeczkami od biustonosza, stała się bliską przyjaciółką Avy Gardner, zwłaszcza w bolesnych tygodniach przed i po jej aborcji. Gore Vidal przytacza anegdotę, którą opowiedział mu producent filmu, Sam Zimbalist:

— Na planie kręciło się mnóstwo tych wysokich Watusi, pięknych wojowników, których wynajmowaliśmy jako statystów i którzy nie nosili niczego prócz przepasek na biodrach. Dziewczyny przechodziły obok i Ava zapytała Grace: „Zastanawiam się, czy ich fiuty są tak duże, jak się mówi. Widziałas kiedyś w życiu czarnego kutasa?” Mówiąc to wyciągnęła rękę i podciągnęła przepaskę jednego z Watusi, który uśmiechnął się od ucha do ucha, w chwili gdy jego wielki członek wyskoczył na zewnątrz. W tym momencie Grace zrobiła się kompletnie niebieska. Ava puściła przepaskę i odwróciła się do niej. „Frank ma większego”, stwierdziła.

Zachęcona swobodną atmosferą, Grace zdecydowała się uraczyć kolegów odrobiną własnej frywolności. Uznano, że jej najlepszą historyjką była opowieść o tym, jak idąc któregoś dnia cała wystrojona na próbę na Broadwayu, zobaczyła starego pijaka, wyciągającego z kosza na śmieci skórę od kurczaka i wsadzającego ją pomiędzy dwie spleśniałe kromki chleba.

— Chcesz gryzą? — zapytał widząc, że mu się przypatruje. Grace prychnęła pogardliwie i zaczęła się oddalać.

— To znaczy, że nie mam szansy na szybki numer? — zawołał za nią z żalem pijak. Fikle i swawole skończyły się nagle z początkiem roku, kiedy ekipa powróciła do cywilizacji. Poprzedzały ją plotki o romansie i kiedy całe towarzystwo przybyło do Anglii na ostatni miesiąc zdjęć w studiu

MGM w Borehamwood, reporterzy nie mogli się doczekać, żeby je potwierdzić. Grace i Gable zakwaterowani zostali w dwóch wychodzących na Tamizę apartamentach w hotelu Savoy. Na powrót do Londynu — donosił Sidney Skolsky w New York Post — ekipa realizująca „Mogambo” wynajęła trzy samoloty: Ava Gardner leciała pierwszym, reżyser John Ford i jego szwagier drugim, a Gable i Grace Kelly trzecim! Hedda Hopper zamówiła rozmowę przez Atlantyk.

— Opowiedz mi o Grace Kelly — poprosiła Clarka Gable'a.

— Słabo cię słyszę — odparł Gable, który aż do tej chwili słyszał doskonale każde pytanie wywiadu.

Królowa hollywoodzkiej plotki nie miała zamiaru tak łatwo dać za wygraną.

— Słyszałam, że oboje uczyniliście Afrykę jeszcze gorętszą, niż jest w rzeczywistości — naciskała.

— Dobry Boże, skądże znowu — zapierał się „król”.

Jestem wystarczająco stary, żeby być jej ojcem — brzmiała odpowiedź Gable'a na dotyczące Grace pytanie pewnego Brytyjczyka, którego relacja znalazła się obok wielu innych w amerykańskich gazetach. Rewelacje te odbiły się szerokim echem wśród

nowojorskich przyjaciół Grace. Żywiący do niej skrywaną słabość odwiedzający Manhattan House młodzieńcy dowiadywali się oto, że związała się z mężczyzną wszechczasów.

— Pamiętam, że czułem się dotknięty do żywego — mówił John Foreman w rozmowie z Gwen Robyns w roku 1975. — Wszyscy byliśmy zawsze zazdrośni o mężczyzn, z którymi spotykała się Grace, i dopiero po kilku latach uznałem, że jeśli rzeczywiście do tego doszło, miała wszelkie prawa to zrobić. Kto nie poszedłby do łóżka z Clarkiem Gable'em, zadałem sobie pytanie. Odpowiedź brzmiała: każdy. Każdy poszedłby do łóżka z Clarkiem Gable'em.

Reakcja przy Henry Avenue nie była tak filozoficzna. Ma Kelly, która potrafiła zwietrzyć niebezpieczeństwo z odległości pięciu tysięcy kilometrów, znalazła się w pierwszym odlatującym do Londynu samolocie.

— Znakomicie zdawałam sobie sprawę — stwierdziła później — z emocji, jakie nasza Grace potrafiła wzbudzać w mężczyznach.

Po przyjeździe do Londynu Ma Kelly doszła do wniosku, że uczucie Grace do gwiazdora ma w sobie wiele z „pensjonarskiej miłości”. Mimo to postanowiła zostać, żeby się upewnić. Zatrokana matka

spędziła trzy chłodne lutowe tygodnie w Londynie, dotrzymując towarzystwa swej dwudziestotrzyletniej córce. Przyznając, że sama podkochuje się w gwiazdorze, Ma Kelly z wielką przyjemnością towarzyszyła córce i Clarkowi Gable'owi przynajmniej podczas jednej z ich randek.

— Z wielkim zaciekawieniem — relacjonowała ich kolację a trois — wysłuchałam opowieści o przeróżnych przygodach, jakie mieli w Afryce.

Grace przyzwyczajona była do snucia miłosnej intrygi również pod czujnym okiem matki. W ten właśnie sposób postępowali Kelly'owie. Byli rodziną bez granic. Ale Clarka Gable'a to nie interesowało i przyjazd pani Kelly stał się pretekstem do grzecznego wycofania się. Henry Hathaway, reżyser Grace z „Czternastu godzin”, przebywał wtedy przypadkowo w hotelu Savoy razem ze swą żoną Skip i oboje byli świadkami końca romansu.

— Postawił u szczytu schodów strażnika, żeby nie mogła do niego wejść — wspomina Skip Hathaway. — Facet stał tam przez cały okres naszego pobytu. [Grace] była bardzo uparta.

Hathawayowie byli starymi przyjaciółmi Gable'a.

— Powiedział jej po prostu: „Idź stąd” — opowiada pani Hathaway.

Hathawayowie odnieśli wrażenie, że Gable próbuje przekształcić romans w przyjaźń. Po czterech małżeństwach i przeszło trzydziestu latach stałych podróży i przygodnych związków starszy pan wiedział, kiedy się zatrzymać. Ale Grace nie przyjmowała tak łatwo do wiadomości tej zmiany kursu. Jej listy do Prudy stały się monotonne i żalodne.

Nie rozmawiam ostatnio z Clarkiem — pisała. — Jestem strasznie przygnębiona i chcę wracać do domu.

— Była po prostu zdruzgotana — wspomina Maree Frisby Ram-bo. — Pamiętam, jak opowiadała mi, że Clark nie przyjmuje jej telefonów i nie odpowiada na listy. „Kiedy przyjechaliśmy do Londynu”, powiedziała, „Clark znalazł się nagle w świetle jupiterów. Był Clarkiem Gable'em, a ja byłam po prostu nikim”.

Clark Gable nie był pierwszym lepszym uwodzicielem. Naprawdę polubił Grace. Jego publiczne aluzje do ojcowskiego uczucia stanowiły coś więcej niż tylko kamuflaż wydarzeń, do których doszło w Afryce, 1 w późniejszych latach zwykł jako lojalny powiernik i przyjaciel towarzyszyć Grace dość regularnie podczas hollywoodzkich gali i oficjalnych imprez. Minęło jednak sporo czasu, zanim Grace przyzwyczaiła się widzieć go w ten sposób. Kiedy filmowe zobowiązania młodej aktorki w Londynie zostały wypełnione, Gable odwiózł ją na lotnisko, żeby się pogodnie pożegnać. Stanowiło to znakomitą okazję do położenia kresu wszelkim rozpowszechnianym przez media plotkom, Grace jednak nie potrafiła udawać. Na oczach zgromadzonych reporterów i fotografów wybuchnęła spazmatycznym szlochem. Kiedy oglądała się Grace Kelly w „Mogambo”, widać pożytki, jakie przyniósł jej roczny kurs u Sanforda Meisnera. Jej aktorstwo nadal nie mogło się równać ze swobodną maestrią Clarka Gable'a i Avy Gardner, ale podobnie jak w filmie „W samo południe”, w samej roli zawarta była pewna powściągliwość. Prezentowana przez Grace wewnętrzna pasja, którą krępuje boleśnie gorset konwenansów, tchnęła życiowym autentyzmem i za role Amy Kane i Lindy Nordley magazyn Look przyznał jej tytuł Najlepszej Aktorki roku 1953.

Za tą nieco ekstrawagancką nominacją stał Rupert Allan, młody krytyk filmowy, który reprezentował Look w Europie. Poznał Grace w Londynie, gdzie przygotowywał dla swego pisma relację ze zbliżającej się koronacji królowej Elżbiety II. Dyskretny, będący homoseksualistą Rupert Allan miał stać się w przyszłości jednym z najbliższych powierników Grace. Nieraz angażował swój wdzięk i kontakty, aby dopomóc jej w aktorskiej karierze i kształtowaniu publicznego wizerunku.

Tylko trochę mniej zaaranżowana była przyznana Grace w roku 1953 za rolę w „Mogambo” nominacja do Nagrody Akademii za Najlepszą Kobięcą Rolę Drugoplanową. Przyznając jej nominację w tej podrzędnej kategorii, akademia tradycyjnie już promowała młodą i obiecującą nowicjuszkę, za którą stała potężna wytwórnia. Grace miała stanowić ozdobę pierwszej części wieczoru i nikt się nie zdziwił, kiedy jej nazwiska nie wyciągnięto z koperty.

W Hollywood najwyraźniej zauważono jednak Grace Kelly. Miała ładną buzię — niewiarygodnie ładną buzię, kiedy dobrze ją fotografowano — i wypełniała niszę, która pozostała pusta po odejściu Ingrid Bergman. Przez całe lata czterdzieste Bergman królowała w Hollywood w roli chłodnej enigmatycznej blondynki — roli, której kwintesencję stworzyła w „Casablance”. W roku 1950 prezentowany na ekranie przez szwedzką aktorkę seksualizm zawładnął jednak w katastrofalnym stopniu jej życiem. Bergman zakochała się we włoskim reżyserze Roberto Rosselinim i będąc z nim w ciąży uciekła do Europy, porzucając córkę i Bogu ducha winnego męża lekarza. Skandal wstrząsnął całym przemysłem filmowym. Aktorka została potępiona na forum Senatu Stanów Zjednoczonych jako „wyznawczyni wolnej miłości” i „hollywoodzki anioł degradacji”, a senator Edwin Johnson z Kolorado wezwał wprost do uchwalenia przepisów licencjonujących przemysł filmowy i wprowadzających nad nim nadzór etyczny, który miał sprawować Departament Handlu. Afisze, na których we wczesnych

latach pięćdziesiątych królowały seksbomby w rodzaju Lany Turner, Jane Russell i Marilyn Monroe, zdawały się potwierdzać jego punkt widzenia.

Kandydatki na opuszczony przez Ingrid Bergman tron widziano w osobach Virginii McKenny i Deborah Kerr, ale obie były zbyt kryształowe i zanadto przypominały szkolne nauczycielki. Tylko Grace miała w sobie odpowiednie i intrygujące połączenie ognia i lodu. Uosabiała tę samą dwubiegunowość, która tworzyła napięcie towarzyszące obecności na ekranie kremowej Ingrid Bergman. Grace była blondynką i dzięki swoim teutońskim genom miała nawet nordyckie kości policzkowe jak Bergman. Fizyczne podobieństwo było uderzające — a ze swymi białymi rękawiczkami i filadelfijskim pochodzeniem Grace Kelly wносиła także towarzyską oglądę.

Od dobrych kilku lat — zauważył z galanterią Gary Cooper — nie mieliśmy w branży dziewczyny, której wygląd świadczyłby o tym, że urodziła się po właściwej stronie Park Avenue.

Grace Kelly trafiła na odpowiedni moment. Mając na swym koncie zaledwie trzy niewielkie role, stanowiła dla hollywoodzkich producentów obsadowy ekwiwalent biblijnych i klasycznych eposów, którymi we wczesnych latach pięćdziesiątych wytwórnie starały się naprawić nadszarpniętą reputację. Była zdecydowanym przeciwieństwem rozwiązłych dziewczyn w swetrach.

Mamy serdecznie dosyć krzykliwego, wyzywającego, rozbuchanego seksu — napisał Edward Linn w magazynie Saga. — Grace Kelly jest znacznie bardziej ekscytująca właśnie przez swoją powściągliwość.

Ze swą chłodną urodą i ascetycznym publicznym stylem bycia Grace wydawała się uosobieniem cnoty — kwintesencją dobrego pochodzenia i niewinności. Nie odpowiadało to jednak oczywiście w pełni prawdzie.

Śnieżna księżniczka.

Alfred Hitchcock lubił wyobrażać sobie często, że siedzi na tylnym siedzeniu taksówki z przepięknie zbudowaną, lecz lodowatą blondynką, która pozbywa się nagle wszelkich zahamowań — w półmroku migają jej jasne nogi i ramiona i słychać szelest jedwabnej bielizny.

— Z tego rodzaju kobietą może wam się przydarzyć dosłownie wszystko — deklarował, oblizując w duchu wargi, reżyser w trakcie opowieści o swym wymyślnym spotkaniu z istotą, którą lubił określać mianem „Śnieżnej Księżniczki”. — Angielka, Niemka z północy albo Szwedka może przypominać z wyglądu guwernantkę, ale poczekajcie tylko! Kiedy się rozbryka, jest wprost zdumiewająca... Ciekawiej jest odkrywać seks w kobiecie, niż dostawać go na tacy.

Niepokojące i odnoszące niezwykle sukcesy filmy Hitchcocka opierały się na konstatacji, że rzeczy nigdy nie są do końca takie, na jakie wyglądają. Niegodziwość a la Hitchcock ujawniała się w najmniej spodziewanych momentach, a korpulentny impresario wybierał swoje heroiny tak, by uosabiały element zaskoczenia. Poczynając od Virginii Valli, odtwarzającej główną rolę w jego pierwszym niemym filmie z roku 1925, aż po Ingrid Bergman, która wystąpiła w trzech thrillerach w latach czterdziestych, bohaterki Hitchcocka prezentowały intrygującą dwuznaczność piękna i pokusy — alchemię, która

przekształca czystą na pozór niewinność w płomienną pasję. Grace Kelly doskonale mieściła się w tym profilu.

Po raz pierwszy reżyser dostrzegł Grace w filmie „W samo południe”, gdzie była jego zdaniem nieśmiała. W ustach mistrza rozwiązań nieoczekiwanych stanowiło to w gruncie rzeczy komplement — „nieśmiałość” była dla Hitchcocka czymś ekscytującym — toteż kiedy pokazano mu nakręcone przez Gregory'ego Ratoffa niekonwencjonalne zdjęcia próbne Grace, pobudziło to jeszcze silniej jego wyobraźnię. Jesienią roku 1953 Hitchcock miał kręcić kolejny kryminał. Scenariusz detektywistycznego thrilleru „M jak morderca” (Dial M for Murder) napisał na podstawie własnej, cieszącej się dużym powodzeniem sztuki brytyjski pisarz Frederick Knott. Akcja osadzona była w wywołującym klaustrofobiczne lęki londyńskim apartamencie. Hitchcock chciał powierzyć Grace rolę nieobliczalnej, lecz w gruncie rzeczy naiwnej Angielki — takiej, jaką byłaby Linda Nordley z „Mogambo”, gdyby przeniesiono ją do North Kensington.

— Współpraca z aktorką jej pokroju daje reżyserowi pewne korzyści — wyjaśnił później Hitchcock. — Można nadać więcej kolorytu scenie miłosnej, kiedy gra ją dama, niż kiedy gra ją dziwka. Z inną aktorką scena może być wulgarna. Ale jeśli umieści się w tym samym miejscu damę, może wydać się podniecająca i czarująca.

Pragnąc osobiście sprawdzić Grace, Hitchcock poprosił ją o spotkanie zaraz po powrocie z realizacji „Mogambo”. Perspektywa rozmowy z mistrzem tak zdenerwowała młodą aktorkę, że prawie w ogóle się nie odzywała.

— Mózg zmienił mi się w kamień i było to śmieszne i straszne zarazem — stwierdziła później.

Fred Zinnemann i John Ford mogli być wielkimi filmowcami, ale Hitchcock stanowił swego rodzaju żywą legendę — był jedynym oprócz Cecila B. DeMille'a reżyserem, którego nazwisko umieszczano na afiszu przed nazwiskami gwiazd. „Psychoza” (Psycho) i „Ptaki” (The Birds) miały dopiero powstać, ale Alfred Hitchcock zaprezentował już widowni swoje makabryczne poczucie humoru i umiejętność budowania suspense w tak głośnych filmach jak „Trzydzieści dziewięć kroków” (The 39 Steps), „Dama zniknęła” (The Lady Vanishes) i „Tajny agent” (Saboteur).

Hitchcock natychmiast polubił Grace. Jej nieśmiałość i uległość ujęły artystę szcycącego się tym, że kontroluje każdy element swej twórczości. Zaoferował jej rolę niewiernej żony Raya Millanda w „M jak morderca” — jedyną rolę kobiecą w całym filmie. Ponieważ Hitchcock robił film dla Warner Brothers, musiał wynegocjować „wypożyczenie” aktorki z wytwórni MGM, która zażądała dwudziestu tysięcy dolarów za sześć tygodni jej pracy, zapewniając sobie w ten sposób całkiem godziwy czysty dochód. W czasach wszechwładzy wytwórni była to standardowa procedura... i przyniosła korzyści samej Grace. Razem z zagwarantowanym na afiszu drugim miejscem po Millandzie dostała podwyżkę gaży do wysokości tysiąca dwustu pięćdziesięciu dolarów tygodniowo.

Był to całkiem duży sukces dla dwudziestotrzyletniej aktorki z zaledwie dwiema niezbyt znaczącymi rolami na koncie. Przed rozpoczęciem zdjęć do „M jak morderca” Grace musiała jednak wywiązać się z wcześniejszych zobowiązań telewizyjnych — wystąpić w

sztuce „Droga orła” (Way of an Eagle) w roli żony pioniera naturalizmu i malarza ptaków, Johna Jamesa Audubona, którego grał jowialny francuski aktor Jean-Pierre Aumont. Jean-Pierre Aumont wydawał się idealnym mężczyzną dla Grace Kelly. Przystojny czterdziestodwuletni wdowiec i bohater wojenny wygłaszał swe kwestie elegancko się zacinając. Przypominający z wyglądu absolutnego pożeracza niewieścich serc, Maurice'a Chevaliera, Aumont był od niego młodszy, szczuplejszy i bardziej drapieżny. Partnerował już takim gwiazdom jak Ginger Rogers i Eva Gabor, toteż podpisując na początku 1953 roku z NBC kontrakt na rolę Audubona w realizowanej przez Goodyear Playhouse „Drodze orła”, zapytał o aktorkę, która miała grać jego żonę.

— „To bardzo młoda i piękna dziewczyna”, powiedzieli mi. „Kończy właśnie film w Afryce razem z Clarkiem Gable'em i Avą Gardner”.

Gdy po raz pierwszy spotkał się z Grace Kelly w położonej w pobliżu Broadwayu sali balowej, którą NBC wynajmowała na próby, Aumont nie spodziewał się zobaczyć białych rękawiczek i rogowych okularów. Ale Grace przybrała swą lodowatą, odpychającą pozę. Wróciła właśnie z Londynu i wciąż leczyła rany po nagłym zakończeniu romansu z Clarkiem Gable'em. Nie miała zamiaru dać się ponownie wykorzystać i porzucić.

— Emanowała z niej wielka powaga — wspomina Aumont. — Była z pewnością ładna, ale przede wszystkim bardzo, bardzo niedostępna.

Ta dama nie jest na odstrzał — dawała do zrozumienia Grace swemu przystojnemu francuskiemu partnerowi.

Aumont miał nadzieję, że będzie przynajmniej mógł zwracać się do swojej partnerki po imieniu.

— W Hollywood wszyscy w naszej branży są ze sobą od pierwszej minuty na ty.

Panna Kelly nie pozwoliła jednak nawet na takie drobne ustępstwo.

— Bez przerwy byłem dla niej „panem Aumontem”. Mówiła do mnie w ten sposób przez dwa albo trzy dni.

Francuz zwrócił uwagę na mrozącą krew w żyłach umiejętność, z jaką Grace w ciągu krótkiej chwili zmieniała spojrzenie swych błękitnych oczu w stal.

Aumont długo i bezskutecznie starał się ją oczarować — aż do chwili, gdy dostrzegł na ścianie napis, który umieszczono, by zachęcić do dobrej zabawy wieczorem, kiedy sala balowa wracała do swej normalnej funkcji.

— Napis brzmiał: „Panie, bądźcie miłe dla swoich panów. To też są w końcu ludzkie istoty”. „Może pani to przeczytać, panno Kelly?”, zapytałem. Podniosła wzrok, roześmiała się i lody zostały przełamane. Zostaliśmy bliskimi przyjaciółmi.

Zostali również kochankami.

— Oboje nie byliśmy prawiczkami — stwierdza Jean-Pierre Aumont, którego jako dwustuprocentowego Francuza zdumiewa myśl, iż stosunek między dwojgiem atrakcyjnych dorosłych ludzi mógłby się obyć bez zdrowej dawki seksu.

Przez całe gorące szczęśliwe lato roku 1953 Grace Kelly i jej partner kochali się w Nowym Jorku, odgrywając zarówno na scenie jak i w rzeczywistości role państwa Audubonów. Figlarne ornitologiczne odżywki — „Patrz, kochanie, czubata mucholówka!”

— stały się nieodłącznym elementem ich flirtu.

Z nadejściem jesieni każde poszło swoją drogą: Grace pojechała do Hollywood, gdzie miała kręcić film z Hitchcockiem, Aumont wrócił do swych aktorskich zajęć we Francji. — Kochałem ją — mówi dzisiaj Francuz — bo była taka urocza. Dlaczego więc Grace Kelly traktowała go początkowo z taką rezerwą?... Tylko po to, żeby później totalnie mu się oddać?

— Dzień, w którym zrozumieć, jak działają kobiety — odpowiada aktor, wzruszając z galijską niefrasobliwością ramionami — będzie dniem, w którym mnie kanonizują. W kontaktach z płcią odmienną Jean-Pierre Aumont był człowiekiem czynu. W przeciwieństwie do niego Alfred Hitchcock stanowił z całą pewnością przykład teoretyka. Uwięziony w wielkim rozkołysanym ciele hiperaktywny umysł Anglika był umysłem podglądacza snującym inspirujące jego sztukę fantazje na temat żądzy i przemocy. Hitchcock filmował sceny morderstwa, jakby były scenami miłosnymi — zauważył francuski reżyser, Francois Truffaut — a sceny miłosne, jakby przedstawiały morderstwa. Film „M jak morderca” był melodramatem łączącym w sobie te dwa elementy; Grace odtwarzała w nim postać, która stała się inspiracją dla obydwu. Po odkryciu przez niesympatycznego męża (Ray Milland) jej romansu z przebywającym, z wizytą amerykańskim pisarzem (Robert Cummings) grana przez Grace Margot Wendice pada ofiarą wymyślnego spisku. Stawiając opór wynajętemu przez męża mordercy, Margot zabija go krawieckimi nożyczkami, ale mąż manipuluje dowodami rzeczowymi, chcąc doprowadzić do skazania jej na śmierć za morderstwo.

Hitchcock postanowił sfilmować sztukę prawie dokładnie tak, jak wystawiono ją na scenie, używając tylko jednego planu, żeby spotęgować psychopatyczną i duszną atmosferę. Po przyjeździe do Hollywood w sierpniu 1953 roku Grace odkryła, że reżyser pracuje już od kilku tygodni.

— Hitchcock planował wszystko z wyprzedzeniem — wspomina Mel Dellar, który pełnił przy tym filmie rolę jego asystenta. — Nigdy nie pracowałem z nikim, kto byłby tak skrupulatny.

Hitchcock włożył szczególnie wiele wysiłku w choreografię walki z mordercą, która była jedyną gwałtowną sceną w poza tym statycznym i nieco przegadany filmie. Ubrana tylko w nocną koszulę Grace miała się wić i jęczeć, wyciągając błagalnie ręce w stronę widowni i mówiąc bosymi nogami na mrocznym żółtozielonym tle „Warner Color”. Tylko prawdziwa dama mogła złagodzić oczywisty erotyzm tej sceny i Hitchcock nie mógł się doczekać, żeby pokierować grą młodej aktorki, która, czego był pewien, miała okazać się pokrytym śniegiem wulkanem.

Jednak nawet mistrz zaskoczenia nie przewidział, w jakiego rodzaju wulkan może zmienić się Grace. Chłodna profesjonalistka na planie, po wyłączeniu kamery zachowywała się jak zupełnie inna osoba, spełniając skryte fantazje Hitchcocka w stopniu, którego ten nie przewidział w najśmielszych marzeniach. „Ta Gryce!” — powtarzał ze swoim cockneyowskim akcentem w rozmowie ze scenarzystą Bryanem Maw-rem, wspominając kilka lat później spustoszenie, jakie jego niezbyt cnotliwa młoda gwiazda szerzyła pośród atrakcyjnych mężczyzn na planie „...mordercy”.

— „Ta Gryce! Pieprzyła się ze wszystkimi! Mój Boże — dodawał i pewnym zdumieniem. — Pieprzyła się nawet z małym Freddie, scenarzystą!”

Bryan Mawr, sam scenarzysta dość mizernej postury, nie mógł nie potraktować zdziwienia wielkiego człowieka jako osobistego przytyku. „Śnieżna księżniczka!” — chichotał Hitchcock, delektując się ukrytą w tych słowach ironią i bardziej niż kiedykolwiek przypominając demonicznego cheruba. — „Gryce Kelly, śnieżna księżniczka!”

Reżyser — sam katolik, walczący na próżno z cielesnymi pokusami — przede wszystkim z grzechem obżarstwa — nie krył fascynacji, jaką budziło w nim dwuznaczne zachowanie aktorki. Przybywając do Hollywood, by po raz pierwszy zagrać główną rolę w filmie, Grace całkowicie porzuciła chłód, jaki próbowała początkowo narzucić profesjonalnym stosunkom z Jean-Pierre'em Aumontem. Nie zdziwiłaby chyba bardziej Hitchcocka, realizując jego scenariusz z tylnego siedzenia taksówki.

— Podczas pracy nad „M jak morderca” w Grace kochali się wszyscy mężczyźni — wspomina jej siostra Lizanne. — Kłębił się wokół niej cały tłum. Tony Dawson (który grał mordercę) i Frederick Knott (autor sztuki i scenariusza) zakochali się w niej nie na żarty. Lizanne dzieliła wraz z Grace pokój w Chateau Marmont, obskurnym pensjonacie, górującym nad Sunset Boulevard i przypominającym chylący się ku upadkowi gotycki zamek. Podobnie jak przed dwoma laty, podczas realizacji „W samo południe”, młodsza siostra miała pełnić rolę przyzwoitki, tym razem jednak szybko dała za wygraną.

— Kochała się w niej cała ekipa — wspomina. — Wszyscy przysyłali kwiaty. „Ten pokój wygląda jak dom pogrzebowy”, stwierdziłam w pewnej chwili. Skończyły mi się wazonny... Codziennie pojawiał się nowy bukiet.

Głównym dostawcą bukietów był gwiazdor filmowy, Ray Milland, złotousty gładki mężczyzna, kryjący łysinę pod tupecikiem i dwa razy starszy od Grace. Przyjaciele mówili na niego „Jack”. Urodzony w roku 1905 jako Reginald Truscott-Jones w Neath w południowej Walii, Milland przerzucił się w roku 1945 z lekkiej komedii na poważniejszy repertuar, grając alkoholika w filmie Billy'ego Wildera „Stracony weekend” (The Lost Weekend), ponurym dramacie, który Grace oglądała jeszcze w Germantown i który przyniósł mu Oscara.

Grace bardzo pochlebiało, że jeden z jej szkolnych idoli odwiedza ją w Chateau Marmont.

— Po zakończeniu zdjęć — wspominała Lizanne — siadaliśmy tam wszyscy i wkrótce przychodził Milland. Nie mieszkał z żoną i jedno wyniknęło z drugiego. Zrobiła się z tego całkiem poważna sprawa.

— Nie starali się tego wcale ukryć — twierdzi Mel Dellar. — Widziało się ich, kiedy jedli po pracy posiłek i w ogóle.

Kiedy Joe Hyams przybył tej jesieni, żeby przeprowadzić z Rayem Millandem wywiad dla New York Herald Tribune, aktor otworzył drzwi ubrany tylko w ręcznik i dziennikarz odniósł wrażenie, że jego gospodarz nie jest sam.

— Po jakimś czasie pojawiła się Grace — mówi Hyams. — Weszła ubrana, ale miała czas się ubrać. Była zimna jak ogórek i bardzo wyniosła.

Lizanne musiała przestać udawać, że za wszelką cenę gotowa jest bronić cnoty swojej siostry. Zrobiła na drutach parę kolorowych skarpetek dla Millanda, tak jakby był już jej szwagrem, i zaproponowała, że zostanie jego powierniczką.



— Mieliśmy ze sobą długą rozmowę — wspominała, relacjonując pewną podróż samolotem, którą odbyła wspólnie z Millandem. — Naprawdę był w niej bardzo poważnie zakochany.

Grace odwzajemniała uczucia Millanda. Po niefortunnym zakończeniu romansu z Clarkiem Gable'em postępowała bardzo ostrożnie z Jean-Pierre Aumontem. Ale Francuz spowodował, że się odprężyła, a potem naprawdę rozwinęła skrzydła, odbierając hołdy, którymi otaczano ją jako jedyną kobietę na planie „M jak morderca”. Nagle stała się gwiazdą — i kochała się w gwiazdorze. Nie obchodziło jej, czy ktoś się o tym dowie. Przygoda miłosna w Hollywood różniła się jednak od romantycznych niedyskrecji w afrykańskim buszu. Grace nie wzięła pod uwagę siły oddziaływania plotki w zamkniętym i zazdrośnym środowisku — ani faktu, że żona Millanda, Mai (skrót od Murial) ma wielu przyjaciół i jest ogólnie lubiana.

— Grace Kelly była podstępna kobieta — twierdzi Skip Hathaway, którą łączyły szczególnie bliskie związki z Mai Milland. — O mało nie udało jej się rozbić małżeństwa mojej najlepszej przyjaciółki Mai. Grace Kelly pieprzyła się z każdym w zasięgu wzroku. Była gorsza od jakiegokolwiek innej kobiety, którą znałam. Wiedziała, jak wodzić za nos mężczyzn.

Wkrótce o całej sprawie zaczęły napomykać gazety. Na początku lat pięćdziesiątych szanujący się redaktorzy kroniki towarzyskiej wciąż nagłaśniali skandale za pomocą niejasnego zawołanego szyfru, który opanował do perfekcji Walter Winchell, trącając na zmianę łokciem i puszczając oko tak szybko, że wyrządzoną szkodę osłabiały miazmaty lekko myślących insynuacji. Tylko jedno pismo rzucało się ofiarom prosto do gardła podobnie jak to czynią współczesne wyciągające wszelkie brudy tabloidy. Confidential był skandalicznym gównem, zatrudniającym prywatnych detektywów, którzy śledzili gwiazdy zatrzymujące się w hotelach w towarzystwie osób nie związanych z nimi świętym węzłem małżeńskim. Redaktorzy nie obawiali się poruszać takich zakazanych tematów jak homoseksualizm Liberace'a i kiedy doszły ich słuchy o romansie Millanda z Grace, nie wahali się ani chwili.

Spojrząwszy tylko raz na Gracie, wpadł w korkociąg, który odnotowano od Perino's aż do Ciro's. Całe miasto powtarzało sobie niebawem wiadomość, że słodki Milland, który zostawił w domu żonę i rodzinę, nie widzi świata poza Grace. Ray ścigał ją zawzięcie, a wszyscy w Hollywood zwijali się ze śmiechu.

W latach dziewięćdziesiątych taka historia z miejsca zostałaby podchwycona i wałkowana do znudzenia przez inne tabloidy, potem zaś umieszczona w elektronicznych bazach danych i wykorzystana w telewizyjnych dyskusjach, czasopismach i nawet szanujących się gazetach. W roku 1950 Confidential nie miał jednak naśladowców i traktowano go jak pariasa. Nie cytowały go nawet popularne gazety. Powtarzaniu plotek towarzyszył wstyd, staroświeckie poczucie, że jeśli rozdmuchuje się skandal, nie jest się wcale lepszym od tych, którzy go wywołali. Funkcjonowanie Ameryki wciąż opierało się na przeświadczeniu, że istnieje narodowy konsensus moralny, a jego wspieranie należy do zadań dziennikarza. Postawa ta rodziła hipokryzję, ale zachęcała równocześnie do tolerancji i nawet swoistej życzliwości.

Tym, których kochał, Hollywood mógł wybaczyć prawie wszystko. Długotrwały romans Katharine Hepburn i Spencera Tracy'ego, kochankowie Rocka Hudsona, seksualne przygody Marleny Dietrich — tego rodzaju sprawy traktowane były jako tabu nawet przez dziennikarzy, którzy utrzymywali się wyłącznie z plotek i pisania o życiu osobistym gwiazd. Po opublikowaniu w magazynie Look optymistycznej opowieści o idealnym małżeństwie Avy Gardner i Franka Sinatry,

Rupert Allan zdradził tylko najbliższym przyjaciółom, że zadawał pytania aktorce, siedząc przy jej łóżku w klinice aborcyjnej w Londynie \*.

Tego rodzaju dyskrekcja zależała od tego, czy same gwiazdy zadały sobie trochę trudu, żeby ją utrzymać. Gra rządziła się pewnymi prawami. Jeśli chciało się, żeby pozory zostały zachowane, trzeba było je zachowywać, a tych, którym się zdawało, że ich ta zasada nie obowiązuje, czekały bardzo surowe kary. Charles Chaplin i Ingrid Bergman, oboje na swój własny sposób, zlekceważyli reguły branży, która uczyniła ich wielkimi, i każde musiało zapłacić za popełnioną nieostrożność.

Nie oszukuj się — depešował do Ingrid Bergman producent Walter Wanger, kiedy w roku 1949 aktorka afiszowała się we Włoszech swoją pozamałżeńską ciążą — że to, co robisz, jest nacechowane tak wielką odwagą albo ma tak wielki wymiar artystyczny, że nie liczy się to, w co wierzą zwyczajni ludzie.

Grace groziło to samo niebezpieczeństwo z powodu związku z Ra-yem Millandem. Jawny romans prowadzący do unicestwienia uświęconego przez serwisy prasowe wytwórni długotrwałego małżeństwa był czymś zupełnie innym niż miłość na planie. Grace żeglowała ostro pod wiatr. Wzmianki o jej przygodach z szachem i Clarkiem Gable'em znalazły się już wcześniej w gazetach, a najnowsze miłosne podboje przyciągnęły uwagę nie tylko Alfreda Hitchcocka.

Grace Kelly, występująca w głównej roli w „M jak morderca”, i Frederick Knott, autor scenariusza, trzymają się po dniu zdjęciowym za ręce — doniósł Sidney Skolsky 8 września 1953 w New York Post. Rewelacje Confidential na temat Grace i Raya Millanda przyspieszyły tylko moment ujawnienia całej prawdy.

Jak na dziewczynę, której tak bardzo zależało na dobrej opinii, Grace Kelly traktowała swoje prywatne życie z niezwykłą beztroską. Gdy w grę wchodził seks, ujawniała tę samą żyłkę poszukiwacza przygód co ojciec, ulegając fizycznym i emocjonalnym impulsom, które pozostawały w całkowitej sprzeczności z wyznawanymi przez nią zasadami etycznymi i religijnymi. Utrata dziewictwa z mężem przyjaciółki, pójście do łóżka z mężczyzną spotkanym tego samego dnia w windzie — szereg tego rodzaju epizodów z życia Grace sugerował brak moralnego jądra. Zdecydowawszy się na zerwanie z krępującymi ją zasadami katolickiej etyki, całkowicie straciła nad sobą panowanie.

Mogło się zdawać, że świadomie zachęca do bezwzględnych misji ratowniczych, które tak często musieli organizować jej rodzice.

Trzeba przyznać, że romans Grace z Rayem Millandem potwierdził najgorsze obawy, jakie budził w Jacku Kellym Hollywood — a także wykazał, że wie on coś niecoś na temat psychologii swej kochliwej córki. Przewidując, że mogą wyłonić się pewne problemy, Jack Kelly odbył już rozmowę ze „Scoopem” Conlanem, starym znajomym,

który profesjonalnie zajmował się dziedziną public relations, prosząc go, by „miał na oku Grace”. Kiedy wieści o opublikowanych w Confidential rewelacjach dotarły do Filadelfii, Ma Kelly wybrała się w kolejną podróż, by stanąć u boku córki. Zabrała ze sobą Conlana. Usiedli razem i przedyskutowali całą sprawę z Grace — relacjonował później Jack Kelly. — Słuchała ich bardzo chętnie.

Jak zwykle uległa w zetknięciu z niezłomną wolą rodziców, Grace zgodziła się przestać widywać z Rayem Millandem.

— Rozwód był czymś, czego w naszej rodzinie się po prostu nie robiło — wspomina Lizanne. — Randka z żonatym albo rozwiedzionym mężczyzną była wykluczona. Według Peggy ojciec kazał Grace opuścić Hollywood natychmiast po zakończeniu pracy nad filmem Hitchcocka. Jack Kelly chciał, żeby jego córka znalazła się z powrotem po jego stronie kontynentu, i sugerował, żeby postarała się znaleźć jakieś zajęcie w Nowym Jorku.

Według Skip Hathaway Mai Milland zdecydowała się na twardą rozmowę z mężem.

— Zdobyła się w końcu na odwagę. „Wynoś się”, powiedziała mu wreszcie. „Mam wszystkie jej listy i mogę pozwać was oboje”... Ale on padł na kolana. Ja nie przyjąłabym go z powrotem, ale ona to zrobiła.

Mai Milland opowiadała przyjaciółkom, że tych kilka tygodni, podczas których Ray romansował z Grace Kelly, było najbardziej gorzkim i bolesnym okresem w jej życiu. Ale Grace wyszła z całej przygody wcale nie mniej poobijana.

— To był fatalny błąd — przyznała później w rozmowie z Judy Kanter, żoną swojego agenta.

— Naprawdę myślałam, że ich małżeństwo jest skończone — opowiadała Grace po wielu latach, zwracając się Gwen Robyns. — Tak mi powiedział. Nie wiedziałam, że miał wiele przygód i że byłam po prostu jedną z nich.

Tak oto Grace Kelly w wieku prawie dwudziestu czterech lat dała

141

się wykorzystać niestałemu osobnikowi, który był na dodatek panto-flarzem. O mały włos nie zepsuła sobie całkiem opinii — i z opresji ponownie musieli ratować ją rodzice. Grace wyjechała chyłkiem z Los Angeles natychmiast po zakończeniu zdjęć do „M jak morderca”.

— Czasami zdaje mi się, że naprawdę nienawidzę Hollywood — stwierdziła.

Znalazszy się z powrotem w Nowym Jorku, Grace poszła za radą ojca. Dokładnie w tym czasie Jean Dalrymple realizowała wreszcie swoje wielkie marzenie, wystawiając „Cyrana de Bergerac” na deskach teatru City Center. Jose Ferrer zgodził się powtórzyć dla niej swą udaną rolę z Broadwayu.

Wyglądało na to, że Grace trafia się-idealna okazja — miała szansę zagrać główną rolę kobiecą w nowojorskiej inscenizacji klasycznej sztuki. Jose Ferrer nie podzielał jednak przeświadczenia Dalrymple, że Grace będzie doskonałą Roksaną.

„To amatorka” — stwierdził z niechęcią i dopiero po dłuższym czasie Dalrymple udało się go przekonać, żeby pozwolił przynajmniej przeczytać Grace swoją rolę. Namówiła następnie Mela Ferrera (nie spokrewnionego z aktorem), żeby przygotował Grace do

przesłuchania. Mel Ferrer reżyserował oryginalnego broadwayowskiego „Cyrana”, w którym występował Jose Ferrer, i Grace pracowała z nim codziennie przez cały tydzień. — Była pełna wigoru, delikatna i cudowna — wspomina Jean Dalrymple. — A potem, w dniu przesłuchania, kiedy ja i Jose siedzieliśmy w teatrze, przyszedł Mel i powiedział: „Strasznie mi przykro, ale panna Kelly nie jest dzisiaj przy głosie. Jest bardzo przeziębiona”. „Amatorka!”, parsknął Jose. „Proszę, przecież obiecałeś”, powiedziałam. Grace wyszła w końcu na scenę, ale chociaż siedzieliśmy w pierwszym rzędzie orkiestry, w ogóle jej nie słyszeliśmy. „Może siedzimy za blisko”, stwierdził Jose. Rzeczywiście chciał jej dać szansę. Cofnęliśmy się więc dalej i to było jeszcze gorsze. Biedactwo! Zdenerwowana i fatalnie przeziębiona naprawdę nie była w stanie mówić. To było żenujące i strasznie smutne... ale także trochę śmieszne.

Zanim głos Grace wrócił do normy, Jose Ferrer znalazł sobie inną partnerkę. W późniejszych latach Grace opowiadała ze śmiechem o całej historii, jednak owo niefortunne zapalenie krtani okazało się punktem zwrotnym. Starła się, jak mogła, spełnić wolę ojca, ale przesłuchanie przed realizacją „Cyrana de Bergerac” miało okazać się jej ostatnią szansą, żeby zabłysnąć na deskach teatru.

Tuż przed końcem realizacji „M jak morderca” Hitchcock zaczął opowiadać Grace o swych planach dotyczących następnego filmu. Wytwórnia Paramount rozpoczęła już budowę olbrzymich i unikalnych dekoracji — co najmniej trzydziestu jeden sąsiadujących ze sobą apartamentów, widzianych z okna innego mieszkania w Greenwich Village. Przykuty na pewien czas wskutek wypadku do inwalidzkiego wózka, normalnie aktywny młody fotograf obserwuje przez teleobiektyw aparatu życie swoich sąsiadów i zauważa wchodzące i wychodzące z jednego z mieszkań osoby, które wydają mu się podejrzane. Razem z przyjaciółką z Park Avenue, elegancką, piszącą o modzie dziennikarką, która podziela jego podejrzania, wpadają na trop i rozwiązują zagadkę morderstwa.

Na początku października 1953 roku Jay Kanter zadzwonił do Grace z wiadomością, że Hitchcock jest zdecydowany obsadzić ją w filmie „Okno na podwórze” (Rear Window). Miała grać główną rolę kobiecą w towarzystwie kolejnego wielkiego hollywoodzkiego gwiazdora, Jamesa Stewarta. Agent otrzymał jednak równie interesującą konkurencyjną ofertę. Sam Spiegel przygotowywał właśnie produkcję „Na nabrzeżach” (On the Waterfront), surowego i gniewnego dramatu o robotnikach portowych, który miał kręcić Elia Kazań w Nowym Jorku. Dla Grace przewidywano główną rolę kobiecą, partnerować miał jej Marlon Brando.

Grace przeczytała oba scenariusze i oba jej się spodobały. Po dwudziestu dwóch latach opowiadała Donaldowi Spoto, że nie mogła się zdecydować.

— Siedziałam więc nad tymi dwoma scenariuszami. „Muszę mieć odpowiedź o czwartej po południu”, oznajmił agent. „Nie wiem, co robić”, odparłam. „Podobają mi się oba. Wołałabym zostać w Nowym Jorku, ale uwielbiam pracować z panem Hitchcockiem. Po prostu nie wiem, co robić”. „Zadzwoń do ciebie za godzinę”, powiedział, „i muszę wtedy wiedzieć”. „No dobrze...”, odparłam.

Spoto nie naciskał Grace, by wyjawiała osobiste powody, które skłoniły ją do wyboru „Okna na podwórze” zamiast „Na nabrzeżach”, ale

jej decyzja mówi sama za siebie. Odrzucając okazję zagrania ubogiego dziecka slumsów (postać tę ostatecznie sportretowała Eva Marie Saint), Grace zdecydowała się na rolę pewnej siebie, zamożnej i bywalej w świecie dziewczyny. Wybrała technikolor zamiast czarno-białej taśmy i starszego się sympatycznego Jamesa Stewarta zamiast zadziornego i młodego Marlona Brando. Jeśli idzie o reżyserów, również skłaniała się ku bardziej ojcowskiej postaci.

Mimo tak często przejawianych ambicji bycia poważną aktorką Grace rzadko podejmowała większe ryzyko. Znała swoje ograniczenia. Nigdy nie oddalała się zbyt od bezpiecznego mieszczańskiego nurtu — jak czyniła to nawet tak tradycyjna gwiazda jak Elizabeth Taylor, decydując się na granie Tennessee Williamsa lub Szekspira. Grace czuła się najlepiej, przedstawiając własną wizję samej siebie. W filmach „W samo południe”, „Mogambo” i „M jak morderca” grała kobiety o charakterach uderzająco podobnych do jej własnego, a teraz w „Oknie na podwórze” Hitchcock oferował jej rolę słodkiej trzpiotki z Bar-bizon Hotel. Bohaterka nosiła nazwisko Lisa Fremont, ale równie dobrze mogłaby się nazywać Grace Kelly.

Znalazłszy się na początku listopada 1953 roku z powrotem w Hollywood, Grace po raz kolejny poddała się zabiegom Hitchcocka eksponującego w zabawnie perwersyjny sposób to, co nazwał później jej seksualną elegancją. Pierwszego dnia zdjęć reżyser poświęcił bite pół godziny na filmowanie zbliżenia jej butów.

— Do czego to potrzebne? — pytał Herbert Coleman, asystent reżysera, który nie znalazł ujęcia w scenopisie.

— Nie słyszałeś nigdy o fetyszu buta? — odparł sentencjonalnie Hitchcock.

Ujęcie nie zostało nigdy wykorzystane. Biograf Hitchcocka, Donald Spoto, w bardzo przekonujący sposób dowodzi, że reżyser głęboko, choć być może nieświadomie, kochał się w Grace. Podglądając świat przez teleobiektyw, by odkryć jego nieczne występki, i żywiąc wobec swej blond bogini żądzę, której nie może zaspokoić, przykuty do wózka James Stewart w podejrzany sposób przypominał szczupły i przystojny surogat samego Hitchcocka — zwłaszcza gdy reżyser upierał się, by dwadzieścia siedem razy powtórzyć ujęcie, w trakcie którego Grace składała pocałunek na czole Stewarta.

Projektantkę kostiumów, Edith Head, uderzyła skrupulatność, z jaką Hitchcock osobiście wybierał, co będzie nosiła Grace w każdej scenie.

— Istniało uzasadnienie dla każdego koloru, każdego stylu — wspominała — i był absolutnie pewien każdej swojej decyzji. W jednej scenie widział ją w jasnej zieleni, w innej w białym szyfonie, w jeszcze innej w złocie. Naprawdę realizował w studiu swój sen.

W późniejszych latach, kiedy fizycznie dobierał się do Tippi Hedren, obsesja, jaką reżyser żywił wobec grających w jego filmach aktorek, zaczęła przybierać jawne i niezbyt eleganckie formy. Jednak w stosunku do Grace uczucia Hitchcocka dawały o sobie znać wyłącznie w za-stanawiająco częstych uwagach na temat jej seksualności:

„Wykorzystałem fakt, że ma w sobie seks, ale niezbyt oczywisty”; „ideałem tajemniczej kobiety jest subtelna blondynka o nordyckich rysach”; „nigdy nie szalałem za kobietami, które noszą swoją namiętność niczym naszyjnik”.

W stosunku do Grace Hitchcock wskrzesił mit, który stworzył niegdyś na użytek Ingrid Bergman — twierdził, że odkrył idealną aktorkę, którą może obsadzać we wszystkich swoich przyszłych filmach.

Grace ze swej strony traktowała profesjonalną opiekę zaślepionego Anglika jako coś zupełnie naturalnego. „Panie Hitchcock”, „panno Kelly” — aktorka i reżyser zwracali się do siebie niczym zaproszeni na oficjalną angielską herbatkę goście, nie naruszając ku zadowoleniu Grace reguł swoistej etykiety i pozwalając zarazem Hitchcockowi delectować się kontrastem między tym, co widać, a tym, co pozostaje w ukryciu.

— Czy to panią szokuje, panno Kelly? — zapytał któregoś razu reżyser, kiedy usłyszała, jak używa brzydkich słów w stosunku do innego aktora; był to trik, który Hitchcock stosował bardzo często tuż przed rozpoczęciem zdjęć, aby wprowadzić do sceny element zaskoczenia.

— Skądże znowu — odparła z powagą Grace. — Chodziłam do żeńskiej szkoły zakonnej, panie Hitchcock. Słyszałam to wszystko, mając trzynaście lat.

Źródła sprośnego charakteru nasyconych kloacznym humorem seksualnych fantazji Hitchcocka należy szukać w jego spędzonej pod kloszem młodości. Reżyserując w jednym ze swoich wczesnych filmów scenę, która rozgrywała się na plaży, nie potrafił zrozumieć, dlaczego jedna z aktorek nie chce wejść do wody. Kiedy asystent wyjaśnił mu, na czym polega menstruacja, reżyser nie mógł wyjść ze zdziwienia.

— Miałem dwadzieścia pięć lat i nigdy o tym nie słyszałem — wyznał później z przekorną dumą. — Uczyli mnie jezuici i o takich rzeczach nie było w ogóle mowy. Pod koniec roku 1953, kiedy Hitchcock reżyserował „Okno na podwórze”, jego edukacja posunęła się znacznie do przodu.

— Kiedy powtarzaliśmy w „Oknie” scenę, w której ubrana byłam tylko w nocną koszulę — wspominała później Grace — Hitchcock wezwał Edith Head. „Popatrz, ten biust nie jest dobry”, powiedział. „Musimy tam coś włożyć”. Był w tej kwestii bardzo delikatny; rozmawiał z Edith półgłosem, nie chcąc mnie denerwować... Poszliśmy do mojej garderoby. „Pan Hitchcock jest zmartwiony, bo stanik ci się marszczy”, powiedziała Edith. „Chce, żebym wsadziła wkładki”.

„Nie możesz mi wsadzić wkładek, bo będzie widać”, odparłam, „apozą tym nie mam zamiaru ich nosić”. „Więc co zrobimy?”, zapytała. Po krótkiej chwili tu podniosłyśmy, tam poprawiłyśmy, a ja postarałam się maksymalnie wyprostować, oczywiście bez wkładek. Kiedy wróciłam na plan, Hitchcock spojrzał na mnie i na Edith. „Widzicie, jaka jest różnica?”, powiedział.

Ucząc się, w jaki sposób choćby od czasu do czasu manipulować despotycznym mężczyzną, Grace nabierała coraz większej pewności siebie, a jako aktorka kwitła w ciepłe obsesyjnego oddania Hitchcocka. Odnalazła swojego Svengalego, który nie chciał od niej niczego poza tym, co mogła mu dać na ekranie. Jej partner okazał się podobnym profesjonalistą. James Stewart oburzał się później na stwierdzenie, że Grace jest zimna jak lód.

— Gdybyście zagrali z nią kiedykolwiek w scenie miłosnej, wiedzielibyście, że nie jest chłodna.

Ale Stewart był szczęśliwym małżonkiem i jego pozaekranowe stosunki z Grace nigdy nie miały najmniejszego posmaku skandalu.

Wielkim wyzwaniem, przed którym stanął Hitchcock w „Oknie na podwórze”, było pozbawienie gry aktorskiej Grace całej jej sztywności. W „M jak morderca” nie było to takie ważne. Sztywność należała tam do roli — podobnie jak to się działo w przypadku nieśmiałych, pełnych zahamowań kobiet, które Grace odtwarzała w filmach „Mogambo” i „W samo południe”. Lisa Fremont byłaby jednak kompletnie nie przekonująca, gdyby nie udało się pokazać, że jest beztroską trzpiotką, kimś, kto potrafi umilić wieczór choremu przyjacielowi, dostarczając mu z Club „21” kolację i butelkę monrached — razem z odzianym w czerwoną kurtkę kelnerem.

Grace dysponowała odpowiednią urodą. Posagowa i królewska wydawała się idealną modelką dla wszystkich strojów, które reżyser

wybierał dla niej, drapując je z wyszukaną elegancją i stylem na jej delikatnych ramionach. Hitchcock musiał jednak teraz ożywić manekina, obdarzając go żądzą i wigorem, które z taką satysfakcją obserwował poza planem „M jak morderca”.

Czasami po prostu wykańczał [swoich aktorów] — napisała Grace dwadzieścia lat później, próbując wyjaśnić, co czuje się, pracując pod kierunkiem wielkiego reżysera. Hitchcock opowiadał jej dowcipy, kręcił dodatkowe ujęcia, szokował ją, przymilał się, rzucał jej wyzwania, pochlebiał, twierdząc, że w niej skupia się całe jego twórcze życie — i w końcu uzyskał pożądaną wyjątkowość. Jako Lisa Fremont Grace Kelly była rozbrykana, lekkomyślna i czarująca. „Zapowiedź przyszłych atrakcji” — mówiła kpiącym tonem do swego unieruchomionego w fotelu przyjaciela, wyjmując z torebki nocną koszulkę... i gest ten symbolizował połączenie zmysłowej obietnicy i niewinności, które tak fascynowało Hitchcocka i które prawidłowo rozpoznał jako istotę uroku Grace Kelly.

„Okno na podwórze” było pierwszym z klasycznych, niepowtarzalnych filmów Grace Kelly, eksponujących szczególny rodzaj magii, który należał do niej i tylko do niej. Grace miała rację, odrzucając rolę w „Na nabrzeżach”. Jej talent nie polegał na wcielaniu się w innych ludzi, lecz na wcielaniu się we własne fantazje. Wyczuła, że Lisa Fremont jest jej własnym marzeniem, wzorem dziewczyny, która zrobiłaby furorę na balu „Kwiecień w Paryżu”. Właśnie taki kierunek Grace chciała nadać własnemu życiu, nabierając werwy i pewności siebie, jakich potrzebowała, aby zadowolić tkwiące w jej wnętrzu bardzo spragnione dziecko, Hitchcock zaś pomógł tylko przyspieszyć ten proces. „Okno na podwórze” było filmem Grace Kelly w takim samym sensie, w jakim film z udziałem Katharine Hepburn był filmem Katharine Hepburn, dziełem, na którym wycisnęła swoje piętno osobowość głównej aktorki — co oznaczało, że Grace Kelly, podobnie jak Katharine Hepburn, należało teraz uważać za prawdziwą gwiazdę.

Chwalone niemal jednogłośnie przez krytyków „Okno na podwórze” weszło na ekrany w lecie 1954 roku. Dzięki żywej muzyce jazzowej, zmieniającym się jak w kalejdoskopie dekoracjom, figlarnemu poczuciu humoru i scenom miłosnym, które w tamtej epoce uznano za śmiałe, film stał się prawdziwym kasowym sukcesem. Biorąc pod uwagę cały towarzyszący mu szum, Don Richardson uznał, że powinien wybrać się do kina. W pamięci miał wciąż pochodzący sprzed dwu i pół roku

obraz swej bylej przyjaciółki, która wylawiała z akwarium szmaragdową bransoletkę. Teraz zobaczył jej nowy wizerunek — i był to wizerunek, który sprawił mu ogromną przyjemność.

— Na ekranie była olśniewająca — wspomina. — Kiedy pochylała się i całowała Jimmy'ego Stewarta, wydawała się dziewczyną ze świata iluzji. To nie była nieśmiała panienka, którą znałem. Hitchcock zmienił sen w rzeczywistość i siedziałem tam zupełnie urzeczony.

Wykreowana przez Hitchcocka Grace Kelly była urzekającą i cudowną istotą — lekką, świeżą, czystą i nieskazitelną. Paradoksem roześmianej Śnieżnej Księżniczki było jednak to, że słowa takie jak lekkość, czystość i nieskazitelność są ostatnimi, za pomocą których można opisać wyobraźnię korpulentnego maestro, który pierwszy doznał wizji i pierwszy wcielił ją w życie.

Część trzecia gwiazda.

Dziewczyna z prowincji.

Matki Bożej Cadillacowej" — taką nazwę wybrali prześmiewcy dla kościoła Dobrego Pasterza w Beverly Hills. Wszyscy parafianie — oprócz służących — należą tu do ekskluzywnej, najwyższej grupy podatkowej. W Hollywood każdą niedzielę Grace Kelly zwykła rozpoczynać od modlitwy przy balustradzie ołtarza u Dobrego Pasterza. I pewnego poranka, po mszy, doszło do przypadkowego spotkania z Dominikiem Dunne'em.

Była jesień 1953 roku, zbliżały się dwudzieste czwarte urodziny Grace. Dunne zrezygnował z pracy reżysera telewizyjnego w Nowym Jorku. Właśnie przyjechał i czuł się trochę zagubiony. Grace zapytała natychmiast, czy nie wybrałby się z nią na premierę w nadchodzącym tygodniu.

— Wyglądała absolutnie uroczo — wspomina Dunne atmosferę tamtego galowego wieczoru. — Grała już z Cooperem i Gable'em. Kończyła właśnie „M jak morderca”; wiedziała, że współpraca z Hitchcockiem nie jest zakończona. Był to dla Grace bardzo pracowity i obiecujący okres. Wybraliśmy się na premierę filmu „Wszyscy na scenę” (The Band Wagon) z Fredem Astaire'em i Cyd Charisse. Zdumiało mnie, że fotografowie zupełnie nie zwracali na nią uwagi. Wyglądało na to, że nikt w całym tłumie nie ma pojęcia, kim jest moja towarzyszką. Żadnych błysków fleszy, łowców autografów — nic z tych rzeczy. Weszliśmy sobie do kina jak zwykli śmiertelnicy. „To było chyba ostatni raz”, westchnęła, gdy po wielu latach wspominaliśmy tamtą premierę.

Dunne spotkał Grace Kelly w tym rzadkim i wspaniałym momencie kariery, który często poprzedza prawdziwe sukcesy, a bywa nie mniej od nich ekscytujący. Gdy 1953 rok zmierzał ku końcowi, Grace w głębi

duszy rozkoszowała się już smakiem oczekiwania na wielkie rzeczy, które miały nastąpić. Nadzieje związane z jej osobą stały się wkrótce w Hollywood powszechne. Filmowcy szybko wymienili opinie na temat nie zmontowanych jeszcze fragmentów „Okna na podwórze”, w których wyczuli aromat rzadkiego talentu i dolarów.



Już wkrótce — przewidywał we wstępniaku do Hollywood Reporter jego właściciel i wydawca Billy Wilkerson — ta mała piękność stanie się przebojem kasowym kin całego świata.

Pod koniec 1953 w magazynie Life przystąpiono do pracy nad specjalnym artykułem poświęconym młodej blondynce — odkryciu Hitchcocka. Na wiosnę ukazał się numer czasopisma z jej zdjęciem na okładce. W artykule przewidywano, że cały rok 1954 będzie rokiem Grace.

Dla aktorki była to nagroda, dla ludzi z jej otoczenia — doping. Judy Kanter, żona Jaya, agenta Grace, wspomina swoją wyprawę do Filadelfii na specjalną projekcję „M jak morderca”. Towarzyszyła Grace i przez całą drogę z zapalem oddawała się rozważaniom na temat jej przyszłości. Jednak gdy spróbowała zarazić swoim entuzjazmem mieszkańców domu przy Henry Avenue 3901, natrafiła na dziwną reakcję. Pamięta tę scenę. Trzy śliczne siostry Kelly siedziały na kanapie wesoło plotkując; nagle Peggy powiedziała coś, co wywołało głośny wybuch śmiechu Grace.

— Baba jest fantastyczna! — powiedział Jack Kelly do Judy Kanter, spoglądając na najstarszą córkę z nie skrywaną dumą.

— Kariera Gracie rozwija się wspaniale, prawda? — odparła Judy. Miała na myśli składane ostatnio młodej aktorce propozycje; wzbierający strumień kuszących ofert. Wiedziała, że jej mąż rozmawiał już o tym z ojcem Grace. Jack Kelly spochmurniał.

— Nie wiem, czemu właściwie chce być aktorką. — Wzruszył ramionami. — Nigdy przedtem... To prawda, zgodziłem się na jej wyjazd do Nowego Jorku, bo nie przychodziło mi do głowy nic innego, co mogłaby robić. Nie dostała się nawet do college'u... No cóż — skwitował wypowiedź — cieszę się, że jakoś zarabia na życie. Zwycięstwo syna Jacka Kelly'ego w organizowanych za oceanem zawodach wioślarskich uczczono paradą na ulicach Filadelfii. Gdy wizerunek Grace ozdobił okładkę Life, ojciec nagrodził to wzruszeniem ramion — niewiele lepszym od drwiny. Jack twierdził później, że postąpił tak z troski o córkę, aby ulotny sukces nie zawrócił jej w głowie. W wypowiedzi zapamiętanej przez Judy Kanter można się jednak doszukać podtekstu sugerującego coś więcej: zazdrość o karierę córki i żal, że potrafiła tak dobrze sobie radzić bez jego pomocy.

Czy Grace rzeczywiście była silną osobowością, która postępuje zgodnie z wewnętrznym przekonaniem i przeciera własny szlak przez życie? Pozostawała wówczas pod silnym wrażeniem atmosfery zuchwalstwa i buntu prezentowanej przez Holdena Caulfielda w „Buszującym w zbożu”, lecz była to dla niej tylko książka. Nie wyobrażała sobie przyjęcia podobnej postawy we własnym życiu. I chociaż pochodziła z pokolenia, które stworzyło modę na obwinianie rodziców za nieszczęścia dzieci, nigdy nie myślała o buncie przeciwko rodzinnemu środowisku... czy też o zerwaniu z nim. Pragnęła pozostać w „drużynie Kellych”.

Dlatego swoje pierwsze sukcesy przeżywała Grace w atmosferze wewnętrznego rozdarcia. Dorosła część jej osobowości wiedziała, jak czerpać przyjemność z niedawnych dokonań — z miłości tłumów, pochlebstw, uczucia siły i klimatu dobrej zabawy.

— O ile mogłem to ocenić, cieszyło ją życie gwiazdy — powiedział John Foreman. — Sukces nie wprawiał Grace w zakłopotanie; wiedziała, że jest zasłużony.

Jednak druga połowa Grace Kelly miała naturę niespokojnej i lękliwej córki, która w poszukiwaniu ojcowskiego uznania oscyluje między różnymi strategiami: zagubionej dziewczynki, słodkiej naiwnej lub wreszcie kobiety desperacko szukającej wsparcia i miłości u starszych mężczyzn.

Tym wewnętrznym sprzecznościom Grace przeciwstawiła niezłomną wolę osiągnięcia sukcesu — swój życiowy talizman. A gdy już została gwiazdą filmową, wówczas nadal parla do przodu jak czołg z armii Pattona. Jej twardy instynkt zawodowy miał niewiele wspólnego z często jeszcze niedojrzałą psychiką i bezbłędnie wskazywał drogę do nadrzędnego celu. Dążenie do pracy z najlepszymi ludźmi Hollywood było najwyraźniejszym przejawem tego instynktu. Po ukończeniu zdjęć do „Okna na podwórze” podjęła współpracę z tandemem filmowym, który we wczesnych latach pięćdziesiątych cieszył się nie mniejszą estymą niż Hitchcock.

William Perlberg i George Seaton stanowili zespół reżysersko-produkcyjny nagrodzony Oscarem; wśród ich filmów były już takie klasyczne dzieła, jak *Miracle on 34th Street* („Cud na Trzydziestej Czwartej Ulicy”) czy *The Song of Bernadette* („Pieśń Bernadette”). 1953 pracowali nad-filmem *The Bridges at Toko-Ri* („Mosty na Toko-Ri”) opartym na opowieści z czasów wojny koreańskiej — fabularyzowanym dokumencie Jamesa Mitchenera. Nieustraszonej żonie marynarza — w tej roli obsadzono Grace — udaje się obejść przepisy i odwiedzić męża tuż przed jego ostatnią (jak się później okazuje) misją bojową. Męża zagrał William Holden.

William Holden miał wówczas trzydzieści pięć lat i był najmłodszym odtwórcą głównej roli męskiej, z jakim Grace pracowała w Hollywood. Wyróżniał się i tym, że podrywał ją w sposób najbardziej otwarty. Nosił przydomek „Złoty Chłopak” od tytułu filmu z 1939 roku — *Golden Boy* — który z miejsca uczynił go sławnym. Sprawiał wrażenie człowieka nie przyzwyczajonego do porażek w stosunkach z kobietami. W miarę upływu czasu jeszcze przystojniał; grę Holdena również oceniano niezmiennie wysoko. Gdy we wczesnych latach pięćdziesiątych nieco zmalało jego powodzenie w roli amanta filmowego, wówczas za sprawą Billy'ego Wildera zagrał w filmach „Bulwar Zachodzącego Słońca” {*Sunset Boulevard*} i „Stalag nr 17” {*Stalag 17*} — co zaowocowało Oscarem. Do końca prezentował rzetelny warsztat aktorski — zwłaszcza w „Dzikiej bandzie” {*The Wild Bunch*} i „Sieci” {*Network*}.

William Holden zmarł jako złamany i kłopotliwy alkoholik. Był dosłownie zbyt pijany, by ratować własne życie, gdy w wieku sześćdziesięciu trzech lat przewrócił się i roztrzaskał głowę. Jego problem alkoholowy nie był jednak tak oczywisty, gdy przystąpił wraz z Grace Kelly do pracy nad *The Bridges at Toko-Ri*. Jako aktor potrafił rozniecić sceniczny żar i napięcie w stylu Gene'a Lyonsa. Intensywność gry była w jakiejś mierze pochodną wewnętrznych zmagania Holdena z gnębiącymi go od środka demonami. U boku Grace potrafił przemienić banalny stereotyp — pożegnanie małżonków przed bitwą — w zagadkową i całkiem wzruszającą rzeczywistość. *Toko-Ri* był pierwszym filmem, w którym Grace Kelly pojawiła się w kostiumie kąpielowym, a zarazem jedynym, który pokazał ją leżącą z mężczyzną w łóżku. Kochankowie byli bardzo przyzwoicie ubrani w

piżamy i nie wymienili żadnego dotyku dzięki zasadom narzuconym przez Kodeks Produkcji Filmowej — ciągle w Hollywood obowiązujący. Całe ujęcie wypełniła rozmowa, prowadzona z przeciwległych skrajów łóżka. Jednak według standardów z połowy wieku była to scena zdecydowanie intymna, a nawet — lekko szokująca.

Wymyśloną przez scenarzystów historię miłosną para Holden—Kelly kontynuowała — po swojemu — również poza planem filmowym. Jak ujęła to Lizanne, siostra Grace:

— Urocza dziewczyna i przystojny facet zmuszeni do wcielania się przez cały dzień w role męża i żony nie unikną problemów po zakończeniu spektaklu.

Holden był żonaty z aktorką Ardis Ankerson Gaines (znaną w trakcie swej krótkiej kariery filmowej pod pseudonimem Brenda Marshall). Zdradzał ją jednak całkiem otwarcie i bez skrępowań, gdy w pierwszych miesiącach 1953 roku romansował z Audrey Hepburn. Nie zważał również na zachowanie dyskrecji w prywatnych kontaktach z Grace.

— Był to ciężki romans — wspomina Mel Dellar, zastępca reżysera, stary przyjaciel Holdena jeszcze z czasów służby w lotnictwie.

Natomiast według psychiatry Holdena, Michaela Jay Klassmana, Grace traktowała swojego nowego chłopaka na tyle poważnie, że zdecydowała się przedstawić go w rodzinnym domu.

— Byliśmy w sobie zakochani po uszy — miał wyznać Holden Klassmanowi — nie potrafiliśmy opanować naszych uczuć.

Michael Klassman leczył Holdena przez trudne cztery miesiące poprzedzające śmierć aktora. Relacjonowanie przebiegu seansów terapeutycznych stanowiło niewątpliwie naruszenie zasad etyki zawodowej, jednak Klassman stanowczo twierdził, że postępuje zgodnie z wolą pacjenta. Holden chciał podobno, aby świat poznał prawdę o jego alkoholizmie. Przekazane przez psychiatrę wspomnienia Williama Holdena noszą wszelkie znamiona autentyczności. Przyjęcie, z jakim spotkał się na Henry Avenue 3901, Holden zapamiętał jako zimne i wrogie.

Sz szczególnie niemiłe wspomnienia wiązał z Jackiem Kellym, który rozpoczął od pytań o charakter stosunków łączących Grace z jej ostatnim partnerem filmowym. Podejrzewał córkę o zaangażowanie się w kolejny romans z żonatym mężczyzną; Grace stanowczo temu przeczyła. Wówczas wygrażając pięścią rzucił to oskarżenie jej przyjacielowi.

Holden zapamiętał, że Jack kipiał gniewem. Sam był nie mniej rozsierdzony — potraktowano go jak niesfornego wyrostka! Na koniec porzucił uprzejmość: kazał Jackowi się odczepić i z wściekłością opuścił salon.

— Myślałem, że się na mnie rzuci — wspominał. W przedpokoju spotkał Grace — po jej twarzy spływały łzy.

— Ciągle się kochałyśmy w nieodpowiednich mężczyznach — wspomina dzisiaj Rita Gam. — Wszyscy byli żonaci.

W pierwszych miesiącach 1954 roku Grace dzieliła z Ritą, koleżanką z czasów pracy w nowojorskim młynie telewizyjnym, małe mieszkanko

o dwóch sypialniach. Było to na Sweetzer Avenue w Zachodnim Hollywood — ekscentrycznej dzielnicy zabudowanej domkami i odrapanymi kamienicami. Czysze nie były wysokie; mieszkało tam wiele prostytutek, które wracały z pracy przed szóstą, gdy

Rita i Grace z pośpiechem zdążyły na poranną charakteryzację. Brytyjski fotograf Cecil Beaton nie mógł się nadziwić, że dwie olśniewające dziewczyny wybrały tak obskurne miejsce. Nowoczesna dzielnica mieszkaniowa — zapisał w swoim dzienniku — cóż, bardziej przypominało to poprawczak ze skazańcami osadzonymi w sześciennych mieszkankach wokół placu apelowego. Jedynym nawiązaniem do atmosfery Hollywood był basen — niestety popękany i z przechlorowaną wodą.

Sweetzer Avenue stanowiła skromne i bezpretensjonalne tło spotkań Grace z Williamem Holdenem. Właśnie stamtąd gwiazdor zabierał ją na randki. Samo mieszkanie nie zapewniało nastroju sprzyjającego romansom. Aktorki zajmowały obie sypialnie, a na kanapie w saloniku ulokowała się Prudy Wise, mianowana teraz stałą asystentką Grace. Było naprawdę tłoczno, a Grace żyła oszczędnie jak nigdy przedtem. Jedyny przejaw ekstrawagancji znajdował się w lodówce — był to szampan w małych butelkach. Grace, według Rity Gam, piła go praktycznie do wszystkiego.

Trzeba jednak zaznaczyć, że Grace odmawiała sobie szampana i wszelkiego innego alkoholu — w trakcie nocy poprzedzającej dzień pracy. Pewien fotograf zdradził jej (jeszcze gdy zarabiała jako modelka), że potrafi natychmiast odróżnić te spośród pozujących dziewczyn, które piły w czasie lunchu. Potem, podobno, nie pracował z nimi już przez całe popołudnie. Przestroga fotografa wywarła na Grace duże wrażenie.

— „Mówił, że rozpoznaje to po oczach” — powtarzała z całą powagą.

Grace uwielbiała szampana, jednak bardziej jeszcze kochała swój wygląd. Ten konflikt wywołał w niej rodzaj alkoholowej obsesji. Regularnie przeplatała okresy picia i niepicia. Wielki Post oznaczał dla niej abstynencję jak dla najlepszych katolików, później nie piła również w trakcie miesięcy poprzedzających listopadowe urodziny. Bywało to przewodnim tematem listów.

Jeszcze tylko tydzień — pisała do Prudy Wise w 1956 — i będę popijać aż miło.

Fragmety korespondencji z Prudy, opublikowane w roku 1994, sprowokowały falę spekulacji prasowych na temat rzekomego alkoholizmu Grace. Jej bliscy przyjaciele stanowczo temu przeczą.

— Odkąd poznałyśmy rum z colą, a będzie to już ponad czterdzieści lat — mówi Maree Frisby Rambo — nie zdarzyło mi się zauważyć, żeby Grace wypijała za dużo. Owszem, bywała wesola. Ale pijana lub nie panująca nad swoim zachowaniem nigdy.

Grace lubiła alkohol, lecz nie była pijaczką. W rodzinie Kellych prawdziwe problemy z piciem miała jej siostra, Peggy, której zakrapiane przyjęcia szybko stały się głośne. Jack często powtarzał swoim córkom, że pociąg do alkoholu tkwi w naturze kobiety.

Alkoholizm Peggy był przypuszczalnie jeszcze jednym powodem, dla którego Grace starała się utrzymać w ryzach własne picie. Jednak powodem najistotniejszym była wiara w związek alkoholu z przyrostem wagi — utrzymanie szczupłej sylwetki uważała za warunek zachowania urody.

W pierwszej połowie 1954 roku odchudzanie się stanowiło na Sweetzer Avenue sprawę najwyższej wagi. Grace, Prudy i Rita były bez przerwy na diecie. Na odżywkach odchudzających, suszonych śliwkach i gimnastyce został oparty cały poważny program walki ze zbędnymi kaloriami — który dodatkowo cementował siostrzaną więź między

dziewczynami. Wypracowały nawet oryginalny rytuał, który sprowadzał się do grupowego okrażania całego pokoju w energicznych podskokach na pośladkach.

Grace miała wówczas dwadzieścia cztery lata; miarą jej rosnącej niezależności było wyzwolenie się od nadopiekuńczego wpływu rodziny. Rita Gam, już po małżeństwie i rozwodzie, żyła bez większego skrępowania „w grzechu”. Była to dziewczyna obdarzona urodą drapieżnej kotki; brunetka o migdałowych oczach i niezwyklej osobowości; hip-piska, która urodziła się zbyt wcześnie. Obserwacja trybu życia Rity i sposobu, w jaki komentowała swoje doświadczenia, bardzo pomogła Grace w uporządkowaniu własnego życia emocjonalnego.

— Zakochiwałam się regularnie od czternastego roku życia — wyznała kiedyś Grace swojej przyjaciółce Judy Kanter. — Rodzice nie zaakceptowali żadnego z moich chłopaków.

Nadal spotykała się po kryjomu z Williamem Holdenem. Uderzające było podobieństwo tego związku do wcześniejszych romansów z Donem Richardsonem i Claude'em Philippe'em; do zerwania doprowadził w końcu Holden.

— Odszedłem z jej życia — powiedział Michaelowi Klassmano-wi — chociaż kochałem ją bardzo, bardzo mocno.

— Aktor doszedł do wniosku, że przedłużanie tej przygody nie ma sensu i że w zmaganiach z Jackiem Kellym o panowanie nad osobowością Grace nawet Złoty Chłopak nie ma żadnych szans.

Znacznie później Holden zwierzał się przyjaciółom, że intensywność uczuć, które żywił wobec tej dziewczyny, stanowiła zaskoczenie dla niego samego. Grace była ciepłą, pełną życia i na swój sposób silną kobietą, jednak Holden odkrywał w niej podkład emocjonalny wyraźnie świadczący o niedojrzałości. Zmagala się kiedyś z problemem ich ewentualnego ślubu — trudnego do przeprowadzenia wobec własnego katolicyzmu i istniejącego już małżeństwa Holdena. Wreszcie znalazła rozwiązanie. Radośnie oznajmiła, że według jej księdza wystarczy, aby Holden również stał się katolikiem. Poprzednie małżeństwo automatycznie straci wówczas ważność. Wezmą ślub w kościele — i wszystko będzie jak należy!

Już raz, w czasach gdy miała nadzieję poślubić Dona Richardsona, a rodzice nie chcieli słyszeć o zięciu-rozwodniku, Grace posłużyła się podobną argumentacją. Słyszając ten wywód, Richardson roześmiał się jej w twarz. Reakcja Holdena była podobna. Do diabła — oznajmił Broderickowi Crawfordowi — nie pozwoliłbym żadnemu kościołowi na decydowanie o moim życiu.

Skłonność Grace do dosłownego traktowania katolickiej doktryny stanowiła dobrą ilustrację jej kłopotów z podejmowaniem dorosłych, osobistych decyzji. Ksiądz jawił się jako kolejna ojcowska postać, władna decydować o sprawach, które ją przerastały, i usuwająca potrzebę dojrzałego, odpowiedzialnego myślenia. Rozbicie małżeństwa Williama Holdena było złym uczynkiem... albo nie było. Jedynie Grace mogła wiedzieć — i musiała dojść do tego samodzielnie — czy rzeczywiście zależy jej na Holdenie wystarczająco, by sprostać wszystkim konsekwencjom tego uczucia. Pomysł, że „nawrócenie” Holdena usunie wszystkie trudności, był typowym przejawem myślenia magicznego — zastosowanego wobec rzeczywistych ludzi i rzeczywistych problemów.

„Zakochiwanie się” Grace było ciągle bardzo niedojrzałym i w gruncie rzeczy samolubnym zjawiskiem, napiętnowanym niechęcią do przejęcia odpowiedzialności za własne decyzje życiowe.

W dorobku Grace Kelly film *The Bridges at Toko-Ri* sytuował się minimalnie wyżej od „Czternastu godzin”. Zagrany przez nią krótki, piętnastominutowy epizod był tylko przerywnikiem właściwej akcji, którą osnuto wokół mężczyzn i ich paskudnego wojennego rzemiosła. Rola ta nie wpłynęła znacząco na podniesienie notowań Grace w oczach krytyków filmowych, komentowano jedynie przyjemność, jaką było oglądanie jej w kostiumie kąpielowym — po raz pierwszy na ekranie. A jednak decyzja o podjęciu współpracy z Williamem Perlbergiem i George'em Seatonem stanowiła bardzo błyskotliwe posunięcie. Panowie ci zakupili właśnie prawa autorskie do tekstu, który — według zgodnej opinii całego Hollywood — stanowił materiał na fantastyczny film. Tak jak Hitchcock dyskutował swoje plany odnośnie „Okna na podwórze” na planie „M jak morderca”, tak energia Perlberga i Seaton-a w czasie kręcenia *Toko-Ri* koncentrowała się głównie na pomysłach i nadziejach związanych z „Dziewczyną z prowincji” (*The Country Girl*).

Ta sztuka Clifforda Odetsa odniosła w 1950 roku wielki sukces na Broadwayu. Warto wspomnieć, że Grace Kelly, w czasach gdy walczyła o zaistnienie jako aktorka, odbyła wiele zakończonych niepowodzeniem próbnych przesłuchań. Jedno z nich wiązało się właśnie z „Dziewczyną z prowincji” \*. Przedstawienie to, według opinii Brooksa Atkinsona, dosłownie przeszywało teatr na wylot. Słynny niegdyś aktor, wyniszczony alkoholem i depresją, osiąga dno. Żona (tytułowa „dziewczyna z prowincji”), równie znerwicowana, lecz silniejsza, pomaga mu się pozbierać — walczy ze słabościami psychiki męża, aby jego kariera odzyskała dawny blask.

Za swoją gorzką interpretację tytułowej roli Uta Hagen zebrała znakomite recenzje i liczne nagrody. Gdy tylko do wielkich dam Hollywood dotarły wieści o podjętej przez George'a Seaton-a pracy nad scenariuszem filmowej wersji sztuki, ich agenci i specjaliści od reklamy bez zwłoki wkroczyli do akcji. Rola oferowała możliwość zaprezentowania niezwykle bogactwa środków wyrazu — rzadkiego w praktyce filmowej. Jennifer Jones wysforowała się na czoło wyścigu, nie bez pewnego pozakulisowego wsparcia ze strony męża, wielkiego *Da-vida* Selznicka. Jednak później, na początku 1954 roku, Selznick zatelefonował do Perlberga i Seaton-a z wiadomością, że żona jest w ciąży. Dwaj panowie mieli już wówczas bardzo zaawansowane prace nad *Toko-Ri* i tylko tygodnie dzieliły ich od rozpoczęcia zdjęć do „Dziewczyny z prowincji”.

— George i ja nie rwiemy sobie włosów z głowy — relacjonował później te wydarzenia Perlberg, w słynnym terazniejszym czasie przeszłym, uwielbianym przez jego przyjaciela, Damona Runyona. — Po prostu spoglądamy na siebie. Myślmy o tym samym: Grace Kelly.

Problem tkwił w tym, że Perlberg i Seaton pracowali dla Paramount Pictures, Grace zaś związana była z Metro-Goldwyn-Mayer piętnasto-miesięcznym kontraktem. Na dodatek zagrała dotąd w jednym zaledwie filmie („*Mogambo*”) finansowanym przez MGM — później karierę jej kształtowała praca dla innych wytwórni. MGM czerpała całkiem

przywzwoite dochody ze specjalnych kontraktów podpisywanych z Warner Brothers („M jak morderca”) i Paramount („Okno na podwórze”). Zgoda na wypożyczenie Grace do Toko-Ri kosztowała Paramount dwadzieścia pięć tysięcy dolarów (honorarium wypłacone Grace przez MGM wyniosło zaledwie dziesięć tysięcy). Teraz jednak w wytwórni MGM — która odkryła Grace Kelly i pierwsza podpisała z nią kontrakt — uznano, że nadszedł czas na właściwe uruchomienie posiadanego kapitału. Decydenci wytwórni przejrzeni surowe fragmenty „Okna na podwórze” i poczuli zapach pieniędzy. Gdy Dore Schary, szef produkcji MGM, usłyszał, że młoda aktorka zamierza znowu opuścić macierzystą wytwórnię, jego odpowiedź brzmiała: „Nie!”

— Wiążemy z Grace wielkie plany — oznajmił Perlbergowi i Seatonowi.

Na tym sprawa powinna się była zakończyć, bowiem nagabywanie konkurencyjnych producentów o udostępnianie aktorów było uważane za naruszenie zawodowej etykiety — zwłaszcza gdy już raz dostało się odpowiedź odmowną. Jednak Perlbergowi i Seatonowi tak bardzo zależało na obsadzeniu Grace w „Dziewczynie z prowincji”, że sobie wiadomymi sposobami zadbali o to, żeby przeczytała scenariusz.

— Żaden sąd na świecie nie zmusiłby nas do wyjaśnienia, jak do tego doszło — mówił później Perlberg. I skromnie dodawał: — Powiedzmy, że ja podejrzewam Seatona, a on mnie.

Grace regularnie czytała dostarczane jej z MGM scenariusze i równie regularnie odsyłała je z powrotem. Były tam *The Cobweb*, trójkąt miłosny z Robertem Taylorem i Laną Turner, *The Long Day*, romans z czasów zdobywania Dzikiego Zachodu i *Green Fire* („Zielony ogień”), dreszczowiec o szmaragdach, osadzony w scenerii Ameryki Południowej. Ekranizacja sztuki Clifforda Odetsa proponowana przez Seatona, zdaniem Grace, miała szansę stać się filmem zupełnie innego rodzaju.

— Po prostu musiałam zagrać dziewczynę z prowincji — mówiła później. — Dostrzegłam w niej prawdziwą rolę dla siebie. Złościły ją „wielkie plany” Dore'a Schary'ego, które na tle scenariusza Seatona prezentowały się zdecydowanie tandetnie i kiczowato. Wreszcie, jak głosi jedna z legend Hollywood, Grace wtargnęła do gabinetu szefa produkcji MGM.

— Jeśli nie dostanę się do tego filmu, to wsiadam do pociągu i nigdy nie wrócę! — miała oznajmić.

Taki frontalny atak nie był jednak w stylu Grace. Czasem bywała chłodna, częściej jednak wylewna i urocza. Prawie nigdy nie ujawniała agresji; uczono ją powstrzymywać gniew, a nie obnosić się z nim. Przebojowość aktorki, ukrytą pod gładką powierzchownością, można było dostrzec w jej działaniach.

— Nigdy nie powiedziałam nikomu czegoś podobnego — komentowała Grace swój rzekomy występ przed Dore'em Scharym. — Nie mogłabym, choćbym nawet chciała; wszystkim zajmował się mój agent.

Wreszcie okazało się, że sprawę można załatwić za pomocą pieniędzy. Wytwórnia MGM przystała na sumę dwukrotnie wyższą niż poprzednio — pięćdziesiąt tysięcy dolarów — za wypożyczenie Grace do Paramount, Grace natomiast zgodziła się zagrać w jednej z „tandet” MGM zaraz po zakończeniu zdjęć do „Dziewczyny z prowincji”. Najmniej

odpychające wrażenie robił na niej film Green Fire (przygoda ze szmaragdami, tropikalna dżungla), stwarzał bowiem nadzieję na wyjazd do Kolumbii, a właśnie tam przeniosła się po swym niedawnym ślubie szkolna przyjaciółka Grace, Maree Frisby.

Pozostały już tylko negocjacje z Bingiem Crosbym, który miał być partnerem Grace w „Dziewczynie z prowincji”. Kontrakt Crosby’ego dawał mu prawo weta wobec obsady głównej roli kobiecej. Należało teraz przekonać gwiazdora, że Grace Kelly jest aktorką poważną i idealnie dobraną.

Doszły go słuchy — referowała w maju 1954 Louella Parsons — że Grace to kokietka zdecydowana zdobyć serce każdego mężczyzny, z którym przyszło jej pracować.

Arthur Jacobson, zastępca producenta Toko-Ri, a później „Dziewczyny z prowincji”, zapamiętał taką scenę z domowego przyjęcia wyprawionego przez Williama Perlberga w Palm Springs — specjalnie po to, by umożliwić spotkanie Binga i Grace:

— Bing przerwał grę w golfa i wszedł do pokoju. Perlberg do niego:

Hej, Bing, chcę, żebyś poznał naszą Grace, Grace Kelly. Zaś Bing (w ustach fajka, z którą nigdy się nie rozstawał), rzucił tylko: A, cześć!... i sobie poszedł.

Grace była przygotowana na wielkie znaczenie tego spotkania. Poszukując wsparcia, zabrała z sobą Prudy Wise. Reakcja Crosby’ego podziałała na nią wyjątkowo deprymująco. „Była zdruzgotana — wspomina Jacobson — ponieważ wiedziała, że to jeden z ważniejszych momentów życiowych. Spotkanie z człowiekiem, który może powiedzieć nie. Nie potrafiła pojąć takiego zachowania. W jej oczach pojawiły się łzy”.

Pod koniec wieczoru Jacobson dopadł Crosby’ego i zapytał o werdykt. Gwiazdor zareagował tak, jak gdyby od początku nie było żadnego problemu.

— „Wspaniale! — powiedział. — Dobra jest dla Billa? Dobra dla George’a? I dla ciebie? To niby czemu ja miałbym ją oceniać?”

Dziwaczne zachowanie gwiazdora mogło mieć źródło w jego własnej niepewności, czy sprosta wyzwaniom stawianym przez „Dziewczynę z prowincji”. Rola Franka Elgina, przynębionego, obłudnego pijaka żonatego z wiejską dziewczyną wymagała posępnej, wręcz bezbarwnej gry, którą od White Christmas („Białe Boże Narodzenie”) dzieliły całe lata świetlne. Seaton i Perlberg podjęli śmiałą decyzję obsadzenia tak Grace jak i Binga w rolach zupełnie nie przystających do ich dotychczasowych dokonań. Hedda Hopper i Louella Parsons, największe plotkary Hollywood, miały całkowitą rację, rozповідаjąc o skłonności Grace do mieszania prywatnych amorów z poważną pracą na planie filmowym. Trudno było sobie wyobrazić charakteryzację i kostiumy, które mogłyby przekonująco przeobrazić tę piękność z okładki w pochmurną i smutną żonę.

W pierwszej przymiarce kostiumów uczestniczył Arthur Jacobson — ciekawy, czy są jakieś szansę na znalezienie odpowiedniego przebrania dla Grace. Projektantce Edith Head, zajętej na co dzień upiększaniem młodych gwiazdek, dano tym razem dokładnie przeciwne zadanie.

— Przejrzeliśmy dwadzieścia cztery swetry — wspomina Jacobson — zanim udało nam się trafić na coś wystarczająco niemodnego. Potem Edith znalazła tę nijaką sukienkę i wręczyliśmy Grace jakieś okulary w ciężkich oprawkach, które nasunęła sobie na czoło. Gdy fryzjer skończył swoje dzieło i nasza aktorka stanęła przy desce do prasowania, obok wiadra z praniem, wówczas ujrzeliśmy całkiem inną kobietę.



— Grace, nie wierzyłam, że nam się uda — Edith Head była zachwycona — ale naprawdę wyglądasz na przybitą! Gratulacje!

Georgie Elgin miała być nudna, apatyczna i przygaszona. Dla Grace oznaczało to zwrot o sto osiemdziesiąt stopni w porównaniu z rolą zwiewnej miejskiej dziewczyny, Lisy Fremont, którą zagrała w „Oknie na podwórze”. Potrafiła zmienić swoje emploi z godnym podziwu talentem. Rola znękaney żony wymagała uruchomienia środków wyrazu dotąd przez Grace nie stosowanych: sarkazmu, zgorzknienia, a również tego przejmującego klimatu rozpacz, który oddała z przenikliwą wiernością. Gdzieś tam w głębi jej duszy tkwiła pochmurna cząstka należąca kiedyś do małej dziewczynki schylającej głowę przed niezadowolonym ojcem. Grace wcielała się w graną postać tak, jak uczył ją Sanford Meisner: wsłuchiwała się w wypowiedane kwestie, po czym reagowała na nie natychmiast i spontanicznie, jak dyktowała podświadomość.

— Nie pozwalajcie mi już więcej pyskować — powiedział Bing Crosby po kilku dniach pracy z Grace. — Ta dziewczyna naprawdę potrafi grać!

Te nieoczekiwane umiejętności Grace pomogły Crosby'emu w jego własnych zmaganiach z rolą. Piosenkarz przez wiele lat uwięziony był w nieudanym (jak mówiono w całym Hollywood) małżeństwie i sam dużo pił. Historia opowiedziana w „Dziewczynie z prowincji” w dziwny sposób nawiązywała do jego prywatnego życia. Filmowy Frank Elgin to pozornie układny śpiewak i tancerz, który winą za swoje pijackie ekscesy obarcza wymagającą żonę. Podobnie Bing Crosby, szczęściarz-światowiec pykający fajeczkę, pielęgnował swój wizerunek promiennego faceta o anielskiej dobroci, którego jedynym nieszczęściem jest żona, Dixie Lee Crosby, pijana sekutnica. Tymczasem właśnie on pierwszy zaczął przesadzać z piciem, a gdy w 1952 roku żonę zaatakował rak narządów rodnych, zostawił ją w Stanach i wyjechał do Europy. Dixie Lee Crosby spędzała swoje ostatnie miesiące życia cierpiąc samotnie, podczas gdy europejski rozkład zajęć Binga obejmował trochę pracy aktorskiej i grę w golfa. Do domu wrócił na kilka dni przed śmiercią żony.

Smutek i poczucie winy całkiem wytrąciły go z równowagi. Zaczął dokonywać czegoś w rodzaju moralnej inwentaryzacji swoich postępów. W szesnaście miesięcy później, gdy kręcono „Dziewczynę z prowincji”, czuł się już na siłach dyskutować swoje podobieństwa do Franka Elgina.

— Akcja filmu tak silnie nawiązywała do życia Binga — wspominała później Grace — że czasem sam o tym mówił w trakcie przygotowywania ujęcia.

Bing Crosby — pięćdziesięciolatek pełen wyrzutów sumienia, a za-n z,em poszukujący nowej drogi — szybko odkrył, że pozostaje pod waelkim wrażeniem Grace; fascynowało go charakterystyczne dla tej aktorki połączenie siły i czułości. Zaczął już się rozglądać za nową, młodą żoną, a Grace wydawała się idealną kandydatką. Rozpoczął ostrożne i pełne szacunku starania o jej rękę. Zachowywał się tak, jak przystało na wdowca i katolika.

— Zabierał nas w niedzielę do kościoła — wspominała Lizanne. — A potem chadzaliśmy do Alana Ladda coś przegryźć i popływać.

Grace nie pozostawała całkiem obojętna na te zaloty. Gdy kogoś lubiła i mu ufała, wówczas okazywała ciepło, które czasem można było źle zinterpretować. Kiedyś,

podczas towarzyskiego spotkania zespołu „Dziewczyny z prowincji” wskoczyła nieoczekiwanie na kolana Arthura Jacobsona i dała mu buziaka.

— „Oto człowiek, który był dla mnie tak miły!” — chichotała uwodzicielsko.

Pani Jacobson wcale nie było do śmiechu. Grace porzucała czasem pełną rezerwy maskę, jakiej wymagała jej rosnąca sława. Stawała się wówczas na powrót swobodną i beztrudną dziewczyną, która może sobie pozwolić na odegranie małej komedii, aby odprawić natrętnego zalotnika. Jednak zapędy Binga Crosby'ego nie zostały źle przyjęte — zaczęli się regularnie spotykać na bardzo przyzwoitych randkach.

Jedyna komplikacja związana była z drugą główną rolą męską w „Dziewczynie z prowincji”. W postać reżysera, którego dziełu zagrażają alkoholowe humory Franka Elgina, wcielił się nie kto inny jak niedawny amant Grace, William Holden. Jako jeden z czołowych aktorów w hollywoodzkim rankingu, Holden zwykle nie przyjmował zapłaty niższej niż maksymalna. Umiał jednak - - podobnie jak Grace i Bing — rozpoznać naprawdę dobrą rolę. Czyniąc jeden z tych wielkodusznych gestów, które stawały się później powszechnie znane, Holden zaoferował swój udział w „Dziewczynie z prowincji” w zamian za trzeciorzędą gażę — znacznie poniżej zarobków stosunkowo jeszcze mało znanej Grace Kelly. Ustąpił też pola w sprawach sercowych. Według Boba Thomasa, biografy Holdena, ten ostatni temat został poruszony przez Crosby'ego pewnego wieczoru, po zdjęciach.

— Ta mała Kelly — miał powiedzieć Bing — jest niezła, prawda?

— Jasne, że tak — przytaknął Holden. — Nigdy nie widziałem młodej aktorki, która by się tak dobrze znała na rzeczy.

— Mówię bardziej prywatnie — wyznał Crosby z pewnym zakłopotaniem. — Wybacz, że tyle gadam, Bili, ale zupełnie mnie oczarowała. Dosłownie wariuję. I właśnie zastanawiałem się, czy...

— Czyja czuję to samo? — pomógł mu Holden. — A czy jakkolwiek mężczyzna mógłby pozostać obojętny na jej wdzięki? Ale słuchaj, Bing, nie będę się mieszać.

Holden od pewnego czasu poszukiwał eleganckiego sposobu zakończenia swojej przygody z Grace. Teraz więc mógł złożyć hołd żarowi uczuć Crosby'ego; uczuć, których jego starszy kolega wcale nie starał się ukryć.

— Bing szalał na jej punkcie — pamięta Lizanne — szalał jak dzieciak.

Crosby'ego i Grace widywano razem coraz częściej i częściej. Ulubionym miejscem Binga była restauracja Scandia na Sunset Boulevard, niedaleko Sweetzer Avenue. Oboje byli stanu wolnego, dziennikarze prześcigali się więc w doniesieniach i spekulacjach na temat ich związku. Nagłówki obwieszczały Najnowszy romans Hollywood.

Ma Kelly zareagowała na te wydarzenia z godną uwagi przychylnością.

— Nie ulega wątpliwości, że Crosby to dobra partia. Owdowiał i teraz przebiera w setkach dziewcząt — oznajmiła tonem hodowcy koni.

Podobny ton znaczył zresztą wszystkie jej wypowiedzi na temat doboru partnera dla Grace. Przyleciała do Hollywood specjalnie, by poznać słynnego piosenkarza — i zdecydowała, że go lubi. W ramach starań o zachowanie statusu „dobrej partii” Bing

zaprosił panią Kelly wraz z Grace na lunch i na przedpremierowy pokaz filmu.

Towarzyszili im też William Holden z żoną.

— Był bardzo miły — mówiła później o Bingu pani Kelly — i bawiliśmy się cudownie.

Być może właśnie ów brak sprzeciwu ze strony rodziców sprawiał, że Grace zaczynała widzieć w Bingu Crosbym mężczyznę zbyt układnego i zbyt łatwego do zdobycia.

— Naprawdę chciał się z nią żenić — wspomina Lizanne. — Grace zadzwoniła do mnie któreś nocy i powiada: „Bing poprosił mnie o rękę”. Ale nie sądzę, żeby była w nim zakochana.

Bezkonfliktowy romans jawił się Grace jako nudny i bezbarwny,

— Kochała go — tłumaczy Lizanne — ale nie była w nim żako u na... Oto cała różnica.

W późniejszych latach zdarzało się Grace dyskretnie nawiązywać w gronie najbliższych przyjaciół — do swoich romansów z Hollywood

— „Co może począć dziewczyna — pytała — gdy znajdzie się Sa na sam z Clarkiem Gable'em, w namiocie, pod afrykańskim niebem” Jednak niezmiernie irytowały ją pogłoski, jakoby poszła do łóżk z Binguem Crosbym lub przypuszczenia, że widziała w nim kiedv' poważnego kandydata na męża.

— Może to sam Crosby rozpuszczał takie plotki — mówi Gwen Robyns. — Na pewno lubił myśleć, że to prawda.

— Grace potrafiła zrobić właściwy użytek ze wszystkich cech, którymi obdarzyła ją natura — twierdziła Lizanne. — Miała w sobie coś takiego że mężczyźni dostawali małego rozumu. Zabawnie było patrzeć, jak rozkłada wszystkich tych facetów o wielkich nazwiskach.

Gdy Grace prosto z planu zdjęciowego „Dziewczyny z prowincji” przeszła do następnego filmu, Green Fire (dotrzymując wcześniejszej umowy z MGM), znalazła się w towarzystwie partnera tak przystojnego, jak żaden, z którymi przyszło jej dotąd pracować. Stewart Granger miał czterdzieści jeden lat, metr dziewięćdziesiąt wzrostu, był Brytyjczykiem i swojego rodzaju odpowiedzią MGM na fenomen Errola Flynna. Najlepiej znane są jego zawadiackie role w kostiumowych opowieściach takich jak „Scaramouche” lub „Skarby króla Salomona” (King Solomons Mines). Na Grace wywarł złe wrażenie.

— „Chyba nigdy nie spotkałam podobnie zarozumiałego człowieka” — wyznała później przyjaciółce.

Grace nie potrafiła ukryć pogardy dla banalności filmu, w którym przyszło jej grać. Na dodatek, wbrew początkowym oczekiwaniom, nie znalazła w Kolumbii swojej przyjaciółki, Maree Frisby. Ekipa zdjęciowa Green Fire tłukła się przez trzy tygodnie po przygnębiająco nędznych tropikalnych plenerach Kolumbii. Grace określiła to później jako „żałosne doświadczenie”. Wspominała:

— W tym kurzu i upale zdjęcia wlekły się w nieskończoność; nikt nie miał pojęcia o porządnej organizacji pracy.

Zapiski Stewarta Grangera dotyczące tygodni spędzonych z Grace sugerują, że aktorka stanowczo nie przepadała za tym filmowym partnerem. Przyjemnie się ją całowało — wyjawiał słynny pożeracz serc

w swoich pamiętnikach. Przyznał też, że był nieco podniecony jej pięknnością



— Skończyłam „Green Fire” pewnego ranka o jedenastej — wspominała później. — O pierwszej po południu miałam ostatnią sesję dubbingu, a o szóstej wyruszyłam do Francji.

Złodziej w hotelu.

Grace Kelly przybyła do Paryża wiosną 1954 roku zupełnie wyczerpana. W ciągu zaledwie ośmiu miesięcy wystąpiła w pięciu <sup>^^</sup> filmach, na Riwierze zaś czekał już Alfred Hitchcock i nowa rola. Przyleciała porannym samolotem; wieczorem słynny Błękitny Pociąg miał ją zawieźć do Cannes — we francuskiej stolicy przyszło więc aktorce spędzić tylko kilka godzin. Rozsądek nakazywał zniwelować różnicę czasu przez krótką drzemkę, jednak Grace postanowiła lepiej wykorzystać pogodny wiosenny poranek w Paryżu.

— „Pójdziemy kupić rękawiczki” — oznajmiła swojej towarzysze, Edith Head. —

Najpiękniejsze rękawiczki świata znajdują się w miejscu zwanym Hermes.

- No i dotarliśmy tam — wspominała później Edith Head — jak dwie małe dziewczynki spragnione lodów z lemoniadą i, oczywiście, zakochała się natychmiast w rękawiczkach, a obsługa sklepu zakochała się w niej. Na koniec otrzymała spory pakunek wraz z astronomicznym rachunkiem. Grace powiedziała: „Nie mam tyle pieniędzy”.

Połączyłyśmy nasze zasoby, ale ciągle było mało. W końcu udało się ściągnąć jakąś gotówkę z hotelu. Edith Head, wierny kibic, a trochę także uczestnik niedawnej potyczki Grace z MGM, była pełna podziwu dla siły woli i zdrowego rozsądku aktorki.

<sup>^</sup> Ta spokojna twarz kryje silną szczękę — mówiła. — Nigdy przedtem nie pracowałam z człowiekiem, który tak dobrze pojmowałby sens ich działań. A jednak ciągle była w niej ta czarująca niedojrzała cecha: wylewność niecierpliwego dziecka w sklepie ze słodyczami. Teraz, gdy minęły chude lata kariery, Grace chciała dostać od życia rochę przyjemności. Dotychczasowe romanse zjawiały się na jej drodze

w bardziej lub mniej przypadkowy sposób. Od południa Francji oczekiwała czegoś wyjątkowego. Trzeba tu wspomnieć o potencjalnym obiekcie uczuć Grace, który czekał na swą kolej gdzieś w tle jej związków z Rayem Millandem, Williamem Holdenem i Bingiem Crosbym. Mężczyzna, o którym mowa, bez powodzenia zalecał się do Grace przez całą zimę. Teraz nadszedł jego czas — na scenę wkracza zatem najbardziej barokowy, pomysłowy i zabawny ze wszystkich adoratorów Grace Kelly: Oleg Lojewski-Cassini.

Poznał Grace w 1953 roku, pod koniec jej „ornitologicznego” romansu z Jean-Pierre Aumontem. Para spędzała spokojne tete-a-tete w restauracji Veau d'Or na Wschodniej Sześćdziesiątej Szóstej Ulicy, gdy do ich stolika przywędrował Cassini. Nazwisko tego pół Rosjanina, pół Włocha wówczas jeszcze nie było kojarzone z domem mody. Na to przyszła pora w latach sześćdziesiątych, wraz z projektowanymi przez niego kapelusikami w kształcie rondelków i prostymi, geometrycznymi sukniami dla Jackie Kennedy. Już wtedy prosperował jednak dobrze i cieszył się sporą renomą wśród śmietanki towarzyskiej Manhattanu. Cassini znał Jean-Pierre Aumonta, a w dodatku — dzięki jednemu z tych zbiegów okoliczności, do których zawsze przywiązywał wielką

wagę — wracał właśnie z projekcji „Mogambo”, dosłownie porażony pięknem i elegancją Grace Kelly, ciągle jeszcze stosunkowo nie znanej aktorki.

— Muszę poznać tę dziewczynę — oznajmił swojemu towarzyszowi, gdy opuszczali kino.

— Chyba postradałeś zmysły — odpowiedział przyjaciel. — Niby dlaczego miałaby się tobą zainteresować? I skąd wiesz, że nie ma już kogoś?

Same prozaiczne pytania — zanotował później w swojej autobiografii Cassini.

— Nie dbam o to — odparł. — Ta dziewczyna musi być moja! Nie minęło pół godziny i oto Cassini już rozmawiał z Grace. Natychmiast przystąpił do działania.

Nie wspominałem o oglądanym przed chwilą „Mogambo” ani w żaden inny sposób nie nawiązywałem do jej profesji... Czuję, że bezpośrednio czołowe natarcie nie na wiele się zda. Chciałem tylko zdobyć mały przyczółek; pozytywnie zaistnieć w jej umyśle.

„Każda kobieta nosi w sobie jakąś słodycz — twierdził Giancarlo Giannini w filmie Pasqualino sette belezze, wyświetlanym w Stanach pod tytułem Seven Beauties („Siedem piękności”). — Z pozoru może

wydawać się gorzka, jak kawa, w której nie rozpuszczony cukier osiadł na dnie. Trzeba trochę pomieszać, aby słodycz dotarła do warg”.

Oleg Cassini potrafił mieszać kawę. Co więcej — uwielbiał to robić. Od chwili gdy Grace podała mu rękę w Veau d'Or, całkowicie poświęcił się podbojowi jej serca.

Nie należała do dziewczyn, z którymi można zwyczajnie umówić się na randkę — stwierdzał. — Należało wymyślić cały scenariusz działań, plan; coś zuchwałego, romantycznego, nawet głupiego, byle tylko wniknąć pod tę pełną rezerwy osłonę.

Następnego ranka kazał dostarczyć do Manhattan House tuzin czerwonych róż. Dzień później znowu tuzin — i tak przez dziesięć kolejnych dni. Do każdego wazonu przypięty był bilecik: „Oddany Ogrodnik”. Gdy już całe mieszkanie Grace tonęło w różach, Cassini schwycił za słuchawkę. „Dzień dobry — powiedział — mówi Oddany Ogrodnik”.

Nastąpiła pauza, a potem usłyszałem ten jej czarujący, lekki śmiech. I już wiedziałem, że odniosłem zwycięstwo. Jak mawiał Napoleon: Kobieta, która się śmieje, to kobieta zdobyta.

„Zwycięstwo” ograniczyło się do ostrożnego przyjęcia przez aktorkę zaproszenia na lunch. Gdy zaś na kolejną randkę Grace zabrała swoją siostrę Peggy, wówczas wyrafinowaną odpowiedzią Cassiniego był inny fortel: zwracał nieco mniej uwagi na Grace niż na jej starszą siostrę. Trzeba wiedzieć, że Cassini, który na polach miłosnych bitew uważał siebie za pięciogwiazdkowego generała, trafił tym razem na godnego przeciwnika. I gdy w czasie kolejnej, trzeciej randki gratulował sobie tańca z tak delikatną i piękną dziewczyną na parkiecie El Moroc-co, Grace uśmiechnęła się wstydliwie.

— Mam dla ciebie dwie małe niespodzianki, Oleg — oznajmiła. — Po pierwsze: zakochałam się. Po drugie: jutro wyjeżdżam do Kalifornii.

Początkowo Grace nie miała ochoty na wyjawienie Cassiniemu nazwiska swojego wybranego. Później trochę złagodniała i dała mu pewne wskazówki: miał to być angielski aktor, bardzo przystojny, o inicjałach R.M. Następnego dnia udała się do Kalifornii.

Za literami R.M. krył się Ray Milland. (Właściwie nie był Anglikiem, lecz Walijszczykiem.) Cassini zbytnio nie obawiał się konkurencji uważając, że skoro Grace umówiła się z nim aż trzy razy, to nie może być Poważnie zakochana w tamtym mężczyźnie. Tym niemniej, zaloty z odległości czterech i pół tysiąca kilometrów stwarzały pewne problemy;

Cassini dostrzegł w tym prawdziwe wyzwanie i jeszcze nasilił swoją kampanię. Codziennie słał do Grace krótkie liściki na Sweetzer Avenue i regy-  
larnie telefonował. Był oszczędny w słowach, pełen polotu i \_\_ Co  
najważniejsze — zabawny. Stanowiło to jego podstawową zasadę-zawsze doprowadzać  
panie do śmiechu.

Oleg Cassini był synem wygnanego rosyjskiego szlachcica. Pierwsze a zarazem bardzo  
szczęśliwe wspomnienie wiązał z rudowłosą piastunką, Niną, która zachęcała go do snu  
przez głaskanie penisa. Ktoś pochodzący z innego czasu i kultury mógłby uznać  
podobne doświadczenie za godne oplakiwania w telewizyjnych „godzinach szczerości”.  
Jednak dla Cassiniego był to znakomity punkt wyjściowy do trwającej przez całe życie  
fascynacji płcią nadobną. Jego osobowość była pod wieloma względami  
podporządkowana wiecznym umizgom do kobiet. Dawały Cassiniemu nie tylko  
przyjemność, lecz i —jako projektantowi mody — środki do życia.

Kochałem kobiety — napisał we wspomnieniach z lat młodości — sposób, w jaki patrzyły  
i poruszały się. (...) Kobiety, a także problemy związane z zapewnieniem im dobrego  
wyglądu i dostarczeniem zadowolenia, zawsze będą mnie interesować.

Wiosną pięćdziesiątego czwartego roku Cassini odleciał do Kalifornii. Formalnie  
sprowadziły go tam jakieś interesy zawodowe. Wykorzystał nadarzącą się okazję  
bezpośredniego kontynuowania zabiegów o względy Grace. Aktorka była wówczas w  
połowie pracy nad „Dziewczyną z prowincji”. Cassini twierdzi, że nie dostrzegł wtedy  
żadnych przesłanek wskazujących na jej romans z którymkolwiek z filmowych partnerów:  
Bingiem Crosbym lub Williamem Holdenem. Grace, jak zwykle swobodna i  
bezpośrednia, trzymała swojego cavaliere servente na wyciągnięcie ręki. Cassini  
skonstatował, że wiele wieczorów ma teraz wolnych. Eskortował więc do Ciro takie  
piękności i sławy jak Anita Ekberg i Pier An-geli — dbając, by jego obecność zostawała  
odnotowana przez kroniki towarzyskie. Uważał, że nawet wieczór pozornie odległy od  
wymarzonego może być wykorzystany z pożytkiem dla całej, długofalowej kampanii-  
— Nie rozumiem cię — stwierdziła kiedyś Grace po przeczytaniu wzmianek o Cassinim  
w rubryce poświęconej ploteczkom towarzyskim-

— To całkiem proste — odparł projektant. — Jesteś ciągle zajęta; wydaje się, że masz  
mnóstwo spraw ważniejszych ode mnie. A ja lubię tańczyć, cenię miłe towarzystwo...  
muszę też dbać o swoją reputację. Romans w wykonaniu Olega Cassiniego miał więcej  
wspólnego z

szachami lub pokerem, niż z potocznie rozumianymi zalotami. Po sześciu miesiącach  
nieustającego pojedynku Grace zaczęła znajdować oryzjemność w tych zmaganiach.  
Oddaliła sugestie Cassiniego na temat ewentualnej wspólnej podróży do kolumbijskiej  
dżungli. Jednak w czasie kręcenia Green Fire systematycznie odpowiadała na codzienne  
niemal listy i telefony swojego adoratora. Natomiast w przeddzień wyjazdu do Paryża

posłała mu kartkę z ośmioma słowami: Niech ci, co mnie kochają, podążają za mną. Dama zdecydowała o swoim wejściu do gry.

Pierwszą próbę „podażenia” za Grace, do Francji, udaremniła niekompetencja Cassiniego — na lotnisku okazało się, że jego paszport stracił ważność. Musiał więc minąć prawie tydzień, zanim w restauracji Carlton Hotel w Cannes zasiadł — wraz z obiektem swoich zabiegów — do wielodaniowej uczyty rozpoczętej delikatnym mousse de trois poissons. Najpierw sęczyli kir royals, później były jeszcze dwie butelki dom perignon, które wprawiły ich w radosny nastrój, jednak Cassini na próżno wyglądał w zachowaniu Grace jakiegoś pretekstu do bardzo zdecydowanych działań. Napisał później: Nasze stosunki pozostawały deprymująco platoniczne.

Cassini udał się do swojego pokoju zdecydowawszy, że podejmie jeszcze jedną próbę. Swoją kampanię zainicjował na jesieni — teraz była już wiosna. Przemierzył pół świata w samolotach i pociągach. Nadchodził czas rozstrzygnięć. Grace dysponowała ostatnim wolnym dniem przed rozpoczęciem zdjęć, tak więc porę lunchu znowu spędziła u boku Olega. Był to piknik na pokładzie tratwy w romantycznej, śródziemnomorskiej zatoczce; raczyli się zimną kaczka i butelką mont-rachet rocznik 1949. I właśnie w tej scenarii przesyconej błękitem czystej wody, w ciepłe czerwcowego słońca, Cassini przystąpił do ostatecznego ataku. Mówił więc Grace o swoich długotrwałych zabiegach i o zimnym menuecie, którego razem tańczyli. Mówił, jak bardzo mu na niej zależy; za dowód przedstawiał całe miesiące wytrwałości i oddania. Składał swój los w ręce Grace. — Nie ma sensu — zakończył — dłużej udawać.

Nie odpowiedziała ani słowem — wspomina Cassini — lecz w jej spojrzeniu dojrzałem swoje zwycięstwo.

Para udała się do hotelu, by zamienić spojrzenia w działanie bardziej konkretne.

Zdawało się, że płyniemy — pisał później Cassini. — Intensywność uczuć rozjarzała nas prawdziwie mesmeryczną mocą. Grace pachniała gardeniami; egzotycznie, a zarazem przedziwnie czysto. Była w niej jakaś przejrzysta, perłowa właściwość, która wszystkiemu nadawała czystość świeżość i delikatność: jej skór ze, jej zapachowi i włosom. Byłem zupełnie zauroczony; docierał do mnie jedynie transcendentalny wymiar tamtej chwili.

Olegowi Cassiniemu należy się honorowe miejsce w spisie kochanków Grace. I nie chodzi tu wcale o jego zdolności łóżkowe. Ujmującą cechą tego czarującego samochwały była wstrzemięźliwość, z jaką wypowiadał się na temat konsumowania owoców swych misternie knutych kampanii. Techniczne aspekty miłości — napisał — nigdy nie fascynowały mnie w równym stopniu, jak działania wstępne, wiodące do finału. Był to właśnie jeden z powodów, dla których jego wytrwałe zaloty podbiły wreszcie serce Grace. Cassini różnił się od mężczyzn, jakich znała przedtem. Wszystko, co czynił, zabarwione było pozą i wyrachowaniem. Z góry nastawiał się na długotrwałe zabiegi. W rezultacie niewinny flirt, który obie strony traktowały początkowo jak grę, przerodził się w najdłuższy, najgłębszy, a w swoim czasie też i najgłośniejszy z romansów Grace.

Oleg Cassini nie był, według obowiązujących kanonów, specjalnie przystojny. Ze swoim długim nosem i cienkim wąsikiem dziwnie przypominał Philippe'a z Waldorf-Astorii.

Wrażenie to potęgował jego niestabilny, europejski akcent i gorliwość, z jaką całował



kobiecie dłonie. Był w nim cygański rys Dona Richardsona, a także ognista wojowniczość Gene'a Lyonsa. Cassini nie cieszył się czystą, promieniejącą sławą jak gwiazdorzy filmowi wokół Grace, miał jednak swoją własną, prywatną renomę. Liczący się ludzie znali go dobrze. Oleg był zabawny. Konsekwentnie trzymał się zasady, by w towarzystwie kobiet omawiać głównie ich własne sprawy. A uprawiana profesja — projektowanie eleganckich strojów dla eleganckich kobiet — dawała mu dostęp do, jak to ujął, rodzaju wiedzy, o którego istnieniu większość mężczyzn w ogóle nie ma pojęcia. Wyznał też: Miałem moc odgadywania wyglądu, jaki kobiety pragnęły przybierać — tak więc asystowałem im przy powstawaniu i przy spełnianiu marzeń.

Cassini zaprojektował już kilka kreacji dla Grace. Były to spokojne, wytworne suknie, które wspaniale podkreślały klasę dziewczyny. Nadawały Grace wygląd bladej i delikatnej angielskiej róży. Jednak Oleg miał do zaoferowania znacznie więcej niż tylko stroje. Dawał Grace poczucie pewności siebie i komfortu psychicznego życia we własnej skórze. Zniknęły stesy związane z kompleksem zalęknionej córeczki.

Swoim prowokującym zachowaniem Cassini wydobył z niej całe pokłady radości życia. Znowu była roześmianą dziewczynką w sklepie ze słodyczami, choć właśnie tę stronę swojej osobowości — dobrze znaną bliskim przyjaciółom — starała się skrzętnie ukrywać przed innymi, może bardziej namiętnymi amantami.

Taka kuracja przydałaby się Grace zawsze, jednak w czerwcu 1954 roku była szczególnie potrzebna. Aktorka przygotowywała się wówczas do nowej roli, którą Hitchcock przewidział dla niej w filmie „Złodziej w hotelu”. Po uroczystych czarno-białościach dwóch poprzednich obrazów, kręconych dla Perlberga i Seatona, wracała do wspaniałego świata technicoloru, by powtórnie wcielić się w Lisę Fremont. Przekorna i niezależna bohaterka „Okna na podwórze” otrzymała teraz nowe personalia: Frances Stevens. Była to postać osadzona w realiach południa Francji. Przebywała tam na wakacjach wraz z matką, wspaniale przystrojoną klejnotami i nieco głupkowatą. Panna Stevens, bogata i uparta, uosabiała całą tę frywolność i głód przygód, które mogą rozkwitać w cieniu potężnego konta bankowego. Taka dziewczyna byłaby zdolna do posłania mężczyźnie kartki: „Niech ci, co mnie kochają, podążają za mną”.

Dla Alfreda Hitchcocka Frances Stevens oznaczała kolejny etap roztopiania jego ukochanej Śnieżnej Księżniczki. W „Złodzieju w hotelu” nie znajdziemy specjalnie skomplikowanej intrygi. Jest to raczej ciąg nieprawdopodobnych, elektryzujących wyczynów sfilmowany w urokliwej scenerii Riwiery. Frances Stevens z godną odnotowania agresywnością tropi Johna Robiego, dobrodusznego włamywacza — złodzieja klejnotów (Cary Grant), który podczas wojny spłacił już swój dług wobec społeczeństwa, bohatercko działając we francuskim ruchu oporu. Teraz podejrzewany jest o powrót do dawnego fachu, co fascynuje Frances Stevens. Jedna połowa jej osobowości chce zabawy w detektywa: planuje posłużyć się kosztownościami matki jako przynętą w celu złapania tytułowego złodzieja na gorącym uczynku. Jednak druga połowa żywi desperacką nadzieję, że podejrzenia okażą się fałszywe, że Robię został oczerniony i że możliwe będzie zdobycie serca tego śmiałego i tajemniczego mężczyzny. Hitchcock znowu starał się uzyskać efekt filmowego napięcia przez Manipulowanie dwoma wzajemnie sprzecznymi obliczami swej ulubio-nej artystki. Tę charakterystyczną

dla Grace dwoistość aktorskiej natury zwykł nazywać „niezgodnością”. Po dziesięciu minutach od momentu pojawienia się na ekranie, podczas sceny kończącej dosyć oficjalny wieczór w towarzystwie Johna Robiego, Frances Stevens nieoczekiwanie przerywa eleganckie życzenia dobrej nocy wygłaszane przez dżentelmena-włamywacza. Zbliża się do niego, po czym następuje długi i namiętny pocałunek w usta.

— Było to tak — smakował później powyższe ujęcie Hitchcock — jak gdyby rozpięła Cary 'emu rozporek.

Subtelność reżysera widoczna jest w próbach ozdobienia dialogów Grace niezwykle, seksualnymi podtekstami:

KELLY: {Częstując kurczakiem na pikniku} Woli pan udo, czy pierś?

GRANT: Wybór pozostawiam pani.

KELLY: ...Proszę mi powiedzieć, jak może być długi...

GRANT: Jak co może być długie?

KELLY: Pański pobyt tutaj, od powrotu z Ameryki.

Akcja przenosi się następnie do pokoju hotelowego Frances Stevens, skąd roztacza się widok na port w Cannes. Dziewczyna zaprosiła Robiego na wspólne podziwianie pokazu ogni sztucznych:

KELLY: Lepiej zgaśmy światło, jeśli chce pan naprawdę zobaczyć ognie sztuczne. Mam przeczucie, że dzisiejszej nocy ujrzy pan jeden z najbardziej fascynujących widoków całej Riwiery. (Ma na sobie wydekoltowaną suknię wieczorową bez ramiączek.) Miałam na myśli ognie sztuczne...

GRANT: Czy mógłbym dostać kieliszek brandy? Może pani miałaby ochotę...?

KELLY: Są takie noce, gdy alkohol nie jest do niczego potrzebny... Niech się pan podda, John. Proszę przyznać, kim pan jest. Nawet w tym świetle dokładnie widzę, na co pan patrzy. (Zbliżenie na jej pierś, naszyjnik i wspaniały dekolt.) Proszę! Oto one! Diamenty —jedyna rzecz na świecie, której nie potrafi pan się oprzeć. (Ognie sztuczne rozbłyskują w tle, podczas gdy Robię całuje po kolei palce dziewczyny i kładzie dłoń poniżej jej naszyjnika. Zbliżenie na fajerwerki) Czy kiedykolwiek złożyono panu lepszą ofertę? Wszystko za jednym zamachem!... Satysfakcja gwarantowana. (Znowu widok fajerwerków)

GRANT: Wie pani równie dobrze jak ja, że ten naszyjnik to tylko imitacja.

KELLY: Cóż, ja nie wiem. (Całują się. Szczytowy moment pokazu ogni sztucznych. Cięcie. Koniec sceny.)

Słowne pojedynki były tu celowo oszczędne. Podlegały dodatkowej redakcji samego Hitchcocka, który starał się wzmocnić ich sugestywność. Sposób prowadzenia dialogów stanowił też znakomitą ilustrację

opinii Hitchcocka, wygłoszonej jeszcze w czasach „M jak morderca” — że z damą można realizować na planie pomysły reżyserskie zupełnie nie do pomyślenia z typem dziewczyny zuchwałej. Cała otoczką wokół Grace Kelly tak silnie, wręcz magnetycznie, oddziaływała na widzów, że nie mogli uwierzyć, aby piękna dziewczyna rzeczywiście wypowiadała podobne kwestie — a zarazem pozostawali pod wrażeniem czystej radości życia, z jaką słowa te jednak padały. Niby wiesz dokładnie, <co powiedziała, lecz przecież

uśmiechała się tak słodko. Jak więc mógłbyś podejrzewać naruszenie granic dobrego smaku?

Rola w filmie „Złodziej w hotelu” dostarczyła Grace dużo satysfakcji. Po raz pierwszy w swej karierze miała „oficjalnego” towarzysza, który mógł jej wszędzie towarzyszyć, bez żadnych komplikacji. Cary Grant zabrał z sobą do Francji żonę, Betsy Drake; Alfred i Alma Hitchcockowie również byli tu razem. Para Oleg—Grace w naturalny sposób rozszerzała to towarzystwo do szczęśliwej szóstki wspólnie odwiedzającej restauracje w wioskach na wzgórzach i w słynnych lokalach Riwieri. Hitchcock nigdy nie zjadłby posiłku w lokalu o standardzie niższym od trójgwiazdkowego. Przed każdą wizytą w restauracji musiał mieć dostarczone menu, aby szczegółowo opracować plan posiłku — od zupy do serów. Grace bardzo lubiła tę atmosferę koleżeństwa, wzmocnioną przez egzotyczny plener, z dala od domu. Przywodziło to na myśl czasy kręcenia „Mogambo” —jednak teraz nie była już aktorskim złotodziobem. Dorobek ośmiu filmów pozwalał jej uważać się za profesjonalistkę — i tak też była postrzegana przez resztę towarzystwa. Grace zakochała się w scenerii południa Francji — w zakurzonych drogach, ciemnozielonych cyprysach i w widoku odległych wzgórz. Kilka sekwencji filmu zastało nakręconych w maleńkim Księstwie Monako i w jego okolicach. Pewnego razu — wspominano później — Grace dojrzała ze szczytu wzniesienia coś, co wyglądało na ukryty ogród, niewielki i tajemniczy, otoczony starymi fortyfikacjami.

— Do kogo należą te ogrody? — spytała.

— Do księcia Grimaldiego — odparł John Michael Hayes, autor filmowego scenariusza.

— Słyszałem, że to nadziany gość.

Ludzie zapamiętali też przerażający sposób, w jaki Grace radziła sobie ze sportowym autem w najbardziej widowiskowych scenach filmu. Fabuła wymagała od niej obwożenia Cary'ego Granta po słynnych serpentynach ponad przepaściami Lazurowego Wybrzeża. Podjechała kiedyś tak blisko krawędzi przepaści, że jej partner — jak wspominała w roku 1982 — zrobił się trupio błydy pod swoją opalenizną. Uważała to wówczas za niesłychanie zabawne.

Grace nie miała romansu z Carym Grantem. Tego nie było w kartach Grant — uprzejmy, łagodny i dojrzały — stanowił wprawdzie ucieleśnienie jej ideału męskości, lecz towarzyszyła mu żona, Betsy, Grace zaś była już związana z Olegiem Cassinim. Jednak Alfred Hitchcock i tak nie mógł się powstrzymać od typowego dla siebie, obsesyjnego wręcz rozważania seksualnych relacji między aktorami. Kazał komuś policzyć godziny, które filmowa para spędzała na reżyserowanych przez niego scenach pocałunku. Po dodaniu nieskończenie wielu powtórek uzyskano imponujący wynik: dwa i pół dnia roboczego, czyli dwadzieścia godzin uczciwego całowania się. Hitchcock z dumą udostępnił te dane prasie.

Solidny warsztat aktorski młodej partnerki i jej pewność siebie wywarły na Carym Grancie duże wrażenie.

— Sposób, w jaki Grace grała, przywodził na myśl pływanie John-ny'ego Weissmullera lub taniec Freda Astaire'a — powiedział później. — Sprawiała, że wyglądało to na łatwe. Według niektórych Grace była po prostu sobą. Cóż, dla aktora nie ma trudniejszego zadania niż być sobą.

Grant był zaskoczony, że tak piękna i podziwiana aktorka nie przejawia żadnych cech kapryśnej primadonny.

— Graliśmy scenę, w trakcie której musiałem mocno schwycić walczącą ze mną Frances Stevens za rękę — wspomina. — Przerabialiśmy to osiem, a może i dziewięć razy, bo Hitchcockowi ciągle coś nie odpowiadało. Gdy Grace po raz kolejny wracała za drzwi (od których rozpoczynaliśmy scenę), wówczas przez przypadek zauważyłem, jak ukradkiem rozciera przeguby i krzywi się z bólu. Ale po chwili kręciliśmy dalej; ona nigdy nie narzekała.

Olegowi Cassiniemu nieraz przyszło cierpieć z powodu żelaznego profesjonalizmu jego dziewczyny. Nawet w szczytowym okresie romansu nie dawała się namówić na wieczorne wyjście z hotelu, jeśli na następny dzień zaplanowane były zdjęcia lub praca nad przygotowaniem sceny. Pozostawało jednak sporo dni wolnych. Pewnego wieczoru, gdy zdjęcia plenerowe dobiegały już końca, Grace poszła z Cassinim na skromną kolacyjkę we dwoje. Wybrali małą restaurację rybną, na przystani w pobliżu portu Cannes. Za kilka dni cała ekipa miała ściągnąć z powrotem do Hollywood, aby przez kolejne sześć tygodni pracować nad ujęciami studyjnymi. Grace spoważniała w obliczu tej nieubłaganej rzeczywistości.

— Cóż zatem, panie Cassini — powiedziała, przyglądając się podrygującym na fali łódkom. — Podążałeś za mną przez pół świata, a co masz teraz do powiedzenia? I czy w ogóle masz coś do powiedzenia?

Był to odpowiednik sceny na tratwie, sprzed kilku tygodni. Ale teraz Grace osaczyła Olega.

— Myślę, że dobrze jest, jak jest — Cassini szczerze wyjawiał wariant najbardziej mu odpowiadający: kontynuację. — Ale równie dobrze możemy coś zmienić, jeśli sobie zażyczysz — dodał. Wyczuwając, że Grace oczekuje więcej, dorzucił: — Nie wyłączając małżeństwa. Co o tym myślisz?

Wypowiedział więc wreszcie, trochę tylko ponaglony, deklarację, na którą Grace czekała. — Chcę spędzić z tobą życie — odpowiedziała spokojnie i wzruszająco. — Chcę zostać twoją żoną.

— Będziesz to miała — odparł Oleg Cassini.

Para zamówiła szampana. Później udali się do kasyna, gdzie tańczyli

1 grali; Grace odniosła nawet jakiś mały sukces w hazardzie. Był to magiczny wieczór — pamięta Cassini. — Przepełniała mnie duma i miłość, pozostawałem całkowicie pod urokiem Grace. Jednak już w trakcie owego świętowania projektant z niepokojem zauważył, jak Frances Stevens, pewna siebie, wykształcona, bywała na Riwerze dziewczyna przeobraża się w Gracie Kelly z East Falls — z podnieceniem dyskutującą o przygotowaniach do ślubu: sukni, kościele i temu podobnych błahych szczegółach. Światowy połysk gwiazdy filmowej został stłumiony przez wylewny entuzjazm, rodem z amerykańskich boisk sportowych.

Cassiniego skonfrontowano z tym, czego dotąd nie dostrzegał, bądź nie chciał widzieć: ze zgodnym, uporządkowanym i konwencjonalnym obliczem córki Jacka i Ma Kelly.

Jakaś część Grace rzeczywiście była niezależna i oryginalna; widziała przecież swoją

przyszłość u boku niezwyklej postaci w rodzaju Dona Richardsona czy Philippe'a z Waldorf-Astorii. W końcu zaciągnęła Cassiniego na południe Francji i oddała mu swoje serce w czasie pikniku na tratwie. Teraz jednak Grace wracała do świata reguł — i czyniła to z zadziwiającą łatwością.

— Muszę zaraz napisać do domu — oznajmiła. — Matka będzie po Mojej stronie, na pewno... — Grace dostrzegła jednak pewną trudność: — Może być trochę kłopotów z ojcem. Nie jesteś w jego typie...

Oleg Cassini doszedł później do wniosku, że jego stosunki z Grace — po wypowiedzeniu magicznych słów o małżeństwie — nie

były już nigdy takie same jak przedtem. Szczęśliwa para dzieliła się swoją radością z Grantami i Hitchcockami; wypito wspólnie sporo szampana. Gdy jednak przyszła pora planowania podróży do domu wówczas Grace oznajmiła, że powinni wracać osobno: Oleg samolotem'

bezpośrednio do Nowego Jorku, ona zaś — z resztą towarzystwa — statkiem. Uważała, że musi teraz zachować pozory przyzwoitości, by przekonać rodziców do tego związku.

Cassini odprowadził więc Grace na pokład, złożył pożegnalny po-całunek, powierzył ją opiece Grantów i Hitchcocków, a sam poleciał do Nowego Jorku. Po przybyciu na miejsce stwierdził, że — jak to ujął — „świat się zmienił”. Powodzenie „Okna na podwórze” w kinach od Atlantyku do Pacyfiku uczyniło z Grace Kelly najgłośniejszą gwiazdę Ameryki, a plotki o jej romansie z Cassinim dotarły do kronik towarzyskich wszystkich gazet. Louella Parsons i Hedda Hopper przepowiadały ślub tej pary, miały przy tym nową ocenę sytuacji. Grace nie była już drapieżnym outsiderem, który zagraża żonatym i szczęśliwym gwiazdom — błyskotliwy sukces nobilitował ją do roli niewinnej piękności. Tymczasem Cassini jawił się jako typ wybitnie podejrzany; playboy--włóczęga. Jego roszczenia do serca supergwiazdy rozbudziły podejrzenia zarówno wytwórni filmowej, jak i prasy. Dlaczego — mogąc wybierać spośród tylu atrakcyjnych mężczyzn — zastanawiała się Hedda Hopper — boska miss Kelly wybrała właśnie demonicznego Cassiniego? Powitanie w porcie nowojorskim, w kabinie Grace, było sztuczne i kłopotliwe. Beztraski nastrój Riwiery zniknął bez śladu. Na miejscu znalazły się obie siostry aktorki wraz z komitetem powitalnym, w skład którego wchodził chyba wszyscy agenci prasowi i producenci filmowi Manhattanu. Nieciekawa rzeczywistość objawiła się jeszcze wyraźniej, gdy Cassini zabrał Grace i jej matkę na „zapoznawczy” posiłek.

— A więc jesteśmy razem — skomentował z nerwowym uśmiechem, gdy już usadowili się z tyłu taksówki — cała piekielna trójka.

— Może pan jest piekielny, panie Cassini — Ma Kelly natychmiast wykorzystała okazję. — Lecz nie ja ani moja córka, zapewniam pana.

Drwiny pani Kelly nie były bezpodstawne. Oleg Cassini, kończący w 1954 roku czterdzieści jeden lat, prawosławny, niespecjalnie praktykujący, miał już za sobą dwa rozwody. Jego pierwsze małżeństwo — z Merry Fahrney, dziedziczką znanego syropu na kaszel z Chicago — trwało zaledwie kilka miesięcy. Dłużej wytrzymał z Gene Tierney, dobrze zapowiadającą się hollywoodzką aktorką, której kariera zgasła w latach czterdziestych. Jednak i ten związek nie zakończył się szczęśliwie. Wytworna, dobrze

wychowana, zamożna, o irlandzko--amerykańskim pochodzeniu Gene Tierney wykazywała kilka osobliwych podobieństw do Grace. Fiasko jej małżeństwa z Cassinim nie stanowiło zatem dobrego precedensu. Ma Kelly stawiała sprawę uczciwie.

„... nie widzimy w panu dobrego kandydata na męża córki, panie

Cassini—' oznajmiła bez ogródek. — ...Uważamy, że Grace winna jest sobie samej, swojej rodzinie i parafii powtórne rozważenie tego pomysłu.

Oleg Cassini nigdy nie pozostawiał zniewagi bez odpowiedzi. W młodości, we Włoszech, walczył nawet w pojedynkach. Teraz stawiał czoło Ma Kelly najlepiej jak umiał. Owszem, przyznał, jest rozwodnikiem, jednak pozostaje z Gene Tierney i dziećmi w dobrych stosunkach. Jest przy tym wystarczająco zamożny, by nie być podejrzanym o łowienie posagów, a pieniądze zawdzięcza swojej własnej pracy. Nie wstydzi się reputacji mężczyzny atrakcyjnego dla kobiet.

— Nie ma atrakcyjnych mężczyzn, nie wyłączając pani męża, którzy nie cieszyliby się popularnością u płci przeciwnej — ripostował. — Dlaczego karze mnie pani za sukces? Oleg Cassini jako pierwszy spośród amantów Grace ośmielił się stanąć do zdecydowanej walki z rodzicami dziewczyny. Nie zwiększyło to jednak jego notowań u pani Kelly.

— Proponujemy sześciomiesięczne moratorium — oznajmiła. — Uważamy, że nie powinniście spotykać się w ciągu tego okresu. (...) Grace będzie mogła ocenić, czy to tylko wpływ tej Europy, czy pańskiego uroku lub raczej pana zabiegów...

Grace, którą ledwie tygodnie dzieliły od dwudziestych piątych urodzin, siedziała w trakcie tej wymiany zdań bezwolna i oglupiała; jej kochanek toczył samotną walkę z wrogością rodziców. Nigdy przedtem Cassini nie oglądał tej innej Grace, dziecinnej i nijakiej; teraz nie wierzył własnym oczom. Przecież jeśli rzeczywiście go kochała — a mówiła, że kocha — to przekonywanie rodziców należało właśnie do niej.

Jednak kilka dni później Grace zatelefonowała z Ocean City. Trochę przemyślała całą sprawę. Była zaproszona jako gość honorowy na imprezę Miss America, która miała się odbyć również na wybrzeżu, w Atlantic City. Chciała zabrać Olega w rodzinne strony jako swego oficjalnego towarzysza. Byłoby to jej własne, lokalne potwierdzenie powagi tego związku. Rozmawiała też z matką i zdołała uzyskać lekkie złagodzenie jej stanowiska.

Ojciec pozostał wrogo nastawiony,

jednak Grace — już wraz z matką — skłoniły go do wyrażenia niechętniej zgody na goszczenie Cassiniego przez weekend.

O tym, jak niechętna była to zgoda, przekonał się projektant zaraz po przyjeździe do letniego domu państwa Kellych w Ocean City. Przydzielono mu sypialnię, która była małym, przypominającym celę pomieszczeniem, oddalonym zaledwie o kilka metrów od sypialni rodziców Grace, a więc w zasięgu ich słuchu.

W nocy stanowiła prawdziwą pułapkę — wspomina Cassini. — Wszystkie moje ruchy podlegały łatwej obserwacji.

Znacznie bardziej niezwykle było postanowienie obu panów Kellych — Jacka seniora i Kella — aby nie rozmawiać z Olegiem i starać się nie zauważać jego obecności. Jeśli pozwolili mu przestąpić próg domu, to tylko po to, aby okazać bezmiar swojej pogardy i niechęci.

Po prostu nie chcieli się do mnie odezwać — pamięta Cassini — nawet w odpowiedzi na proste pytania. Kiedyś, gdy poszliśmy popływać, Grace zaproponowała: „Spróbuj, może teraz się uda”. Ale jej ojciec, ilekroć usiłowałem zainicjować rozmowę, patrzył przeze mnie tak, jakbym nie istniał. I nie wypowiedział ani jednego słowa.

Zimna obojętność Jacka Kelly'ego stanowiła stosunkowo łagodną formę protestu. Gdy jego żona po raz pierwszy poruszyła temat przyjazdu Olega Cassiniego na weekend, wówczas reakcją był gwałtowny wybuch. Szydł z projektanta mody, nazywając go „brudnym Włochem”, „mieszkańcem” i „glistą”. Twierdził, że zabiłby drania, gdyby ten ośmielił się wejść do ich domu.

Grace i Ma Kelly zdołały nieco ostudzić podobne zapędy, nie stanowiło to jednak istotnej pociechy dla Olega, głęboko poniżonego doznany przyjęciem. W czasie posiłków bez przekonania usiłował nawiązywać konwersację, lecz żaden z obecnych w domu mężczyzn ani razu jej nie podjął.

Projektantowi narzucało się porównanie z podobnymi scenami w domu Tierneyów dwanaście lat wcześniej. Wówczas Gene spieszyła mu z pomocą: „Nie możecie traktować go w ten sposób!” — krzywała. Ale Grace milczała. Cassini odnosił wrażenie, że jego dziewczyna celowo nie miesza się do rozgrywki, przybierając pozę bezstronnego kibica, a nie osoby, która ją spowodowała. Przykro było patrzeć na tę piękną, odnoszącą sukcesy i (jak się wydawało) dojrzałą kobietę, której reakcje pod wpływem rodziców zostały zupełnie sparaliżowane. To Grace wyglądała na główną ofiarę zaistniałej sytuacji, jednak spoglądając na sprawę pod innym kątem, można było uznać zachowanie Grace za graniczące z sadyzmem. Na co właściwie liczyła? Wszyscy zaciągnięci pod jej sztandar kochankowie — Don Richardson, Claude Philippe, Ray Milland, William Holden i wreszcie Oleg Cassi-nj — byli stawiani w całkowicie beznadziejnej sytuacji; jako mężczyźni żonaci lub rozwodnicy nie mieli żadnych szans w starciu z rodzicami Grace. Przypominali bajkowych zalotników, którzy chcąc zdobyć rękę księżniczki, musieli odpowiadać na nierozwiązywalne zagadki lub podejmować się niewykonalnych czynów rycerskich. Z punktu widzenia teorii Freuda był to rodzaj kompleksu Edypa. Grace zwodziła całe zastępy adoratorów, aby potwierdzić swoje przywiązanie do tego jednego, najważniejszego mężczyzny: ojca.

Oleg Cassini opuszczał Ocean City bardzo przygnębiony. Udręki, których doświadczył, wydawały się całkiem niepotrzebne. Czuł, że nigdy nie zostanie zaakceptowany przez rodzinę Kellych, Grace zaś okazała się zbyt tchórzliwa, by stanąć w obronie narzeczonego. Jego położenie wyglądało na beznadziejne.

Jednak w miarę upływu tygodni Cassini odkrywał w swojej dziewczynie więcej siły ducha, niż mógł początkowo podejrzewać. Prawdą jest, że Grace czuła się zobligowana do przestrzegania „głupiego” — jak je nazywała — moratorium. Po powrocie do Nowego Jorku niechętnie bywała w restauracjach i klubach nocnych lub na imprezach, gdzie fotoreporterzy mogli uwiecznić ją w objęciach Olega. Ciągle wisiał nad nią przymus podporządkowania się regułom wyznaczonym przez rodziców.

Lecz przecież — niezależnie od tych ograniczeń — uważała się nadal za przeznaczoną Cassiniemu. Odmawiała spotkań z kimkolwiek innym. Prawie co wieczór jadali wspólne kolacje w mieszkaniu Grace. Na zmianę zajmowali się gotowaniem w przytulnej domowej

atmosferze. Pewnego wieczoru okoliczności wymogły na Grace wzruszającą deklarację niezależności. Przez całą noc dzwonił telefon — z regularnością i natarczywością, która pozwalała odgadnąć obecność kogoś z rodziców na drugim końcu kabla. Wręcz czuło się wzbierające w Filadelfii gradowe chmury.

— Nie odbierzesz? — zapytał Cassini.

— Nie! — odparła Grace. — Jeśli to sprawa prywatna, to nie chcę wiec z nikim do czynienia, bo jestem już w towarzystwie osoby, na której najbardziej mi zależy. Nie potrzebuję wmawiać z nikim innym. A jeśli to sprawy zawodowe... wówczas na pewno zadzwonią później.

Wystąpienie takie można by uznać za naprawdę odważne, gdyby Grace skierowała je bezpośrednio do rodziców — a nie do dzwoniącego telefonu. Lepsze to jednak było niż nic. W Hollywood, gdzie kończono sceny studyjne do filmu „Złodziej w hotelu”. Grace wynajęła dom, przebywała jednak głównie z Olegiem Cassinim. W Nowym Jorku spędzali dyskretne weekendy w domach przyjaciół Cassiniego z Long Island, takich jak Sherman Fairchild. Tak oto, unikając świata, Oleg i Grace zdołali odbudować tę otoczkę romantyzmu i fantazji, która spowijała ich w południowej Francji. Nieprzyjemne doświadczenia dodatkowo zbliżyły kochanków, a gdy wspomnienia z Ocean City straciły ostrość, wówczas na nowo podjęli spekulacje i marzenia o przyszłości. Pewnego dnia Grace zatelefonowała do Cassiniego.

— Nieważne, co myślą rodzice — oznajmiła. — Tęsknię za tobą. Pobierzmy się.

Po kilku dniach nadszedł list:

Najdroższy,

niecierpliwie czekam na spotkanie z Tobą — teraz, kiedy już wiem, że chcę zostać Twoją żoną. Trzeba, żebyśmy się lepiej poznali; jest mnóstwo rzeczy, które musisz o mnie wiedzieć. Powinniśmy być dla siebie wyrozumiali i nie oczekiwać rezultatów zbyt szybko. Jesteśmy sobie nawzajem niezbędni; trzeba, abyśmy byli z sobą całkowicie szczerzy, zawsze. Po raz pierwszy w życiu czuję się gotowa do przyjęcia miłości i małżeństwa w dorosły, dojrzały sposób.

W zeszłym roku, w listopadzie [był to koniec jej znajomości z Rayem Millandem], uderzyłam głową w mur i wydawało się, że już nigdy nie będę zdolna do takich myśli i uczuć. Żogu dzięki za pracę, która pomogła mi przebrnąć przez ten okres i dzięki Mu za Ciebie. Ale sześć filmów nakręconych w zeszłym roku kosztowało mnie tak wiele — fizycznie i emocjonalnie — że potrzebuję teraz trochę czasu, aby dojść do siebie. Proszę Cię, kochanie, spróbuj to zrozumieć i mi pomóc. Z każdym dniem kocham Cię coraz mocniej, mam nadzieję, że Ty czujesz to samo. Powiedziałaś w którymś momencie, że już mocniej nie mógłbyś mnie kochać. Strasznie mnie to martwi, gdyż żyję nadzieją na stały rozwój naszych umysłów i dusz, naszej miłości do Boga i do siebie nawzajem; nadzieją, że każdy dzień będzie nas zbliżać ku sobie. Kocham Cię i chcę być Twoją żoną Grace.

Uroczyście, stanowczo, nie wahając się przed wspomnieniem Boga — Grace zajęła godne uwagi stanowisko. Była wreszcie gotowa do złamania pewnych zasad i przeciwstawienia się rodzicom — może jeszcze nie całkiem bezpośrednio, lecz najlepiej jak potrafiła. Doszła do punktu zwrotnego; oczekiwała teraz, że śmiałość i zuchwałość



partnera pomogą jej w wybiciu się na niezależność, do której jako dwudziestopięcioletnia kobieta miała pełne prawo. Swoje oba poprzednie małżeństwa Cassini zaczynał od romantycznych „porwań” panny młodej: Grace chciała, żeby po raz trzeci powtórzył ten wyczyn.

Zarysował się plan podobny do proponowanego niegdyś Billowi Holdenowi. Oleg znalazł w Wirginii księdza, dzięki któremu miał zostać przyjęty do kościoła rzymskiego i automatycznie zrzucić brzemię swoich rozwodów. Para miała wziąć ślub kościelny.

Przystąpili wraz z Grace do opracowywania szczegółów skromnej, utajnionej uroczystości. Miała to być — biorąc pod uwagę towarzyszące ich przedsięwzięciu intencje — klasyczna przedślubna ucieczka zakochanych. Gdy jednak wspólnie przeanalizowali twarde realia, których suma nieuchronnie prowadziła do skandalu towarzyskiego — dziewczyna Grace Kelly porwana przez projektanta, dwukrotnego rozwodnika — wówczas odwaga zaczęła ich opuszczać. Wahaliśmy się — wspomina Cassini:— i w ten sposób jedyny odpowiedni moment został stracony.

Dzisiaj, spoglądając wstecz, Cassini obwinia o niezdecydowanie raczej siebie samego. Jego doświadczenia wskazywały, że zerwanie związków z domem panny młodej nie przynosi szczęścia w małżeństwie, raczej wręcz przeciwnie. „Porwanie” Gene Tierney doprowadziło do gorzkich i wyniszczających zmagania z wrogością rodziców, prasy i wytwórni filmowej. Cassini widział, że zapowiada się dokładne odtworzenie tamtej sytuacji.

Grace obiecywała sobie tak wiele po dziarskim błędnym rycerzu, który swoje zaloty rozpoczynał z bukietami czerwonych róż. To jej pocztówka wyciągnęła Cassiniego na południe Francji. To ona wplątała go w ideę małżeństwa podczas rybnej kolacji w porcie Cannes. A później, już w Stanach, zmuszała Olega do banalnych rozmów z matką, milczącej konfrontacji z ojcem i do przygotowywania sekretnego ślubu w stylu Romea ; Julii, który — wnioskuje na podstawie przeszłości — miał być specjalnością jej romantycznego chłopaka.

Jednak własne, bolesne doświadczenia Cassiniego wpłynęły ostatecznie na zamknięcie drogi ucieczki, którą Grace widziała dla siebie w tym związku. Jej kochanek już dwukrotnie realizował podobne fantazje i stwierdzał, że ich następstwa bywają dalekie od oczekiwań. Grace musiała wyzwolić się sama — jeśli rzeczywiście tak jej na wolności zależało.

Oskar!

Nie wszyscy aprobowali zmysłowe pocałunki w usta wymieniane między Grace Kelly i Carym Grantem. Postać kreowana przez aktorkę w filmie „Złodziej w hotelu” była — według opinii wielu widzów — zbyt śmiała i zuchwała.

Zauważa się wzrastającą tendencję — narzekał Carson Kerr w Toronto Star — do przasadanego eksponowania zmysłowego oblicza Grace Kelly.

Zastanawiam się — spekulował Sidney Skolsky w Photoplay — czy aktorka zdawała sobie sprawę z siły swojego S.A.

Zastosowany dwuliterowy skrót sam w sobie był znakiem czasu. Ilustrował niechęć do zbyt otwartej werbalizacji tematów seksualnych. S.A. miało oznaczać seksapil. Jednak zmysłowość, tupet i umiłowanie burzliwego życia stanowiły integralne części portretu Grace Kelly. Bez nich byłyby June Allyson lub Jennifer Jones. Talent Grace polegał na połączeniu sztywnej pozy zawodowych modelek z niepokornym zachowaniem w stylu Jane Russell. Jako Lisa Fremont i Frances Stevens wcielała się w postaci dziewczyn jednocześnie niewinnych i doświadczonych; ta gra przeciwieństw prowadziła do bardzo dynamicznych kreacji aktorskich.

Konformistyczne oblicze Grace znakomicie pasowało do kanonu kobiety lat pięćdziesiątych: reklamowanej przez telewizję uśmiechniętej, kompetentnej małżonki, przedstawicielki klasy średniej, żyjącej na przedmieściu, wiodącej egzystencję umilaną przez najróżniejsze zmechanizowane sprzęty gospodarstwa domowego — owoce powojennej prosperity. Ta modelowa kobieta wyznawała system wartości typowy dla mieszkanki małych amerykańskich miasteczek, choć dom jej znajdował się na obrzeżu metropolii. A zakupy robiła w lokalnych sklepach sieci Hudsona, Bullocka lub Sakowitza — o wyraźnie małomiasteczkowych korzeniach.

Jednak Grace Kelly ożywiła ten podmiejski pierwowzór szczyptą kosmopolityzmu. Pochodziła z Filadelfii, miasta uważanego ciągle za wielką, wytyczającą nowe horyzonty metropolię. I choć zakupy robiła w Saks Fifth Avenue, to przecież coś w jej smaku i zachowaniu wskazywało, że potrafiłaby korzystać z lepszych sklepów. Świat wzorcowej gospodyni domowej z lat zimnej wojny i bomby wodorowej był kształtowany ciągle przez te same wartości, które w poprzedniej dekadzie przyniosły Ameryce wojenne zwycięstwo: dyscyplinę, porządek, dyskrecję, opanowanie. Jednak rewolucja seksualna stała tuż za progiem. Największym bestsellerem wydawniczym roku 1954, obok „Książki kucharskiej Betty Crocker”, była akademicka rozprawa Alfreda Kinseya „Zachowania seksualne kobiet” przedstawiająca z szokującą, kliniczną dokładnością bezmiar przed- i pozamałżeńskich doświadczeń Amerykanek. Wiele spośród opisywanych tam kobiet należało do klasy średniej i szczyliło się dobrym wykształceniem. Rzetelne wywiady Kinseya wykazały, że organizacje charytatywne lub nowe typy rodzinnych samochodów nie wyczerpują wcale zainteresowań kobiety z przedmieść.

Życie Grace dobrze ilustrowało tę dwoistość. Pociągali ją mężczyźni seksualnie doświadczeni; przy tym nieustannie usiłowała pogodzić swoje spontaniczne działania ze staroświeckim światem rodzicielskich błogosławieństw i ślubnych obrączek. We wczesnych latach pięćdziesiątych było absolutnie nie do pomyślenia — jak zauważyła później przyjaciółka Grace, Judy Kanter — aby dziewczyna publicznie dopuściła możliwość robienia „tych rzeczy” dla czystej przyjemności, bez żadnych zobowiązań. „Porządne” dziewczyny czekały do swojej nocy poślubnej — lub utrzymywały, że czekają. Judy Kanter oceniała, że miałyby kłopoty ze znalezieniem wielu dziewic wśród swoich najbliższych przyjaciółek — były to jednak tylko domysły. Seks był czymś, co robili inni i o czym nikt nie mówił.

Powściągliwość ta rzutowała na treść i formę filmów z Hollywood, doglądanych ciągle surowym okiem wewnętrznej cenzury — Kodeksu Produkcji Filmowej. Spraw seksu

można było dotykać tylko w kontekście małżeństwa, a i wówczas jedynie w zawalowany sposób. Marlon Brando i James Dean stanowili ucieleśnienie zbuntowanej zmysłowości — burzącej sztywne reguły epoki Eisenhowera — wśród aktorek nie mieli jednak odpowiedników. Gwiazdki z wielkimi biustami wydawały się nie mieć mózgów. Seks-bomby należały do świata starodawnych stereotypów. Wobec braku ideologii pro, ugującej modę na kobiety niezależne i inteligentne, ambicje aktorek sprowadzały się co najwyżej do drobnych modyfikacji istniejącego kanonu. I wtedy zjawiała się Grace Kelly, zapewniając sobie miejsce ulubienicy i maskotki pokolenia, które właśnie zaczynało wracać w okres duchowej transformacji. Wzorcową żoną z przedmieścia nie dopuściłaby jeszcze podejrzania, że mąż nie w pełni zaspokaja ją seksualnie, jednak lubiła zabawiać się myślami o sobie samej w roli obytej, wielkowiejskiej dziewczyny. Katharine Hepburn poczyniła kilka zdecydowanych kroków naprzeciw podobnym oczekiwaniom, we wszystkich rolach pozostawała jednak sobą — niezależną i skomplikowaną Katharine Hepburn — kimś bardzo trudnym do naśladowania. Tymczasem Grace Kelly jawiła się wielu kobietom jako postać, w którą same mogłyby się przeobrazić.

— Była kimś zupełnie nowym — wspominał jej przyjaciel i agent telewizyjny, John Foreman — i z nikim, ani przedtem, ani potem, nie da się jej porównać. Lansowała nowy sposób bycia, idealnie dopasowany do tamtego czasu. Jej błyskotliwe, eleganckie i pewne aktorstwo nie było niczym specjalnie nowym w dobrze już ugruntowanej tradycji kina — nowatorska była natomiast ta szczególna, „domyślna” zmysłowość. Potrafiła dyskretnie eksponować oblicze kobiety seksualnie doświadczonej — nie naruszając przy tym świeżości i moralnej wiarygodności kreowanej postaci. Nie dziewica — ale i nie latawica. Sposób, w jaki rozwiązywała tę kwadraturę koła, trafiał do serc kobiet w całym kraju. Grace Kelly nie byłaby może idolem dla następnego pokolenia zajętego paleniem biustonoszy. Ucieleśniała jednak tyle swobody obyczajowej, ile tylko jej dekada była w stanie zaabsorbować. A później nawet swingujące lata sześćdziesiąte miały swoje problemy z Jane Fondą.

Kłopot w tym, że o wszystkich tych sprawach pracodawcy Grace z Metro-Goldwyn-Mayer najwyraźniej nie mieli pojęcia. W Grace widzieli jedynie najświeższą blond gwiazdkę zapewniającą dobrą kasę. Oferowali jej podobny zestaw ról, jak swoim innym czołowym aktorkom w ciągu poprzednich trzydziestu lat. Były to więc westerny {Jeremy Rodock ze Spencerem Trącem), dramaty kostiumowe „Quentin Durward” z Robertem Taylorem) i wreszcie, po długich namysłach, nie bez pewnego gderania, aby wyjść nieco naprzeciw aktorce, która swoją grę traktuje zbyt poważnie, zaproponowano jej rolę poetki Elizabeth Barrett Browning w szacownym filmie biograficznym *The Barretts of Wimpole Street* („Barrettowie z Wimpole Street”).

Grace nie potrafiła się entuzjasmować żadną z tych ról — i nie chodziło tu nawet o ich niezgodność z jakimiś sprecyzowanymi poglądami aktorki na własną przyszłość filmową. W końcu to nie ona, lecz Alfred Hitchcock był autorem wizji, która kształtowała bohaterki „Okna na podwórze” i „Złodzieja w hotelu”. Grace wiedziała jednak, do czego jest stworzona.

— Ludzie z Hollywood nadużywali słowa „seks” — oświadczyła brytyjskiemu dziennikarzowi Donaldowi Zecowi w marcu 1955 roku. — Teraz są zdumieni, że pojęcie to można eksponować w zupełnie nowy sposób.

Szczegóły kryjące się za owym sposobem były dla Grace bardziej sprawą instynktu niż chłodnej kalkulacji. Doskonale jednak wiedziała, kim nie jest, w szczególności nie widziała siebie w nijakiej roli bohaterki Quentin Durwarda.

— Całe moje zadanie sprowadzało się do noszenia trzydziestu pięciu kostiumów oraz zadbania o ładny i przestraszony wygląd — tłumaczyła pewnemu reporterowi powody odrzucenia tej roli. — Miało mnie ścigać ośmiu ludzi, poczynając od pewnego starucha, a kończąc na cygańskim wodzu. Instrukcje sceniczne na każdej stronie scenariusza brzmiały: „Chwyta swoją szkatułkę z klejnotami i ucieka”.

Grace należała się przerwa. Filmowanie scen studyjnych do „Złodzieja w hotelu” miało w Hollywood huczny i niezapomniany finał 13 sierpnia 1954. Były to urodziny Hitchcocka. Długoletnia tradycja nakazywała całemu zespołowi zadbać z tej okazji o szampana i potężny tort. Reakcja Hitchcocka była co roku niezmienna: skromne zaskoczenie. Jednak w 1954 obok zaskoczenia pojawiło się coś nowego.

— Szanowni państwo — ogłosiła jego sekretarka, znana z literackiego słownictwa i nienagannej wymowy — czy można państwa prosić do sąsiedniego pokoju na kawałek koguta pana Hitchcacke'a? \*Gra słów. Element humoru tkwi w zamianie ostatniego członu nazwiska reżysera: cock (kogut, slangowo również: penis) na cake (tort). — Przyp. tłum.

Jesień spędziła Grace najpierw w Nowym Jorku, widując się sporo z Olegiem Cassinim, a później w Filadelfii — gdzie grała rolę posłusznej (choć może trochę nieszczerzej) córki. Jak wspomina Judy Kanter było wówczas przyjęte, że dobrze urodzona panna nie powinna w ogóle opuszczać rodzicielskiego domu. Jednak właśnie tam leży sje w głowie Grace zarzucone później plany ucieczki z ukochanym lub postawienia na swoim dzięki zajściu w ciążę. W sporach z MGM potrafiła wykazać bezdyskusyjną niezależność i dojrzałość, jednak konflikty rodzinne, jak zwykle, stanowiły dla Grace twardy orzech do zgryzienia.

Przygotowywała się do opuszczenia mieszkania między szpetnymi płytami Manhattan House i objęcia własnego, eleganckiego i wysokiego apartamentu na Piątej Alei, vis-a-vis Metropolitan Museum of Art. Matka zaoferowała swoją pomoc przy urządzaniu nowego wnętrza, jednak Grace grzecznie odmówiła. Wynajęty przez nią modny na Manhattanie dekorator, George Stacey, specjalizował się w starofrancuskim stylu, który cenila dzięki znajomości z Claude'em Philippe'em i Olegiem Cassinim. Słowniałe jedwabne kobierce, błyszczące meble w stylu Ludwika XV i celowo postarzone kotary wprowadzały do pomieszczeń mglisty, mroczny nastrój. Zestaw George'a Staceya stanowił wygodną mieszankę jakości i dobrego smaku. Po wejściu do salonu można było odnieść wrażenie, że Grace od zawsze mieszka na Piątej Alei. Okazałość jej nowej siedziby pasowała niewątpliwie do „stylu Kellych”, jednak dom ten — podobnie jak kariera jego mieszkanki — promieniował własnym charakterem i uczuciem.

Wkrótce przed Bożym Narodzeniem 1954 roku kreacja aktorska stworzona przez Grace Kelly w „Dziewczynie z prowincji” stała się znana także poza Hollywood. 16 grudnia, w

dziesięć miesięcy po zakończeniu zdjęć, odbyła się projekcja w Nowym Jorku. Chór krytyków był prawie jednomyślny w swoich pochwałach.

Nie zdarza się dzisiaj — zaświadczano w magazynie Cue — osiągnięcie na ekranie filmowym podobnie teatralnej perfekcji.

Bing Crosby zbierał szczególne pochwały za rolę uzalającego się nad swym losem Franka Elgina, jednak nieoczekiwana siła i ostrość gry zaprezentowana przez Grace spotkała się z nie mniej entuzjastycznym przyjęciem.

Kelly rozszerzyła swą skalę artystycznego wyrazu, sięgając do najgłębszych nizin ponurego, przygniatającego zniechęcenia — pisał Archer

Wiristen w New York Post. — Daje temu przedstawieniu wszystko, co może zaoferować wielka aktorka.

Bosley Crowther opisywał w New York Times jej grę jako intensywną i percepcyjną. Dalej ocenił, że Grace wniosła wielki wkład w sukces tego ostrego, gwałtownego i wzruszającego filmu (...) jednego z najznakomitszych i najpełniejszych wyrazu filmów roku.

Dzieło Hitchcocka wprowadzono na ekrany w samą porę, by wiosną następnego roku dać mu szansę ubiegania się o Oscara. Bardzo obiecującą wróżbą był tytuł Najlepszej Aktorki przyznany Grace w styczniu 1955 przez Nowojorskie Koło Krytyków Dramatycznych.

Trudno było teraz znaleźć czasopismo, które nie zamieściło sążnistego artykułu o Grace Kelly, z jej zdjęciem na okładce. Dziennikarze narzekali jednak na trudności ze zdobyciem świeżego materiału. Grace nie zezwoliła wydziałowi reklamy przy MGM na udostępnianie szczegółów swojego życiorysu, odmawiała też odpowiedzi na zbyt osobiste pytania; Co pani nosi w łóżku? było na samym szczycie tej listy. (Pamiętna odpowiedź Marilyn Monroe: Chanel No.5.) Wyciągnięcie z Grace osobistej anegdoty przypominało, jak oznajmił pewien reporter, łupanie granitu wykałaczką. Anonimowy przyjaciel zgadzał się z tą opinią: Anegdota o Grace Kelly? Nie sądzę, żeby Grace pozwalała sobie na coś takiego.

Nieprzenikalność postaci Grace była intrygująca sama przez się i potęgowała tworzony wokół aktorki klimat intelektualnego wyrafinowania.

— Człowiek musi zatrzymać coś dla siebie — mawiała — inaczej życie stałoby się tylko tekstem z czasopisma.

Dietrich lub Garbo pielęgnowały otaczający je nastrój tajemniczości kierowane pobudkami narcystycznymi. Grace Kelly była inna. Jej podejście do życia cechowała nowoczesność myślenia i zdrowy rozsądek. Dziennikarz znający swój fach z pewnością mógł napisać o Grace coś naprawdę ciekawego. W rozmowie z Heddą Hopper była całkiem elokwentna:

— Mam uraz na punkcie telefonów; unikam ich, gdy tylko można. Jako mała dziewczynka uciekałam, żeby uniknąć podnoszenia słuchawki.

— Czy masz jakieś dziwactwa?

— Nie cierpię prowadzenia samochodu... Nie jestem dobrym kierowcą. Pewnie dlatego nie lubię prowadzić...

— Dlaczego nie pijesz alkoholu w czasie pracy?

— Mam skłonność do szybkiego przybierania na wadze, więc w ciągu tygodnia na nic sobie nie pozwalam...

— Czy uważasz, że aktor to dobry materiał na męża?

— Nie. Ale też i nie sędzę, żeby można było znaleźć dobrego męża wśród ludzi spoza branży.

— Czy po ślubie zechcesz kontynuować karierę?

— Nie wiem. Nie chciałabym rezygnować z kariery. Muszę jednak poczekać i dokonać wyboru, gdy przyjdzie na to pora.

Okładka tygodnika Time z 31 stycznia 1955 zapewniła Grace ostafeczne pasowanie na supergwiazdę. Grace Kelly: dżentelmeni wolą lamy — taki tekst figurował pod ładną fotografią aktorki. Artykuł zawierał kilka przenikliwych uwag na temat istoty czaru Grace (in-spiruje dozwolone namiętności) i prostował rozpowszechnione nieporozumienie na temat wielkiej kariery, jaką miała zrobić jeszcze w Filadelfii („nie jest to ani rutynowa aktorka, ani debiutantka”). Całość, zawierająca wypowiedzi różnych ludzi, była prawie bez wyjątku pełna zachwytów, jedynie członkowie rodziny Kellych nie znaleźli nic miłego do powiedzenia.

— Mielśmy nadzieję, że to rzuci — tak skomentowała karierę Grace jej matka.

— Ci ludzie kina — dorzucił ojciec — wiodą bardzo płytkie życie.

— Nie za bardzo odpowiadają mi dziwacy, z którymi Grace się umawia — stwierdził Kell, nawiązując do postaci Olega Cassiniego. — Wolałbym widzieć ją u boku bardziej postawnych mężczyzn. Ale nie mam już na to żadnego wpływu.

Ostatnie zdanie zawierało więcej prawdy, niż sam Kell przypuszczał. Grace nie była już tak niewolniczo przywiązana do „drużyny Kellych”. Miała za sobą sporo czasu spędzonego na układaniu własnego życia; mogła teraz znosić rodzinne docinki, gdyż uwagę jej zaprzętały poważniejsze batalie.

W zeszłym tygodniu — donosił Time — szef produkcji MGM Dore Schary wezwał Grace Kelly do Hollywood, aby zaproponować jej udział w nowym filmie. (...) Obecnie, po dwudniowych rozmowach, aktorka ciągle odnosi się do tych planów z rezerwą. Chłodno oświadczyła, że nie podejmie decyzji przed poznaniem całego, ukończonego scenariusza.

Mijało już prawie sześć miesięcy od ostatniego występu Grace; jej pracodawcy zaczęli tracić cierpliwość. Dore Schary właśnie objął szefostwo produkcji MGM po wielkim Louisie B. Mayerze. Podlegli

mu producenci bez przerwy przedstawiali propozycje odpowiednich — jak uważali — ról dla Grace. Problemy z wykorzystaniem najcenniejszej własności wytwórni były irytujące i kłopotliwe.

Sprawa zaogniła się, gdy wypłynęła kolejna możliwość wypożyczenia Grace. Od początku 1955 roku najgłośniejszym projektem w Hollywood była realizowana przez Warner Bros. produkcja „Olbrzyna” (Giani), filmu reżyserowanego przez George'a Stevensa, w którym wystąpić miał James Dean. W MGM zgodzono się już na udostępnienie Elizabeth Taylor do głównej roli kobiecej. Jednak Taylor powoli wracała do zdrowia po trudnym (cesarskie cięcie) porodzie drugiego syna. Nie było jasne, czy w

kwietniu zdoła pojawić się na planie filmowym. George Stevens, rozważając zastępstwo, najchętniej myślał o Grace, której rola ta przypadła do gustu.

A może — spekulował w swojej rubryce Sidney Skolsky — Grace zwodzi MGM, bo chce zostać wypożyczona do „Olbrzyma” George’a Stevensa?

Louella Parsons skierowała to pytanie bezpośrednio do Dora Schary’ego. Odpowiedź szefa produkcji była bardzo ostra i stanowcza:

— Nie zamierzamy wydawać panny Kelly do „Olbrzyma” ani do żadnego innego filmu.

Wkrótce wraca do MGM. Zgodziliśmy się już na udostępnienie Elizabeth Taylor i wystarczy. Uważamy, że panna Kelly ma względem nas określone zobowiązania. Jakby nie było, to my pierwsi stworzyliśmy jej szansę. Po roli w „Mogambo” posypały się na nią oferty. Ma z nami kontrakt, a grała w zaledwie dwóch naszych filmach.

Przed Grace leżały teraz dwa scenariusze z MGM. Proponowano jej role w Jeremy Rodock, westernie ze Spencerem Trącym i w Something of Value („Coś cennego”), filmie o kenijskim powstaniu Mau Mau, opartym na mającej się ukazać powieści.

Zaakceptowanie którejs z tych propozycji na pewno nie mogło przynieść aktorce ujmy. Jednak Grace oczekiwała od swojego następnego filmu czegoś więcej, nie tylko tego, żeby był dobry — miał być najlepszy. Nie chciała być wpychana w tryby czyjejs maszyny jak ubezwłasnowolniony przedmiot. W życiu prywatnym zmagala się z tym problemem na co dzień — ze zmiennym szczęściem. Jednak w sprawach związanych z karierą zawodową umiała sobie radzić doskonale.

nie mam zamiaru ozdabiać filmu swoją twarzą — deklarowała żarliwie. — Nie dopuszczę do traktowania mnie jak fragmentu scenografii.

Grace skłonna była przyznać, że scenariusze Jeremy Rodock i Something of Value nie zapowiadały złych filmów. Wywiad udzielony przez nią w lutym 1955 wskazał jednak na ostateczne odrzucenie obu pro-pozycji, z których żadna nie była odpowiednia dla mnie, osobiście.

Wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby Grace mieszkała w Hollywood i gdyby podjęła tę decyzję po długim i poważnym spotkaniu z Dore’em Scharym. Ona jednak nie ruszała się na krok z Nowego Jorku, doglądała prac przy urządzeniu nowego mieszkania, a w wywiadach promujących ostatnie, kręcone przez Hitchcocka i Perlberga/Seaton’a filmy dla Paramount propagowała mało pochlebne opinie na temat gustu producentów z MGM. Mozolny spór z rodzicami wokół osoby Cassiniego nauczył Grace pewnej uszczypliwości. Na dodatek, na pewno nie nabrała szacunku dla MGM po ujrzeniu dominującej nad Broadwayem reklamy Green Fire: wydekoltowanego, odzianego w zieleń wampa.

— Ta suknia nawet nie pochodzi z filmu — komentowała pogardliwie.

Wytwórnia MGM odpowiedziała na swój sposób. 26 lutego 1955 roku towarzystwo Loew’s Inc. (nadrzędne wobec MGM) telegraficznie zawiadomiło Grace, że niniejszym „poleca jej” stawić się w biurze Sama Zimbalisty, Jr. (producenta filmu Jeremy Rodock), w siedzibie MGM w Culver City. Gwiazda zlekceważyła to wezwanie i na początku marca otrzymała następny telegram. Tym razem Loew informował aktorkę, że jej kontrakt z wytwórnią został zawieszony. Nie będzie odtąd otrzymywać wynagrodzenia, nie wolno jej

też grać w jakichkolwiek filmach gdziekolwiek na świecie — pod groźbą sankcji prawnych.

Grace przeżywała chwile — raczej pozorowanej — niedoli. Wyznała, że jest zdezorientowana i rozczarowana. Nie wyglądała jednak na zbyt przybitą.

— Obawiam się — oznajmiła — że będę musiała na razie wstrzymać urzędowanie mojego nowego mieszkania.

Dziesięć lat wcześniej zawieszenie byłoby dla Grace równoważne z katastrofą. Dziesięć lat później — nie byłoby w ogóle możliwe. Czasy, w których toczył się jej spór z MGM, stanowiły zmierzch dotychczasowego systemu oddzielnych wytwórni filmowych. Kariera Grace — budowana wokół różnych przedsięwzięć, zarówno pod względem artystycznym jak i organizacyjnym, Hitchcocka oraz Perlberga i Seatona — torowała drogę ku nowemu, „wolnemu” Hollywood,

w którym wytwórnie spełniają funkcję banków służących wzajemnie rywalizującym konsorcjom talentu. Agenci filmowi są w owych konsorcjach odpowiednikami maklerów, filmowe gwiazdy zaś — królów. Grace Kelly była w marcu 1955 roku gwiazdą. Tak naprawdę — to wytwórni MGM zależało na Grace — a nie na odwrót.

Przez Culver City przeszła prawdziwa nawałnica ważnych zebrani i pism wskazując, że wytwórnia wreszcie się ocknęła. Istotny, lecz niewątpliwie rozwiązywalny konflikt jakoś wymknął się spod kontroli. Wytwórnie filmowe zawsze usiłowały walczyć z różnymi aktorskimi przyzwyczajeniami: „humorami”, lenistwem, spóźnianiem się na plan. Jednak o te rzeczy nikt nie mógł Grace Kelly oskarżać. Jej obowiązkowość

1 zdolność do pełnej poświęceń pracy były przysłowiowe. U podłoża sporu leżał w gruncie rzeczy fakt, że Grace traktowała swoją pracę poważniej niż jej szefowie.

Największym błędem MGM było złe wyczucie czasu. Aktorka została w lutym nominowana do Oscara za rolę w „Dziewczynie z prowincji”; ceremonia przyznawania nagród miała się odbyć kilka tygodni później. Ludzie z kręgu Amerykańskiej Akademii Filmowej wskazywali na bardzo duże szansę, jakie Grace miała w swojej kategorii. Było więc całkiem prawdopodobne, że jeszcze przed końcem marca Metro-Goldwyn-Mayer wystąpi w roli tej wytwórni, która zawiesiła kontrakt z Najlepszą Aktorką Roku 1954. Bernie Thau, jeden z mądrzejszych ludzi w MGM, działał szybko. Podczas zebrania kierownictwa w marcu 1955 roku wskazał, że Grace nie wyraziła jeszcze ostatecznego braku zainteresowania rolą w *The Barretts of Wimpole Street*. Proponował pogodzić się z faktem, że aktorka nie zagra w filmie *Jeremy Rodock* i jednocześnie obsadzić ją — wstępnie — w *The Barretts*. Obie strony mogłyby w ten sposób zachować twarz, natomiast zarówno sprawę gry w *The Barretts*, jak i ewentualne inne projekty można by omawiać z Grace później, we właściwym czasie. 21 marca 1955 Dore Schary oficjalnie zakomunikował o anulowaniu zawieszenia.

— Szanujemy Grace — oznajmił prasie. — W tym ważnym momencie, gdy ubiega się o Nagrodę Akademii, zamierzamy zrobić dla niej wszystko, co w naszej mocy.

Taka postawa wytwórni oznaczała pełne zwycięstwo Grace. Zarazem stanowiła uznanie pozycji samodzielnie uzyskanej przez aktorkę w ciągu bardzo krótkiego okresu. Rodziło się pytanie: czy zdobędzie Oscara?

Proces przyznawania Nagród Akademii jest niesłychanie zawiły \_\_\_



uwzględnia politykę poszczególnych wytwórni, opinię publiczną i wreszcie ten specyficzny dla Hollywood, nieodgadniony instynkt stadny wskazujący rzeczy „dobrze widziane” w danym roku. Wszystkie nominowane filmy są z reguły dziełami wybitnymi; czyste talenty aktorskie okazują się więc nie mieć istotnego znaczenia.

Rywalkami Grace w wyścigu do Oscara za najlepszą rolę kobiecą roku 1954 były Judy Garland („Narodziny gwiazdy” *A Star Is Born*), Dorothy Dandridge („Czarna Carmen” — *Carmen Jones*), Audrey Hepburn („Sabrina”) i Jane Wyman (*Magnificent Obsession* — „Cudowna obsesja”). Nominacja Jane Wyman nie budziła specjalnego zainteresowania. Komentowano wielkie szczęście Dorothy Dandridge, która uzyskała nominację mimo kolorowej skóry — działo się to przecież w dekadzie poprzedzającej przyznanie Oscara za najlepsze aktorstwo czarnemu Sidneyowi Poitierowi. Natomiast Audrey Hepburn już raz, w poprzednim roku, zdobyła Oscara w kategorii najlepszej roli kobiecej — za „Rzymskie wakacje” (*Roman Holiday*).

Jako główne konkurentki pozostawały więc Grace Kelly i Judy Garland. Mała Dorothy z Kansas także nie była całkiem bez szans, bowiem w Hollywood uważano ją za „swoją” dziewczynę.

Wielu wskazuje na Judy — pisał Sidney Skolsky 30 marca 1955 roku — ponieważ nigdy jeszcze nie zdobyła Oscara, a podobno już pora.

Natomiast Grace zjednywała sympatię tym, że zaraz po mozolnym wypracowaniu — od zera — własnego, czarującego wizerunku filmowego znalazła dość odwagi, by celowo się zeszpecić i zagrać — niejako wbrew sobie — bezbarwną i przygnębiającą Georgie Elgin.

Ceremonia odbyła się 30 marca 1955 roku wieczorem, na scenie RKO Pantages Theatre. W monologu poprzedzającym wręczanie Oscarów Bob Hope sugerował, że krytycy już teraz zaczynają postrzegać Grace jako „starą wygę” filmową.

— Tyle wam powiem — dowcipkował — że powinni mieć specjalną nagrodę, by uhonorować producenta, który zdecydował się na kręcenie filmu bez Grace Kelly.

Wysiadając z limuzyny przed Pantages Theatre — w atlasowej, sukni wieczorowej w niebieskawym kolorze polarnego lodu — odebrała Grace największą kanonadę fleszów fotograficznych w ciągu całego wieczoru. Nie było porównania z jej pierwszą galową imprezą tego typu, w jakiej wzięła udział u boku Dominicka Dunne'a zaledwie osiemnaście miesięcy wcześniej. Grace uznała teraz, że nie będzie zbyt dyplomatycznie pokazywać się w towarzystwie Olega Cassiniego; jej otoczenie stanowili jedynie Edith Head (która zaprojektowała suknię gwiazdy) i Don Hartman, szef produkcji z wytwórni Paraniount. Judy Garland zaledwie dwa dni wcześniej urodziła syna, Joeya Lufta, nie mogła więc zjawić się na uroczystości. Jednak kamery stacji telewizyjnej NBC czekały w pełnym pogotowiu przed drzwiami jej szpitalnego pokoju — na wypadek gdyby to ona zdobyła trofeum.

Ceremonii przyznawania nagród Akademii Filmowej za rok 1954 nieco zabrakło dramatyzmu. Dla zaoszczędzenia czasu zdecydowano w NBC, że wykaz wszystkich pretendentów do Oscarów zostanie zaprezentowany na początku programu, niczym czołówka filmowa. Dawniej recytowano krótsze listy, ograniczone do nominatów z danej

kategorii, tuż przed przyznaniem odpowiednich nagród. Nowy sposób oznaczał pewne osłabienie elementów niepewności i zaskoczenia.

A jednak gdy William Holden wystąpił do przodu z kopertą zawierającą nazwisko Najlepszej Aktorki, panujące w sali napięcie było wręcz namacalne. Stary rutyniarz Holden, pełen animuszu, choć nie zawsze sympatyczny, gorąco kibicował Grace, tej jeszcze nowej w Hollywood aktorce, dziewczynie o wielkim temperamencie, starającej się zostać ucieleśnieniem kobiecego wdzięku. Nie ukrywał radości, gdy przyszło mu odczytać jej imię i nazwisko — uśmiechał się szeroko przy akompaniamencie radosnej wrzawy i okrzyków „Brawo!” ze strony licznie zgromadzonych zwolenników Grace. Aktorka nie mogła znaleźć właściwych słów.

— Emocje tej chwili — powiedziała tylko — nie pozwalają mi na pełne wyrażenie uczuć. A potem, wobec całej publiczności i milionów widzów telewizyjnych, lodowa piękność wybuchnęła płaczem.

Tymczasem Sid Luft, mąż Judy Garland, nie ukrywał zdegustowania.

„Pieprzone nagrody — mówił, obejmując żonę na trzecim piętrze szpitala, podczas gdy telewizyjni kamerzyści rozłączali sprzęt i zbierali się do domu. — Ty masz swoją w inkubatorze”.

Judy Garland również uważała, że została „ocyganiona”, i nie starała się nigdy czynić z tego tajemnicy; irytowała ją też myśl o Grace Kelly zdejmującej ten pieprzony makijaż i obmacującej MOJEGO Oscara. Po ceremonii otrzymała ponad tysiąc telegramów kondolencyjnych, za

najcenniejszy uznała ten przysłany przez Groucho Marxa: Droga Judyt to jeden z największych rozbojów w dziejach Ameryki.

Teraz, po upływie czterdziestu lat, można zrozumieć, co miał na myśli. A Star Is Bom — a także „Czarna Carmen”, skoro o tym mowa — żyją dziś nadal, jako nieskończenie bardziej aktualne i oryginalne obrazy niż „Dziewczyna z prowincji”. Ten ostatni odbiera się obecnie jako przyciężki i przestarzały. W stworzonej przez Grace kreacji, choć niewątpliwie bardzo wartościowej, dostrzega się brak owej iskry, która rozświetlała inne klasyczne role aktorki. I — czy ośmielimy się to powiedzieć? — Georgie Elgin to postać zwyczajnie nudna. Gdy nowojorscy krytycy dramatyczni dostrzegli w Grace najlepszą aktorkę 1954 roku, to stało się tak za sprawą wszystkich trzech rozpowszechnianych w owym roku filmów z jej udziałem, a więc, obok „Dziewczyny z prowincji”, także „M jak morderca” i „Okna na podwórze”. Jurorzy akademii rozumowali, w pewnym stopniu, podobnie. Tak oto „Dziewczyna z prowincji” — na pewno nie najlepszy film Grace — przyniósł jej Oscara.

Była to cudowna noc. Marlon Brando otrzymał Oscara w kategorii najlepszej roli męskiej za „Na nabrzeżach” {On the Waterfront}; sukces wprowadził go w jowialny nastrój. Radośnie pozował, obejmując Grace ramieniem i całując ją co najmniej dwadzieścia razy, dopóki reporterzy nie wykonali wszystkich potrzebnych zdjęć. Grace także wydawała się czerpać radość z tego przeżycia.

— Nie mogę uwierzyć, że wypowiedzieli moje nazwisko — mówiła i znowu wybuchła płaczem.

Don Richardson oglądał telewizyjny show w Nowym Jorku wraz z przyjaciółmi. Zaraz po zakończeniu transmisji odezwał się telefon — międzymiastowa z Hollywood. Dzwoniła Grace. „Dziękuję ci, kochany” — powiedziała. Był to wieczór uroczystego świętowania i dobrego samopoczucia. Euforii nie mógł rozwiać nawet komentarz Jacka Kel-ly'ego telegrafowany do gazet w całym kraju. Treść tej wypowiedzi można było przewidzieć: — Nie mogę uwierzyć — zapewniał ojciec gwiazdy — po prostu nie mogę uwierzyć, że Grace wygrała. Była ostatnią, spośród czwórki moich dzieci, z którą mógłbym wiązać swoje materialne bezpieczeństwo na stare lata.

„Oto jedyna noc, podczas której cieszy mnie, że palę i piję” — wykrzyknęła Grace, radośnie spoglądając na wesołe towarzystwo, które — już po oficjalnej ceremonii — zgromadziło się wokół niej na przyjęciu w restauracji Romanoff zorganizowanym przez wytwórnię paramount. Sukces Marlona Brando oznaczał zawiedzione nadzieje Binga Crosby'ego, również faworyta w wyścigu do Oscara za najlepszą rolę męską. Jednak piosenkarz, wystrojony we frak, dobrodusznie przepijał do innego odtrąconego nominata, Humphreya Bogarta, przy —jak nazwał to Bogart — „stoliku przegranych”.

Dopiero nad ranem dotarła Grace do swojego domku w Bel Air Hotel. Była sama, Oscar stanowił jej jedyne towarzystwo. Postawiła metalowego człowieczka na toaletce i wyciągnęła się w łóżku tak, by nie stracić go z oczu. Mówiła później, że przez dłuższą chwilę wpatrywała się w tę statuetkę reprezentującą tyle wysiłków, nadziei i poświęceń, w tę kulminację jej dotychczasowego życia i pracy.

— Byliśmy sami — wspominała — tylko ja i on. To było straszne. Nigdy w życiu nie czułam się taka samotna.

Sesja fotograficzna.

Howell Conant, młody, dobrze się zapowiadający fotograf mody, otrzymał zlecenie sportretowania Grace Kelly na okładkę Pho-toplay. Działo się to wiosną 1955 roku, na kilka tygodni przed zdobyciem przez Grace Oscara.

Photoplay był czołowym amerykańskim magazynem filmowym. Jego wydawcy preferowali zdjęcia wyidealizowane — portrety w pełnym świetle, takie, które po oprawieniu w złote ramki zdobią często ściany kinowych holi. Conant dał im dokładnie to, czego oczekiwali. Grace na wykonanej przez niego okładce przypominała postać z nietykalnej ikony. Tło zdjęcia było jasnoróżowe, natomiast cera aktorki perfekcyjnie gładka, jak namalowana farbą w sprayu. Ten alabastrowy wizerunek zdawał się należeć do świata fantazji, leżącego poza zasięgiem śmiertelników.

Jednak Howell Conant czuł, że to nie wszystko. Znajomość z Grace uznał za intrygujące wyzwanie artystyczne. Pod powierzchownością profesjonalnej modelki dostrzegł śmiałość, inteligencję i szczególny rodzaj wrażliwości. Dostrzegł cały kompleks przeciwieństw składających się na jej filmowy image; nabrał przekonania, że musi istnieć sposób fotograficznego utrwalenia tej osobowości, sposób wykraczający poza tradycyjne, szablonowe portretowanie gwiazd filmowych.

Wkrótce pojawiła się przed Conantem szansa na sprawdzenie tych przeczuć. Magazyn Collier's powierzył mu wykonanie serii nieoficjalnych zdjęć, które miały odsłonić prywatne

życie Grace Kelly — nowej sensacyjnej gwiazdy z Filadelfii. Fotograf myślał o podążaniu za aktorką w trakcie jej codziennych nowojorskich wędrówek, co stwarzałoby okazję do wykonania improwizowanych, naturalnych zdjęć.

— „Nie — powiedziała Grace. — Czegoś takiego nie lubię”.

Co Grace lubi — to stało się jasne w kilka tygodni później, gdy spędzała wraz z siostrą Peggy wakacje na Jamajce. Zasugerowała wydawcom Collier's, aby przysłali swojego człowieka i uwiecznili ją w scenerii Karaibów: nurkującą w morzu i zajęłą zbieraniem muszli wzdłuż plaży.

Conant eksperymentował przedtem z fotografią podwodną, co przywiodło mu na myśl szczególny rodzaj pozowania. Chciał, aby Grace wynurzała się z wody z maską nurka na twarzy. Kilka razy podchodzili do tego ujęcia, ostrożnie stąpając na palcach po dnie, aby uniknąć zetknięcia z jeżami morskimi. Grace miała minimalnie umalowane oczy i lekką makijaż (wodoodporne kosmetyki pożyczyła od żony kierownika hotelu). Nagle Conant zrozumiał, że gumowa maska była pomyłką — twarz Grace wcale jej nie potrzebowała. Modelka nurkowała więc i wyłaniała się na powierzchnię oceanu, już bez maski, jeszcze siedem razy i wreszcie — za ósmym razem — bingo! Howell Conant uchwycił moment, na który polował.

Ten portret Grace Kelly, na którym jej głowa — jakby ukształtowana przez rzeźbiarza, mokra i świeża wynurza się z wód Karaibów, zawierał w sobie cały powab zagadkowej urody aktorki. Był ponadczasowy. Mógłby z powodzeniem ozdabiać współczesne galerie sztuki: łabędzia szyja, kropla morskiej wody zamiast kolczyka, a w oczach ten wyraz trzeźwej oceny... albo raczej zachęty? Intrygująca, nieskalana jak otaczający ją ocean, Grace ucieleśnia nie tylko zdrowie i świeżość — z obrazu tego promieniuje erotyzm o wielkiej sile ekspresji.

Później, już poza wodą, Conant wykonał kolejną serię zdjęć. Po raz pierwszy posłużył się urządzeniem do szybkiego, automatycznego przesuwu błony fotograficznej. Był to niedawny wynalazek, wprowadzany do użytku przez fotografów uwieczniających różne dynamiczne wydarzenia, na przykład sportowe. Conant dostrzegł możliwość wykorzystania owej innowacji w swojej pracy portretowej. Fascynował go sposób, w jaki Grace — profesjonalistka do szpiku kości — reagowała na dźwięk migawki.

— Zaczynała się uśmiechać — wspomina — a potem klik, klik, klik; śmiała się i śmiała, coraz mocniej i mocniej. Im więcej aparat trzaskał, tym silniej reagowała.

Howell Conant wrócił do Nowego Jorku i odtąd nigdy już nie musiał szukać pracy. Jego materiał zdjęciowy, opublikowany tego lata

w Collier's, z miejsca stał się sensacją. Siła i świeżość fotogramów Conanta wynosiły je wysoko ponad poziom konwencjonalnych, gładkich zdjęć. Posągowo wyprostowana w kajaku, przemawiająca do obieranej pomarańczy, ubrana w męską koszulę, z włosami niedbale odgarniętymi do tyłu — za każdym razem jawiła się Grace jako postać na wskroś żywa, młoda i wyzwolona, ukazana z całym bogactwem swojego wewnętrznego życia. Statyczne dzieła Conanta można w pewnym stopniu uznać za równoważne ruchomym obrazom Alfreda Hitchcocka. Zdjęcia te rozświetla łagodność, a jednocześnie — nieposkromiona gwałtowność aktorki. Różne wschodzące i uznane gwiazdy tamtej epoki: Janet Leigh, Doris Day, Natalie Wood tłoczyły się wokół Conanta, spragnione

podobnie magicznych wizerunków. Całe zastępy ogłoszeniodawców, od Ponda (kremy kosmetyczne) po East-man-Kodaka, wydeptały ścieżkę do jego studia na Wschodniej Trzydziestej Piątej Ulicy. Wszyscy chcieli butelkować i sprzedawać tę elegancję, styl, czy cokolwiek to było — to „coś” uchwycone przez fotografa w ciągu kilku dni spędzonych z Grace Kelly na jamajskiej plaży.

— Doznałem niemal wszystkiego — wspomina Howell Conant — gdy już dzięki Grace stałem się sławny.

Conant zaczął budować prawdziwą karierę, zarazem był to początek jego niezwyklej współpracy z Grace. Gdy tylko aktorka miała coś do powiedzenia w sprawie wyboru fotografa — a z upływem czasu zdarzało się to coraz częściej — wówczas nalegała, aby to Conant wykonywał jej zdjęcia. On zaś rezerwował zawsze dla Grace dużo więcej czasu niż dla innych klientów, a po sesji zdjęciowej wspólnie przeglądali próbne odbitki stykowe. Opracowywał jedynie wskazane przez nią negatywy, niszczył zaś te, które nie uzyskały akceptacji. Radowała go możliwość pozostawienia tej modelce prawa ostatecznej decyzji. Natomiast Grace pragnęła powierzyć Conantowi kronikę swojego życia.

Howell Conant pochodził z rodziny fotografów-portrecistów. Zarówno jego ojciec, jak i dwaj wujowie — a jeszcze przedtem dziadek — wszyscy byli zawodowcami, właścicielami małych zakładów fotograficznych przy głównych ulicach różnych miast w stanie Wisconsin. Conan-towie utrwalali zwyczajowe ceremonie imigranckiego życia: chrzty, śluby, promocje szkolne. Była to dla Howella szkoła portretowego warsztatu — umiejętnie dawkuj cień, by nie świeciła łysina, zaokrąglił kwadratowy podbródek fotografując twarz nieco z góry.

— Drobne problemy stwarzała jedynie linia szczęki Grace — mówi dziś Conant, wspominając techniczne aspekty pracy z ulubioną modelką — Twarz Grace nie wymagała specjalnych zabiegów; zawsze wysiadała dobrze. Należało tylko zwracać nieco uwagi na kąty. Dwadzieścia centymetrów w tę lub tamtą stronę, w górę lub w dół; to wystarczało, by sfotografować szczękę właściwie.

Łącząc miękkie, delikatny, pełen czaru rysunek z twardą reporterską kreską Howell Conant przerzucał pomost między fantazją a dotykającą rzeczywistością. Pozornie prosta recepta, iż dobry fotograf to taki, który potrafi sprawić, że fotografowany obiekt dobrze wygląda — w połowie lat pięćdziesiątych przyciągnęła do jego studia senatora Johna F. Kennedy'ego. Ambitny młody polityk chciał zgłębić tajniki dobrej i złej prezentacji swojej twarzy. Spędził więc wiele godzin na fotografowaniu się w różnych pozach i na studiowaniu odbitek stykowych. Sesje u Conanta pomogły Kennedy'emu w opracowaniu owego zdecydowanego, skośnego spojrzenia na środkowy plan, które symbolizowało później jego osobisty styl — i które skrywało fakt nieładnie bliskiego osadzenia oczu słynnego polityka.

To samo uczynił Conant dla Grace. Aby osiągnąć sukces, odpowiednio się sprzedać i w latach sławy móc liczyć niemal na wszystko — należy zadbać o swój wizerunek. Natura wyposażyła Grace we wszystkie składniki urody; dzięki ciężkiej pracy nad sobą aktorka nauczyła się właściwie je wykorzystywać. A jednak składniki te złożyły się w naprawdę harmonijną całość graficzną dopiero po przejściu przez obiektyw Conanta. Mówiąc o

Grace Kelly, jako jednej z klasycznych twarzy tamtej epoki, ludzie myśleli z reguły o którymś ze zdjęć Howella Conanta.

Sam fotograf był dobrze zbudowanym, zdecydowanym i bardzo atrakcyjnym mężczyzną. Nieuchronnie rodziło się pytanie o naturę jego znajomości z Grace. Niektórzy znajomi aktorki nie wykluczali wakacyjnego romansiku. Przystojna młoda para zetknięta przez los na karaibskiej wyspie? Czy mogliby pozostać dla siebie obojętni? Jednak Conant zaprzecza.

— Byłbym szczęściarzem — powiada na swój rycerski sposób nie całkiem negujący sensowność podobnych spekulacji. Jednak intymnością, na której naprawdę Conantowi zależało, były te chwile, gdy zespałał się z aktorką, a później księżną, poprzez wizjer aparatu fotograficznego — dosłownie tysiące razy od 1955 roku do śmierci aktorki w dwadzieścia siedem lat później. Były to magiczne momenty ulotnego, a zarazem ponadczasowego sprzężenia między fotografem a jego modelką — momenty, których przeżywanie stawało się później udziałem milionów.

Z Jamajki Grace wróciła na krótko do Nowego Jorku — tylko po to, by prawie natychmiast wyruszyć w dalszą podróż, na południe Francji. Rola zdobywczyni Oscara była całkiem przyjemna; Grace została zaproszona do przewodniczenia amerykańskiej delegacji na festiwal w Cannes. Oznaczało to bardzo duży zaszczyt i minimalną ilość związanych z nim obowiązków. Tak więc w maju 1955 roku Grace po raz drugi w swoim życiu znalazła się na Riwierze. Minęło dokładnie jedenaście miesięcy od zakończenia pracy nad „Złodziejem w hotelu”.

W 1955 roku Festiwal Filmowy w Cannes stanowił już najbardziej olśniewające widowisko handlowe świata. Impreza ta, mająca początkowo stanowić przeciwwagę dla festiwalu weneckiego (pomysłu Mus-soliniego), właśnie zaczynała go przyćmiewać — do czego w znacznym stopniu przyczynił się incydent z poprzedniej wiosny. Robert Mitchum, który wraz z żoną przybył na uroczysty lunch z okazji otwarcia festiwalu w 1954 roku, przeżył niecodzienną konfrontację z seksowną francuską gwiazdką, Simone Sylva. Aktorka podeszła do niego i bezwstydnie pozbyła się górnej części bikini. Podnieceni tym spektaklem fotografowie zachęcali pana Mitchuma, by wyciągnął ręce i ratował skromność panny Sylva (która do skromnych raczej się nie zaliczała). Niektórzy twierdzili potem, że pan Mitchum przytrzymał dłonie nieco dłużej, niż nakazywałby czysty obowiązek. Fotograficzny zapis tego wydarzenia obiegił prasę całego świata i ugruntował ową beztroską, pachnącą olejkami do opalania atmosferę, która towarzyszy festiwalowi w Cannes po dziś dzień.

Jednak wówczas, w 1954 roku, organizatorzy uznali incydent za bardzo kłopotliwy. Większość z nich należała do tej francuskiej szkoły myślenia, która traktuje le cinema z pietyzmem absolutnie niepojętym dla normalnego Amerykanina. Z irytacją wzywali więc pannę Simone Sylva do natychmiastowego opuszczenia Cannes. A w 1955 roku podjęli rozważną decyzję zaproszenia Grace Kelly w roli przewodniczącej delegacji z Hollywood.

— Uważali, że ma królewski styl i klasę — wspomina stary przyjaciel

Grace, Rupert Allan — a właśnie tego wówczas potrzebowali, po przeżyciach z poprzedniego festiwalu.

Allan bywał w Cannes co roku. Łagodził stosunki między odwiedzającymi festiwal Amerykanami i francuskimi organizatorami. Ponadto był kimś w rodzaju nieoficjalnego doradcy reklamowego Grace. Funkcje te znakomicie predestynowały go do roli pośrednika, mającego skłonić aktorkę do zaakceptowania oferty Francuzów.

— Zatelefonowałem do niej, do Nowego Jorku — wspomina — i zagwarantowałem, że będzie mogła dowolnie przedłużyć swój pobyt, jeśli tylko zgodzi się na wyjazd do Cannes. Miała otrzymać bilet „otwarty”, bez sprecyzowanej daty powrotu, a w Europie właśnie była wiosna.

Poprzedniej wiosny Grace zorganizowała sobie na Riwierze miłosną przygodę z Olegiem Cassinim. Później nastąpiło jedenaście bolesnych miesięcy, w trakcie których próbowała przełożyć wakacyjny romans na realia codziennego życia; nie pozostawało to bez wpływu na jej działalność zawodową. Bezpośrednio po zdobyciu Oscara Grace ciągle usiłowała wypracować jakiś modus vivendi dla swoich stosunków z wytwórnią MGM; miłość i romantyzm nie zaliczały się wówczas do spraw dla niej najważniejszych.

Nie zaliczały się, jednak same Grace odnalazły. Tak się złożyło, że w Cannes przebywał wówczas Jean-Pierre Aumont. Gdy tylko usłyszał

o przyjeździe swojej dawnej dziewczyny, natychmiast wyruszył na poszukiwania.

— Znalazłem ją na pewnym przyjęciu — pamięta. — Tłum ważnych osobistości nie miał dla mnie żadnego znaczenia; dostrzegałem jedynie Grace. To było jak magia. Ucieszyła się na mój widok tak samo, jak ja ucieszyłem się widząc ją. Zupełnie tak, jak gdybyśmy spotykali się

i zakochiwali w sobie po raz pierwszy.

Grace znowu pływała na tratwie, znowu delectowała się mokrym piaskiem, czerwonym ochrowym pyłem, długimi celebrowanymi lunchami w ocienionych winoroślą restauracjach na zboczach wzgórz — tymi wszystkimi cudownymi detalami, które tworzą romantyczny nastrój Lazurowego Wybrzeża. Radość z ich powtórnego odkrywania nie ustępowała przyjemności, której dostarczyło Grace spotkanie dawnego znajomego.

Jean-Pierre Aumont, niedbały i swobodny, nastrojony był o kilka tonów niżej od Olega Cassiniego. Nie eksponował tak swojego dostojeństwa. W koszulce w białe i niebieskie pasy i płóciennych butach na sznurkowej podeszwie przypominał prostego marynarza. Jean-Pierre i Grace byli nie tylko kochankami, lecz i starymi przyjaciółmi. Jakiś fotograf prasowy uchwycił ich kiedyś gawędzących przy lunchu, zajętych sobą i nie zwracających uwagi na resztę świata: głowa przy głowie, palce splecione, wiaderko z lodem w zasięgu ręki.

— Jestem głęboko zakochany w Grace Kelly — powiedział kiedyś w zaufaniu Jean-Pierre francuskiemu dziennikarzowi Bernardowi Va-liry'emu, a siedząca obok Grace szczęśliwym uśmiechem potwierdziła to wyznanie.

Aktorka zdecydowała się skorzystać z oferty Ruperta Allana i spędzić we Francji nieco czasu po zakończeniu festiwalu. Miała pojechać z Jean-Pierre'em do Paryża i poznać tam jego rodzinę. W końcu w Europie była wiosna.

Jeden z festiwalowych obowiązków Grace wyglądał na dosyć uciążliwy. Kiedyś przy lunchu wymknęła się jej uwaga, iż będzie zmuszona odwołać zaplanowane na następne popołudnie spotkanie z księciem Monako Rainierem, które miało się odbyć w jego pałacu, o jakieś dziewięćdziesiąt minut jazdy wzdłuż wybrzeża od Cannes. Chodziło o sesję fotograficzną dla francuskiego magazynu Paris Match: spacer po pałacowych ogrodach i uściśnięcie książęcej dłoni. Jednak plany Grace na wczesny wieczór owego dnia przewidywały festiwalowe przyjęcie w Cannes, a bezpośrednio przed nim — wizytę u fryzjera. Z czegoś należało zrezygnować.

Jean-Pierre był wstrząśnięty.

— Grace — wykrzyknął — nie wolno ci tego zrobić! Rainier jest panującym księciem. Przyjęłaś zaproszenie. Teraz nie możesz mu po prostu oznajmić: „Idę do fryzjera”.

Pomysł ściągnięcia Grace do Monako zrodził się w głowie Pierre'a Galante'a, dziennikarza Paris Match. Ustalił wraz z wydawcą, że mogłaby w ten sposób powstać interesująca modyfikacja corocznej „festiwalowej” okładki magazynu. Galante był człowiekiem z fantazją, w typie Johna Robiego. W latach wojny zawód reportera służył mu jako przykrywką do działalności w ruchu oporu; organizował ucieczki Żydów i przeciwników faszyzmu z Petainowskiej Francji. Właśnie zakończył ślubem swoje starania o rękę poznanej na Festiwalu Filmowym w Cannes Oli vii de Haviland. Liczył na pomoc żony-aktorki w przekonaniu Grace do pomysłu zamieszczenia na okładce jej zdjęcia z księciem.

Udało mu się wpłynąć na przydział rezerwacji sypialnych w „Błękitnym Pociągu” z Paryża do Cannes tak, aby podróżować wraz z żoną w tym samym wagonie co Grace. Obie panie nie znały się przedtem, jednak łączyła je filmowa sława. W pobliżu Cannes trasa kolei wiedzie przez malownicze nadmorskie okolice; mija się małe tunele i plaże przykryte dachem różnokolorowych parasoli. Właśnie wtedy, gdy za oknami rozpościerał się widok na połyskujące wody Morza Śródziemnego, Galante przedstawił swój plan sesji zdjęciowej z księciem Monako. Grace, jak prawdziwa gwiazda, zareagowała grzecznie i niezobowiązująco. Nie powiedziała ani tak, ani nie. Galante zaś, jak prawdziwy dziennikarz, natychmiast po wyjściu z pociągu zatelefonował do pałacu w Monako i ustalił dokładną datę wizyty.

W dniu spotkania Grace wstała późno i czuła się trochę postawiona pod murem. Nie miała specjalnej ochoty na jazdę do Monako, jednak uznała, że raz jeszcze musi zachować się jak grzeczna dziewczynka. Umyła włosy i skonstatowała, że suszarka nie działa. Od kilkunastu godzin trwał strajk energetyków francuskich. Niestety oznaczało to również, że pokojówka nie zaprasuje fałdów na eleganckiej sukni, którą Grace już dawno upatrzyła sobie na „książęcą” okazję. Jedyłą nie zmiętą kreacją w jej szafie była wieczorowa sukienka z błyszczącej czarnej tafty zadrukowanej wzorem w kształcie wielkich, różowych i zielonych, róż stulistnych. Judy Kanter nieraz wyśmiewała ten strój, utrzymując, że Grace wygląda w nim jak gruszka. Ale nie chodziło przecież o uroczystość wręczania Oscarów, lecz jedynie o zwykłą sesję zdjęciową dla jakiegoś francuskiego pisma.

— Nie zanosz się na to — powiedziała Grace swojej przyjaciółce po powrocie do Stanów — aby kiedykolwiek ktoś sięgał do tych zdjęć.



Pierre Galante, gdy ujrzał Grace w holu hotelowym, nie miał zastrzeżeń do sukienki, stwierdził jednak, że niezbędny jest kapelusz. Nie wypada, tłumaczył, aby dama ścisnęła książeczkę dłoń nie mając niczego na głowie. Grace pospieszyła więc z powrotem do pokoju, by zaimprovizować rodzaj wianka ze sztucznych kwiatów wplecionych w swoje zwyczajnie uczesane i ciągle jeszcze mokre włosy. Dziki, swawolny wygląd znakomicie pasował do sesji zdjęciowych na Karaibach, lecz tego dnia chodziło o całkowicie odmienną okazję. Tymczasem Grace raz już o mało nie zrezygnowała z całego przedsięwzięcia, wyżej ceniąc sobie wizytę u fryzjera, teraz natomiast wybierała się do księcia z mokrym bałaganem na głowie.

Gdy wreszcie Grace wraz Galante'em opuszczali Cannes wielkim studebakerem, specjalnie wynajętym na tę okazję, ich program nie dopuszczał już żadnych opóźnień. Mieli niecałą godzinę na dotarcie do Monako. Wydawało się, że zdążą, gdy nagle jadący z tyłu peugeot wypełniony fotografami z Paris Match bezceremonialnie uderzył w tył wynajętego samochodu. Kierowca peugeota nie dojrzał świateł hamowania studebakera; stracono kolejnych dziesięć cennych minut. 6 maja 1955 roku był dniem prawdziwej próby dla łagodności charakteru i profesjonalizmu Grace Kelly.

Księstwo Monako zajmuje czterysta osiemdziesiąt dwa akry, czyli niecałe dwa kilometry kwadratowe. Książęta z rodu Grimaldich panowali niegdyś nad całkiem sporym fragmentem Riwiery. W 1861 roku zostali jednak zmuszeni do zrzeczenia się większości swoich terytoriów na korzyść Francji i odtąd władza ich rozciąga się jedynie na skupione tuż przy sobie: malowniczy port, pałac i kasyno.

Francuskojęzyczne i obracające francuską walutą Monako, dzięki serii skomplikowanych umów i protokołów usankcjonowało formalnie swój dziwaczny status w cieniu silnego sąsiada. Jednak wówczas, 6 maja 1955 roku, najważniejszym aspektem tego statusu był — dla spieszącej z Cannes ekipy Paris Match — brak formalności granicznych, które mogłyby opóźnić zaplanowane na trzecią po południu spotkanie z Jego Książecą Wysokością Rainierem III. Już z daleka, zbliżając się do portu, wszyscy widzieli osobistą flagę księcia powiewającą z fortyfikacji wokół różowego pałacu na skale.

Minęła trzecia po południu i Grace doskwierał pusty żołądek — nie zjadła przyzwoitego śniadania ani lunchu, choć nie była aż tak przerażona mającym nastąpić spotkaniem, by zrezygnować z posiłku. Galante skierował więc swe samochody do Hotel de Paris, białego, przypominającego tort weselny hotelu obok kasyna, i pobiegł do baru po kanapkę dla Grace. Aktorka pospiesznie jadła przekąskę, rozsypując okruszki we wnętrzu samochodu, a Galante prowadził samochód szosą wspinającą się po skalistym zboczu i gorączkowo obmyślał usprawiedliwienie tego spóźnienia.

Nie musiał sobie zadawać trudu. Książę przebywał ciągle w Cap Ferrat, w swojej nadmorskiej willi, gdzie zabawiał zgromadzone na lunchu towarzystwo.

„Myślę, że to niezbyt grzecznie, kazać nam czekać — narzekła Grace, myśląc o obowiązkach reprezentacyjnych, które miała do spełnienia wczesnym wieczorem w Cannes. — Wyjeżdżajmy stąd!”

Panna Kelly była wyraźnie rozdrażniona w to majowe popołudnie, gdy wreszcie, krótko po czwartej, nadeszła pora uściśnięcia dłoni księcia Monako Rainiera III. Fotografie ukazują rozbijającą uśmiechniętego, niskiego, tęgawego, niezbyt książęco

wyglądającego księcia w niebieskim garniturze o wатовanych ramionach, z naszywanymi kieszeniami i klapami, w okularach przeciwsłonecznych. Jego Książęca Wysokość — trzydziestojednoletni, nieżonaty — był w widoczny sposób zachwycony możliwością poznania pięknej blond gwiazdy, jednak nie widział najmniejszego powodu, by usprawiedliwiać godzinne spóźnienie.

Czy panna Kelly nie zechciałaby zwiedzić oficjalnych apartamentów państwowych?

Wiadomość, że panna Kelly zaliczyła już ten punkt programu w oczekiwaniu na spóźnionego gospodarza, wcale nie zbiła księcia z tropu. Zaproponował wizytę w swoim prywatnym zoo, gdzie można było podziwiać, jak wkłada ręce do jednej z tygrysiich klatek i jak pieści wielkie zwierzę niczym domowego kociaka.

Później, opowiadając o swojej wizycie w Monako, Grace poświęcała wiele uwagi stosunkom księcia z jego dzikimi zwierzętami. Dostrzegła w tym przejaw jakichś egzotycznych, tajemniczych, prawdziwie książęcych zdolności. Było też zaskakujące, że Rainier mówił absolutnie bezbłędna, piękną angielszczyzną bez śladu obcego akcentu.

Jak się okazało, w dzieciństwie miał angielską bonę, chodził też w Anglii do państwowej szkoły. Zakończenie wizyty było znacznie bardziej serdeczne niż jej początek.

Jednak Grace nie omieszkała trochę ponarzekać. W rozmowie z Ru-pertem Allanem całą wyprawę uznała za czasochłonną i kłopotliwą niewspółmiernie do ewentualnych korzyści.

Oznajmiła, że jeśli ma w przyszłości robić podobne rzeczy, to chce je robić dobrze.

— Jak było? Jak ci się podobał książę? — niecierpliwie pytał Jean--Pierre Aumont wieczorem, gdy już kochankowie znowu byli razem.

— Uroczy — odparła Grace. — Myślę, że jest naprawdę uroczy.

I zamilkła. Bo cóż więcej można powiedzieć o jeszcze jednej sesji zdjęciowej?

Łabędź.

Grace Kelly i Jean-Pierre Aumont nie taili przed światem swojej radości z powtórnego romansu. W Paryżu, dokąd udali się po zakończeniu Festiwalu Filmowego w Cannes, zajęli dwa sąsiednie pokoje w Raphael Hotel. Wspólnie — i całkiem publicznie — zaatakowali wspaniałości i rozrywki stolicy Francji. Aumont był tu u siebie; z dumą przedstawiał Grace swoim przyjaciółom i kolegom, takim jak Jean-Louis Barrault, francuski Laurence Olivier. Jean-Pierre był człowiekiem impulsywnym, optymistą i chętnie zapełniał swój umysł najróżniejszymi wspaniałymi planami na przyszłość. Plany te dotyczyły również Grace, z którą pragnął spędzić resztę życia.

— Dla mężczyzny zakochanego w takiej kobiecie jak Grace Kelly — oświadczył kiedyś dziennikarzom — małżeństwo jest marzeniem oczywistym.

Wypowiedzi Grace cechowała podobna wylewność.

— Cudownie było odkrywać Paryż u boku Jean-Pierre'a — oznajmiła dla prasy 18 maja, po przylocie do Ameryki. Nie dostrzegła żadnych przeszkód, by poślubić Francuza.

— Miłość nie ma nic wspólnego z obywatelstwem — twierdziła. Nawiązując do kariery Aumonta, rozwijanej po obu stronach Atlantyku, mówiła, że nie ma żadnych oporów, by podążyć jego śladem. — Byłabym bardzo szczęśliwa — powiedziała — dzieląc swój czas pomiędzy Stany Zjednoczone i Francję.

W głowie Grace powoli układały się elementy nowego scenariusza. Miłość w naturalny sposób kojarzyła się jej z małżeństwem, tym bardziej że Jean-Pierre szczęśliwie był

stanu wolnego — jako wdowiec nie uwikłany w żadne rozwodowe zaszłości. Pod koniec pobytu w Paryżu

Grace miło spędzała czas z dziewięcioletnią Marie-Christine, córką Aumonta i aktorki Marii Montez, zmarłej cztery lata wcześniej. Wszystko nie byłoby takie skomplikowane, gdyby Jean-Pierre był katolikiem, a nie Żydem. Grace pamiętała, co kiedyś powiedział jej ojciec: „Już wolałbym dla ciebie czarnucha niż Żyda za męża”. Jednak rok wcześniej Jack Kelly zaakceptował wreszcie żydowskiego chłopaka swojej najmłodszej córki, Donalda Levine'a, który chodził z Lizanne jeszcze w czasach nauki w college'u. Za miesiąc miał odbyć się ślub, z Grace w roli jednej z druzhen. W maju 1955 aktorka leciała do Stanów z wiadomością, że istnieją dla taty widoki na kolejnego żydowskiego zięcia. — Zaręczyliśmy się — wspomina Jean-Pierre Aumont. — Wprawdzie nie oficjalnie, ale podjęliśmy wzajemne zobowiązanie. Chcieliśmy się pobrać.

Powtórzenie wydarzeń z poprzedniego lata było zupełnie niesamowite: romans na Riwierze, nieoficjalne zaręczyny, czarujący i niekonwencjonalny śródziemnomorski kochanek. Po powrocie do domu Grace przekonała się, że wszystkie reakcje również ludzko przypominały te sprzed roku. Reporterzy przeprowadzali napastliwe wywiady, pisano pełne dezaprobaty felietony na poświęconych ploteczkom szpaltach gazet, w wytwórni filmowej zaś nie wyrażono najmniejszego entuzjazmu dla jej najnowszego romansu. Co najgorsze jednak — rodzice stwarzali nie kończące się trudności. Inna sprawa, że Grace mogła już się tego spodziewać.

— Rozpętały piekło na ziemi — pamięta Jean-Pierre Aumont. — Grace uprzedzała mnie, że są bardzo surowi, zwłaszcza ojciec.

Kochankowie stali przez Atlantyk listy; rujnowali się na kosztowne i opóźnione połączenia telefoniczne przez Atlantyk. Nastąpiła jesień, zanim Jean-Pierre mógł przyjechać do Stanów. Wówczas było już jasne, że właściwy moment minął — róża przekwitła. Aumont wspomina, że wytoczono przeciw niemu zbyt wiele argumentów.

— Byłem Żydem, Francuzem i na dodatek miałem małą córeczkę. Francuski gwiazdor trzeźwo spojrzał na piętrzące się przeszkody i musiał stwierdzić — jak niegdyś Oleg Cassini — że nie da rady sam wtaczać głazu pod górę. Grace wprawdzie nie zgłaszała chęci wycofania się z wcześniejszych zobowiązań, jednak teraz, w domu, już nie była mu tak bezgranicznie oddana jak we Francji. Sytuacja wymagała zdecydowanych i ostatecznych działań, a tych ze strony Grace próżno było wyglądać.

— Sporo rzeczy — mówi dziś Jean-Pierre — nie układało się jak należy... W każdym razie, zarówno ja, jak i Grace, byliśmy całkowicie zadowoleni ze sposobu zakończenia tej sprawy. A wreszcie — Aumont uśmiecha się filozoficznie — najlepszym należy się najlepsze.

— Grace, kochanie — spytała przy okazji Ma Kelly, słysząc o planowanej podróży Jean-Pierre'a do Ameryki — czy nie powinnam zaprosić pana Aumonta do złożenia nam wizyty w Filadelfii?

— Zrób jak uważasz, mamó — spokojnie odparła Grace.

— Wtedy już wiedziałam — wspominała później pani Kelly — że córka nie ma zamiaru go poślubić. Czekala ciągle na swojego księcia.

To ostatnie, przenośne stwierdzenie było niewątpliwie inspirowane znajomością późniejszych wydarzeń. Wówczas bowiem, późnym latem 1955 roku, Ma Kelly wiedziała tylko tyle, że przy okazji pobytu w Cannes jej córka uczestniczyła w krótkim, oficjalnym spotkaniu z księciem Monako.

A jednak — o czym nie wiedziała ani matka Grace, ani nikt inny — za tamtym przelotnym spotkaniem kryło się więcej, niż aktorka skłonna była wówczas przyznawać. Wywiady udzielane w 1989 roku amerykańskiemu pisarzowi Jeffreyowi Robinsonowi stały się dla księcia Rainiera okazją do ujawnienia — po raz pierwszy — że uścisk dłoni z 6 maja 1955 zapoczątkował jego wymianę listów z Grace Kelly. Korespondencję tę utrzymywali w tajemnicy. Okazuje się, że Grace, jako dobrze wychowana dziewczyna, w kilka dni po pamiętnej sesji zdjęciowej wysłała do księcia list z podziękowaniem. Rainier był więcej niż szczęśliwy odpisując atrakcyjnej aktorce. Pozostawał ciągle pod wrażeniem jej opanowania i wolnej od gwiazdorskiego zmanierowania osobowości.

— Byłem mile zaskoczony — tłumaczył później. — Opinia o niej, jaką wyrobiłem sobie na podstawie oglądanych filmów i publikacji prasowych, zupełnie nie przystawała do rzeczywistości.

Naturalną kolejną rzeczą Grace odpowiedziała na list Jego Wysokości — i tak u szczytu lata 1955 roku została nawiązana regularna korespondencja.

Grace była chętną autorką listów, a raczej krótkich, pospiesznych, niezbyt głębokich notatek. Rozsyłała je do znajomych — skreślone okrągłym, dziecinnym pismem stanowiły świadectwo szczerych uczuć nie zawsze umiejętnie przelanych na papier. Natomiast Rainier był doskonałym i ujmującym korespondentem. Biegłe władał zarówno francuskim jak i angielskim, przy czym to, co pisał, było mądre, bardzo osobiste i rozbrajająco szczerze — znikła owa ostrożność wyczuwalna w bezpośredniej rozmowie. Nieśmiały w życiu., Rainier ożywiał się na stronach swoich sążnistych, lecz bezpretensjonalnych i łatwych w czytaniu listów. Kreował w nich uroczą atmosferę, porównywalną z trzymaniem słuchacza za rękę w trakcie rozmowy. Grace wkrótce mogła uważać, że zna swojego księcia całkiem dobrze.

Lato roku 1955 stanowiło w życiu Grace okres przełomowy. Romans z Jean-Pierre'em Aumontem zniszczył te same co zwykle przeciwności, a znajomość z Olegiem Cassinim straciła dawny blask. Oscar doprowadził jej karierę zawodową do punktu, z którego niełatwo było piąć się wyżej — a oto zjawiał się jeszcze młody, chętny do zalotów książę. Judy Kanter była pod wrażeniem dziwnego połączenia niepokoju wewnętrznego i zadowolenia z losu, jakie odkryła u swojej przyjaciółki podczas spotkania we wrześniu tego roku.

Grace zaprosiła Judy do swojego mieszkania przy Piątej Alei stwierdzając, że musi z nią porozmawiać. Po raz pierwszy w ciągu ich dwuipółletniej znajomości powiedziała, że czegokolwiek potrzebuje. Tłumaczyła przyjaciółce, że od powrotu z Francji stara się poświęcać coraz więcej uwagi różnym zwyczajnym sprawom, nie mającym związku z karierą. Usiłowała skoncentrować się na kontaktach z rodziną; pomagała Lizanne w przygotowaniach do ślubu. Spędzała długie, leniwe weekendy w Ocean City, znajdując radość podczas zabawy z Mag i Mary Lee, córeczkami Peggy, w Nowym Jorku zaś lubiła towarzystwo Carolyn Scott, teraz już mężatki, matki dwóch małych dziewczynek.

Wszystko to zmuszało Grace do refleksji. Sally Parrish była w ciąży. Bettina Thompson miała trzyletnie dziecko. Zbliżały się czwarte urodziny Lindy, córki Maree Frisby. Przyjaciółki wkraczały w nowy okres życia. Grace nie mogła powstrzymać łez, gdy przejrzała listę swoich rówieśniczek. Praktycznie wszystkie były już młodymi matkami. — Chcę tego wszystkiego — powiedziała do Judy Kanter. Później spojrzała przeciągle na przyjaciółkę, niepewna, czy można powierzyć jej coś bardzo, bardzo prywatnego. I wreszcie ujawniła swój prawdziwy problem: — Jednak chcę jeszcze więcej.

Grace Kelly oddawała się bez reszty pracy nad nowymi rolami. Był to dla niej rodzaj terapii psychicznej. Każda nowa postać oferowała jakieś mądre słowa do wypowiedzenia i jakąś odmienną psychikę do zgłębienia. Dla młodej kobiety, mającej pewne kłopoty z realizacją własnych marzeń, role filmowe stanowiły rodzaj praktycznych sprawdzianów różnych dróg życiowych. Lubiła później wplatać we własną osobowość te rysy charakteru granych postaci, które szczególnie przypadły jej do gustu.

Był to bardzo złożony, dwukierunkowy proces. Pracując nad pewnymi rolami, mogła do woli czerpać ze zbioru własnych emocji, bywały jednak i takie kreacje, które wzbogacały osobowość aktorki. Trzeba tu wspomnieć o postaci Alexandry, bohaterki dramatu Ferenc Molnára „Łabędź”, odtwarzanej przez Grace Kelly późnym latem 1955, gdy ważyła się jej dalsza droga życiowa i gdy korespondowała z księciem Rainierem. Analogie z rzeczywistym życiem Grace były zupełnie niesamowite. Alexandra, pełna życia młoda blondynka z dobrej rodziny nagle zaręcza się z pewnym księciem. Rozważa wszystkie zalety i wady królewskiego życia i waha się przed podjęciem ostatecznej decyzji.

Ten sceniczny dylemat — raczej odległy od zwykłych problemów codzienności — potrafił jakąś wyjątkowo czułą strunę w umyśle Grace.

— Rola w „Łabędziu” była jedyną — wspomina Jay Kanter — na której Grace naprawdę szalenie zależało. Ona sama, o ile pamiętam, zasugerowała swój udział w tym filmie. Grace grała już niegdyś rolę Alexandry jako aktorka telewizyjna. „Łabędź” dwukrotnie był hitem na Broadwayu lat dwudziestych. Teraz mógł przełamać impas w stosunkach Grace z MGM — zarówno wytwórnia, jak i jej kapryśna gwiazda znaleźli nareszcie projekt, który satysfakcjonował obie strony. Dore Schary wychodził z siebie, aby łagodzić wszelkie ewentualne konflikty. Oświadczył, że oderwie się na jakiś czas od obowiązków szefa produkcji MGM, aby osobiście nadzorować prace nad nowym filmem. Grace została uhonorowana najwyższą gażą w całej ekipie — tylko raz, właśnie wtedy, spotkał ją ten wyjątkowy zaszczyt. Pozostali aktorzy byli nie mniej prestiżowi. Louisa Jordana obsadzono jako doktora Agi — przystojnego, lecz niezamożnego nauczyciela, który urozmaica intrygę, proponując Alexandrze skromny, deklasujący romans. Alec Guinness grał drugiego zalotnika, czyli księcia Alberta, aktywnie poszukującego żony. Postać księcia przystroił Guinness we wszystkie te grymasy, które Grace podziwiała jeszcze w Amerykańskiej Szkole Dramatycznej podczas nocnych przeglądów filmów zagranicznych.

W MGM nie zdecydowano się na budowę makiety pałacu. Amerykańskie marzenie o godnej rezydencji zostało już zrealizowane w postaci Biltmore House — wiernej repliki jednego z zamków nad Loarą, wzniesionej w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku przez Geor-ge'a Vanderbilta, nie opodal Ashville, w Karolinie Północnej. Budowla szczyła się mianem największej rezydencji Stanów Zjednoczonych. Zewnętrzne elewacje były mocno podniszczone, jednak wnętrza i umeblowanie sprawiały prawdziwie monumentalne wrażenie. Howell Conant również przybył do Ashville. Uwieczniał tam Grace — świeżą, białą i zagubioną, pomniejszoną przez widoczne w tle potężne elementy wewnętrznego wystroju pałacu. Podążał za aktorką na lekcje szermierki, obserwował, jak na przemian fechtuje się i tańczy z Louisem Jordanem. Grace nie godziła się na dublerów — zawsze chciała robić wszystko sama. Najbardziej niezwykle z wykonanych wówczas zdjęć przedstawia Grace Kelly zatopioną w myślach, siedzącą na wielkim, połączonym krześle przypominającym tron, odseparowaną od reszty ekipy pośrodku porzuconych lamp i filtrów. Nie sposób oprzeć się wrażeniu, że w ciągu tych kilku tygodni, które przyszło jej spędzić w ekstrawaganckim królestwie barona złodziei marzącego niegdyś o prawdziwie pańskiej siedzibie, Grace przeprowadzała szczególną przymiarkę.

— Dla mnie nieco za duży! — skrzywił się i pokręcił głową Jay Kanter po przyjeździe do Ashville.

— Uwielbiam go! — entuzjastycznie wykrzyknęła Grace. „Łabędź” nie należy do szczególnie dobrze wspomnianych filmów

Grace Kelly. Zbyt wiele było w nim słów, a za mało akcji. Natomiast najważniejszy dialog, tłumaczący tytuł i nadający głębszy sens kreowanej przez Grace postaci, pojawił się dopiero w scenie zamykającej film.

— Pomyśl jak to jest, być łabędziem — powiada książę do Aleksandry — ślizgać się jak sen po gładkiej tafli jeziora i nigdy nie wychodzić na brzeg. Na suchym gruncie, tam gdzie śmiało stąpają ludzie, łabędź wygląda niezdarnie, wręcz głupio. Gdy chybotając wspina się pod górę, wówczas boleśnie przypomina całkiem innego ptaka.

— Gęś? — okazuje zainteresowanie Alexandra/Grace.

— Niestety tak — odpowiada książę. — Niech więc pozostanie na wodach jeziora: cichy, biały i dostojny. Niech nie lata, choć jest ptakiem. I niech nie śpiewa jedynej pieśni, którą zna... aż do chwili śmierci.

Ta rozsądna, choć dosyć zniechęcająca argumentacja przekonuje Alexandrę/Grace do wypełnienia swoich zobowiązań i poślubienia księcia. Mogąc wybierać pomiędzy życiem namiętym i życiem uporządkowanym, bohaterka skłania się ku rozwiązaniu, które gwarantuje wyższą pozycję społeczną. Została wychowana jako łabędź i decyduje, że na zawsze nim pozostanie.

— Weź mnie do siebie, Albercie — ulegle wypowiada ostatnie słowa filmu. Potem uroczyście podaje księciu ramię (żadnych pocałunków), by odejść wraz z nim do pałacu. Nie było to zakończenie, po którym rozmarzona publiczność z ociąganiem wraca do realnego świata. Film stanowił apoteozę rzeczywistości, przed którą ludzie właśnie w kinie szukają ucieczki. Dostarczył jednak Grace istotnych wskazówek na temat powagi życia „na jeziorze”. Profesjonalizm, zdecydowanie, zdolność do samokontroli i

opanowanie — wszystkie te cechy, którymi powinna odznaczać się żona księcia, nie odbiegały zbytnio od pożądanых zalet gwiazdy filmowej. Gazetom europejskim wystarczyła fotografia jednego uścisku ręki zamieszczona przez Paris Match, by spekulować na temat możliwości romansu między Grace Kelly i księciem Monako. Rewelacje te dotarły do Ameryki, stawiając Grace wobec konieczności złożenia dementi. — Nie ma żadnego romansu — z oburzeniem oznajmiła Rupertowi Allanowi. — W ogóle nie rozmawialiśmy ze sobą; nigdy nie zamieniliśmy słowa, w ten lub inny sposób. Oburzenie Grace brzmiało dosyć wiarygodnie. Rzeczywiście, insynuowanie romansu aktorki z Jego Księżęcą Wysokością Rainierem III wyglądało na niedorzeczność. Zastanawiające jednak, że Grace uznała za stosowne posunąć się do kłamstwa wobec starego przyjaciela, byle tylko zataić fakt regularnej korespondencji z Rainierem. Widać tu kierunek, jaki zaczynały wówczas przybierać jej myśli. Prawdziwa miłość z prawdziwym księciem — czy to naprawdę możliwe? Grace nie była jeszcze pewna, ku czemu prowadzi wymiana listów z księciem Monako. Wiedziała jednak, że przedwcześnie ją ujawniając, ryzykuje rozgłos, który mógłby zniweczyć wszystko. Grace praktyczna troszczyła się o Grace marzycielkę.

Realizację zdjęć do „Łabędzia” zakończono kilkoma scenami studyjnymi dokręconymi w Hollywood w grudniu 1955 roku. Na kilka dni przed Bożym Narodzeniem Rupert Allan zajrzał do Grace na świąteczną lampkę szampana. Zastał ją w furii w trakcie pakowania. Miała obowiązek wrócić do Filadelfii na przyjęcie gwiazdkowe, tradycyjnie organizowane przez rodzinę Kellych, a właśnie otrzymała wiadomość o przyjeździe Rainiera. Miała to być jego pierwsza wizyta w Stanach Zjednoczonych. Zaplanował pobyt w Johns Hopkins Hospital w Baltimore, przypuszczalnie w celu poddania się badaniom kontrolnym, i pytał, czy nie mógłby złożyć towarzyskiej wizyty na Henry Avenue. Wyglądało na dziwny zbieg okoliczności, że tak nagle, ni z tego, ni z owego księżę Monako wpada z wizytą do East Falls w Filadelfii, jednak Grace komentowała całą sprawę z wystudiowaną naturalnością.

— Rupert — przekonywała — wierz mi, nie ma żadnego romansu. Księżę Rainier chciał się żenić. Był już po tej złej stronie trzydziestki — 31 maja 1955 roku obchodził swoje trzydzieste drugie urodziny. Zapewnienie ciągłości panowania leżało w interesie dynastii; sprawa sukcesji miała też dla niektórych wpływowych mieszkańców Monako aspekt ekonomiczno-finansowy.

Określenie Monako jako „słonecznego miejsca dla mrocznych ludzi” wypowiedziane przez Somerseta Maughama zyskało popularność. Najlepszym ucieleśnieniem tego powiedzenia, a także owej typowej dla Lazurowego Wybrzeża mieszaniny fanfaronady i skandalu był Arystoteles Onassis. Grecki król armatorów kontrolował Societe des Bains de Mer et Cercle des Etrangers (Towarzystwo Kąpieli Morskich i Klub Obcokrajowców), pod którym to osobliwym szyldem kryło się przedsiębiorstwo nastawione na maksymalne zyski ze słynnego kasyna i luksusowych hoteli Monte Carlo. SBM było spółką publiczną; Onassis panował nad nią od niedawna dzięki jakimś zręcznym posunięciom na paryskiej giełdzie. Jednak nowa inwestycja nie w pełni spełniała jego oczekiwania. Wielcy

utrącajście zdawali się omijać Monako. W dziesięć lat po wojnie księstwo sprawiało nieciekawe wrażenie starzyzny i nudy — jak gasnąca matrona Riwiery. Onassis niepokoił ten stan, jak to określał „odchodzącej legendy”. Monako straciło swój blask — narzekał w trakcie rejsów, odbywanych każdego lata z Gretą Garbo i z George'em Schlee, swoim amerykańskim przyjacielem. Całe to miejsce nic nie będzie warte bez dawnego czaru. Czy Schlee nie zna czasem jakiejś sztywnej Amerykanki z ikrą,

którą księżę Rainier mógłby poślubić? Taki związek przyciągnąłby bogatych Amerykanów, a i księżę, znany ponurak, zacząłby się wreszcie uśmiechać. Onassis miał wszystko, co trzeba, by ściągnąć do Monako piękną dziewczynę i zaaranżować jej spotkanie z Rainierem.

Schlee zawiózł to wyzwanie do Ameryki i przekazał Gardnerowi Cowlesowi, gadatliwemu założycielowi i wydawcy magazynu Look. Cowles zaś, ku irytacji Rainiera, w późniejszych latach z wielką przyjemnością nagłaśniał całą historię. Księżę nie miał najmniejszego pojęcia o zabiegach samorodnych swatów i daleki był od marzeń o księżniczce „sztywnej i z ikrą”. Tymczasem w Connecticut, niedaleko domu Cowlesa, przebywała Marilyn Monroe wraz z fotografem Mil-tonem Greenem. Cowles zaprosił gwiazdę na drinka, żeby zbadać jej stosunek do ewentualnego małżeństwa z Rainierem. „Czy jest bogaty? Czy jest przystojny?” — chciała wiedzieć Marilyn, całkiem ochoczo reagując na perspektywę małżeństwa z księciem, którego nazywano niekiedy w towarzystwie „Raindeer” \*. Nie za bardzo się orientowała, gdzie właściwie leży Monako — czy to nie w Afryce? — twierdziła jednak, że potrafiłaby bez trudu usidlić samotnego i młodego władcę.

— Daj mi dwa dni sam na sam z Rainierem — oznajmiła Gardnerowi Cowlesowi — a na pewno zechce mnie poślubić.

Gdy Marilyn Monroe tak sobie żartowała przy basenie Cowlesa w Connecticut na temat przyszłości Księstwa Monako, Rainier był już głęboko zaangażowany w korespondencję z zupełnie inną aktorką. Osobowość Grace Kelly, całkowicie różna od przyjętego dla gwiazd filmowych stereotypu, już przy pierwszym spotkaniu wywarła na nim silne wrażenie. Teraz dodatkowo pociągała go aura czystości promieniująca wokół aktorki. Rozmawiał o Grace ze swoim osobistym kapłanem, ojcem Francisem Tuckerem. Ten Amerykanin irlandzkiego pochodzenia, członek zakonu Świętego Wincentego a Paulo, uznał później za stosowne wysłać do Grace własny liścik.

Chciałbym Pani podziękować — napisał — za wskazanie księciu, kim może być młoda amerykańska katoliczka, i za głębokie wrażenie, jakie to na nim wywarło.

Rainiera bardzo ujęło wyznanie — złożone przez Grace, gdy już nabrała zaufania do swojego korespondenta — że wcale nie miała

ochoty na ową sesję fotograficzną, która zapoczątkowała ich znajomość. Księżę odczuwał dokładnie to samo. Już w dzieciństwie był nieśmiały, podobnie jak Grace; nigdy też nie potrafił się odnaleźć wśród licznych obowiązków reprezentacyjnych, jakie nakładała nań przynależność do wymagającej i słynnej rodziny. Byli teraz dorosłymi znakomitościami — zarówno księżę jak i gwiazda filmowa; przy tym żadne z nich nie miało ochoty rozstawać się ze sławą. Jednak obojgu doskwierało nieprzyjemne



wrażenie, że ich publiczne wizerunki stanowią przeszkodę we własnym, prywatnym życiu. Rainier cenił Grace za solidność, wierność i uczciwość, odpowiadało mu też jej poczucie humoru. Aktorka była po amerykańsku spontaniczna, jednak bez owego aroganckiego tupetu, nagminnie spotykanego u Amerykanów. W miarę jak coraz bardziej odślaniała się w listach, Rainier odnosił wrażenie, że przyszło mu obcować z kimś bardzo wyjątkowym.

Jako umiarkowanie przystojny książę z jachtem, sportowym samochodem i pałacem na Riwierze, Rainier nigdy nie miał specjalnych kłopotów ze zdobywaniem przyjaciółek.

— Najtrudniej było — stwierdził kiedyś — utrzymać wystarczająco długą i wystarczająco głęboką znajomość z dziewczyną, by móc wyrokować o istnieniu jakiejś więzi duchowej obok więzi czysto fizycznej.

Korespondencja z Grace Kelly rozwiązywała ten problem. Wymieniane z nią listy książę nazwał kiedyś tajemniczym ogrodem skarbów, przez który, krok po kroku, zbliżał się do dziewczyny swoich marzeń. Teraz chodziło o skonfrontowanie marzeń z rzeczywistością. Jeśli Grace i Rainier mieli posunąć się dalej, wyjść poza korespondencyjną znajomość, należało koniecznie znaleźć jakiś sposób bezpośredniego kontaktu, jakąś nieoficjalną, a zarazem niebanalną okazję, która w naturalny sposób sprzyjałaby wzajemnemu poznaniu. Pomoc nadeszła latem 1955 roku z całkiem nieoczekiwanej strony.

Państwo Austinowie: ciocia Edie i wujek Russ, byli filadelfijskimi przyjaciółmi Kellych, a zarazem ich sąsiadami w Ocean City — należeli do tej głośnej, roześmianej gromady dorosłych, która tłoczyła się na licznych przyjęciach w domu przy Henry Avenue. Choć z Grace nie spokrewnieni, pozostawali dla niej zawsze „ciocia” i „wujkiem”. Wujek Russ uznał ten związek za wystarczająco silny, by podjąć próbę kontaktu z Rainierem podczas pobytu w Cannes w 1955 roku. Austinowie spędzali w Europie letnie wakacje; ciocia Edie zapragnęła wybrać się do Monako na Bal Czerwonego Krzyża, największą atrakcję sezonu.

Wujek Russ wiedział, że Grace spotkała się z księciem przy okazji festiwalu w Cannes. Gdy więc w hotelu oznajmiono im, że biletów już zabrakło i że nikt na całym wybrzeżu nie jest w stanie ich zdobyć, nie wahali się długo. Wujek Russ zademonstrował cały ten amerykański tupet, którego Grace zawsze brakowało. Zadzwoił do pałacu, żeby zorientować się, czy książę mógłby ich przyjąć.

Arogancja Russa i Edie po dziś dzień budzi niesmak w kręgu rodziny Kellych.

— Dowiedzieliśmy się później, że Rainier był wtedy tuż po operacji wyrostka — wspomina Alice Godfrey. — Upadał jeden z jego banków (Monakijski Bank Metali Szlachetnych), Arystoteles Onassis zawładnął kasynem, a wujek Russ Austin dorwał się do telefonu, żeby opowiadać księciu o swoim problemie.

Prośba wujka Russa wylądowała wreszcie na biurku ojca Tuckera. Żwawy kapelan bez namysłu wsiadł do samochodu, pojechał do Cannes i osobiście wręczył Austinom dwa bilety na bal — z pozdrowieniami od księcia Rainiera. Później zasiadł z Amerykanami do rozmowy i wykorzystał swój kunszt siedemdziesięcioletniego ojca-spowied-nika, aby wyciągnąć z nich całą wiedzę na temat Grace: wiadomości o rodzicach, o lokalnej parafii, o pochodzeniu rodziny.

Państwa Austinów wcale nie trzeba było zachęcać.

Ci w Monako, którzy nie przepadali za Francisem Tuckerem, widzieli w nim intryganta manipulującego księciem, a nawet wywierającego nań zły wpływ. Wskazywali na analogie z postacią Rasputina. Później, na początku lat sześćdziesiątych, gdy kariera Tuckera zakończyła się skandalem wokół chłopców z kościelnego chóru, uznali swoją dawną niechęć za uzasadnioną. Jednak wtedy, w roku 1955, ojciec Tucker z powodzeniem podjął zadanie doprowadzenia do najbardziej widowiskowego i najszerzej oglądanego ślubu ówczesnego świata. Tym samym z nawiązką wypełnił swoją misję w Monako, którą Watykan powierzył mu w 1950 roku.

Związki Kościoła Katolickiego z rodziną panującą Księstwa Monako były szczególnie ściśle od 1858 roku, kiedy to lokalny biskup rozproszył pewne obawy Karola III.

Prapradziadek Rainiera podejrzliwie spoglądał na grę w ruletkę, która w całej Europie, jako niemoralna, była wówczas zakazana. W służbie słusznej sprawy — zapewniał biskup — hazard nie jest grzechem. Dowiódł tego, odprawiając specjalną mszę w intencji nowego kasyna.

Modły biskupa zostały wysłuchane — i to w bardzo spektakularny sposób. Otwarte 13 maja 1858 roku kasyno w Monte Carlo okazało się kluczem do nowoczesnej tożsamości księstwa, przynosząc dobrobyt Grimaldim i wolne od podatków życie pozostałym obywatelom. Nic dziwnego, że i Kościół otrzymywał należną mu część w postaci potężnych sum na budowę katedry z białego marmuru, wznoszonej na skale obok pałacu. Poszukiwania oblubienicy dla władcy — którego zwykł był nazywać „Księciem Panem” — podjął ojciec Tucker właśnie w duchu owej tradycyjnie harmonijnej współpracy między Kościołem i rodziną panującą księstwa.

Dla cici Edie i wujka Russa stało się wkrótce oczywiste, że to właśnie ich kontakt z księciem Rainierem i z kapelanem księcia zadecydował o dalszych losach romansu stulecia, a gdy już oni wykazali inicjatywę, wszystko musiało potoczyć się gładko. Nie wiadano wówczas o korespondencji między Grace i Rainierem i o tym, że para ta mogłaby samodzielnie zaaranżować swoje drugie spotkanie. Pozostaje jednak faktem, że ustalenie szczegółów owego spotkania przypadło ostatecznie w udziale państwu Austinom i ojcu Tuckerowi. To oni, omawiając zbliżającą się podróż księcia do Ameryki, wybrali Filadelfię jako miejsce pierwszego ważniejszego postoju. Austinowie w ramach rewanżu za książęcą gościnność mieli zaprosić Rainiera na lunch w swoim domu, a następnie zabrać go z sobą do rezydencji Kellych przy Henry Avenue na tradycyjne wieczorne przyjęcie z okazji Bożego Narodzenia. Ciocia Edie podjęła się przygotować Grace do tych wydarzeń.

Jest bardzo miłym młodym człowiekiem — mówiła — i bardzo chce znowu cię zobaczyć. Była to rozmowa międzymiastowa; Edie zdołała dodzwonić się do Grace, zajętej przy kręceniu „Łabędzia”. Aktorka mówiła o Rainierze z dyplomatyczną ostrożnością.

— Jest niski — oznajmiła. — Już go kiedyś widziałam. — Ton tej wypowiedzi miał sugerować brak szczególnego zachwyty.

— Posłuchaj — nalegała Edie — książę bardzo by chciał ponownie się z tobą spotkać. Nie sprowadzę go na przyjęcie, jeśli nie obiecasz, że będziesz miła. Lodowatą oziębłość zostaw sobie na inne okazje.

Opowiadając później tę historię Edie zaznaczała zawsze, że dobrze wie, jak to Grace potrafi „zwalić człowieka z nóg samym spojrzeniem”.

— W porządku, ciociu Edie — odparła Grace, zważając, by nie zdradzić cienia emocji. — Będę dla niego miła.

John Pochna pracował dla Arystotelesa Onassisa jako wszechstronny konsultant i radca prawny. Wykształcony na Harvardzie, należał do palestry stanów Nowy Jork, Massachusetts i Connecticut. Dlatego Onassisowi, gdy dowiedział się o planowanej wizycie Rainiera w Stanach Zjednoczonych, natychmiast przyszło do głowy, że jego adwokat również powinien odbyć przejażdżkę. Pochna mógłby w razie potrzeby służyć radą prawną, a przede wszystkim — mógłby mieć na oku poczynania księcia i jego energicznego kapelana.

Adwokat spędził już przedtem nieco czasu z Rainierem i raczej nie należał do jego entuzjastów. Książę bardzo rozrzutnie grał w golfa — w trakcie jednej rundy potrafił stracić pół tuzina piłek. Jego iksowate nogi dosyć pokraccie wyglądały na korcie tenisowym. Nieczęsto widywano go w szortach. Kiepsko prezentował się obok Pochny — silnego, rubasznego Amerykanina, który fizycznie przypominał Jacka Kelly'ego. Prawnik był szczególnie zaniepokojony, gdy przy okazji jakiejś wizyty w Paryżu Rainier zabrał go do nocnego klubu, w którym główną atrakcją był homoseksualny taniec erotyczny. Klub nazywał się Cage aux Folles; Pochna wspomina go jako „obskurny teatrzyk z obmacującymi się kierowcami ciężarówek i całą resztą”.

Pochna uznał jednak, że książę nie jest gejem. Rainier był człowiekiem ciekawym świata i odważnym; potrafił wsunąć rękę do tygrysięj klatki. Jego osobowość zdradzała też objawy lekkiego znużenia i zagubienia. Byłby dobrym materiałem na melancholika, zaszypanego mnóstwem możliwości, z których żadna nie wydaje się naprawdę atrakcyjna. Jeszcze przed trzydziestką Rainier przeżywał sześcioletni romans z francuską aktorką, Gisele Pascal, w trakcie którego zupełnie jawnie mieszkał z nią w wili na Cap Ferrat i zaniedbywał — zdaniem niektórych Monakijczyków — swoje książęce obowiązki. Później wyrażał się o tym związku raczej niedbale:

— Dopóki trwał, było miło — mówił, sugerując, że całej sprawy nie uważał nigdy za specjalnie istotną. — Zwyczajnie, skończyło się.

A jednak, gdy ten „zwyczajny” koniec nastąpił, wsiadł samotnie na jacht i odbył długi rejs wzdłuż wybrzeży Afryki Zachodniej.

Pochna wiedział, że pierwsza podróż Rainiera do Ameryki ma jakiś związek z poszukiwaniem towarzyszki życia. Trudno było utrzymać tę sprawę w tajemnicy. Trzeba wiedzieć, że każde małżeństwo związane z sukcesją monakijską musiało być zatwierdzone przez rząd francuski. Był to jeden z narzuconych księstwu warunków, dzięki którym swój dziwny status francuskiego protektoratu mogło zachować również w wieku dwudziestym. Tak więc Rainier formalnie powiadomił Paryż o swoich planach poszukiwania żony w Ameryce. Szczegółowy projekt matrymonialny miał zostać przedstawiony w razie powodzenia tej misji.

Pochna widział listę branych pod uwagę kandydatek, którą przygotował ojciec Tucker. Znalazło się tam nazwisko Grace, a także katoliczki Dupont, mieszkającej w Delaware. Książę wraz z księdzem mieli popłynąć liniowcem pasażerskim do Nowego Jorku,

stamtąd zaś samochodem i pociągiem udać się na południe, robiąc pierwszy przystanek w Filadelfii. Ojciec Tucker planował jeszcze odwiedzić w Wilmington, gdzie rozpoczął duchowną karierę, by obchodzić pięćdziesięciolecie swoich ślubów zakonnych. W tym miejscu trasy można było włączyć inspekcję miasta Delaware — gdyby uznano to za wskazane. Marszruta zbaczala następnie na południe, poprzez szpital Johns Hopkinsa w Baltimore, by zakończyć się na Florydzie przeglądem możliwości ożenku oferowanych przez Palm Beach.

Statek do Nowego Jorku odbijał z Hawru 8 grudnia 1955; poprzednią noc spędził Rainier w Paryżu. Francuska prasa nabierała już wiatru w żagle po zdobyciu wiadomości o książęcej podróży i jej ewentualnych konsekwencjach. Krążyły opowieści, że w razie bezpotomnej śmierci Rainiera Monako zostanie włączone do Francji. Tymczasem układ z 1918 roku zupełnie jednoznacznie stanowił o utrzymaniu przez protektorat statusu „państwa autonomicznego” — również w przypadku braku następcy tronu. Jednak śmiała wyprawa Rainiera podjęta w pogoni za miłością i zachowaniem ciągłości dynastii stanowiła rodzaj melodramatu znakomicie pasującego do oczekiwań republikańskiej Francji względem „kieszonkowego” księstwa na południu. Tak więc reporterzy prześladowali księcia przez większą część dnia.

Poszukujący ciszy i spokoju Rainier znalazł schronienie u Johna Pochny, w jego paryskim mieszkaniu. Było to skromne miejsce nad garażem, należące dawniej do jakiegoś kierowcy. Dwaj mężczyźni zasiedli przy drinku do dyskusowania szczegółów nadchodzącej podróży. Później Rainier udał się do swego apartamentu. Pochna obserwował z góry, przez okno, jak książę po wyjściu na ulicę bacznie rozgląda się, sprawdzając, czy droga wolna. Najwyraźniej bardzo zależało mu na samotności. Gdy miał już całkowitą pewność, że nie jest śledzony, ulżył sobie pod najbliższym drzewkiem.

— Wyciągnął swój interes — wspomina Pochna — i odlał się prosto na drzewo. Pochna uznał, że Rainier III wyglądał w tym momencie na bardzo szczęśliwego monarchę... lub może raczej na zwykłego człowieka. Prawnik na jakiś czas pożegnał się z księciem, leciał bowiem do Nowego Jorku, aby dokończyć tam jakieś inne sprawy. Monakijską grupę miał spotkać zaraz po jej zejściu na amerykański ląd. Zapowiadała się niezła przygoda. A Rainier, który zapiął rozporek i odchodził w grudniową noc, wyglądał bardzo zawadiacko.

„Znalazłam swoje przeznaczenie.

Grace przybyła do Nowego Jorku z Los Angeles 23 grudnia 1955. Natychmiast udała się do swojego domu przy Piątej Alei, zostawiła bagaże u dozorca i podażyła na świąteczne przyjęcie, które jej agent, Jay Kanter, wydawał w Sutton Place. Cieszyła się na spotkanie z przyjaciółmi, zwłaszcza z Johnem Foremanem i z Ritą Gam, która miała przedstawić swojego nowego chłopaka.

Grace była w szczytowej formie. Radośnie paplała na temat właśnie zakończonych zdjęć do „Łabędzia”. Opowiadała też o bożonarodzeniowym spotkaniu w Filadelfii, na które miała się udać następnego dnia. Różnica czasu najwyraźniej nie robiła na aktorce wrażenia — tryskała energią i szampańskim nastrojem.

— Jeszcze tu wróć! — zapowiadała ze śmiechem Judy Kanter, gdy żegnała się z nią przy windzie salutem — parodią generała Douglasa MacArthura. A jednak w trakcie tej długiej nocnej biesiady ani razu nie wymknęło się Grace nawet słówko na temat czekającej ją za dwa dni randki z Jego Wysokością Księciem Monako Rainierem III. Książę tymczasem dotarł do Nowego Jorku kilka dni wcześniej. Towarzyszyli mu ksiądz, żwawy ojciec Tucker oraz lekarz — doktor Robert Donat, młody chirurg z Nicei. Donat operował kilka miesięcy wcześniej wyrostek robaczkowy księcia; teraz postanowił towarzyszyć swojemu pacjentowi w trakcie zaplanowanych badań w Johns Hopkins Hospital. Cała grupa prezentowała się dosyć skromnie. „Gdzie ten czarnuch książe?” — dopytywał się Frank Cresci, ochroniarz przydzielony przez nowojorską policję. Cresci, jak zresztą wielu Amerykanów, miał kłopoty z odróżnieniem Monako od Maroka. John Pochna wypił z przyjezdnymi kilka powitalnych drinków, po czym wymknął się na tydzień do rodziny. Nadchodziły święta i nic ważnego nie miało prawa się zdarzyć przed rozpoczęciem następnego roku.

Pod koniec dnia Bożego Narodzenia 1955 roku zawitał na Henry Avenue książe Rainier w towarzystwie ojca spowiednika i swojego osobistego lekarza. Cała trójka miała już za sobą lunch u wujka Russa i ciotki Edie. Zmierzczało, gdy Austinowie z dumą przywieźli ich do East Falls na od tak dawna oczekiwany wieczór z rodziną Kellych. Jack i kapelan księcia natychmiast przypadli sobie do gustu.

— Ojciec zawsze rozpoznawał irlandzkiego księdza od pierwszego wejrzenia — wspominała Peggy. — „Ojcie Tucker”, powiedział wtedy, „proszę usiąść i poczęstować się cygarem”.

Grace dokładała wszelkich starań, żeby zachowywać się swobodnie. Wyglądała jednak na tak spokojną i skupioną, że ciocia Edie mogła zacząć ją podejrzewać o „lodowatą oziębłość”. Lecz matka aktorki rozpoznawała w tych objawach mechanizm obronny. Ma Kelly wystarczyło jedno spojrzenie na córkę, żeby stwierdzić u niej stan zachwycającego podekscytowania.

Takie określenie nie oddawało w pełni stanu ducha Grace. Od sześciu miesięcy prowadziła pocztową konwersację z tym skomplikowanym i często nieśmiałym mężczyzną. To, co czytała w listach, niezmiernie przypadło jej do gustu. Rainier zaczął zajmować wyjątkowe miejsce w osobistym świecie fantazji i nadziei młodej dziewczyny. Ale czy sprawdzi się teraz, w rzeczywistym życiu? Grace była kłębkim nerwów.

— Rano tego dnia — wspominała później — żałowałam, że zdecydowałam się na przyjazd do domu rodziców.

Pograżona w panice rozmyślała, że wszystko przebiegałoby znacznie spokojniej i łatwiej, gdyby pozostała w Kalifornii. Telefonowała do Peggy (mieszkającej tuż obok) prosząc, aby ta jak najszybciej kończyła przygotowywać się do przyjęcia i przyjeżdżała wspomóc duchowo swoją siostrę.

Natomiast Rainier starał się zapomnieć, że nie chodzi tu wyłącznie o jego osobiste uczucia, lecz i o poważne sprawy państwowe. Powiadomił już rząd francuski.

Przekroczył Atlantyck. Teraz, jako władca Monako, miał sfinalizować pewien układ. Jednak skrywał swoje emocje równie umiejętnie jak Grace.

— Zupełnie zawrócił jej w głowie — wspominała pani Kelly, rozwodząc się nad urokiem i delikatnością trzydziestodwuletniego księcia.

Natychmiast po przybyciu nawiązał konwersację z Grace. Zachowywał się dokładnie tak, jak można by oczekiwać po dobrotliwym księciu, który słowa, uśmiechy i całą uwagę kieruje w stronę damy swojego serca, by uzyskać gwarantowany i natychmiastowy efekt. „Nigdy przedtem nie widziałem — komentował Bili Godfrey — żeby Grace poświęciła tyle uwagi jakiemukolwiek młodemu mężczyźnie”.

Tego wieczoru czas szybko mijał. Wybiła dziesiąta, a ojciec Tucker musiał jeszcze zdążyć na pociąg do Wilmington. Jednak jego młodzi towarzysze ociągali się z wyjściem — Rainier najwyraźniej nie był jeszcze gotów do pożegnań, doktor Donat zaś brał przykład ze swojego księcia.

Ma Kelly pospieszyła z propozycją. Czy księżę i doktor Donat nie zechcieliby przenocować na Henry Avenue? W pokoju gościnnym jest kilka łóżek, a na drugi dzień księżę i doktor mogliby podążyć za ojcem Tuckerem do Wilmington. W gorliwości, z jaką Rainier przystał na te sugestie, Ma Kelly dostrzegła coś więcej, niż zwykłą uprzejmość czarującego młodzieńca. Była jakaś celowość działania — wspominała — w każdym jego słowie i geście.

— Peggy — powiedziała Ma Kelly czując, że już pora, aby dorośli usunęli się ze sceny — powinnaś zabrać naszych młodych gości do siebie.

Tak więc Peggy wraz z siostrą zaprowadziły Rainiera i doktora do domu, który ojciec zbudował dla swojej najstarszej córki tuż za rogiem.

— Zasiadliśmy do gry w karty — wspominała później Peggy. — W końcu wyszło na to, że ja grałam z doktorem, a Grace, w innym pokoju, z Rainierem.

Nie tylko karty pochłaniały uwagę Grace i Rainiera. Gdy wreszcie około drugiej nad ranem wyłonili się z drugiego pokoju, byli uśmiechnięci i szczęśliwi. Całe ubranie księcia pokryte było kłaczkami czarnej psiej sierści. Podczas gdy Rainier doprowadzał się do porządku za pomocą pożyczonej taśmy samoprzylepnej, obie siostry przeprowadziły szeptaną konferencję w łazience Peggy.

— Uważam, że jest wyjątkowo czarujący — oznajmiła Grace, od której promieniował niecodzienny entuzjazm.

— Tak, tak, też tak sędzę — przyznała starsza siostra z głębokim przekonaniem. Peggy wspominała później, że tego wieczoru Rainier rzeczywiście wywarł na niej wielkie wrażenie.

Nazajutrz rano Grace i Rainier wybrali się za miasto na wspólny lunch. Tego samego dnia wieczorem podekscytowana Grace zjawiała się w sypialni matki.

— Trzymała moją rękę — wspominała Ma Kelly — tak jak miała to w zwyczaju, gdy była małą dziewczynką.

Ujawniły się wówczas niepokój, radość i wszystkie te zawile emocje, których Grace doświadczała w ciągu minionych dwudziestu czterech godzin, odnawiając swoją znajomość z księciem.

— Wtedy zrozumiałam — mówi pani Kelly — że oświadczyły księcia, gdyby do nich doszło, zostaną przyjęte.

Jack Kelly wiedział wówczas znacznie więcej. Poprzedniej nocy odwoził ojca Tuckera na stację kolejową. W czasie drogi energiczny ksiądz wyjawiał mu intencje swojego „Księcia Pana”. Tym razem Jack nie miał specjalnego wpływu na losy romansu córki — sprawy zaszły już za daleko. W dodatku ojciec Tucker wpadł na sprytny pomysł wciągnięcia go do gry i rzeczowo, po męsku, wyłuszczył plany Rainiera. Jeśli Jack Kelly znał irlandzkich księży, to ojciec Tucker z pewnością wiedział wszystko o irlandzko-amerykańskich patriarchach. Młoda para może liczyć na błogosławieństwo rodziny Kellych — solennie zadeklarował Jack — pod warunkiem, rzecz jasna, że sama Grace zapragnie ślubu z Rainierem. Kapłan został upoważniony do przekazania tego stanowiska księciu. W ten sposób do załatwienia pozostawały właściwie tylko formalności. I choć wszystko odbyło się w mgnieniu oka, to przecież nikt spośród świadków tamtych wydarzeń nie sprawiał wrażenia zaskoczonego. Grace i Rainier pałali do siebie uczuciem tak widocznym, że i inni pozostawali pod urokiem rodzącego się związku. Peggy rzuciła okiem w lusterko wsteczne, gdy następnego wieczoru przejeżdżała przez Germantown, z parą zakochanych na tylnym siedzeniu. Widok siostry, splecionej w namiętym uścisku z tym prawie nieznanym mężczyzną, uznała za całkiem naturalny. W środę, 28 grudnia, księżę wraz z doktorem Donatem zawieźli Grace do odległego o sto sześćdziesiąt kilometrów Nowego Jorku. Grace miała tam wziąć kilka lekcji śpiewu w ramach przygotowań do filmu High Society („Wyższe sfery”), którego realizacja rozpoczynała się za kilka tygodni. Co ważniejsze jednak, musiała podzielić się z przyjaciółmi niesamowitą nowiną. Otóż księżę — pomiędzy objęciami na tylnym siedzeniu samochodu a długimi, czarownymi spacerami i nie kończącymi się rozmowami, w których odkrywali się nawzajem — zapytał Grace, czy nie zgodziłaby się zostać jego księżną. Ona zaś bez Wahania wyraziła zgodę. Miała teraz to, czego zazdrościła zamężnym przyjaciółkom — i miała jeszcze więcej.

— Gracie wróciła! — oznajmił tego dnia wieczorem Jay Kanter sWoję żonie, Judy. — Dzwon do niej zaraz. Chce z tobą porozmawiać.

Kanter i John Foreman odebrali właśnie dziwne telefony od Grace.

— Kazała nam obiecać, że odwiedzimy ją jutro rano, oddzielnie. —

Kanter był pod wrażeniem tajemniczego wezwania. — Nie wiemy, o co w tym wszystkim chodzi.

Okazało się, że Grace pragnie zobaczyć również Judy następnego dnia w porze lunchu.

— To sprawa życiowa — mówiła radośnie do słuchawki — absolutnie życiowa. — Nie posiadała się z żalu na wiadomość, że Judy ma już inne plany. — Musisz przyjść — błagała — zaklinam cię.

Tak naprawdę, Judy Kanter nie miała żadnych zobowiązań związanych z lunchem. Udawanie, że jest inaczej, stanowiło rodzaj fortelu obliczonego na wyciągnięcie jakichś informacji od przyjaciółki. Owa taktyka przyniosła częściowy sukces.

— Powiem ci jedną i tylko jedną rzecz — oznajmiła Grace — i zaraz potem odłożę słuchawkę. A jeśli oddzwonisz, nie będę z tobą rozmawiać. — Tu przerwała na chwilę i ściszyła głos. — Zaręczyłam się. — Potem Judy usłyszała odgłos przerwane połączenia.

Tego samego wieczoru, przy kolacji, Kanterowie i John Foreman z ołówkiem w ręku przystąpili do zgadywania, kim może być narzeczony Grace. Na czele listy należało umieścić Olega Cassiniego. Trzeba przyznać, że ostatnio częstotliwość spotkań tej pary wyraźnie spadała; Oleg nie był wcale zachwycony wiosennymi wyczynami Grace w Europie u boku Jean-Pierre'a Aumonta. Projektant pozostawał jednak ciągle najpoważniejszym stałym zalotnikiem. Miał też największe sukcesy w przekonywaniu Grace do wyzwolenia się spod wpływu rodziców i prowadzenia własnego życia. Jean-Pierre zajmował drugie miejsce, daleko za Cassinim.

Przegląd całej listy, wraz z pozostałymi, jeszcze mniej prawdopodobnymi kandydatami, wyraźnie wskazywał, że coś musiało się zdarzyć w Filadelfii w ciągu tych zaledwie pięciu dni, które minęły, odkąd Grace naśladowała generała MacArthura w Sutton Place.

Kanterowie wiedzieli, że w czasie wizyt w rodzinnym domu Grace spotykała się niekiedy ze swoim tamtejszym chłopakiem Billem Clothierem, potomkiem bardzo dobrze notowanej rodziny. Bili, przystojny i muskularny mężczyzna, był z całego serca popierany przez Jacka Kelly'ego jako idealny materiał na męża. Czy możliwe, żeby Grace wreszcie się poddała i sprezentowała tatusiowi solidną, filadelfijską koligację, na którą tak liczył przez te wszystkie lata?

Judy Kanter poznała prawdę nazajutrz, o dwunastej trzydzieści, w pokoju stołowym mieszkania Grace na Piątej Alei. Na gości czekały dwie zielone sałatki i smakowicie wyglądające kanapki z kurczakiem.

— Jestem niewiarygodnie zakochana w najwspanialszym mężczyźnie... — oznajmiła Grace — ...zamierzam poślubić Rainier a, księcia Monako.

Przez kilka dłuższych chwil Judy Kanter nie wiedziała, co powiedzieć. Z niedowierzaniem kręciła głową we wszystkie strony i wreszcie wyrzuciła z siebie jedyne słowa, które uznała za stosowne: — Pieprzysz, Grace!

Obie kobiety spoglądały po sobie, nic nie mówiąc, i wreszcie rozładowały napięcie skręcając się w paroksyzmach niepohamowanego i tak gwałtownego śmiechu, że musiały odsunąć na bok sałatki, aby głowami nie porozbijać talerzy.

W ciągu następnych dni jeszcze wielu przyjaciół Grace okazało się reagować na tę nowinę równie nieprzystojnie jak Judy Kanter. Wszyscy byli zachwyceni i życzyli Grace szczęścia. Nikt jednak nie miał pojęcia o listach Rainiera i o miesiącach sekretnych, duchowych przygotowań aktorki, tak więc na temat motywów tej decyzji można było jedynie spekulować. Dostępne fakty pozwalały sądzić, że Grace albo uległa dziwkiej miłosnej pasji (co byłoby całkiem spójne z historią jej poprzednich romansów) — albo też — że można jej zarzucić zimną, wyrafinowaną kalkulację. Aktorka radośnie potwierdziła obie wersje, gdy próbowała przybliżyć całą sprawę przyjaciółce.

— Kocham jego oczy — zachwycała się. — Mogłabym wpatrywać się w nie godzinami. Ma wspaniały głos... Jest wszystkim, co kiedykolwiek kochałam.

Dodała jednak i bardziej praktyczne uwagi.

— Nie chcę małżeństwa z kimś, kto uważałby, że pozostaje w cieniu moich sukcesów. Nie zniósłabym, gdyby maitre d'hôtel zwrócił się do mojego męża „panie Kelly”.

Grace Kelly ujawniała teraz wiele trapiących ją zgrzyzot jak na kogoś, kto lubił beztrudne życie. Martwiła się o problem „pana Kelly'ego”. Martwiła się, że z upływem lat straci



urodę i może mieć kłopoty z dostaniem roli. Martwiła się, czy pozostając w branży filmowej zdoła założyć rodzinę, mieć dzieci i zrealizować ideał małżeńskiego życia w starym, dobrym stylu. A przede wszystkim — martwiła się, jak zdoła zadowolić swoich wymagających rodziców, a zarazem uzyskać samodzielność niezbędną do życia u boku wymarzonego mężczyzny. Jego Wysokość Księżę Monako Rainier uosabiał jedno, proste, a zarazem wyjątkowo spektakularne rozwiązanie wszystkich tych problemów. Być księżną. Zawrzeć ślub z błogosławieństwem biskupa. Mieszkać w zamku na południu Francji. Swoje życie przemienić w nie kończący się film. A ponadto jeszcze zdobyć miłość uroczego, dowcipnego mężczyzny z krwi i kości, o brązowych oczach, w które Grace mogła wpatrywać się godzinami. Było to znacznie lepsze, niż przewidziano w fabule „Łabędzia”, lepsze nawet od eksponowanego na czarnym aksamicie medalu w zbiorze trofeów rodziny Kellych w specjalnym pokoju na Henry Avenue.

— Działalam raczej instynktownie — mówiła później Grace. — Jak zwykle zresztą... Przyszło nam się spotkać akurat w momencie, gdy obydwójce dojrzelśmy do małżeństwa. Przychodzą w życiu takie chwile, gdy należy podejmować decyzje.

Podjęcie decyzji o zostaniu księżną zajęło Grace Kelly zaledwie jeden dzień. Można było przypuszczać, że reszta Ameryki będzie potrzebować jeszcze mniej czasu, by ustosunkować się do tego wydarzenia. Księżę poślubia gwiazdę filmową! — nagłówki były łatwe do przewidzenia. Cała historia trącała czule struny powszechnie podzielanych marzeń; wychodziła daleko poza typowe hollywoodzkie scenariusze i niewątpliwie była od nich znacznie bardziej realna. Należało zdecydować się na jakiś sposób przekazania wielkiej nowiny światu. W piątek, 30 grudnia, Grace zorganizowała przyjęcie w swoim mieszkaniu na Piątej Alei. Chciała, aby Rainier poznał jej nowojorskich przyjaciół i aby mogli porozmawiać o dalszych planach.

Żeby uprościć powitalne formalności, ojciec Tucker posłużył się jednym ze swoich słynnych dowcipów, księżę natomiast oznajmił przyjaciołom Grace, że chce być nazywany zwyczajnie Rainierem. Był to spokojny, pełen radości wieczór — aż do chwili, gdy ojciec Tucker przedstawił harmonogram działań wokół ogłoszenia zaręczyn Księcia Pana. Monseigneur (oficjalny sposób zwracania się do Rainiera) miał powrócić wraz z Grace do domu państwa Kellych w Filadelfii —

tłumaczył ksiądz — gdzie zostanie wydany oficjalny komunikat. Specjalnie wynajęty prywatny fotograf uwieczni to wydarzenie; zdjęcia będą następnie udostępnione prasie. Ojciec Tucker proponował dwa wyszukane ujęcia szczęśliwej pary: samotnie oraz w otoczeniu uśmiechniętej rodziny Kellych.

Propozycje kapelana ujawniły jego czarującą, lecz bezdenną niewiedzę o apetytach amerykańskiej prasy. Było absolutnie nie do pomyślenia, aby ta zechciała się zadowolić cudzymi zdjęciami i zrezygnować z możliwości zadania kilku pytań każdemu z narzeczonych. Jay Kan-ter — wraz z Johnem Foremanem i nowojorskim prawnikiem Grace, Henrym Jaffe'em — usiłowali delikatnie wytłumaczyć to Rainierowi, trafili jednak na wyraźny mur niechęci. Księżę chciał zachować prywatność swojego osobistego życia, wszelkie zaś próby przekonania go o niepraktyczności takiego stanowiska wpływały jedynie na dodatkowe ochłodzenie atmosfery. Głosy stały się napięte, księżę — bardzo

książęcy, a ojciec Tucker stracił ochotę na wszelkie dowcipy. Grace siedziała skulona, wspomina Judy Kanter, „jak gdyby chciała zniknąć pod poduszkami kanapy”.

Osobą, która w kilka dni później przełamała ten impas, był Jack Kelly.

— Tatuś zawsze miał zrozumienie dla potrzeb prasy — mówiła po latach Peggy. — „Grace, kochanie”, stwierdził, „to będzie duża rzecz”. Wiedział, że dziennikarze muszą dostać swoją historię.

Jack wytłumaczył więc swojemu przyszłemu zięciowi, że prasy nie da się uniknąć, że jednak trzeba odpowiadać na głupie pytania i w kółko pozować do tego samego zdjęcia. I tak w czwartek, 5 stycznia 1956 na Henry Avenue stawiała się pełna obsada przedstawienia. Hurmem wkroczyli reporterzy i fotografowie. „Czy była to miłość od pierwszego wejrzenia, książę? Ile planujecie mieć dzieci?” Ludzie z aparatami fotograficznymi wspinali się na fotele Ma Kelly i stawali na jej fortepianie. Ciężarną Lizanne trzeba było odprowadzić do bezpiecznego schronienia na piętrze. Z początku Rainier starał się zachować dobrą minę do złej gry i w całkiem sympatyczny sposób chronił swoją narzeczoną przed natarczywością dziennikarzy. Jednak później, jeszcze na długo przed końcem konferencji prasowej, wyraźnie słyszano, jak mamrotał: „Ja nie należę do MGM”.

Następnego wieczoru Rainier i Grace musieli powtórzyć całe przedstawienie jeszcze raz — w Nowym Jorku. Był to bal charytatywny, którego organizatorzy zadbali o specjalną „Królewską Skrzynię” zwieńczoną papierową koroną. Ozdoba ta wyglądała „szczególnie idiotycznie” według Elliotta Erwitta, jednego z kilku tuzinów fotografów, którzy uwijali się po sali, desperacko polując na kolejne ujęcia Grace w białej atlasowej kreacji od Diora.

Książę Rainier zdradzał objawy zniecierpliwienia podczas tego zmasowanego, drugiego już ataku fotograficznego. Jego Wysokość przywykł do eksponowania swojej osoby wyłącznie na własnych warunkach. Poświęcił się już na Henry Avenue, teraz zaś chował książęcy czar z powrotem do kieszeni. W najmniejszym stopniu nie ułatwiał zadania fotografom — wezwanym przez niego samego i Grace. Elliott Erwitt zapamiętał księcia jako „raczej niemiłego tłuściocha”. Atmosfera poprawiła się, gdy towarzystwo przeniósł się do Harvyn Club. Grace czule ścisnęła i pieszczotliwie skubała ucho swojego chłopaka. Jako córka Jacka Kelly'ego potrafiła zwalczać ataki złego humoru. Tańczyła z Rainierem, śmiała się i żartowała; wesola zabawa trwała do czwartej nad ranem.

Grace była w siódmym niebie. Zaręczyny rozwiązywały tak wiele problemów — życie nagle stało się prostsze i zyskało na atrakcyjności. Choć zadowolona z wyeliminowania dawnych komplikacji, daleka była od nonszalanckiego odsunięcia ich w niepamięć. Z właściwą sobie delikatnością doszła do wniosku, że Gene Lyons i Jean-Pierre Aumont nie z gazet, lecz od niej samej powinni dowiedzieć się o zaręczynach. Zasiadła więc do pisania długich listów.

Uznała też, że Olegowi Cassiniemu winna jest osobiste spotkanie. Wybrała prom na Staten Island; zaniedbane, lecz sentymentalne miejsce pożegnania. Zimny wiatr smagał szare wody Atlantyku.

— Znalazłam swoje przeznaczenie — oznajmiła Olegowi.

W porcie buczyły syreny, za burtą majestatycznie przesuwała się Statua Wolności. Takie było zakończenie romansu, który zawsze oscylował na krawędzi wzajemnie udawanego uczucia.

Wspaniały, radosny świat spełnionych marzeń, do którego wkraczała Grace, nie był pozbawiony pewnych komplikacji.

— „Tata robi tyle szumu wokół sprawy posagu! — wykrzyknęła kiedyś, wyraźnie udręczona, podczas telefonicznej rozmowy z Donem Richardsonem. — Gotów wszystko popsuć!”

W ciągu minionego roku Grace dzwoniła niekiedy do Dona. Odczuwała potrzebę dzielenia się z nim swoimi strapieniami; praktyczna strona zaręczyn również nie była całkiem wolna od kłopotów.

Monako podlega prawu franuskiemu (le Code Napoleon), do formalności zaś związanych z każdym francuskim ślubem należy sporządzenie intercyzy. W rodzinie Grimaldich, jak w innych starych, majątnych rodach, panował zwyczaj zawierania przedślubnego kontraktu Separation de biens, którego istota tkwi w uznaniu każdej rzeczy wnoszonej do związku przez dowolnego z małżonków za jego lub jej osobiste dobro. Układ taki bardzo odpowiadał Jackowi Kelly'emu. Jako prezent ślubny dla Grace (podobnie jak przedtem dla Peggy i Lizanne) przeznaczył okazały pakiet akcji firmy Kelly for Brickwork. Nie miał ochoty ryzykować wplątania w swoje interesy — w razie niepowodzenia tego związku — eks-zięcia mieszkającego po złej stronie Atlantyku.

Gdy ojciec Tucker poruszył temat starodawnej tradycji posagu — a więc płacenia przez ojca panny młodej za łaskę wstąpienia córki do szlacheckiej rodziny — irlandzki demokrat Jack Kelly się zbuntował.

— „No i powiedziałem temu całemu ojcu Tuckerowi — relacjonował potem swojej żonie i ciotce Marie Magee — powiedziałem mu, żeby się odczepił. Nie chcę takiego rozwiązania i nie mam zamiaru się w to mieszać”.

— Kelly uważał swoją córkę za wystarczająco posażną dla każdego cholernego zalotnika — pamięta John Pochna, który przyjechał do Filadelfii natychmiast po usłyszeniu przez radio o zaręczynach księcia i usiłował ponownie włączyć się do sprawy. Czy Monako czyniło łaskę Grace, czy też może vice versa? Rainier mógł sobie być „Księżciem Panem” dla ojca Tuckera, jednak w oczach prawomyślnego Amerykanina pozostawał jedynie jakimś cholernym splukanym księciem, panującym w kraju, o którym nikt nie słyszał.

— Tak, tak — wspomina zachowanie Jacka ciotka Marie — nieźle się awanturował.

Jack Kelly zgodził się wreszcie na zapłacenie posagu, jednak dopiero po okazaniu przez ojca Tuckera wiarygodnych dowodów posiadania przez Rainiera własnego, okazałego majątku. Nie wiadomo, jak wysoka suma wchodziła tu w grę, wiadomo jednak, że na tym nie kończyły się zobowiązania panny młodej i jej rodziny. Poinformowano Grace, że wszelkie pochodzące z tego małżeństwa dzieci mają w razie rozwodu przejść pod opiekę ojca. Względy dynastyczne wykluczały możliwość wychowywania potencjalnych dziedziców przez żonę odseparowaną od księcia. Nie było tu miejsca na żadne „ale” i „być może”. Chodziło

o uświęcone tradycją rodzinne prawo Grimaldich — żelazny warunek każdego związku mającego wpływ na sukcesję tronu na wół niepodległego państwa.

Grace, inaczej niż większość jej przyjaciółek, nie uznała tego warunku za szczególnie surowy. Cały problem był dla niej czysto akademicki, jako że w ogóle nie dopuszczała myśli o rozwodzie. Judy Kanter

powiedziała:

— Grace się do tego wzięła, a więc wszystko pójdzie dobrze. Przecież potrafiła przemienić swoje dorosłe życie w jedno pasmo sukcesów.

Rzeczywiście, aktorka wierzyła, że jej małżeństwo okaże się równie szczęśliwe jak kariera zawodowa. Istotną część psychiki Grace, rządzona przez potężną pewność siebie, natychmiast oddalała wszelkie wątpliwości. Był to ów czołg Pattona, który rozgniał nawet najślabszą myśl o ewentualnej porażce planowanego małżeństwa. Tym, co naprawdę zaprzętało uwagę narzeczonej księcia, była perspektywa badania lekarskiego. Doktor Donat miał ustalić jej zdolność do zapewnienia Rainierowi potomków.

— „Odkryją, że nie jestem dziewicą” — dzieliła się swoim zmartwieniem z Donem Richardsonem w trakcie rozmowy telefonicznej.

— Powiedz im, że pękła ci w szkole — sugerował Richardson — gdy uprawiałaś sporty. Księżę Rainier, zagadnięty na ten temat w 1988 roku, zaprzeczył, jakoby przeprowadzono podobne badania. Członkowie rodu Grimaldich znani są jednak z wypierania się kłopotliwych faktów, których prawdziwość nie budzi wątpliwości. Przez lata ukrywano na przykład fakt wniesienia przez Jacka Kelly'ego opłaty posagowej, aż w końcu sam księżę ujawnił treść kontraktu. Zaloty Rainiera przez cały czas — od momentu powiadomienia francuskiego rządu aż po ciężko wypracowane szczegóły intercyzy — były obwarowane całą kolekcją nie tyle romantycznych co praktycznych warunków i zabezpieczeń. Negocjowanie losu dzieci nie byłoby zbyt sensowne bez upewnienia się, czy mają one w ogóle szansę przyjścia na świat.

Księżę Rainier zawsze utrzymywał, że cel, dla którego doktor Donat towarzyszył mu podczas wyprawy do Ameryki w grudniu 1955 roku, był całkiem banalny. Jako przyjaciel chciał być obecny przy badaniu księcia w szpitalu Johnsa Hopkinsa. Jednak Don Richardson pamięta, że Grace mówiła coś innego.

— Twierdziła, że rolą księdza było dopilnowanie religijnej strony całego przedsięwzięcia, lekarz natomiast miał upewnić się co do jej płodności — wspomina. — Mówiła, że będzie musiała pojeździć konno, aby poddać się naturalnej kuracji wytrząsania, dźgania i klucia. Jej prawdziwym zmartwieniem nie była bowiem płodność, lecz dziewictwo. Nie była do końca pewna, czego właściwie będzie szukać doktor.

Ten niepokój był zupełnie zrozumiały. Umiejętność wcielania się w rolę grzecznej dziewczynki stanowiła podstawę sukcesu większości kreowanych przez Grace ról filmowych. Dla wizerunku narzeczonej księcia czystość była jeszcze ważniejsza. W 1956 roku było absolutnie nie do pomyślenia, aby przyszła księżna miała za sobą jakieś doświadczenia seksualne. Przekonanie, że jedną z misji wielkich znakomitości jest dawanie chwalebego przykładu reszcie świata, stanowiło część ciągle żywego mitu. Ludzie nie oczekiwali aż tak wiele od gwiazd filmowych i innych przedstawicieli branży

rozrywkowej; cnotliwy charakter uważali jednak za warunek sine qua non przynależności do świata królów i książąt. A do tego właśnie kręgu chciała teraz Grace uzyskać promocję. — Uwierzyli mi! — z ulgą i radością doniosła Donowi Richard-sonowi w kilka dni później.

Główna przeszkoda została zatem pokonana. Sprzeczność między seksualnymi apetytami Grace a jej nieskazitelnym publicznym wizerunkiem zawsze była źródłem napięć i potencjalnych zagrożeń. Aktorka od dawna już żyła w ciągłym strachu przed „dekonspiracją”. Niekiedy gwałtownie, lecz zawsze kierowana głębokim uczuciem, dążyła w poprzednich latach do pogodzenia swojego temperamentu z obowiązkami codziennego życia. Wydawało się, że osiągnęła wreszcie ten cel. Wychodziła za mąż. W przyszłym mężu była po uszy zakochana. Jako księżna nie będzie już musiała udawać. Miała też prawo uważać, że jej kłopotliwe wpadki miłosne zostaną pущzone w niepamięć.

Jednak w tych rachubach Grace nie uwzględniła możliwości swojej matki. 15 stycznia 1956 roku, zaledwie dziesięć dni po oficjalnym ogłoszeniu zaręczyn, Los Angeles Herald Examiner opublikował pierwszy z długiej serii drobiazgowych artykułów autorstwa Margaret Kelly „spisanych przez Richarda Gehmana”: Moja córka Grace Kelly: jej życie i miłości. Był to dziesięcioodcinkowy cykl wykonany na zamówienie King Features Syndicate i rozproszony do gazet koncernu Hearsta w całym kraju.

Zgrupowano tam najbardziej zdumiewające i kłopotliwe rewelacje na temat aktorki.

— Moja córka Grace miała zaledwie piętnaście lat — pisała pani Kelly — gdy mężczyźni zaczęli się jej oświadczać.

W ten sposób, według wyliczeń Ma Kelly, księżę Rainier był przynajmniej pięćdziesiątym kandydatem do ręki Grace. Nie pominięto żadnego szczegółu. Można było przeczytać o skłonności Grace-nastolatki do jęczącego mówienia przez nos, a także o tym, że Ma Kelly nadała swojemu przyszłemu zięciowi zdrobniące imię „Ray” \*.

Doprawdy, wprowadził do naszego domu promyk światła.

Pani Kelly bezlitośnie, dzień po dniu, przedzierała się przez chronologię miłosnych przygód swojej córki — poczynając od smutnej historii z Harperem Davisem (zapewne nigdy się nie dowiemy, ile wówczas dla niej znaczył), poprzez Dona Richardsona (nie wymienionego z nazwiska) i Gene'a Lyonsa, którego nazwała „Davidem”.

Naprawdę nazywa się inaczej, nie chcę jednak, by się krzywił, widząc swoje nazwisko w tej serii artykułów.

Możliwość, że jej własna córka mogłaby się „krzywić” w związku z ową publikacją, była dla pani Kelly znacznie mniej istotna. Clark Gable, Ray Milland. William Holden, Bing Crosby — jeszcze niedawno Ma Kelly usilnie zabiegała, by nazwiska te nie pojawiały się w kontekście romansów z jej córką. Teraz sama publicznie roztrząsała wszystkie szczegóły. Powodem ujawnienia intymnych historii związanych z jej córką — tłumaczyła — była chęć zaprotestowania przeciwko wielu fałszywym plotkom. Każdą z plotek odświeżała jednak z takim upodobaniem, że sprawiało to wrażenie protestu mocno przesadzonego.

Następnym w kolejności był projektant mody Oleg Cassini; nie waham się przyznać, że byliśmy mocno poruszeni tym romanssem... Przez pewien czas obawialiśmy się nawet, że mogłaby poślubić go wbrew naszej woli.

Państwo Kelly'owie narzekali często na sposób, w jaki środki masowego przekazu traktowały Grace. A jednak żaden dziennikarz nie napisał nigdy tekstu, który obciążałby ich córkę w podobnym stopniu jak ten, do którego sami przyłożyli rękę.

1 — Był to dla Grace straszliwy cios — wspominał później książę Rainier. — Nie pojmowała, jak mogło spotkać ją coś podobnego ze strony własnej matki.

Uzasadnienie znajdowało się na początku każdego z dziesięciu tekstów: Honoraria autorskie Pani Kelly zostają w całości przekazane na konto filadelfijskiego Women's Medical College, jedynej tego typu placówki w Stanach Zjednoczonych. Jednak dla Grace, której całe dzieciństwo minęło w atmosferze kultu tej żeńskiej szkoły, deklaracja Ma Kelly nie stanowiła żadnego usprawiedliwienia.

— „Dlaczego nie mogła się zająć pieczeniem ciasteczek? — ironizowała, dzieląc swoją złość z Maree Rambo. — Albo zorganizować jakiejś imprezy charytatywnej? Tak ciężko pracowałam, a teraz moja własna matka z dnia na dzień zamierza to zniszczyć”.

Ten jeden jedyny raz zdarzyło się Judy Kanter słyszeć niepochlebłą wypowiedź Grace na temat któregoś z członków klanu Kellych — wypowiedź ujawniającą pewne rysy na nieskazitelnym wizerunku rodzinnego życia aktorki. Po przeczytaniu artykułów Grace chwyciła z furią za słuchawkę. Rozmawiała z matką szczerze i bez ogródek. Kipiąc ze wściekłości stała się — przynajmniej na dziesięć minut — osobą dorosłą. Gniew ten zaskoczył Ma Kelly tak bardzo, że zaczęła myśleć o jakiejś naprawie ewentualnych krzywd. Bez zbytniego przekonania tłumaczyła przyjaciółom, jak to nieszczęsne artykuły zostały z niej wyciągnięte i że nie miała możliwości rzetelnego usunięcia wszystkich przeinaczeń.

Jednak każdy, kto znał rodziców Grace, mógł stwierdzić, że zarówno forma jak i treść publikacji dokładnie oddawały wiktoriański i samolubny styl Kellych. A naczelną racją egzystencji dzieci — od Jacka, zdobywcy Diamentowych Wiosen, po Grace, księżną — było służenie celom rodziców i umacnianie ich sławy. Główną przesłanką opublikowania cyklu Moja córka Grace Kelly: jej życie i miłości była chęć dowiedzenia, że nikt inny, lecz jedynie rodzice Grace (przedstawionej jako głupiotka dziewczica) mogą przypisywać sobie zasługę zaaranżowania spektakularnych zaręczyn — włożyli przecież tyle starań, aby nie popełniła głupstwa przed zjawieniem się zalotnika numer pięćdziesiąt. Całą sprawę podsumowywał jeden z dowcipów wygłoszonych przez Kelly'ego podczas zaręczynowej konferencji prasowej.

— Cóż zatem, mamusiu — Jack nawiązywał do faktu, że Grace jest ich ostatnią córką na wydaniu — wygląda na to, żeśmy się już całkiem wyprzedali!

Grace znakomicie to wszystko dostrzegła.

— Przedtem musiałam walczyć z wytwórną filmową, żeby nie traktowali mnie jak towar — narzekała w rozmowie z Judy Kanter.

Teraz własna rodzina sprzedaje mnie na wolnym rynku. Czy to się nigdy nie skończy? Czy będę kiedyś traktowana po prostu jak człowiek?

„Nie” — brzmiała krótka, twarda odpowiedź. Podjęcie decyzji o tym szczególnym małżeństwie oznaczało dla Grace ostateczne pożegnanie z najbardziej podstawowym ludzkim luksusem — prawem do pilnowania swoich spraw i kierowania własnym losem. Szczególnie bolesne było wcielenie się jej matki w herolda tej nowiny. Grace musiała jednak zaakceptować fakt, że znakomitości tego świata zawierają rodzaj diabelskiego paktu, a cena, którą płacą, to porzucenie nadziei na bycie „V° Prostu człowiekiem”. A jednak Grace usiłowała walczyć. Spoglądając wstecz na niezwykłą historię jej niezwykłych zaręczyn, nie sposób przeoczyć pewnej obłudy w tym, że przed przyjaciółmi i rodziną nie wspomniała nawet słówkiem

o nawiązaniu listowej znajomości z księciem. Część osobowości aktorki, pochłonięta drogą na szczyty, szybko zrozumiała, że kluczem do wymarzonego świata jest dyskrecja. I — jak zwykle — ta częśćka Grace osiągnęła swój cel.

— Od początku wiedziałem — oznajmił Rainier wkrótce po ślubie — że mogę zaufać Księżnej. Był to jeden z głównych powodów mojej pewności, że znalazłem odpowiednią dla siebie osobę.

Istniał wszakże inny, równie ważny powód, dla którego Grace chciała ukryć nawet fakt korespondowania z Rainierem. W natłoku wywiadów

1 błyskach fleszy łatwo było przeoczyć całkiem autentyczne, osobiste podłoże zaręczyn monarchy i gwiazdy filmowej. Wymieniane między nimi listy stanowiły część tego niewielkiego, tajemnego ogrodu, do którego świat nie miał wstępu, i w którym Grace mogła się spokojnie przechadzać, trzymając swego księcia za rękę.

Prawdziwa miłość.

Film „Wyższe sfery” stanowił musicalową wersję komedii obyczajowej The Philadelphia Story. W 1949 roku Don Richardson wybrał tę samą sztukę na przedstawienie dyplomowe przyszłej aktorki — Grace Kelly. Teraz, w 1956 roku, Grace — przyszła księżna — miała zagrać Trący Lord przy dźwiękach muzyki Cole’a Portera w szczególnym „dyplomowym” filmie kończącym jej hollywoodzką karierę.

Wytwórnia MGM zgromadziła gwiazdy, od których bił blask muzycznego talentu: Binga Crosby’ego, Franka Sinatrę i jazzowego muzyka Louisa Armstronga. Grace nigdy przedtem nie śpiewała; reżyser muzyczny filmu, Johnny Green, uznał więc za oczywiste, że mocny i naturalny głos aktorki nie wytrzymałby konkurencji z uznanymi znakomitościami.

— Spędziłem wiele czasu — opowiadał w 1986 roku Jamesowi Spadzie — przesłuchując mnóstwo próbek dialogów z udziałem Grace, wsłuchując się w jakość głosu, barwę i dykcję. Odbyło się również nieformalne przesłuchanie jej śpiewu w moim biurze... Zdecydowałem, że nie będzie mogła samodzielnie nagrać ścieżki dźwiękowej. Johnny Green rozpoczął więc poszukiwania dublerki; nie docenił jednak ambicji i uporu Grace.

— Koniecznie chciała śpiewać sama — wspomina — i odniosła spektakularne zwycięstwo.

Od lata 1955 roku, a więc odkąd zaproponowano jej tę rolę, Grace brała lekcje śpiewu. Scenariusz przewidywał dla Trący Lord jedną piosenkę, którą miała odtworzyć fałszując, i

drugą — True Love („Prawdziwa miłość”) — szczerą, słodką balladę — którą należało zaśpiewać

poprawnie, w duecie z Bingiem Crosbym. Śpiewanie własnym głosem należących do roli piosenek było dla Grace kwestią zawodowej dumy. Gdy Green nie wyrażał na to zgody — postanowiła przedstawić sprawę na samej górze. Udała się do Dore'a Schary'ego.

— Przegrałem — stwierdza dziś z ponurą miną Green.

MGM nie wynajęła dublerki, Grace zaś zaśpiewała True Love przepięknie. Był to utwór spokojny i prosty, który nabierał dodatkowej siły wyrazu dzięki niewyszukanej bezpośredniości łagodnego, ciemnego kontraltu aktorki. Nieco głupawa piosenka przeobraziła się w klasykę swojego gatunku.

— Śpiewała to w idealnej zgodności z Bingiem... — mówi reżyser muzyczny. —

Wyszedłem na prawdziwego durnia, bo film zaowocował nawet nie Złotą, lecz Płatynową Płytą!

Grace, która uciekła właśnie przed nowojorskimi dziennikarzami i fotografami, ceniła sobie względny spokój jednego z tylnych studiów MGM i starała się robić swoje, jakby w jej życiu nie zaszły żadne zmiany. Rainier miał się pojawić dopiero pod koniec stycznia; aktorka z właściwym sobie profesjonalizmem przystąpiła więc energicznie do pracy.

Unikała rozdmuchiwania sprawy zaręczyn i ślubu planowanego na drugą połowę kwietnia, w Monako. Reszta zespołu podążyła za jej przykładem, uprzejmie udając, że wcale nie dzielą planu filmowego z najsłynniejszą narzeczoną świata.

Grace wytrzymała w ten sposób zaledwie przez trzy dni. W filmie są sceny wymagające od Trący Lord prezentacji jej zaręczynowego pierścionka. Rekwizytornia zaopatrzyła aktorkę w pierścień, którego oczko stanowił przesadnie wielki szklany brylant.

— „Czy nie mogłabym — zwróciła się nieśmiało Grace do reżysera filmu, Charlesa Waltersa — wystąpić z własnym pierścionkiem zaręczynowym na palcu?”

Walters natychmiast zauważył komizm sytuacji, jednak udawał powagę.

Oznajmił z namaszczeniem, że musiałby najpierw zobaczyć pierścionek, aby stwierdzić, czy nadaje się do filmu.

— No i na drugi dzień — wspomina Celeste Holm — Grace zjawiała się z brylantem wielkim jak lodowisko. Był piękny, po prostu piękny! Na co dzień diamenty nic mnie nie obchodzą; okropna jest ta ich trupia biel. Ale brylant Grace był inny, kolorowy. Był cudowny! Nasuwał mi skojarzenie z pierwszym pryzmatem, który zobaczyłam kiedyś w przedszkolu jako mała dziewczynka. Tyle w nim było życia i blasku.

Prawdziwy brylant Grace, oszlifowany jak szmaragd, dorównywał wielkością szklanemu rekwizytowi. Widok błyszczącego klejnotu prowokował liczne okrzyki zachwytu, które Grace kwitowała skromnym rumieńcem.

— „Rzeczywiście, jest słodki, prawda?” — oznajmiła kiedyś. Powiedzonko to natychmiast stało się ulubionym żartem zespołu.

— Nigdy już nie pozwoliliśmy jej o tym zapomnieć — pamięta Celeste Holm. — Słodki brylant Grace! Dokuczaliśmy jej do ostatniego dnia zdjęć.

John Pochna dotarł do Hollywood przed Rainierem, aby wynająć willę, w której książkę mógłby zamieszkać. Bez większych problemów znalazł ustronny dworek w Bel Air;



nieoczekiwane kłopoty wyniknęły jedynie przy okazji regulowania rachunków księcia. Pochna stwierdził w banku, że kilka czeków z podpisem Rainiera — wysłanych między innymi do właściciela willi i do miejscowej pralni — nie zostało wcale zrealizowanych. — Czy otrzymaliście nasz czek? — pytał każdego z niedoszłych odbiorców zapłaty. — Ależ tak — padała odpowiedź. — Bardzo dziękujemy. Oprawiliśmy go w ramkę, wisi teraz na ścianie.

W trakcie wizyty w MGM nie otoczono Rainiera aż tak wielką czcią. Zorganizowany przez Dore'a Schary'ego lunch powitalny odbył się w krępującej atmosferze prywatnej kantyny kierownictwa wytwórni.

— Była tam Grace wraz z księciem — wspomina Celeste Holm. — Był też ojciec księcia: czarujący starszy dżentelmen, który przyleciał specjalnie, by poznać przyszłą synową. Przypominał mi Cliftona Webba.

Celeste Holm ze zdziwieniem dostrzegła w zachowaniu Grace dziwne napięcie.

— Była bardzo blada i zdenerwowana — pamięta. — Nagle pomyślałam sobie: Już wiem! Jeśli wytwórnia nie spodoba się księciu i jej tacie, to nigdy nie pozwolą Grace tu wrócić; nie wystąpi już w żadnym Umie.

Tuż obok Celeste Holm siedział Charles Walters, a nigdy nie słyszano, żeby ten reżyser — jak przypominała sobie z przerażeniem aktorka — „potrafił sklecić zdanie bez czteroliterowych wyrazów”.

Jednak akurat Walters zachowywał się całkiem przyzwoicie. To Dore Schary popełniał gafy.

— Ktoś zapytał: „Jak duże jest Monako?” — wspomina Celeste Holm — i goście podali odpowiedź w stopach kwadratowych lub czymś podobnym; w każdym razie była to bardzo imponująca liczba. Nastąpiła pauza, w trakcie której każdy usiłował prędko dokonać jakiegoś przeliczenia. Nagle Dore Schary, który uzyskał wynik najszybciej z nas wszystkich, oznajmił: „A więc jest mniejsze od naszego tylnego studia!” Wrażenie było takie, jak gdyby wielki żyrandol spadł prosto na środek stołu, rozpryskując się na tysiąc kawałków. Zapadła śmiertelna cisza. I stało się dla mnie jasne, że Grace nie zagra już w żadnym filmie.

Jednak decyzje w tej sprawie zostały podjęte wcześniej. Od chwili ogłoszenia wiadomości o zaręczynach Grace i Rainier byli bez przerwy pytani, czy małżeństwo aktorki oznaczać będzie kres jej filmowej kariery. Grace udzielała na te pytania wymijających odpowiedzi, ponieważ zwyczajnie nie wiedziała, natomiast Rainier odpowiadał równie wymijająco — lecz z przeciwnego powodu. Księżę nie miał najmniejszych wątpliwości, że Grace będzie musiała porzucić aktorstwo. Już przy pierwszym spotkaniu uznał za atrakcyjne właśnie to, że nie przypominała typowej gwiazdy filmowej; dalsza praca Grace w Hollywood nie wydawała mu się teraz rozwiązaniem praktycznym ani godnym księżnej Monako.

Rainier nie miał pewności, czy decyzja o zerwaniu kontraktu z MGM przyjdzie Grace łatwo. Uświadomiono mu też z okrutną otwartością, że w swoim kręgu kulturowym Grace Kelly już teraz należy do pewnego rodzaju arystokracji.

Nie jest wystarczająco dobry dla córki Kelly'ego — pisano w jakiejś chicagowskiej gazecie. — To dziewczyna zbyt dobrze wychowana, by w saloniku kasyna wiązać się z niemrawym facetem.

Książę starał się więc postępować rozważnie. Podczas zaręczynowej konferencji prasowej na Henry Avenue korzystał z ogólnego zamieszania, by nie odpowiadać wprost na pytania dotyczące przyszłej kariery Grace.

Pytania te nie przestały jednak być zadawane, natomiast książę — coraz natarczywiej atakowany przez dziennikarzy — coraz usilniej eksponował swoją książęcość. Rainiera III głęboko raziło przypuszczenie, jakoby bycie boginią ekranu ktoś mógł uważać za zajęcie bardziej godne niż bycie panią tego miejsca, które on nazywał domem. Gdy na początku stycznia po raz pierwszy spotkał Howella Conanta, wyciągnął rękę w powitalnym geście, a następnie mocno ścisnął i jednocześnie skręcił podaną mu dłoń, zmuszając fotografa do przykłonienia. Chodziło o rodzaj żartu i tak też potraktował to Conant, jednak w żarcie tym można było dostrzec także głębsze przesłanie. W życiu Grace pojawił się oto nowy szef, reprezentujący nowy system wartości, wśród których nie było miejsca na schlebianie gustom hollywoodzkiej publiczności.

Na podstawie wielu rozmów przeprowadzonych głównie z Johnem Pochną Rainier doszedł też do wniosku, że gdy Grace zechce odejść, MGM praktycznie nie będzie miała możliwości przeciwdziałania. Owszem, wytwórnia łatwo mogłaby zaskarżyć kontraktowego aktora usiłującego pracować dla konkurencji, jednak ściąganie z powrotem księżnej, która zdecydowała o wycofaniu się z branży filmowej, wyglądało na niewykonalne. Tak więc gdy pod koniec stycznia 1956 roku powitano go w Los Angeles sakramentalnym pytaniem: czy Grace pozostanie aktorką, Rainier postanowił dłużej już nie udawać. — Nie sądzę — padła odpowiedź.

Sama Grace nie potrafiła myśleć ani mówić na ten temat z podobnie brutalną otwartością. Jak zwykle miała nadzieję, że przyjdzie jej żyć w najlepszym ze światów. Warto tu wspomnieć wywiad, który ukazał się w Los Angeles Times 22 stycznia 1956 roku, a więc na zaledwie trzy dni przed bezceremonialnym stwierdzeniem jej narzeczonego. Z wypowiedzi Grace wynikało, że rozważa możliwość zafundowania sobie długiego urlopu od zajęć aktorskich, po którym mogłaby — od czasu do czasu — grywać jakieś naprawdę wyjątkowe role. Nie miała jednak najmniejszego zamiaru spierać się na ten temat z Rainierem. Wyglądała raczej na zadowoloną ze znalezienia mężczyzny, któremu mogła powierzyć swój los. Od lat szukała podobnie ojcowskiej figury; teraz ją miała — i to od razu w pikach. Humory, które Rainier zwykł okazywać prasie, nie martwiły jej zbytnio. W końcu po co wychodzić za księcia, który nie zachowuje się po książęcemu?

Poza tym Grace miała już dwadzieścia sześć lat i bardzo pragnęła zostać żoną i matką. Zawsze twierdziła, że powątpiewa w możliwość pogodzenia którejkolwiek z tych misji z życiem aktywnie działającej aktorki. Wreszcie — zawsze pozostawała w niej jakaś część osobowości, która nie cierpiała Hollywood — nieustabilizowanego, cygańskiego życia, całych dni spędzanych w samochodowej przyczepie — i która nie cierpiała tej

pracy — na przemian pełnej napięcia i nudnej, z dziesiątkami różnych ludzi na karku, spośród których zaledwie kilku

wykonywało zauważalną robotę. Marilyn Monroe, jak głosi legenda, gratulowała Grace zaręczyn słowami:

— Tak się cieszę, że znalazłaś sposób na opuszczenie tego interesu. Grace była zatem gotowa do przeprowadzki i wydawało się, że przyszłe życie bez trudu zaspokoi jej potrzebę publicznego aplauzu. W zostaniu księżną można było dostrzec rodzaj dożywotniej promocji do najwyższej notowanego przedstawienia. Alfred Hitchcock ujął to filuternie:

— Bardzo jestem szczęśliwy, że Grace Kelly zdobyła tak dobrą rolę. Publiczne wypowiedzi Grace były bardzo grzeczne, lecz wymijające.

— Najbardziej interesuje mnie teraz — mówiła dziennikarzom — moja kariera małżeńska. Jest to tak ekscytujące, że nie potrafię myśleć o niczym innym. Życzenie Rainiera automatycznie stawało się jej własnym — zatem w filmach miała więcej nie występować.

W MGM nie przywitano tej wiadomości z zadowoleniem. Grace była wprawdzie wyjątkowo lubianą osobą, w wytwórni pokutował jednak pogląd, że nie udało się zrobić na niej naprawdę dobrego interesu. Zaraz po zaręczynach Grace i Rainiera rzecznik prasowy MGM przypominał, bez większego przekonania, że jej kontrakt wygasa dopiero za kilka lat. Ale już pod koniec stycznia 1956 roku menażerowie wytwórni doszli do wniosku, że odgrywanie roli surowych cerberów zupełnie mija się z celem. Ich aktorka — widziana poprzez nawalę gazetowych doniesień i sążnistych artykułów z magazynów ilustrowanych — w oczach opinii publicznej już od dawna była koronowaną mężatką. W MGM uznano więc, że zamiast powstrzymywać lub obszczekiwać rozpędzony pojazd, najlepiej będzie wskoczyć do środka. Nawiązując do swoich tradycji, wytwórnia ogłosiła zamiar stworzenia oprawy scenicznej przyszłego wydarzenia — przewidziano uszycie sukni ślubnej wartej (materiały i robocizna) 7266,68 dolarów, a także udostępnienie usług projektantki Helen Rosę i ulubionej fry-zjerki Grace — Virginii Darcy (300 dolarów tygodniowo plus zwrot kosztów podróży). Ponadto, MGM sprezentowała aktorce, jako wkład do ślubnej wyprawy, pełen komplet kostiumów noszonych przez nią na planie filmu High Society. Wyasygnowano też dla Grace specjalną premię w wysokości 65 166,66 dolarów (352000 dolarów, po przeliczeniu na realną wartość w 1990 roku), niezależnie od regularnego wynagrodzenia: 1500 dolarów tygodniowo.

W zamian za swą hojność wytwórnia zdołała uzyskać wyłączne prawo do obsługi filmowej (jednak nie telewizyjnej) uroczystości ślubnych w Monako. Nie bez lekkiego szemrania, że Grace mogłaby — po High Society — zagrać w jeszcze jednym filmie, wyrażono milcząca zgodę na jej odejście i na zerwanie kontraktu. Jednak w 1983 roku, a więc już po śmierci aktorki, Steven Englund dokonał dziwnego odkrycia w udostępnionych wówczas archiwach MGM. Natrafił tam na kuriozalny dokument, opisany jako „Karta czasowej nieobecności”, w którym ręka anonimowego urzędnika potwierdziła przynależność Grace do załogi wytwórni przez pięćset dwadzieścia tygodni od jej ślubu, a więc jeszcze długo po wygaśnięciu kontraktu. Gorliwy biuralis-ta wpisywał ją niekiedy

jako Grace Kelly, w innych zaś tygodniach jako „księżną Rainier” — zupełnie jak gdyby Grace cały czas gdzieś tam była, w kącie jakiejś stołówki. „Fabryka snów” najwyraźniej nie mogła pogodzić się z myślą, że Grace Kelly nie pojawi się już nigdy na planie filmowym.

Łabędzim śpiewem Grace był więc lekki i zabawny musical *High Society*, którym MGM nawiązała do najlepszych tradycji tego gatunku. Aktorka stworzyła własną, brawurową kreację postaci Trący Lord — bardzo pewnie zagranej przez Katharine Hepburn w pierwszej, niemu-zycznej wersji filmu. Piosenka *True Love* była niewątpliwym triumfem, jednak zaśpiewana z celowym fałszowaniem, pijacka *Youre Sensational* wypadła jeszcze lepiej; aktorka zabawnie interpretowała jej tekst, zataczając się po sali balowej. Dopiero teraz — w ostatnim momencie — odkrywano w Hollywood, że Śnieżna Księżniczka potrafi śmiać się z samej siebie.

Grace kreowała postać dziewczyny, która spada z piedestału i cieszy się każdą minutą tego spadania. Śmiały scenariusz filmu przewidywał, że Trący Lord — rozwódka — upija się tak nieprzytomnie, by na drugi dzień mieć fałszywe zaświadczenie, że poszła do łóżka z nieznajomym. Grace Kelly prześlizgnęła się nad przyziemnymi, brudnymi szczegółami filmowej intrygi z humorem i ze wzniosłością godną nauczyciela szkółki niedzielnej. W tym ostatnim już z ser i swoich magicznych i paradoksalnych wyczynów aktorskich zaprezentowała grę lekką, dowcipną i błyskotliwą. Najbardziej wzruszała — również w krótkim występie wokalnym — jej umiejętność pełnego wcielenia się w postać osoby zakochanej. Potrafiła przedstawić nie tylko całe związane z tym szaleństwo, ale i głębszy, choć trudno uchwytany klimat przeznaczenia prawdziwą miłość.

celowości, po którym rozpoznać można

Wyglądało na to, że pożegnanie USS „Constitution” 4 kwietnia 1956 przy Nabrzeżu 84 nad Hudson River zgromadziło połowę Nowego Jorku. Wyptywający w rejs do Monako transatlantyk miał na pokładzie Grace, większość jej rodziny, trzy druhy, ponad pięćdzie-sięcioro przyjaciół, wielu dziennikarzy oraz Olivera, czarnego pudła — dar Cary'ego Granta i jego żony. Podniecenie tłumów dawało się porównać z tym, które towarzyszyło wyruszeniu amerykańskich chłopców na odsiecz Europie podczas drugiej wojny światowej. Przy okazji odbyła się w porcie specjalna konferencja prasowa, zdaniem Edmonda Duffy'ego, wybitnego znawcy tego typu wydarzeń, największa od trzydziestu lat. A gdy przyszedł czas odbijania od brzegu, na pokładzie „Constitution” znajdowało się jeszcze tak wielu ludzi pragnących dołączyć swoje życzenia pomyślności, że statek wyszedł w morze z czter-dziestopięciominutowym opóźnieniem.

Zdjęcia do filmu *High Society* zakończono 6 marca, co dawało Grace niecały miesiąc na skompletowanie wyprawy, pożegnanie przyjaciół, ustosunkowanie się do niezliczonych propozycji wywiadów oraz na szczegółowe nadzorowanie przygotowań do ślubu — łącznie z podejmowaniem decyzji o takich detalach jak suknie druchen i skarpetki dziewczynek mających nieść kwiaty w orszaku ślubnym. (Suknie były prezentem od Neimana-Marcusa, skarpetki natomiast kupiła Grace u J. C. Penneya.) Wreszcie musiała spakować rzeczy, bez których nie wyobrażała sobie nowego życia na drugim krańcu świata. Rupert Allan, który wpadł kiedyś do mieszkania Grace na ich tradycyjną — od niedawna — lampkę szampana połączoną z pakowaniem, był zdziwiony, widząc obok

koktajlowych sukni i wieczorowych kreacji co najmniej tuzin par wytartych dżinsów oraz stopy wypłowiałych koszulek i bluzek.

— Na litość boską — powiedział — chyba ich nie zabierasz? Przecież nigdy nie będziesz w tym chodzić.

— Owszem, będę — odparła. — I to przez większość czasu.

Monakijski książę musiał wstępować w związek małżeński na terytorium swojej ojczyzny. Z państwa Kellych zdjęto w ten sposób powinność i przyjemność organizowania ślubu córki. Jednak rodzice Grace

powetowali sobie tę niedogodność z nawiązką w ciągu ośmiu dni rejsu na pokładzie USS „Constitution”. Każdą kolację traktowano jako specjalną okazję do picia szampana, wznoszenia toastów i wygłaszania przemówień. Organizowano rozmaite gry towarzyskie, zabawy w układanie szarad, turnieje kanasty, bingo i shuffleboardu \*, przyjęcia z okazji pożegnania Ameryki, przyjęcia z okazji powitania Europy. Śpiewano piosenki pionierskie i spacerowano po pokładzie z Oliverem. Cała podróż, jak z zachwytem wspominała Judy Kanter, przywodziła na myśl pływający obóz letni.

Kwiecień 1956 roku był dla Judy Kanter — i jej pięciu towarzyszek wybranych przez Grace na drużyny — okresem zupełnie wyjątkowym. Te zwyczajne amerykańskie dziewczyny miały okazję uczestniczyć w niewiarygodnej przygodzie, która stała się udziałem ich słynnej przyjaciółki. Judy starannie notowała swoje ówczesne przeżycia; zapiski te posłużyły jej później do napisania 498-stronicowej książki\*\*. Przyjaźń łącząca Grace z Maree Frisby — najstarsza i najsilniejsza — datowała się jeszcze z czasów szkoły dla dziewcząt Stevens School. Z Bettiną Thompson dzieliła pokój w Barbizon. Carolyn Scott, również poznana w Barbizon, pomagała Grace w rozpoczęciu kariery modelki. Sally Parrish mieszkała wraz z Grace w Manhattan House, a Rita Gam — w Hollywood, na Sweetzer Avenue.

Wśród druhen nie było żadnej katoliczki; dwie spośród nich były Żydówkami, dwie miały już za sobą rozwody. Jedna z rozwódek, Maree Frisby, zabrała swojego nowego chłopaka. Francuska prasa miała pewne trudności ze zrozumieniem roli tych niewiast w poważnej, kościelnej uroczystości. Określenie demoiselle d'honneur zakłada przecież stan paniński, z którym cała szóstka rozstała się już dawno. Wybór dokonany przez Grace wskazywał, jak ważnymi wartościami były dla niej przyjaźń i lojalność. Czy jakiegokolwiek dziewczyny lepiej nadawałyby się na drużyny i zapewniały lepsze oparcie podczas podróży w nieznane, niż jej stare przyjaciółki i powierniczki sekretów?

Wspominając na pokładzie „Constitution” dawne dzieje, Grace wraz z Maree, Judy i Bettiną śmiały się, plotkowały i wybuchały płaczem. Wracały myślami do ulubionych chwil z przeszłości, a zarazem smakowały radość oczekiwania na mające nastąpić wydarzenia." I choć nie mogły opanować lekkiego strachu, były przekonane, że czekają je cudowne, wyjątkowe przeżycia.

Wszyscy na statku podzielali podobne uczucia. Jack Seabrook, należący do sześćdziesięciosobowej ślubnej kompanii Kellych, uważał, że wie coś niecoś o podróżach transatlantyckich. Nigdy jednak, przed tym rejssem, nie zdarzyło mu się otrzymać tylu prezentów. Przysyłanie pasażerom darmowego wina uznano za

odpowiednik życzeń szczęśliwej podróży i zarazem za najlepszy sposób zaproszenia do wspólnej, morskiej zabawy.

— Przed moją kajutą zgromadzono ze czterdzieści skrzynek z winem — wspomina Seabrook. — Był tam szampan w potężnych butlach, burgund; po prostu wszystko. Seabrook dzielnie się spisywał, usiłując wypić i rozdać to wino przed dopłynięciem do Monako. Wyniki tych starań były całkiem pomyślne. W czasie jednej z kolacji posłał butelkę szampana do stolika, przy którym siedziały atrakcyjne dziennikarki. Jedna z nich, korespondentka UPI, Elizabeth Toomey, po sześciu miesiącach została panią Seabrook. Natomiast po powrocie do Ameryki Jack Seabrook otrzymał wezwanie na oficjalne przyjęcie rady dyrektorów AT&T. Seabrook, który sam był dyrektorem firmy Bell w New Jersey, zaczął desperacko wkuwać dane na temat lokalnych warunków prowadzenia biznesu — jak się okazało zupełnie niepotrzebnie. W czasie przyjęcia natychmiast zrozumiał, że kierownictwo jednej z najpotężniejszych amerykańskich korporacji zaprosiło go wyłącznie po to, by z pierwszej ręki uzyskać relację ze ślubu Grace Kelly. Cały kraj żył tymi wydarzeniami. Na Broadwayu przez kilka miesięcy nie schodziło z afisza przedstawienie Happy Hunting („Udany podryw”) z udziałem Ethel Merman; naprędce sklecona opowieść o bogatej filadelfijskiej dziewczynie, odtraconej przez śmietankę towarzyską swojego miasta, do której zaleca się i którą ostatecznie zdobywa śródziemnomorski arystokrata. Magazyny mody prześcigały się w propagowaniu stylu „a la Grace Kelly”, sklepy zaś usiłowały ten wygląd sprzedać. Jeden z zegarów w głównej siedzibie NBC w Radio City wskazywał czas monakijski; rozgłośnia wyemitowała dwutygodniowy serial radiowy i telewizyjny na temat historii i kultury księstwa. Grace postrzegano jako schludną, błyskotliwą dziewczynę z sąsiedztwa, nic dziwnego zatem, że wszyscy „sąsiedzi” chcieli mieć swój udział w planowanej uroczystości. Jak ujęła to Ma Kelly w ostatnim, dziesiątym odcinku swojego cyklu artykułów:

— [Grace] stanowi wspaniały przykład tego, czym w naszym kraju jesteśmy i w co wierzymy. Jej historia w szczególny sposób potwierdza realność „amerykańskiego marzenia”.

Skoro mogła nasza Gracie, to i każda inna amerykańska dziewczyna może poślubić swojego księcia!

Trudno byłoby znaleźć w tym stwierdzeniu statystyczny sens, porównując liczbę amerykańskich dziewcząt gotowych do małżeństwa w styczniu 1956 roku z listą książąt poszukujących partnerek. Grace pochwyciła jednego spośród zaledwie kilku dostępnych w połowie lat pięćdziesiątych książąt-kawalerów pochodzących ze znanych rodów. Wypowiedź Ma Kelly miała jednak pewne realne podstawy. W każdym romansie jest taka chwila, gdy Piękny Królewicz sięga po dłoń Kopciuszka; Grace nadała temu momentowi całkowicie dosłowne znaczenie. Mity, w które głęboko wierzymy, nabierają cech rzeczywistości, a zimnowojenna Ameryka skwapliwie korzystała z okazji, by zapomnieć o schronach przeciwatomo-wych i głosowaniach w ONZ, całkowicie oddając się celebrowaniu takich prawdziwie ludzkich wartości jak nadzieja, zaufanie i czułość. Niestety, w samym sercu wydarzeń, na pokładzie „Constitution”, niektórzy pasażerowie musieli zapomnieć o czułości podczas codziennych zmagania z ponad tuzinem rywalizujących reporterów i fotografów, którzy gorliwie szukali sensacyjnych wiadomości

do przetelegrafowania na ląd. Agencje informacyjne zawzięcie rywalizowały o możliwość umieszczenia swoich ludzi na statku; liczba koi była przecież ograniczona. Od reporterów wymagano materiału na pierwsze strony gazet — nie wystarczały sprawozdania z turniejów shuffleboardu.

— To było straszne — wspomina Maree Frisby Rambo. — Niektórzy z nich byli nawet mili, jednak odnosiłam wrażenie, że czyhają tylko, aż Grace lub ktoś z jej otoczenia przewróci się i złamie nogę.

Wraz z zaręczynami i ślubem Grace Kelly współczesny świat poznał zjawisko „przeładowania medialnego”, czyli przesadnej aktywności środków masowego przekazu; takiej, która znacznie przewyższa liczbę i rangę nadających się do przekazania faktów. Rodzinie Kelly przyszło zetknąć się ze skutkami tej osobliwości. Już po dwóch „dnia, h rejsu jej członkowie otrzymali depesze od przyjaciół zatroskanych kwaśnym i zniechęcającym tonem reporterskich doniesień ze statku, które publikowano w niektórych amerykańskich gazetach. W korespondencjach tych spekulowano na temat nieporozumień rodzinnych, a podstawę tych rozważań stanowiło spostrzeżenie, że pokolenia starsze i młodsz<sup>^</sup>

używają różnych zestawów leżaków pokładowych. Krytkowano też pomysł wydzielenia na statku pewnych stref, do których — chcąc zapewnić Grace nieco prywatności — zakazano wstępu dziennikarzom.

Jack Kelly zwołał naradę wojenną. Postanowiono, że w trakcie pozostałej części podróży Grace poświęci nieco czasu każdemu z reporterów oddzielnie, wszyscy zaś powinni podjąć starania, aby przedstawiciele prasy czuli się częścią weselnego towarzystwa. Morgan Hudgins, rzecznik prasowy MGM, został zobowiązany do koordynowania programu wywiadów i sesji fotograficznych. Z upływem kolejnych dni materiały wysyłane do macierzystych redakcji stawały się coraz bardziej przyjazne i pochlebne. Wszystko to jednak było fraszką wobec perspektywy konfrontacji z dwoma tysiącami oczekujących w Monako dziennikarzy i fotografów z całego świata. Grace nie mogła przecież zadowolić ich w podobny sposób.

Gdy USS „Constitution” przekroczył Cieśninę Gibraltarską i zaczął posuwać się na północ, ku Francji — wówczas nastrój wakacyjnego obozu wyraźnie przygasł. „Amerykański” ocean zostawał z tyłu. Morze Śródziemne jawiło się jako terytorium Rainiera. Nadciągało nieznane.

Beztroski nastrój podróży nie powstrzymywał Grace od spędzania codziennie kilku godzin w kabinie, w asyście długich koszy z listami. Płaciła rachunki, sortowała papiery i wysyłała osobiste podziękowania do każdego, kto złożył jej życzenia lub przysłał prezent. Przed dopłynięciem do Monako chciała uporządkować i elegancko zamknąć swoje dotychczasowe życie. Ostatnią noc na transatlantyku spędziła również w ten właśnie sposób. Wymówiła się od wspólnej kolacji w salonie jadalnym. Wiedziała, że w Monako czekają mnóstwo podobnych okazji. Zamówiła do swojej kajuty tylko skromną przekąskę i zaprosiła Bettinę Thompson, z którą mieszkała w Barbizon. Wspominały dawne dni; nie obyło się bez łez.

Gdy po godzinie zajrzała tam Judy Kanter, obie dziewczyny były zapłakane. Oczy Grace wyglądały na zamglone, trochę nieobecne, zwrócone nie ku jakimś drobiazgom, lecz

wpatrzone w głąb duszy. Nikt nie miał ochoty na rozmowę. Przyszła księżna zrozumiała, że musi się uspokoić. To była ostatnia noc. Judy Kanter widziała, jak Grace odsuwa od siebie cały zgielek i blichtr podróży. Miała wrażenie, że przyjaciółka zaczęła metodycznie zbierać siły.

— Poszukiwała jakiejś wewnętrznej mocy; wiedziała, że wkrótce będzie jej potrzebować. Księżna zza morza.

Rankiem 12 kwietnia 1956 roku, około dziesiątej, silniki USS „Constitution” zmieniły ton. Licząca sześć i pół tysiąca kilometrów podróż zbliżała się do końca. Pastelowe rezydencje Monako ledwie majaczyły za szarą, matową mgłą. Opuszczono kotwicę. Gdy wszyscy pasażerowie wraz z załogą wyszli na pokład i stłoczeni przy balustradzie nadburcia podziwiali cel swojej wyprawy, transatlantyk lekko przechylił się w stronę lądu. Dokładnie o dziesiątej trzydzieści z portu wysunął się niewielki, wysmukły biały stateczek i wykonał elegancki zwrot w stronę liniowca. Był to jacht od dawna należący do monakijskiej rodziny panującej. Jego Książęca Wysokość Rainier III przybywał na spotkanie oblubienicy.

Grace wyglądała wspaniale. Miała na sobie elegancki, długi płaszcz z ciemnego jedwabiu. Oczy skrywała pod rondem białego, organdyńno-wego kapelusza, rozłożystego jak nakrycia głowy chińskich kulisów. Przedstawiciele prasy natychmiast skrytykowali kapelusz, narzekając, że nie sposób dostrzec pod nim twarzy słynnej narzeczonej. Jednak Grace gruntownie przemyślała swoją nową rolę. Uznała, że w tym momencie najlepiej będzie wyglądać na osobę nieśmiałą. Nie była już Naszą Panną Hollywood. Stawała się teraz Księżną zza Morza, nową matką, a zarazem służebnicą tego przerośniętego rybackiego portu. Jako dobra katoliczka, Grace instynktownie wyczuwała w szelkie przejawy rytualnego symbolizmu. Przybywała do Monako uśmiechnięta — lecz ze spuszczonej oczami.

Grace przeszła po kładce łączącej liniowiec z jachtem Rainiera ze swym pudłem Oliverem przy piersi. Dookoła krzątała się już flotylla motorówek, stateczków mieszkalnych, łódek rybackich i pontonów

Wydawało się, że całe Monako wypłynęło na wodę, by witać Grace w jej nowej ojczyźnie. Przelatujący hydroplan rozsypał tysiące czerwonych i białych goździków, dar od Arystotelesa Onassisa. Grace nigdy nie miała równie efektownego wejścia.

Rainier, gdy spotkał przyszłą żonę na pokładzie jachtu, poprzestał na uprzejmym uściśnięciu jej dłoni. Był teraz księciem na swym własnym terytorium. W zachowaniu narzeczonych dawało się wyczuć pewną nerwowość — zupełnie jak gdyby jeszcze raz nawiązywali znajomość. Od ich ostatniego spotkania minął już prawie miesiąc; obecność Jacka i Margaret Kellych też na pewno nie była pomocna. Jack, wyraźnie spięty, palił papierosa. Na statku był w swoim żywiole towarzyskim — jak wielki mistrz masońskiej loży. Teraz musiał się podporządkować innemu mistrzowi ceremonii.

Na portowym molo czekał już długi szereg monakijskich dostojników udekorowanych szarfami i orderami; we frakach i tych wysokich kapeluszach, które uwielbiają francuscy urzędnicy miejscy. Były ukłony, powitalne mowy i mnóstwo uścisków rąk. Wzdłuż ulic zgromadzono dzieci z chorągiewkami. Z balkonów wyglądały uśmiechnięte twarze.



Wyglądało na to, że do Monako ściągnęły wszystkie orkiestry dęte Riwiery, by mieć swój udział w ogólnej radości.

— Wyglądasz na szczęśliwą, moje dziecko — zwróciła się do Grace mówiąca po angielsku żona jakiegoś monakijskiego dygnitarza.

— Najważniejsze — odparła Grace — że z każdą chwilą czuję się coraz bardziej szczęśliwa.

Para narzeczonych wsiadła następnie do samochodu, by poprzez urocze, uliczki portu i krętą górską drogę przedostać się do pałacu. Tam znowu czekało na Grace wiele rąk do uściśnięcia — wszyscy pałacowi służący (również przystrojeni licznymi medalami) ustawili się w równym szeregu.

— Ciekawe, czy dostają medal za każdy serwowany posiłek? — dwo-rował sobie jeden z gości.

Działo się to dokładnie na tydzień przed planowanym ślubem. Tradycja nakazywała przeznaczyć te siedem dni na jeden wielki ciąg wyszukanych bankietów i mniej oficjalnych przyjęć, których zadaniem było wytworzenie więzów przyjaźni między dwiema rodzinami — z reguły nie znającymi się nawzajem i raczej sobie niechętnymi.

Inauguracją tego procesu był lunch w dniu przyjazdu. W pałacu zgromadziło się dwudziestu czterech wybranych Kellych i Grimaldich. Obowiązywały oficjalne stroje, uściski rąk i zdawkowe rozmowy. W tym momencie Grace przestała „czuć się coraz bardziej szczęśliwa”. Przyszła teściowa, księżna Charlotte — w rodzinie znana jako „Mamou” — nie okazała jej najmniejszej nawet serdeczności; była zimna, pełna pogardy i w wyrażnie złym humorze. Matka Grace na pewno nie poprawiła tej atmosfery, klepiąc Mamou kordialnie po ramieniu z okrzykiem:

— Cześć! Jestem Ma Kelly!

Prawie wszyscy członkowie rodziny Grimaldich zachowywali się z dziwną powściągliwością. Zupełnie tak, jak gdyby starali się zataić jakiś wstydlivy fakt — na przykład istnienie obłąkanego kuzyna, o którym nikt nie ma ochoty rozmawiać. Musiało minąć kilka dni, zanim do Kellych dotarła cała prawda. Wyszło na jaw, że ich przyszli europejscy powinowaci wybitnie się nie znoszą. Była to awersja tak silna, że większość z nich już dawno przestała ze sobą rozmawiać.

Jak na rodzinę, która zdołała utrzymać władzę przez ponad sześćset pięćdziesiąt lat, klan Grimaldich był wyjątkowo kłótlivy — co prezentował na zewnątrz z godną uwagi nonszalancją. Mniej więcej wtedy, gdy Rainier przychodził na świat, jego rodzice podjęli decyzję o separacji; wkrótce potem przypieczętowaną rozwodem. Matka Rainiera, Mamou — tak lekceważąco traktująca Grace przy pierwszym spotkaniu — była zdesperowaną kobietą, która w późnych latach dwudziestych uciekła w towarzystwie włoskiego lekarza od swojego męża, księcia Pierre'a de Polignac — głośno narzekając na jego sztuczny, pompatyczny styl życia.

— Nawet kochać się nie potrafi bez swojej korony na głowie — twierdziła.

Rainier był młodszym spośród dwojga dzieci zrodzonych z tego nieudanego związku. Jego siostra Antoinette, osoba o nieciekawym charakterze, znana w rodzinie jako „Tiny”, spędziła większość dzieciństwa i lat dojrzałych na wodzeniu się za łby z bratem. W kwietniu 1956 roku Tiny była w separacji ze swym pierwszym mężem (miała ich później

jeszcze dwóch), zasłużonym monakijskim tenisistą. Trwał teraz jej romans — całkiem jawny — z Jean-Charlesem Feyem, ambitnym lokalnym dostojnikiem, jednym z członków Rady Narodowej księstwa. Tiny usiłowała wraz z Reym spowodować detronizację brata, bazując na obawach, rozpowszechnionych w Monako — przynajmniej do czasu zaręczyn z Grace — o należyte wypełnianie przez Rainiera książęcych powinności.

[Rainier] skłania się obecnie — donosił konsul amerykański w Nicei — ku obcięciu dochodów księżniczki.

Jakby tego było mało, Rainier pokłócił się ostatnio z przybraną babką, księżną Ghislaine, aktorką, którą jego dziadek poślubił na starość, i zarządził usunięcie jej z pałacu.

Jeśli wszystkie europejskie domy panujące odmówiły udziału w ślubie Grace i Rainiera, to stało się tak między innymi z powodu owej swarliwej natury Grimaldich. Poprzestano na przesyłaniu standardowych srebrnych tac lub papierośnic; żaden monarcha nie uznał za stosowne uświetnić uroczystości swą obecnością. Za jedyną namiastkę królewskiego majestatu musieli wystarczyć opasły i obwieszony klejnotami Aga Khan na wózku inwalidzkim oraz były król Egiptu Faruk. Ten ostatni znany był ze swego strachu przed zamachowcami; w ciemnych okularach i fezie przyczał się w Hotel de Paris.

Członkowie rodziny Grimaldich mieli reputację pretensjonalnych próżniaków plażowych. Zdawali sobie z tego sprawę, co dodatkowo potęgowało ich chorobliwą arogancję.

Rainier wchłonął znaczną dawkę owej cechy, jednak najbliższe mu kobiety, Mamou i Tina, były nią dotknięte w stopniu wręcz śmiertelnym. Prawdziwym powodem, dla którego książę Pierre, ojciec Rainiera, chciał odwiedzić Los Angeles w okresie gdy Grace pracowała nad filmem *High Society*, wcale nie była chęć poznania przyszłej synowej. Chodziło raczej o przedyskutowanie z Rainierem sposobów zażegnania kłopotliwych rodzinnych konfliktów. Dobre intencje obróciły się jednak przeciw księciu — nieco nudnawemu starszemu panu z siwym wąsikiem i zamiłowaniem do literatury — gdy powrócił do Monako z pochwałą Grace na ustach. Książę oświadczył, że młoda Amerykanka jest dokładnie taką kobietą, jakiej potrzeba Rainierowi i księstwu. Niestety, jego eks-żona, Mamou, właśnie dzięki owej rekomendacji doszła do dokładnie przeciwnego wniosku. Gdy w czwartek 12 kwietnia zjawiała się na pamiętnym lunchu, miała już na temat planowanego małżeństwa wyrobione zdanie — uznała je za mezalians — i starała się to dać do zrozumienia zarówno Grace jak i pozostałym Kellym. Jednak prawdziwą rodzinną furię wywołał dopiero incydent, który zdarzył się w dniu następnym. Matthew McCloskey, stary przyjaciel i polityczny sprzymierzeniec Jacka Kelly'ego, wydawca filadelfijskiego *Daily Inquirer* ogłosił w sobotę, 14 kwietnia, że poprzedniej nocy z pokoju jego żony w Hotel de Paris zniknęła biżuteria o wartości pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Natomiast Maree Frisby, jedna z druhen, doniosła w kilka godzin później o kradzieży swoich klejnotów wartych osiem tysięcy dolarów. Powyższe wiadomości niesłychanie uradowały dwa i pół tysiąca zgromadzonych w Monako dziennikarzy, bezskutecznie — jak dotąd — wypatrujących sensacji.

Wskazywano na echa filmu „Złodziej w hotelu”, które zdawały się pobrzmiwać w tej historii.

Książę Rainier był tak wściekły z powodu kradzieży — napisał Art Buchwald — że... zakazał złodziejom biżuterii wstępu na uroczystość ślubną. To drastyczne posunięcie wywołało liczne protesty ze strony środowisk złodziejskich wszystkich narodowości. Buchwald był bliższy prawdy, niż przypuszczał. Istniały bardzo osobiste przyczyny, dla których kradzieże klejnotów z Hotel de Paris doprowadziły Rainiera do tak widocznej furii. Mamou, odkąd zerwała ze swoim włoskim doktorem (w jednej z romantycznych kłótni usiłowała go nawet zastrzelić), nawiązała szereg dziwnych znajomości z kryminalistami warunkowo zwolnionymi z więzienia. Matka Rainiera, osoba uparta i zawzięta, dostrzegła w resocjalizacji tych grzeszników życiowe powołanie. Na swojego towarzysza podczas ślubnych uroczystości wybrała pewnego jegomościa w przyciasnym białym uniformie, oficjalnie znanego jako jej szofer. Był to René Girier, paradujący z laseczką złodziej biżuterii, znany też jako „René la Canne” (René Laska). W miarę jak wiadomości o kradzieżach w hotelu nabierały rozgłosu, „Laska” stawał się coraz bardziej oczywistym podejrzanym. Rainier nalegał, by Girier — zwolniony warunkowo, po wyroku za kradzież — natychmiast opuścił terytorium księstwa. Mamou nie chciała słyszeć o rozłące ze swym pupilem. Spór rozgorzał na dobre, gdy włączył się do niego książę Pierre, stając po stronie syna. Goście z Ameryki byli zdumieni widokiem dwojga starszych już i od dawna żyjących w separacji rodziców pana młodego, którzy — nie zważając na ich obecność — zażarcie kłócili się podczas jednego z przedślubnych przyjęć. Padały przy tym mało subtelne inwektywy; książę Pierre ostentacyjnie nawiązywał do faktu pochodzenia swojej eks-małżonki z nieprawego łóża. Grace nienawidziła tego typu przedstawień. Gdy tylko słyszała podniesione głosy, natychmiast usiłowała powędrować myślami gdzie indziej. Szczególnie dotkliwie odczuwała wrogość okazywaną jej przez Mamou; było to tak otwarcie prezentowane lekceważenie, że Grace wątpiła, aby kiedykolwiek mogły się zaprzyjaźnić. I rzeczywiście nigdy do tego nie doszło. Mamou, zdecydowana pogardzać synową-aktorką, zaraz po ślubie opuściła Monako na zawsze. Wprawdzie Rainier i Grace, już jako małżeństwo, regularnie ją odwiedzali (później wraz dziećmi) w zamku Marchais na północy Francji, Mamou nigdy jednak nie złagodniała. Jej dom, pisała Grace do Dona Richardsona w 1972 roku, był zimny jak pierś czarownicy (ręcznie pisany oryginał listu wskazuje, że autorka listu posłużyła się słowem „cycek”, które następnie wykreśliła i zastąpiła wyrazem bardziej dostojnym). Oczywiście — pisała dalej — sposób, w jaki traktuje mnie teściowa, w najmniejszym stopniu nie rozgrzewa atmosfery. Momou stanowiła przypomnienie, że życie prawdziwej księżnej rzadko kiedy przypomina bajkę; zniechęcające były też doświadczenia związane z obecnością w Monako tłumów reporterów i fotografów. Na weselny tydzień przedstawiciele prasy światowej najechali małe księstwo jak wroga armia. Byli wścibscy, wrzaskliwi i — wraz z każdym dniem, który nie przynosił obfitych łupów — coraz bardziej pozbawieni szacunku dla obiektu swych zainteresowań. Rainier, jadąc pewnego popołudnia samochodem wraz Grace i jej rodzicami, zwinął i zatrzymał się na widok nieruchomego ciała leżącego w poprzek drogi. Gdy tylko wysiadł, by spieszyć z pomocą, natychmiast znalazł się w potrzasku, otoczony tłumem fotografów. „Ciało” także ożyło — z aparatem fotograficznym w ręce. Była to wojna na całego, do której włączył się również Howell Conant. Gdy tylko dojrzał

„wolnego strzelca" pstrykającego zza węgła nie autoryzowane zdjęcia, natychmiast starał się odtworzyć identyczne ujęcie, po czym szybko publikował własne fotografie, by uczynić bezwartościowym podstępnie zdobyty „bombowy materiał".

Takie akcje Conanta odbywały się za pełnym przyzwoleniem Rainiera; księżę obsesyjnie wręcz dążył do maksymalnej prywatności podczas ślubu. W Ameryce musiał pogodzić się z traktowaniem, które uważał za pozbawione należnego szacunku, jednak tutaj, na własnym terenie, nie widział powodu do podobnych ustępstw. Wykwaterowano miejscową szkołę, przemieniając jej budynek w prowizoryczne centrum prasowe. Młody, niedoświadczony dyrektor centrum usiłował przejąć styl Rainiera — odmawiał osobistych spotkań z przybywającymi dziennikarzami i wygłaszał komunikaty przez dudniący megafon, i to wyłącznie po francusku. Gdy naciski wzrosły, wówczas, znękany, zamknął się w swoim biurze, odmawiając rozmowy z kimkolwiek.

Takie funkcjonowanie centrum prasowego stało się przyczyną nieprawdopodobnego bałaganu i oburzenia. Ustalenie terminarza zupełnie niewinnych publicznych wydarzeń zabierało dziennikarzom mnóstwo czasu. Zamieszanie sięgnęło zenitu nocą 15 kwietnia, na cztery dni przed ślubem. Rainier i Grace byli honorowymi gośćmi na bardzo oficjalnym przyjęciu w Klubie Sportów Zimowych obok Hotel de Paris, a tłum reporterów przez pięć godzin cierpliwie czekał pod budynkiem, w strugach ulewnego deszczu. Narzeczeni, skryci pod parasolami, wreszcie się pojawili. Podbiegli jednak prosto do samochodu, nakazując kierowcy bezzwłoczny odjazd. Reakcja reporterów była natychmiastowa. Napierali na samochód — krzycząc, gwizdząc, wygrażając pięściami i walcząc z policją. Słyszano nawet, jak ktoś zawołał: Wracaj do domu, Gracie! Aresztowano dwóch dziennikarzy. Monakijski policjant zniszczył aparat fotograficzny jakiegoś francuskiego reportera, za co ten dotkliwie go pobił.

Było już około wpół do drugiej następnego popołudnia, gdy do Jaya Kantera (właśnie jadł wraz z żoną lunch w Hotel de Paris) dotarły wieści o nocnych wydarzeniach. Rainier złagodniał. Zaprosił agenta Grace do pałacu w celu przedyskutowania nowej strategii stosunków z prasą. Ustalono, że Morgan Hudgins, człowiek z MGM, będzie nadzorować codzienne prowadzone po angielsku i po francusku konferencje prasowe. Miano drukować więcej dwujęzycznych materiałów informacyjnych. Uradzono też, że księżę i jego przyszła żona codziennie „pomarudzą" nieco w trakcie przynajmniej jednego, wcześniej ustalonego punktu swojego programu, tak aby możliwe było nieskrępowane i nie naruszające ich godności wykonanie aktualnych zdjęć.

Najbliższa noc miała się okazać pewnym przełomem w trakcie ślubnego tygodnia — odtąd już wszystko było nieco łatwiejsze. Na wieczór zaplanowano początkowo oficjalną, pałacową kolację przy stole dla państwa młodych i druhen. Narzeczeni zdecydowali się jednak przemienić tę imprezę w spotkanie o znacznie mniej formalnym charakterze. Do listy zaproszonych gości dodano jeszcze tuzin "starych przyjaciół" Grace, potrawy zaś rozstawiono na długim stole pałacowego refektarza, organizując w ten sposób rodzaj samoobsługowego bufetu. W kominku zapłonął wielki trzaskający ogień, goście jedli z talerzyków trzymany na kolanach. Grace pokazywała roześmianemu towarzystwu swoje ślubne prezenty i niektóre zakamarki pałacu.

Rainier był w nadzwyczaj dobrym nastroju; zabawiał zebranych

opowiadaniem na przemian swoich wspomnień i różnych dowcipów — niektóre z tych ostatnich dotyczyły jego samego.

— Czy to nie zdumiewające, jak płynnie Grace mówi po francusku? — przytaczał swoje pytanie zadane niegdyś ojcu Tuckerowi.

— Mój Książę Panie — miała brzmieć odpowiedź księdza — wiedziałem, że miłość jest ślepa, lecz nie miałem pojęcia, że jest i głucha.

Przyjęcie powinno się było zakończyć przed północą. Zarówno Grace jak i Rainier musieli następnego dnia realizować napięty terminarz spotkań. Jednak północ nadeszła i minęła bardzo szybko, a żadne z nich nie miało ochoty dawać jakiegokolwiek sygnału do zakończenia spotkania. Bawili się znakomicie prawie do świtu.

Gospodarz i gospodyni zeszli później wraz z gośćmi na pałacowy dziedziniec i odprowadzili ich do samochodów. Ciągle jednak nie mieli ochoty na odpoczynek. Niebo właśnie zaczynało się rozjaśniać. W porcie panowała cisza. Opustoszały ulice.

Kilkakrotnie już pośród zamieszania i napięcia ostatnich dni Grace napomykała Rainierowi, jak przyjemnie byłoby uciec od tego wszystkiego i wziąć ślub samotnie, tylko we dwoje, w jakiejś górskiej kapliczce. Książę postanowił teraz przynajmniej częściowo spełnić marzenie narzeczonej. Wsiedli do sportowego mercedesa, po czym bez żadnej eskorty opuścili teren pałacu, kierując się poza Monako, w górskie okolice.

Wzniesli się ku malowniczym francuskim wioskom Eze i La Turbie. Tam wysiedli z samochodu i trzymając się za ręce, spacerowali pod górę po stromych, brukowanych uliczkach między uśpionymi domostwami w poszukiwaniu miejsca, gdzie mogliby przez chwilę odpocząć. Potem ścigali się, zbiegając ze wzgórza. Nad niebieskozielonymi wodami Morza Śródziemnego wschodziło słońce.

O ósmej trzydzieści byli już z powrotem w samochodzie. Kręta droga prowadziła naręczonych w dół — do Monako. A tam czekał ich kolejny trudny, wypełniony towarzyskimi obowiązkami dzień, w który wkraczali po nie przespanej nocy. Jeszcze po latach Grace drżała na wspomnienie swojego przedślubnego tygodnia.

— Wszystko to razem było jak koszmar, naprawdę — mówiła przyjaciółom.

Przy okazji wyjawiała też, że musiał minąć prawie rok, zanim mogli z Rainierem bez przykrości przeglądać ślubne fotografie. Jednak tam, na wzgórzach wokół La Turbie, udowodnili (jeśli w ogóle wymagało to dowodu), że stanowią parę autentycznie zakochanych w sobie ludzi,

którym przyszło przebywać w samym środku hałaśliwego, często wręcz jarmarcznego widowiska.

Rankiem, w środę 18 kwietnia 1956 roku, Patricia Grace Kelly uczestniczyła w pierwszej ze swoich trzech ceremonii ślubnych. Był to ślub cywilny, wymagany przez monakijskie prawo. Bezpośrednio po nim miała się odbyć wierna powtórka cywilnego rytuału — dla potrzeb filmu kręconego przez Metro-Goldwyn-Mayer. Natomiast końcowy i ostateczny ślub kościelny, w katedrze, zaplanowano na następny dzień.

Grace wyglądała na zmęczoną. Pod oczami miała ciemne obwódki — świadectwo nie przespanej nocy i uciążliwości reprezentacyjnych obowiązków ostatnich dni. A jednak emanowało z niej uczucie dziwnego spokoju i siły. Była kobietą, która wspięła się na sam szczyt. Realizowało się jej przeznaczenie. Dostawała coś, czego pragnęła przez całe

życie, nawet nie potrafiąc tego nazwać — i nic już nie mogło stanąć na jej drodze. Hrabia d'Allieres, szambelan Rainiera, człowiek odpowiedzialny za wszystkie formalności ślubne, stracił tego ranka przytomność i leżał w szpitalu pod namiotem tlenowym. Młody dyrektor centrum prasowego ciągle barykadował się przed prasą w swoim biurze, a drużyny miały do załatwienia tysiące spraw, które wyniknęły w ostatniej chwili. Jednak Grace wchodziła już do swojej prywatnej stratosfery. Nawet gdyby zważyła w miłość do księcia lub w słuszność podjętej decyzji, nie okazałaby teraz wahania. Była na szlaku, z którego żadna siła nie mogła jej sprowadzić.

Po ślubie cywilnym i jego sfilmowaniu dla wszystkich dorosłych obywateli Monako zorganizowano na terenach pałacowych gigantyczne przyjęcie pod gołym niebem. Trzy tysiące rozentuzjasmowanych Mo-nakijczyków w swoich najlepszych ubraniach i kapeluszach tłoczyło się, by wznieść kielichy w toaście na cześć książęcej tary i skonsumować trzy tysiące kawałków specjalnego tortu weselnego. Na tle różnych imprez przedślubnego tygodnia wkład mieszkańców Monako w urozmaicenie uroczystości oceniano bardzo wysoko. Były śpiewy i tańce ludowe — zaprezentowane na estradach rozstawionych na placu przed książęcą rezydencją. A na koniec — dla zaprezentowania dziedziny sztuki, którą Monako uważa za swą specjalność — odbył się godzinny pokaz ogni sztucznych. Eks-król Faruk, któremu przytrafiło się wyjść na spacer akurat w chwili rozpoczęcia tego spektaklu, słysząc eksplozje, natychmiast zawrócił w bezpieczne zacisze hotelowego holu.

W dzień ślubu, czwartek 19 kwietnia 1956 roku, od rana świeciło słońce. Grace wstała wcześniej, by Virginia Darcy mogła się zająć jej włosami. W porcie grzmiały działa. Drużyny zjawily się punktualnie o ósmej trzydzieści; każda z nich została powitana jakimś niewinnym żartem lub komentarzem. Taki serdeczny i bezpośredni stosunek do przyjaciół był dla Grace typowy. Przy okazji jednak, jak zauważyła Judy Kanter, panna młoda sięgnęła po technikę autorelaksu wypracowaną jeszcze w czasach aktorskich, gdy przed wyjściem na scenę należało się odprężyć.

Wszyscy goście byli proszeni o zajęcie miejsc w katedrze przed godziną dziewiątą trzydzieści; dla uniknięcia tłoku zakazano wjazdu prywatnych samochodów na górę katedralną. Nawet najznamienitsi przybysze zostali w ten sposób zmuszeni do opuszczenia swoich limuzyn już w porcie i do zajęcia miejsc w specjalnych autobusach — co w przypadku pani Balaban, żony założyciela Paramount Pictures (i matki Judy Kanter) stworzyło prawdziwie patową sytuację. Pani Balaban stanowczo odmawiała zaakceptowania tak niegodnego środka transportu... dopóki nie ujrzała pasażerów jednego z autobusów. Przednie siedzenie zajmowała księżna Westminsteru, za nią zaś można było dostrzec równie szacowne damy w towarzystwie wyfraczonych dżentelmenów.

Goście zajmujący miejsca w katedrze tworzyli dziwne zbiorowisko. Byli tu Arystoteles Onassis, Randolph Churchill, Ava Gardner, orientalni potentaci. Gdy nawzajem taksowali się wzrokiem, ukazując bogatą gamę odcieni opalenizny i twarze poddane najróżniejszym operacjom plastycznym, przywodzili na myśl powiedzonko Somerseta Mau-ghama o słonecznych miejscach i mrocznych ludziach. Zresztą sam wielki szyderca był tu również; skarżył się, że marzną mu nogi, i zboliałym wzrokiem wodził za kamerami

telewizyjnymi. Przebieg uroczystości transmitowano na żywo do ponad trzydziestu milionów widzów w dziewięciu krajach europejskich; było to największe i najbardziej skomplikowane przedsięwzięcie telewizyjne tamtych lat.

Ojciec Tucker wskazał druhnom miejsca w bocznej nawie. Jego zadaniem było nadzorowanie tego małego zastępu niekatolickich dziewcząt. W trakcie mszy głośnym scenicznym szeptem nakazywał im wstać, uklęknąć lub usiąść. Mszę celebrował Jego Ekscelencja Gilles

Barthe, biskup Monako, w asyście ojca Johna Cartina z parafii Świętej Bridget w East Falls.

Rainier wystąpił w galowym mundurze własnego projektu. Wyglądał jak czekoladowy żołnierz udekorowany gmatwaniną złotych listków, epoletów i strusich piór. Spodnie miały kolor błękitny. Całość, inspirowana ponoć uniformami napoleońskich marszałków, obłożona mnóstwem medali i orderów, raziłaby nawet w operetce, tutaj zaś — w kraju niezbyt niepodległym, który od wieków nie stoczył żadnej bitwy, a w trakcie krwawych wojen światowych szukał schronienia za plecami innych — niebezpiecznie zbliżała się do granicy złego smaku.

Hollywood, na szczęście, okazało więcej powściągliwości przy projektowaniu skomplikowanej, lecz skromnie wyglądającej sukni panny młodej: dwadzieścia trzy metry jedwabiu, tyleż metrów jedwabnej tafty, dziewięćdziesiąt metrów tiulu i około trzystu metrów wstążek z Valenciennes. W sukni zaprojektowanej przez Helen Rosę Grace prezentowała się wspaniale; sunęła po katedrze jak wysmukły łabędź. Włosy, ułożone do tyłu i przykryte tylko małym toczkiem, nadawały jej nieco elżbietański wygląd. W ciągu minionych siedmiu dni Grace straciła około pięciu kilogramów, co czyniło jej talię smuklejszą jeszcze niż zazwyczaj. Sylwetka pięknej kobiety była wyraźnie dostrzegalna pod zasłoną turniur i buf.

— Rainierze Louisie Henri Maxence Bertrandzie — zapytał biskup — czy chcesz pojąć obecną tu Grace Patricję za swą prawowitą żonę, zgodnie z obrzędem naszego Kościoła Świętego?

— Tak, Wasza Ekscelencjo — odparł książę.

— Grace Patricio, czy chcesz pojąć obecnego tu Rainiera Louisa Henriego Maxence'a Bertranda za swego prawowitego męża, zgodnie z obrzędem naszego Kościoła Świętego?

Grace nie wahała się nawet przez chwilę.

— Tak, Wasza Ekscelencjo — odpowiedziała.

Ani terkotanie kamer filmowych, ani oślepiające światło zainstalowane przez techników telewizyjnych nie były w stanie umniejszyć powagi tych chwil. Krótka wymiana tradycyjnych formuł miała osobisty, uniwersalny wymiar elektryzujący świadków uroczystości. Biskup wygłosił krótką homilię, w której zawarł kilka rad dla państwa młodych. Przypomniał Rainierowi o potrzebie łagodzenia mężowskiego autorytetu czułością, a Grace — o tym, że uroda jest wartością ulotną.

— Nie zna Gracie — mówiła później jedna z druchen — skoro uznał, że należy o tym wspomnieć.

Wrota katedry zostały wreszcie otwarte. Do środka wtargnęło śródziemnomorskie słońce. Maree Frisby i pozostałe drużyny zdążyły za Grace ku temu światłu poprzez nawę kościoła, doznając jednocześnie uczucia wyjątkowej bliskości ze swoją przyjaciółką; były dumne i dzieliły radość z jej dokonań. Wiedziały jednak, że Grace już do nich nie należy, że wkracza w inny wymiar, o którym przypominały wiwatujące na zewnątrz świątyni tłumy.

Radosne owacje towarzyszyły państwu młodym, gdy krętą drogą powoli zjeżdżali na dół, do portu. Świadkowie tamtych wydarzeń odnosili prawie namacalne wrażenie, że wokół Grace unosi się jakaś mistyczna aura; wrażenie to stało się szczególnie wyraźne, gdy ślubny orszak przystanął obok małej kapliczki na skraju portu. Był to kościół Świętej Devoty, patronki księstwa, męczenniczki, która w czasach rzymskich głosiła Dobrą Nowinę na Korsyce i której ciało — cudownym sposobem poprowadzone przez gołębicę — trafiło z powrotem do Monako w czasie burzy. Co roku, w styczniu, w dzień świętej Devoty monakijscy rybacy oddawali cześć swojej patronce; był to mroczny, prawie pogański rytuał polegający na paleniu łodzi przed kaplicą. Dzisiaj Grace zapragnęła pokłonić się świętej. W trakcie ceremonii ślubnej trzymała w rękach małą białą Biblię i gałązkę konwalii. Teraz złożyła swój ślubny bukiet na ołtarzu męczenniczki i uklękła przy jej grobie. Usta Grace, szepczące słowa modlitwy, poruszały się ledwie dostrzegalnie w tym religijnym akcie poświęcenia i samooddania. Przez tę chwilę była piękną siostrą Inez z kaplicy w Ravenhill.

W pałacu należało jeszcze pozować do zdjęć i kroić ślubny tort. Wielkie przyjęcie na dziedzińcu rezydencji zgromadziło ponad sześciuset gości; Rainier i Grace nie byli oczywiście w stanie przywitać się ze wszystkimi. Starali się zachowywać bardzo uprzejmie, jednak dla osób im bliskich było jasne, że marzą o samotności. Przez miniony tydzień skrupulatnie wypełniali swoje towarzyskie powinności. Teraz nadchodził ich własny czas.

Krótko po wpół do trzeciej państwo młodzi dyskretnie zniknęli, by wrócić po godzinie w mniej oficjalnych strojach. Grace pożegnała się z rodziną i przyjaciółmi. Później odbyła się ostatnia, pełna radości przejażdżka otwartym samochodem — od pałacowej bramy, przez

skaliste wzgórze katedralne, aż po przystań, gdzie przycumowano gotowy do rejsu jacht. Reszta towarzystwa weselnego przeniosła się na mury otaczające pałac, skąd rozciągał się widok na port, a także, ku wschodowi, na otwarte morze. Jedna z druhen rozsypała na wietrze kilka garści przywiezionego ze Stanów ryżu. Można było dostrzec jasną sylwetkę Grace na mostku kapitańskim odległego jachtu, który wypływał już z portu. Wraz z nim sunęła cała flotylla małych stateczków i łódek, równie niesforna i hałaśliwa, jak tydzień wcześniej. Dochodziła piąta po południu, a słońce kryło się już za górami, gdy jacht księcia Monako oderwał się od tej eskorty — biały, wysmukły, z nową księżną na pokładzie.

Część czwarta. Księżna. Sprawa rodzinna.

Zimową nocą w styczniu 1297 roku grupa zakapturzonych zakonników zastukała do drzwi pałacu Monako i poprosiła o udzielenie schronienia. Litując się nad świątobliwymi



mężami, Genueńczycy okupujący fortecę na skale otworzyli wrota... po czym zostali wycięci w pień. „Braciszkwowie” byli członkami i najemnymi żołnierzami rodziny Grimaldich — ambitnego klanu awanturników z północnych Włoch działającego pod wodzą Francesco Grimaldiego, znanego historykom jako „ii Malizia”, czyli Francois Przebiegły. Pod zakonnymi szatami napastnicy ukrywali broje i miecze. Odebrali Genueńczykom kontrolę nad Monako i z nielicznymi krótkimi przerwami pozostają władcami tego kraju po dziś dzień.

Rodzina Grimaldich zawsze była dumna z tej opowieści. Kiedy uzyskała szlachectwo, wybrała sobie na herb dwóch dobrotliwie wyglądających braciszków wyjmujących miecze spod sutann. Współczesne przewodniki rozpoczynają się peanami na cześć wyjątkowego sprytu „ii Malizia” —jego imię nosi obecnie jacht księcia Rainiera — a sądząc po tym, ile razy sama Grace opowiadała o tym wydarzeniu, było ono punktem wyjścia do zrozumienia historii jej nowej rodziny. Jednak amerykańska księżna nie pojmowała, a może wolała nie pojmować, że podstęp i brak skrupułów miały długą tradycję w sprawach rodziny, do której teraz weszła.

Podwaliną władzy Grimaldich była skała. Wznosi się stromym masywem z Morza Śródziemnego, niczym północny Gibraltar. Kiedy spogląda się na nią z wyższych szczytów, łatwo zrozumieć, że w czasach miecza i żaglowców człowiek panujący na owej skale kontrolował ten kawałek wybrzeża. Przez długie wieki rodzina Grimaldich utrzymywała

się z wymuszeń, pobierając myto od przepływających statków za bezpieczne przejście lub grabiąc jak piraci każdą jednostkę, która odmówiła zapłaty. Wygrywali jednych ze swych potężniejszych sąsiadów przeciw drugim. Status książąt zdobyli w szesnastym wieku, przyłączywszy się do Hiszpanii, po czym sto dwadzieścia lat później sprytnie przeszli na stronę Francji, kiedy gwiazda tego królestwa zaczęła błyszczeć coraz jaśniej. Nigdy żaden Grimaldi nie został prawdziwym księciem królewskiego rodu, jednak obdarzano ich nieco skromniejszym tytułem „Książęcej Wysokości”.

Miejscowi Monakijczycy traktowali rządzących Grimaldich z szacunkiem graniczącym z nabożną czcią. Niski, ruchliwy i śniadoskóry lud mieszkanką włoskich i francuskich cech przypominający Korsykańczyków, składający się z kilku tysięcy rybaków i plantatorów oliwek bogacił się, chroniony przez zbrojnych mężów z zamku. Między Marsylią a Genuą nie było społeczności, której powodziłoby się lepiej. Tak więc mieszkańcy nie słuchali tego, co zawistny świat opowiadał o ich władcach. Pod koniec siedemnastego wieku, na dworze Ludwika XIV, księżniczka Szarlota-Katarzyna Grimaldi słynęła z rozwiązłych obyczajów. Kokota szokująca nawet libertynów z Wersalu, „Madame de Monaco”, podobno cieszyła się jednakowym powodzeniem u mężczyzn i u kobiet, nie wspominając już o łaskach samego Króla-Słońce. Jednak w swoim księstwie była znana jako opiekunka zakonu wizytek i po dziś dzień oficjalne opracowania historii Monako wspominają o niej jako o osobie pobożnej i uczciwej.

Połowa dziewiętnastego wieku przyniosła kres istnieniu takich państweczek jak Monako. W 1861 roku Francja zaanektowała otaczające zamek miasta i wioski — ponad dziewięćdziesiąt procent obszaru księstwa — pozostawiając skałę, port i niewiele więcej. Jednak kiedy wydawało się, że już wszystko stracone, książę Kirol III, kolejny rządzący

Grimaldi, wpadł na pomysł z kasynem, co zapewniło księstwu bilet do dwudziestego wieku. Reorganizując raczkujący przemysł turystyczny i oddając go w leasing Societe des Bains de Mer, Karol dowiódł, że zaufanie, jakim obywatele darzyli swego władcę, było w pełni zasłużone, wzgórze zaś po drugiej stronie zatoki, na którym stanęło nowe kasyno, od tamtej pory nosi jego imię — Monte Carlo.

Kasyno zmieniło Monako i zapoczątkowało jego błyskawiczną transformację w nowoczesne państwo. Nadającymi ton byli arcyksiężęta z Rosji i Europy Wschodniej z orszakami służących i prywatnymi salonkami. Nocami grali w kasynie, a w dzień leczyli kaca, spacerując po palmami na promenadzie lub strzelając do nieszczęsnych gołębi wypuszczanych tuzinami z koszyków na urwistych skałach — słynnych Tir aux Pigeons. W Monte Carlo królowały najślynniejsze kurtyzany Europy: Lillie Langtry, Alice Keppel, La Belle Otero, Mata Hari. Sarah Bernhardt i Raoul Gunsbourg sprowadzili teatr i operę. Diagilew przybył ze swym rosyjskim baletem. Przepych i marność pienili się jak szampan, podkreślane i symbolizowane przez bogactwo stiuków na budynku kasyna, na Hotel de Paris, Hermitage oraz innych arcydziełach Charlesa Garniera, najwspanialszego architekta belle époque. Grimaldi trzymali się z daleka od tego zamieszania, na wzgórzu po drugiej stronie portu. Mniej zapalczwi od niektórych swych przodków, stworzyli prawa zakazujące członkom książęcej rodziny i wszystkim Monakijczykom wstępu do kasyna w celu uprawiania hazardu. Karol III spędził ostatnie dziesięć lat życia w całkowitym odosobnieniu, natomiast pasją jego syna Alberta były długie morskie wyprawy badawcze. Architektonicznym wkładem Alberta we współczesny obraz księstwa jest ogromne Muzeum Oceanograficzne wzniesione na skale w pobliżu katedry, wypełnione rogami narwali, wypchanymi wielorybami oraz niezliczonymi wyblakłymi i zakonserwowanymi okazami, które przywiózł ze swych dalekomorskich wypraw.

Syn Alberta, Ludwik, uwielbiał żołnierkę. Zaciągnął się do armii francuskiej i dostał przydział do Afryki Północnej, co doprowadziło do szeregu niezwykle wydarzeń związanych z narodzinami i sukcesją Rainiera III oraz jego siostry Tiny. Podczas kilkumiesięcznej służby w Algierii Ludwik miał romans z córką swojej praczki. W 1898 roku urodziła się z tego związku dziewczynka, której nadano imię Luiza--Julia, później znana jako księżniczka Szarlota, a wśród rodziny jako „Mamou” — teściowa tak bardzo nie lubiąca Grace. Przeżywszy pierwsze dwadzieścia lat życia z brzemieniem nieprawego pochodzenia, Mamou stwierdziła, że jej pozycja zmieniła się pod koniec pierwszej wojny światowej, kiedy zwycięscy alianci nagle uświadomili sobie, że w przypadku śmierci Alberta i Ludwika tron Monako przejdzie w ręce niemieckiego rodu — domu von Urach spokrewnionego z Grimaldiami przez małżeństwo.

W ciągu jednej nocy wnuczka praczki została księżniczką, zalegalizowaną i pospiesznie zaślubioną młodemu francuskiemu arystokracie, hrabiemu Pierre'owi de Polignac.

Umownego charakteru tego

małżeństwa, zawartego w marcu 1920 roku, dowodzi zgoda Pierre'a na zmianę nazwiska na Grimaldi oraz szybkie wyniesienie hrabiego do godności księcia. Zgodnie z europejskimi zasadami dziedziczenia tytułów dzieci Pierre'a nosiłyby nazwisko Polignac,

jednak zmiana nazwiska przez nowego księcia umożliwiła Grimaldim utrzymanie tronu i pozostanie jedyną rządzącą od wieków rodziną władców Monako.

Małżeństwo Mamou i Pierre'a mogło przetrwać bez miłości, lecz bez uczucia czy choćby wzajemnego szacunku małżonków było skazane na klęskę, a cenę zapłacili dzieci. Tiny i Rainier stali się pionkami w aż nazbyt otwartej wojnie, jaką toczyli ich rodzice.

— Kiedy byliśmy z matką — powiedział Rainier do Jeffreya Robinsona w 1988 roku — zawsze mówiono nam: Jeśli zobaczycie się z ojcem, nie mówcie mu o mnie... A gdy byliśmy u ojca, zawsze słyszeliśmy: Tylko nic nie mówcie waszej mamie... To nie było łatwe.

W 1935 dwunastoletni Rainier, który właśnie podjął naukę w Stowe, angielskiej szkole publicznej, stał się obiektem niesmacznej prowadzonej jawnie walki o opiekę nad dzieckiem toczonej przez osiemnaście miesięcy w Brytyjskim Sądzie Najwyższym.

Małżeństwo zaaranżowane dla stworzenia wizerunku zgodnej rodziny i ciągłości sukcesji przyniosło wprost przeciwne skutki.

Druga wojna światowa wywołała kolejne komplikacje. Znaczną część obywateli Monako stanowili mieszkańcy włoskiego pochodzenia, którzy przenieśli się tu i zatrudnili przy obsłudze wciąż rosnącego ruchu turystycznego. Ci przeważnie opowiadali się za Mussolinim, podczas gdy księżę Ludwik, który w roku 1922 zajął miejsce swego ojca Rainiera, myślał tak jak wielu oficerów francuskiej armii popierających Petaina i jego kolaboracyjny rząd w Vichy. Hitler był dominującą siłą w Europie i Ludwik chętnie się z tym godził.

Przyjął konsula generalnego i przysłanego do Monako komendanta wojskowego, a od roku 1943 księstwo stało się ośrodkiem wypoczynkowym dla niemieckich oficerów wszelkich formacji, w tym SS i gestapo. Niemcy grali w kasynie, które pozostało otwarte przez całą wojnę, i korzystali z usług prostytutek w pełnym zrozumienia Hotel de Paris. Monakijscy prawnicy sprytnie obracali dokumentami towarzystw stworzonych wyłącznie po to, by wyprać łupy wojenne kilkuset czołowych nazistów oraz kolaborujących z nimi ludzi interesu.

W odpowiedzi na wrogie reakcje aliantów przedstawicielstwo handlowe Monako w Stanach Zjednoczonych usiłowało twierdzić, iż księstwo jest właściwie neutralne i wobec tego powinno otrzymać przywileje związane ze statusem neutralnego państwa. Jednak Departament Stanu i pogardą odrzucił ten wniosek.

Tutaj nie ma żadnych powodów do dzielenia włosa na czworo — napisał jeden z urzędników na dokumencie w 1940 roku. — Monako jest, zgodnie z wszelkimi znanymi nam faktami, stroną w toczącej się wojnie.

Kiedy alianci wylądowali w Europie, rodzina Grimaldich, jak nakazywał uświęcony przez czas zwyczaj, szybko zmieniła postawę. Rainier przeczekał wojnę wygodnie i z dala od niebezpieczeństwa. Jako zdrowy młody student uniwersytetu w Petainowskiej Francji, uczęszczał na studia w Paryżu i w Montpellier. Jednak pod koniec września 1944 roku, trzy tygodnie po wyzwoleniu Monako przez aliantów, młody księżę zgłosił się na ochotnika do armii francuskiej i otrzymał przydział do służb wywiadowczych. W tych jednostkach odsłużył siedemnaście miesięcy i został odznaczony medalami, które tak dumnie prezentował w dniu ślubu.

Gdy w Europie kształtował się nowy ład, z Departamentu Stanu płynęły noty dotyczące dwuznacznego stanowiska Monako podczas wojny.

Powszechnie wiadomo — instruowała ambasada USA w Paryżu 10 lutego 1945 roku — że książe i jego doradcy, jak również znaczna część mieszkańców Monako wykazywali zdecydowaną niechęć do współpracy z aliantami i sympatyzowali z państwami Osi.

Wykorzystując specyficzny system bankowy i podatkowy ludzie ci podstępnie defraudowali zasoby Francuzów i innych aliantów. Konsulat USA w Nicei zwrócił się z pytaniem do Waszyngtonu. Książe Monako zaprosił amerykańskiego generała zarządzającego tym terytorium do złożenia oficjalnej wizyty, jednak generał wahał się ze względu na znaną sympatię księcia dla państw Osi okazywaną podczas okupacji.

Waszyngton rozważył sprawę, po czym polecił oficerowi złożyć wizytę.

Skoro Francuzi nie podejmują żadnych działań (...) wydaje się, że nie ma powodu, aby nasz generał nie miał pojechać tam z wizytą. Departament Stanu przyjął zasadę, aby wszelkie kwestie związane z Monako pozostawiać Francuzom.

Monako zdaje się być, teoretycznie, monarchią konstytucyjną — informował Waszyngton w krótkim opracowaniu — jednak w rzeczywistości jest protektoratem francuskiego rządu. Jeżeli Francja była gotowa puścić wszystko w niepamięć, dlaczego Ameryka miałaby robić zamieszanie?

Nazistowski konsul generalny i oficerowie SS zabawiający się w Monte Carlo przeszli do historii, a dojście do władzy Rainiera w 1949 roku, po śmierci księcia Ludwika, wydawało się kolejnym powodem do zapomnienia i wybaczenia. Sam Rainier dotychczas nie wykazał się siłą charakteru ani zdolnościami przywódczymi — raportował Albert Clattenburg, Jr., konsul USA w Nicei, informując Waszyngton o aktualnych problemach Monako pod koniec 1955 roku; księstwo nadal było wylęgarnią plotek, skandali i przedmiotem oburzenia sąsiadów. Jednak zawsze pozostawała nadzieja, że energiczna młoda żona z talentem organizacyjnym... mogłaby poprawić obecną sytuację.

Równanie biologiczne.

Rainier i Grace spędzili znaczną część miodowego miesiąca żeglując wokół Korsyki. Wykorzystywali swój jacht do badania pustych zatok i plaż, gdzie mogli być sami. To był balsam, jakiego potrzebowali po stresach weselnego tygodnia. Grace nie była dobrym żeglarzem, a stary jacht motorowy z polerowanego drewna nie okazał się przyjemnym środkiem transportu na wzburzonym morzu. Przez większą część podróży Grace chorowała... jednak chyba nie tylko z winy łodzi. Kiedy wróciła do Monako pod koniec maja, lekarze potwierdzili jej podejrzenia.

Jesteśmy z brzuchem! — pisała zachwycona do Judy Kanter, Maree Frisby i wszystkich przyjaciółek, których adresy zdołała zdobyć.

Grace z przykładową szybkością wypełniła pierwszy — i pod pewnymi względami najważniejszy — z jej nowych obowiązków. Nie należał do zbyt trudnych czy skomplikowanych, lecz zajęcie w ciążę było podstawą wszystkiego.

— Sprawia niezmierną radość księżnej i mnie — oznajmił Rainier 2 sierpnia — że mogę podzielić się z wami naszym szczęściem... W świetle tej wiadomości, tak ważnej dla mnie i dla was... proszę, abyście zaufali wyborowi, jakiego dokonałem dla przyszłości

Monako, jak również pamiętali, że księstwo przetrwało i przetrwa tylko tak długo, jak długo rządzący nim książę będzie miał pełną i całkowitą władzę.

Na drugiej połowie biologicznego równania spoczywały pewne obowiązki. Polityczne aluzje Rainiera w przemówieniu dotyczącym spraw rodzinnych były spowodowane bieżącymi kłopotami, jakie napotykał ze strony Rady Narodowej i jej głównego rozrabiacza, kochanka Tiny, Jean-Charlesa Reya, z którym właśnie się pokłócił. Nie odzywali się do siebie przez prawie sześć lat.

— Widuję go na polu golfowym — mówił Rey Colinowi Crossowi, reporterowi londyńskiej Daily Express. — Patrzymy na siebie, ale nigdy nie rozmawiamy. Można by sądzić, że to głupio ze strony dwóch mężczyzn zachowywać się w taki sposób, ale tak jest.

Grace czekały większe zakupy związane z przyjściem dziecka na świat i chciała je zrobić w sklepach, w których czuła się jak w domu. Tak więc sierpień 1956 roku zastał ją z powrotem w Ameryce, trochę dumną, a trochę zawstydzoną szybkimi skutkami ślubu, który świętowano tu razem z nią zaledwie pięć miesięcy wcześniej. Przybywając z Rainierem do Nowego Jorku, niosła dziwnie dużą, prostokątną torebkę zakupioną przed podróżą u Hermesa w Paryżu, którą na zdjęciu strategicznie trzyma przed sobą, zarówno zasłaniając, jak i skrywając lekko wystający brzuch. Torebka była wzorowana na pudle używanym niegdyś do przenoszenia uzdy oraz uprzęży i od tej pory jest znana jako „torebka Kelly” (obecna cena egzemplarza z krokodylej skóry zakupionego u Hermesa — siedem tysięcy sto trzydzieści jeden dolarów i pięćdziesiąt siedem centów).

Przeciętnemu amerykańskiemu reporterowi z trudem przychodziło unizone zachowanie wobec dziewczyny z Henry Avenue. „Pani Rainier” — tak zwróciło się do niej kilku dziennikarzy, kiedy Grace z mężem udali się z kurtuazyjną wizytą do Białego Domu. Jednak Ameryka była urzeczona jej nową pozycją. Wizyta książęcej pary z mającego powierzchnię niecałych dwóch kilometrów kwadratowych Monako wzbudziła większe zainteresowanie niż prezydenci Włoch i Meksyku, którzy odwiedzili Waszyngton w poprzednich miesiącach. Życie i przygody Grace stały się w pewnym sensie częścią życia przeciętnej amerykańskiej rodziny.

— Mówili mi o porannych mdłościach — powiedziała Grace do Olgi Curtis w transmitowanym na cały kraj wywiadzie — ale ni • wspominali o tym, że można mieć je codziennie i cały czas. Podano do wiadomości, że księżna już przytyła trzynaście kilogramów.

— Mój lekarz — zwierzała się chętnie przyszła matka — twierdzi, że za dużo jem. A co do imienia dziecka: szukamy imion, które brzmią równie dobrze po angielsku, jak po francusku.

Ameryka chętnie cieszyłaby się ciążą swojej księżnej, tak samo jak wcześniej jej zaręczynami i małżeństwem, ale Grace pamiętała o swoich nowych obowiązkach.

— W ostatnim sezonie Muzeum Oceanograficzne przyciągnęło przeszło sto tysięcy gości więcej niż kasyno — powiedziała Heddie Hopper, dokładnie cytując dane statystyczne, jakby była ministrem turystyki księstwa. — Przez pierwsze dwa miesiące po ślubie w hotelach Monako zameldowało się przeszło piętnaście tysięcy turystów... trzy tysiące więcej niż w poprzednim sezonie.

Rainier z Grace chodzili po Piątej i Madison, kupując dziecinne ubranka i wyprawkę, po czym przeszli je ponownie, żeby nabyć mnóstwo elektrycznych i ułatwiających pracę urządzeń, jakie nie dotarły jeszcze do Europy. Chcieli zmodernizować pałac, a także zamierzali wybudować sobie cichy kącik w górach opodal La Turbie. Likwidowali apartament Grace przy Piątej Alei, pakowali w skrzynie jej antyczne francuskie meble, żeby mogły odbyć powrotną podróż przez Atlantyk, a każdą wolną chwilę spędzali powtarzając najwspanialszy wieczór ich ślubnego tygodnia: odpoczywali w towarzystwie starych przyjaciół Grace, zajadali kanapki i wspominali. Rainier dał się nawet namówić na udział w pantomimie.

„Proszę nie używać WC podczas postoju pociągu na stacji” — widniało na pierwszej karteczce wylosowanej przez księcia.

— Pomyślałem „O nie!” — wspomina Tom Guinzberg, mąż Rity Gam. — Tymczasem Rainier po prostu przykucnął i wykonał zadanie jak dzielny żołnierz.

Późną jesienią, kiedy Grace i Rainier już mieli wyjeżdżać, wybrali się całą grupą na Long Island, do domu Marcela Palmaro, konsula Monako w Nowym Jorku. W powietrzu unosiła się wilgotna mgła. Na ziemi leżały liście i chodzącą po nich, rozrzucającą nogami ich mokre sterty Grace ogarnęła nostalgia.

— Och, jak ja to lubię... — powiedziała. — Tę porę roku, ten zapach liści i mokrej ziemi, kolory...

— To przypomina mi początek szkoły — rzekła Carolyn Scott.

— Mecze, randki z nowymi chłopcami i pierwsze pocałunki — dodała Grace, niemal melancholijnie.

Dziewczyna ze Wschodniego Wybrzeża zatęskniła za opadającymi liśćmi i mglistymi wieczorami. Nagle urwała i zmieniła temat, uświadamiając sobie, że może w ten sposób zdradzić fakt, że nie zachwyca jej myśl o powrocie do Monako. W kwietniu rejs na pokładzie „Con-stitution” był dla Grace euforycznym skokiem przez ocean, poprzedzonym przelotnym spojrzeniem za siebie. Teraz, zaledwie sześć miesięcy później, księżna z mniejszym entuzjazmem spoglądała na rzeczywistość życia w pałacu na skale.

— Ten pierwszy rok był naprawdę trudny dla tej biednej dziewczyny — wspomina Maree Frisby Rambo. — To zdumiewające, ile osób sprawiało jej kłopoty.

Był służący zajmujący się winem, srebrem i zastawą stołową. Opierał się wszelkim próbom wprowadzenia przez Grace choćby najdrobniejszych zmian. „Tutaj tak się tego nie robi” — prychał. Po całych tygodniach podchodów i próśb Grace w końcu uzyskała tyle, że zgaszono niektóre światła w nie używanych pokojach, tylko po to, żeby po kilku dniach znów zobaczyć, jak palą się wszystkie. Miała ochotę ułożyć nowe kompozycje z uderzająco pięknych kwiatów z pałacowych ogrodów i dokładnie wyjaśniła swoje pomysły służącemu odpowiedzialnemu za ścinanie roślin. Wysłuchał uprzejmie — i dalej robił dokładnie to samo co zawsze.

Mieszkanie w pałacu z bajki miało też swoje zalety. W hafciarni siedziały młode wieśniaczki, których jedynym zajęciem było zdobienie pięknymi wzorami poduszek i pościeli Grace, jak również ręczne wyszywanie jej bielizny. Ale były też tajemnicze

korytarze oraz zakamarki, zwyczajowo niedostępne i nikt nie chciał oprowadzić po nich Grace, jak żaliła się swej przyjaciółce Maree.

— Grace powiedziała mi kiedyś, jaka była nieszczęśliwa przez te pierwsze miesiące — wspomina Gwen Robyns, pisarka, która w połowie lat siedemdziesiątych została przyjaciółką Grace. — Siedziała w tym ponurym starym pałacu, dręczona przez straszne poranne nudności, z zatokami podrażnionymi mistralem, marzyła o wniesieniu odrobiny słońca w te mroczne mury i miała pewność, że za jej plecami wszyscy drwią z jej amerykańskich pomysłów i okropne; francuszczyzny.

Służba nie byłaby problemem, gdyby Grace czuła się pewniej w stosunkach z mężem. — Z Rainierem — twierdzi Gwen Robyns — zawsze musiała obchodzić się jak z jajkiem. Grace zaznała zmiennych nastrojów Rainiera podczas tygodni zaręczyn, ale nie miała pojęcia, jaki potrafi być apodyktyczny. Sześć miesięcy romantycznej korespondencji i kilka dni wspólnie spędzonych świąt Bożego Narodzenia to niewystarczający sprawdzian prawdziwego charakteru partnera na całe życie. Grace zaakceptowała Rainiera, nie podjąwszy próby zgłębienia ciemniejszych zakamarków jego duszy, i dopiero na jego ziemi rodzinnej odkryła, że małżonek ma wybuchowy temperament. W jednej chwili słodki jak cukierek, w następnej potrafił rzucić zjadliwą uwagę.

— Na rany boskie! — wrzasnął kiedyś na Grace w obecności sekretarki, kiedy zobaczył kwiaty wybrane przez nią do pokoju gościnnego przeznaczonego dla jakiegoś przybywającego z wizytą dygnitarza. — Białe chryzantemy to kwiaty na grób! Sekretarką, która słyszała te słowa, była Madge Tivey-Faucon, australijska dama, która później dostarczyła gazetom France Dimanche oraz Cosmopolitan dokładne opisy wybuchów gniewu Rainiera oraz ich wpływu na Grace.

Ile razy widziałam, że księżna wychodząc z pokoju pociągała nosem i miała zaczerwienione oczy — pisała Tiv w 1964 roku. — „Jestem przeziębiona” — mówiła mi, skrywając zmieszanie. Kiedyś wbrew woli księcia bardzo krótko obcięła sobie włosy... Spojrzał na żonę i potrzebował trzech sekund, żeby odkryć, na czym polega różnica. Kiedy ją dostrzegł, poczerwieniał, zacisnął wargi i pięści. Księżna stanęła jak wryta na środku pokoju. A książkę z całej siły rzucił kieliszkiem o podłogę.

Zdezorganizowane życie rodzinne Rainiera nie przygotowało go do roli czulego i troskliwego małżonka. Z trudem ujawniał swoje uczucia. Nie był ufny ani otwarty. Ale przynajmniej wybuchy złości były namiętne i ludzkie. Żonie najtrudniej przychodziło znieść drugie, ciche godziny, w ciągu których emanował niezadowoleniem. Kiedy Rainier zamykał się w milczeniu, był całkowitym przeciwieństwem czulego i wesołego człowieka piszącego tak wspaniałe listy miłosne.

Jeśli jest ktoś bardziej przewrotny i zawzięty od starego kawalera, to tylko stary kawaler z królewskiego rodu. Rainier często zaskakiwał nieznajomych swoim zwyczajem zasypiania, kiedy się nudził. Był z tego znany. W trakcie przyjęcia w królewskiej łoży w operze, gdy rozmawiał na kanapie — nagle zamykały mu się oczy, głowa opadała i Jego Księżęca Wysokość wyłączał się na pół godziny lub dłużej, czasami chrapiąc przy tym jak człowiek dwukrotnie od niego starszy. Nie był to objaw jakiejś tajemniczej choroby, jak głosiła plotka krążąca po Monako. Po prostu w ten sposób objawiała się królewska

wzgarda Rainiera i jego brak zainteresowania każdym, kto nie potrafił, jak błazen, nieustannie go zabawiać.

Takie książęce i staromodne cechy charakteru wykazywał partner Grace na całe życie. Jednak pod nimi krył się również inny człowiek — sardoniczny i zabawny, który zalecał się do sławnej gwiazdy

filmowej i zdobył ją, który w trakcie zabawy nie obawiał się kucnąć i odgrywać wylosowaną przez siebie scenę. Gdy despota był w dobrym humorze, umiał być otwarty i bezpretensjonalny — nowoczesny nie tylko w swoim uwielbieniu gadżetów i nagrań jazzowych, lecz także w usiłowaniach pozostania wrażliwym człowiekiem. Jeśli raczej stanu, które skłoniły Rainiera do poślubienia Grace, obejmowały wizje miniaturowego kraju opływającego w bogactwa i wpływy nowego świata, to bardziej osobistym powodem było ciepło, jakie mogło udzielić mu się od demokratycznej i naturalnej amerykańskiej dziewczyny.

Czuła i ludzka natura Rainiera nigdy nie objawiła się wyraźniej niż wtedy, gdy miał zostać ojcem, w ostatnich miesiącach 1956 roku. Wychowywanie dziecka było dziedziną, w jakiej książę postanowił spisać się lepiej niż jego przodkowie. Dotychczas jedynymi obiektami jego ojcowskich instynktów były zwierzęta w książęcym zoo. Kiedy były chore, książę opiekował się nimi osobiście, sprowadzał do pałacu małe szympansiątka lub tygrysiątka i pielęgnował je.

Teraz wraz z Grace przygotowywał się na przyjęcie pierwородnego. Rachunek za przewóz bagażu dowodzi, że dobra przywiezione z Nowego Jorku przez książęcą parę ważyły nie mniej niż dwie tony. Wyprawka dla dziecka — zabawki, wiklinowa kołyska oraz białe lakierowane mebelki — została umieszczona w pokoju przylegającym do ich prywatnego apartamentu. George Stacey, dekorator apartamentu Grace przy Piątej Alei, tamtej jesieni pracował we Francji i przybył im pomóc.

Zaprojektował naprawdę pomysłową garsonierę i półki na dziecinne ubranka! — pisała do domu podekscytowana Grace, ujawniając, że wystrój pokoju będzie utrzymany w jej ulubionym żółtym kolorze.

Początkowo planowano, że dziecko urodzi się w małej klinice miejskiej. Jednak Grace została zaczepiona podczas jednej z wypraw do miasta. Jakaś nieznajoma kobieta przepchnęła się przez tłum, położyła otwartą dłoń na brzuchu Grace i potarła wypukłość, życząc księżnej szczęścia. Grace się roześmiała, ale zastanawiając się później nad tym zajściem, poczuła niepokój. A gdyby ta kobieta miała złe zamiary?

Grace omówiła te obawy z mężem i Rainier zgodził się z jej sugestiami. Biblioteka zamkowa została przekształcona w izbę porodową i oznajmiono, że dziecko urodzi się w pałacu. To bardzo rozczarowało reporterów, którzy już zaczęli się gromadzić. Grupa dziennikarzy

przekupiła kierowcę karetki, żeby zwolnił w umówionym miejscu i umożliwił im zrobienie zdjęć księżnej w ciąży.

W połowie stycznia 1957 roku ginekolog Grace, doktor Emile Her-vet, specjalista z Paryża, oznajmił jej, że według niego dziecko przyjdzie na świat wcześniej, przed ustaloną, lutową datą. Grace zadzwoniła do Filadelfii, więc Ma Kelly czekała pod



drzwiami biblioteki, wczesnym rankiem 23 stycznia, razem z księciem Pierre'em, Tiny i palącym jak smok księciem Rainierem.

Przyszła matka była zaniepokojona.

Jeszcze nie przywykłam do roli żony — pisała kilka dni później do Prudy — nie mówiąc już o byciu matką.

Ale Grace jak zwykle odrobiła swoje zadanie domowe. Przeczytawszy najnowsze podręczniki rodzenia i wychowywania dzieci, postanowiła, że dziecko będzie karmione piersią i przyjdzie na świat w sposób zupełnie naturalny, bez pomocy anestetyków. Zaczęła rodzić o trzeciej nad ranem, a o 9.37 urodziła zdrową dziewczynkę — dokładnie dziewięć miesięcy i cztery dni po ślubie. Gdy lekarze podali jej dziecko, Grace się rozplakała.

W porcie dwadzieścia jeden razy wystrzelono z działa, a dzwony czternastu kościołów i kaplic księstwa biły wesoło. Ogromny jacht Onassisa, „Christina”, wiódł prym w chórze okrętowych buczków i syren. Ogłoszono święto narodowe. Jedyne więźnia wypuszczono na wolność. Noworodkowi nadano imię Karolina Luiza Małgorzata — a sześć i pół tysiąca kilometrów dalej, w Filadelfii, zapytano Jacka Kelly'ego, jak się czuje. — Do licha — odparł. — Miałem nadzieję, że będzie chłopak.

Rok i dwa miesiące później, 14 marca 1958 roku, jego życzenie się spełniło — a działa w porcie wystrzeliło sto jeden razy, sugerując, że Monako zapewne uważało podobnie, jednak miało większy wzgląd na uczucia młodej matki. Niecałe dwa lata po ślubie Grace skutecznie zabezpieczyła sukcesję przybranej rodziny i ojczyzny. Rainier drżącym z emocji głosem oznajmił, że jego syn i dziedzic otrzyma imię Albert Aleksander Ludwik Pierre.

Rodzinną siedzibą Grace i Rainiera, w której zażywali odpoczynku z synkiem i córeczką, było Roc Agel, odizolowana dwudziestoczekto-hektarowa posiadłość w górach otaczających Monako, którą nabyli zaraz po ślubie. Romantyczna, poranna wycieczka Rainiera z narzeczoną w mgły wokół La Turbie była chwilą wytchnienia w bardzo nerwowym i napiętym czasie, a teraz Roc Agel pełniło tę samą rolę w ich życiu rodzinnym.

— Roc Agel to miejsce — mówiła Grace — gdzie zamykamy drzwi przed światem.

Usadowiona siedemset siedemdziesiąt metrów nad poziomem morza Roc Agel była starą prowansalską mas — w połowie domem, w połowie fortecą. Miała grube kamienne ściany, potężne belkowanie i dach z grubych dachówek. Nawet odrestaurowana przez Grace i Rainiera zdawała się chylić ku ziemi. Mimo to przez większą część roku dosłownie skryta w chmurach, górowała nad całą okolicą, a nowi właściciele pozwolili dziko rosnąć większości skąpych, wonnych roślin i krzewów. Stado ulubieńców i zwierząt domowych — kóz, królików, świń, kur i krów — biegało zupełnie swobodnie. Zwierzaki dopieszczano, jeśli się o to dopominały, a podczas weekendów często do całej gromady dołączał jeden czy dwa okazy z zoo Rainiera.

Chłodne, zielone i chaotyczne Roc Agel było przeciwieństwem wymuskanego, lecz zakurzonego w środku lata gwanego zamku w Monako i stało się dla Grace domem w takim stopniu, w jakim nigdy nie był pałac na skale. Tutaj mogła piec na grillu swoje ulubione hamburgery czy ubierać się w wyblakłe dżinsy i koszule, które — jak

zapowiedziała Rupertowi Allanowi — na pewno będzie nosić na południu Francji. Tutaj Rainier okazywał swoje najlepsze cechy, w odlewni i kuźni, gdzie zakładał maskę i rękawice spawacza, zapominał o humorach i rurytańskim dostojeństwie. Tu miał perkusję, na której łomotał do upadłego, tworząc własny akompaniament do ulubionych nagrań z epoki swingu.

Gości nie zachęcano do pozostawiania na noc. Rainier nie lubił obcych twarzy przy śniadaniu. Odwiedzających lokowano w pałacu lub w jednym z miejskich hoteli, skąd przywożono ich na górę, aby podziwiali widok dostępny jedynie nielicznym. George Stacey obił większą część domu antracytowo-czarnym perkalem, będącym dziwnym echem sukni, jaką nosiła Grace, gdy pierwszy raz spotkała Rainiera, a szczególnie bliskim przyjaciółom udostępniano prywatną łazienkę Grace. Tutaj, w samym sercu swego prywatnego królestwa, Grace ozdobiła ściany pamiątkami po życiu, które w tak krótkim czasie stało się odległym wspomnieniem — po ciężko wypracowanej karierze filmowej gwiazdy Hollywood.

Na początku 1960 roku Grace otrzymała z Henry Avenue wiadomość o chorobie ojca. Gdy osiągnął siedemdziesiątkę, żelazne zdrowie Tacka Kelly'ego nagle go opuściło i w kwietniu zabrano go do szpitala na badania wstępne. Drugą operację przeprowadzono pod koniec maja, jednak lekarze stwierdzili, że nie mogą już wiele dla niego zrobić. Jack Kelly miał raka żołądka.

Grace niezwłocznie poleciała do Filadelfii. Ojciec leżał w prywatnej izolatce załatwionej przez Ma Kelly, a pielęgniarka prowadząca tam Grace widziała niepokój zmieniający nie do poznania rysy księżnej, lecz tylko do chwili, kiedy otworzyła drzwi. Wtedy aktorka przystanęła, zrobiła głęboki wdech, wyprostowała się i przywołała uśmiech na usta. Trzeba było pocieszyć Tatusia.

Jack Kelly umarł 20 czerwca 1960 roku.

Moja żona i dzieci... dały mi wiele szczęścia i uzasadnionej dumy — oznajmił w swoim testamencie, rozwlekłym dwunastostronicowym dokumencie, lakonicznym w kwestii szczegółów finansowych i zdecydowanie przegadany w udzielanych radach, sporządzonym w jego własnym, niepowtarzalnym, wyniosłym stylu\*. W tym dokumencie mogę jedynie dać wam rzeczy materialne, jednak gdybym mógł wybierać między dobrami doczesnymi a charakterem, wybrałbym charakter... Mając charakter, zdobędziecie dobra doczesne, ponieważ charakter to lojalność, uczciwość, zdolności, sportowy duch oraz — mam nadzieję — poczucie humoru.

Oto cały Jack Kelly, ta proklamacja niewzruszonych i szczytnych zasad, jakie starał się stosować w życiu; a jeśli przy tym jego niedoskonałość czasami sprawiała komuś ból lub stawała się źródłem zamieszania w rodzinie, miał pełne prawo, aby po śmierci jego dokonania zyskały uznanie, na jakie zasługiwały. John Brendan Kelly zrealizował niemal wszystkie swoje marzenia. Jego energia i cechy charakteru uczyniły Grace tym, czym się stała, więc nic dziwnego, że bardzo ciężko przeżyła śmierć ojca.

Niedługo po powrocie z pogrzebu do Monako pewnego wieczoru siedziała obok Rainiera na balkoniku wychodzącym na pałacowy dziedziniec. Słuchała koncertu Chopina i gdy dźwięki muzyki przetaczały

się wokół niej, nagle zaląa się łzami i opuściła swój fotel. Takie publiczne okazywanie smutku było zupełnie niepodobne do Grace, więc uznano, że nagle zobaczyła siebie na tym samym dziedzińcu cztery lata wcześniej, w dniu zaślubin, schodzącą po wielkich marmurowych stopniach, podtrzymywaną muskularnym i silnym ramieniem ojca. Nauczyciel odszedł. Grace Kelly, księżna Monako, bez wątpienia zdała egzamin. W listopadzie 1959 roku skończyła trzydzieści lat. Miała męża, dwoje dzieci i własne królestwo. Pozostałą część życiowej podróży musiała pokonać o własnych siłach.

Opinia publiczna.

Przybycie Grace Kelly miało olbrzymi wpływ na finansową kondycję Monako. Grace mogła pochwalić się Heddzie Hopper w czasie wycieczki do Ameryki jesienią 1956 roku, że rezerwacje w hotelach i wpływy z turystyki znacząco wzrosły w miesiącach, jakie nastąpiły po jej ślubie z Rainierem. Na początku lat pięćdziesiątych gospodarka Monako znalazła się w tak głębokim kryzysie, że pracownikom Societe des Bains de Mer potracano z rocznego dochodu jednomiesięczną pensję. Pod koniec dekady sytuacja diametralnie się zmieniła.

Po części było to wynikiem wzrostu koniunktury i rozwoju Europy oraz całego powojennego świata. Właśnie zaczynała się era masowej turystyki. Jednak atrakcją zapewniającą Monako specjalną aurę po kwietniu 1956 roku nie było kasyno ani SMB, Muzeum Oceanograficzne czy historyczne tradycje rodu Grimaldich. Była nią baśniowa obecność księżnej Grace.

Ten fakt tworzył problem do dziś nie rozwiązany przez rodzinę Grimaldich. Rozgłos był ich krwią życia, lecz także śmiertelnym zagrożeniem. Żółty wystrój pokoju dziecinnego, poród bez środków znieczulających, karmienie piersią — takie szczegóły tworzyły ludzkie oblicze rodziny, dzięki czemu Monako stawało się miejscem o własnej tożsamości. Jednocześnie pozbawiały prywatności, co ludziom żyjącym jak istoty z bajki groziło odebraniem podstawowych praw i przyjemności zwyczajnego życia.

Księżę Rainier nigdy nie darzył prasy szczególną sympatią, a relacje z jego zaręczyn i zaślubin sprawiły, że zaczął do niej żywić uczucie bliskie nienawiści.

Nie nienawidzę, lecz gardzę!! — pisał do Ruperta Allana w kwietniu 1957 roku, w pierwszą rocznicę małżeństwa. — Ta potężna prasa potrafi wyciągać macki jak potworna ośmiornica i sączyć swą truciznę przez przyssawki.

Rainier pisał ze Szwajcarii, dokąd razem z Grace zabrali trzymiesięczną Karolinę na pierwsze rodzinne wakacje. Londyński brukowiec, Daily Sketch, opisał próbę porwania dziecka, a inne gazety podjęły ten temat.

To porwanie było czystym wymysłem — pisał z wściekłością Rainier. — To kryminalna sprawa i może komuś podsunąć niebezpieczny pomysł.

Grace i Rainier długo i intensywnie rozważali problemy związane z wychowywaniem dzieci na oczach opinii publicznej.

Nie chcę, aby moja córka miała dzieciństwo zepsute i zatrute nadmiarem dziennikarskiego rozgłosu — napisał księżę do Allana w styczniu 1958. — Informacja MUSI być dozowana i starannie planowana w czasie, aby nie wywołała przesytu...

Sądzę, że powinniśmy wybrać jedną wiodącą gazetę, której dostarczalibyśmy nie więcej niż dwie historie rocznie na temat dziecka.

Na tym polegał fatalny błąd Rainiera i Grace. Oboje byli przekonani — Rainier jako książę, a Grace jako osoba, która wyszła zwycięsko ze zmagających się w Hollywood — że mogą kontrolować swoją popularność i wykorzystywać ją do własnych celów. Władcy podobnych europejskich państw — Księstwa Lichtensteinu i Wielkiego Królewskiego Księstwa Luksemburga — śmiertelnie obawiali się rozgłosu. Ich zdjęcia nigdy nie pojawiały się w gazetach, a oni sami byli dumni z tego, że uważano ich za staromodnych. Tymczasem nawet wtedy, gdy najwspanialsze chwile jego życia zostały splecione, oplót-kowane i zniekształcone przez środki przekazu, książę Monako ludził się, że może to wykorzystać do własnych celów.

Celem — głosi dokument przesłany przez Rainiera Rupertowi Al-ianowi, a zatytułowany „Założenia organizacyjne Biura Rzecznika Prasowego JKW [Jego Książęcej Wysokości] Księcia i Księżnej Monako” — jest popularność w dobrym guście, nie wyglądająca na promowaną czy sponsorowaną. Godne i prawdziwe wiadomości o JKW i księstwie. Ochrona przed szkodliwymi, napastliwymi artykułami prasowymi i obrona przed żądaniami prasy, połączona z eliminacją wielu dzienników oraz odpowiednim planem dla zaakceptowanych. Projekt nie jest podpisany, ale równie dobrze mógł być sporządzony przez ucznia czarnoksiężnika. Rainier i Grace nie przeczuwali — a prawdę mówiąc, nikt w latach pięćdziesiątych nie przewidywał — że kontrolowane dawki informacji o życiu bogatych i sławnych nie zaspokoją ciekawości opinii publicznej, lecz przyniosą wręcz przeciwne skutki. Rozgłos towarzyszący zaręczynom i zaślubinom Rainiera z Grace oraz późniejsze, inicjowane przez nich same artykuły zamieszczane regularnie w poważnych tygodnikach przez następne dwadzieścia lat utworowały szlak wiodący od poszturchiwań i mrugnięć Waltera Winchella do brukowych rewelacji Hard Copy. Można było kontrolować dostęp, lecz ludzie przyzwyczaili się uważać tę względną intymność za rzecz normalną. Chcieli wiedzieć więcej. To światowe oczarowanie bajkowym życiem księżnej Grace i jej rosnącej rodziny w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych dostarczyło silnego bodźca do powstania dzisiejszego masowego odbiorcy łaknącego plotek o możliwych tego świata.

Rupert Allan był człowiekiem, w którym Rainier i Grace upatrywali nadzorcę „popularności w dobrym guście”. Allan z początku działał za pośrednictwem amerykańskiego publicysty, Arthura Jacobsa oraz firmy Rogers, Cowan & Brenner z Los Angeles, reprezentującej zarówno niektóre gwiazdy, jak i producentów z Hollywood. Tak jak sugerowała ich nazwa, Rogers, Cowan & Brenner byli czymś w rodzaju biura prawniczego z Wall Street, pobierającego wysokie opłaty i działającego w ramach korporacji, co nie podobało się Rainierowi. Miał zastrzeżenia do wydatków podwajających honoraria, jak również do przedstawiciela firmy, który miał opiekować się nim i Grace podczas ich wizyty w Londynie wkrótce po tym, jak Grace po raz drugi zaszła w ciążę.

Nie mógłby już być bardziej bezużyteczny i nieudolny w całym znaczeniu tego słowa — skarżył się Allanowi. — Wzdragalem się na myśl, że waszą firmę reprezentuje takie kompletne, tanie zero.

Jedynym rozwiązaniem było to, by Allan osobiście zajął się sprawami Monako. Przez szereg lat pomagał Rainierowi i Grace tworzyć odpowiednią sieć biur prasowych. Znalazł młodej parze rzecznika prasowego potrafiącego uporać się z codziennym naporem dziennikarzy. Nadia Lacoste, twarda i inteligentna kobieta w wieku Grace, radziła sobie z większością europejskich gazet. Ulokowany w Nowym Jorku Howell Conant fotografował i kreował obraz książęcej pary w wielkich amerykańskich tygodnikach.

— Jeśli ktoś chciał napisać coś o Grace — wspomina Conant — to lepiej, żeby napisał ładny artykuł, nie jakieś bzdury.

Wybrano tygodnik Look.

— Kiedy redaktorem był Bili Arthur — mówi Conant — był gotów wysłać cały tekst do Grace, z prośbą o aprobatę.

Look był również skłonny akceptować zestawy zdjęć Conanta jako wybrane przez Grace.

— Life — dodaje Conant — nie poszło na to, więc rzadko korzystaliśmy z ich łamów.

Rupert Allan działał zakulisowo na rzecz księstwa. W korespondencji Heddy Hopper, obecnie w archiwum Akademii Sztuki Filmowej Hollywood, znajdują się prywatne „notki” wysyłane do redaktorów kolumn towarzyskich przez gwiazdy filmu pragnące wrócić do łask — wypichcone w domu relacje prasowe, w jakich niektóre gwiazdy usiłowały rozpowszechniać plotki lub poprawić swój wizerunek w oczach opinii publicznej.

Sz szczególnie energiczny w swoich listach do „Drogiej Heddy” był David Niven. W przypadku Grace i Rainiera pisaniem zajmował się Rupert Allan.

Nigdy nie widziałem szczęśliwszych ludzi niż Grace i książę — napisał Allan do Hopper z Gstaad we wrześniu 1957. — Nie ma i nigdy nie było ani cienia prawdy w głupich plotkach rozgłaszanych przez krwiożerczych europejskich dziennikarzy o rozłamie i tak dalej... To najszczęśliwsza młoda para, jaką znam.

Allan przekazał redaktorce pochlebną wiadomość od księżnej.

— Powiedziałem Grace, że uważasz, iż jej włosy lepiej wychodzą na zdjęciach, gdy są jaśniejsze, a ona odpowiedziała, że teraz mają dokładnie taki odcień jak wtedy, gdy kręciła w Hollywood swoje pierwsze filmy.

Blond włosy Grace zawsze wymagały lekkiego rozjaśniania.

Allan miał także kilka poważniejszych wiadomości. Przyjaciel stryjka George'a, Gant Gaither, który stał się częścią kręgu Manhattan House i brał udział w przyjęciu Kellych na pokładzie „Constitution”, wydał książkę Princess of Monaco, za którą obrazili się zarówno Grace, jak i Rainier. Gaither nie miał złych zamiarów. Przypochlebny charakter jego książki był aż denerwujący. Jednak wkroczył na zakazany teren, robiąc aluzje do sporów w rodzinie Grimaldich — a także napomykał o niezadowoleniu Grace z serii artykułów napisanych przez jej matkę.

Ona jest bardzo rozczarowana — pisał Allan do Heddy Hopper. — Zaprosiła go na „Constitution” po to, żeby napisał relację z rejsu i zaślubin. Na własną rękę i bez jej aprobaty rozszerzył zakres książki.

Grace i Rainier przez całe lata nie odzywali się do Gaithera. Został skreślony — gwałtownie wykluczony z grona starych przyjaciół odwiedzających Monako w lecie i spotykających się z Grace i Rainierem podczas ich regularnych pobytów w

Stanach. Ta banicja wyrażała ich przeświadczenie, że zostali zdradzeni, ale także — jak podejrzewali niektórzy znajomi Grace — miała być ostrzeżeniem dla innych.

To był pierwszy widoczny objaw — napisała Judy Kanter — choroby, jaką Grace złapała niemal w tej samej chwili, gdy wyjechała do Monako. Rojalizm.

Nie miała racji. Gaither w końcu uzyskał przebaczenie i po pewnym czasie powrócił do kręgu przyjaciół. Oczekiwanie elementarnej dyskrecji ze strony najbliższych znajomych trudno nazwać objawem „rojalizmu” Grace i Rainiera. Ich wina polegała na tym, że chcieli schwytać dwie sroki za ogon. Usiłowali wykorzystać szczegóły swojego życia osobistego dla chwały i pomyślności Monako, więc wykazali brak realizmu, dosiadając wysokiego konia, kiedy — od czasu do czasu — wychodziły na jaw jakieś niepożądane fakty.

Łapanie dwóch srok za ogon było jednak w Monako nagminnym zwyczajem. Leżało po prostu w charakterze tego miejsca — państwa zwańcego się niepodległym, ale nie mogącego przetrwać jednego dnia bez poparcia Francji. Kampania prasowa prowadzona przez Rainiera stała się nowoczesną odmianą tańca, jaki Grimaldi wykonywali od wieków. Książę rościł sobie pretensje do suwerenności i wartości, których nie posiadał... i na wiosnę 1962, sześć lat po ślubie z Grace, jego blef został zdemaskowany.

Pod koniec lat pięćdziesiątych Monako przyciągało nie tylko turystów. Przybywali tu również biznesmeni i oszuści podatkowi. Minimalne opłaty związkowe — i brak podatku dochodowego — już dawno zwabiły dobraną grupę międzynarodowych spryciarzy i multimilionerów, ale ślub stulecia uczynił to tajemnicą poliszynela. W 1961 roku obroty pieniężne Monako wyniosły sto dwadzieścia osiem milionów dolarów, co oznacza czterystuprocentowy wzrost w ciągu dziesięciu lat. Na rok 1962 przewidziano obrót w wysokości dwustu milionów.

Rainier aktywnie wspierał ten proces. Uzależnienie kraju od zysków z kasyna martwiło go jeszcze w szkolnych czasach, gdy chłopcy wołali za nim „gruby Monako” i żartowali, że kiedy dorośnie, zostanie krupierem. W udzielanych wywiadach stale napomynał, że kasyno przynosi mniejsze dochody, niż ludzie przypuszczają, a w 1960 roku wyznaczył energicznego młodego Amerykanina, Martina Dale'a, byłego wicekonsula USA w Nicei, na ekonomicznego odpowiednika Ruperta Allana, poprawiającego gospodarczy wizerunek Monako i przyciągający nowych inwestorów.

Żyłasty i bystry dwudziestodwuletni Dale otrzymał tytuł tajnego radcy Rainiera. Zazdrośni Monakijczycy nazywali go „kieszonkowym Richelieu”. Nieustannie planujący coś Dale pracował z Yves Layem, francuskim prawnikiem z Algierii, nad stworzeniem MEDEC-u — Monakijskiego Stowarzyszenia Rozwoju Ekonomicznego, będącego czymś w rodzaju Izby Handlowej. Ich wysiłki szybko przyniosły rezultaty. W niecałe dwa lata MEDEC przyciągnął do Monako stu trzech nowych członków stowarzyszenia, a kilkuset innym obcym firmom ułatwił rozpoczęcie działalności.

Problem polegał na tym, że wiele z tych przedsiębiorstw należało do Francuzów.

Spedytorowi z Marsylii wystarczyło wynająć lokal na biuro w Monako, uzyskać przez MEDEC zezwolenie na działalność gospodarczą oraz monakijskie tablice rejestracyjne dla ciężarówek, ""ojazdy mogły nadal garażować w Marsylii, a i on sam nadal mógł tam mieszkać, nie musiał przenosić się do Monako. Nie było to całkiem zgodne z prawem, ale mógł nawet podnająć swoje „biuro” na mieszkanie miejscowej rodzinie — a kiedy

został uznany za członka monakijskiego stowarzyszenia (ten proces trwał całe pięć lat), nie musiał już płacić we Francji pięćdziesięcioprocentowego podatku dochodowego. Do 1962 roku w mającym niecałe dwa kilometry kwadratowe obszarze Monako było co najmniej dziesięć firm spedycyjnych.

Valery Giscard d'Estaing, francuski minister finansów, zwołał konferencję prasową, na której usiłował dodzwonić się do różnych przedsiębiorstw zarejestrowanych w Monako. Żaden abonent się nie odezwał. Zgodnie z duchem protektoratu Francja przez prawie sto lat tolerowała ulgi podatkowe Monako, ale teraz mniejszy partner wyraźnie to wykorzystywał. Giscard mówił o znanych mu osobiście multi-milionerach, którzy pozornie zamieszkiwali w Monako, a w rzeczywistości nie opuszczali Paryża.

Dla stanowczego nowego prezydenta Francji, Charles'a de Gaulle'a, najwyższą zniewagą było to, że wielu francuskich kolonistów powracających z pieniędzmi po wojnie w Algierii lokowało fundusze w Monako, żeby uniknąć podatków. Ci rozgoryczeni emigranci byli najgroźniejszymi przeciwnikami de Gaulle'a. Popierali i finansowali OAS, która — jak w „Dniu Szakala” — organizowała próby zamachów na życie prezydenta. W ten sposób mały kraj, oficjalnie ochraniający przez Francję od 1861 roku, wykorzystywał swoje przywileje, by wspomagać i podżegać zaprzysięgłych wrogów jej głowy państwa.

Większość tych politycznych manewrów uszła uwagi Grace. Razem z Rainierem spotkali de Gaulle'a podczas oficjalnej wizyty w Paryżu w 1959 roku. Przygotowując się do podróży, Grace poszła do biblioteki miejskiej po egzemplarz pamiętników generała — po czym zobaczyła, jakie są grube. Poprosiła sekretarkę, żeby zrobiła jej streszczenie. Rainier nie uważał, by powinien absorbować żonę szczegółami swojej pracy w rządzie, a Grace całkowicie się z tym zgadzała. To nie była jej rola. Arystokratyczny punkt widzenia księcia na jego uświęcone zwyczajem obowiązki doskonale uzupełniała swymi poglądami przedstawicielki klasy średniej. Odgrywanie roli księżnej niewiele różniło się od wykonywania prac domowych w naszym życiu z pereł. Grace uważała, że jej obowiązkiem jako księżnej jest być idealnym dopełnieniem męża — szefa nad szefami — co doprowadziła do perfekcji w 1959 roku, kiedy towarzyszyła Rainierowi podczas wizyty w Paryżu. Zaciekle • antyamerykański de Gaulle był oczarowany jej naleganiem na prowadzenie konwersacji wyłącznie w języku francuskim i uznał jej wymowę oraz lapsusy gramatyczne za czarujące.

Dzięki stylowi i obyciu Grace wizyta okazała się sukcesem.

Grace z Monako królowała nad piętnastoma ministrami i trzystoma poddanymi na Elysee — donosił Paris Presse.

Przez trzy dni Grace odwiedzała francuskie szpitale, szkoły i sierocińce, a gdziekolwiek podążyła, zdobywała przyjaciół.

— Moim najlepszym ambasadorem jest Grace — skomentował dumnie Rainier.

Ktoś powinien poradzić księciu, żeby pozwolił żonie zająć się jego zatargiem z Francją w 1962 roku. Późną styczniową nocą owego roku w pałacu było słyhać podniesione głosy, gdy Rainier spotkał się z Emilem Pelletierem, francuskim wysłannikiem, który zgodnie z przyjętym protokołem francusko-monakijskim był dla księcia odpowiednikiem premiera. Niektóre raporty podają, że Rainier uderzył Pelletiera. Ten przyznaje jedynie, że księżę

znieważył go słowami nie do powtórzenia w kulturalnym towarzystwie — a w dodatku wygłosił kilka komentarzy godzących w honor Francji.

Kłótnia dotyczyła profitów z Radia Monte Carlo — zyskowej komercyjnej rozgłośni, której nadajniki znajdowały się we Francji, tak samo jak większość jej odbiorców i reklamodawców. Chociaż stacja zarabiała pieniądze na Francji, Rainier próbował zahamować francuskie inwestycje w kontrolującej rozgłosnię spółce, aby ochronić mona-kijskich inwestorów, co doprowadziło de Gaulle'a do szału. Oto młody książę Monako znów chciał upiec dwie pieczenie na jednym ogniu i robił to z niebywałym tupetem.

Rainier wyrzucił Pelletiera. De Gaulle wysłał notę, że zrywa wszelkie umowy zawarte z księstwem. Po sześciu miesiącach bezowocnych rokowań prezydent Francji przestał rozmawiać. O północy 12 listopada 1962 roku w ulewnym deszczu z ciemności wyłoniły się grupy francuskich celników w pelerynach, aby zablokować główne drogi prowadzące do i z Monako. Ustawili znaki „Stop — kontrola celna” i zaczęli zatrzymywać pojazdy. Po raz pierwszy od prawie czterystu lat księstwo było oblegane.

Jutro mogą ogrodzić Monako drutem kolczastym — pisała zaniepokojona Grace do Prudy Wise.

Grace i Rainier przebywali w Paryżu, kiedy nadeszły wieści o blokadzie; pospiesznie wrócili do Monako.

Blokada nie była szczelna. Granicę między Francją a Monako wyraźnie zaznaczono na głównych drogach, jednak przeważnie przebiegała jak popadło, wzdłuż ulic i alei, a czasem nawet przez środek budynków. Kościół Serca Świętego zbudowano dokładnie na samej granicy, a mona-kijska zawodowa drużyna piłkarska grała na boisku, którego jedna bramka znajdowała się we Francji, a druga w Monako.

Celnicy de Gaulle'a przeprowadzali demonstrację siły. Nie próbowali kontrolować podróżnych przybywających lub opuszczających Monako w pociągu. Ponieważ Monako i Francja od wieków stosowały zasadę wolnego handlu oraz używały tej samej waluty, i tak nie było przepisów celnych, które należałoby stosować. Sprawdzając dokumenty i ładunki, douaniers po prostu usiłowali sprawiać jak najwięcej kłopotów. Przy wjazdach i wyjazdach z księstwa powiększały się długie kolejki wściekłych właścicieli pojazdów.

— Zamiast podróżować dwadzieścia minut, siedziałem w samochodzie półtorej godziny — wspomina John Pochna, który codziennie dojeżdżał z domu w Villefranche do biur Onassisa w Monte Carlo. — W ten sposób de Gaulle dał klapsa Rainierowi.

Generał nie żartował. Rząd francuski zablokował sprzedaż mona-kijskich farmaceutyków we Francji. W Monako znajdowało się prawie tuzin małych laboratoriów produkujących leki i w wyniku tego zakazu trzystu techników znalazło się bez pracy. Inna francuska ustawa groziła zamknięciem mona-kijskich firm spedycyjnych. Gdyby de Gaulle nie ograniczył się do lekkiego klapsa, przyszłość księstwa nie jawiłaby się różowo. Słodka woda, elektryczność i gaz dopływały do Monako z fabryk położonych we Francji.

Rainier nie miał wyboru. Musiał skapitulować. Jego negocjatorzy robili, co mogli, żeby złagodzić żądania de Gaulle'a, jednak porozumienie podpisane w maju 1963 roku wyraźnie ukazuje rozmiary zwycięstwa generała. Koniec z MEDEC-em... i z Martinem



Dale'em. Francuzi mogli inwestować w Radio Monte Carlo tak samo jak Monakijczycy. W wyniku tego konfliktu Rainier był zmuszony załagodzić spory ze swą kłopotliwą Radą Narodową, którą — w pewnej chwili — zawiesił. Lud Monako otrzymał nową konstytucję, ograniczającą uprawnienia Rainiera do zawieszania zgromadzeń ludowych.

A co najważniejsze, francuscy obywatele nie mogli już korzystać z podatkowych przywilejów Monako. Mogli mieszkać, pracować i robić interesy w księstwie, ale musieli płacić Francji podatki w pełnej wysokości. Monako nadal pozostawało rajem podatkowym, lecz teraz jedynie dla samych Monakijczyków i przedstawicieli innych narodowości: Włochów, Belgów, Niemców, Szwedów — wszystkich, byle nie Francuzów. Ta ostatnia klauzula natychmiast zmieniała Monako z potężnej dziury drenującej francuskie zasoby w cennego partnera, gdyż zagraniczni inwestorzy przybywający do Monako wprowadzali swoje fundusze we francuski system monetarny — płacąc i obracając frankami, a także zarabiając w tej walucie. Większość ludzi uchylających się od płacenia podatków to bardzo konserwatywni inwestorzy. Oni już podjęli ryzyko i zgarnęli spore profity pieniężne, uniknąwszy podatków, co sprawiło, że stali się chętnymi nabywcami nisko oprocentowanych, pewnych inwestycji, takich jak obligacje rządowe. Tak więc Monako bez francuskich krętaczy podatkowych stało się wspaniałym źródłem rezerw finansowych, w pewien sposób zapewniając stabilność franka.

To mógł być główny powód tego, że w 1962 roku de Gaulle nie poszedł na całość i nie zaanektował kłopotliwego i pasożytniczego księstwa na południowej granicy swego państwa. Jednak inną przyczyną okazał się niewątpliwie fakt, że żoną Rainiera była Jej Księżęca Wysokość Księżna Grace. Monako było anachronicznym tworem i — do czasu przybycia Grace — niezbyt udanym. Hazard, uchylanie się od podatków, zwaśniona rodzina księżęca, dwuznaczne stanowisko podczas wojny... Któż w 1962 roku uroniłby łzę czy organizował protest Narodów Zjednoczonych, gdyby Monako nie miało swej wspaniałej księżnej i gdyby de Gaulle uznał, że chce objąć to państewko taką samą kontrolą, jaką Wielka Brytania sprawuje nad Wyspami Kanału, a USA nad Puerto Rico? Grace Kelly stała się głównym powodem tego, że niemal cały świat słyszał o Monako, a także jedynym powodem, dla jakiego kogokolwiek — oprócz rodziny Grimaldich, trzech tysięcy Monakijczyków oraz dwudziestu dwóch tysięcy nieuczciwych podatników — miałoby obchodzić, czy Francja rządzi tym krajem bezpośrednio, czy poprzez mechanizm protektoratu. Grace uczyniła Monako obecnym w międzynarodowej świadomości, a także sympatycznym miejscem. Zapewne pomogło i to, że oczarowała de Gaulle'a, kiedy spotkała go osobiście. Większe znaczenie miał międzynarodowy rozgłos i popularność, jakie zapewniła swojej przybranej ojczyźnie. W latach 1956—1962 oficjalnie lub półoficjalnie razem z Rainierem odwiedzili Waszyngton, Paryż, Londyn, Hiszpanię, Irlandię i Watykan. Rainier nie miał dość charyzmy, aby wystarać się o wszystkie te zaproszenia z wysokiego szczebla, a na pewno nie spotkałby się ze strony prasy, narodów i wysokich urzędników rządowych z fascynacją i afektem, jakie zapewniała obecność Grace.

„Księżna Monako”. Ten podpis, jak magiczne zaklęcie, pojawiał się w gazetach pod zdjęciami, zazwyczaj wielkimi i umieszczonymi na pierwszej stronie gazet, gdziekolwiek podążała Grace. To czyniło księstwo równorzędnym graczem, członkiem światowej

rodziny państw, w stopniu, w jakim jeszcze nigdy nim nie było. Dzięki Grace Kelly Monako stało się czymś realnym.

To tylko film.

Pierwszą widoczną zmianą, jaką Grace Kelly dokonała w Monako, było zaniechanie słynnych strzelań do gołębi. Uznała je za barbarzyński zwyczaj. Uważała za bezsensowne to, że jej mąż usiłuje chronić i regenerować przyrodę po jednej stronie portu, podczas gdy z drugiej dyrektorzy SBM Onassisa strzelają całe kosze ptaków — a poza tym nie poprawiało to wizerunku Monte Carlo jako cywilizowanego miejsca. Rainier podzielał jej punkt widzenia. Porozmawiał z Onassisem i tak skończyły się Tir aux Pigeons.

Grace uważała, iż jej rola w nowej ojczyźnie polega na łagodzeniu, humanizacji i służeniu. Świadomie lub nie, wskrzeszała na swój użytek replikę życia, jakie jej matka wiodła na Henry Avenue: dbała o konsumpcyjnie nastawionego męża-autokratę, poświęcała się dla dzieci i spożytkowywała resztki impulsów twórczych na dobre uczynki. Ma Kelly miała Women's Med. Domeną księżnej Grace były niemal wszelkie rodzaje działalności charytatywnej i socjalnej w Monako — w ten sposób pojmowała zasadę noblesse oblige.

Zaczęła od pierwszego roku panowania, kiedy była w ciąży z Karoliną. W zimie 1956 roku zorganizowała w pałacu wieczór wigilijny dla wszystkich dzieci z Monako w wieku od lat trzech do dwunastu. Nie wpuszczano rodziców. Rainier i będąca w zaawansowanej ciąży Grace zaprosili pięćset dzieciaków, w czterech turach, na ciastka, lemoniadę, film, występy magika i kłownów. Przyjęcie stało się coroczną tradycją, a po kilku latach uzupełniał je wydawany innego dnia podwieczorek, na którym Grace podejmowała starych i niepełnosprawnych mieszkańców Monako, obdarowując każdego skromnym upominkiem — 0 ile to było możliwe, jakąś nową częścią garderoby. Została stałym gościem miejscowych domów starców, monakijskiego sierocińca, szpitala otwartego w 1958 roku oraz przedszkola, jakie kilka lat później powstało przy jej pomocy dla dzieci matek pracujących. Była szczerze i aktywnie zainteresowana tymi wszystkimi instytucjami — kreśliła kolorowe schematy, sugerowała zakup nowych urządzeń i wyposażenia, przywoziła dekoracje ze swych zagranicznych wояaży. Za jej sprawą sypialnię w sierocińcu poprzedzielano parawanikami, tak by każde dziecko miało odrobinę przestrzeni dla siebie.

— Nauczono nas, że należy z siebie coś dać — wyjaśniła Grace, gdy wychwalano jej działalność społeczną. — Ojca nie obchodziły nasze zamiłowania, ale musieliśmy czymś się interesować. Nie znosił ludzi, którym brakowało entuzjazmu.

Grace przekonała się, że musi nieco pohamować swój entuzjazm na posiedzeniach zarządu Czerwonego Krzyża. Czerwony Krzyż zawsze był sztandarowym przykładem charytatywnej działalności Monako i gdy w maju 1958 roku Rainier przekazał żonie godność przewodniczącego, uznano to za zaszczyt. Grace przybyła na pierwsze zebranie uzbrojona w spisy i wykazy, w dodających jej nauczycielskiej powagi okularach, po czym odkryła, że damy zasiadające w komitecie pojmują swoją rolę mniej poważnie, a bardziej towarzysko.

Wypracowanie kompromisu zabrało trochę czasu; miejscowe panie musiały zarazić się odrobiną amerykańskiej energii Grace, a księżna musiała nauczyć się rozumieć, jeśli nawet nie podzielać, śródziemnomorski sposób powolnego wykonywania obowiązków. Ten Czerwony Krzyż mnie wykończy — pisała do Prudy Wise w styczniu 1960 roku. — Zdziwiłabyś się, jaka to ciężka praca!

W liście do starej przyjaciółki Grace odważyła się powątpiewać, czy naprawdę jest stworzona do pracy dobroczynnej, choć nie powinna się tym martwić. Za jej prezydentury doroczny monakijski Bal Czerwonego Krzyża stał się najważniejszym wydarzeniem letniego sezonu na Riwierze. Grace wykorzystwała stare przyjaźnie, żeby ściągnąć hollywoodzkie gwiazdy, zarówno jako wykonawców, jak w charakterze gości — Davida Nivena, Cary'ego Granta, Franka Sinatrę, Sammy'ego Davisa Juniora — a także nakłoniła komitet do kierowania większej części funduszy na działalność Czerwonego Krzyża za granicą. Nie zmniejszając nakładów na miejscowe projekty, Monakijski Czerwony Krzyż stał się, proporcjonalnie do swojej wielkości, jednym z najhojniejszych na świecie, niosąc pomoc ofiarom wojen i klęsk żywiołowych od Peru po Pakistan. Łagodna Grace potrafiła być bardzo poważna. Na początku lat sześćdziesiątych została honorową przewodniczącą i była aktywnym członkiem-założycielem AMADE — VAssociation Mondiale des Amis de l'Enfance — Światowego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci. W słabo rozwiniętych krajach AMADE tworzyło lobby optujące za rozwojem opieki medycznej i edukacji. W bogatszych społeczeństwach prowadziło kampanie przeciw takim problemom jak przemoc w TV. Jeśli nawet AMADE nie przekazało światu większych środków pieniężnych niż inne organizacje dobroczynne, to na pewno zaliczało się do tych, których działalność przyniosła efekty — a Grace miała pewność, że jej czas poświęcony na pomoc w różnych kampaniach nie został zmarnowany. Wyjaśniała, że jej syn i córka mieli tyle szczęścia, więc jak ona mogłaby nie próbować pomóc dzieciom, które miały go mniej?

To dobro Karoliny i Alberta leżało na sercu ich młodej matki — a także ich ojca. Kiedy Alejo Vidal-Quadras, hiszpański malarz, mieszkał na początku lat sześćdziesiątych w pałacu książęcym, malując portret Alberta, zwrócił uwagę na to, że chłopiec stale napomykał

O swojej starej ciotce Leonorze. Najwidoczniej była śmieszną, zgarbioną staruszką, zdecydowanie miłą, ale też dość ekscentryczną, żyjącą na uboczu w odległym końcu pałacu. Dzieci nie mogły się doczekać jej wizyty. Co tydzień przychodziła, podpierając się laską. Kiedy Vidal-Quadras zapytał Grace o tę tajemniczą babcię z bajki, usłyszał, że już ją poznał. Ciotką Leonorą był Rainier, który raz na tydzień odgrywał ją przed dziećmi. Książę i księżna uwielbiali swoje dzieci. Jedną z ulubionych chwil była dla Grace ta, kiedy mogła im poczytać do poduszki. Kładła je do łóżek, po czym z takim dramatyzmem i uczuciem prowadziła narrację bajek, że angielska niania, Maureen King, niechętnie opuszczała dziecinny pokój, zachwycona przedstawieniem.

Rainier i Grace bardzo poważnie traktowali wychowanie potomstwa. Było dla nich wspólnym przedsięwzięciem, o którym wiele myśleli

1 rozmawiali. Jeśli musieli gdzieś wyjść wieczorem i opuścić zwyczajowe czytanie bajek oraz usypianie, Grace starała się skończyć malowanie i czesanie tak, aby został jej czas na rozmowę z dziećmi przy kolacji.

Jednak nie wszystkie rozstania przebiegały tak spokojnie.

Za każdym razem, gdy matka i ojciec zamierzają opuścić pałac bez niej — pisała Madge Tivey-Faucon o małej Karolinie we wczesnych latach sześćdziesiątych — ona wybucha płaczem.

Księżna nigdy nie potrafi oprzeć się łzom córki. Wraca przy pierwszym szlochu. Ta scena zwykle ma miejsce w Cour d'Honneur. Wszystkie sekretarki, słysząc wrzaski dziewczynki, biegają do okien. Księżna pochyła się nad dzieckiem i uspokajają łagodnie, aż rwała przestaje płakać. To może trwać nawet kwadrans. Jednak księżna nigdy się nie denerwuje i nie złości.

Oboje, Rainier i Grace, chcieli stworzyć swoim dzieciom dzieciństwo znacznie szczęśliwsze i bardziej bez trosk od swojego. Dla Rainiera, dziecka z rozbitego domu, spokojne i ustabilizowane życie rodzinne stanowiło ogromny krok naprzód. Grace pragnęła wychowywać potomstwo w sposób mniej apodyktyczny i przytłaczający niż Jack i Margaret Kelly. Jak wiele przedstawicielek jej pokolenia była wyznawczynią teorii doktora Benjamina Spocka o bezstresowym wychowaniu dziecka. Grace studiowała książkę Spocka jak Biblię, szukając nowych, nowoczesnych rozwiązań odwiecznego dylematu powstającego przy godzeniu dyscypliny z miłością. Kiedy pewnego wieczoru kąpiąc Alberta odkryła, że Karolina zaczęła gryźć młodszego braciszka, natychmiast mocno ugryzła ją w ramię.

— Naprawdę, nie powinnaś gryźć swojego brata — powiedziała. — To boli.

Opowieść o tym pouczającym ugryzieniu była często przytaczana w autoryzowanych reportażach z Monako, opisujących wychowanie książęcych dzieci we współczesnym pałacu. Udzielając wywiadów, Rainier i Grace zawsze mówili, jakimi stanowczymi są rodzicami.

— Obawiam się, że czasem jesteśmy zbyt surowi — zwierzała się Grace Mike'owi Wallace'owi w 1962 roku.

Jednak ludzie z zewnątrz rzadko dostrzegali jakieś przejawy tej surowości. Kiedy jej dzieci miały zaledwie trzy i cztery lata, Grace zabierała Karolinę i Alberta na wystawy obrazów lub pokazy mody, gdzie zuchwale ślizgali się po wywoskowanych parkietach lub bawili się bezcennymi eksponatami. Grace nadal oglądała obrazy lub stroje, nie zwracając uwagi szalejącym dzieciom — a nikt nie ośmielał się powiedzieć im choćby słowa.

Częściowo był to wynik dobrobytu. Po drugich godzinach spędzonych na zabawie u stóp matki przymierzającej stroje czteroletnia Karolina poprosiła o sukienkę koktajlową własnoręcznie uszytą dla niej przez Givenchy — i dostała ją na piąte urodziny. Jak łagodny i posłuszny Albert nie miał stać się odrobinę uparty, skoro jeździł po pałacu elektrycznym samochodziem otrzymanym w prezencie od Arystotelesa Onassisa? Jednak w większym stopniu było to rezultatem zderzenia dwóch kultur. Grace wychowywała syna i córkę na młodych Amerykanów, zachęcając, żeby mówili to, co myślą, a także starali się pozostać sobą — w przeciwieństwie do europejskiej tradycji

nakazującej, aby dzieci było „widać, a nie słycać”. Kiedy jej przyjaciele z Nowego Jorku i Filadelfii przyjeżdżali do Monako, ze szczerą aprobatą wypowiadali się o małym księciu i księżniczce. Dzieci były takie bystre i otwarte. Europejczycy i Monakijczycy nie byli tak olśnieni. Ich zdaniem (zwykle wyszeptywanym na boku), Karolina i Albert zapowiadali się na typowe wytwory amerykańskiej kultury telewizyjno-hamburgerowej — enfants gdtés („rozpuszczone bachory”).

Micheline Swift, żona Davida Swifta, nowojorskiego przyjaciela Grace, przekonała się, jak okropnie potrafią zachowywać się dzieci księżnej, kiedy podejmowała ją i Karolinę w Ameryce. Grimaldi przyjechali do Los Angeles na wakacje — tyle nowych domów i budynków — pisała podekscytowana Grace do Prudy — że to wprost oszałamia — a Micheline namówiła Grace, aby pozwoliła jej zabrać Karolinę na zakupy, na które wybierała się ze swoją córką, Michele, która była mniej więcej w tym samym wieku co mała księżniczka.

Grace była mocno zaniepokojona.

— Nikomu nie pozwalaliśmy zabierać nigdzie Karoliny beze mnie — powiedziała.

Jednak zgodziła się, nie potrafiąc odmówić córce tej przyjemności, i trzy damy poszły do Saksa na Piątej Alei. Tam Karolina, wówczas jeszcze mała dziewczynka, urządziła okropne przedstawienie, niedbale przymierzając i zdejmując różne kreacje, rzucając je na podłogę i traktując personel z kompletną pogardą.

— To nie może być pani córka — powiedziała do Micheline przerażona ekspedientka. — Widzę, że pani dziewczynka jest taka grzeczna. Gdzie pani znalazła to okropne dziecko? Ze względów bezpieczeństwa i aby nie ściągnąć chmary dziennikarzy, postanowiono, że wyprawa ma pozostać absolutną tajemnicą, jednak to nie przeszkadzało małej Marii Antoninie wychowanej przez Grace.

— „Jestem Karolina — oznajmiła. — Księżniczka Karolina... i nie waź się tak do mnie mówić!”

Jay Kanter nigdy nie przestał przysyłać Grace scenariuszy i pomysłów na filmy. Nie naciskał — naciski nie były w stylu Kantera — ale jako jej agent musiał mieć pewność, że Grace wie, jakie otwierają się przed nią możliwości. Księżniczka odrzucała z zasady wszystkie propozycje — i z wyraźnym zadowoleniem. Uznała za żart, kiedy Spyros Skouras zaproponował jej rolę Najświętszej Marii Panny w *The Greatest Story Ever Told* („Największej z opowieści”).

— Najświętszą Marię Pannę? Nie ma mowy — odpowiedziała. — Raczej Marię Magdalenę...

Filmy pozostawiła za sobą. Były częścią innego życia. Księżna Grace miała męża, dzieci, pracę charytatywną oraz wypełnioną, bogatą i odpowiedzialną egzystencję. A jednak...

Kiedy Cary Grant w 1961 roku przyjechał z wizytą do Monako, zauważył, że Grace była jakby niespokojna. Rita Gam wpadła tam przejazdem po drodze z Berlina, aby pochwalić się nagrodą, otrzymaną na festiwalu za rolę w filmie *No Exit* („Bez wyjścia”). Grace otworzyła szampana i pogratulowała starej przyjaciółce. Jednak pod maską szczerzej radości — pisała później Rita Gam — wyczuwałam odrobinę zazdrości aktorskiej.

Grace nie była tak szczęśliwa, jak wydawała się na początku lat sześćdziesiątych.

Boleśnie odczuła śmierć ojca. Została bardziej samotna, niż chciała to przyznać. W

Monako nie miała prawdziwych przyjaciół. A najgorsze było to, że po urodzeniu Alberta w 1958 roku, miała dwa poronienia. Dopiero wstałam z łóżka — pisała do Prudy po drugim poronieniu. Straciła trzymiesięczne dziecko. — To było okropne przeżycie, które wstrząsnęło mną zarówno psychicznie, jak i fizycznie.

Systematyczne rodzenie dzieci było częścią roli, jaką Grace przewidziała dla siebie w małżeństwie, więc poronienia okazały się przykrą niespodzianką, która zachwiała jej poczuciem własnej wartości. Oto znalazło się coś, czego nie mogła zrobić tak dobrze, jak zamierzała. To wszystko stało się powodem dziwnego przygnębienia, czyniącego ją niezwykle znużoną i apatyczną. Kładła się do łóżka o najróżniejszych porach dnia i przesyiała całe godziny. Telefon może dzwonić, goście mogą czekać — opisywała Madge Tivey-Faucon. — Księżna śpi i wydano polecenie, aby jej nie budzić.

Ogarnięta depresją i niepokojem Grace wysłuchiwała Alfreda Hitchcocka. Ten reżyser nigdy nie uwierzył w to, że Grace na zawsze zrezygnowała z aktorstwa. Uznał jej odejście za rodzaj osobistej dezercji — podobnie zdradzony czuł się w 1949 roku, kiedy Ingrid Bergman odeszła do Roberta Rosseliniego. Jednak w przypadku Grace Hitchbardzo starał się utrzymać dobre stosunki. Monako było regularnym

298

przystankiem podczas wypraw tego smakosza na południe Francji, a w osobie Rainiera znalazł wdzięcznego odbiorcę swoich niewyszukanych dowcipów. Obaj potrafili czerpać niezwykłą radość z takich prostych gadżetów jak pierdzące poduszki czy plastikowe psie kupki. Hitchcock obiecał księciu oraz księżnej, że znajdzie idealną rolę dla Grace i na wiosnę 1962 roku oznajmił, że ją ma. Przesłał Grace scenariusz filmu opartego na powieści Winstona Grahama. Opatrzono ją roboczym tytułem „Marnie” (Marnie).

„Marnie” wykorzystywała wszystkie schematy seksualnych komplikacji, jakie Hitchcock zgłębiał w poprzednich filmach z Grace. Zarzucenie hollywoodzkiego kodeksu producenta filmowego i atmosfera lat sześćdziesiątych umożliwiły mu większą swobodę wypowiedzi. Marnie — rola przeznaczona Grace — jest piękną, lecz seksualnie oziębłą młodą kobietą, która kradnąc rozładowuje swoje frustracje. Jedną z propozycji tytułów brzmiała: „Poślubiłem oziębłą kleptomankę”. Chłopak, a później mąż — grany przez Seana Connery'ego — ratuje ją przed aresztowaniem, po czym umożliwia jej seksualne odrodzenie, pozwalając odkryć prawdę o jej nieszczęśliwym dzieciństwie. W dramatycznym punkcie kulminacyjnym filmu Marnie wspomina, że jako dziecko spała w łóżku matki-prostytutki sprowadzającej do domu klientów.

Ta trudna i skomplikowana rola stanowiła wyzwanie dla dojrzałej Grace Kelly — było to połączenie „Złodzieja w hotelu” z „Dziewczyną z prowincji”. Jednak to, czy była ona właściwa dla księżnej Monako, to zupełnie inna sprawa. Grace i Rainier wierzyli w dobry smak Hitchcocka. W swoich ostatnich trzech filmach — „Północ, północny zachód” (North by Northwest), „Psychoza” (Psycho) i „Ptaki” (The Birds) — reżyser wykazał się prawdziwym mistrzostwem, lecz to inne, zupełnie odmienne względy zaważyły na decyzji Grace o powrocie na ekrany.

Główny impuls do zagrania Marnie dał nieoczekiwanie Rainier. Mąż Grace nie zmienił zdania odnośnie godnego zachowania oczekiwanego od księżnej. Zniechęcił właścicieli

kin do wyświetlania filmów z Grace Kelly z okazji ich ślubu, a żyjący z turystyki obywatele księstwa wiedzieli, że lepiej nie wykorzystywać dawnego życia władczyni, zdobiąc jej wizerunkiem podkoszulki, kufle do piwa czy pocztówki. Twarz Grace, tak samo jak Rainiera, znalazła się na znaczkach pocztowych, lecz poza tym w Monako starannie unikano wszelkich przejawów kultu osoby Grace Kelly.

Lecz w trakcie sześciu lat małżeństwa Rainier stał się znacznie mniej sztywny. Nadal miewał humory i dąsy. Tych nigdy się nie pozbył. Jednak osłabła trochę jego chęć kontrolowania wszystkiego — przynajmniej w przypadku Grace. Księżę nauczył się ufać żonie — i odrobinę okazywać własne uczucia. Wyczuwał jej smutek spowodowany poronieniami.

— Bywały chwile — powiedział swojemu oficjalnemu biografowi, Peterowi Hawkinsowi, w 1966 roku — kiedy księżna z melancholią wspominała swoje sukcesy w dziedzinie sztuki, z której musiała całkowicie zrezygnować... Doskonale to rozumiem. Decyzja księżnej o nakręceniu kolejnego filmu nie została podjęta indywidualnie. Ten pomysł jej się podobał, ale prawdę mówiąc, właściwie ja ją do tego namówiłem.

Hitchcock zamierzał kręcić „Marnie” w lecie 1962 roku w jednym z północno-wschodnich stanów. Rainier i Grace już zaplanowali długie wakacje w Ameryce. Nie musieliby zrezygnować ze swoich planów ani obowiązków publicznych, gdyby Grace wstawała wcześniej i pojawiała się na planie rano.

— Myślałem, że to będzie świetna zabawa dla nas wszystkich — powiedział Rainier dwadzieścia pięć lat później Jeffreyowi Robinsonowi — szczególnie dla dzieci. Wiedziałem, że chciała nakręcić kolejne filmy. Ponadto miała znów pracować z Hitchcockiem, którego podziwiała.

Osiemnastego marca 1962 roku komunikat prasowy z pałacu Monako oznajmił, iż księżna Grace przyjęła propozycję zagrania podczas letnich wakacji roli w filmie pana Alfreda Hitchcocka, który ma być nakręcony w Stanach Zjednoczonych. Aby uprzedzić możliwe reakcje na tę wiadomość, komunikat podkreślał, że księżę Rainier zamierza być obecny podczas kręcenia sporej części filmu oraz że Jej Wysokość wraz z rodziną wróci do Monako w listopadzie. Jednak Grace, Rainier ani Hitchcock wcale nie byli przygotowani na to, co nastąpiło. W marcu 1962 Francja i Monako oddały pierwsze salwy w utarczce graniczo--podatkowej i w tym dostrzeżono powody podjęcia takiej decyzji. Grace wraca na ekrany, spekulowały gazety od Nicei do Nowego Meksyku, aby ośmieszyć generała de Gaulle'a, dowieść niezależności Monako... i zarobić sporo potrzebnych mężowi pieniędzy.

Nie obchodzi mnie, co mówi księżę Rainier — stwierdziła Sheilah Graham w New York Mirror. — Fakt, że [jego] żona, Grace Kelly, wznawia karierę gwiazdy filmowej, obojętnie z jakiego powodu, wskazuje, iż w ich małżeństwie nie dzieje się najlepiej.

MGM przyłączyło się do wrzawy, wysyłając gniewny list do Alfreda Hitchcocka.

Kiedy panna Kelly opuściła kraj, aby stać się księżną Grace — napisał Joseph Vogel, dyrektor MGM — jej kontrakt opiewał jeszcze na cztery i pół roku. Ten okres był i jest ważnym, choć nie wykorzystanym, aktywem naszej firmy... Kiedy księżna Grace zrezygnowała z działalności zawodowej, uważaliśmy, że nie mamy innego wyjścia, jak

zapomnieć o naszej umowie... jesteśmy przekonani, że w poczuciu słuszności i sprawiedliwości jej powrót powinien odbyć się przy udziale Metro-Goldwyn-Mayer. Nie tak to miało być. W ciągu kilku dni niemal przypadkowa decyzja podjęcia wakacyjnej pracy rozrosła się do wydarzenia międzynarodowej rangi ze skomplikowanymi implikacjami prawnymi. Rainier nadal mówił o letnich wakacjach. Rupert Allan pracowicie wydzwaniał po wszystkich znajomych dziennikarzach tłumacząc, że w małżeństwie nie dzieje się nic złego. W pałacu oznajmiono, że honorarium Grace za „Marnie” (ponad osiemset tysięcy dolarów) będzie przeznaczone na specjalny fundusz dla dzieci upośledzonych i młodych sportowców Monako.

Wszystko na próżno. Zapowiadany powrót bogini ekranu wszędzie wzbudził ciekawość, a to, co powszechnie podejrzewano, że dla Grace życie w pałacu okazało się co najmniej niezupełnie zadowolające, było całkiem uzasadnione. Perspektywa powrotu księżnej do Hollywood miała w sobie coś fascynującego, jak projekcja kawałka taśmy od tyłu. Kiedy Grace w rozmowie telefonicznej przekazała Judy Kanter nowinę o „Marnie”, jej głos brzmiał młodo, jak u nastolatki. Jednak publiczna wrzawa i zamieszanie przyniosły wprost przeciwne skutki. Nagle wspaniały pomysł przestał cieszyć. Grace znów zamknęła się w swoim pokoju.

W 1956 roku, w tygodniu zaślubin, Rainier cenzurował prasę przychodzącą do pałacu, tak że Grace nie czytała mniej pochlebnych sprawozdań. Teraz Georgesowi Lukomskiemu, osobistemu doradcy i towarzyszewi Rainiera, przypadło nieprzyjemne zadanie poinformowania o tym, co mówi świat.

Księżna jest zaszokowana... — donosił Lukomski. — Są poważne obawy, że grozi jej załamanie nerwowe.

Obywatele Monako szczególnie energicznie protestowali przeciw Powrotowi ich księżnej na ekrany. — A co z całowaniem głównego bohatera? — zapytał jeden z nich — i wszystkie te lokalne zastrzeżenia

zacytowała Grace na początku czerwca 1962, kiedy pogodziła się z nieuniknionym. — Jednak nie nakręcę tego filmu — powiedziała reporterowi Nice Matin.

Nie podpisano żadnej umowy, a i tak cała sprawa zależała od tego, czy Grace zaaprobuje scenariusz.

Z głębokim żalem musiałam zrezygnować z tego filmu — pisała Grace do Hitchcocka 18 czerwca 1962. — Tak bardzo cieszyłam się na myśl o nim, a szczególnie o wznowieniu współpracy z Panem. Kiedy się spotkamy, wyjaśnię osobiście wszystkie powody mojej rezygnacji, co trudno mi zrobić listownie czy przez osoby trzecie. Szkoda, że tak się stało, i głęboko tego żałuję.

Droga Grace — odpisał jej Hitchcock tydzień później. — Tak, wielka szkoda, oczywiście... Uważam, że bez wątplenia podjęłaś nie tylko najbardziej słuszną, ale i jedyną możliwą decyzję, rezygnując teraz z roli. W końcu, to tylko film... PS. Załączam taśmę magnetofonową, jaką nagrałem specjalnie dla Rainiera. Proszę, powiedz mu, żeby przesłuchał ją w samotności. Nie jest przeznaczona dla wszystkich.

„To tylko film” — było jednym z ulubionych stwierdzeń Hitchcocka, a mając na swoim koncie przeszło czterdzieści nakręconych obrazów, mógł sobie pozwolić na wzruszenie ramion. Zrobił „Marnie” w 1963 roku z Tippi Hedren w roli przeznaczonej pierwotnie dla



Grace. W wyniku całego galimatiasu nie stracił wiele czasu ani pieniędzy, a rozgłos wcale nie zaszkodził powodzeniu tej ostatniej produkcji Alfreda Hitchcocka.

Jednak Grace nie mogła cieszyć się tak dobrym samopoczuciem, gdyż nie była w stanie odzyskać tego, co straciła. Do historii z „Marnie” możliwość powrotu na ekran była myślą, jaką zawsze mogła się pocieszać, choćby w marzeniach. Dopóki nie usiłowała wcielić myśli w czyn, nadzieja powrotu do aktorstwa pozostawała stałą obietnicą i ukojeniem, lecz przy próbie przekręcenia magicznego klucza te drzwi zostały na zawsze zamknięte. Reakcja opinii publicznej na „Marnie” nadała kształt temu, o czym zapomniał Rainier. Księżna lub aktorka — trzeba wybierać. Grace nie mogła być obiema jednocześnie. Doskonale spisywała się jako władczyni. Bardzo dobrze wypadła w roli uśmiechniętej, godnej i stylowej damy. Była po prostu znakomita w tworzeniu obrazu ludzkiej i troskliwej osoby. Jednak to, jak wiedziała Grace, było prawie wszystko, co oferowała rola księżnej.

Niewielkie

były szansę, aby doceniono zmiany i wyrzeczenia, jakich wymagało od niej życie publiczne. Nieprzypadkowo najpopularniejszymi władcami są albo bardzo starzy, albo bardzo młodzi ludzie. Codzienne odgrywanie roli księżnej to za mało, aby zająć dojrzały, żywy umysł. Brakowało jej intensywności i radości związanych z zawodem aktora — napięcia i twórczości, współzawodnictwa, ryzyka niepowodzenia, niebezpieczeństwa, plotek, braterstwa, zaspokojenia dorosłej potrzeby sukcesu zależnego jedynie od osobistego wysiłku i talentu, ocenianych według realnych standardów prawdziwego świata.

W 1956 roku Grace beztrząsco zrezygnowała z tego wszystkiego, nie mając pojęcia, czego będzie jej brak. Teraz wiedziała.

Wpływ Onassisa.

Przez większą część lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych w czasie ciepłych letnich nocy w Monako najbardziej rzucał się w oczy jacht Arystotelesa Onassisa. Oświetlona od dziobu po rufę jak choinka na Boże Narodzenie „Christina” zakotwiczona w porcie stanowiła ponad dziesięciometrowy symbol przepychu. Onassis kupił tę łódź w 1952 roku za pięćdziesiąt tysięcy dolarów — przedtem była fregatą marynarki kanadyjskiej — po czym wydał cztery miliony, zmieniając ją w symbol swojej władzy i bogactwa. Znajdowało się na niej przedszkole, sala operacyjna, basen pływacki, którego dno można było podnieść do poziomu pokładu, zmieniając go w parkiet taneczny, oraz cztery luksusowe kabiny. „Christina” przyćmiewała ponad czterdziestometrowy jacht Rainiera, „Deo Juvante II”. Kiedy oba stały obok siebie — czego księżę wolał unikać — „Deo Juvante II” przypominał holownik.

„Christina” została tak nazwana na cześć jedynej córki Onassisa i stanowiła upust wszelkich jego fantazji i poczucia humoru. Podnóżki stołków barowych zrobiono z wielorybich fiszbinów, a siedzenia pokryto ich lśniąca białą skórą zdartą z jader zwierzęcia, jak głosił Onassis, chociaż czasem zmieniał wersję.

— Madame — powiedział jednej z odwiedzających go kobiet — siedzi pani teraz na największym penisie na świecie.

Takie poczucie humoru idealnie odpowiadało młodemu księciu, będącemu jego partnerem w interesie, jakim było Monte Carlo, Inc.

Rainier chętnie powitał przejęcie przez Onassis Societe des Bains de Mer w 1953 i dynamikę działania, jaką Grek wniósł w udziale.

— Będę budował, upiększał i odnawiał — obiecał i na początku dotrzymał słowa. Dobudował trzy piętra hotelowi de Paris i zwieńczył budynek spektakularną restauracją, z której rozciągał się panoramiczny widok na port, a rozsuwany dach pozwalał w nocy oglądać gwiazdy.

Onassis posiadał pięćdziesiąt trzy procent udziałów w SBM. Rainier miał jedynie dwa procent — odziedziczone w spadku — jednak zezwolenie SBM na działalność w Monako dawało księciu prawo weta w rozmaitych przejawach aktywności firmy. To czyniło księcia i głównego udziałowca współzarządcami turystycznych dochodów Monako, a ich wzajemne stosunki cechowały się dumą i drażliwością typową dla takich małych Cezarów. Zdarzało się, że ich regularne spotkania w pałacu przybierały charakter walki dwóch tryków, jednak obaj wiedzieli, że są sobie potrzebni, tak więc te konflikty jedynie umacniały ich przyjaźń i wzajemny szacunek.

— Jednego dnia skakali sobie do gardeł — wspominał jeden z doradców Rainiera. — Następnego całowali się na powitanie w policzek.

Grace podzielała ambiwalentne uczucia małżonka. Drażniła ją ostentacja, z jaką Onassis obnosił się z tytułem nie koronowanego króla Monako. Uważała, że to podważa prestiż jej męża. Jednak siła witalna tego człowieka była ujmująca. Onassis potrafił obsypywać damę komplementami z energią i prostotą Olega Cassiniego, a w przypadku Grace bardzo się o to starał. Jesienią 1961 roku Grace i Rainier przyjęli zaproszenie na rejs po greckich wyspach na pokładzie „Chris-tiny”, razem z Onassisem i Marią Callas. Kiedy dwaj mężczyźni zwiedzali monastyny na Mount Athos, do których wstęp mieli tylko mężczyźni, Grace i Callas wsiadły do małej łódki i podpłynęły jak najbliżej brzegu, żeby też popatrzeć. Mogły oszczędzić sobie trudu.

Chłopcy powiedzieli, że mnisi cuchnęli tak okropnie — pisała Grace do Prudy — że miałyśmy szczęście, że nas tam nie było.

Onassis w końcu przekonał do siebie Grace tolerancją, jaką wykazywał wobec jej hałaśliwych dzieci.

— Drażniły się z nim, ciągnęły go za uszy i wpychały do basenu — Wspominał później Rainier. — Nie był już młody, więc trochę się o niego niepokoiiliśmy.

Rainier przypisywał późniejsze pogorszenie stosunków z Onassisem romansowi potentata z Marią Callas i spowodowanym przez to nieprzyjemnym, publicznym rozpadem małżeństwa.

— Były paskudne artykuły i plotki — mówił książę Peterowi Haw-kinsowi w 1965 roku. — On jakby zamknął się w sobie i może dlatego, że właśnie tutaj rozpoczęły się te kłopoty, podświadomie przestał lubić Monte Carlo.

Jednak problem miał znacznie głębsze podłoże. Onassis był daleki od niechęci do Monte Carlo, raczej za bardzo je lubił. Cieszył się jego ekskluzywnym i elitarnym charakterem. Kontrola, którą sprawował nad SBM, pozwalała mu zyskać klasę, jakiej nie dawało bogactwo, więc niechętnie przyjmował ustawiczne nalegania Rainiera, aby otworzyć

księstwo dla mniej ekskluzywnej klienteli. Zwerbowanie Grace przez Rainiera przydało księstwu rozgłosu i prestiżu, jaki Onassis miał nadzieję zdobyć, mianując swoim ambasadorem Marilyn Monroe, tymczasem teraz współzarządcy nie zgadzali się w sprawie najlepszego wykorzystania tego faktu. Paradoksalne, lecz to arystokrata optował za parówkami, podczas gdy parweniusz wybierał kawior.

Od chwili objęcia władzy w 1949 roku Rainier hołubił ekspansjonis-tyczną wizję przyszłości swojego państwa. Pragnął odzyskać dwa obszary płytkich wód na obu krańcach Monako i uczynić z jednego ośrodek przemysłu lekkiego, a z drugiego rodzaj nadmorskiego kurortu, bo takiego miejsca brakowało księstwu. Większość skał i ziemi potrzebnych w tym celu pochodziłoby z drążonego pod Monte Carlo tunelu dla linii kolejowej Nicea—Menton, który miał wyeliminować przykry widok torów i uwolnić więcej terenów pod zabudowę. Na początku lat sześćdziesiątych większość tych planów była bliska realizacji i Rainier nie miał wątpliwości, jaki powinien być następny krok. Ściągnąć Holiday Inn!

— Osobiście uważam — wyjaśniał Peterowi Hawkinsowi w roku 1965 — że przychody księstwa znacznie wzrosną, jeśli stworzymy dwa tysiące nowoczesnych, wygodnych pokoi hotelowych, jakie tak dobrze potrafią budować Amerykanie. Żadnych super-hiper-luksusów, tylko nowocześnie wyposażone, funkcjonalne i ładne pokoje hotelowe w maksymalnej cenie piętnaście dolarów za dobę.

Nawet gdyby nie poślubił Grace Kelly, ambitny książę Monako byłby wiernym zwolennikiem amerykańskiego stylu życia, od jazzu i nowinek technicznych po sposób zarządzania przedsiębiorstwem. Sieć hoteli Holiday Inn od 1950 roku była jednym z większych sukcesów USA, a ponieważ Rainier sam był w zasadzie hotelarzem, uważnie przyglądał się jej czystości, skuteczności i rentowności. Holiday Inn w Monako ściągnąłby do księstwa nowy rodzaj turysty. Mógłby nauczyć tego i owego snobistyczny i zadufany w sobie Hotel de Paris, a ponadto pozwoliłby Rainierowi osiągnąć inny, długofalowy cel — osłabić monopol, jakim cieszyło się SBM.

Trudno oczekiwać, aby Onassis jako główny udziałowiec i posiadacz kontrolnego pakietu akcji SBM przystał na ten pomysł. Na swoim półprywatnym placu zabaw chciał zachować jak najdalej idącą wyłączność, a ponadto uważał, iż książę zbyt czarno widzi przyszłość swojego państewka.

— Monako zawsze będzie prosperowało — zwykł mówić Onassis — dopóki na świecie jest choć trzy tysiące bogatych ludzi.

Sądził, że to on, a nie Rainier, jest rozważniejszym obrońcą interesów księstwa.

— Będzie zadowolony dopiero wtedy — narzekał — kiedy Monte Carlo zmieni się w jedno zbiorowisko hoteli, turystów i uchodźców podatkowych.

Ten spór toczył się podczas rejsów na jachcie i długich posiedzeń w pałacu, chociaż w lewentyńskim charakterze Onassisa nie leżała otwarta walka, lecz raczej zwlekanie i uniki.

— Możesz mówić do niego godzinę, dwie lub trzy godziny — wykrzykiwał zdesperowany Rainier — a kiedy opuszcza twój gabinet, doskonale wiesz, że żadna z rzeczy, o jakich mu mówiłeś, nie zostanie zrobiona.

Grace i Rainier nadal przyjmowali zaproszenia na jacht Onassisa. Grace łączyły z Marią Callas zainteresowania twórcze. Miło być budzonym rankiem przez płynne arpeggia wielkiego sopranu. Jednak w 1964 roku coraz trudniej przychodziło godzić interes z przyjaźnią. Wiosną tego roku Onassis wreszcie i ostatecznie przystał na budowę w Monte Carlo luksusowej dzielnicy mieszkalnej i dwóch hoteli, jednak nalegał na gwarancje wykluczające udział Holiday Inn czy innej konkurencyjnej sieci hoteli. Rozwścieczony Rainier zgłosił swoje weto przekreślające cały plan, a potem w telewizji zaatakował SBM za letarg i brak wiary.

Onassis publicznie zaprzeczył zarzutom. Krytycyzm Rainiera — oświadczył — był skierowany przeciw SBM, a nie przeciwko niemu osobiście. Jednak w duchu pienił się ze złości. Kiedy Charles Graves, autor piszący historię Monte Carlo, spotkał Onassisa we wrześniu 1964, armator obsesyjnie nienawidził Rainiera i nieustannie zbierał plotki i pomówienia. W odróżnieniu od wielu innych, Onassis nigdy nie tytułował Rainiera pokornym „Altesse” czy „Monseigneur”. Tylko przy najbardziej oficjalnych i uroczystych okazjach zwracał się doń inaczej niż „Rainierze”, a w rozmowach z personelem biura mówił

O nim po prostu jako o „panu Grimaldim”. W świecie nowoczesnego biznesu — prychał — nie ma miejsca na złudzenia o boskich prawach.

Jednak ostatecznie to operetkowy książę okazał się sprytniejszym człowiekiem interesu — a może zręczniejszym politykiem. W 1966 roku przypadała setna rocznica powstania Monte Carlo i w trakcie obchodów Rainier i Grace udali się do Paryża, aby uczcić odnowioną unię z Francją. W rozmowach z de Gaulle'em Rainier uzyskał francuskie poparcie dla strategii, jaką przyjął wobec Onassisa, a jego żona podała do wiadomości oficjalne stanowisko Grimaldich w nieco niezwykły sposób, bowiem na łamach Playboya. — Nie sądzę, aby inwestycje pana Onassisa w Societe des Bains de Mer Monte Carlo miały większe znaczenie dla jego rozległego imperium — rzekła Grace w jednym z długich wywiadów, jakimi Playboy zapełniał strony między zdjęciami pańienek. — Ma tyle ważniejszych

1 większych inwestycji niż Monte Carlo. Wydaje mi się, iż posiadanie przez niego większości akcji, a więc pakietu kontrolnego kasyna Monte Carlo, było z jego strony raczej kaprysem niż poważnym interesem.

W czerwcu 1966 roku Rainier skłonił Radę Narodową do wypuszczenia sześciuset tysięcy nowych akcji SBM, których nabywcą i posiadaczem miał być monakijski rząd. W ten sposób jednym pociągnięciem pozbawił Onassisa kontroli nad przedsiębiorstwem, toteż potentat natychmiast podał go do sądu. Jednak mógł wnieść sprawę jedynie w sądzie Monako, tak więc miał niewielkie szanse na sukces. Najwyższy Sąd Monako wydał niepomysłny dlań wyrok. Monakijskie Ministerstwo Skarbu zapłaciło Onassisowi dziesięć milionów dolarów za jego pakiet akcji... i Rainier wreszcie został panem we własnym domu. W historii rodu Grimaldich oraz ich panowania w Monako był to nawet większy sukces niż zdobycie przez Rainiera Grace. SBM było teraz własnością Monako i jak długo księstwo zachowa swój pakiet akcji, Onassis nigdy już nie przejmie nad nim kontroli.

Grace znalazła się w samym sercu obchodów stulecia, którym triumf Rainiera dodał jeszcze smaku. Były koncerty, bale, występy baletu i recitale. Najbardziej uroczysty moment nastąpił 4 listopada 1966, kiedy Rainier przeniósł prochy swoich przodków z krypty do apsydy

katedry. Albert Nawigator, Karol III, twórca Monte Carlo, Florestans i Hipolit panujący w średniowieczu — każdy z dawnych władców spoczął pod własną, wspianą, inkrustowaną płytą z różowego marmuru, przy czym nagrobki te tworzyły imponujący półokrąg za wysokim ołtarzem. Ten dynastyczny pokaz stanowił dodatkową ozdobę Rainierowego zwycięstwa i nie trzeba było długo czekać, aż buldożery zaczęły ryc nad brzegiem morza wykop pod fundamenty nowego Ho-liday Inn w Monte Carlo.

W 1966 roku Grace znowu została matką. W dniu 1 lutego 1966 urodziła trzecie dziecko, które tak wytrwale próbowała dać księciu. Księżniczka Stefania Maria Elżbieta była o siedem lat młodsza od brata Alberta, a osiem lat młodsza od siostry Karoliny. Stała się ukochanym dzieckiem rodziny, uwielbianym i rozpieszczanym przez rodziców pamiętających poprzednie poronienia.

Grace cieszyła się córeczką, jednak czegoś jej brakowało. W 1966 roku mijała dziesiąta rocznica jej ślubu, lecz pierwszy urok miłości dawno zbladł. Zapytana przez Rainiera, co chciałaby otrzymać w prezencie, warknęła: Rok urlopu. Tylko odrobinę mniej impulsywnie powiedziała Ivorowi Herbertowi z londyńskich Evening News, że jej największym marzeniem jest, aby ktoś wziął te wszystkie listy z mojego biurka i odpisał na nie... i żebym mogła spać przez dziesięć godzin.

„Czy jesteś szczęśliwa?” — takie pytanie pragnął zadać księżnej każdy z przeprowadzających wywiad dziennikarzy. To była próba jakościowa urzeczywistnionej bajki. Ludzie chcieli zapewnień, że Grace naprawdę żyje długo i szczęśliwie, a ona była o wiele za uczciwa, by zbywać te dociekania sztuczną wesołością.

— Miałam w życiu kilka szczęśliwych chwil — powiedziała Barbarze Walters w innym z wywiadów udzielanych z okazji dziesięciolecia małżeństwa — ale nie uważam, że szczęście, bycie szczęśliwym, jest stanem mogącym trwać nieustannie. W życiu jest inaczej. Jednak osiągnęłam pewien spokój ducha, tak. Dzieci dają mi mnóstwo radości. I w minionych dziesięciu latach życie przyniosło mi wiele zadowolenia.

Znamienne, że w tej wypowiedzi Grace nie wspomniała o Czarującym Księciu, gdyż nie była szczęśliwa w małżeństwie. Nadal pozostała dobrą żoną. W kategoriach osiągnięć publicznych jej pierwsze dziesięć lat z Rainierem było triumfem. Jednak jeśli obowiązki państwowe

okazały się dla Grace ciężką pracą, to jej życie osobiste wystawiło ją na jeszcze cięższą próbę. Związek z Rainierem nie był czułym i romantycznym przeżyciem, o jakim marzyła, a zamiast łagodnieć z upływem czasu, humory i arogancja męża rosły.

David Swift, stary przyjaciel Grace z czasów Gene'a Lyonsa, zauważył to, kiedy odwiedził Grace z okazji jej dziesiątej rocznicy ślubu. Swift odniósł sukces jako producent filmów — w 1960 roku napisał scenariusz i wyreżyserował dla Walta Disneya „Pollyannę” — a latem tego roku był w Nicei, kręcąc film dla United Artists. Zaproszony do pałacu z żoną, Micheline, z przyjemnością ujrzał dawną Grace w dobrej formie.

— „Zjedz kilka tych różanych płatków — poradziła mu, kiedy zwiedzali ogród. — Są bardzo dobre na apetyt seksualny”.

Jednak dziwne napady złego humoru Rainiera nie wywarły dobrego wrażenia na Swiftach. Zdecydowano, że najbardziej wyrównany skład w meczu tenisowym będzie wtedy, gdy partnerką Rainiera zostanie Micheline, a David, najlepszy z nich gracz, zagra z księżną. Rainier kierował każdą przechwyconą piłkę prosto w Grace, uderzając najsilniej jak mógł.

— „Och, to boli!” — zawołała Grace, trafiona piłką w twarz.

— „Patrz, gdzie leci piłka!” — warknął Rainier i nadal kierował do niej mocne piłki.

— Po prostu rozpaczliwie chciał wygrać — wspomina Swift. — Zachowywał się jak dziecko, co było szczególnie kłopotliwe, gdy jego partnerem był Albert. Jeśli chłopiec źle uderzył, a był jeszcze dzieckiem, Rainier wściekał się i krzyczał na niego.

Swiftowie nie wierzyli własnym oczom. W pewnej chwili księżę nawet rzucił rakieta w Alberta, ale chłopak zręcznie się uchylił. Wyglądało to tak, jakby czegoś takiego oczekiwał. Labrador Rainiera wykazał podobną zręczność, kiedy jego pan nie trafił w piłkę i sfrustrowany zamierzył się na psa kijem do golfa. Ci, którzy przebywali w zasięgu ręki Jego Księżęcej Wysokości, najwidoczniej uczyli się nisko pochylać głowy i szybko reagować.

— Wtedy zrozumiałem — mówi Swift — to, co myślę od tamtej pory: że Grace była księżną na długo przed ślubem z Rainierem.

„Po raz pierwszy od dnia ślubu byłam gdzieś sama — zwierzyła się Grace pewnej nocy Micheline Swift, gdy obie spacerowały się z restauracji do domu ulicami Monako.

Rainier niechętnie zgodził się, aby Grace towarzyszyła Micheline, podczas gdy ich mężowie wrócili

do pałacu samochodem. — Osaczył mnie. Nie mogę się ruszyć. Nie mogę nigdzie pójść. Jestem więźniem”.

To było krańcowo odległe od szczęśliwego życia rodzinnego, o jakim Swiftowie czytali w gazetach, a najsmutniejsza była bierność, z jaką Grace poddawała się tyranii Rainiera. Była jak mała dziewczynka, która obawia się gniewu ojca czy matki. Grace uważała uległość za część bliskich stosunków, co przez dziesięć lat małżeństwa zachęcało męża, by stawał się coraz gorszy.

— „Nie możesz pozwolić, żeby tak cię opanował — radziła Micheline Swift. — W małżeństwie trzeba wychować sobie męża. Musisz walczyć o to, czego chcesz”.

Grace tłumaczyła, że jej uległość jest częścią szkoły życia. Jeden z jej ulubionych cytatów pochodził z wiersza libijskiego poety, Kahlila Gibrana, „Prorok”: Kiedy wzywa cię miłość, idź za nią — choć jej głos może zniszczyć twe sny jak północny wiatr pustoszy ogród. Przez nią rośniesz...

To było heroiczne, a zarazem przygnębiające. Grace została wychowana tak, że uznawała za swój obowiązek służyć tym, których kochała, a więc zносиła humory męża. Goście na wspaniałych letnich koncertach i wieczorkach, jakie aranżowała w pałacu, widzieli, jak niewiele trudu zadawał sobie Rainier, żeby ukryć znudzenie.

— „Jeszcze jedno przyjęcie mojej żony” — wzdychał do służby, przewracając oczyma.

— Rainier zachowywał się na swoim przyjęciu jak stojak na kapelusze — wspomina jeden z amerykańskich gości Grace.

To była kolacja pod gwiazdami dla przeszło trzydziestu osób, które usadowiono przy okrągłych stołach na tarasie oświetlonym świecami i pachnącym wieczornym jaśminem. Chociaż widok był urokliwy, goście nie ulokowani przy stołach Grace lub Rainiera czuli się odrobinę speszeni — do połowy wieczoru, kiedy Grace nagle pojawiła się wśród nich. Starła się siedzieć przez chwilę przy każdym stole, podczas gdy księżę nie ruszył się ze swego miejsca, na którym wyraźnie się zdrzemnął.

Gdziekolwiek znalazła się w ciągu tego wieczoru, Grace nieustannie spoglądała przez tłum gości w kierunku męża, niespokojnie sprawdzając, w jakim jest nastroju. Wydawało się, że im bardziej był nieznośny, tym więcej poświęcała mu uwagi. Całą swą osobowość oparła na roli idealnej żony tego kapryśnego i trudnego człowieka.

— Teraz sądzę, że popełniła błąd, będąc tak uległą — napomyka gość. — Jednak wtedy wyszedłem z przekonaniem, że spotkałem kobietę, która jest niemal świętą.

Była jedyną osobą w tej dziwnej rodzinie — napisał syn Tiny, Buddy de Massy — potrafiącą okazać zarówno współczucie, jak i troskliwość... Była całkowicie szczerą i godną zaufania.

Trudny syn trudnej matki, Buddy de Massy, był nieposkromionym młodym człowiekiem, który nie umiał długo wytrzymać, żeby nie nabawić się kłopotów w szkole lub nie rozbić jakiegoś sportowego wozu. Rainier nie miał czasu dla siostrzeńca i nie skrywał swojej pogardy, lecz Grace zawsze witała krewnego uśmiechem. Okazując uprzejmość komuś zbuntowanemu przeciw autorytetowi męża, w pewien sposób wyrażała swój bunt.

Marnotrawni członkowie rodziny stali się specjalnością Grace, gdy lata sześćdziesiąte wypełniły Amerykę koszulami w kwiatki, paciorkami oraz buntownikami. W 1963 roku piętnastoletnia córka Peggy, Mary Lee, zaszła w ciążę i uciekła do stanu Iowa z piętnastoletnim chłopakiem, Johnem Paulem „Bindy” Jonesem IV. Była jedną z dziewczynek sypiących kwiaty na weselu Grace, toteż ogólnokrajowe poszukiwania zbiegłej pary, prowadzone przez FBI, stały się sensacją pierwszych stron gazet.

Można by oczekiwać, że Grace, jako osoba publiczna mająca najwięcej do stracenia w wyniku skandalu, wyrazi szczególnie stanowczą dezaprobatę.

— Tymczasem była dla nas najlepszym oparciem z całej rodziny — wspomina Bindy Jones. — Kiedy w końcu zostaliśmy zdemaskowani, chciała usłyszeć naszą wersję tej historii. Nie zgadzała się z tym, co zrobiliśmy, ale była gotowa nas wysłuchać. Kiedy powiedzieliśmy, że chcieliśmy wziąć ślub, zgodziła się nas poprzeć, cokolwiek postanowimy.

Grace kilkakrotnie zapraszała młodą parę oraz ich dziecko do Monako na letnie wakacje.

— Wiem, że miała opinię zimnej — mówi Bindy Jones — ale nigdy tego nie zauważyłem. Dla nas zawsze miała same ciepłe uczucia.

Skromna i przyzwoita księżna Monako nie zapomniała o buntowniczej młodej kobiecie, która też planowała taką ucieczkę niecałe dziesięć lat wcześniej — i czuła szczególną sympatię do ludzi samotnych i zagubionych.

Regularnie, każdego lata odbierano telefon z dworca lub lotniska, oznajmiający przybycie kolejnego niechlujnego, obciążonego plecakiem nastolatka z Filadelfii, chcącego

porozmawiać z ciocią Grace. Wysyłała po nich limuzynę, zabierała na Roc Agel, poła winem, karmiła i posyłała ze swoimi dziećmi na plażę Beach Club, gdzie rodzina spędzała letnie słoneczne dni wokół swojej kabiny. Z zainteresowaniem słuchała najnowszych wiadomości z Chestnut Hill i Germantown, po czym odsyłała gości z powrotem, nakarmionych i wypoczętych, aby mogli opowiadać kolegom w szkole, jak wdarli się do pałacu. Była dobrą cioteczka dla wszystkich. Kiedy zabrakło Jacka Kelly'ego, stała się nową głową rodziny, chętnie podejmując wszystkich jej członków — szczególnie stryjka George'a, który miał już ponad osiemdziesiąt lat. Stary dramaturg nie mógł się tym nacieszyć.

— Ze wszystkich dworów i miast, jakie znałem — rzekł — ten uważam za swój dom. Kiedy zabrakło Jacka Kelly'ego, reszcie rodziny nie wiodło się tak dobrze. W drugiej połowie lat sześćdziesiątych Peggy nie udało się jedno małżeństwo, a drugie zbliżało się do końca. Zarówno ona, jak jej drugi mąż, Gene Conlan, lubili wypić — a oszpecona twarz Conlana była bolesną pamiątką prawie śmiertelnego wypadku samochodowego, jaki spowodował po pijanemu. Życie rodzinne Lizanne nie okazało się najłatwiejsze, a największe fiasko przypadło w udziale Kellowi. Systematycznie przez kilka lat zdradzał żonę, aż pod koniec lat sześćdziesiątych porzucił rodzinę i rozpoczął niemal komicznie obsesyjną karierę donżuana. Jego starzy przyjaciele protestowali, gdy przyprowadzał na śniadanie do klubu swoje coraz młodsze zdobycze. Jednak Kell tylko wzruszał ramionami.

— Stary zmienił mi życie w piekło — takie było jego jedyne wyjaśnienie.

Największy skandal wybuchł kilka lat później, kiedy Kell zaczął pojawiać się na przyjęciach w towarzystwie Rachel Harlow, byłego Richarda Finocchio, który przeszedł szeroko komentowaną operację zmiany płci. Jako wysoka i urodziwa blondynka, Harlow prowadziła dyskotekę w centrum Filadelfii i Kell zdawał się drwić z niesław, jaką ściąga na niego to towarzystwo.

— Kiedyś byliśmy na obiedzie — wspomina Harlow, która chodziła z Kellem przez prawie dwa lata. — To było dobrze znane miejsce, a on pytał mnie o moje dzieciństwo i co dało mi siłę, żeby być sobą. Powiedział, że mnie podziwia. Stwierdził, że chciałby mieć odwagę zawsze być sobą, wbrew losowi i powszechnej opinii rodzinnego miasteczka. Nigdy nie zapomnę tego, co powiedział: „Zawsze byłem albo synem Jacka Kelly'ego, albo bratem Grace Kelly. Nigdy nie byłem sobą”.

Tylko Ma Kelly świetnie sobie radziła w czasach nieobecności patriarchy. Wyprowadziła się z Henry Avenue, aby zacząć nowe życie w Alden Park Towers i po prostu rozkwitła. Łokcie! — krzyknęła uradowana na Rainiera, mocno szturchając go widelcem w żebra, kiedy księżę podczas wizyty w Ocean City zapomniał o dobrych manierach przy stole. Znalazła sobie nawet przyjaciela — Julesa Lavina, szacownego mieszkańca Alden Park, który towarzyszył jej w Filadelfii i co najmniej raz podczas letniej wyprawy do Monako. Zaangażowanie Grace w życie oraz problemy innych ludzi niezwykle skutecznie odwracało jej uwagę od własnych. Jednak w lipcu 1967 roku to nie poskutkowało. Księżę i księżna byli z dwojgiem dzieci w Montrealu, zwiedzając międzynarodową wystawę Expo



'67. Zatrzymali się w Londynie, gdzie Grace przez kilka dni rozmawiała z kandydatkami na nianię. W wieku trzydziestu siedmiu lat znów była w ciąży, oczekując przyjścia na świat czwartego dziecka — według oficjalnego komunikatu — bardzo szczęśliwa i w dobrym zdrowiu.

Rupert Allan, który towarzyszył im, naprędce opracowując program spotkań, pewnego wieczoru został niespodziewanie wezwany do apartamentu hotelowego Grace i Rainiera. Kiedy tam przybył, Grace właśnie wynoszono na noszach w asyście dwóch poważnie wyglądających lekarzy. W przebiegu ciąży pojawiły się bardzo groźne komplikacje. Allan pojechał z nią do szpitala, przeciskając się przez wszystkie wahadłowe drzwi, aż dotarł do sali operacyjnej. Grace płakała. To ona zdecydowała, że Rainier ma zostać z dziećmi w hotelu, ale teraz chciała go mieć przy sobie.

— Przez te wszystkie lata naszej znajomości — wspominał później Allan — nigdy nie widziałem jej takiej smutnej.

Wyciągnęła rękę i rozpaczliwie ścisnęła dłoń starego przyjaciela, aż do drzwi sali operacyjnej. Opowiadając o tym, Allan sam zalał się łzami.

Operacja, jakiej poddano Grace, określana medycznym terminem poronienia niedokonanego, zakończyła jej szóstą ciążę w okresie jedenastu lat. Dziecko, chłopczyk, był martwy w jej brzuchu od przeszło miesiąca. Lekarze stwierdzili, że księżna już nigdy nie zajdzie w ciążę.

Dożywotni kontrakt.

Na początku lat sześćdziesiątych brytyjski dziennikarz Alan Whicker ściągnął ekipę filmową BBC, żeby sfilmować bogatych i szczęśliwych mieszkańców Monako, tymczasem znalazł gromadę niezadowolonych ludzi opisujących rzeczywistość daleką od sielanki. Hałas, kurz, cudzoziemcy, rosnące ceny. Narzekali, że Monte Carlo przestało być wdzięczną, legendarną oazą z pocztówki w kolorze sepii. Rurytania zmieniła się w plac budowy. Piękne stare wille i ich ogrody znikwały, a dźwigów widziało się więcej niż palm. Wszystkim zdawało się, że zasłonięte im widok na morze. Patrząc na linię nieba, Whicker stwierdził, że Monako zasługuje na nową nazwę. Nazwał je Manhattanem Morza Śródziemnego.

Tę betoniarzką orgię, która zmieniła charakter księstwa w okresie jego panowania, rozpętał Rainier III. Receptą księcia na dobrobyt państwa był rozwój turystyki oraz rozbudowa podatkowego interesu—a oba wymagały budowania na wielką skalę. Tu wykopać tunel, tam zasypać morze — kiedy mąż Grace zaczął wprowadzać w życie plan stłoczenia rekordowej liczby ludzi na ograniczonym obszarze swojego małego księstwa, zachowywał się jak mały chłopiec z zestawem klocków lego. Czasem wydawało się, że Jego Książęca Wysokość uważa sprężony beton za wartość samą w sobie i czerpie niemałą dumę z przydomka, jakim obdarzano go w dodatkach turystycznych 1 finansowych: Le Prince Batisseur — Książę Budowniczy.

W 1962 roku spór z de Gaulle'em pozbawił francuskich obywateli dobrodziejstwa specjalnych stawek podatkowych, więc Rainier musiał sięgnąć dalej, żeby ściągnąć uciekinierów podatkowych z innych tu. Dostarczanie azylu ludziom unikającym podatków stało się

doskonałym biznesem w latach sześćdziesiątych, kiedy niektóre państwa nadmiernie rozbudowały opiekę socjalną. W Lichtensteinie, Panamie lub na Kajmanach wystarczyła mosiężna tabliczka na drzwiach biura prawniczego. W Monako książęcy dekret wymagał zakupu lub wynajęcia prawdziwego, trójwymiarowego mieszkania na terenie księstwa — dlatego Vaduz, stolica Lichtensteinu, przypomina dziś zręczną imitację alpejskiej wioski, podczas gdy wysokie wieżowce Monako w pełni uzasadniają porównanie z Manhattanem.

Monako nie było całkowicie wolne od podatków. Roczny budżet jego rządu, pokrywający wydatki i pensje rodziny książęcej, był finansowany głównie przez TVA, rodzaj marży przy wszystkich transakcjach, oraz zróżnicowane opłaty od zysku. Jednak obywatele i rezydenci Monako od roku 1869 nie płacili podatku dochodowego, co powodowało napływ nowych mieszkańców. Takim bogatym przybyszem był w latach sześćdziesiątych Sam Cummings, jeden z największych na świecie handlarzy bronią, Amerykanin posiadający magazyny w Anglii i Ameryce, który uczynił Monako główną kwaterą swojej International Armament Corporation. Z biura w Monako Interarmco organizowało dostawy karabinów, broni przeciwpancernej, a nawet odrzutowców Vampire, dla takich tyranów jak Trujillo, Somoza, Sukarno, Tito i Kadafi. Cummings wyjaśniał, że woli handlować z dyktatorami, ponieważ mają poczucie porządku... i szybko płacą rachunki. Cummings przynajmniej mieszkał w Monako i prowadził tam prawdziwe biuro. Skandal z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych związany z podatkowym interesem Rainiera wywołany był tym, że wielu nowo przybyłych nie dopełniło tych warunków. Fasady nowych wieżowców ukazywały balkony i typowe apartamenty z widokiem na morze, lecz tyły budynków były często gęszczem małych, ciemnych, jednopokojowych „biur”, w jakich nie postawiłby nogi szanujący się uchodźca. Formalnie te biura były mieszkaniami. W rzeczywistości pozostawały odpowiednikiem mosiężnych tabliczek w Lichtensteinie — i bardzo często właściciele frontowych apartamentów zamieszkiwali w nich zaledwie przez kilka tygodni lata.

Fikcyjne zamieszkanie było — i jest — trupem w szafie Rainiero-wego, nadmorskiego rajy podatkowego. Rupert Allan stwierdził, że te praktyki czynią Monako nieznośnym. W latach sześćdziesiątych zastanawiał się, czy nie przenieść tam swojej siedziby. Mógłby na miejscu kierować pracą biura prasowego i płacić mniejsze podatki — lecz porzucił ten pomysł spędziwszy zaledwie jedną zimę w tym mieście duchów.

— Czuję się tam samotny — powiedział amerykańskiej reporterce, Lindzie Marx w 1983 roku. — Wiezorami oglądałem filmy z Grace i dobrze jadałem. Jednak to nie wszystko.

Zgodnie z przewidywaniami Onassisa zaplanowana przez Rainiera budowa Holiday Inn w Monte Carlo okazała się pomyłką. Do czasu otwarcia w 1972 roku koszty jego konstrukcji znacznie zwiększyły cenę pokoju, przekraczając możliwości przeciętnego gościa Holiday Inn, podczas gdy ci, których było na to stać, nie chcieli z niego korzystać. Na początku lat osiemdziesiątych hotel zlikwidowano i przekształcono w jeszcze jeden budynek mieszkalny.

Lepiej powiodło się księciu z budową tego, co okazało się hotelem i centrum konferencyjnym Loew — amalgamatem wszystkich tych elementów, jakie uwielbiał

Rainier. Z zadowoleniem pokazywał gościom makietę projektu. Był tam podziemny przejazd, lądowisko dla helikopterów, masa sal kongresowych i konferencyjnych, pasaż handlowy i nowy salon gier w stylu Newady — a wszystko to miało wcisnąć się między strome nadmorskie skały poniżej oryginalnego kasyna Garniera z belle époque i wyjść w morze na gąszczu betonowych pali.

Rainier znów spojrzął na Amerykę i wytypował Loew Corporation do budowy i realizacji projektu. Prowadzona przez braci Tisch — Larry'ego i Roberta — firma Loew dowiodła swoich umiejętności w prowadzeniu hoteli, kasyn i ośrodków konferencyjnych w takich miejscach jak Miami i Atlantic City. W 1971 roku Loew zawiązał spółkę z SBM oraz rządem Monako i kilkoma francusko-niemieckimi inwestorami. Jej celem było zbudowanie i prowadzenie ogromnego, liczącego dwadzieścia trzy tysiące metrów kwadratowych kompleksu.

Hotel Loew postawiono w miejscu, gdzie niegdyś strzelano do gołębi, a zdaniem wszystkich prócz najzagorzalszych miłośników betonu, lepiej byłoby pozostać przy polowaniach na ptaki. Zbudowany w topornym i kanciastym stylu architektonicznego brutalizmu lat siedemdziesiątych hotel oplata skalne urwisko pod starym kasynem poszarpaną gmatwaniną cementowych zygzaków, które sterczą przy wejściu do Portu jak bastiony strzelnicze. Ten hotel z centrum konferencyjnym wyglądałby wspaniale w Miami Beach, lecz w towarzystwie arcydzieła Garniera jest niezgrabny i o wiele za duży. Jeszcze bardziej krzykliwa okazała się klientela, jaką przyciągał

Loew. Kasyno zapchano stołami do gry w kości i automatami do gier mającymi, podobnie jak w Las Vegas, zwabić tłumy gości, którzy istotnie przybywali pełnymi samolotami. Ironią losu był fakt, że rzecznikiem hotelu podczas jego otwarcia we wrześniu 1975 została księżna Maria Obolensky, wywodząca się z jednej z wielkich rosyjskich rodzin które sto lat wcześniej nadawały styl na szczycie urwiska. Rosyjską księżnę przeraził widok okularów przeciwsłonecznych, błyszczących czarnych koszul i słomianych kapeluszy na głowach pierwszych gości.

— To koniec takiego Monte Carlo — mruknęła pod nosem — jakie znamy.

Księżna Grace z Monako bardzo poważnie traktowała kulturalne tradycje księstwa. Zorganizowała coroczny festiwal baletowy, aby wskrzesić ducha Diaghilewa i jego rosyjskiego baletu, a w sprawach architektury czuła wielki sentyment do grupki budynków na wzgórzu Monte Carlo, pochodzących z czasów belle époque. W szczytowym okresie gorączkowej przebudowy Monako skutecznie powstrzymała próby wyburzenia malowniczo podupadłego hotelu Hermitage.

— Oświadczyłam, że przybiję się gwoździami do drzwi — powiedziała — jeżeli zechcą go zburzyć.

Jednak był to pojedynczy sukces.

— Niezbyt podobają mi się niektóre nowoczesne budynki i ich wysokość — przyznała w maju 1975, zgadzając się ze stwierdzeniem, że niektóre nowe budowle księstwa nie pasują do ducha tego miejsca. Jednak podkreślała, iż jest to wyłącznie jej prywatna opinia. Nie zamierzała ponownie grozić przybijaniem siebie do drzwi.

— Protestuję, kiedy mogę — wyjaśniła z rezygnacją — a potem muszę jakoś się pogodzić z ostateczną decyzją.

— Dlaczego księżna Grace uczestniczyła w działaniach modernizacyjnych, z którymi nie zawsze się zgadzała? — pytał autor Steven Englund w rozmowie z Rainierem po śmierci Grace.

— Przez wierność i oddanie — odparł książę. — Wypełniała swoją część [małżeńskiego] kontraktu, choć zapewne niezbyt jej się to podobało-

Grace od dziecka uczono zachowywać pozory. Robiła to nadal jako gwiazda filmowa, a teraz, jako księżna, doprowadziła tę sztukę do perfekcji. Czar Monako był fasadą. Dla niektórych obserwatorów niepohamowana zabudowa księstwa odzwierciedlała chciwość i bezmyślność, niczym nie różniące się od etosu kasyna, nastawionego na robienie pieniędzy z niczego. Rainier mógł popchnąć swój kraj naprzód pod względem czysto ekonomicznym, ale nie można powiedzieć, że sankcjonowanie uchylania się od podatków świadczyło o jakimś większym postępie moralnym czy duchowym.

Grace wolala o tym nie dyskutować. Często mówiła, że interesy to sprawa Rainiera. W ten sposób unikała wypytywania o jej własne zdanie na ten temat czy pogląd na etyczną stronę popierania hazardu i unikania podatków, a także wcielała się w łatwą rolę posłusznej żony, w jakiej czuła się znacznie lepiej. Bycie symbolem i inspiracją nawet mikroskopijnego państewka to wyczerpująca praca, a dziewczyna, która walczyła z niewolniczymi kontraktami Hollywood, nauczyła się akceptować kompromisy związane utrzymaniem status quo.

Nikt nie wątpił w dobre serce Grace. Kiedy usłyszała, że Josephine Baker, sławna czarnoskóra piosenkarka i tancerka, przeżywa trudne chwile, księżna osobiście zorganizowała pomoc, która spłaciła długi Baker, pomogła odtworzyć „Tęczowy Szczep” adoptowanych dzieci, których wydatki wpędziły artystkę w finansowe tarapaty. Podczas przyjęć w pałacu zauważono, że Rainier celowo ignoruje Charlesa Soccala, jedynego i wylewnego komunistę, który kierował organizacją związkową w księstwie, tymczasem Grace zboczyła z drogi, żeby porozmawiać z odrobinę odizolowanym przyjacielem. Nigdy nie przestała współczuć słabszym.

Jednak w niektórych sprawach księżna była zagorzałą konserwatystką. Nie tylko tolerowała, ale naprawdę wierzyła w pewne rzeczy, co w znaczącym stopniu wpływało na jej zdolność do krytycznego osądu. Dziennikarze, którzy nie pisali pochlebnych komentarzy do najnowszych zestawów zdjęć Howella Conanta, czasem spotykali kobietę potrafiącą zmrozić do szpiku kości swym zimnym, odpychającym zachowaniem, doprowadzonym do perfekcji, od chwili gdy została księżną Monako.

— Jest najmniej ciepła i spontaniczna ze wszystkich moich rozmówców — stwierdził Leslie Bennetts, który w połowie lat siedemdziesiątych Przyleciał przeprowadzić z Grace wywiad dla filadelfijskiego Bulle-tot. — Rozumiem, że od kiedy skończyła dziewiętnaście lat, zanudzano J1 na śmierć wywiadami. Mimo to obojętnie jak niezwykle zada się jej Pytanie, [ona] nawiązuje do czegoś znanego i niekontrowersyjnego, czegoś, Co nie wymaga myślenia... To kobieta o bardzo sztywnych zasadach, nie kwestionująca dogmatów.

Alexander Walker, angielski krytyk filmowy, zauważył wrogą obojętność, z jaką Grace odnosiła się do pytań trafiających w czuły punkt

— Naprawdę, teraz niezbyt interesują mnie filmy — powiedziała odpierając próby nawiązania do starej kwestii jej powrotu do Hol-lywood. Walker nalegał, pytając, czy księżna nie wzięłaby pod uwagę możliwości wystąpienia w filmowej adaptacji Prousta, jaką właśnie planował nakręcić Joseph Losey — w roli wymarzonej dla kogoś, kto przyzwyczał się do zasad obowiązujących w takim archaicznym społeczeństwie.

Księżna zacisnęła wargi. Takie określenie, powiedziała, nie pasuje do Monako.

— Mamy tu wszystkie klasy społeczne i pozostają ze sobą w kontakcie... Lekarze, nauczyciele, biznesmeni, zamiatacze ulic... Nie mamy tu bezrobocia. Jednak nie można twierdzić, że jesteśmy wyjątkowi. Przecież ostatnio mieliśmy nawet strajk!

Okazało się, że strajk był krótkotrwałym buntem w kasynie uśmierzonej przez „Jego Księżęcą Wysokość”. Jednak o tym się nie mówi.

Grace nauczyła się traktować Monako i swoją pozycję z całkowitą powagą. Gdyby nie była księżną, cóż można by rzec o jej życiu? Czarny pas frakowy, biały pas frakowy, piękna suknia — doroczna tura galowych przyjęć i bali była całym jej życiem, któremu poświęciła się z oddaniem denerwującym nawet Rainiera.

— „Oboje zachowują się jak para królewska — prychnął kiedyś zwykle popierający ich ojciec Rainiera, książę Pierre, do Gore'a Vida-la. — Ale nią nie są. Grimaldi to jedynie księżęta”.

Starzy przyjaciele Grace nie mogli zrozumieć, jak amerykańska dziewczyna może tak dobrze czuć się wśród ludzi kłaniających się, dygających i mówiących „Wasza Wysokość”. Dziewczyna, której nigdy nie zaproszono na bal w Filadelfii, patronowała i pomagała urządzić w swoim pałacu Bal des Petits Lys Blancs (Bal Małych Białych Lili), imprezę za ogromne pieniądze, pozwalającą córkom nowobogackich zadebiutować w towarzystwie. Grace uczyniła to sensem swego życia. O takim marzyła i teraz je realizowała.

— Naprawdę solidnie się do tego przygotowywała — mówi Rita Gam. — Poszła do biblioteki i pożyczyła książki o królowej Wiktorii. Czytała o rodzinie królewskiej. Studiowała uczesania możnych... wielkie fryzury z treskami i tak dalej... Jeśli jesteś najwyższy, jesteś największy. Taki wyciągnęła wniosek. Doszła do tego, oglądając ilustracje.

Jej stara przyjaciółka z Hollywood zauważyła przyjemność, jaką Grace czerpała z utarczki z MGM w miesiącach poprzedzających zdobycie Oscara. Teraz, jako księżna, Grace miała jeszcze większą władzę i wyraźnie uwielbiała tę lekko naciaganą rolę, jaką razem z Rainierem odgrywali na światowej scenie, ocierając się o głowy innych państw. Zawsze chętnie korzystając z okazji obfotografowywania się w Białym Domu czy w Watykanie, byli gośćmi szacha w Per-sepolis, a nawet zostali zaproszeni do Ascot przez angielską rodzinę panującą, która uznała, że godność i urok Grace pozwalają im jednak na kontakty towarzyskie z Grimaldimi.

Grace to kochała. Grała swoją rolę w wielkim stylu i było całkiem naturalne, że wszedłszy między wielkich i sławnych, trzymała się swojej sfery. Jej przyjaciele, którzy nie mieszkali w pałacach, coraz trudniej znosili jej konserwatyzm. Chętnie przestając z kolegą Franka Sinatry, Spiro Agnewem, Grace pozostała zagorzałą obrończynią Richarda Nixona mimo

wszystkich nieprzyjemnych rewelacji wywleczonych podczas afery Watergate i była szczerze zdziwiona tym, że naród odwrócił się od prezydenta.

— Grace, to ma wielkie znaczenie dla nas wszystkich — powiedziała Rita Gam, chcąc przedyskutować nowe idee propagowane na początku lat siedemdziesiątych przez pionierki Ruchu Wyzwolenia Kobiet.

— „Uważam, że te kobiety są okropne” — odparła Grace.

Rita wiedziała, że Grace poświęciła wiele czasu niektórym sprawom kobiet. Księżna poparła swoim autorytetem La Leche League i wygłaszała odczyty propagujące karmienie piersią. Dlatego Rita próbowała jeszcze raz, kierując rozmową tak, aby podejść do tematu od innej strony.

- „Czy nie uważasz, że mądrze robią — spytała — nazywając po imieniu przyczyny naszych cierpień?”

- „Cierpień?” — zapytała Grace, nie rozumiejąc albo nie chcąc zrozumieć.

- Po prostu nie wiedziała, o czym mówię — wspomina Rita Urn. — Była jedną z pierwszych wyzwolonych kobiet w Ameryce. Upuściła dom, zarabiała na życie, sama słała sobie łóżko... Jednak była też więźniem swojej pozycji.

Grace stawiała czoło losowi, spychając niektóre dość nieprzyjemne efekty rzeczywistości na skraj świadomości i czasami zachowywała się jak typowa matrona z Monte Carlo.

— Weźmy na przykład takie rzeczy jak pornografia czy magazyny erotyczne, jakie sprzedaje się wszędzie — wyjaśniała Roderickowi Mannowi z Sunday Express we wrześniu 1974. — Jak się czuje młoda dziewczyna, która widzi to wszystko? Albo staje się nimfomanką, albo kobietą kompletnie oziębłą.

Dziwnie skrajne zestawienie możliwości. Zmieniło się poczucie seksualnego bezpieczeństwa Grace.

— Kiedy mijam stragan z takimi wydawnictwami — powiedziała Mannowi — podchodzę, aby porozmawiać ze sprzedawcą... Po prostu mówię mu, co o tym myślę.

To niemal komiczne, taki widok gazeciarza witającego w swoim kiosku słynącą z pruderii księżnę, która — oczywiście w przenośni — wali go torebką w łeb. Pewnego wieczoru, podczas kolacji z Rupertem Allanem Judy Kanter usłyszała podobne stwierdzenia. Ten wraz ze swoim towarzyszem, Frankiem McCarthym, dzielili mały dom w Hollywood Hills, w którym, ilekroć Grace przyjechała do Los Angeles, podejmowali liczne grono przyjaciół, starych i nowych. Kiedy Judy Kanter — właśnie w trakcie trzeciego małżeństwa jako pani Quine — wspomniała o filmie, jaki miała nadzieję nakręcić o Jezusie pojawiającym się współcześnie i usiłującym przekazać swoje przesłanie za pomocą takich środków jak telewizyjny talk-show, Grace zmroziła gości swoją gniewną reakcją.

— Dlaczego chcesz nakręcić coś takiego? — warknęła. — Czy mało mamy problemów bez bluźnierczych filmów robionych dla masowego odbiorcy?

Ponieważ państwo Quine zadali sobie trud przedstawienia scenariusza Watykanowi i uzyskali pozwolenie nakręcenia we Włoszech filmu (który nigdy nie powstał), ten wybuch ukazuje Grace jako osobę bardziej konserwatywną od papieża. Jednak największe wydarzenie miało miejsce zaledwie godzinę później. Grace przyszła na przyjęcie ze swoją śliczną chrześnicą Mary Lee, córką Peggy, która uciekła, a teraz była rozwiedziona z Johnem Paulem „Bindy” Jonesem IV. Pod koniec wieczoru młoda kobieta wyszła do

ogrodu w towarzystwie Ryana O'Neala. Rupert Allan napomknął, że coś długo nie wracają.

— Och, znów być młodą — westchnęła Grace z prawdziwym uczuciem. — Chciałabym być na jej miejscu!

Jak stwierdziła Judy Quine, wróciwszy do domu, wydawało się, że była na kolacji z dwiema różnymi osobami. Grace wyraźnie zaczynała się gubić. Przejawiająca naturalne, ludzkie odruchy, dawna szczerą i popełniająca błędy Grace nie poddawała się, jednak wyglądała na mieszaną i zagubioną, niezdolną połączyć przeciwstawne wartości duchowe.

Pisarka Gwen Robyns spotkała tę oszołomioną i pod pewnymi względami niedojrzałą kobietę w 1975 roku, gdy kończyła pierwszą w historii biografię księżnej. Władcy Monako nie okazali chęci do współpracy. Rainier i Grace nie chcieli mieć nic wspólnego z książką Robyn. Jednak nie zrażona tym Nowozelandka, która uprzednio napisała biografie Vivien Leigh i Agathy Christie, poleciała do Filadelfii i zyskała zaufanie Peggy, starszej siostry Grace.

— Prawdę mówiąc — wspomina dziś Robyn — myślę, że była w tym odrobina zazdrości. Peggy miała bystry i żywy umysł. Była najstarsza, pierworodna. Według scenariusza Kellych, wszystko to, co zdarzyło się Grace, powinno przypaść w udziale jej. Przez Peggy Robyn poznała i przeprowadziła wywiady z Ma Kelly i Kellem oraz przyjaciółmi Grace z Hollywood, którzy zdali obszerną relację ze skomplikowanego życia uczuciowego aktorki przed poznaniem Rainiera. Nie była to historia, jaką Robyns spodziewała się napisać o szacownej Grace Kelly, jednak wiernie opisała ją w swoim rękopisie, który później wysłała do Monako.

— Lubię, o ile to możliwe, sprawdzać podawane przeze mnie fakty — mówi Robyns. — Do tego czasu Grace nie udzieliła mi pomocy, jednak miałam nadzieję, że teraz zmieni zdanie.

Po kilku dniach zadzwonił telefon. Paul Choisit, osobisty sekretarz Grace, zaprosił autorkę do Paryża na spotkanie z księżną. Grace i Rainier stale utrzymywali apartament w stolicy Francji, który właśnie zamieniali na domek na półprywatnym placu przy Alei Focha, zielonej i ogrodzonej enklawie będącej paryskim odpowiednikiem Eaton Square. Kiedy dziennikarz Leslie Bennetts przeprowadzał wywiad z Grace, spotkał wyniosłą księżnę, która sprawiała wrażenie, że uważa, iż oddycha innym tlenem niż reszta ludzkości. Grace znana Judy Kanter i Maree Frisby Rambo była ciepłą i roześmianą, zazwyczaj bezpretensjonalną kobietą. Teraz Gwen Robyns napotkała jeszcze inną osobę? — kogoś, kto wydawał się zarówno wrażliwy, jak i dziwnie bezradny. Autorka przyszła na spotkanie wcześniej i w korytarzu minęła dziewczynę, która wyglądała jak uczennica.

— Twarz bez makijażu, włosy ściągnięte do tyłu, plisowana spódniczka... Pomyślałam sobie: „To nie może być księżna Grace”. Ale kiedy weszłam do środka, odkryłam, że to ona. Zachowywała się naprawdę jak uczennica, bardzo nieśmiała, zmieszana i zdenerwowana. Siedziała po drugiej stronie pokoju, splatając i rozplatając dłonie. Wyglądała jak kłębek nerwów.

Światowej sławy księżnę dogoniły widma przeszłości i nie wiedziała, co z nimi począć. „Ta książka porusza pewne sprawy...” — powiedziała z wahaniem po wstępnej wymianie uprzejmości, po czym rozpoczęła dyskusję o problemach związanych z odpowiednim wychowaniem córek. Karolina jest nastolatką, wyjaśniła, a już ma swoich chłopców. Stefania ma dziesięć lat. To takie ważne, aby matka mogła świecić przykładem swoim córkom...

„No cóż — rzekła Gwen Robyns, podchwytyjąc temat — możemy przejrzeć książkę razem” — i obie kobiety wyruszyły w długą i fascynującą podróż po historii przedmażeńskich romansów Grace. Clark Gable, Ray Milland, William Holden, Oleg Cassini — Grace niczego nie próbowała ukrywać.

— „To po prostu byłoby tak bardzo kłopotliwe — tłumaczyła. — Ray Milland mieszka niedaleko nas, w Monako. A William Holden... no cóż, o nim mój mąż nic nie wie”. Szczerość Grace była wprost rozbrajająca.

— „Jak mogę przestrzegać córki, żeby nie wdawały się w romanse z żonatymi mężczyznami — pytała — jeśli sama przez cały czas romansowałam z żonatymi?” Dla Gwen Robyns zbliżał się nieprzekraczalny termin złożenia pracy w wydawnictwie. Grace była taka otwarta, wrażliwa i ludzka. Znow była małą Gracie, zdając się na łaskę pisarki.

— „W czym mogę pomóc? — pytała. — Naprawdę chciałabym pomóc ci zrozumieć wszystko... Skontaktuję cię z Phyllis. (Phyllis Earle, z domu Phyllis Blum, przez wiele lat była osobistą sekretarką Grace i stała się jedną z jej najlepszych przyjaciółek.) Gdyby tylko ktoś mnie uprzedził. Gdyby ktoś podniósł słuchawkę i powiedział mi, że jesteś jedną z nas”.

— „Dobrze — powiedziała Gwen Robyns, jednocześnie przestraszona i zachwycona, a przede wszystkim pełna chęci zrobienia czegoś dla nowej przyjaciółki, jaką wyraźnie zyskała. — Nie zamieszczę tego w książce !

— Chyba oszalałam — mówi dziś autorka. — Powiedziała mi, że to prawda, więc powinnam wszystko to zostawić. Ale to nie w moim stylu. Powiedziała mi o swoich córkach. Miałam już pewne pojęcie, jak wygląda jej małżeństwo. Co by się z nią stało, gdybym opublikowała te fakty? Nie mogłam jej tego zrobić. Oczarowała mnie. Napisana przez Gwen Robyns biografia Princess Grace ukazała się na wiosnę 1976 roku. Była ciepła i przyjazna, zaledwie odrobinę skandalizująca, a kilka tygodni później autorka odebrała telefon z Monako.

— „Naprawdę nie wierzyłam, że to zrobisz — powiedziała Grace. — Przyjedź do mnie”. To był początek szybko rozwijającej się przyjaźni. W trakcie pisania książki oraz kontaktów z rodziną w Filadelfii między Gwen Robyns a Grace nawiązała się dziwnie silna więź. Odkryła tajemnice księżnej i dochowała ich. Postąpiła jak dobra przyjaciółka — a teraz została nią, przyjęta do wąskiego kręgu kobiet, które miały przywilej chichotania i prowadzenia infantylnych rozmów z Grace. Gwen Robyns pisała o tym, jednak nie spodziewała się, że Grace może być aż tak wesoła i skora do zabawy. Pisarka i księżna postanowiły razem napisać książkę o kwiatach, które były ich wspólną pasją. Grace zaczęła odwiedzać otoczony różami szesnastowieczny wiejski dom Gwen w Oxfordshire, a Gwen gościła w Roc Agel. Kiedy zatrzymywała się w hotelu Hermitage



w Monte Carlo, każdego ranka zawożono ją na górę, gdzie spędzała długie godziny pod lustrzanym sufitem pokoju usłanego stertami książek telefonicznych, w których Grace lubiła suszyć i prasować kwiaty.

Gwen Robyn uderzyło to, jak zwyczajnie i niemal pospolicie Grace wyglądała rano, w wolnych chwilach; bez makijażu, z włosami ledwie przytrzymywanymi opaską.

— Wcale nie wyglądała pięknie — wspomina Gwen. — Nie była próżna, nie przejmowała się cały czas swoim wyglądem. Nie mogę też powiedzieć, że miała wrodzony dobry gust czy ogromne poczucie smaku. Prawdę mówiąc, zdarzało się, że wyglądała jak czupiradło. Jednak jej wygląd poprawiał się z upływem dnia. Jakby piękniała z każdą mijającą godziną, tak że o ósmej wieczorem, kiedy przypięła treski i zrobiła to, co nazywałam „makijażem bez makijażu”, wyglądała naprawdę fantastycznie. Nakładała zaledwie odrobinę szminki i trochę cienia na powieki. Nie potrzebowała niczego innego. Ta cudowna skóra, oczy, kości policzkowe, nadal wystające, chociaż jej twarz się zaokrągliła, zapierały dech. Na tym polegało jej zadanie, żeby zmieniać się ze zwykłej kobiety w uderzającą piękność, i Grace naprawdę umiała to robić. Pracując razem nad książką, obie kobiety prowadziły długie rozmowy o życiu. Grace była już po czterdziestce. Zaczynała mieć problemy z wyglądem i wagą. Gwen Robyns zauważyła, ile czasu Grace spędza w Paryżu, z dala od męża, i zastanawiała się, czy dzieje się tak rzeczywiście z oficjalnie podanego powodu — w związku z koniecznością dopilnowania Karoliny, która rozpoczęła studia.

— „Wiesz — powiedziała Grace do Gwen pewnego ranka, gdy • przechadzały się po rozarium — smutniej w tym małżeństwie”.

Fasada runęła. Podziwiana i uwielbiana księżna Grace, twarz z tysięcy okładek ilustrowanych gazet nagle okazała się samotną kobietą po czterdziestce, mającą problemy z mężem.

— „Nie interesuje się mną — dodała. — Wcale go nie obchodzę”. Gwen Robyns nie wiedziała, co powiedzieć. Podczas wizyt „na farmie” często widywała Rainiera i lubiła jego podszyte złośliwością poczucie humoru. Książę i pisarka ukradkiem napelniali swoje kieliszki wódką, kiedy Grace zarządzała „dzień bezalkoholowy”. Wtedy jedynym dopuszczalnym trunkiem była woda. W dobrym humorze Rainier potrafił być duszą towarzystwa.

Jednak kiedy był bez humoru — lub po prostu zły, co zdarzało mu się po pięćdziesiątce coraz częściej — książę na pewno nie był mężczyzną, którego chciałoby się poślubić. Ludzie często szeptali, że Rainier ma kochanki. Pewnego razu zapraszał Davida Swifta na męski wypad do Paryża, przechwalając się, że może załatwić panienki, które — jak to określił — „potrafią zedrzeć tapety ze ścian”. Swift odrzucił zaproszenie.

Jednak nawet jeśli Rainier zdołał zebrać dość energii na takie przygody, zachowywał ogromną dyskrecję. Na to Grace nie mogła skarżyć się swojej przyjaciółce. Jej problem po prawie dwudziestu latach małżeństwa polegał na tym, że mąż większość czasu poświęcał swojemu betonowemu rajowi nad morzem, obojętnie traktując zainteresowania i oczekiwania żony.

W miarę jak dzieci dorastały, Grace spędzała coraz więcej czasu na zbieraniu roślin rosnących na francuskich wzgórzach wokół Monako. Suszyła i prasowała je, a następnie

tworzyła kolaże, które oprawiała w ramki. Przyjaciele zaproponowali, żeby urządziła wystawę i sprzedała niektóre swoje prace, a galeria Drouant w Paryżu zgodziła się udostępnić swoje sale.

Rainier odbył jedną ze swych rzadkich podróży na północ — przyjechał na otwarcie wystawy, która okazała się wspaniałym sukcesem. Niemal wszystkie kompozycje z suszonych kwiatów zostały sprzedane, a później książęca para udała się na kolację do restauracji. Na stole stał bukiet kwiatów; Rainier oberwał kilka płatków i położył je na talerzu.

— Sprzedane! — zawołał, z wyraźną drwiną podnosząc talerz. — Sprzedane za trzy tysiące franków!

Wszyscy roześmiali się, ale jedna z jej przyjaciółek zauważyła, że Grace ten żart nie rozbawił. Dobrze wiedziała, że gdyby nie jej książęca pozycja, te kolaże nie sprzedalyby się nawet za sto franków, a na pewno nie byłyby pokazywane w paryskiej galerii. Jednak przypomnienie o tym właśnie w tej chwili było okrucieństwem. Zdenerwowana i niepewna przed otwarciem wystawy, wyraźnie pęczniała z dumy, gdy na kolejnych jej dziełach pojawiała się czerwona naklejka „sprzedane”. Przyjaciele wychwalali poszczególne kolaże, specjaliści od zielników gratulowali jej techniki suszenia roślin, jej ego było mile połączane — a teraz mąż obrócił to wszystko wniwecz.

Taki stał się Rainier, gdy zaczął się starzeć. Niegdyś dumny z niezależności żony, w późniejszych latach zazdrościł jej sławy i uroku. Przecież to on uosabiał Monako. Ona była importowana. Ten sam objaw powtórzył się piętnaście lat później w małżeństwie księcia i księżnej Walii. Rainier stał się jawnie uszczypliwy wobec Grace. Chociaż ona nieodmiennie popierała go we wszystkim, żartował sobie z jej skłonności do podobania się i „cukierkowatego uśmiechu”. Jego ustawiczne drzemki podczas organizowanych przez nią spotkań towarzyskich dowodziły głębokiej pogardy, jaką żywił dla istotnych dla niej spraw. Na skutek lenistwa i samolubstwa wykazywanych głównie przez księcia partnerski związek przerodził się w jakąś przedziwną rywalizację, w której Monako i Paryż stały się obozowiskami przeciwnych stron.

To pogorszenie stosunków sprawiło Grace wielką przykrość w i tak już trudnym okresie jej życia.

— Żywiła się pochlebstwami — mówi dziś Gwen Robyns. — Były JeJ paliwem.

Przywykła do nich w Hollywood i świat zewnętrzny nadal Ic\_h jej dostarczał. Opinia publiczna kochała ją i uwielbiała bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Ale na tym polegał jej problem. Nie schlebiano JeJ tam, gdzie najbardziej pragnęła: w domu.

Nie tylko Rainier zawodził oczekiwania Grace. Albert był kochają, cym synem — miłym i nieśmiałym, a także całkowicie posłusznym matce. Jednak jego siostry okazały się znacznie mniej uległe, co odkryła Gwen Robyns, gdy przyjechała do Paryża, aby zatrzymać się przez kilka dni przy alei Focha.

— „Po co przyjechałaś i kiedy wracasz do domu? — spytała trzynastoletnia Stefania, wysłana, aby powitać gościa pod nieobecność matki. — Nienawidzę znajomych mojej matki”.

Grace przygotowała dla gościa posiłek, składający się między innymi z kaszanki, którą bardzo lubiła. Stefania skrzywiła się. „Chcę hamburgera — kaprysiła. — Chcę

hamburgera natychmiast". Nastolatka siedziała już przez jakiś czas przy stole, mając do wyboru kilka bardzo smacznych dań zamiast okropnej kaszanki, lecz Grace potraktowała kaprys córki jak kategoriyczny rozkaz. Zawołała z dołu szofera, który też był w trakcie lunchu i poleciła mu zabrać Stefanię do McDonalda.

— „Dlaczego? — spytała przerażona Gwen Robyns. — Robisz krzywdę tej dziewczynie!”

— „Och, kochana — odparła Grace, przybierając minę małej dziewczynki. — To moja mała laleczka. To moje dziecko”.

Grace stała się podnóżkiem dla wszystkich. Najbliżsi wykorzystywali jej gotowość do dzielenia ich bólu czy miłości. Jej uległość w sprawach publicznych — niechęć do zadawania pytań i samodzielnego myślenia — były okropną metaforą martwoty jej życia osobistego. Wyniosła fasada zimnej, odpychającej księżnej skrywała przypadek niskiej samooceny graniczącej z kompleksem niższości. Rozmawiając w tym czasie z Grace, hrabina Donina Cicogna opowiedziała jej o człowieku, którego głęboko kochała, a który — jak odkryła — ustawicznie ją zdradzał.

— „Ale kochaliście się — powiedziała Grace pospiesznie, niemal z desperacją. — Przecież liczy się miłość, a nie ból, prawda?”

Grace była beznadziejną romantyczką. Niech wieje północny wiatr. Niech zmrozi ogród. Żyła marzeniami i była zdecydowana jakoś to znieść.

— Wiesz, trzeba iść na pewne kompromisy — powiedziała pewnego dnia w rozmowie z Judy Kanter. — Żadne małżeństwo nie może się bez nich obejść... Kocham Rainiera, więc staram się jak mogę, żeby było dobrze.

Stare przyjaciółki rozważały przyczyny rozwodów Judy i innych znajomych. Z sześciu beztroskich dziewcząt, które w kwietniu 1956 roku przybyły do Monako jako druhny Grace, ani jedna nie pozostawała w tym samym związku małżeńskim. Wszystkie sześć przeżyło rozwód lub separację.

— Niektóre z nas podpisują dożywotni kontrakt nie do rozwiązania — powiedziała Grace z krzywym uśmiechem. — Mnie nie stać na taki luksus jak was.

Dała się porwać miłości i wpadła w pułapkę konwenansów.

Donald Spoto spotkał Grace dwukrotnie w tych latach, gdy przygotowywał swoją książkę *The Art of Alfred Hitchcock*. W Paryżu jesienią 1975 roku Grace udzieliła mu długiego wywiadu, a latem następnego roku spotkała się z nim w Monako, aby przedyskutować możliwość napisania krótkiej przedmowy do tej książki. Za każdym razem towarzyszyła jej Karolina — „chyba bardziej księżęca od matki” — wspomina Spoto.

— [Karolina] powiedziała mi, że ma zajęcia ze sztuki filmowej na Sorbonie i wymieniła nazwiska swoich profesorów. „Czy oni o panu słyszeli?” — pytała.

Spoto był zauroczony Grace. Była miła, żywa i entuzjastyczna, rozmawiała z nim trzy godziny, chociaż spotkanie miało trwać zaledwie dwadzieścia minut, po czym poprosiła pisarza, aby został na obiedzie i pomógł jej przypomnieć sobie więcej wspomnień z czasów, jakie najwidoczniej uważała za bardzo szczęśliwy okres swego życia.

— „Dzisiaj wszyscy aktorzy i aktorki — powiedziała, mówiąc z dumą o „Złodzieju w hotelu” — wyglądają tak brzydko i niechlujnie... a popatrz na Cary'ego i na mnie...

Wybacz, ale wiesz, co mam na myśli”.

Brakuje jej kreatywności związanej ze sztuką filmową, powiedziała Spoto, ze szczególnym uznaniem wyrażając się o Hitchcocku. Śmiała się ze specyficznego poczucia humoru reżysera i wspominała, jak wyciskał z niej siódme poty, zmuszając do takiej gry, jakiej potrzebował.

— Wyraźnie była bardzo zadowolona z tego, że ją o to pytano i traktowano poważnie jej powołanie — wspomina Spoto. — Jednak wydawało mi się, że jest coś smutnego w tym, że ta czterdziestokil-kuletnia kobieta tyle mówi o przeszłości.

Spoto odniósł wrażenie, że Grace była osobą, której czegoś brakowało w obecnym życiu — i długo musiała robić dobrą minę do złej gry.

— „Dziękuję — powiedziała Grace, kiedy Micheline Swift chwaliła jej nowy dom w Paryżu. — Już nie mogę z nim żyć. W ten sposób będziemy w separacji”.

Wilcze kąsanie.

Na początku lat dziewięćdziesiątych, prawie dziesięć lat po śmierci starej przyjaciółki — gwiazdy filmowej i księżniczki — Rupert Allan rozmawiał z Donaldem Spoto o ostatnim okresie życia Grace i rozczarowaniu, jakie przyniosło jej małżeństwo. Spoto wspominał swoje spotkania z księżną w 1975 roku w Paryżu i w 1976 w Monako oraz smutek, jaki stał się jej udziałem w wieku średnim. Nie ulegało wątpliwości, że życie z księciem z bajki niczym nie różniło się od życia z jakimkolwiek innym śmiertelnikiem. „Dlaczego małżeństwo straciło swój urok?” — zastanawiał się Spoto. Dla kobiety, która tak głęboko wierzyła w miłość, więdnienie i usychanie uczucia w jej własnym życiu musiało być okropnym doświadczeniem.

Allan obrzucił Spoto długim spojrzeniem. Mający kłopoty z sercem, siedemdziesięciodziewięcioletni dziennikarz wiedział, że już długo nie pożyje.

— „Muszę ci powiedzieć — rzekł — że nie była całkiem samotna. Miała kogoś, kto był dla niej bardzo ważny... kogoś w Paryżu”.

Tym kimś był Robert Dornhelm, młody reżyser filmowy, którego Grace poznała w roku 1976. Miała wtedy czterdzieści sześć lat, a Dornhelm zaledwie trzydzieści. Skupiony, o wygłodniałym spojrzeniu, z rozwichrzoną strzechą gęstych, falujących włosów, urodzony w Rumunii. lecz posiadający austriackie obywatelstwo Dornhelm mówił po angielsku z atrakcyjnie cudzoziemskim akcentem i posiadał dar wypowiedzania prowokacyjnych stwierdzeń. Zuchwały i trochę tajemniczy, miał w sobie coś z Lorda Byrona.

Spotkali się, kiedy Dornhelm przyjechał nakręcić przedmowę, jaką Grace zgodziła się wygłosić do *The Children of Theatre Street* („Dzieci ulicy Teatralnej”) — dokumentalnego filmu o leningradzkim Instytucie Waganowej, dawniej Rosyjskiej Imperialnej Szkoły Baletowej, z której wywodziły się takie sławy jak Nurejew, Barysznikow i Ma-Icarowa. Grace zgodziła się wystąpić jako narratorka w tym filmie w ramach kampanii zmierzającej do podniesienia rangi kulturalnej fitonako — pierwsze ujęcia ukazywały ją na scenie opery w Monte Carlo, mówiącą o Diagiliewie. Księżna szybko sama zaangażowała się w to przedsięwzięcie, szczególnie ze względu na osobę przystojnego młodego reżysera.

Robert Dornhelm nie był Hitchcockiem, lecz swoje filmy kręcił z pasją i poświęceniem. *The Children* były dobrze zrobionym i eleganckim dziełem, które zdobyło nominację do Oscara w dziedzinie najlepszego filmu dokumentalnego w 1977 roku. W opinii znawców

z akademii niewiele brakowało, żeby zdobył tę nagrodę. Zaangażowanie i podniecenie wywołane realizacją filmu ożywiło Grace po raz pierwszy od dwudziestu lat.

— Ona była prawdziwą artystką — mówi Rita Gam — której rozwój został zahamowany na początku kariery, w chwili gdy naprawdę zaczynała realizować się jako aktorka. Myślę, że przez te wszystkie lata czuła pustkę wynikającą z niespełnienia dążeń artystycznych.

Grace i Dornhelm rozmawiali ze sobą o innych projektach, jakie mogliby zrealizować. Przymierzali się do nakręcenia filmu o cudownych dzieciach, utrzymanego w tej samej konwencji co *The Children of Theatre Street*. Zbliżał się Międzynarodowy Rok Dziecka i Grace sądziła, że zdołałaby uzyskać sponsorat UNESCO. Brali też pod uwagę powieść Gore'a Vidala „Poszukiwanie króla” (*A Search for the King*), którą zamierzali przerobić na musical rockowy. Grace chciała nakręcić film o klubie ogrodniczym, jaki powstał w Monako, podczas gdy Dornhelm od dawna nosił się z zamiarem zrobienia filmu o Raoulu Wallenbergu, Szwedzie, który ryzykował życie, ratując Żydów z rąk Niemców, i który zniknął tajemniczo w Rosji pod koniec drugiej wojny światowej.

Grace i Dornhelm chcieli zaspokoić swoje wynikające z różnych pobudek ambicje i mogli sobie w tym nawzajem pomóc. Grace zgłosiła chęć zostania kierownikiem planu filmu o Wallenbergu i kazała swojemu prawnikowi sporządzić kontrakt. Z jej punktu widzenia to zajęcie niogło jej pozwolić wrócić do zawodu — kierownik planu czyta rolę z aktorem, którego grę nadzoruje — a Dornhelm ze swej strony wiedział, że nie miałby problemów z nakłonieniem poważnych aktorów do współpracy z dawną Grace Kelly.

Dornhelm lubił ubierać się w rozpięte pod szyją koszule i wytarte dżinsy. Czasami nawet wkładał pas ozdobiony kłami z motywem sierpa i młota, co pewnego razu ściągnęło na niego kłopoty w Monte Carlo, kiedy opalał się na trawniku przed kasynem. Zakładając, że długowłosa cudzoziemiec jest włóczęgą, jakich zazwyczaj szybko odsyłano z powrotem do Francji, policjant zażądał od niego dokumentów, a gdy reżyser nie chciał ich okazać ani podać swojego nazwiska odwiózł go na posterunek. Po telefonie do prywatnego biura Grace Dornhelm został zwolniony i z gniewem zażądał, aby ukarano tajniaka.

— „Nie zrobimy tego — odparła zadowolona księżna. — Zamierzamy wręczyć mu medal”.

W rozmowach z Grace Dornhelm nie owijał słów w bawełnę.

— „Poświęcasz tyle czasu i energii na układanie martwych, zasuszonych kwiatów — zauważył. — Czy to alegoria twego życia?”

Daleka od obrażania się za taki komentarz — wkraczający na ten sam grząski grunt, co Rainier licytujący płatki kwiatów w restauracji — Grace wysłuchiwała Dornhelma i wzięła sobie do serca jego słowa. Buntowniczy młodzieniec zdawał się budzić jej dawno uśpione poczucie niezależności. Kiedy francuski minister kultury organizując bankiet na cześć francuskiej premiery *The Children of Theatre Street* w Operze Paryskiej, zaprosił ambasadora Rosji i wielu innych dygnitarzy, lecz pominął Dornhelma i Olega Briańskiego — kierownika artystycznego — Grace uprzejmie spytała, czy nie mogliby wziąć udziału w przyjęciu, usłyszała, że po prostu nie ma miejsca.

— „Dobrze” — powiedziała Grace i zbojkotowała bankiet. Wzięła udział w przyjęciu galowym po pokazie, ale uściskawszy przepisową liczbę rąk poszła z Dornhelmem i

Briańskim do restauracji — wraz z Rainierem i trójką dzieci — gdzie czekali pół godziny przy stoliku.

— Zawsze była odważna — mówi Dornhelm. — I bardzo lojalna wobec przyjaciół... to jedna z jej największych zalet.

Pewnego dnia następnego lata Gwen Robyns otrzymała w Oxford-shire telefon z Monako.

— „Czy myślisz, że Robert mógłby przyjechać i zostać na weekend? — spytała Grace. — Przez kilka dni ma być w Anglii w związku z przygotowaniem do filmu”.

Ledwie Dornhelm zdążył przyjechać, gdy zadzwonił telefon. To Grace chciała z nim mówić. Gwen Robyns i jej duński mąż, Paul von Stemann, jedli lunch w czasie ich trwającej bez końca rozmowy. Kiedy wreszcie usiedli przy gościu, po niecałych dwudziestu minutach przerwał im kolejny telefon z Monako, po którym nastąpiła rozmowa równie długa jak poprzednia.

— „Mogę ją sobie okręcić wokół palca” — chełpił się Dornhelm, gdy wrócił do stołu.

pod koniec weekendu, podczas którego ich gość spędzał więcej czasu na międzymiastowych rozmowach z Monako niż z gospodarzami, Gwen Robyns i Paul von Stemann nie mogli oprzeć się podejrzeniu, że Grace i młody reżyser mają do omówienia coś więcej niż tylko projekty filmów. Kilka miesięcy później podejrzenia Gwen się potwierdziły. Jadąc na wzgórze nad Monako z Grace i Dornhelmem, autorka zdziwiła się nagłą troską księżnej o stan jej nóg.

— „Gwen, kochanie, masz uraz kolana? — spytała. — Może posiedzisz w samochodzie z Paulem [szoferem Grace], a my z Robertem pójdziemy się przejść?”

Nieco niechętnie Gwen zgodziła się przesiedzieć całą wycieczkę, na pociechę upijając się na wesoło z szoferem.

— „Grace, do licha, gdzie byłaś?” — spytała ze złością, kiedy para w końcu wróciła ze wzgórz, zaczerwieniona i rozczochrana.

— „Och, kochanie — odparła Grace, robiąc jedną ze swych dzieciennych minek — było tak cudownie... tak cudownie po prostu z nim być”.

Gwen Robyns nie jest pewna, jak daleko posunęła się Grace w przyjaźni z Dornhelmem.

— Czynniki fizyczne nie był najważniejszy — mówi. — Grace po prostu uwielbiała flirtować. To dawało jej przyjemność i romantyzm, jakich nie zapewniał jej Rainier.

Sam Dornhelm odmawia rozmowy na temat swojego związku z Grace.

— To wspomnienia, których nie należy budzić — mówi. — Lepiej pozostawić je tam, gdzie są. To już przeszłość.

— Robert zawsze był dżentelmenem — komentuje Maree Frisby Rambo, która regularnie widywała ich razem.

— Dornhelm bardzo często był w pobliżu, kiedy wychodziłem gdzieś z Karoliną — wspomina Philippe Junot, który w 1976 roku zaczął umawiać się ze starszą córką Grace.

— Rainiera nigdy nie było. Żył własnym życiem w Monako, a Grace swoim w Paryżu.

Czasami wychodziliśmy we czwórkę: Karolina ze mną, a Grace z Dornhelmem. Nie wiem, czy byli kochankami, ale powiedzmy to tak, że byłbym bardzo zdziwiony, gdyby było inaczej.

Kwestię związku Grace z Robertem Dornhelmem komplikuje fakt, że wcale nie był jedynym młodym człowiekiem, z jakim przestawała w późniejszych latach. Jest ich spora lista. Per Mattsson, trzydziesto-trzyletni szwedzki aktor brany pod uwagę przy projekcie filmu o Wal-Ienbergu, opowiada niezwykłą historię o tym, jak w 1982 roku Grace wymknęła się z nim z przyjęcia w Nowym Jorku i zabrała go do swojego pokoju w hotelu. Mattsson twierdzi, że pozostali tam sami aż do piątej rano — i spędzili ten czas nie robiąc nic kompromitującego, jedynie siedząc przy pianinie i śpiewając w duecie. To musiało być niezwykle przeżycie dla energicznego młodego człowieka znaleźć się sam na sam w pokoju hotelowym z żywą legendą. Czy ta dostojna dama w średnim wieku oczekiwała, że zacznie się do niej zalecać?

Jim McMullen, znany nowojorski restaurator, twierdzi, że nawet nie myślał w takich kategoriach o księżnej, kiedy w połowie lat siedemdziesiątych zaprosiła go na tydzień do Monako. — Była kimś szczególnym. Była Jej Wysokością. McMullen utrzymuje, że nie było mowy o niczym niewłaściwym ani w ciągu tygodnia, jaki spędził w gościnie u Grace, ani kiedykolwiek podczas sześciu lat ich znajomości.

McMullen, były model, miał dwadzieścia kilka lat, kiedy Grace zaczęła odwiedzać jego odtwarzającą atmosferę irlandzkiego saloonu restaurację na Trzeciej Alei, gdzie podawano słynną zapiekankę z kury. Wspomina wypad z Grace do dyskoteki „Studio 54”, kiedy zgromadzone przed nią tłumy rozstały się przed księżną jak Morze Czerwone, a także surrealistyczny obiad podczas tygodnia spędzonego w Monako, gdy posadzono go przy stole między Grace a Ingrid Bergman.

Nie bez cienia zazdrości przyjaciółki Grace mówiły o jej młodych mężczyznach „zabaweczki”.

— Ona wiecznie pragnęła zachwyty — mówi Gwen Robyns — a ci młodzi ludzie go jej zapewniali. Prawili komplementy. Bawili.

Byli także bardziej inteligentni i wyrobieni niż przeciętny młody człowiek. Jeffory Martin FitzGerald, dwudziestodwuletni biznesmen, pewnego lutowego ranka 1980 roku wszedł na pokład concorde'a lecącego do Londynu i na swoim fotelu ujrzał stertę pakunków.

— Przepraszam — rzekł, usiłując być uprzejmy dla siedzącej między sprawunkami podróży w średnim wieku. — Czy to pani rzeczy?

Grace, której nikt nie rozpoznał w chustce na głowie, serdecznie przeprosiła i pospiesznie zabrała bagaże. Kiedy usiedli koło siebie w wąskich fotelach concorde'a, FitzGerald usiłował zająć się papierami związanymi z pracą. Ale Grace ustawicznie mu przeszkadzała, stukając go w ramię i prosząc o pomoc przy rozwiązywaniu krzyżówki. W końcu uznał, że musi przywołać ją do porządku.

— Madame — powiedział szorstko. — Nie sądzę, żebym był w stanie pomóc pani rozwiązać tę krzyżówkę. Jestem analfabeta.

Podano lunch i FitzGeraldowi humor się poprawił. Widząc, jak jego sąsiadka atakuje kawior, zaproponował jej swoją porcję.

— Nie przepadam za kawiolem — wyjaśnił, co rozpoczęło rozmowę o tym, że ludzie albo uwielbiają kawior, albo go nie znoszą, a to z kolei doprowadziło do wzajemnej prezentacji.

— Gdzie pani teraz mieszka? — spytał FitzGerald, kiedy Grace opowiedziała mu o Filadelfii.

— W Monako — odparła, lecz on nadal się nie zorientował. Dopiero kiedy wyjawiała mu swoje nazwisko, pojął, kim jest jego towarzyszka podróży.

Jeffory FitzGerald był wysokim, dobrze zbudowanym Amerykaninem irlandzkiego pochodzenia, trochę podobnym do młodego Kella. Widywali się regularnie, ilekroć Grace przyjeżdżała do Nowego Jorku. Szli całą gromadą do restauracji — lokal McMullena był popularnym miejscem spotkań — ale opuszczali razem towarzystwo pod koniec wieczoru, ponieważ — według jednej z najbliższych przyjaciółek Grace — ich stosunki miały zdecydowanie intymny charakter.

— „Myślałam, że nawet nie spojrzy na takie babsko — wyznała księżna z zadowoleniem jednej z przyjaciółek — tymczasem jemu to wcale nie przeszkadza!”

Nie straciła swojego uroku! Dwadzieścia lat wcześniej Grace bez trudu zwróciłaby na siebie uwagę zapracowanego młodego biznesmena na pokładzie samolotu. Jednak w typowy dla siebie sposób wytrwale próbowała, aż dopięła swego. Grace nie zdawała sobie sprawy z tego, w jakim stopniu była uzależniona od komplementów wypowiadanych przez zwykłych, staromodnych, sterowanych hormonami, flirtujących mężczyzn.

FitzGerald nie miał artystycznej wrażliwości Dornhelma. Niektórzy przyjaciele Grace uznali go za nieokrzesanego. Unosili brwi, gdy oboje wychodzili razem z jakiejś imprezy. Jednak jako atrakcyjny i energiczny przedstawiciel płci męskiej, ten młody człowiek miał wyraźną przewagę nad Rainierem.

FitzGerald wiele podróżował po świecie, co w tych latach zaczęła robić również Grace. Pokład concorde'a był dla nich odpowiednim miejscem spotkania. Wymienili doświadczenia, jak radzić sobie ze zmianami stref czasowych i jak wypoczywać — FitzGerald był w swojej firmie „łowcą głów”, wyszukującym obiecujących menażerów — i wzajemnie umacniali się w decyzji odchudzenia.

Uważaj, co jesz podczas lunchu — przestrzegala Grace w jednej z wysyłanych do niego pocztówek. — Pij herbatę z lodem zamiast piwa...

Na wiosnę 1982 roku Instytut Annenberga zorganizował w Filadelfii imprezę, by uczcić filmową karierę Grace. Jimmy Stewart, Bob Hope oraz inni legendarni weterani jej czasów zgodzili się wystąpić i podziękować Grace za jej wkład artystyczny w rozwój sztuki filmowej. Wieczór miał być uroczysty i zapowiadał się wspaniale, ale Rainier uznał, że nie ma czasu, aby spędzić go z żoną. Tak więc Grace poleciała do Nowego Jorku bez męża, spotkała Jeffory'ego FitzGeralda i pojechała samochodem do Filadelfii w towarzystwie mężczyzny o dwadzieścia lat od niej młodszego.

— Dochodzi do tego — powiedziała ze złością w owych latach do Judy Quine, mówiąc o świecie oczekującym od niej wiecznej doskonałości — że nie dbam o to, co ty, czy ktokolwiek, o tym sądzi.

Jeśli Grace podejrzewała, że w pobliżu kręcą się fotoreporterzy, starała się ukryć swoich młodych towarzyszy w grupie innych, ale przed najbliższymi przyjaciółmi niczego nie tajiła. Uważała tych młodych ludzi za swoich protegowanych. Była dumna z ich sukcesów.



Przedstawiła Judy Quine Dornhelma i FitzGerala, a szczególnie zależało jej na tym, żeby Dornhelma poznał Don Richardson, jej stara sympatia.

— „Chciałabym, żebyś poznał Roberta — powiedziała Richard-sonowi, kiedy Rupert Allan zorganizował ich spotkanie w Filadelfii. — On jest podobny do ciebie. Mógłby być naszym synem”.

W 1976 Grace przyjęła zaproszenie od Jaya Kantera i została pierwszą kobietą w zarządzie Twentieth Century Fox — ten rezultat działań Ligii Wyzwolenia Kobiet nie budził u niej żadnych obiekcji-Cztery razy w roku podróżowała w luksusowych warunkach na koszt

wytwórni, aby wziąć udział w posiedzeniu z reguły odbywającym się w jakimś atrakcyjnym miejscu — najczęściej w Nowym Jorku lub Hollywood. Grace wykorzystywała te wyjazdy jako okazję do spotkań z Dornhelmem, McMullenem i FitzGeraldem. Ci młodzi ludzie wiedzieli o sobie — McMullen i FitzGerald dość często się spotykali — a podczas jednej z takich wizyt w Los Angeles Grace poprosiła Ruperta /Ulana, aby zaprosił do swego domku w górach Dona Richardsona z żoną.

Grace i jej dawny mistrz przez cały czas korespondowali ze sobą. Kiedy na początku lat siedemdziesiątych Richardson pojechał na kontrakt do Izraela jako wykładowca sztuki teatralnej, Grace przekazała tam w darze pewną sumę pieniędzy na finansowanie biedniejszych studentów. Nie widzieli się przez przeszło ćwierć wieku, lecz gdy w końcu się spotkali pewnej chłodnej nocy w Los Angeles, było tak, jakby nigdy się nie rozstali.

— Kiedy wszedłem — wspomina Richardson — skoczyła zza stolika prosto w moje ramiona i opłótła mnie nogami. Widziała to moja żona Laura oraz inni goście. Jednak w tamtej chwili Grace na nikogo nie zwracała uwagi. Nagle wróciliśmy do czasów młodości. Grace zamówiła smażonego kurczaka i pałaszowała z apetytem, trzymając go w palcach jednej ręki, a drugą ściskając pod stołem dłoń Richardsona. W połowie wieczoru, w najlepszym stylu Monako, zamieniła się miejscami tak, żeby móc porozmawiać z żoną Dona — Laurą. Co sądzi o Lidze Wyzwolenia Kobiet? Czy dobrze opiekuje się Donem? — To było bardzo wzruszające — wspomina Don Richardson. — Nadal miała w sobie to coś, co czyniło ją obiektem marzeń... tę słodką buzię, te cudowne oczy. Jednak było w niej również coś bardzo tragicznego. Z bólem serca widziałem, że zaczyna tyć i przestaje dbać o siebie: trochę za dużo alkoholu, nie dopięty zamek sukni, rozmazany makijaż. Odniosłem wrażenie, że za często zagląda do kieliszka.

Don Richardson skłania się do teorii, że Grace miała pod koniec życia problemy związane z nadużywaniem alkoholu. Ten pogląd opiera się głównie na fotografiach prasowych ukazujących czterdziestokil-kuletnią Grace ze sporą nadwagą i nalaną twarzą. Usiłując żartować z tego, w rozmowach z przyjaciółmi Grace zaczęła określać się mianem »Baionozaurus Rex”. W 1976 roku — kiedy skończyła czterdzieści siedem lat i poznała Roberta Dornhelma — Howell Conant musiał specjalnie lecieć do Monako, żeby powtórzyć rodzinne zdjęcie do

dorocznej kartki bożonarodzeniowej. Księżna obejrzała próbne odbitki z pierwszej sesji i uznała, że wygląda na nich na za grubą.

Bożonarodzeniowa pocztówka ze zdjęciem Grimaldich, przedstawiająca Grace, Rainiera oraz ich dzieci, wykonywana corocznie od 1956 roku w niemal tej samej pozie i miejscu,

stanowi niezwykle ciekawy dokument ukazujący dzieje tej rodziny. Pojawiają się niemowlęta, zmieniają się w dzieci, potem rosną, aż pewnego roku są już wyższe od rodziców. Rainier robi się łysawy, potem szpakowaty, a w końcu siwy. Golfy, szerokie klapy, spodnie-dzwony, adidas — moda przychodzi i zmienia się. Tylko Grace wygląda tak samo: zgrabna, szczupła, uśmiechnięta blondynka, prezentująca się po czterdziestce nawet lepiej niż w wieku osiemnastu lat — aż do 1976 roku, kiedy nagle, w ciągu mniej więcej dwunastu miesięcy, róża więdnie.

Grace lubiła dobrze zjeść i wypić. Od kaszanki po smażone kurczaki, jej ulubione dania były tuczące, zamiłowanie zaś do szampana i dobrego koktajlu przed obiadem nie pomagało jej utrzymać linii. Jednak przyczyną tej dramatycznej zmiany jej wyglądu w wieku czterdziestu siedmiu lat nie było zwiększone spożycie jedzenia czy alkoholu.

Nadszedł jej czas. Grace przechodziła szczególnie trudną i denerwującą menopauzę. — Nieustannie do mnie wydzwaniała — wspomina Gwen Robyns. — „I co mam robić?”, pytała. „Robię się taka gruba. Nie mieszczę się w moje ciuchy, a muszę się pokazywać”. Chodziła do różnych lekarzy, ale wszyscy mówili to samo. Obieg płynów. Tak już jest. Grace nazwała to „wilczym kąsaniem”, jakby zmiana zimnego terminu medycznego w rym mogła coś naprawić. To przekwitanie jest jak wilcze kąsanie — napisała do Maree Rambo.

— To nie tyle same oznaki — powiedziała w rozmowie z Judy Quine — ile nastawienie, uczucie... Jestem wciąż rozdrażniona i nie podoba mi się to.

Lekarze przepisali jej duże dawki hormonów, ale to nie wpłynęło na jej zmiany nastroju i zwiększyło tendencje do tycia. Piersi Grace nabrzmiały, powodując problem wprost przeciwny do tego, jaki miała jako nastolatka.

— „Moje piersi to coś okropnego — wyznała udręczona w rozmowie z Gwen Robyns. — Są takie wielkie. Muszę je ścisnąć”.

Wywołane menopauzą zmiany wyglądu są trudne do zniesienia dla każdej kobiety, ale szczególnie dla tej, której urok w tak dużym stopniu zależał od urody. Nagle zmieniła się geografia twarzy Grace. Jej rysy przekształciły się pod wpływem wewnętrznego dryfu kontynentalnego, przetrwała przeszło dwadzieścia lat życia — małżeństwo, porody, a nawet śmierć ojca — niemal się nie starzejąc, a teraz jej najlepszy przyjaciel — własne ciało — ją zdradzało. Poszła do kosztownych paryskich lekarzy, którzy zaproponowali transfuzje krwi i specjalne zastrzyki — bez skutku. Rozpaczliwie usiłując zachować urodę, Grace podjęła walkę, której nie mogła wygrać, i czasem nawet wątpiła w swoje zdrowe zmysły.

W tym czasie nadeszła smutna wiadomość, że Carolyn Scott Rey-bold, najprzystojniejsza z druzhen, załamała się psychicznie po wielu przykrych przejściach i grzebała w nowojorskich śmietnikach, nocując w schronisku dla bezdomnych. Carolyn odrzuciła pomoc przyjaciół, w tym i Grace. Chciała, żeby zostawiono ją w spokoju.

— Czy to nie dziwne, że w życiu Carolyn jest coś, o czym myślę z zazdrością? — zwierzyła się Grace Judy Quine.

Mówiła przyjaciółkom, że przyłapała się na poważnych rozmyślaniach nad urokami życia bezdomnej, włóczącej się bez końca po paryskim metrze.

— Chyba odbija mi pod wpływem tych zmian — powiedziała do Judy Quine. — To mnie przeraża.

„Zabaweczki” były obroną Grace przed wilczym kąsaniem czasu, jednak nie zapewniały rzeczywistej możliwości ucieczki. Jak mogła skrywać się za swoją słynną fasadą, jeśli ta rozpadała się w proch? Przez całe życie Grace sprawiała przyjemność innym: ojcu, matce, mężowi, dzieciom, całemu światu, który chciał widzieć w niej księżną Grace, oraz Kościołowi uczącemu ją od najmłodszych lat, że droga do szczęścia wiedzie przez ofiarę dla większej sprawy. Modlitwa, spowiedź i msza pozostały dla Grace pocieszeniem w najtrudniejszych chwilach jej życia, jednak po czterdziestce obowiązkowa księżna zaczęła pojmować, że czasem nie można niczego stawiać ponad obowiązkiem wobec siebie samej.

Poezja i kwiaty.

Przekleństwo Grimaldich” pochodzi z trzynastego wieku. Według legendy pierwszy książę Rainier porwał i zniewolił piękną pannę z niziny, by potem ją odepchnąć — a wtedy jego ofiara wywarła na nim zemstę, zmieniając się w czarownicę. Nigdy żaden Grimaldi nie zazna szczęścia w małżeństwie — przepowiedziała.

Historia zdaje się potwierdzać to proroctwo. Małżeństwa Grimaldich od wieków stanowią zawity splot rozwodów, separacji i przedwczesnych zgonów, a ich kulminacyjnym punktem jest smutny mezalians rodziców Rainiera. Grace i Rainier byli pierwszą parą książęcą, jaka zdołała stworzyć stabilny publiczny wizerunek małżeństwa. Jednak w 1976 roku ślub ich córki Karoliny stanowił powrót do wielowiekowej tradycji.

Książę i księżna Monako wychowywali dzieci żywiąc przekonanie, że powinni zapewnić im bez troskie i szczęśliwe dzieciństwo, a jednocześnie uczynić z nich chodzące wzory książęcych cnót. To byłoby możliwe w jakiejś baśniowej krainie, w której jedynym poważnym zagrożeniem są wiedźmy, ale w Monako lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych okazało się niewykonalne. Stroje topless, dyskoteki, ekskluzywne lokale, prywatne jachty — życie w Monte Carlo zapewniało przyspieszony kurs korzystania z uciech doczesnych, a nikt nie uczęszczał nań z większym entuzjazmem od pierworodnej córki Grace — Karoliny.

Grace zaczęła dostrzegać niebezpieczeństwo. Co roku wysyłała dzieci z Monako, wyprawiając je na letnie obozy do Pensylwanii, a kiedy Karolina wkroczyła w trudny wiek, Grace uznała, że córce będzie lepiej w szkole klasztornej. Od czternastego do szesnastego roku życia

Karolina uczyła się w St Mary's Ascot, gdzie reguły klasztornej edukacji były jeszcze wzmocnione tradycjami angielskiego internatu. Jednak

0 ile staromodne wychowanie katolickie nauczyło Grace pokory i ogłady, w przypadku Karoliny przyniosło wręcz przeciwne skutki.

— Kiedy Grace dorastała w Filadelfii, chodziła do zwyczajnych szkół, w których była jedną z dziewczynek — mówi Rita Gam. — Jednak kiedy dziecko rodzi się księżniczką, trudno być „jedną z dziewcząt”. Jest naznaczone przez Boga, co czasem może być przekleństwem.

Mała Karolina była rozpuszczona i uparta, świadoma swoich przywilejów, ale nie mająca ochoty spełniać związanych z nimi obowiązków. Dziewczynka, która w wieku pięciu lat

zażądała sukni od Givenchy, bez trudu stała się pierwszą księżniczką na świecie pozującą w stroju topless.

— Te dwie dziewczyny uosabiają Morze Śródziemne — usiłowała wytłumaczyć ją Grace. W latach pięćdziesiątych oswojono się z myślą, że będąca księżniczką ładna dziewczyna może pozwolić sobie na więcej próżności

1 swobodniejsze obyczaje od innych, ale w latach siedemdziesiątych stanowiło to nowość. Księżniczki powinny być pruderyjne i poważne — jak księżna Grace — i ludzi szokowało to, że właśnie córka Grace wiedzie prym w niszczeniu tych złudzeń.

Grace również nie była tym zachwycona, jednak nie potrafiła wywrzeć odpowiedniego wpływu na Karolinę. Jack i Margaret Kelly bez wahania karcili córkę, jeśli nie spełniała ich oczekiwań, ale Grace chciała dla swoich dzieci czegoś lepszego niż seria bolesnych potyczek, jakie stoczyła z matką i ojcem. W obliczu konfliktu usiłowała być wyrozumiała. Przede wszystkim chciała pozostać najlepszą przyjaciółką Karoliny.

— „Cokolwiek się zdarzy — mówiła — zawsze trzeba zostawić otwarte drzwi”.

Pod wieloma względami Grace zdobyła tę przyjaźń, o jaką zabiegała. Mieszkając razem w Paryżu od 1974 roku, matka i córka były jak dwie koleżanki cieszące się urokami życia w wielkim mieście. Grace miała nadzieję, że dzięki wspólnemu życiu zdoła ukształtować i pokierować swoją córką, lecz Karolina miała inne plany. Stała się nastolatką w tym samym roku, w którym matka skończyła czterdziestkę i od tej Pory życie obu kobiet biegło po różnych trajektoriach.

Grace z trudem radziła sobie z rozkwitającą kobiecością starszej córki. Pewnego dnia w 1976 roku Earle Mack, producent *The ren... Dornhelma*, jadł śniadanie w paryskim domu Grimaldich. Była tam Karolina i Rainier oraz mieszkający w sąsiedztwie pianista Artur Rubinstein z żoną. Spotkanie przedłużyło się do popołudnia w typowym stylu francuskiego obiadu. W pewnej chwili Grace zauważyła, że Karolina wyszła do swojego pokoju i nie wróciła. Księżna podbiegła do okna, nagle tracąc panowanie nad sobą.

— „Gdzie ona jest? Dokąd poszła? — pytała niespokojnie, nie jak uprzejma gospodyni, lecz jak przestraszona matka. — Dałeś jej samochód, Rainierze? Wiem, że pojechała zobaczyć się z Junotem”.

Philippe'a Junota opisywano jako tego rodzaju mężczyznę, jakiego żadna matka nie chciałaby za męża dla swojej córki — co zapewne najlepiej wyjaśnia, dlaczego wybrała go Karolina. Raczej czarujący i zabawny niż przystojny w konwencjonalnym znaczeniu tego słowa, Junot był biznesmenem specjalizującym się wówczas w handlu nieruchomościami w Ameryce Północnej. Czerpał zyski z centrów handlowych od Montrealu po Dallas. Pochodził z zamożnej burżuazyjnej rodziny — jego ojciec był merem Paryża. Starszy od Karoliny o siedemnaście lat — kiedy zaczęli chodzić ze sobą, miał trzydzieści sześć lat, a ona dziewiętnaście — Junot był znanym bawidamkiem. Philippe Junot został ulepiony z tej samej gliny co Oleg Cassini — stosunkowo dojrzały, sprytny, mający poczucie humoru i urok osobisty zapewniający mu powodzenie u kobiet.

Karolina odziedziczyła po Grace zdolność dobierania sobie takich chłopców, których rodzice nie zaakceptują, i z przyjemnością wystawiała matkę na próbę, żeby sprawdzić,

jak daleko może się posunąć. Pewnego dnia Gwen Robyns akurat przebywała w domu przy alei Focha, kiedy przyszedł tam Junot.

— Wtedy noszono obciste spodnie — wspomina pisarka — a Junot miał na sobie najbardziej obciste spodnie, jakie widzieliście. Kiedy wszedł do pokoju, Karolina podbiegła i zaczęła się o niego ocierać. To był najbardziej niesmaczny popis, jaki widziałam w życiu.

— „Grace — powiedziałam — jak możesz na to pozwalać przy ludziach?”

— „Kochanie — odparła, rozkładając ręce, jakby już dawno zrezygnowała z prób sprzeciwu. — A co mam zrobić?”

Ze strony Karoliny był to odpowiednik przyjęcia klejnotów od szacha.

— Bywają chwile — przyznała Grace w czerwcu 1978 roku — kiedy widzę w niej siebie. Karolina rzucała matce wyzwanie swoją młodością, urodą i władzą nad atrakcyjnym i dynamicznym mężczyzną. Prowokowała Grace do sprzeciwu. Zakochana po uszy w Junocie, przyjęła jego oświadczyzny po roku poważnej znajomości, a kiedy matka wyraziła swoje niezadowolenie, Karolina zaproponowała inne rozwiązanie. Ucieknie i będzie żyć z Philippe'em.

Przypomniawszy sobie podobny konflikt z rodzicami o Olega Cas-siniego, Grace ustąpiła. Bawiła się myślą o ucieczce, lecz poprzestała na cichym romansie skrywanym przed opinią publiczną. Jednak nie było nadziei, żeby Karolina okazała się równie posłuszna czy dyskretna, niepodobna zaś — jak wtedy stwierdziła Grace — aby córka księcia i księżnej Monako żyła w grzechu na oczach całego świata.

— Mama powiedziała: „Oczywiście, to niewłaściwy mężczyzna i nie powinnaś za niego wychodzić — wspomina Karolina — jednak nie ma innego wyjścia. Zbyt długo z nim chodziłaś... Co pomyśleliby sobie ludzie, gdybyś teraz z nim zerwała?”

To była Grace w jej najbardziej staromodnym i konserwatywnym wcieleniu. Matczyne przekonanie, że Junot jest niewłaściwym mężczyzną dla Karoliny, ustąpiło przed potrzebą sprawiania dobrego wrażenia.

Zachowywanie pozorów zawsze było największą siłą i słabością Grace — robiła to jako Kelly, jako Lodowa Dziewica Hollywood czy jako księżna Monako. Karolina świetnie wyczuła matkę, kiedy zaproponowała, że po prostu zacznie żyć z Philippe'em. Wiedziała, jakie rozwiązanie wybierze Grace.

Datę oficjalnego ogłoszenia zaręczyn wyznaczono na koniec sierpnia 1977 roku, a Gwen Robyns była dzień wcześniej na obiedzie w Roc Agel. Kiedy weszła do domu, Rainier wypadł ze swego gabinetu i odciągnął ją na bok.

— „Gwen — powiedział — ty umiesz namawiać ludzi na zwierzenia. Zabierz Junota na spacer po ogrodzie i zapytaj, z czego żyje”.

— „To wy nie wiecie?” — spytała zdumiona pisarka.

— „Nie — odparł Rainier. — Właściwie nie”.

Rainier był równie niezadowolony ze swego przyszłego zięcia jak Grace. Książę czerwieniał, kiedy ktoś choćby wymienił nazwisko Junot, a wśród przyjaciół z pasją rozprawiał o złym zachowaniu młodej pary.

Jednak podzielenie się tymi uczuciami z córką okazało się dla Rainiera równie trudne jak z żoną. Kiedy miał coś ważnego do powiedzenia Karolinie, wolał napisać do niej list, a

ona stwierdziła, że najłatwiej porozumie się z ojcem, jeśli mu odpisze. Rainier podzielał także przekonanie Grace, że przepaści międzypokoleniowej należy unikać za wszelką cenę. Dlatego kiedy latem 1977 roku Junot przyszedł do księcia, aby formalnie prosić go o rękę córki, Rainier pozornie przyjął go z zadowoleniem. Jak najdalszy od wrogich uczuć, jedynie delikatnie zasugerował, aby młodzi poczekali do przyszłego roku, kiedy Karolina ukończy dwadzieścia jeden lat i swoje studia na Sorbonie.

— Nigdy nie przeprowadziłem z nim męskiej rozmowy — mówi dziś Junot. — Rozmawialiśmy o piłce nożnej, samochodach i tym podobnych rzeczach, ale o niczym poważnym. Myślę, że dla niego zawsze byłem problemem, który może sam się jakoś rozwiąże.

Nadzieje Rainiera się spełniły. Małżeństwo państwa Junotów, zawarte w prywatnej kaplicy pałacowej w czerwcu 1978 roku, szybko zaczęło się psuć. Styl, w jaki Philippe podczas wypadów do Ameryki zawierał interesy przy obiedzie i dyskotekowej muzyce, stał się tematem plotkarskich rubryk towarzyskich i rozwścieczał Karolinę. Oskarżała męża o niewierność, chociaż Junot dziś utrzymuje, że było wprost przeciwnie.

— Nie popełniłem żadnego błędu przez pierwsze dziesięć miesięcy — mówi dzisiaj. — To ona... ona była niewierna... a ja byłem gotów to zaakceptować... Była dwudziestojednoletnią piękną dziewczyną, która nagle odkryła, jak dobrze jest korzystać z uroków życia. Jak wspaniale być wolną i to, że może trochę za wcześnie na prawdziwe małżeństwo.

Karolina wyznała później, że wyszła za męża nie tyle dlatego, że zamierzała spędzić resztę życia z Philippe'em Junotem, lecz ponieważ chciała wyrwać się z dusznej atmosfery rodzinnego domu.

— Miałam dwadzieścia czy dwadzieścia jeden lat — powiedziała Jeffreyowi Robinsonowi dziesięć lat później — i tak naprawdę wcale nie chciałam wychodzić za męża... Ale nie wolno mi było pojechać z nim na wakacje czy choćby spędzić weekendu, chyba że w domu jego rodziców, gdzie wszystko było bardzo na miejscu... Zamażpójście było po prostu jedyną drogą ucieczki.

Pewnego letniego dnia w 1980 roku Junot wrócił do domu z kortu tenisowego i znalazł liścik, w którym żona stwierdziła, że musi trochę odpocząć.

— „Nie martw się — powiedział Rainier, kiedy Junot zadzwonił do jylonako. — Ona nie czuje się najlepiej. Jest trochę przygnębiona”.

Małżonkowie pogodzili się na tydzień, lecz potem Karolina ponownie zniknęła — w Anglii, jak odkrył później Junot. Opuszczony mąż pojechał na wycieczkę do Turcji, gdzie pocieszył się w ramionach dawnej przyjaciółki, co znalazło się na pierwszych stronach gazet. Małżeństwo zawarte w imię przyzwoitości zakończyło się w atmosferze skandalu w prawdziwym stylu Grimaldich. Na początku października 1980 roku Junot otrzymał pozew rozwodowy, któremu się nie sprzeciwił, i prawnicy Grimaldich w ciągu kilku dni załatwili sprawę w mo-nakijskich sądach.

To Grace nalegała, aby Karolina wyszła za męża, i to ona teraz doradzała jej rozwód.

— Mama stwierdziła: „Musisz się rozwieść” — wspomina Karolina. — Ja nawet nie ośmieliłam się wspomnieć o rozwodzie, ponieważ katolicy się nie rozwodzą. Po prostu trzeba jakoś wszystko znosić... Powiedziałam jej: „Jak możesz tak mówić? Przecież

jesteśmy wierzący..." Mama odparła: „Religia ma pomagać ludziom, a nie ich unieszczęśliwiać”.

Nakłanianie Karoliny do zignorowania nauk kościelnych ukazuje pragmatyzm Grace odziedziczony po Ma Kelly. Karolina cierpiała i Grace chciała, aby córka jak najszybciej rozpoczęła nowy rozdział życia. Jednak ten fakt ukazuje również nowe cechy osobowości, jakie ujawniły się u Grace, kiedy kończyła lat pięćdziesiąt. W jej życiu osobistym i duchowym zachodziły poważne zmiany. Związek z Dorn-helmem, menopauza, wyzwalenie się spod wpływu męża, a nawet — w pewnych granicach — z konwenansów narzucanych przez rolę księżnej, wszystko to składało się na zmianę jej nastawienia. Grace wreszcie nie chciała żyć w sposób narzucony przez innych. Zaczynała żyć po swojemu.

To był powolny, stopniowy i ledwie zauważalny proces. Nie doszło do jakiegoś dramatycznego, przełomowego momentu i pod wpływem obawy czy z lenistwa Grace nadal potrafiła być snobistyczna i odpychająca. Jednak czasami usuwała się na bok i unikała starych problemów. W końcu zaczęła, jak to ujęła Rita Gam, „dorastać i stawać się sobą”.

Ponowne odkrycie radości związanych z grą aktorską okazało się jednym z najistotniejszych czynników jej powtórnych narodzin, a zaczęło się, przypadkowo, w tym samym roku, w którym poznała

345

Roberta Dornhelma. W 1976 roku Festiwal Edynburski zorganizowano w powiązaniu z dwusetną rocznicą powstania Stanów Zjednoczonych i John Carroll, odpowiadający za główny recital poetycki festiwalu, szukał Amerykanki o dobrym słuchu i miłym głosie. „A może księżna Grace z Monako?” — podsunęła mu pomysł jego stara znajoma, Gwen Robyns.

— „Właśnie tego szukasz — powiedziała do Grace w rozmowie telefonicznej. — Chcesz wzbogacić swoje życie, zrealizować się. Nie możesz tego zrobić w Hollywood, tymczasem to może być sposób. John to człowiek honoru”.

Ekscentryczny, lekko roztrzepany i całkowicie oddany poezji, John Carroll z przyjemnością spotkał się z Grace.

— „Nie przychodzi mi do głowy nic przyjemniejszego — powiedział — niż wyjazd do Paryża na lunch z piękną księżną”.

Jednak jako reżyser pracował z kilkoma najlepszymi angielskimi aktorami, od Ralpha Richardsona po Peggy Ashcroft, i nie miał zamiaru ryzykować obniżenia lotów.

„Chcę, żeby pani coś dla mnie zrobiła — powiedział, gdy przełamano pierwsze lody. — Proszę przeczytać mi ten wiersz”.

Utwór nosił tytuł „Chwiejba”. Opiewał stary statek i chociaż Grace przeczytała go całkiem nieźle, John Carroll uznał, że można to zrobić lepiej. Reżyser od dziecka cierpiał na wadę słuchu — z powodu tego w czasie wojny nie został przyjęty do służby wojskowej — lecz nadrabiał to ogromnym wyczuciem poezji.

— „Kiedy czyta się wiersze na głos — wyjaśniał — frazy bardzo pomagają w interpretacji, ponieważ nie chodzi jedynie o to, by recytować zwrotkę po zwrotce. Niektóre strofy wymagają lekkiego wydłużenia, ze względu na sens wiersza”.

— Przyjęła krytyczne uwagi i przemyślała je — wspominał później Carroll. — Była bardzo inteligentna. „Czy mogę przeczytać to jeszcze raz?” — zapytała. „Za pierwszym razem było całkiem dobrze” — powiedziałem. Jednak ona chciała spróbować ponownie i tym razem było znacznie lepiej. „Martwię się o moją interpretację” — wyznała. Uspokoilem ją: „Proszę się nie martwić, ma pani bardzo dobry głos. Jest łagodny, ale to nie dlatego. To kwestia frazowania. Myśląc o wierszu, należy myśleć o tym, co on wyraża. Trzeba nadać frazom sens, a to załatwi sprawę interpretacji”.

— „Rozumiem, co ma pan na myśli” — odparła i tak księżna Grace z Monako stała się recytatorką.

Jak można było się spodziewać, cztery wrześnieowe recitale w przepięknej, dwustuletniej St Cecilia's Hall w Edynburgu zgromadziły komplet widzów, a ponadto występ wzbudził uznanie krytyków. Spółgłoski brzmiały jak zawsze dźwięcznie, a głos Grace zdumiewająco młodzieńczo, przy barytonie Richarda Kileya, Amerykanina, oraz miękkiej angielskiej wymowie Richarda Pasco z Royal Shakespeare Company.

— Z początku była bardzo spięta — wspomina Pasco. — Jednak z każdym występem było coraz lepiej. Miło się na to patrzyło. W pewien sposób podciągaliśmy się wzajemnie, jak aktorzy grający na scenie. Wtedy daje się i bierze. Ona miała ten dar podnoszenia na duchu. Tak działała na mnie i myślę, że podniosła na duchu publiczność.

Wydarzeniem wieczoru, jak zgodnie stwierdzono, była recytacja przez Grace wiersza „Dziki brzoskwinie” Elinor Wylie:

Kiedy świat wywraca się na opak, Mówisz, że uciekniemy na Wschodnie Wybrzeże  
Dokąd parostatek z Baltimore nas zabierze; Zamieszkamy wśród dzikich brzoskwiń, z  
daleka od miasta. Będziesz polował na szopy, ja będę piekła ciasta.

— Wybrałem ten wiersz — wspomina John Carroll — ale muszę przyznać, że nie zdawałem sobie sprawy z tego, że Elinor Wylie pochodziła z Południa, aż Grace powiedziała podczas próby: „To taki cudowny wiersz, John. Muszę recytować go z południowym akcentem”. Tak też zrobiła i miała całkowitą rację. Akcent znakomicie podkreślił wymowę utworu.

Recytowane przez Grace, ze śpiewnym akcentem Georgii, „Dziki brzoskwinie” zostały uznane przez redakcję audycji „Wydarzenie roku” rozgłośni BBC za najlepiej recytowany wiersz 1976 roku.

— „No cóż” — rzekł John Carroll. — „Teraz, kiedy pomogłem ci zacząć, czy zechcesz jeszcze ze mną pracować?”

— „Tak, oczywiście” — odparła Grace i przez następne sześć lat regularnie podróżowała, aby wystąpić w recitalach poetyckich. Dublin, Wiedeń, Londyn, Aldeburgh, Stratford-on-Avon, Chichester — Grace zaliczała najważniejsze europejskie festiwale sztuki, a w 1978 roku Amerykańskie Międzynarodowe Forum Poezji zaprosiło ją na objazd Północno-wschodnich miast, który zakończył się burzliwym aplauzem w Princeton i Harvardzie. Kosze róż i bisy sprawiły, że czuła się jak diva operetki, a kiedy następnego dnia przeczytała pochwalne recenzje mogła słusznie uważać, że są zasłużone.

— Wydawało mi się — stwierdza delikatnie John Carroll — że ten sukces przyszedł w chwili, gdy był bardzo potrzebny.



W trakcie podróży Grace spotykała się z Dornhelmem i FitzGeraldem. Widywała stare przyjaciółki, chodziła na zakupy, żyła własnym życiem. Regularnie pracując z takimi aktorami jak Pasco, mogła znów poczuć się jak za dawnych czasów — a ponadto był przy niej trudny i wymagający John Carroll, głuchawy Hitchcock sonetów.

— Chwilą, na jaką zawsze czekałem — wspominał Carroll w 1993 roku — był moment, gdy na scenę wchodziła Grace. Kazałem wygaszać światła i kierować na nią reflektory, a kiedy wylaniała się zza kulis, publiczność zawsze wydawała jęk zachwytu, ponieważ wyglądała tak pięknie... długa suknia, wyprostowana sylwetka, blond włosy starannie upięte. Wszędzie, na całej sali było słycać głośne „aaach”.

Carroll wskrzesił legendę księżnej.

— Miała wspaniałą prezencję — wspomina. — Zawsze nosiła się tak dobrze. To były cudowne chwile...

Najgłośniejsze wydarzenie w recytatorskiej karierze księżnej Grace miało miejsce w marcu 1981 roku, kiedy dawała recital w londyńskiej Goldsmith Hall, w obecności księcia Karola, który właśnie ogłosił swoje zaręczyny i przyprowadził narzeczoną. To był pierwszy publiczny występ lady Diany Spencer, upamiętniony tym, że mało brakowało, aby młoda dama wyskoczyła ze swej mocno wydekoltowanej, czarnej sukni.

— „Dobre wieści — powiedziała konspiracyjnie Grace do Gwen Robyns po chwili spędzonej z „lady Di” w damskiej toalecie. — Ujarzmiła je”.

Podczas późniejszej kolacji w pałacu Buckingham, kiedy przyszła księżna wyznała, jak bardzo peszy ją nagłe zainteresowanie reporterów i fotografów, Grace podzieliła się z nią swoimi doświadczeniami.

— Nie martw się, moja droga — pocieszyła ją księżna Monako. — Będzie gorzej.

W sposobie, w jaki Grace recytowała poezję, nie było cienia pruderii czy pedanterii.

Wiele wierszy mówiło o pięknie przyrody — o pszczołach, ogrodach i jej ukochanych polnych kwiatkach — lecz mocny i zwarty styl Grace odzwierciedlał wieloletnią pracę pod kierunkiem

Sanforda Meisnera. Grace mocno opierała się na uczuciach, wołąc raczej zawierzyć instynktowi, niż opierać się na przemyśleniach. Postępowała wprost przeciwnie niż zmuszona do zachowywania ostrożności księżna, starająca się nikogo nie urazić.

— Pewnego dnia czytała mi wiersz Wallace'a Stevensa — wspomina William Allyn, stary znajomy i kolega z czasów letnich przeglądów. — Wykorzystywała mnie jako audytorium recitalu, jaki właśnie przygotowywała. Wiersz mówił o idealnym pięknie kwiatu i kiedy go recytowała, musiałem odwrócić głowę, ponieważ był taki poruszający. Łzy pojawiły się w oczach Grace i płynęły jej po policzkach. Te uczucia były takie szczerze.

Poważni aktorzy przychodzili na występy Grace i wychodzili pod wrażeniem. Recytacja poezji to ogniowa próba umiejętności aktora. Jednak znacznie trudniej przychodziło Grace wzbudzanie zainteresowania czy podziwu jej własnego męża.

— W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku — wspomina Gwen Robyns — kiedy Grace dopiero co zakończyła objazdowe występy w Ameryce i miała przed sobą jeszcze tuzin czy więcej recitali, napomknęła ze smutkiem, że Rainier nigdy nie zadał sobie trudu, żeby przyjść i posłuchać jej recytacji. Pod koniec roku miała wygłosić w

Londynie odczyt, na którym była królowa-matka. Z tego względu Rainier był tam obecny. Pod koniec odczytu zasnął.

W takich chwilach niezwykle pocieszającą mogła być myśl o młodym adoratorze z sierpem i młotem na klamrze pasa. Jako dziecko Grace prowadziła drugie życie, żeby poradzić sobie z dominującym męskim autorytetem. Teraz zastosowała tę samą taktykę. Niech Rainier śpi. Grace znalazła nowe sposoby potwierdzenia własnej wartości.

Znów zaczęła pracować dla telewizji. Ojciec Patrick Peyton, katolicki Billy Graham, poprosił, aby wzięła udział w jego programach religijnych, więc udała się do Watykanu kręcić wstawki do filmów o Wielkim Piątku, Zmartwychwstaniu i sile modlitwy.

— Miała dar formułowania zdań — wspomina reżyser Barry Chattington. — Wszystko było zrozumiałe. Była wspaniałą profesjonalistką. Pewnego wieczoru, kiedy kręciliśmy do późna, aż do jedenastej w nocy, na głównym dziedzińcu bazyliki Świętego Piotra, powiedziała mi: »Kiedy byłam młoda i piękna, mój kontrakt zawierał klauzulę, że nie będę występować po piątej po południu. Teraz jestem stara i gruba. Co ja tu robię?" „Jesteś piękna i młoda" — powiedziałem. „Tak — odparła — gówno prawda".

— Co powiedziała księżna?

— Że to gówno prawda — powtarza Chattington. — Właśnie tak powiedziała. Świetnie się z nią pracowało. Mam na myśli to, że był0 wesoło, masę żartowaliśmy i w ogóle. Była po prostu naturalnym szczerym, otwartym człowiekiem.

Grace nakręciła z Robertem Dornhelmem swój film o monakijskim klubie ogrodniczym. *Rearranged* („Przekwalifikowany") był lekką farsą typu komedii pomyłek, opartą na scenariuszu Jacqueline Mon-signy, francuskiej pisarki romansów, którą Grace poznała w Paryżu. Pod okiem Dornhelma i jako filmowa przeciwniczka męża Moni-gny — Edwarda Meeksa, Grace po raz pierwszy od dwudziestu pięciu lat pojawiła się na ekranie. Grała samą siebie, księżną Grace z Monako, walczącą z roztargnionym profesorem, który myślał, że przyjechał na konferencję naukową, a skończył jako jej stały rywal na dorocznej wystawie kwiatowej.

*Rearranged* nie było „Złodziejem w hotelu", ale Grace zdominowała akcję. Była ciepła i miła jak przyjazna nauczycielka, opanowana i skupiona na ważnych zadaniach. Spece z amerykańskiej telewizji stwierdzili, że przy odrobinie reklamy film może stać się przebojem nadawanym w najlepszym czasie antenowym.

Największym marzeniem zbliżającej się do pięćdziesiątki Grace był jej własny teatr; niewielki amfiteatr nad portem Monako, tuż poniżej hotelu Hermitage. Przez dwadzieścia lat większą część energii poświęcała dobroczynności i spełnianiu życzeń innych ludzi. Amfiteatr nad zatoką był czymś, co chciała zrobić dla siebie.

— Oprowadziła mnie po nim tuż przed otwarciem — wspomina Bili Allyn. —

Przebudowano jakąś salę konferencyjną, z której zamierzała zrobić idealny teatr. Z dawnych czasów pamiętała niewygodę za kulisami i postarała się, żeby w jej teatrze wszystko wyglądało inaczej.

Dirk Bogarde był jednym ze znanych aktorów zaproszonych na otwarcie w grudniu 1981, jako „ojciec chrzestny" — zgodnie z francuską tradycją.

Teatr kosztował masę forsy i miał zbyt mało miejsc — wspomina — ale był wizytówką, z której mogła być dumna. Siedziałem przy jej stoku, po lewej... Pamiętam, że była bardziej

królewska od naszej królowej. Jednak doskonale się z nią rozmawiało... Uważnie obserwowała męża. Kiedy zauważyła, że jest trochę niespokojny, co było nieuniknione w takim tłumie, mruknęła do mnie: „Ooo... Dodo zaczyna się nudzić”. A kiedy zaczął zdradzać wyraźne oznaki niepokoju, z niezwykle czarem i łatwością zakończyła długą kolację.

W teatrze obok portu Grace zamierzała wystawiać sztuki z udziałem aktorów, którzy byli jej bliscy, działać jako scenograf, reżyser, a może nawet objąć jakieś role. Mogłaby zorganizować festiwal teatralny na Riwierze.

— Powiedziała, żebyśmy przyjechali do Monako i pomogli jej stworzyć silny zespół angielskich aktorów — mówi Richard Pasco.

— Grace wracała do poważnej pracy twórczej — zauważa Rita Gam. — Była tym bardzo podniecona. Ten pomysł stał się czymś większym, głębszym, bardziej absorbującym i, dla niej osobiście, o wiele bardziej zadowalającym. Bez pracy twórczej pozostawała pod wieloma względami nieusatysfakcjonowana. Tymczasem teraz rozpoczynała nowy, ruchliwy i interesujący okres swego życia... Pamiętam, że napisała do mnie o tym list.

Rita Gam otrzymała ten list na początku września 1982 roku. Niecały tydzień później księżna Grace nie żyła.

„Będzie najprościej jeśli sama poprowadzę.

Wiosną 1982 roku, sześć miesięcy przed śmiercią, księżna poleciała z mężem do Nowego Jorku na zaproszenie C. Y. Tunga, chińskiego armatora, który poprosił Grace, aby została matką chrzestną odnowionego USS „Constitution”. Tung przygotował okręt do luksusowych rejsów wokół Hawajów, wkładając wiele trudu w doprowadzenie go do takiego stanu, w jakim był, gdy wioził Grace do Monako na wiosnę 1956 roku. Tung zaprosił również parę, która poznała się na pokładzie „Constitution” i zakochała się w sobie podczas tamtego rejsu — Jacka Seabrooka oraz jego żonę Elizabeth, była reporterką UPI.

Seabrookowie nie widzieli Grace przez dwadzieścia sześć lat. Z fotografii w gazetach Liz Seabrook wiedziała, że Grace bardzo przybrała na wadze, a kiedy ją spotkała, przekonała się dlaczego. Gdy siedziały jedząc i pijąc, Grace machinalnie zjadła całą miskę orzeszków ziemnych.

— „Och, dlaczego ja to robię?” — zachichotała lekko zmieszana.

Liz Seabrook wiedziała, że nadwaga i obżarstwo są częstymi objawami u nieszczęśliwych kobiet, jednak nie stwierdziła niczego takiego u Grace. Wprost przeciwnie, księżna wydawała się niezwykle radosna. Miała dużo zabawy zwiedzając statek, odnajdując kabiny, które zajmowała kiedyś z rodzicami — i była szczególnie miła dla Rainiera. Oboje śmiali się i żartowali ze sobą jak para starych przyjaciół. Jack i Elizabeth Seabrook nie mogli uwierzyć w plotki zapowiadające rozpad małżeństwa Grace. Książę i księżna nie zachowywali się jak młoda zakochani, lecz wyglądali na dobraną i zadowoloną parę.

przemiana małżeństwa Grace z romantycznej miłości, przez roz-i i apatię, do nowego rodzaju tolerancji i przyjaźni, była najlepszą rzeczą, jak zdarzyła jej się w tym okresie.

Książę jak zawsze zdradzał skłonności do arogancji i humorów, ale Grace nauczyła się śmiać z „Dodo”, a Rainier w dobrym humorze potrafił być olśniewający.

Grace trzymała się swego dożywotniego kontraktu. Przysięgła, że utrzyma ten związek i przetrwała najtrudniejsze chwile.

— „Gdybym mogła — wyznała kiedyś Micheline Swift — rozwiodłabym się z nim. Ale nie mam wyboru. Zatrzymałby moje dzieci”.

Grace nawiązywała do rodzinnego prawa Grimaldich i do intercyzy gwarantującej mężowi opiekę nad dziećmi w wypadku rozwodu. Jednak sprawa była znacznie bardziej skomplikowana. Grace nie tyle trzymała się dogmatów katolickiej wiary, ile nie miała najmniejszego zamiaru zrezygnować z roli księżnej. Od czasu do czasu mogła bawić się taką myślą, lecz rozwodząc się z Rainierem i porzucając Monako, przekreśliłaby swoje życie. Przyznałaby się do niewiarygodnej kłębki, a na to wcale nie miała ochoty.

Recytowanie poezji, wielostronne zainteresowania i skrywane romanse z młodszymi mężczyznami pozwoliły Grace wymknąć się z klatki, a jednocześnie zachować wszystkie przywileje związane z pozostawaniem w środku. Utrzymanie małżeństwa zapewniało liczne korzyści, a kiedy robiło się nieprzyjemnie, to Grace nie na darmo była aktorką. Na bazie takich luźnych i partnerskich stosunków Grace i Rainier stali się najlepszymi przyjaciółmi. W końcu wspólnie przeżyli przygodę, jaką uczynili ze swojego życia.

Stworzyli coś, co świat często podziwiał i w co wierzył, a kiedy spojrzeć na to z boku, oboje liczyli się tylko jako para. Nadal dzielili łóżko — w pałacu i w Roc Agel — ogromne i zachęcające, pod zawieszonym na ścianie krzyżem. Zarówno z wielkoduszności jak i z egoizmu, oboje zaakceptowali swoje różne, lecz nie całkiem odrębne ścieżki życia.

— On zawsze był bardzo tolerancyjny — wspomina Robert Dorn-helm. — Pamiętam, że dość często jadaliśmy kolacje razem, we troje.

W kwietniu 1981 roku Grace i Rainier obchodzili dwudziestą piątą rocznicę ślubu, którą uczcili uroczystym obiadem z dziećmi i najbliższymi przyjaciółmi. Albert wzniósł toast, to samo uczynili Cary Grant i Frank Sinatra, a potem podniósł się Rainier i pozwolił dojść do głosu swojej lepszej stronie natury. W statecznym, lekko napuszonym stylu publicznych przemówień wzniósł toast za zdrowie Grace i powiedział jej, ile znaczy dla niego oraz dla ich trojga dzieci. Wszyscy obecni wzruszyli się do łez.

Pod koniec sierpnia 1982, razem z dwójką starszych dzieci, popłynęli do Norwegii. Przekroczyli krąg polarny, żeglowali po tych samych wodach, po jakich pływał śmiały dziad Rainiera — oceanograf Albert. Tego lata Grace narzekała na migreny — w nietypowy dla niej sposób odwołała kilka przyjęć — a podczas podróży te bóle się nasiliły. Jednak to nie powstrzymało jej od zorganizowania na statku codziennej gimnastyki i balów przebierańców.

Stefania nie przyłączała się do zabaw. Mając zaledwie siedemnaście lat, zakochała się w Paulu Belmondo, dziewiętnastoletnim synu Jean–Paula Belmondo, i chciała spędzić z nim wakacje. Grace nie pozwoliłaby na to Karolinie, kiedy ta była w tym wieku, lecz historia z Junotem zmieniła jej sposób myślenia. Po namyśle pozwoliła Stefanii pojechać z młodym Belmondo do Antiguy. „To moja dzikuska” — zwykła mówić z uśmiechem. Dlaczego jej córka nie miałyby mieć trochę frajdy? Sama Grace planowała, że jesienią

znajdzie sobie apartament, w którym mogłaby zatrzymać się podczas wizyt na Manhattanie, niedaleko od miejsca, gdzie mieszkał Jeffery FitzGerald.

Tolerancja Grace wobec Stefanii przyniosła efekty przeciwne do zamierzonych. Wróciwszy w piątek, 10 sierpnia, z Antiguy, młodsza córka uznała, że może teraz widywać Paula Belmondo częściej niż kiedykolwiek. Dziś jest modne rozprawianie o rodzicach, którzy źle traktują swoje dzieci, lecz w przypadku młodszej córki Grace należy przypuszczać, że było wprost przeciwnie.

W następnym poniedziałek Stefania miała wyjechać do Paryża. Ukończywszy, z pewnymi kłopotami, szkołę średnią, została przyjęta do Instytutu Modniarstwa w Paryżu, prestiżowej placówki, do której niezwykle trudno było się dostać. Stefanię przyjęto ze względu na jej nazwisko i starania matki. Jednak po powrocie z Antiguy, pięć dni przed rozpoczęciem studiów w Paryżu, Stefania oznajmiła, że przestała interesować się modą. Paul Belmondo zamierzał wstąpić do szkoły kierowców wyścigowych i właśnie tego pragnęła teraz Stefania — być z Paulem i uczyć się prowadzić wozy wyścigowe. Grace nie mogła w to uwierzyć. Jej własne dziecko posunęło się za daleko. Od najmłodszych lat Stefania była przepychana ze szkoły do szkoły, posłusznie przenoszona do bardziej liberalnej, katolickiej placówki edukacyjnej, gdyż narzekała na surowość zakonnic, a potem — kiedy nawet tam było jej źle — do prywatnej, świeckiej. Teraz w ten sam sposób zamierzała przenieść się do szkółki kierowców w wyścigowych. Jednak tym razem jej matka miała dość. To było coś, na co Grace absolutnie nie miała zamiaru przystać.

Robert Dornhelm przebywał w Roc Angel w czasie tych kłótni. Grace była umęczona. Przez całe lato zadreślała się sytuacją, jaką w listach do przyjaciół określała sprawą S. i P. Tak usilnie próbowała nie być apodyktyczna, unikając popełnienia wobec Stefanii błędu, jaki popełniła w przypadku Karoliny, gdy ta zakochała się w Junocie. Najwidoczniej obie córki Grace odziedziczyły jej skłonność do zatracania się w miłości do mężczyzny, jednak w przeciwieństwie do Grace żadna z nich nie była skłonna ugiać się przed autorytetem rodziców. Ponura i uparta Stefania była równie zdecydowana uciec z Belmondo, jak Grace do tego nie dopuścić.

Dornhelm z zadowoleniem opuścił dom, gdzie panowała tak napięta atmosfera. Wyjechał z Roc Agel w niedzielę, 12 września, uzgodniwszy z Grace, że w następnym tygodniu spotkają się w Paryżu. Amerykańska sieć telewizyjna wyraziła zainteresowanie godzinną wersją *Rearranged*, co wymagałoby nakręcenia dodatkowych scen. Grace i reżyser mieli porozmawiać o tym, kiedy Grace załatwi sprawę z córką. Na 13 września Grace miała w planie zawieźć córkę na dół, do Monako, potem do Paryża i do instytutu mody. Rozmawiając w tę niedzielę późnym wieczorem z Gwen Robyns, Grace narzekała, że znów cierpi na migreny.

Poniedziałek, 13 września 1982 był jasny i pogodny. Idealny, słoneczny dzień lata w południowej Francji. Zjeżdżając ze Stefanią drogą wśród cyprysów i sosen — obok tego miejsca, gdzie była na pikniku z Carym Grantem podczas kręcenia „Złodzieja w hotelu” — Grace widziała w dole jachty zakotwiczone w porcie Monako i mgłą spowijającą wybrzeże Riwiery.

Rainiera odwieziono do Monako godzinę czy dwie wcześniej. Musiał załatwić swoje cotygodniowe sprawy w biurze. Szofer Grace stał przy samochodzie, gotowy zwieźć na dół księżną z córką, lecz Grace powielala, że będzie prościej, jeśli sama zawiezie Stefanię do Monako, 1 tak też zrobiła. Na tylnym siedzeniu rovera położyła stertę sukienek na wieszakach, wyjaśniając, że nie chce, żeby się pogniotły.

Szofer później przypomniał sobie, że protestował. „Ubrania to nie problem” — powiedział. Może przecież po nie wrócić albo wysłać je innym samochodem. Jednak Grace upierała się, że to zbyt wielki kłopot.

— Będzie prościej, jeśli sama poprowadzę — stwierdziła.

Grace miała jeszcze coś do powiedzenia Stefanii, kilka rzeczy między matką a córką, jakie należało powiedzieć w cztery oczy. To zaprzętało bez reszty jej uwagę. Walczyła cały weekend, a bitwie daleko było jeszcze do końca. Grace była okropnie zdenerwowana. Kiedy tamtego poniedziałkowego ranka wsiadała do samochodu, najważniejszą sprawą była dla niej rozmowa z córką... na pewno ważniejszą od tego, że nienawidziła zjeżdżać tą szosą. Grace wiedziała, że jest kiepskim kierowcą. Po tym, jak kilka lat wcześniej wjechała w bok innego wozu, postanowiła, że już nigdy nie usiądzie za kierownicą. Jednak zapomniała o tym postanowieniu, tak samo jak o innych, szczególnie dotyczących przestrzegania diety. I tak po około dziesięciu minutach jechała krętą CD 37 wiodącą z wioski La Turbie. Wyłączyła radio. Miały ze Stefanią ważne sprawy do omówienia.

Dwudziestokilkuletni Yves Phily, zawodowy kierowca ciężarówek, dogonił brązowego rovera, gdy ten pokonywał ostatnie zakręty przed zabudowanym terenem przedmieść miasteczka Cap d'Ail. Monako znajdowało się jakieś dwa kilometry dalej. Te ostatnie zakręty były najostrejsze i chociaż jego ciężarówka nie wiozła ładunku, Phily włączył niższy bieg, hamując silnikiem.

Dojeżdżając do zakrętu obok toru wyścigowego miniaturowych samochodów, rover zwolnił. Tutaj miejscowi entuzjaści sportu samochodowego przeprowadzali zawody swoich zdalnie sterowanych modeli. Rover gładko pokonał skręt w lewo i pojechał dalej... aż nagle, po przebyciu około pięciuset metrów, zaczął zarzucać na boki. Wóz zjechał ze środka na lewą stronę drogi, zawadzając bokiem o skalną ścianę. Gdyby Phily zobaczył coś takiego w nocy, uznałby, że kierowca zasnął lub za dużo wypił. O dziesiątej rano pomyślał, że osoba prowadząca pojazd musi być chora — zasłabła lub chwyciły ją bóle. Nacisnął klakson i rover wyrównał. Z wysokości kabiny ciężarówki Phily widział tylko dach wozu. Nie mógł dojrzeć, kto siedzi za kierownicą. Tymczasem rover, który jechał już prosto i stosunkowo równo, dotarł do następnego zakrętu i osiągnął punkt, w jakim należało oczekiwać rozbłysku świateł hamowania; zamiast tego przyspieszył, p<sup>o</sup> czym z przerażającą szybkością — siedemdziesięciu lub osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, jak ocenił później kierowca ciężarówki — wystrzelił do przodu i zamiast pokonać zakręt w prawo, pojechał przed siebie.

— Gdy zobaczyłem, jak przyspiesza — powiedział następnego dnia Phily — wiedziałem, że nie pokona zakrętu. Jechał za szybko. Samochód runął w przepaść. Dosłownie widziałem, jak leci w powietrzu.

W miejscu, gdzie księżna Grace zjechała z szosy CD 37, dziś stoją widoczne z daleka znaki ostrzegawcze i bariera przeciwuderzeniowa. Jednak we wrześniu 1982 roku nic nie zapobiegało wypadnięciu wozu z szosy i stoczeniu się w przepaść. Po lewej stronie drogi stał znak z niepozorną, pojedynczą strzałką ostrzegającą przed zakrętem, a na wprost ziała przepaść, w którą ludzie rzucali śmieci.

Rover spadł z wysokości blisko czterdziestu pięciu metrów. W dole zbocza rósł las; lecący samochód ściał wierzchołek drzewa — później policja znalazła świeżo połamane gałęzie — po czym zaczął opadać na ziemię. Trzydzieści metrów niżej uderzył w pień innego drzewa i spadł do góry kołami na stertę głazów, wgniatając drzwi od strony pasażera i dach. Z hałasem przetoczył się jeszcze kilka razy, aż w końcu znieruchomiał na dachu z maską opartą o ziemię.

Kapitan Roger Bencze prowadził śledztwo w sprawie narkotyków i akurat był w drodze na północ, kiedy otrzymał przez radio wiadomość. Trzydziestopięcioletni Bencze był komendantem żandarmerii w Menton, mającym pod swą pieczę francuskie miasteczka i wsie wokół Monako. Bencze był też łącznikiem między francuską policją a siłami porządkowymi Monako, dlatego kwatera główna powiadomiła go drogą radiową.

Żandarm Frederic Mouniama zameldował, że w zwykły wypadek drogowy zamieszane są dwie nadzwyczajne osobistości. Lepiej żeby kapitan pospieszył tam osobiście.

Bencze dotarł na miejsce o trzeciej trzydzieści — prawie trzydzieści pięć minut po fakcie i pięć minut po księciu Rainierze. Fakt, że Rainier Przyjechał na miejsce wypadku, nie został wówczas podany do publicznej wiadomości i dotychczas nie był znany. Policja Monako rutynowo monitoruje pasma radiowe swoich francuskich kolegów, więc po usłyszeniu komunikatu żandarma Mouniama, połączono się z pałacem. Kawalkadą aut jadących na włączonym sygnale i migających światłami

Rainier ruszył nadbrzeżną drogą do Cap d'Ail wraz ze swoim osobistym sekretarzem, dowódcą gwardii pałacowej i szefem monakijskiej policji. Przybyli w samą porę, aby zobaczyć, jak straż pożarna ładuje Grace do karetki i zabiera do szpitala, który nosił jej imię. Znajdująca się w szoku, posiniaczona i wciąż histerycznie szlochająca Stefania również została tam odwieziona.

Reporterzy prasowi sugerowali wówczas, że było coś dziwnego w tym, że Grace i Stefanię tak szybko przewieziono do Monako po wypadku, który miał miejsce na francuskiej ziemi, lecz tak samo postąpiono by z każdym innym poszkodowanym.

Umowy zawarte między Francją a Monako nakazywały, aby wszystkie ofiary wymagające hospitalizacji, niezależnie od terytorium czy narodowości, przewożono do najbliższego szpitala, a placówką służby zdrowia leżącą najbliżej Cap d'Ail był Szpital Księżnej Grace w Monako.

Bencze nie umiał powiedzieć, w jakim stanie była Grace. Kiedy wysiadł z wozu, ją już odnoszono do karetki — nieruchome ciało leżące na noszach. Kapitan policji, wysoki, chudy człowiek, który pasowałby do roli detektywa w „Ściganym” (The Fugitive), był zajęty szukaniem przyczyn wypadku. Zaczął od przesłuchiwania ludzi, którzy pierwsi znaleźli Grace i wezwali pomoc. Jacques Provence i jego żona Josette pili kawę z Jeanem-Claudem Corneveau, przyjacielem, który się u nich zatrzymał, kiedy usłyszeli łoskot spadającego po zboczu rovera. Natychmiast wybiegli do ogrodu, gdzie przyłączył

się do nich sąsiad, Michel Pierre. Pierre podważył łomem jedyne drzwi samochodu, które pozostały nie zgniecione — przednie drzwi po stronie kierowcy. Stefania chwiejnie wyszła z wozu i podczas gdy madame Provence uspokajała ją i wzywała policję, Jacques Provence i Corneveau lali wodę na silnik, żeby zgasić kilka zauważonych płomyków.

W tym momencie na miejscu wydarzeń pojawiła się gospodyni Provence'ów. Sesto Lequio był kwiaciarzem włoskiego pochodzenia, sześć-dziesięciodwuletnim, pulchnym, źle ogolonym i lubiącym sensacyjne opowieści mężczyzną. Kiedy mniej więcej w porze lunchu reporterzy dotarli na miejsce wypadku, pana i pani Provence nie było już w zasięgu wzroku. Opowiedzieli policji wszystko, co widzieli, ale od prasy woleli trzymać się z dala. Jacques Provence był kierownikiem w hotelu Loew w Monte Carlo. Miał przyjaciół w pałacu i nie chciał, żeby jego imię pojawiło się we wszystkich gazetach. Sesto Lequio nie miał takich obiekcji. Kiedy reporterzy znaleźli go pielącego w ogródku, z największą ochotą opowiedział im swoją historię, a przy tym zarobił parę groszy. Przez całe popołudnie sprzedawał prasie wywiady, aż zawarł korzystny kontrakt dający wyłączność miejscowemu przedstawicielowi National Enquirer.

Wiele z tego, co powiedział Lequio, nie zostało potwierdzone przez innych świadków. Zeznawał, że swoją gaśnicą ugasił pożar silnika rovera, chociaż Provence, Corneveau i Michel Pierre mówili, że oprócz kilku iskieł nie zauważyli śladu ognia. Kiedy rzeczoznawca policyjny dokonał po południu oględzin rovera, nie znalazł śladu piany ani chemikaliów gaszących. Lequio podawał się również za zbawcę księżniczki Stefanii (wyniosłem Stefanię na rękach), chociaż wszyscy twierdzili, że o własnych siłach wyszła z samochodu, kiedy wyłamano drzwi. Jednak największym popisem inwencji kwiaciarza było stwierdzenie, które następnego dnia znalazło się we wszystkich gazetach i po dziś dzień rzuca cień na śmierć Grace, mianowicie, że samochód prowadziła nie księżna, lecz jej siedemnastoletnia córka — co było naruszeniem prawa. We Francji trzeba mieć osiemnaście lat, żeby otrzymać prawo jazdy.

Kiedy następnego dnia rano pojawiły się w gazetach pierwsze doniesienia, kapitan Bencze dokonał już wstępnych ustaleń. W oparciu o zeznania Yves'a Phily'ego, małżeństwa Provence i samego Sesto Lequio — który w zaprzysiężonym zeznaniu dla policji nie wspomniał o swoich teoriach — Bencze stwierdził, że Grace straciła panowanie nad kierownicą w wyniku choroby lub nagłej utraty koncentracji, przy czym półprzytomna, zapewne usiłując zahamować, nadepnęła na pedał gazu.

Sesto Lequio jako świadek nie wzbudził zachwytu Bencze'a. Kwiatciarz nie tylko nie potrafił przeczytać, ale nawet podpisać swego zeznania — musiał umieścić pod nim krzyżyk. Niektóre z jego stwierdzeń były czystym wymysłem.

— Słyszałem, jak księżna Grace mówiła — oświadczył Jamesowi Whitakerowi z Daily Mirror — „chcę, żeby uwierzyli, że to ja prowadziłam samochód” — chociaż wszyscy świadkowie, włącznie z żandarmami, którzy pierwsi przybyli na miejsce wypadku, zgodnie twierdzili, że Grace była przez cały czas nieprzytomna i nie mogła niczego powiedzieć. Jedynym dowodem potwierdzającym teorię Lequio i przesłanką jego tezy, że



to Stefania siedziała za kierownicą, był fakt, iż księżniczka wyszła przez drzwi od strony kierowcy — a były to jedyne drzwi, przez które mogła wydostać się z rozbitego wozu. Z tego powodu Bencze uważał, że musi zbadać ten zarzut. Odpowiadał przed prokuratorem generalnym w Nicei, który — jak wszyscy prokuratorzy okręgowi — musiał dbać o opinię publiczną. Zdjęcie odcisków palców z kierownicy nie wniosło nic nowego. — Z kierownicami zawsze tak jest — mówi Bencze. — Są tam setki odcisków. Analiza czasowa sporządzona od momentu gdy Fred Mouniama w La Turbie widział Grace za kierownicą o 9.45 do chwili katastrofy — zegar rovera stanął o 9.54 — ujawniła, że jeśli Grace rzeczywiście zatrzymała samochód i zamieniła się miejscami z córką, musiała to zrobić bardzo szybko. Wioskę od miejsca katastrofy dzieliło dwa i pół kilometra wąskiej, krętej drogi. Z tego, co Bencze wiedział o Grace, nie wydawało mu się prawdopodobne, żeby świadomie złamała francuskie prawo, ale mogła źle się poczuć i poprosić córkę, żeby zastąpiła ją na ostatnim odcinku drogi. Dlatego Bencze wraz z kolegami przejechał wolno drogą z La Turbie, szukając miejsca, gdzie można by zatrzymać pojazd. Stając na drodze, Grace zablokowałyby ruch i zwróciła uwagę przejeżdżających kierowców. Jedynym miejscem, jakie wchodziło w rachubę, był przedostatni zakręt przed torem wyścigowym modeli samochodowych. Zrobiono tam zwirowe pobocze, gdzie samochody mogły przystanąć i zaparkować. Yves Phily, kierowca ciężarówki, zeznał, że w tym miejscu jechał już za brązowym roverem, jednak aby się upewnić, Bencze poprosił go, żeby jeszcze raz przejechał z nim po CD 37. Kierowca ciężarówki nie miał żadnych wątpliwości. Potwierdził, że jechał za roverem już przed tym ostatnim zakrętem, a wóz gładko i bez próby hamowania wypadł z drogi. Księżna nie miała okazji oddać kierownicy. Bencze sporządził odpowiedni raport dla Nicei i podał te same informacje reporterom, którzy zadali sobie trud odszukania go. Jednak nikt nie był specjalnie zainteresowany. Wersja, że to Stefania prowadziła samochód, już stała się popularnym wyjaśnieniem wypadku, który wielu ludziom wydawał się niepokojący. Jeśli nawet księżna Grace mogła bez żadnego powodu zabić się pewnego słonecznego dnia, to samo mogło przytrafić się każdemu. Rzeczywistość, jaką była Grace zmiażdżona i połamana na kamienistym zboczu, nie zgadzała się z wyobrażeniem, że księżne są po to, żeby je uwielbiać. Takie domysły nie szerzyłyby się, gdyby — wtedy lub kiedykolwiek później — Stefania czy jej ojciec lub któryś z ich rzeczników podał do publicznej wiadomości jasne i przekonujące wyjaśnienie tego, co naprawdę zaszło w samochodzie. Rainier powiedział kiedyś, że Stefania próbowała pociągnąć za hamulec ręczny, lecz raport policyjny kategorycznie stwierdza, że hamulec bezpieczeństwa nie był używany. Niektórzy najbliżsi przyjaciele rodziny są całkowicie przekonani, że Stefania i jej matka kłóciły się zjeżdżając drogą, jednak nikt nie mówi o tym głośno, ponieważ gdyby okazało się to prawdą, oznaczałoby, że kłótnia z córką była pośrednią przyczyną śmierci Grace. Oświadczenia pałacowego biura prasowego w tych tragicznych dniach jedynie pogłębiały wątpliwości. Pierwszy komunikat, podany zaraz po południu, w poniedziałek 13 września, stwierdza kategorycznie, że przyczyną wypadku była awaria hamulców. Zadzwoniono z pałacu do Rogera Bencze'a, domagając się, żeby oficjalnie potwierdził tę wersję.

Francuz odmówił. Nie znalazł niczego, co wskazywałoby na awarię hamulców, a oględziny wozu dokonane przez ekspertów o czwartej trzydzieści po południu — które ujawniły między innymi, że żadna z pasażerek nie miała zapiętego pasa — nie stwierdziły usterek układu hamulcowego ani świateł hamowania. Kilka dni później firma Rover przysłała dwóch inżynierów, którzy jeszcze dokładniej zbadali wrak samochodu. Doszli do identycznego wniosku i w trosce o swoją reputację firma nalegała, aby pałac formalnie wycofał zarzut awarii hamulców, jaki padł również w oświadczeniu z 20 września.

Gdyby wypadek dotyczył kogokolwiek innego, Francuza czy Mo-nakijczyka, francuska żandarmeria mogłaby przesłuchać ocalałego pasażera i dowiedzieć się, co zaszło.

Rutynowo zbadaliby krew Grace na zawartość alkoholu, narkotyków czy leków, a po śmierci wykonano by sekcję zwłok i analizę treści żołądka.

Jednak około szóstej po południu w dniu katastrofy wszystkie te możliwości zamknęły się przed Rogerem Bencze. Na komisariat policji w La Turbie, który kapitan na czas dochodzenia uczynił swoją kwaterą główną, dostarczono odręczną notę szefa monakijskiej policji. Pismo zwracało uwagę na zawartą przez Francję i Monako umowę nie pozwalającą oficerom francuskiej policji przesłuchiwać czy rewidować członków książęcej rodziny, a do noty dołączono fotokopię odpowiednich paragrafów traktatu. Bencze nie mógł przesłuchać żadnej z pasażerek auta.

Sprawa nie musiała się na tym zakończyć. W wypadku gdy ktoś z Grimaldich zostanie zamieszany w poważne przestępstwo popełnione na francuskiej ziemi — jako świadek czy podejrzany — można wystąpić z wnioskiem o ekstradycję, więc w ów poniedziałkowy wieczór Bencze spróbował tej procedury. Skontaktował się z prokuratorem generalnym w Nicei, który z kolei porozumiał się z francuskim Ministerstwem Spraw Zagranicznych w Paryżu. W odpowiedzi usłyszeli, że ekstradycja, oczywiście, zawsze wchodzi w grę, jednak można jej zażądać tylko wtedy, jeśli Bencze uważa, że ma po temu poważne podstawy.

Kapitan Bencze uznał, że ich nie ma. We wtorek po południu, 14 września, był całkowicie przekonany, że Stefania nie prowadziła samochodu, co mogłoby być jedynym powodem do podjęcia kroków prawnych. Dziewczyna i jej matka mogły klócić się lub nie, ale francuskie prawo nie uważało, by ten fakt — tak samo jak choroba — miał wpływ na błąd kierowcy, który, jak uznał detektyw, był najbardziej prawdopodobną przyczyną wypadku. Ostatnią możliwością był sabotaż. Twierdziły tak kilka lat później niektóre z tych samych gazet, które uwierzyły w twierdzenia Sesto Lequio. Stworzono scenariusz, według którego Grace usiłowała, w bliżej niesprecyzowany sposób oczyścić księstwo z przestępczego elementu, a ten zemścił się i popsuł hamulce lub układ kierowniczy jej samochodu. Podobnie jak wszystkie teorie o mafii, ta również miała tę zaletę, że nie potrzebowała dowodów. Istotnie, sam brak dowodów miał być dowodem, że to mafia wykonała tę brudną robotę.

W dniu wypadku Roger Bencze specjalnie szukał śladów sabotażu. To było jego głównym celem podczas przeprowadzanej przez mechaników sekcji rozbitego rovera, jaką nadzorował o czwartej trzydzieści tamtego popołudnia. Prokurator generalny osobiście przyjechał z Nicei, a dochodzenie prowadził Noel Anton, zawodowo

dokonujący analizy wszystkich lokalnych wypadków na potrzeby towarzystw ubezpieczeniowych i żandarmerii z Menton.

Napisany na niebiesko-białym, policyjnym formularzu raport precyzyjnie wylicza smutne szczegóły katastrofy, która spowodowała przedwczesną śmierć księżnej Grace: „Rover 3500, rocznik 1972. Numery rejestracyjne: 6359 MC. Firma ubezpieczeniowa: UAP (największe towarzystwo ubezpieczeniowe we Francji). Polisa: pełny zakres..-Przednia szyba: zbita. Tylne szyby: zbite. Klucz w stacyjce: złamany-Opony: dobry stan wszystkich powierzchni, wszystkie całe. Hamulec ręczny: sprawny, nie użyty. Automatyczna skrzynia biegów: ustawiona

na »jazda«. Licznik: 25 540 kilometrów. Radio: wyłączone. Kierownica: skręcona, brak kontroli. Układ hamulcowy: uszkodzony”.

— Inżynier szczególnie dokładnie zbadał dwa ostatnie układy — wyjaśnia Bencze. — Hamulce i układ kierowniczy zostały mocno zniszczone podczas wypadku, ale nie nosiły śladów celowych uszkodzeń. Żadnych przeciętych linek czy sztucznie poluzowanych połączeń. Było widać, że warsztat księcia utrzymywał samochód w bardzo dobrym stanie technicznym.

Kiedy z Anglii przybyli inżynierowie Rovera, żeby również dokonać oględzin pojazdu, także szukali śladów sabotażu. Może nie byłoby to pożądane odkrycie, ale pomogłoby rozwiązać podejrzenia wobec ich macierzystej firmy. Stwierdzili, że nie znaleźli niczego, co przemawiałoby za taką możliwością.

Chyba najsmutniejszym stwierdzeniem raportu z katastrofy rovera był punkt dotyczący automatycznej skrzyni biegów, wykazujący, że Grace jechała z dźwignią ustawioną w trybie „standard”, a nie ustawiła jej w specjalnej pozycji czy w trybie „góry”, umożliwiających hamowanie silnikiem. Ten niski bieg przeznaczony do pokonywania krętych wzniesień, takich jak droga koło La Turbie, znacząco spowolniłby szybkość samochodu. Jednak Grace, jako niedoświadczony i słaby kierowca, najwidoczniej nie zauważyła ustawienia „góry” — a jeśli nawet, to nie zastanowiła się nad jego znaczeniem.

Przebieg ostatnich kilku godzin życia Grace staje się zdecydowanie mniej klarowny od chwili, gdy została przewieziona przez granicę Francji do Monako. Wykonawszy wszystkie niezbędne pomiary na miejscu wypadku, Roger Bencze pojechał o dwudziestą dwadzieścia do Szpitala Księżnej Grace, gdzie lekarz zapoznał go z wstępną diagnozą. Księżniczka Stefania, powiedział, odniosła jedynie powierzchowne obrażenia i była trochę pokaleczona. Stan księżnej Grace nie okazał się tak dobry. Doznała złamania kości udowej. Miała również strzaskane kolano, złamaną rękę, ogólne potłuczenia i nieokreślone obrażenia głowy, które lekarz określił mianem urazów czaszki. Bencze umieścił te szczegóły w swoim raporcie, ale kiedy późną nocą wrócił do szpitala po dalsze informacje, zatrzymała go służba bezpieczeństwa i kazała pozostać w samochodzie. Jakiś urzędnik — nie lekarz — przyszedł i oznajmił mu, że nie ma dla niego żadnych

wiadomości. Bencze, który nosił mundur francuskiego kapitana, po» wtórzył, o co mu chodzi, ale napotkał nieprzebrany mur milczenia „Przykro mi, sir — mówił młody urzędnik. — Nie uzyska pan żadnych informacji. Kropka”. Zaraz potem francuski detektyw wrócił

do La Turbie i znalazł list z Monako, przypominający mu, że nie może przesłuchiwać czy rewidować członków książęcej rodziny.

Nieprzyjemnym wytłumaczeniem tego nagłego opuszczenia kurtyny była próba ukrycia przez Rainiera czegoś, co wydarzyło się w samochodzie między Stefanią a Grace. Jednak równie prawdopodobne jest to, że książę po prostu wpadł w panikę. Rainier nagle stał się jednym z aktorów tragedii. Nie chciał podejmować żadnych decyzji. W ciągu kilku dni po wypadku jego biuro prasowe z niezwykłą szczerością przyznawało, że książę jest po prostu zagubiony. Nawet w najprostszycy sprawach nie można uzyskać od niego żadnych odpowiedzi. Rainier pogrążył się w żalu i nie uważał za stosowne odpowiadać choćby na część pytań stawianych jemu i jego personelowi.

Stan Grace, jak się okazało, był bardzo poważny. Kiedy około jedenastej rano przywieziono ją na salę operacyjną, naczelný chirurg szpitala, profesor Charles Louis Chatelin, zaświecił jej lampką w oczy. Jedna źrenica prawidłowo zwężyła się i rozszerzyła, ale druga nie zareagowała. To wskazywało na coś poważniejszego niż zwykła utrata przytomności. Taki brak odruchu świadczył o uszkodzeniu mózgu i Chatelin natychmiast wezwał z Nicei profesora Jeana Duplaya, który w tamtejszym szpitalu imienia Pasteura był ordynatorem oddziału neurochirurgii.

W większości zachodnich szpitali rutynowym postępowaniem w przypadku pacjenta z podejrzeniem urazu mózgu jest jak najszybsze przeprowadzenie badań metodą rentgenowskiej tomografii komputerowej. Jednak kiedy Duplay, światowej sławy neurochirurg, przybył do Monako, odkrył, że Szpital Księżnej Grace nie posiada tomografu komputerowego. Stwierdził również, że księżna znajduje się pod wpływem gamma O.H., francuskiego narkotyku podanego jej przez monakijskich lekarzy przed podłączeniem do respiratora. Ten środek zmniejszał ryzyko zadania bólu przy wprowadzaniu zgłębnika do tchawicy i umożliwiał zabiegi na innych częściach jej ciała — szczególnie na klatce piersiowej, którą trzeba było otworzyć, aby usunąć powietrze i krew. Jednak narkotyk mógł jedynie pogłębić omdlenie Grace, co oznaczało, że nie można przeprowadzić żadnych badań aktywności mózgu, dopóki nie ustąpi działanie leku.

Dochodziła północ, dwanaście godzin po wypadku, zanim Grace zbadano na jedynym w Monako tomografie komputerowym. Znajdował się on w klinice na drugim końcu miasta, prowadzącej badania dla wielu monakijskich lekarzy. Testy ciążowe, analizy krwi, zdjęcia rentgenowskie — mieszkańcy Monako często odwiedzali tę klinikę mieszczącą się na górnych piętrach budynku. Problem w tym, że szpitalna winda miała otwartą, podobną do klatki kabinę, w której mieściły się na stojąco najwyżej dwie lub trzy osoby. Dlatego w celu przeprowadzenia tomografii komputerowej nieprzytomną księżną Grace, podłączoną do ręcznie poruszanego aparatu tlenowego i kroplówek, musiano wtaszczyć na noszach po schodach, a potem znów znieść na dół.

Prześwietlenie ujawniło dwa wyraźne miejsca uszkodzeń. Jedno znajdowało się głęboko w mózgu i wskazywało, jak oświadczyli lekarze, że Grace miała wylew. Drugie było w przedniej części mózgowia i miało charakter urazowy, co wskazywało, że było wynikiem mechanicznego

uszkodzenia.

Wylew nie był rozległy, powiedział później doktor Duplay, a doktor Chatelin stwierdził, że gdyby udar nastąpił w domu, księżna zapewne na chwilę straciłaby przytomność i musiałaby odpocząć. Tymczasem — jak orzekli obaj lekarze — wylew spowodował, że księżna zjechała z drogi i doznała wtórnych, poważnych urazów głowy.

To była budząca zaufanie i istotnie najbardziej wiarygodna teoria. Zgadza się z faktami ustalonymi przez policyjne śledztwo oraz z migrenami, na jakie Grace uskarżała się przez całe lato. Wylewy często zdarzały się w rodzinie Kellych. W 1975 Ma Kelly przeżyła atak, który pozostawił ją niesprawną umysłowo, a Kell miał umrzeć na atak serca podczas joggingu, w marcu 1985 roku w wieku pięćdziesięciu siedmiu lat.

Propagująca dietę Grace zawsze zapominała o rozwadze, kiedy chodziło o tłuste dania, zatykając sobie arterie hamburgerami i kaszanką, na początku zaś lat osiemdziesiątych rola cholesterolu w powodowaniu wylewów i ataków serca była jeszcze słabo poznana. Jednak inni lekarze badający dane udostępnione przez Chatelina i Duplaya nie mogli zrozumieć, dlaczego obaj francuscy lekarze upierali się przy tym, że wylew nastąpił przed obrażeniami głowy. Pytani, obaj fanatycznie bronili tezy, że do wylewu doszło przed urazem, chociaż żadne wyniki badań nie uzasadniały takiego głębokiego przekonania.

Tomografia komputerowa może dać dobry obraz skrzepów w korze mózgowej, ciemniejszych na zdjęciach niż woda i inne tkanki. Jednak nie pozwalała — i nadal nie pozwala — jednoznacznie stwierdzić, czy wylew Grace miał miejsce tuż przed lub już po uderzeniu w głowę. Lekarze wydali oświadczenie w chwili zamieszania wywołanego oskarżeniami Sesto Lequio, co zdaje się tłumaczyć ich zdecydowanie. — Z całą pewnością to księżna Grace prowadziła samochód — upierał się Duplay w trakcie wywiadu dla Radia Luksemburg. \*

Teza o wylewie przed urazem umacniała teorię, że to Grace siedziała za kierownicą, podczas gdy wersja o urazie przed wylewem dopuszczała możliwość, że samochód prowadziła Stefania, która wjechała z matką w przepaść.

Jednak boleśniejsze pytania wyłoniły się w toku następných wydarzeń. We wtorek, 14 września 1982 roku, niecałe dwadzieścia cztery godziny po wypadku, doktor Chatelin spotkał się przed izolatką Grace z księciem Rainierem, Karoliną i Albertem. Pokazał im wyniki badań tomograficznych i poinformował, że stan Grace się pogorszył, po czym oświadczył, że już nie jest w stanie pomóc księżnej. Nie ma sensu, powiedział, sztucznie podtrzymywać agonii.

Rainier, Karolina i Albert po naradzie zaakceptowali orzeczenie lekarza. Weszli do pokoju Grace, żeby się z nią pożegnać, po czym pozostawili ją pod opieką lekarza. Urządzenia podtrzymujące życie wyłączono.

„Panie nie pytam dlaczego...”

Grace Patricia Kelly, Jej Księżęca Wysokość Księżna Grace z Monako, umarła o dziesiątej piętnaście wieczorem, we wtorek, 14 września 1982 roku. Miała pięćdziesiąt dwa lata.

Nie miała okazji pożegnać się ze światem. Jej ostatnie chwile, niemal na pewno, były pełne niepokoju i gniewnych słów. Nie można tego nazwać eleganckim czy szczęśliwym

końcem, a dla jej przyjaciół i całego świata był to tym większy szok, że wszyscy uważali, iż Grace uniknęła najgorszego, co może się przytrafić w katastrofie samochodowej. Usiłując opanować niepokój i nie znając medycznych raportów, które nie wychodziły dalej jak do rozkojarzonego Rainiera, pałacowe biuro prasowe wydawało oświadczenia sugerujące, że księżna poza złamaniem nogi nie doznała poważniejszych obrażeń. Opierając się na tych komunikatach, liczni przyjaciele Grace — a wśród nich Gwen Robyns, Judy Quine i Rita Gam — nadesłali żartobliwe telegramy z życzeniami jak najszybszej ucieczki z łóżka.

Gwen Robyns dowiedziała się prawdy dopiero we wtorek, kiedy zadzwoniła do Phyllis Earle w Londynie. Przyjaciółka i dawna asystentka Grace pomagała organizować wieczór poetycki, jaki Grace miała mieć za tydzień w Windsorze, więc teraz zadzwoniła do Paula Choisita, osobistego sekretarza Grace w Monako, i zastała go szalejącego z rozpaczy.

— „Nie rozumiesz? — wrzeszczał przez telefon. — To jej głowa! Głowa!”

Wątpliwości, jakie budził sposób leczenia Grace, jeszcze pogorszyły sprawę. Podanie narkotyku, nocny transport przez całe miasto i po schodach do tomografu... Czy Grace przeżyłaby, gdyby podjęto inne decyzje? Rainier zdawał się żywić podobne wątpliwości, gdy rozmawiał z Rupertem Allanem.

— Książę powiedział mi — rzekł Allan do Lindy Mara w 1983 roku — iż neurochirurdzy oświadczyli, że jeśli wszystko dobrze pójdzie, Grace przeżyje, lecz będzie miała sparaliżowaną co najmniej lewą połowę ciała, a to ogromnie zmieni jej osobowość. Allan nie mówił, kiedy lekarze powiedzieli o tym Rainierowi, lecz ta diagnoza jest dość odległa od śmierci klinicznej. Najwidoczniej w kilka godzin po wypadku istniała jeszcze szansa na uratowanie życia Grace. Szybkie wyłączenie respiratora miało w sobie coś gwałtownego, typowego dla Monako. Budziło wiele wątpliwości — podobnie jak lekarze twierdzący, że tomografia mózgu ujawniła fakty, jakich nie mogła ujawnić.

Łatwo jest być mądrym po szkodzie. Obijając się w kabinie koziółkującego samochodu, Grace doznała poważnych obrażeń głowy i klatki piersiowej. Lekarze nie mogli wiele zdziałać. Stefania była młodsza i miała szczęście, że impet rzucił ją na podłogę przed fotelem pasażera. Najbardziej oczywiste i słuszne przypuszczenie w związku z tą tragedią to, że Grace miałaby znacznie większą szansę przeżycia katastrofy, gdyby zapięła pasy.

Rodzina Kellych — Kell, Peggy i Lizanne — przybyła na pogrzeb wściekła i pełna podejrzeń. Czerpiąc informacje z gazet, niemal do samego końca się nie dowiedzieli, jak poważny był stan Grace, a Rainier nie uznał za konieczne angażować ich w decyzję odłączenia respiratora. Czy nie mógł poczekać dzień lub dwa i zobaczyć, co się stanie, albo dać im czas, żeby mogli przyjechać i pożegnać się z Grace? W Ameryce takie decyzje wymagają skomplikowanych formularzy, notariuszy i niezależnych opinii.

Peggy, Kell i Lizanne nie przywieźli ze sobą Ma Kelly. Od czasu wylewu w 1975 roku ich matka cierpiała na zaburzenia umysłowe i cała trójka zdecydowała, że nawet nie ma sensu mówić jej o zgonie Grace. Ma Kelly dożyła do stycznia 1990 roku, nie wiedząc o śmierci Grace i Kella, czy chorobie alkoholowej najstarszej córki — Peggy, która miała

umrzeć w listopadzie 1991. W czasie gdy powstawała niniejsza książka, sześćdziesięcioletnia Lizanne była jedynym żyjącym członkiem wspaniałego pokolenia Kellych z Henry Avenue, którzy zamierzali zdobyć świat. Cztery drużny — Rita, Bettina, Judy i Maree — wróciły do Monako i zameldowały się w Hotel de Paris, tak jak dwadzieścia sześć lat wcześniej, lecz weszły do swych pokoi i spojrzwały na skały górujące nad portem z zupełnie innymi uczuciami niż wówczas. Tłumy gapiów i fotoreporterów cisnęły się w hotelowym holu zupełnie tak samo jak w owym burzliwym tygodniu 1956 roku, jednak teraz wszyscy byli ponurzy i osowiali.

— Wszystkim nam przykro — zawołał jeden stary włoski fotoreporter, którego Judy Quine pamiętała z poprzedniej wizyty. — Tak bardzo nam przykro.

Panująca w Monako atmosfera, na którą składała się mieszanina niedowierzania i smutku, odzwierciedlała powszechne przekonanie, że Grace po prostu nie może umrzeć. Często mówiono, że jej duch pozostanie żywy, ponieważ gdy jej zabrakło, ludzie nagle zdali sobie sprawę, jak inspirujący miała na nich wpływ. Księżna Grace na koncercie, księżna Grace w kościele, księżna Grace w sierocińcu — pracowała tak ciężko, aby tchnąć swoją prostotę i troskę w przybraną ojczyznę. Witryny sklepów udekorowano na czarno. Na dzień czy dwa zdjęto z nich klejnoty i futra, w spontanicznym hołdzie zastępując je pospiesznie oprawianymi w ramki pocztówkami lub wyciętymi z gazet zdjęciami Grace, które wisiały teraz wszędzie jak ikony.

Innego rodzaju hołdem była lista dostojników, którzy przylecieli na jej pogrzeb. W kwietniu 1956 roku na ślubie Grace z Rainierem nie było prezydentów ani koronowanych głów, ale nazwiska przybywających tu w drugim tygodniu września 1982 roku najlepiej świadczą o prestiżu, jaki Grace zapewniła małemu nadmorskiemu księstewku: król i królowa Belgii, królowa Hiszpanii, książę Bertil ze Szwecji, książę Filip z Lichtensteinu, żona Francois Mitterranda, Nancy Reagan, której towarzyszyło więcej muskularnych goryli, niż można sobie wyobrazić, oraz księżna Walii, Diana, która po jednym krótkim spotkaniu uznała księżnę Monako za przyjaciółkę.

Frank Sinatra miał koncerty w Ameryce. David Niven był już zbyt udręczony chorobą Lou Gehriga, żeby przyjechać. Ale przybył Cary Grant, przywożąc odrobinę Hollywood i dawnych czasów oraz, oczywiście, wspomnienie „Złodzieja w hotelu”.

Grace w trumnie wyglądała okropnie. Rany głowy ukryto pod koszmarłą żółtą peruką. Jej przyjaciółki patrzyły na to z przerażeniem, nie wiedząc, czy śmiać się, czy płakać, jednak później doszły do wniosku, że należy to potraktować jako żart, z jakiego wesoła Gracie uśmiełaby się do łez.

Pogrzeb zaczął się o 10.15 rano, w pierwszą sobotę po śmierci Grace. W Monako zalegała głęboka cisza od środy, kiedy księstwo zostało bez

— Grace

swej księżnej, toteż fanfary oznajmiające wyprowadzenie hebanowej trumny z pałacu ogłaszały koniec milczenia. Na ulicach ludzie płakali. Na niczyjej twarzy nie dostrzegłoby się głębszej rozpacz niż ta, jaka wykrzywiła rysy Rainiera, gdy szedł za trumną ze zwłokami żony po brukowanych uliczkach starego miasta, do katedry. Szlochając

otwarcie i często, książę wyglądał na zrozpaczonego i załamane — chociaż ludzie, którzy dobrze go znali, zastanawiali się, co go najbardziej zasmuca.

„Teraz przykro wszystkim, którzy nie byli dla niej mili — stwierdziła Virginia Gallico, wdowa po pisarzu Paulu Gallico i dama do towarzystwa Grace. — Będą ją bardzo oplakiwać”.

Stefania oglądała pogrzeb w telewizji, leżąc na szpitalnym łóżku z szyją usztywnioną kołnierzem ortopedycznym. Jednak ledwie rozpoczęło się nabożeństwo żałobne, wybuchnęła płaczem i po kilku minutach straciła przytomność. Paul Belmondo wyłączył telewizor.

Jednoczemy się w bólu — stwierdził arcybiskup Monako odprawiający mszę. Nagłe odejście tej wyjątkowej osoby, rzekł nie dostarcza odpowiedzi na kwestie życia, cierpienia, samotności i śmierci. Najlepszych odpowiedzi zdawały się dostarczać małe klepsydry położone przed każdym żałobnikiem.

Chciałabym, żeby mnie zapamiętano — takie słowa padły w trakcie ostatniego wywiadu, jakiego Grace udzieliła pod koniec lipca — jako osobę dobrą i życzliwą.

Panie — głosił cytat ze świętego Augustyna — nie pytam, dlaczego mija zabrałeś, lecz dziękuję za to, że nas nią obdarzyłeś.

Po ceremonii Rainier podjął gości w pałacowym ogrodzie, ściskając dłonie i przyjmując kondolencje. W pewnej chwili oddalił się i stanął samotnie na tarasie, w miejscu skąd mógł widzieć morze i całe Monako. Znow zaczął płakać. Karolina i Albert podeszli, żeby pocieszyć ojca; objęli go ramionami i też zaczęli szlochać. Kiedy bajki nie mają szczęśliwego zakończenia, często kończą się okropnie.

Przez trzy dni trumna leżała w kaplicy, otoczona kwiatami. Potem, we wtorek 21 września 1982 roku, tydzień po śmierci, złożono ją w krypcie rodziny Grimaldich, ustawiając w wielkim półokręgu książąt i księżnych wokół ołtarza. „Gratia Patricia — głosiła inskrypcja na marmurowej płycie jej nagrobka. — Principis Rainierii III Uxor, Obiit Ann. Dni. MCMLXXXII. Grace Patricia, żona księcia Rainiera III, umarła roku pańskiego 1982”.

Większość notatek żałobnych opisywała jej karierę filmową, stosunkowo rzadziej wspominając o niezliczonych działaniach charytatywnych, lecz jedna doskonale oddała charakter Grace. Ten liryczny hołd złożył jej William Buckley Jr., również katolik i długoletni przyjaciel Grace.

Grace Kelly — napisał w swoim National Renew — była nauczona profesjonalnej gry aktorskiej. Jednak wcześniej jej rodzina nauczyła ją humanizmu, panowania nad sobą i dążenia do perfekcji... Nauczono ją skrywać ból, maskować wysiłek... wszystko to było częścią jej natury... Gdyby zamiast księżną, postanowiła zostać zakonnicą, w jej podejściu do powołania nie byłoby najmniejszej różnicy.

Buckley wspomina, jak kilka lat wcześniej pojechał do Rzymu, żeby pojawić się na jednym z religijnych spotkań ojca Peytona.

— Powiedziała wtedy — wspomina — że wcale się nie zmniejszają zawsze istniejące możliwości czynienia dobra, a chrześcijanin, usiłując czynić dobro i robiąc to, odpłaca za wielką hojność Opatrzności, która obdarzyła nas życiem... Tam, dokąd podążyła, nie ma



księżnych, lecz wyobraźnia każe nam co najmniej przypuszczać, że gdziekolwiek Grace jest teraz, promieniuje specjalnym światłem.

Grace opromieniała tym światłem swoją rodzinę, przyjaciół i każdego, kto uważał, że wpłynęła na jego życie. Większość tych ludzi nigdy jej nie spotkała. Przekazała im swoją witalność przez filmy, zdjęcia i samo swoje istnienie — jak każda gwiazda. Nawet ludzie nie interesujący się filmem ani personaliami książąt uważali, że znają księżną Grace. Najwspanialszą kreacją Grace był jej publiczny wizerunek, a jej największym osiągnięciem, w częstokroć obłudnym i sztucznym świecie, było to, że naprawdę starała być tak dobra, jak się wydawała. Była omylną istotą ludzką, ale zawsze uczyła się na swoich błędach i w znacznym stopniu zmieniła swoje życie, gdy zrozumiała pustkę i cenę marzenia, za jakim nauczono ją gonić. Utrzymywanie przed opinią publiczną pozorów szczęśliwego małżeństwa z człowiekiem, który często uprzykrzał jej życie, okazało się jej największą rolą, którą odgrywała zgodnie z daną obietnicą — wiedząc, że szczęście to zazwyczaj skomplikowane i rzadko samolubne uczucie. Grace Kelly, księżna Monako, była autentyczna. Jej fizyczne piękno nie stanowiło kamuflażu, lecz odzwierciedlenie lepszych cech charakteru. Los obdarzył ją urodą, ale Grace zasłużyła sobie na nią całym swoim życiem.

Pojechać za cyrkim.

Z trojga dzieci Grace i Rainiera Karolina najłatwiej otrząsnęła się po śmierci matki.

Małżeństwo, a następnie separacja z Philip-pe'em Junotem, zahartowały ją.

— Kiedy jest się młodym — mówiła o tych doświadczeniach na swój lakoniczny sposób — popelnia się błędy.

Karolina nieoczekiwanie dorosła.

Na pogrzebie Grace, a także w pierwszych miesiącach po nim, była szczególnie opiekuńcza w stosunku do ojca. Tego poniedziałku, kiedy Grace miała wypadek, Karolina przebywała w Anglii, na farmie zdrowotnej. Przybyła do Monako następnego ranka i natychmiast przyjęła taką rolę, jaką sama Grace mogłaby odgrywać w podobnych okolicznościach.

Ludzie zauważali fizyczne podobieństwo Karoliny do matki. Gdy tylko opadł z niej dziecięcy tłuszczyk, Karolina zgubiła nieprzyjemną nadąsaną minę, która była dla niej charakterystyczna w wieku dojrzewania. Jej rysy zeszcuplały i wyszlachetniały. Miała kości policzkowe swojej matki oraz jej sposób poruszania się. Odziedziczyła również elegancję Grace oraz łatwość zachowania się w towarzystwie, a także umiejętność udawania osoby bardziej inteligentnej i zaangażowanej, niż rzeczywiście była. Miała też piękny uśmiech.

Wszystkie te atrybuty idealnie desygnowały Karolinę na pozycję nowej pierwszej damy Monako, grała też tę rolę z powagą i zaangażowaniem. Przyjęła odpowiedzialność za festiwal i szkołę baletową. Wzięła pod opiekę miejscowy oddział Fundacji Księżnej Grace, instytucję stworzoną przez Grace dla przekazywania datków na cele charytatywne. Otwierała pokazy, odwiedzała sierocińce oraz inne instytucję ukochane przez jej matkę, a gdy u boku ojca pojawiła się na Balu Czerwonego Krzyża, okazała się olśniewającą towarzyszką.

Karolina uniknęła kilku błędów, które popełniła jej matka. Od kiedy w grudniu 1983 poślubiła młodego włoskiego przemysłowca, Stefana Casiraghiego, rzadko udzielała wywiadów. Zadbała również, aby troje dzieci, które miała z tego związku, nie stało się strawą dla reportaży prasowych. Jawiła się jako osoba silna i praktyczna, zdecydowanie mniej czuła niż jej matka, Grace. Jednakże ta siła osłaniała jak tarczą jej prywatność i prawdopodobnie zapewniła jej dzieciom bardziej naturalną, nieafektowaną jakość życia. Poślubienie przez Karolinę przystojnego i prostolinijnego Casiraghiego przywróciło uśmiech na oficjalne twarze rodziny rządzącej Monako. Osobliwą pustkę, jaka powstała, gdy zabrakło Grace na bożonarodzeniowych pocztówkach oraz okolicznościowych fotografiach, wypełnił Casiraghi, a pojawienie się wnuków — dwóch chłopców i dziewczynki — pomogło Rainierowi otrząsnąć się z przygnębienia, w którym pogrążył się po śmierci żony. Karolina wraz z rodziną obrała na swą kwaterę willę niedaleko pałacu na skale. Rainier był tam częstym gościem. Monako wróciło na ubity trakt — aż do października 1990, kiedy to Casiraghi wziął udział w przybrzeżnych wyścigach motorówek. Stracił kontrolę nad łodzią, wyleciał w powietrze i zginął na miejscu, przygnieciony motorówką, która spadła wprost na niego.

Ta tragedia zdruzgotała Karolinę. Po raz drugi w czasie jednej dekady fotografie jej delikatnych, naznaczonych smutkiem rysów obiegiły szpalty gazet. Przestała pojawiać się na uroczystościach publicznych. Przeraziłwie krótko ścięła włosy i zaczęła nosić wyłącznie czerń. Najbardziej drastycznym krokiem było wyrwanie swej rodziny z Monako i przeniesienie jej o trzysta kilometrów na zachód, na francuską wieś, gdzie Karolina założyła nowy dom w kamiennym folwarku pod Avig-nonem, opodal odludnej górskiej wioski nazywanej St Remy de Pro-vence. Tam trzydziestoczteroletnia księżniczka jeździła na rowerze, sama robiła zakupy na miejscowym targu i odwoziła dzieci do wiejskiej szkoły, szukając ukojenia i nowego natchnienia w treści prostego życia. Z czasem rany zagoiły się i po mniej więcej roku zaczęto widywać ją w niektórych z dawniej chętnie uczęszczanych miejsc. Rozpoznawano ją w Monako, Paryżu i nawet w Nowym Jorku. Mówiono o przyjaźni i być może ponownym małżeństwie z francuskim aktorem Vincentem Lindonem. Jednak chociaż księżniczka pojawiła się znowu u boku swojego ojca, pełniąc obowiązki na Balu Czerwonego Krzyża, a szczególnie na imprezach organizowanych na rzecz fundacji jej matki, wyczuwało się, że uczuciowo Karolina nie jest już związana z Monako lecz z farmą pod St Remy de Provence. Powrót Karoliny do głównego nurtu życia ułatwiło ogłoszenie przez Watykan w maju 1992 unieważnienia jej małżeństwa z Philippe'em Junotem, zawartego w 1978 roku. Uzyskanie tego werdyktu kosztowało ją dwanaście lat starań, dwie papieskie komisje dochodzeniowe, natomiast księcia Rainiera, jak mówią pogłoski, odmowę zapłacenia rocznej dziesięciny w wysokości wielu milionów franków.

Unieważnienie małżeństwa oznaczało, że Karolina mogła znowu przyjmować komunię i zawrzeć kościelny związek małżeński. Co ważniejsze, z punktu widzenia księstwa Monako jej małżeństwo ze Stefanem Casiraghim nie było już nieprawomocne względem Kościoła, a pochodząca z tego małżeństwa trójka dzieci — Andrea, lat osiem, Charlotte sześć i Pierre pięć — mogła być teraz uznana za prawowitą zarówno przez prawo cywilne jak i kościelne. Gdyby zaś książę Albert nie miał potomstwa, następstwo tronu

rodziny Grimaldich byłoby zabezpieczone przez dwóch zdrowych i przystojnych, młodych dziedziców płci męskiej.

Przy okazji powróciła kwestia księcia Alberta. W miarę jak — w latach sześćdziesiątych — troje dzieci Rainiera i Grace zaczęło dorastać i ukazywać swe bardzo różnorodne cechy charakteru, obserwatorzy zgodnie twierdzili, że dobrze się stało, iż właśnie Albert odziedziczył tron. Chłopiec był uprzejmy, posłuszny, sumienny i czarujący. Z trojga dzieci on najwyraźniej otrzymał najlepsze cechy Grace. Co prawda, jego jąkanie się wskazywało na pewne nie rozwiązane problemy — Rainier był zawsze bardziej surowy dla niego niż dla dziewczynek. Jednakże jąkanie ustępowało z wiekiem i kiedy Albert przeistoczył się z jasnookiego, miłego nastolatka w bystrookiego i równie miłego młodzieńca, już tylko czasami nieznacznie się zacinał. Edukację zdobywał w Ameryce studiując w Amherst, a następnie przeszedł praktykę w agencji reklamowej oraz w banku handlowym w Nowym Jorku. W chwili śmierci matki księżę miał już dwadzieścia pięć lat i wszystko wskazywało na to, że niebawem przejmie ster księstwa. Wyglądało na to, iż Rainier życzył sobie, aby nastąpiło to raczej wcześniej niż później. Nigdy zresztą nie twierdził, że będzie rządził do śmierci. W odróżnieniu od królów księżęta nie posiadają tronów ani koron, które trzeba przekazywać w akcie uroczystej koronacji. Jest im też o wiele łatwiej przejść na emeryturę. Po ukończeniu sześćdziesiątego roku życia w maju 1983 roku Rainier coraz częściej myślał o ustąpieniu.

— Abdykuję na rzecz Alberta — powiedział w wywiadzie udzielonym Sheridan Morley, we wrześniu 1984 — gdy tylko poczuje, że jest gotowy przejąć odpowiedzialność za rządzenie Monako. Ma teraz dwadzieścia sześć lat i nie chcę, aby czekał, aż umrę.... Nie powiem pani dokładnie, kiedy odejdę, ale nastąpi to wkrótce.

Rainier wyrażał podobne myśli w innych wywiadach udzielonych w tym samym czasie, co spowodowało, że brytyjski fotograf królewski, Tim Graham, został wysłany do Monako celem wykonania serii zdjęć, które mogłyby być opublikowane w chwili oficjalnego ogłoszenia przejścia władzy.

Działo się to w 1984 roku. Dziesięć lat później Rainier pozostaje niezmiennie władcą Monako, a chociaż przekroczył siedemdziesiątkę, nie ma już mowy o pośpiechu w przekazywaniu władzy synowi.

— Powiedzmy sobie — powiedział kiedyś Rainier na ten temat — że jak tylko Albert będzie miał wystarczającą siłę moralną, aby objąć rządy, chciałbym, żeby to zrobił. Problemem jest więc „siła moralna”, ponieważ księżę Albert nigdy nie dorósł. „Miły”, „słodki”, „chętny”, „łagodny” — każdy, kto zna księcia, powtarza te słowa. Lecz słowa będące określeniami pozytywnymi w odniesieniu do dwudziestolatka o świeżej twarzy, brzmią smutno odniesione do łysiejącego mężczyzny w wieku lat trzydziestu sześciu. Albert zajmuje dawne biuro swojej matki w pałacu, uczęszcza na spotkania, wygłasza napisane dla niego mowy i sumiennie uczestniczy w oficjalnych otwarciach. Jednakże oprócz udziałów w wyścigach samochodowych i zawodach bobslejowych, księżę nie zaistniał jeszcze w żaden inny sposób. Grace miała skłonność do uległości i nieszczęściem Alberta jest to, że posiadał tę cechę w nadmiernym stopniu. Podczas gdy

Karolina odziedziczyła po matce wytrwałość, Stefania namiętność, Albertowi pozostała tylko chęć podobania się. Pozostał wiecznym skautem.

Plotka głosi, że księżę Albert jest gejem. Nie ma na to dowodów, a liczba pozwów o ojcostwo wnoszonych przeciwko niemu świadczyłaby raczej o tym, że jest wprost przeciwnie. W marcu 1990 roku Bea

Fiedler, trzydziestotrzyletnia modelka topless opowiedziała prasie europejskiej o namiętnej nocy spędzonej z księciem Albertem w Monachium — zdarł ze mnie majteczki zębami — a w listopadzie 1992 Tamara Rotolo, Kalifornijka, która latem 1991 spędziła miesiąc z Albertem, wniosła pozew do sądu, twierdząc, że młody Grimaldi jest ojcem jej córki Jasmine.

Sam fakt, że Albert spał z tymi kobietami, nie jest przedmiotem poważnej dyskusji. Dopóki nie pojawiły się pozwy o ojcostwo, księżę nie robił tajemnicy ze swoich podbojów, a jego ojciec gderał pobłaźliwie o tym, że Albert musi się „wyszumieć”. Prawnicy rodzinni dyskutują jednak zawzięcie nad tym, czy te romantyczne przygody naprawdę dały księciu potomka, jeśli bowiem okaże się, że Jasmine Rotolo jest córką Alberta, to będzie miała pierwszeństwo do tronu Monako przed dziećmi Karoliny. Pozycja Jasmine będzie dokładnie taka sama jak prawie sto lat wcześniej pozycja matki Rainiera, „Mamou”, która była nieślubnym dzieckiem księcia i córki praczki z Algierii. Spłodzenie odpowiedniego dziedzica dla Monako jest najważniejszym ze wszystkich zadań życiowych Alberta, a przypadkowość jego związków seksualnych przypomina bunt chłopca, który nie znalazł innego sposobu, aby ten bunt wyrazić.

Tradycyjnym lekarstwem dla młodego księcia w takim stanie ducha było zawsze ożenienie go z dobrą, silną kobietą, lecz znalezienie żony dla Alberta okazało się zadaniem niełatwym. Księżę umie, jak się wydaje, zaciągać kobiety do łóżka, ale nie potrafi doprowadzić ich do ołtarza. Przyczyna może tkwić w samym Albercie. Znając cenę, jaką jego rodzice zapłacili prywatnie za swoje bardzo publiczne małżeństwo, na myśl o tego rodzaju zobowiązaniach może odczuwać jedynie niepokój.

Wynika to również z faktu, iż pozycja księżnej Monako nie jest już tak atrakcyjna jak dawniej. Która inteligentna młoda kobieta ucieszyłaby się z perspektywy posiadania dwóch tak silnych szwagierek, które uczyniły więcej niż ktokolwiek dla pomniejszenia prestiżu towarzyszącego dawniej tej pozycji — i to w połączeniu z wyzwaniem, jakim jest pamięć o kobiecie, która była uosobieniem powszechnych wyobrażeń o księżniczce? Księżniczka Stefania nie poszła do szkoły dla kierowców samochodów wyścigowych, a zanim wyleczyła się z urazów i siniaków

w jesieni 1982 roku, było już za późno na szkołę mody. Przyjaciel jej matki, Marc Bohan, główny projektant Diora, zorganizował dla niej praktykę w Paryżu, lecz Stefania zbyt często spóźniała się na zajęcia, aby ta praktyka trwała długo.

Nie zahamowało to jednak jej kariery modelki. Przed upływem dwóch lat od śmierci Grace, wiosną 1984 roku, rodzina Grimaldich skupiła się wokół basenu Hotel de Paris, aby wesprzeć pokaz pierwszej kolekcji Stefanii składającej się z kostiumów kąpielowych. Część z nich, dość skąpych, prezentowała sama Stefania na plakatach promocyjnych. Sukces tego przedsięwzięcia trwał nieco dłużej niż jeden sezon i załamał się, kiedy talent i pracowitość Stefanii musiały zastąpić dreszczyk emocji związany z jej nazwiskiem. To

samo przytrafiło się jej drugiej karierze związanej z muzyką pop. Pierwsze nagranie książniczki, Ouragan („Huragan”) stało się we Francji przebojem, następnych prawie nie zauważono. Historia jej trzeciego przedsięwzięcia, które było próbą wejścia na rynek perfumeryjny z nowym zapachem o nazwie „L'Insaisissable”, powieliła ten schemat. „L'Insaisissable” znaczy „niezdobyta” i stało się ironiczną pointą serii historii miłosnych, będących główną działalnością Stefanii w ciągu tych lat. Uśmiechy ironii budził sposób, w jaki traktowała swoich kolejnych kochanków — to ta sama mieszanina uległości i przewrotności, jaką Stefania dręczyła swoją matkę.

— Ona potrzebuje silnego mężczyzny — powiedział Rupert Allan w rozmowie z Lindą Marx w 1983 roku. — Jest zdecydowaną młodą kobietą, samolubną i egocentryczną, rozpieszczoną przez oboje rodziców.

Stefania nie miała trudności ze znajdowaniem silnych mężczyzn, ale nie zawsze było wiadomo, na czym polegała ich siła. Mario Oliver Jutard był karanym przestępcą seksualnym. Anthony'ego Delona, również syna gwiazdora filmowego, karano za posiadanie niebezpiecznej broni. Toczące się jak huragan życie Stefanii, pełne kochanków, dyskotek oraz zabiegów wokół najnowszych pomysłów, wcześniej ją wypaliło. Przyjaciele rodziny byli przerażeni, spotykając książniczkę w nocnych klubach Nowego Jorku i Los Angeles.

— Wyglądała jak widmo — wspomina jeden z nich. — To niesamowite, jak dziewczyna, która kiedyś wydawała się taka słodka i miła, mogła stoczyć się tak szybko.

Upadek książniczki Stefanii wywołał pytanie, które zaczęto zadawać w odniesieniu do wszystkich trojga dzieci Grace po jej śmierci. Jak to możliwe, aby tak wspaniała dama wydała na świat tak nieobliczalne potomstwo? Czy przyczyną było ich królewskie rozpieszczenie, ta śmiertelnie liberalna mieszanka doktora Spocka i Monte Carlo — czy też fakt, że byli oni potomstwem małżeństwa znacznie mniej szczęśliwego i zdrowego, niż uważał świat?

Wydawało się, że Stefania osiągnęła dno, kiedy w maju 1992 roku oświadczyła, że jest w ciąży za sprawą swojego byłego ochroniarza, Daniela Ducrueta. Pozując do fotografii w objęciach kochanka, Stefania ogłosiła zamiar urodzenia dziecka z nieprawego łoża, podczas gdy Ducruet, który zaledwie dwanaście miesięcy wcześniej przyznał się do ojcostwa owocowi miłości innej kobiety, uśmiechał się czule, kładąc rękę na jej brzuchu. Kochankowie sprzedali fotografię wraz z serią innych intymnych ujęć czasopismom takim jak: Oggi, Hello, Paris Match, People oraz prawie wszystkim innym, które kiedykolwiek obraziły rodzinę Grimaldich.

Ludzie mówili, że Grace przewraca się w grobie, a reakcją Rainiera na ten totalny skandal było wypowiedziane zranionym głosem „Bez komentarza”. Lecz dwa lata później, w czasie gdy pisana jest ta książka, Stefania nadal mieszka z Ducruetem. Nadal niezamężna i beztrudnie dbająca o pozory, urodziła mu dwoje dzieci — syna Luisa i córkę Paulinę — i wydaje się nawet możliwe, że to najbardziej rozwydrzone dziecko Grace znalazło w końcu pewien rodzaj spokoju.

Od najwcześniejszych dni Stefania nie ufała publicznym wymiarom swojego życia. Część jej osobowości czuła się przez nie zagrożona. Trapiły ją koszmary nocne mówiące o porwaniu. Często na własne życzenie jeździła na lekcje gimnastyki ukryta w bagażniku

samochodu, aby uniknąć fotografowania, a gdy dorosła, najagresywniej z całej rodziny reagowała na paparazzich — w ten sposób dostarczając im, ku ogólnej uciechy, zdjęć księżniczki wystawiającej język lub wykonującej obsceniczne gesty. Kiedy przyszła chwila, by otrąbić odwrot, gdzie mogła szukać lepszej ucieczki niż w ramionach ochroniarza?

Dzisiaj ona i Ducruet wiodą ciche życie domatorów w skromnym mieszkanku nad morzem. Popychają wózek i oglądają telewizję. Często widują jego matkę, a o wiele rzadziej Rainiera, który teraz spotyka się z młodszą córką tylko prywatnie. Dla Stefanii i Daniela wydarzeniem pełnym wrażeń jest wyjazd do ratusza na ślub jednego z ich młodych przyjaciół z policji lub agencji ochroniarskiej. Przypadkiem ich adres to Monako, lecz jest to la vie de province. Dawno temu Stefania marzyła o tym, aby prowadzić normalne życie i nie być księżniczką. W wyniku „ciężkiej pracy” zrealizowała te marzenia.

Księżę Rainier niezbyt często pozuje obecnie do fotografii, a kiedy to robi, ustawia się zwykle przed portretem swej zmarłej żony. Obraz ten przedstawia Grace w pierwszych miesiącach małżeństwa, wysoką i smukłą, okrytą srebrem, emanującą życiem tej pierwszej wiosny 1956 roku. Widok stojącego przed tym obrazem, zaokrąglonego i pochylonego wiekiem Rainiera chwyta za serce, ale jego dumę można zrozumieć. Starał się o Grace i zdobył to uosobienie kobiecości. To na zawsze pozostanie jego głównym powodem do sławy.

Rainier tworzy melancholijną postać owdowiałego księcia, samotnego na skale, starającego się walczyć z błędami swoich dzieci najlepiej jak umie. Dzieci te traktuje zgodnie z zasadą Grace, że nigdy, przenigdy nie powinien ostatecznie zamykać przed nimi drzwi. Ma skłonności do nadwagi, jest często przygnębiony i — co jest jego cechą wrodzoną — zamknięty w sobie. Prasa europejska, starając się rozjaśnić ten obraz, od lat usiłuje go ponownie ożenić — to z wdową po Davidzie Nivenie, to znów z wdową po jego przyjacielu budowniczym, Loulou Marsanie, czy też z obficie obdarzoną przez naturę księżniczką Iry von Fursten-berg („Taka duża dziewczyna dla takiego małego kraju” — skomentowała ten ostatni projekt księżniczka Małgorzata).

Rainier nie jest jednak zainteresowany. Grace była połową jego życia, czasami mniej, czasem więcej niż połową, a przecież wciąż posiada drugą połowę, którą jest Monako. Obecnie wygląda ono bardziej jak Honkong niż jak Manhattan — jak określił to kiedyś John Vinocur, jego zabudowa przypomina sztuczną szczękę, w której upakowano zbyt wiele zębów. Lata osiemdziesiąte były jakby stworzone dla Monako — pełne łoskotu młotów pneumatycznych i skrzypienia dźwigów. Wszyscy robili pieniądze. W latach 1977—1992 ceny nieruchomości wzrosły o sześćset pięćdziesiąt procent, a od 1981 do 1991 liczba banków wzrosła z dwudziestu pięciu do pięćdziesięciu siedmiu. Nie podaje się statystyk wzrostu tempa prania brudnych pieniędzy, ale ślady kilku poważnych transferów kolumbijskich narkodolarów prowadziły do Monako, a francuska komisja parlamentarna potępiła ostatnio dostępność tutejszych banków dla oczyszczania pieniędzy włoskiej mafii. Nieprzypadkowo piętnaście lub szesnaście milionów dolarów nielegalnych płatności, które były przyczyną głośnego skandalu irańskich *contras* w połowie lat osiemdziesiątych, przeszło przez Monte Carlo.

Rainier sprawuje raczej surową i pozbawioną poczucia humoru kontrolę nad tą współczesną Casablanką. Telewizyjne kamery policji przeczesują ulice, telefony są rutynowo podsłuchiwane, a tabliczki na chodnikach informują, co można, a czego nie można na sobie nosić. Miejscowi po prostu to uwielbiają. Monako — odpowiedzą zapytani — jest jednym z ostatnich zakątków na ziemi, gdzie dama może bezpiecznie wyjść na ulicę w swoich szmaragdach. I mają rację. Jednak od czasu podniesienia żelaznej kurtyny księstwo jest również ostatnim bastionem despotyzmu w Europie. Sam zaś despota nie ma sobie nic do zarzucenia. Pięć tysięcy rodowitych Monakijczyków oraz dwadzieścia cztery tysiące zagranicznych uciekinierów podatkowych akceptuje obecny stan rzeczy i niewiele można dodać na ten temat. W wieku siedemdziesięciu siedmiu lat książę-budowniczy spędza w swoim biurze w pałacu tyle samo godzin co zawsze, przeglądając plany i makiety, badając przepływ ruchu ulicznego. Jest w połowie władcą państwa, a w połowie merem Niby--Miasta mozolącym się nad najdrobniejszymi szczegółami życia swoich poddanych. To dość ciężka harówka, a kiedy Monseigneur robi sobie przerwę, spędza ją zwykle nad maszyną do pisania, wystukując długie, potoczyste listy do przyjaciół, pełne erudycji i literówek. Od czasu do czasu nawiązuje do swego ulubionego tematu — kłownów cyrkowych. Często, podpisując listy, szkicuje miniaturową twarz kłowna — wymalowany uśmiech maskujący melancholię. To dziwne, że największy znany kłown nosił imię Grimaldi. Od 1974 roku jednym z najważniejszych dorocznych wydarzeń stał się dla księcia Monakijski Festiwal Cyrkowy, którego jest pomysłodawcą. Biorą w nim udział najlepsze cyrki z całego świata, a Rainier wymyka się ze swojego biura, aby podglądać próby. Na koniec festiwalu książę zaprasza najlepszych wykonawców na obiad do pałacu i w ich towarzystwie udaje mu się wyjść ze swego ukrycia. Rainier, co sam wyznał przyjaciołom, ma w garażu ogromny wóz kempingowy, królewskie RW, które zmodernizował według własnego projektu. Jest w nim całkowicie samowystarczalny i, jak mówi, gdy już przejdzie na emeryturę, zamierza wyruszyć nim za cyrkiem.

Jest słoneczny majowy poranek w Monako. Niewielka orkiestra w niebieskich mundurach i białych kamaszach gra pod sosnami. Są to muzycy ze straży pałacowej księcia Rainiera, a wykonują wiązankę ulubionych pieśni wojskowych — *Marches de l'Empire* czy „Kompilację z Beatlesów” — w jakiś sposób wszystkie melodie brzmią podobnie. Brzęk cymbałów i um-pa-pa przepływają nad parapetami różowego pałacu. W tle widać morze.

Jest to ta sama operetkowa sceneria, która niegdyś przyciągnęła Grace do Monako. Księżna w nią wierzyła. Stała się jej częścią, a poprzez swą wiarę uczyniła ją bardziej realną. Bez Grace sceneria ta nie jest już tym, czym była, a błazeństwa jej dzieci jeszcze ją pogorszyły. Monako wróciło do swej dawnej szarości, ale obecność Grace uczyniła je na jeden sezon magicznym — a nawet — szlachetnym miejscem:

Nigdy przez wielu nie są cuda kute, Ledwie kilku marzenie potrafi pochwycić... Marzyciel winien się trudzić, gdy szansę są duże, Musi znieść porażkę i pracować, i czekać... Musi zachować wiarę mimo samotności Dopóki prawda o jego marzeniu nie będzie znana. Grace pozostała wierna temu, czego nauczył ją jej nauczyciel. Zawsze starała się postępować właściwie i właśnie to powoduje, że jej pamięć jest żywa do dziś. O kilkaset

metrów od podestu dla orkiestry znajduje się katedra, w której prawie cztery dekady temu miliony ludzi uczestniczyło w ślubie Grace. Teraz jest tutaj pochowana, a turyści przeciągają obok jej nagrobka ze czcią — trzydziestu na minutę, tysiąc ośmiuset na godzinę, ponad dziewięć tysięcy dziennie w ruchliwy weekend. Katedra jest wyciszona i ciemna, witraże w oknach sączą śródziemnomorskie światło. Wokół wysokiego ołtarza szurają nogami pielgrzymi — nowoczesny, obwieszony aparatami fotograficznymi tłum, zmuszony do ciszy aurą tajemnicy. Grace leży w wielkim półkolu książąt, jej nagrobek znaczy mały wazon kwiatów. Odwiedzający zapalają świece. Pobożni robią znak krzyża i modlą się. racja patrycja principis rainierii 3 ukxor. Mogłoby to być miejsce spoczynku jakiejś średniowiecznej świętej. Grace marzyła tak usilnie. Zapracowała na swoją chwałę.